
B R E N D A J O Y C E

N A G R O D A

PROLOG

5 lipca 1798, południe Irlandii, okolice zamku Askeaton

Gerald O'Neill wpadł niczym burza do dworu. Jego niegdyś biała koszula była teraz splamiona krwią, podobnie jak beżowe spodnie i granatowa kurtka. Na policzku i bokobrodach miał plamy zakrzepłej krwi, a świeża krew wciąż sączyła się z rany na głowie i z pokiereszowanych kłykci dłoni. Serce mu waliło, a w uszach nieustannie tętniły odgłosy niedawnej bitwy i wrzaski zwiastujące rychłą śmierć.

- Mary! Mary! Schodź do piwnicy! Natychmiast! -krzyknął na całe gardło.

Devlin O'Neill był tak oszołomiony, że nie mógł ruszyć się z miejsca. Ojciec nie pokazywał się w domu od ponad miesiąca - dokładnie od połowy maja, ale co parę tygodni przysyłał wiadomości. Devlin miał zaledwie dziesięć lat, niemniej świetnie rozumiał, że w kraju toczy się wojna. Włóścianie i kler, pasterze i dzierżawcy, chłopci i szlachta - wszyscy powstali, by walczyć przeciwko angielskim diabłom; wygnać ich na zawsze, odebrać żyznę, irlandzką ziemię zagrabioną przed ponad wiekiem. Wokół panowała nadzieja ale i lęk.

Devlinowi z wrażenia niemal stanęło serce. Cieszył się, że widzi ojca, a jednocześnie zdejmował go strach. Bał się, że Gerald jest poważnie ranny. Bał się także dużo gorszych rzeczy. Ruszył przed siebie z cichym okrzykiem, ale ojciec nie zwrócił na niego uwagi, tylko stanowczym krokiem zmierzał w stronę schodów, ponownie

wołając żonę. Przez cały czas trzymał rękę na głównej kordzie, miał również ze sobą muszkiet.

- Czy tata jest ranny? - Zza pleców dobiegł Devlina cichy głos i mała rączka zaczęła ciągnąć za wystrzępiony rękaw jego lnianej koszuli.

Devlin nawet nie spojrzał na młodszego, ciemnowłosego brata. Nie był w stanie oderwać oczu od ojca, a w głowie mu się mąciło od natrętnych myśli. Rebelianci na początku powstania opanowali miasto Wexford i całe hrabstwo nie posiadało się wówczas z radości. W każdym razie wszyscy mieszkający tu katolicy. Po tym nastąpiły kolejne zwycięstwa, ale coraz częściej zdarzały się też porażki. Teraz wszędzie aż się roiło od czerwonych kubraków*; zaledwie tego ranka, stojąc na szczycie wzgórza, Devlin naliczył ich tysiąc. To był złowieszczy widok. Słyszał, że Wexford padło, służąca mówiła też, że tysiące powstańców poległo w New Ross. Devlin jednak nie dawał temu wiary aż do tej pory. Teraz dotarło do niego, że pogłoski o klęskach i śmierci mogły być jednak prawdziwe, bo po raz pierwszy w życiu z oczu ojca wyzierał lęk.

- Czy tata jest ranny? - zapytał raz jeszcze Sean drżącym głosem. Devlin gwałtownie odwrócił się w stronę brata.

- Nie - odparł stanowczo.

* *Wojska angielskie nosiły wówczas czerwone mundury, (przyp. tium.).*

Wiedział, że musi być dzielny, choćby ze względu na Seana, ale tak naprawdę strach trzymał go za gardło. W tej samej chwili ze schodów zbiegła matka z małą córeczką w ramionach.

- Gerald! Bogu niech będą dzięki! Tak bardzo się o ciebie martwiłam! - Była blada niczym widmo.

Ojciec chwycił ją mocno za ramię, po raz pierwszy zdejmując dłoń z główki kordu.

- Bierz chłopców i kryjcie się w piwnicy! - rzucił ostro. -
Natychmiast, Mary!

- Jesteś ranny?

- Po prostu rób, co mówię! - Pociągnął ją zdecydowanie przez sień.

Niemowlę, mała Meg, zanosło się płaczem.

- I ucisz ją, na Boga! - zarządził równie ostro, jak przedtem, a jednocześnie odwrócił się w stronę otwartych drzwi, jakby spodziewał się ujrzeć nadbiegającą angielską pogoń.

Devlin powędrował za wzrokiem ojca. W niebieskie niebo wzbijały się dymy, wyraźnie też słychać było salwy muszkietów.

Mary rozwiązała trok koszuli i przycisnęła niemowlę do piersi, ani przez moment nie zwalniając kroku.

- Co się z nami stanie, Geraldzie? - spytała. -I co będzie z tobą? -
dorzuciła ciszej.

Ojciec otworzył drzwi piwnicy, ukryte za wielowiekowym gobelinem.

- Wszystko się ułoży - zapewnił sucho. - Tobie, chłopcom i małej włos z głowy nie spadnie.

Mary spojrzała na męża oczami pełnymi łez.

- Nie jestem ranny - dodał, przelotnie całując jej usta. - Zejdź teraz do piwnicy i nie wychodź, póki po ciebie nie przyjdę.

Mary skinęła głową i ruszyła w dół po schodach.

W tej samej chwili, zatrważająco blisko dworu, rozległ się wybuch armatni i Devlin przypadł do ojca.

- Pozwól mi iść z tobą. Mogę być przydatny. Umiem strzelać...

Gerald obrócił się na pięcie i trzepnął syna po głowie, aż chłopak wylądował na posadzce.

- Rób, co każę! - wrzasnął, przebiegając przez hol. - Opiekuj się matką!

Rozległ się trzask zamykanych drzwi.

Devlin przełknął łzy rozpacz i upokorzenia, po czym spojrzał na Seana. W rozszerzonych ze strachu, szarych oczach brata, dostrzegł niewypowiedziane pytanie. Poderwał się szybko z posadzki, drżąc jak mały dzieciuch. Dobrze wiedział, jak powinien postąpić. Do tej pory nigdy nie sprzeciwił się woli rodzica, ale nie zamierzał dopuścić, by ojciec samotnie stanął twarzą w twarz z tymi wszystkimi czerwonymi kubrakami, które widział dzisiejszego ranka.

Jeżeli ojciec ma zginąć, on zginie razem z nim.

Wciąż bardzo się bał. Ciężko sapiąc, spojrzał na młodszego brata. Musi się zachowywać jak na mężczyznę przystało.

- Zejdź na dół, do mamy i Meg - nakazał cicho. -Schodź w tej chwili.

Nie patrząc, czy Sean wypełnił polecenie, przebiegł przez hol i wpadł do ojcowskiej biblioteki.

- Zamierzasz walczyć, prawda? - wykrzyknął Sean, biegnąc za starszym bratem.

Devlin nie odpowiedział. Dopadł do szafki na broń, stojącej za masywnym biurkiem ojca, i stanął w osłupieniu. Ani jednej strzelby!

W tym momencie usłyszał żołnierzy.

Dobiegły go krzyki i rzenie koni. Szczęk ścierających się szabel. Ponownie gdzieś w pobliżu zagrzmiała armata. Pojedyncze strzały pistoletu przebijały przez salwy muszkietów. Devlin powoli odwrócił się w stronę brata i chłopcy spojrzeli sobie prosto w oczy. Twarz Seana była ściągnięta strachem - tym samym strachem, który sprawiał, że Devlinowi serce waliło jak szalone i brakowało tchu w piersiach. Sean oblizwał nerwowo wargi.

- Oni są już blisko. Devlin polecił raz jeszcze:

- Schodź natychmiast do piwnicy.

On, Devlin, musiał pomóc ojcu. Stać przy nim w godzinie śmierci.

- Nie zostawię cię samego.

- Musisz zaopiekować się mamą i Meg - perswadował Devlin, rzucając się ku ławie, która stała za szafką na broń. Zrzucił poduszki z siedzenia i uniósł w górę wieko. Nie mógł uwierzyć własnym oczom...

Ojciec zawsze trzymał tu pistolet, ale teraz znajdował się jedynie sztylet. Jeden głupi, bezużyteczny cienki nóż.

- Idę z tobą - zdecydował Sean, łykając łzy. Devlin chwycił za nóż, po czym otworzył szufladę

biurka i wyjął z niej ostry otwieracz do listów, który podał bratu. Sean uśmiechnął się ponuro, Devlin jednak nie był w stanie odpowiedzieć uśmiechem.

Jego wzrok padł na zardzewiałą zbroję, stojącą w kącie biblioteki. Ponoć należała do jednego z przodków, okrytego niesławą, bo bratającego się z Anglikami i cieszącego łaskami ich królowej. Devlin podbiegł do antycznego eksponatu, wyrwał z ciężkiej, kutej rękawicy miecz, przewracając przy tym całe to żelastwo.

W Devlina wstąpił nowy duch. Chociaż stary i zardzewiały, miecz był jednak solidną bronią. Wyciągnął go z pochwy, dotknął ostrza i aż dech mu zaparło z wrażenia, gdy z palca trysnęła krew. Spojrzał triumfalnie na Seana, podążającego za nim krok w krok, jakby ktoś ich związał krótkim szpagatem, i wreszcie się uśmiechnął.

Armata odezwała się ponownie. Tym razem zatrzęsły się mury, a z okna holu wypadły szyby. Chłopcy spojrzeli po sobie z trwogą.

- Sean, musisz zostać z mamą i Meg - wyszeptał Devlin.

- Nie.

Miał ochotę trzepnąć brata po głowie, tak jak niedawno uczynił to ojciec. Jednak w głębi duszy się ucieszył, że nie będzie musiał samotnie stawić czoła hordom w czerwonych mundurach.

- W takim razie ruszamy.

Za polami, ciągnącymi się ku ruinom zamku As-keaton, toczyła się bitwa. Chłopcy, kryjąc się w wysokim zbożu, dobiegli do miedzy.

Setki... nie, tysiące żołnierzy w czerwonych kubrakach górowały liczebnie nad przeredzonymi szeregami obdartych Irlandczyków.

Anglicy byli uzbrojeni po zęby - mieli muszkiety i szable. Większość Irlandczyków dysponowała jedynie pikami. Devlin patrzył ze zgrozą na masakrę swoich rodaków - ścinanych nie pojedynczo, ale całymi falami, po kilku naraz. Serce podeszło mu do gardła, poczuł mdłości.

Był zaledwie dziesięciolatkiem, ale zdawał sobie sprawę, że to krwawa jatka.

- Ojciec... - wyszeptał Sean.

Devlin drgnął i powędrował za spojrzeniem brata. Ujrzał ojca na siwym koniu, wywijającego dziko kordem. Gerald machnął raz i ściął odzianego na czerwono żołnierza, machnął drugi - i zginął kolejny.

- Naprzód! - krzyknął Devlin. Wskoczył ze zboża z uniesionym mieczem i pognał w stronę pola bitewnego.

Brytyjski żołnierz mierzył z muszkietu do uzbrojonego w pikę i nóż wieśniaka. Wokół się toczyła zażarta walka. Wszędzie było mnóstwo krwi, w powietrzu unosił się odór śmierci. Devlin zamachnął się mieczem na mierzącego z muszkietu żołnierza. Ku jego zdumieniu, ostrze bez trudu zanurzyło się w ciało.

Devlin zastygł przerażony, a tymczasem wieśniak szybko dobił Anglika.

- Dzięki, synku! - krzyknął, odrzucając martwe ciało.

W tej samej chwili rozległ się wystrzał. Wieśniak wybałuszył oczy ze zdumienia, a na jego piersi wykwitła jaskrawa plama krwi.

- Dev! - ostrzegająco wykrzyknął Sean.

Devlin odwrócił się gwałtownie i ujrzał wymierzoną w siebie lufę muszkietu. Odruchowo uniósł miecz. Zapewne czekała go śmierć, bo jego broń nie mogła się równać z muszkietem. I wtedy Sean trzasnął żołnierza w kolana od tyłu kolbą strzelby, zapewne zabranej jakiemuś poległemu. Mężczyzna stracił równowagę i nie zdołał wycelować w Devlina. Sean uderzył go raz jeszcze, tym razem w głowę, i żołnierz padł na ziemię zemdlony.

Devlin, wciąż mając w oczach młodego Anglika, którego ugodził mieczem, spojrzął szybko na brata.

- Musimy przedostać się do ojca - zdecydował. Sean skinął głową, bliski łez.

Devlin zaczął szukać w chaotycznej masie ludzkiej mężczyzny na siwym koniu, ale nie zdołał go wypatrzeć. Zdał sobie sprawę, że zaciętość walki znacznie słabnie.

Z szeroko rozwartymi oczami rozglądał się dokoła: ujrzał setki mężczyzn w beżowych i brązowych kubrakach, leżących bez życia na poboju. Między nimi, równie nieruchomo, leżeli żołnierze w czerwonych mundurach i kilka koni. Z różnych stron dochodziły jęki lub ciche wołania o pomoc.

Jakiś Anglik głośno wydawał rozkazy podkomendnym.

Devlin raz jeszcze potoczył wokół wzrokiem. Pobojowisko z jednej strony dochodziło aż do rzeki, z drugiej - do ich dworu.

Żołnierze angielscy formowali szyk.

- Biegiem! - zarządził Devlin.

Bracia popędzili skrajem pola, pomiędzy zabitymi. Sean potknął się o zakrwawione zwłoki, Devlin dźwignął go za kołnierz i pociągnął za sobą. Dysząc, ponownie przykucnęli na krawędzi zbocza i wówczas zobaczyli, że bitwa rzeczywiście dobiegła końca.

Wokół leżało nieprawdopodobnie wielu zabitych.

Sean przywarł do brata.

Devlin objął go ramieniem, ale wciąż bacznie wpatrywał się w niedawne pole walki. Za łąką, po prawej stronie, widniał dom z podwórcem usłanym trupami. Devlin spojrzął w lewo i zmartwił: w niewielkiej odległości zobaczył szarego wierzchowca ojca.

Konia trzymał za uzdę jakiś żołnierz w czerwonym mundurze, ale nikogo nie było w siodle. Chwilę później pojawiło się kilku kolejnych żołnierzy, pchających przed sobą Geralda. Ojciec miał skrępowane powrozem ręce.

- Tata - wyszeptał Sean.

W Devlinie nieśmiało obudziła się nadzieja.

- Gerald O'Neill, jak sądzę? - rozległ się kpiący głos angielskiego dowódcy, siedzącego na wysokim koniu.

- Z kim mam honor? - zapytał Gerald równie kpiąco.

- Harold Hughes, kapitan jazdy i wierny poddany miłościwie nam panującego króla. - Oficer uśmiechnął się krzywo. Miał

przystojną twarz, kruczoczarne włosy i zimne, niebieskie oczy. - Czy słyszałeś już najnowsze wieści, O'Neill? Rebelianci zostali roztarci w proch. Generał Lake zdobył twoją kwaterę główną w Vinegar Hill, zostawiając za sobą piętnaście tysięcy trupów. Ty i twoi ludzie ponieśliście klęskę.

- Niech diabli porwą Lake'a, a z nim razem Cornwallisa. - Gerald splunął na wspomnienie tego drugiego, wicekróla Irlandii. - Będziemy walczyć do ostatka, Hughes. Albo wszyscy zginieemy, albo odzyskamy nasz kraj i wolność.

Devlin wolałby, żeby ojciec nie rozmawiał tak hardo z angielskim kapitanem, ale Hughes tylko wzruszył ramionami.

- Spalić to gniazdo węży - zarządził lekkim tonem, jakby mówił o pogodzie.

Sean wykrzyknął przerażony. Devlin zamarł z trwogi.

- Panie kapitanie? - odezwał się niepewnie młodszy oficer. - Mamy wszystko puścić z dymem?

Hughes z uśmiechem spojrział na Geralda, teraz bladego niczym widmo.

- Wszystko, Smith. Pola, pastwiska, stodołę i zagrodę oraz cały żywy inwentarz. No i ten przeklęty dwór.

Porucznik szybko wydał stosowne rozkazy. Devlin i Sean wymienili pełne zgrozy spojrzenia. Ich matka i Meg pozostały we dworze! Nie mieli pojęcia, co robić. Devlin z trudem się hamował, by z wraskiem nie rzucić się na Anglików.

- Hughes! - Gerald zwrócił się do kapitana władcym tonem. -
W środku są moje dzieci i żona.

- Doprawdy? - Na kapitanie te słowa nie wywarły najmniejszego
wrażenia. - Może ich śmierć sprawi, że inni dwa razy się zastanowią,
zanim dopuszczą się zdrady stanu. - Spalić wszystko! - powtórzył
rozkaz. Absolutnie wszystko!

Gerald rzucił się w stronę siedzącego na koniu kapitana, ale
powstrzymało go kilka par rąk. Devlin zaś dłużej się nie zastanawiał,
ruszył biegiem. Jednak stanął jak wryty - w otwartych drzwiach domu
pojawiała się jego matka, Mary, z małą Meg w ramionach. Poczł
wielką ulgę. Chwycił za rękę Seana i po raz pierwszy głębiej
odetchnął.

Wyraz twarzy kapitana całkiem się zmienił. Anglik z
zainteresowaniem spoglądał na stojącą w progu kobietę.

- Twoja żona, jak mniemam?

Gerald zaczął wyrywać się trzem trzymającym go mężczyznom.

- Ty sukinsynu, tylko ją tknij, a cię zabiję. Zabiję jak psa.

Przysięgam.

Hughes uśmiechnął się pod nosem, nie odrywając oczu od Mary,
jak gdyby w ogóle nie dosłyszał Geralda.

- Cóż za ciekawy rozwój wypadków - rzekł. - Sprowadźcie tę
kobietę do mojej kwatery.

- Tak jest, sir. - Porucznik Smith zatoczył koniem i ruszył ku
dworowi.

- Hughes, jeśli choć włos spadnie z głowy mojej żony, urżnę ci jaja - warknął Gerald.

- I kto to mówi? Człowiek, któremu pisany stryczek... albo i coś gorszego.

Kapitan powoli wyciągnął szablę z pochwy, zamachnął się i z beznamiętnym wyrazem twarzy ściął głowę Geraldowi.

Kompletnie zaszokowany Devlin patrzył, jak ciało ojca osuwa się na ziemię, a głowa - z szarymi, wciąż przepelnionymi wściekłością oczami - toczy się jeszcze przez moment w kałuży krwi.

Z niedowierzaniem zwrócił się w stronę matki i zobaczył, że śmiertelnie blada, zemdlna, pada przed progiem. Meg, nadal leżąca przy Mary, zanosła się głośnym płaczem.

- Zabrać kobietę do mojej kwatery i spalić ten przeklęty dom - powtórzył po raz kolejny Hughes. Dźgnął konia ostrogami i pogalopował przed siebie.

Kiedy dwóch żołnierzy ruszyło w stronę domu - nieprzytomnej Mary i wrzeszczącej Meg - do Devlina wreszcie dotarło z całą mocą, że oto był świadkiem brutalnego mordu popełnionego na jego ojcu.

Ojciec nie żył. Został bestialsko zgładzony. Z zimną krwią. Przez przeklętego angielskiego kapitana o nazwisku Hughes.

Zardzewiały miecz Devlina został gdzieś na poboju. Teraz miał przy sobie tylko ten głupi, mały sztylet. Niespodziewanie usłyszał niosący się echem wysoki, rozdzierający krzyk, przepelniony bólem i wściekłością. Po chwili ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że ów krzyk wyrwał się z jego własnego gardła. Popędził na oślep przed

siebie, zdecydowany zabić każdego Anglika, którego napotka na drodze.

Żołnierz w czerwonym mundurze spojrział ze zdumieniem na chłopca, szarżującego z uniesionym sztyletem.

Silne uderzenie w tył głowy zważyło Devlina z nóg i po momencie przeszywającego bólu zapadł w przynoszącą wielką ulgę, gęstą ciemność.

Devlin dochodził do siebie powoli. Coraz wyraźniej odczuwał ból głowy, chłód i wilgoć oraz nieokreślony lęk.

- Dev? - dosłyszał szept Seana. - Budzisz się? Zdał sobie sprawę, że otaczają go wężle ramiona młodszego brata, a powietrze wypełnia dziwny, ostro-gorzki zapach. Zastanawiał się, gdzie jest i co się dzieje, i wówczas ujrzał przed oczami obraz spętanego ojca przytrzymywanego przez angielskich żołnierzy oraz kapitana, wznoszącego szablę i odcinającego ojcu głowę.

Wspomnienie tego, co się stało, dodało mu sił, dzięki czemu zdołał podnieść się na kolana. Sean wciąż mocno obejmował go ramionami. Znajdowali się w zagajniku mokrym od deszczu, który musiał siąpić już od dłuższego czasu, wychładzając znacznie powietrze. Devlina ogarnęły mdłości. Dławił się jednak bezskutecznie, nie mogąc nic z siebie wykrztusić.

W końcu oprzytomniał i spojrział uważnie na brata. Sean rozpałił niewielkie ognisko, lecz wystarczające, by rozproszyć mrok, ale zbyt małe, żeby dostarczyć ciepła.

- Co z mamą? Co z Meg? - zachrypiał Devlin.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest mama - odparł Sean z twarzą ściągniętą strachem. - Żołnierze ją zabrali, zanim odzyskała świadomość. Chciałem biec po Meg, ale kiedy wpadłeś w szal i ten Anglik ściał cię z nóg, musiałem się tobą zająć. Zaciągnąć w bezpieczne miejsce. Po chwili wzniecili pożar. - Oczy Seana napełniły się łzami. - Wszystko szczyło w ogniu - wyszeptał. - Wszystko.

Devlin wpatrywał się w brata z niedowierzaniem i przerażeniem, szybko jednak wróciła mu jasność myśli. Teraz na niego spadała odpowiedzialność za rodzinę. Nie mógł pograć się w rozpacz, musiał działać.

- Przestań mazać się jak dzieciak - nakazał ostro bratu. - Trzeba odbić z niewoli mamę i odnaleźć Meg.

Sean powstrzymał szloch i z wolna pokiwał głową. Devlin tymczasem poderwał się na nogi. Nie zawracając sobie głowy otrzeptaniem z igliwia spodni, chwycił brata z rękę i pociągnął na skraj polany.

Nawet w bladej poświacie księżycy otaczająca ich dwór okolica zachwycała soczystością łąk i bogactwem łąnów zbóż. W tej chwili przed chłopcami rozciągała się spopielona, pusta równina, a w miejscu dworu straszyla wypalona skorupa kamiennych ścian i dwa kikuty kominów. Teraz stało się jasne, czym był ten ostro-gorzki zapach przesycający powietrze: odorem dymu i spalenizny.

- Tej zimy przyjdzie nam głodować - szepnął Sean.

- Czy wycofali się do fortu w Kilmallock? - spytał Devlin, ignorując słowa brata. W jego sercu determinacja wyparła przyprawiający o mdłości strach.

Sean skinął głową.

- Dev? Czy uda nam się uwolnić mamę? Po ich stronie są tysiące ludzi... a my... my jesteśmy tylko dwoma chłopcami...

Takie same wątpliwości nękały Devlina, nie zamierzał jednak okazać słabości.

- Jakoś nam się uda. Obiecuję ci. Tak czy inaczej, ocalimy mamę.

Dobiegało południe, gdy znaleźli się na skraju wzgórza, z którego rozciągał się widok na brytyjski fort w Kilmallock, otoczony drewnianą, gęstą palisadą, obsadzony liczną angielską załogą rozlokowaną w białych, wielkich namiotach. Devlin wbił wzrok w kwaterę dowódcy, zlokalizowaną pośrodku obozu i oznakowaną flagami. Zaczął się zastanawiać, jak razem z bratem mogliby dostać się za umocnienia. Gdyby był dorosłym, potężnym mężczyzną, skrzyłby kark stojącemu na warcie żołnierzowi. A może uda im się z Seanem wjechać do środka wraz z konwojem prowiantowym czy wbiec za grupą żołnierzy, udając dzieci zauroczone mundurem?

Myślisz, że z mamą wszystko w porządku? - wyszeptał Sean, od chwili śmierci ojca blady jak płótno. Miał wargi pogryzione do krwi i przerażenie w oczach. Devlin się martwił, czy brat nie zapadnie na zdrowiu. Otoczył go ramieniem.

- Uratujemy ją i wszystko znów będzie dobrze -zapewnił.

Wiedział jednak w głębi zbolełego serca, że to jedno wielkie kłamstwo, bo już nic nigdy nie będzie takie jak kiedyś.

Przede wszystkim, co spotkało maleńką Meg? Czyżby poniosła straszną śmierć w płomieniach?

Devlin zacisnął powieki i niespodziewanie ogarnął go spokój. Po raz pierwszy zaczął głęboko oddychać. Wewnętrzne rozedrganie cichło, a w jego umyśle zaczęło się rodzić coś mrocznego, ponurego i nieustępliwego, strasznego i niedającego się odegnąć.

Sean natomiast zalał się łzami.

- A co, jeśli on skrzywdził mamę? Jeśli jej zrobił... jeśli zrobił to, co zrobił tacie?

Devlin zdawał się nie słyszeć brata. Wpatrywał się w fort, świadomy potężnej zmiany, jaka nagle w nim nastąpiła. Dziesięcioletni chłopiec odszedł na zawsze. W jego miejsce pojawił się mężczyzna - zimny, zdecydowany, ogarnięty straszliwym gniewem.

Strach zniknął. Devlin już nie bał się angielskich żołnierzy. Nie lękał się śmierci. Wiedział też doskonale, co musi zrobić - choćby zajęło mu to całe lata.

Odwrócił się w stronę Seana, patrzącego na niego szeroko rozwartymi, pełnymi łez oczami.

- Nie skrzywdził mamy - oznajmił tonem tak stanowczym, jakim zazwyczaj przemawiał ojciec.

Zaskoczony Sean pokiwał głową.

- Idziemy - zarządził Devlin.

Zsunęli się w dół zbocza i ukryli za wielkim, leżącym przy drodze głazem. Po mniej więcej godzinie na horyzoncie pojawiły się cztery wozy prowiantowe w obstawie tuzina konnych żołnierzy.

- Udawaj, że cieszymy się na ich widok - szepnął Devlin.

Wiele razy widział, jak wieśniacy machali radośnie i wiwatowali na cześć angielskich oddziałów, a Anglicy, głupki, brali to za dobrą monetę, nie wiedząc, że za ich plecami wiwaty zmieniają się w kpiny i obelgi.

Chłopcy wyszli na drogę zalaną ciepłym blaskiem słońca i z uśmiechem zaczęli machać do zbliżających się żołnierzy. Niektórzy odpowiedzieli im tym samym, jeden rzucił w ich stronę kawał chleba. Jak wozy przejeżdżały obok, chłopcy nadal wymachiwali rękami z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Po chwili Devlin szturchnął brata pod żebro i puścił się biegiem za ostatnim wozem. Wskoczył do środka i wciągnął za sobą Seana. Od razu dali nura pod worki z żywnością i skulili się, Ignąc do siebie.

Devlin odczuwał drobną, zajadłą satysfakcję.

- I co teraz? - wyszeptał cicho Sean.

- Będziemy czekać - odparł Devlin pewny, że wszystko potoczy się po jego myśli.

Kiedy wóz znalazł się za główną bramą fortu, Devlin wychylił się nieznacznie spod worków i rozejrzał dookoła. Nikt nie interesował się konwojem. Szturchnął więc Seana i obaj szybko zeskoczyli na ziemię.

Pięć minut później czaili się już niedaleko namiotu dowódcy, za dwoma antałami z wodą, osłonięci przed ludzkim wzrokiem i, przynajmniej na razie, bezpieczni.

- Co dalej? - spytał Sean, ocierając ramieniem pot z czoła.

Nadal utrzymywała się przyjemna, słoneczna pogoda, choć na horyzoncie zaczęły majaczyć ciemne chmury, grożące deszczem.

- Szz... - uciszył brata Devlin, zastanawiając się, jak uwolnić mamę. Sprawa zdawała się beznadziejna, ale jak jest wola, to zawsze znajdzie się sposób. Nie po to dotarł aż tutaj, do centrum obozu wroga, żeby pozostawić mamę w szponach kapitana Hughesa. Ojciec by chciał, żeby Devlin ją uwolnił, a Devlin nie mógł ponownie go zawieść.

Wraz z tą myślą powróciły makabryczne wspomnienia: głowa ojca, tocząca się po ziemi, oczy szeroko rozwarte, wciąż pełne gniewu, choć już pozbawione życia.

Te obrazy osłabiły jego pewność siebie, ale umocniły determinację.

Do miejsca, w którym siedzieli, dobiegły głośnie krzyki i tętent koni. Sean i Devlin, przesuając się na czworakach, wyjrżeli nieznacznie zza beczek. Hughes stał przed namiotem, z bardzo zadowoloną z siebie miną i z kieliszkiem brandy w dłoni. Najwyraźniej jego też zainteresował nagły rejwach.

Devlin powędrował wzrokiem za spojrzeniem kapitana i zaniemówił z wrażenia. W stronę głównej, otwartej bramy fortu, tej samej, którą wjechali tu wraz z Seanem na wozie, galopowała grupa

mężczyzn ze sztandarem w kolorze kobaltu, srebra i czerni. Były to znajome barwy i Sean, trzymający się za plecami Devlina, aż sapnął z wrażenia.

- To hrabia Adare - wyszeptał z podnieceniem. Devlin szybko dłonią zatkał bratu usta.

- Na pewno przybył z pomocą. Bądź cicho.

- Niech piekło pochłonie przeklętych mieszkańców tego kraju, nawet jeżeli wywodzą się z Anglii - powiedział Hughes do jednego ze swoich oficerów. - To hrabia Adare. - Cisnął kieliszkiem o ziemię, wyraźnie zirytowany.

- Czy mamy zamknąć bramę, sir?

- Niestety, Adare jest w zażyłych stosunkach z lordem Castlereagh i zasiada w Radzie Królewskiej. Ostatnio na oficjalną kolację zaprosił go ponoć sam Cornwallis. Jeżeli zamknę przed nim bramę, będę musiał za to cholernie słono zapłacić. - Hughes skrzywił się z wściekłością, a na szyi, tuż nad czarno-złotym kołnierzem czerwonego munduru, wystąpiły mu szkarłatne plamy.

Devlina z trudem panował nad podnieceniem. Edward de Warenne, hrabia Adare, był ich suzerenem. Choć Gerald jedynie dzierżawił od niego swoje dawne rodzinne włości, obu mężczyzn łączyły przyjacielskie stosunki. Często udawali się wspólnie na bale i kolacje, razem polowali na lisy i uprawiali konne gonitwy przełajowe. Adare wielokrotnie jadał we dworze w Askeaton. Zawsze uczciwie rozliczał się z O'Neillami, nigdy ich nie uciskał, nie podnosił renty dzierżawnej.

Devlin zdał sobie sprawę, że ściska rękę brata. Z zafascynowaniem patrzył, jak hrabia i jego ludzie zbliżają się do namiotu dowódcy cały czas w pełnym galopie, tak że angielscy żołnierze musieli pierzchać przednimi na boki. Jeźdźcy zatrzymali się gwałtownie przed Hughesem i jego oficerami. Natychmiast oddział Anglików zbrojnych w muszkiety otoczył konną grupę.

Hrabia mimo to natarł czarnym wierzchowcem do przodu. Przedstawiał sobą wspaniały widok - był wysoki, ciemnowłosy, emanujący potęgą i władzą. Teraz jednak jego twarz zastygła w maskę wściekłości.

- Gdzie jest Mary O'Neill? - zapytał ostro.

Hughes uśmiechnął się nieznacznie.

- A więc już usłyszałaś o przedwczesnym zgonie O'Neilla?

Przedwczesnym zgonie? - Adare zeskoczył z konia i podszedł do kapitana. - To było brutalne morderstwo. Zamordowałeś jednego z moich dzierżawców, Hughes.

- Czyżbyś nagle stał się papistą? O'Neillowi była pisana szubienica, Adare, doskonale o tym wiesz.

Hrabia, pociemniały na twarzy z furii, wycodził przez zęby:

- Ty sukinsynu. Zawsze istniała możliwość wygnania i otrzymania królewskiego przebaczenia. Poruszyłbym niebo i ziemię, żeby tak właśnie się stało, ty arogancka kanalio. - Dłonią bezwiednie sięgnął do broni.

Hughes od niechcienia wzruszył ramionami.

- Jak mówiłem, O'Neill był papistą i jakobinem. To niebezpieczne czasy, przyjacielu. Nawet lord Castle-reagh nie chciałby, żeby jego nazwisko łączono z jakobinami.

- Chcę jego żony. Gdzie ona jest?

Hughes się zawahał. Zacisnął usta; na jego szyi i twarzy pojawiły się kolejne szkarłatne plamy.

- Nie zmuszaj mnie, bym zrobił to, na co w tej chwili mam największą ochotę: udusił cię własnymi rękami - powiedział zimnym głosem Adare.

- Dobrze. Żadna irlandzka suka mnie nie podnieca. Poza tym są tak tanie, że mogę je mieć na pęczki za grosze.

Devlin aż się zatoczył, słysząc te uwłaczające matce słowa. Najchętniej natarłby na Hughesa i go zabił, ale nie musiał tego robić. Hrabia doskoczył do kapitana, prawie zderzając się z nim piersią.

- Błędem jest niedocenywanie potęgi Adare'a. Powstrzymaj więc obelgi, bo jeszcze słowo, a będziesz dowodził oddziałem piechoty na mroźnych krańcach Kanady. Piętnastego jem kolację z Cornwallisem i z przyjemnością powiadomię go o pewnych bardzo nieprzyjemnych faktach. Czy dobrze się rozumiemy, kapitanie?

Hughes aż dławił się z wściekłości ; był ciemnopurpurowy.

Adare minął go bez słowa i wszedł do namiotu.

Devlin wymienił spojrzenia z Seanem, po czym wyskoczyli zza beczek, przebiegli obok Hughesa i wpadli za hrabią do środka namiotu. Natychmiast ujrzeli matkę, siedzącą na niewielkim krześle. Widać było, że niedawno płakała.

- Mary! - wykrzyknął Adare. - Czy nic ci się nie stało?

Pani O'Neill wstała. Jej jasne loki rozsypały się w nieładzie. Szeroko rozwartymi, błękitnymi oczami spojrzała na hrabiego.

- Wiedziałam, że przyjedziesz - powiedziała łamiącym się głosem.

Adare chwycił ją za ramiona i obrzucił uważnym spojrzeniem.

- Czy zostałam skrzywdzona? - spytał miękko.

- Nie w takim sensie, jaki masz na myśli, milordzie. - Z trudem hamowała płacz. - On zamordował Geralda. Zamordował go na moich oczach.

- Wiem - odparł ze smutkiem Adare. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo mi przykro.

Mary umknęła wzrokiem, tłumiąc łzy.

- Gdzie Meg? I gdzie chłopcy?

Tym razem łzy potoczyły się po jej policzkach.

- Nie wiem, co się stało z Meg. Trzymałam ją w ramionach, kiedy zemdlałam i... i... - Nie była w stanie dokończyć.

- Znajdziemy ją.

Mary skinęła głową, wbrew rozsądkowi łudząc się nadzieją. I wówczas ujrzała stojących przy wejściu do namiotu synów, nieruchomych jak posągi, wbijających wzrok w nią i potężnego hrabiego.

- Devlin! Sean! Bogu dzięki, jesteście cali i zdrowi! - Podbiegła do chłopców i chwyciła ich w ramiona.

Devlin zamknął oczy. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że odnalazł matkę i że jest ona bezpieczna, ponieważ otoczył ją opieką potężny, możny hrabia.

- Nic nam nie jest, mamó - powiedział cicho i wysunął się z matczynych objęć.

Adare do nich dołączył, opiekuńczo otaczając Mary ramieniem. Uważnym spojrzeniem obrzucił obu chłopców. Devlin miał ochotę się zbuntować, chociaż wiedział, jak desperacko potrzebują pomocy hrabiego. Tyle że ciało okrutnie zamordowanego ojca jeszcze na dobre nie ostygło, a Devlin rozeznał się w zamiarach Adare'a.

- Devlin, Sean, posłuchajcie mnie uważnie. Pojedziecie ze mną do Adare. Gdy tylko wyjdziemy z namiotu, wskoczcie szybko na konie, za plecy moich ludzi. Zrozumiano?

Devlin skinął głową, ale wciąż uważnie śledził wzrokiem matkę i hrabiego. Już dawno temu zauważył, w jaki sposób Adare spogląda na Mary, choć faktem też było, że wielu mężczyzn otwarcie podziwiała niezwykłą urodę matki. Przed śmiercią ojca Devlin się łudził, że hrabia jest tylko jednym z owych mężczyzn. Teraz jednak musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Hrabia był wdowcem i od dawna skrycie kochał Mary. Devlin nie miał co do tego wątpliwości. Czuł wdzięczność, że potężny arystokrata wziął ich w opiekę, ale jednocześnie zdjęła go złość. Ojciec jeszcze nawet nie został pogrzebany...

- Devlin! - rzucił ostro Adare. - Ruszamy! Posłusznie zareagował. Razem z Seanem postępowali krok w krok za hrabią i matką.

Słońce stało w zenicie. Dzień był ciepły i pełen blasku, a w formie panowała nieprawdopodobna cisza. Angielscy żołnierze w kilku rzędach otaczali dwudziestokiluosobowy konny oddział zbrojnych gwardzistów hrabiego. Zapewne Hughes mógłby doprowadzić tego dnia do kolejnej masakry, gdyby miał ochotę.

Devlin zerknął na Adare'a. Jeżeli odczuwał lęk, w żaden sposób tego nie okazał. Szacunek chłopca dla tego mężczyzny natychmiast wzrósł. Hrabia pod wieloma względami przypominał ojca, był również bardzo odważny. Więc i on, Devlin, musi im dorównać dzielnością.

Adare pewnym krokiem pokonał dystans dzielący go od oddziału. Uniósł Mary i posadził na swoim koniu, co Hughes obserwował z zaciętą, nienawistną twarzą. Devlin pchnął Seana w stronę jednego z ludzi hrabiego, który wciągnął chłopca na koń, za siebie. Sam Devlin wskoczył na koński grzbiet za plecami innego ze zbrojnych.

Adare także już siedział w siodle, trzymając przed sobą Mary. Obrzucił wzrokiem szeregi angielskich żołnierzy, po czym groźnie spojrzał na kapitana.

- Wtargnąłeś na moje terytorium - rzucił zimno. - Nie rób tego nigdy więcej.

Hughes uśmiechnął się ponuro.

- Nie wiedziałem, że łączą cię z tą damą... intymne więzi.

- Nie wypaczaj sensu moich słów, kapitanie. Zamordowałeś mi dzierżawcę, spaliłeś moją ziemię, a to afront dla mnie i mojego rodu. A teraz usuń swoje wojsko z drogi.

Devlin spoglądał to na Hughesa, to na hrabiego. Czuł, że między łopatkami spływają mu strużki potu. Przez chwilę w forcie znów panowała tak niesamowita cisza, że gdyby choć listek się poruszył, wszyscy by usłyszeli.

Przełamał ją Hughes.

- Rozstąpić się! - warknął.

Adare uniósł dłoń, dając swoim ludziom znak do wymarszu, i wyprowadził konny oddział z fortu. Devlin kurczowo trzymał się zbrojnego pacholka, za plecami którego siedział, jednak zanim wyjechali za bramę, odwrócił się jeszcze za siebie. Spojrzał prosto w zimne, niebieskie oczy kapitana.

Poczuł, że coś zaczyna tlić się w jego duszy, emanuje wielkimi, mrocznymi falami, przesącza się do krwi i zaczyna go trawić. Jak gorączka. Jak gorzka trucizna. Pewnego dnia dokona zemsty. Gdy nadejdzie właściwy czas. Kapitan Harold Hughes będzie musiał drogo zapłacić za mord dokonany na Geraldzie O'Neill.

Część pierwsza

Zakładniczka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

5 kwietnia 1812 roku, Richmond, stan Wirginia

- Ona nie ma pojęcia o tańcu - rzuciła drwiąco jedna z młodych dam.

Wirginia Hughes czuła, jak palą ją policzki. W sali balowej, stało rzędem kilkanaście dziewcząt, a balet-mistrz tłumaczył jej cierpliwie zawilosci *sissonne ballotte*, jednej z figur kadryla. Wirginia nie była w stanie jej opanować, co więcej, ani trochę jej na tym nie zależało. Taniec ją nudził, uważała, że to strata czasu. Marzyła tylko o jednym: żeby jak najszybciej wrócić do domu, do „Słodkiego Derenia”.

- W tańcu nie wolno zapominać o uprzejmej konwersacji, panno Hughes. Nawet w trakcie najtrudniejszych kroków i figur. W innym wypadku może pani zostać uznana za osobę pozbawioną manier - pouczał smukły, ciemnowłosy baletmistrz rodem z Italii.

Wirginia go nie słuchała. Zamknęła oczy i w wyobraźni przeniosła się do zupełnie innego miejsca oddalonego o lata świetlne od wrogich murów Marmott, pensji dla dobrze urodzonych panien.

Wciągnęła głęboko powietrze i wydało jej się, że czuje zapach kapryfolium, a w jego tle silniejszy, jeszcze bogatszy aromat czarnoziemiu, gotowego do zasiewu po wiosennym wypalaniu. Pod powiekami miała obraz ciemnych pól, ciągnących się aż po horyzont, szeregi ubranych na biało niewolników, szykujących glebę pod uprawę, a na pierwszym planie - trawnik, ogród różany oraz stare dęby i wiązy, okalające piękny, ceglany dom wzniesiony przez ojca. „Podobna rezydencja mogłaby powstać w Anglii w ubiegłym stuleciu” - mawiał z dumą. „Każdy to widzi na pierwszy rzut oka”.

Wirginia tęskniła do „Słodkiego Derenia”, ale nawet w połowie nie tak dojmująco jak za rodzicami. Zalała ją fala smutku. Otworzyła gwałtownie oczy i zorientowała się, że nadal tkwi w przeklętej sali balowej pensji, do której została wysłana wbrew własnej woli, a obok niej stoi zde gustowany baletmistrz i z ponurą twarzą wspiera się pod boki.

- Czemu ona tak wywraca oczami? - wyszeptała któraś z dziewcząt.

- Bo ryczy, ot co - rozległ się dumny, pełen wyższości głos.

Wirginia od razu go rozpoznała. Należał do blond piękności, Sary Lewis, która - według własnego mniemania - była najbardziej pożądaną przez kawalerów debiutantką w Richmond. A raczej miała nią zostać pod koniec roku, podczas wielkiego dorocznego balu, na którym młode, dobrze urodzone panny były po raz pierwszy oficjalnie prezentowane śmietance towarzyskiej miasta.

Rozjuszona Wirginia zdecydowanym krokiem podeszła do Sary. Była niska, bardzo szczupła, o drobnej, lekko trójkątnej twarzy z delikatnymi, wysokimi kośćmi policzkowymi. Miała błyszczące fiołkowe oczy i niezwykle gęste, sięgające pasa włosy, które - gdy je upinała - zdawały się przytłaczać jej kruchą postać swoim ciężarem. Sara była od Wirginii o dobre trzy cale wyższa i kilka ładnych funtów cięższa. Wirginia jednak na to nie zważała.

W pierwszą bójkę wdała się w wieku sześciu lat, a kiedy tato przerwał potyczkę, powiedział jej, że walczy jak baba. Ku przerażeniu mamy, od razu nauczył córkę, jak wyprowadzać solidny, „męski” cios. Wirginia nie tylko umiała porządnie się boksować, ale także doskonale posługiwała się bronią palną - bez trudu odstrzeliwała szyjkę butelki z ponad piętnastu jardów.

Teraz wojowniczo stanęła przed Sarą i wspinając się na palce, by być z nią oko w oko, wykrzyknęła:

- Taniec jest dla takich kretynek jak ty! Powinnaś się nazywać Sara Płasająca Idiotka!

Sara w pierwszej chwili oniemiała. Postąpiła krok w tył z wybałuszonymi oczami i zaczerwieniła się z wściekłości.

- Signor Rossini! - wrzasnęła, gdy już wróciła jej mowa. - Czy słyszał pan, jak mnie nazwała ta wsiowa prostaczka?

Wirginia dumnie uniosła głowę.

- Ta wsiowa prostaczka jest właścicielką plantacji -oznajmiła. - Całych pięciu tysięcy akrów. A jak matematyka wskazuje, a na

rachunkach znam się wyjątkowo dobrze, wielokrotnie przewyższa cię bogactwem, Płasająca Idiotko.

- Zazdrościsz mi - wysyczała Sara - bo jesteś chuda i brzydka, a do tego nikt cię nie chce... Dlatego znalazłaś się na naszej pensji.

Wirginia poczuła, jak coś w niej pęka - gwałtownie, boleśnie. Sara uderzyła celnie, powiedziała prawdę. Nikt jej nie chciał, była sama jak palec. I bardzo przez to cierpiała!

Sara zauważyła, że jej strzała dosięgła celu, i uśmiechnęła się jadownicie.

- Wszyscy wiedzą, że będziesz tu musiała tkwić aż do osiągnięcia pełnoletności ! To jeszcze trzy lata, panno Hughes. Będziesz stara i pomarszczona, zanim ponownie zobaczysz swoją farmę!

- Dość tego - zarządził signor Rossini. - Proszę obie panie, żeby...

Wirginia nie zamierzała tego słuchać. Okręciła się na pięcie i wybiegła z sali balowej, goniona chichotami innych dziewcząt. Jakże ich teraz nienawidziła! Nienawidziła Sary, baletmistrza, całej tej szkoły, a nawet rodziców... Jak mogli zostawić ją samą na świecie? Jak mogli?

W holu usiadła na podłodze i podciągnęła chude kolana do piersi, modląc się, by cierpienie zmalało. Teraz nienawidziła także i Boga za to, że odebrał jej rodziców, nagle i okrutnie, pewnej strasznej, deszczowej nocy zeszłej jesieni.

- Och, papo - wyszeptała, przyciskając twarz do kolan. - Tak bardzo mi was brakuje.

Wiedziała, że nie wolno jej płakać. Wolałaby umrzeć, niż pokazać innym łzy i ból. Ale jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna i zagubiona. Tęskniła do słonecznych dni i odbywanych z ojcem konnych przejażdżek po plantacji, do wieczorów przy kominku, gdy tata oddawał się lekturze, a mama wyszywała na bębenku. Tęskniła do domu pełnego niewolników znanych jej od urodzenia i do dwa lata starszej od niej Tillie, która została jej najlepszą przyjaciółką, mimo że była niewolnicą.

Objęła silniej kolana i kilka razy odetchnęła głęboko. Nie może się mazać i roztkliwiać, musi wziąć się w garść.

Wyprostowała się i powróciła myślami do scysji z Sarą. Co też ona takiego powiedziała? Że Wirginia będzie musiała zostać na pensji aż do czasu osiągnięcia pełnoletności? Ależ to absolutnie niemożliwe! Przecież niedawno skończyła osiemnaście lat, a to oznaczało, że jeszcze przez trzy lata musiałaby tkwić w tym więzieniu.

Zerwała się z podłogi, nie zadając sobie trudu otrzepania z kurzu czarnej, żałobnej sukni. Od tragicznego wypadku powozu, w którym zginęli rodzice, minęło sześć miesięcy i przełożona pensji zasugerowała, żeby Wirginia zrezygnowała z żałoby. Ona jednak zdecydowanie odmówiła. Zamierzała nosić żałobę po rodzicach do końca życia.

Z pewnością ta wiedźma, Sara Lewis, coś poprzekręcała lub zmyśliła.

Wzburzona Wirginia przebiegła przez hol wykładany dębową boazerią. Jej jedynym krewnym był teraz stryj, Harold Hughes, hrabia Eastleigh. Po śmierci rodziców został jej prawnym opiekunem. Przysłał z Anglii kondolencje wraz z instrukcją, nakazującą bratanicy niezwłoczny wyjazd na pensję Marmott. Wirginia niewiele pamiętała z tamtego okresu, bo jej percepcję mąciły rozpacz i ból. Pewnego dnia znalazła się w tych murach, choć nie bardzo umiałaby powiedzieć, jak tu dotarła. Mgliście pamiętała, że rzuciły się sobie z Tillie w ramiona i żegnały ze szlochem. A kiedy opadła najbardziej dojmująca rozpacz, zaczęły pisać do siebie listy. „Słodki Dereń” leżał osiemdziesiąt mil na południe od Richmond i zaledwie parę mil od portowego Norfolk. Z listów przyjaciółki Wirginia się dowiedziała, że hrabia został także kuratorem jej majątku i że zarządził, by plantacja funkcjonowała tak jak za życia brata. Jeżeli Sara mówiła prawdę, to

Tillie z pewnością poinformowałaby ją o okrutnych, bezdusznych rozporządzeniach prawnego opiekuna. Chyba że sama nie miałaby o nich pojęcia.

Ilekcóż Wirginia myślała o swojej przyjaciółce i „Słodkim Dereniu”, ogarniała ją nostalgia. Teraz wprost nie mogła się doczekać, kiedy tam wreszcie powróci. Skończyła właśnie osiemnaście lat. Wiele dziewcząt w jej wieku miało już oficjalnych narzeczonych, a nawet mężów. Przed śmiercią rodzice ani razu nie poruszyli kwestii zamążpójścia Wirginii, za co była im wdzięczna. Mężczyźni nigdy jej nie interesowali. Natomiast od czasu, gdy skończyła pięć lat i Randall Hughes posadził ją przed sobą na koniu, codziennie towarzyszyła ojcu

w pracy. Znała każdy zakątek plantacji, każde drzewo, liść i kwiat. (Tak naprawdę „Słodki Dereń” zajmował jedynie sto akrów, nie pięć tysięcy, jak powiedziała Sarze, ale przecież musiała jej utrzyć nosa). Wiedziała wszystko o uprawie tytoniu, hodowli sadzonek, metodach suszenia liści i o najlepszych domach aukcyjnych. Podobnie jak ojciec, z największą uwagą i nadzieją w sercu śledziła ceny bel tytoniu. Każdego lata razem z ojcem schodzili z koni, wędrowali pieszo po polach, dotykali tytoniowych liści, wdychali ich bogaty aromat i oceniali jakość przyszłych zbiorów.

Wirginia miała także inne obowiązki. Jej matka należała do najlepszych, najserdeczniejszych kobiet na świecie i doskonale znała się na ziołach oraz metodach leczenia różnych przypadłości. I jak nikt troszczyła się o niewolników. U jej boku Wirginia chodziła do cierpiących na gorączki i infekcje Murzynów. Zawsze bez obawy wchodziła do kwater niewolników, nawet jeżeli któryś z nich był poważnie chory. Wirginia nawet nauczyła się bardzo biegle przygotowywać kataplazmy. I chociaż mama nie pozwalała jej asystować przy porodach, Wirginia umiała odbierać źrebięta i wiele nocy spędziła w stajni przy rodzących klaczach. Czemu więc nie mogła teraz mieszkać w „Słodkim Dereniu” i prowadzić plantacji razem z zarządcą, Jamesem MacGregorem? Trzymanie jej w tej szkole nie miało najmniejszego sensu! Urodziła się do tego, by prowadzić plantację. Miała to we krwi.

Wiedziała, że nie jest damą. Nosila spodnie od dnia, gdy zdała sobie sprawę, że istnieją. Zdecydowanie przedkładała je nad sukienki.

Papie to nie przeszkadzało; był dumny z jej otwartego, bezpośredniego sposobu bycia, talentu do konnej jazdy, celnego oka i pewnej ręki. Uważał ją przy tym za wyjątkowo piękną - zawsze nazywał ją swoją „małą, dziką różą” - ale ostatecznie wszyscy ojcowie uważają córki za piękności. Wirginia wiedziała, że nie jest ładna. Była za chuda i miała zbyt bujne włosy. Wcale się tym nie przejmowała. Nie zamierzała zostać damą.

Mama z wyrozumieniem podchodziła do męża i córki. Obaj bracia Wirginii umarli tuż po narodzinach - najpierw Todd, a potem, gdy Wirginia miała sześć lat, maleńki Charles. Wówczas mama przestała krzywić się na noszone przez córkę spodnie, na jej udział w polowaniach, spędzanie całych dni w siodle. Po śmierci Charlesa płakała tygodniami, godzinami modliła się w rodzinnej kaplicy i w końcu odnalazła ukojenie. Znowu się uśmiechała. Znowu emanowało z niej radosne ciepło. Więcej jednak nie zaszła już w ciążę, jakby z papą zawarli cichy pakt.

Wirginia nie rozumiała, jak można marzyć o zostaniu damą. Dama musi się kierować rozlicznymi zasadami, z których większość jest irytująca, a część wręcz opresyjna - niczym ciężkie kajdany. Życie damy przypomina życie niewolnika należącego do okrutnego pana.

Kiedy stanęła przed drzwiami przełożonej, uświadomiła sobie, że mająca nastąpić rozmowa niewiele zmieni, bo ona, Wirginia, już podjęła decyzję. Najszybciej jak to możliwe powróci do domu. W tej sytuacji nie miało większego znaczenia, czy Sara Lewis mówiła prawdę. Na tę myśl od razu poprawił się jej humor. Po raz pierwszy

od śmierci rodziców poczuła przypływ siły i odwagi. Tej samej siły i odwagi, którą nosiła w sobie od dziecka, a która ją opuściła, gdy na progu domu stanął pastor, by oznajmić Wirginii, że nie ma już rodziców.

Zastukała w eleganckie, mahoniowe drzwi.

Pani Towne, pulchna, miła kobieta, skinieniem dłoni zaprosiła Wirginię do środka i spojrzała na nią poważnym wzrokiem. W jej oczach nie błyskały - jak zazwyczaj - wesołe iskierki.

- Panno Hughes, obawiam się, że wcześniej czy później będziesz musiała nauczyć się tańczyć.

Wirginia wykrzywiła usta. Jediną osobą, którą trochę polubiła w szkole, była właśnie przełożona pensji.

- Dlaczego? - spytała wojowniczo.

Na twarzy pani Towne pojawił się przelotnie wyraz zdziwienia.

- Spocznij, moja droga.

Wirginia zajęła fotel i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że siedzi z szeroko rozstawionymi kolanami i niedbale zwiesza ramiona poza poręczę. Szybko się zreflektowała nie dlatego, że zależało jej, by uchodzić za dobrze wychowaną pannę, ale nie chciała antagonizować przełożonej. Złączyła kolana, złożyła na nich dłonie, myśląc, jak wiele by dała, żeby mieć teraz na sobie spodnie i siedzieć na końskim grzbiecie.

Przełożona uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Nie tak trudno zdobyć się na współpracę, moja droga.

- A właśnie, że trudno. - Jedną z cech Wirginii był upór, nad którym zawsze ubolewała mama.

- Damy muszą dobrze tańczyć. Jak w innym razie mogłyby chadzać na bale i przyjęcia?

- Mnie nie interesują przyjęcia ani bale - odparła Wirginia bez wahania. - Prawdę mówiąc, uważam, że nadszedł najwyższy czas, bym wróciła do domu.

Pani Towne ponownie przybrała zdziwioną miną, a Wirginia zapomniała, że powinna się zachowywać, jak na skromną pannę przystało.

- Te wymysły Sary Lewis to chyba wierutne kłamstwa? To niemożliwe, żebym była zmuszona tkwić tu niczym więzień przez następne trzy lata...

Przełożona ściągnęła usta.

- Panna Lewis musiała podsłuchać moją prywatną rozmowę z panią Blakely. Cóż, moja droga, takie właśnie instrukcje przysłał nam twój stryj.

Wirginia zaniemówiła z wrażenia i potrzebowała dłuższej chwili, by zebrać myśli.

Przez jakiś czas się bała, że Eastleigh będzie chciał ją ściągnąć do Anglii, co wcale jej się nie uśmiechało. Szczęśliwie tego jej oszczędził. W najgorszych snach nie przypuszczała jednak, że zamknie ją w tej szkole na kolejne trzy lata. Była tu pół roku i już zdążyła znienawidzić to miejsce. W żadnym razie więc nie podporządkuje się instrukcjom stryja. O nie!

Tymczasem pani Towne podjęła wątek.

- Rozumiem, że trzy lata zdają ci się teraz wiecznością, ale biorąc pod uwagę, jak swobodnie byłeś wychowywana, prawdopodobnie tyle właśnie czasu nam potrzeba, by wpoić ci manieri i umiejętności, bez których nie odniesiesz sukcesu w towarzystwie. Mam też dla ciebie dobre nowiny. Twój stryj życzy sobie, żebyś po osiągnięciu pełnoletności niezwłocznie wyszła za mąż.

Wirginia gwałtownie poderwała się z fotela.

- Co takiego?!

Pani Towne spojrzała na nią wymownie.

- Powinam była przewidzieć, że nie spodoba ci się ta decyzja. Niemniej każda panna z dobrego domu wychodzi za mąż i ty nie możesz być wyjątkiem. Stryj zamierza znaleźć odpowiedniego kandydata do twojej ręki...

- Nie ma mowy! Najpierw wysyła mnie do tej szkoły, potem chce mnie tu zamknąć na trzy lata, by w końcu skazać na kolejne więzienie: małżeństwo z obcym człowiekiem! W żadnym razie!

- Usiądź, proszę.

- O nie. Oświadczam pani, że jeżeli pewnego dnia jednak wyjdę za mąż, to tylko z miłości. Z wielkiej namiętności, jak moi rodzice. - Łzy stanęły jej w oczach, zamazując obraz. Ona nie pójdzie na żadne kompromisy. Pewnego dnia spotka mężczyznę takiego, jakim był jej ojciec. Kogoś, kogo pokocha z wzajemnością.

- Wirginio, siadaj - nakazała pani Towne stanowczym głosem.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową i wówczas przełożona także wstała.

- Wiem, że przeżyłaś tragedię, i wszyscy ci z tego powodu serdecznie współczujemy. Nie masz jednak władzy nad własnym losem, dziecko. Tę władzę ma twój stryj. Jeżeli życzy sobie, byś pozostała tu do czasu pełnoletności, musisz temu się podporządkować. Jestem pewna, że z czasem polubisz swojego przyszłego męża - kimkolwiek on będzie.

Wirginię ogarnęła panika. Ktoś kompletnie jej obcy uzurpował sobie prawo do decydowania o jej życiu. Miała wrażenie, że znalazła się w pułapce - w klatce o grubych żelaznych prętach, którą na dodatek zanurzano w głębinę morza. Tonęła!

- Moja droga, musisz stać się członkiem naszej społeczności. Zaprzestać okazywania wyższości innym przebywającym tu młodym damom. Ani razu nie odniosłaś się do nich przyjaźnie. Od chwili, gdy do nas przybyłaś, trzymasz się od wszystkich z daleka. Do tej pory na to przyzwalaliśmy, by uszanować twoją żalobę. Rozumiem, czemu tak dumnie i wysoko nosisz głowę, moja droga, ale twoje koleżanki... one uważają, że jesteś wyniosła i zarozumiała. Czas, żebyś zrewidowała swoje postępowanie i pozyskała jakieś przyjaciółki, Wirginio. Mam też nadzieję, że zaczniesz wreszcie przykładać się do nauki.

Wirginia objęła się mocno ramionami. Czy naprawdę przebywające tu dziewczęta uważały ją za wyniosłą i zarozumiałą? Nie wierzyła w to ani przez moment. One jej nie znosiły, bo

pochodziła z prowincji i różniła się od nich niemal pod każdym względem.

- Jesteś wyjątkowo błyskotliwa. Mogłabyś być prawdziwą chlubą naszej pensji, gdybyś choć trochę się postarała. - Na ustach pani Towne pojawił się szeroki uśmiech.

Wirginia natomiast poczuła gwałtowne ściskanie w gardle.

- Nie mogę tutaj zostać. One mnie nie lubią, bo jestem inna. Nie fascynują mnie fatalaszki, nie jestem potulna i nie zaczynam słodko ćwierkać na widok każdego przystojnego mężczyzny.

- Z jakichś względów sama zdecydowałaś, że chcesz się od nich różnić. Przecież jesteś piękną, młodą kobietą z dobrego domu, co w gruncie rzeczy czyni cię taką jak one. Musisz zrezygnować z niezależności ducha, a zapewniam cię, że będziesz tutaj bardzo szczęśliwa. - Pani Towne podeszła i chwyciła Wirginię za ramię. - Jestem tego absolutnie pewna. My wszyscy chcemy jedynie, żebyś z sukcesem ukończyła pensję i wyrosła na wspaniałą, młodą damę.

Wirginia zmusiła się do bladego uśmiechu. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Tak czy owak, ona nie pozostanie dłużej w tym miejscu i nie dopuści, żeby stryj wybierał dla niej męża.

Przełożona uśmiechnęła się ciepło.

- Okiełznaj buntowniczą naturę, moja droga, a wówczas spotka cię nagroda od losu.

Wirginia machinalnie skinęła głową. Chwilę później posłuchanie dobiegło końca i mogła wyjść z gabinetu. Gdy tylko rzuciła się na

swoje łóżko w pustym w ciągu dnia dormitorium, zaczęła obmyślać plan ucieczki.

Dwa dni później grzebała się z poranną toaletą. Inne dziewczęta już wychodziły z dormitorium, a ona wciąż jeszcze myła ręce. Przez okna wpadało światło wczesnego poranka. Kątem oka Wirginia patrzyła na ostatnie opuszczające salę koleżanki i pilnującą porządku pannę Fern, stojącą teraz przy drzwiach.

- Panno Hughes? Czy wszystko w porządku? Wirginia uśmiechnęła się słabo.

- Obawiam się, że nie, panno Fern. Kręci mi się w głowie. - Oparła się ciężko o komodę, znajdującą się przy umywalni.

Panna Fern podeszła i dotknęła jej czoła.

- Cóż, nie masz gorączki, ale na wszelki wypadek udaj się niezwłocznie do gabinetu doktora Millsa.

- Ma pani rację. Zdaje się, że bierze mnie grypa. Proszę dać mi moment. - Wirginia usiadła na skraju wąskiego łóżka.

- Naturalnie - zgodziła się panna Fern z uśmiechem, po czym wreszcie wyszła.

Wirginia policzyła w myślach do dziesięciu i poderwała się na równe nogi. Podbiegła do czwartego łóżka i stojącej obok niego komody, po czym zaczęła przetrząsać zawartość jej szuflad. Odezwało się w niej silnie poczucie winy, ale postanowiła je zignorować.

Sara Lewis zawsze miała pieniądze „na szpilki” i wkrótce Wirginia znalazła dwanaście dolarów i trzydzieści pięć centów. Zabrała wszystko, nawet drobniaki, pozostawiając niepodpisaną

notkę, w której wyjaśniała, że wkrótce zwróci całą sumę. To straszne, że musiała zniżyć się do kradzieży, i niemal czuła dezaprobatę matki, patrzącej na nią z nieba.

- Oddam Sarze te pieniądze, mamó. Do ostatniego, przeklętego centa - wyszeptała.

Potrzebowała gotówki na opłacenie gospody i dyliżansu. Choć była dzielna i wytrzymała, nie dałaby rady pokonać na własnych nogach osiemdziesięciu mil dzielących ją od „Słodkiego Derenia”. A nawet jeżeli by się zdecydowała na pieszą wędrówkę, musiałaby zatrzymywać się po drodze na nocleg i przynajmniej od czasu do czasu posilać ciepłą strawą.

Chwilę później sięgnęła pod własne łóżko. W ciepłą pelerynę (pomimo wiosennej pogody wieczory bywały jeszcze zimne), zapakowała kilka najcenniejszych skarbów: kameę mamy, fajkę taty i bransoletkę splecioną z końskiego włosia, którą Tillie zrobiła dla niej na ósme urodziny. Wzięła także dodatkową bluzkę, rękawiczki i kapelusz. Podbiegła do okna i wyrzuciła zawiniątko na zewnątrz.

Potem, z trudem powstrzymując się od biegu, powłokła się korytarzem ze zboląłą miną. Po drodze minęła dwie wychowawczynie. W końcu dotarła do wysoko wysklepionego foyer o marmurowej posadzce i ciemnych, drewnianych kolumnach. W ciągu dnia frontowych drzwi nigdy nie zamykano na klucz, ponieważ żadnej uczennicy przez myśl by nie przeszło, żeby samotnie wyjść na ulicę. Wirginia musiała mieć się teraz na baczności, bo gdyby została

przyłapana, jej wyprawa dobiegłaby końca, zanim na dobre się rozpoczęła.

Z pobliskiego korytarza dobiegł ją odgłos kroków. Czmychnęła za załom i wstrzymała oddech. Teraz usłyszała także głosy, należące do profesora muzyki i profesora francuskiego. Wiedziała, że nauczyciele będą przechodzić przez foyer, ponieważ wszystkie sale wykładowe znajdowały się w korytarzu za jej plecami. Rozejrzała się nerwowo w poszukiwaniu kryjówki. Dostrzegła komórkę, w której woźny trzymał szczotki i kubły, po czym szybko wskoczyła do jej wnętrza.

Dwaj nauczyciele wkrótce minęli schowek.

Wirginia była spocona jak mysz. Uchyliła drzwi i stwierdziła, że korytarz jest pusty. Wymknęła się z komórki i zajrzała do foyer: tam również nikogo nie zauważyła. Odetchnęła głęboko i puściła się biegiem przed siebie. Dopadła do wielkich, ciężkich drzwi i wyskoczyła na dwór. Znalazła się na powietrzu przesyconym wiosennym słońcem i poczuła - dosłownie! - smak wolności na języku. Boże, cóż za wspaniałe uczucie!

Wypadła za bramę z kutego żelaza, pobiegła za róg i znalazła swój tłumok. Pochwyciła go i co sił w nogach puściła się biegiem.

- Bardzo się cieszę, że mogliśmy razem odbyć większość podróży, moja droga. - Pani Cantwell uśmiechnęła się promiennie, ściskając dłonie Wirginii.

Od ucieczki z pensji minęły trzy dni.

Niemal cały pierwszy ranek upłynął jej na różnym marszu. Nie spoczęła, póki nie opuściła tętniącego życiem Richmond. W podmiejskiej gospodzie zjadła obfity lunch, bo po długiej wędrówce była wygłodniała niczym wilk. Tam się natknęła na rodzinę Cantwellów.

Stateczna pani Cantwell, trójka jej dzieci i pulchny mąż w binoklach podróżowali eleganckim, wygodnym powozem. Wirginia usłyszała ich rozmowę, z której wynikało, że w Richmond odwiedzili niedomagających rodziców pana Cantwella, i teraz wracali do domu, do Norfolk. A to oznaczało, że będą przejeżdżać zaledwie kilka mil od „Słodkiego Derenia”.

Wirginia pomogła jednemu z dzieci wytrzeć nos, czym natychmiast zwróciła na siebie uwagę pani Cantwell. Skłamała, mówiąc, że ma więcej lat, niż miała w rzeczywistości i zmieniła stan cywilny, utrzymując, że wraca do męża po odwiedzinach w Richmond u chorej ciotki. Niepostrzeżenie wsunęła na palec prawej ręki ślubną obrączkę mamy, żeby uwiarygodnić opowieść. Gdy tylko pani Cantwell usłyszała, dokąd zmierza Wirginia, natychmiast zaproponowała jej wspólną podróż, wyraźnie spragniona kobiecego towarzystwa i drobnej pomocy przy dzieciach.

Teraz, u kresu drogi, Wirginia prawie nie słuchała pani Cantwell. Dojechali bowiem do rozstajów, gdzie jedno ramie drogowskazu wyciągało się w stronę Norfolk, a drugie w kierunku trzech plantacji: „Ziemiański Zakątek”, „Cztery Kąty” i „Słodki

Dereń". Serce waliło jej jak młotem i bała się, że zemdleje ze szczęścia. Pięć mil stąd znajdował się jej dom. Zaledwie pięć mil...

- Musi ci być bardzo tęskno do męża.

Głos pani Cantwell przywołał Wirginię do rzeczywistości.

Odwróciła się i uściskała dłonie miłej, serdecznej blondynki.

- Bardzo ci dziękuję za podwiezienie, Lilly. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

- Byłaś taka dobra dla dzieci! - wykrzyknęła Lilly Cantwell. - W innych okolicznościach nalegałabym, żeby odwieźć cię do samego domu i przy okazji poznać twojego uroczego męża.

Wirginia zarumieniła się ze wstydu; w bardzo krótkim czasie stała się nie tylko złodziejką, ale i wytrawną kłamczucha, co bynajmniej nie było dla niej powodem do dumy.

- Czy mogę do ciebie napisać? - spytała, wiedziona impulsem. Postanowiła, że wyśle list do Lilly Cantwell, w którym, dziękując raz jeszcze za wyświadczoną uprzejmość, wyjawí prawdę.

- Bardzo mnie ucieszy każda wiadomość i mam nadzieję, że pozostaniemy w stałym kontakcie. - Lilly uśmiechnęła się promiennie.

Uściskały się serdecznie. Potem Wirginia przytuliła małą Charlotte, pociągnęła łobuzersko za ucho panicza Williama i mrugnęła wesoło do młodszego Thomasa. Na koniec podziękowała panu Cantwellowi i powóz potoczył się w dalszą drogę. Gdy tylko ruszył z miejsca, Wirginia podchwyciła słowa pana Cantwella, wygłoszone do żony:

- Było coś dziwnego w zachowaniu tej młodej damy, poza tym nadal uważam, że nie doszła jeszcze do wieku pozwalającego na zamążpójście.

Wirginia uśmiechnęła się od ucha do ucha. A potem, gdy pojazd zniknął jej z oczu, rozpostarła szeroko ramiona i z głośnym śmiechem zaczęła wirować wkoło jak szalona, aż w końcu lekko nadwreżyła kostkę, a w głowie tak jej się zakręciło, że upadła na ziemię. Wciąż jednak nie przestawała się zaśmiewać. Nareszcie była w rodzinnych stronach!

Momentalnie poderwała się na nogi, zarzuciła na ramię tłumoczek i pobiegła bitą drogą. Widok znajomych pól, wzgórz pokrytych wiosenną zielenią i wartkich strumieni dodawał jej sił i kazał przyspieszyć kroku. Była więc zgrzana i zziajana, gdy ujrzała misternie rzeźbiony, drewniany szyld z napisem „Słodki Dereń”, zawieszony pomiędzy dwoma wyniosłymi, ceglanymi filarami. Żwirowy podjazd ciągnął się w górę wzgórza aż pod próg domu i dalej do czerwonych suszarni tytoniu, bielonych czworaków niewolników i pól o żyznej, brunatnej glebie.

Na widok domu serce znowu zabiło jej mocnej. Rzuciła tłumok, podkasła spódnice i puściła się pędem przed siebie.

- Tillie! - krzyczała na cały głos. - Tillie! Tillie! To ja!

Wróciłam, Tillie!

Frank, mąż Tillie, właśnie zaprzęgał wóz nieopodal frontowego wejścia i to on pierwszy dostrzegł Wirginię. Z wrażenia rozwarł

szeroko usta i wpatrywał się z niedowierzaniem w biegnącą dziewczynę.

- Czy to panienka Wirginia? Chyba oczy mnie mylą...

Zza jego pleców wyglądało dwóch synków bliźniaków, a chwilę później kątem oka Wirginia dostrzegła otwierające się drzwi i Tillie wychodzącą na ganek. Zanim jednak zdążyła zareagować, znalazła się w potężnych ramionach Franka.

- Oj, zmysły ci pomieszało?! - wykrzyknęła, ściskając go za szyję tak mocno, że prawie go zaczęła dusić. - Oczywiście, że to ja! A któż mógłby być inny! - Odsunęła się o krok i ze śmiechem spoglądała na wielkiego Murzyna.

- Wielki Boże, toż widzę, że ta frymuśna szkoła damy z panienki nie zdołała uczynić. - Frank pokazał w uśmiechu niezwykle białe zęby.

- Chciałeś chyba powiedzieć „Bogu dzięki”? - żartowała Wirginia. - Rufus, Ray, chodźcie tu zaraz mnie uściskać. Czyżbyście już nie pamiętali swojej pani?

Obaj chłopcy, niespełna siedmioletni, przykleili się do nóg Wirginii, a ona ze łzami w oczach ich przytuliła.

Moment później odwróciła głowę i ujrzała przed sobą Tillie. Z wyglądu stanowiła przeciwieństwo Wirginii: była wysoka, o bujnych, kobiecych kształtach i o bardzo pięknej twarzy. Teraz po jej policzkach koloru kawy z mlekiem płynęły łzy.

- Wiedziałam, że przyjedziesz - wyszeptała. Wirginia padła przyjaciółce w ramiona i przywarły do siebie kurczowo. Kiedy

wreszcie zapanowały nad łzami, Wirginia puściła Tillie i uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Piekielnie bolą mnie nogi - wyznała. -I do tego umieram z głodu! Jak w tym roku poszło wypalanie? I co z młodymi sadzonkami?

W bursztynowych oczach Tillie pojawił się wyraz smutku.

- Tillie? - Wirginię zdjął strach; mina przyjaciółki nie wróżyła niczego dobrego. - Powiedz, proszę, że wszystko w porządku.

Tyle ostatnio spotkało ją nieszczęść. Nie była pewna, czy zniesie kolejny cios, i z drzeniem serca czekała na odpowiedź.

Tillie z całej siły chwyciła ją za ramię.

- Mają sprzedać plantację... ze wszystkim, co się na niej znajduje.

Wirginia nie pojęła tego, co usłyszała.

- Co ty powiedziałaś?

- Twój tato jest w długach. To znaczy... wybacz... pan Hughes był zadłużony i teraz twój stryj przysłał tu agenta, który ma posprzedawać ziemię, dom, niewolników, konie... po prostu wszystko.

Wirginia nagle poczuła w piersi przeszywający ból. Zatoczyła się i z pewnością by upadła, gdyby Tillie nie podtrzymała jej w pasie.

- Zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje - powiedziała Murzynka. - Przybyłaś tu chudsza niż kiedykolwiek, wygłodniała niczym wilk w zimie, a ja ci zawracam głowę naszymi kłopotami. Chodź, Wirginio. Musisz zjeść coś ciepłego i wziąć gorącą kąpiel. Potem porozmawiamy. Opowiesz mi, jak to jest być damą.

Wirginia nie potrafiła zebrać myśli. To jakiś koszmar! Przecież to niemożliwe, by „Słodki Dereń” szedł pod młotek.

A jednak tak właśnie miało się stać.

Wirginia, ubrana w jedną z najlepszych sukien mamy, uśmiechnęła się dzielnie do Franka, który przywiózł ją powozikiem do Norfolku. Wygładziła niebieską spódnicę i poprawiła kapelusz z tej samej tkaniny. Ubrania mamy były na nią za luźne, ale Tillie, wraz z dwoma innymi niewolnicami, szyła jak szalona przez całą noc, żeby wszystko idealnie dopasować.

Frank próbował odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech panienki, ale bezskutecznie. Wirginia wiedziała dlaczego - był przerażony, że on, jego żona i dzieci zostaną sprzedani rozmaitym właścicielom z różnych części kraju i nigdy więcej się nie zobaczą.

Nie, do tego w żadnym razie nie dojdzie. Wirginia zamierzała poruszyć niebo i ziemię - a przede wszystkim sumienie dobrego przyjaciela ojca, Charlesa Kinga, prezesa Pierwszego Banku Wirginii - by nie dopuścić do sprzedaży „Słodkiego Derenia”. Czuła, że zlewa ją zimny pot. Stawka była ogromna. Wirginia musi uświadomić Charlesowi Kingowi, że nie jest już dzieckiem, ale przedsiębiorczą młodą kobietą. Wówczas życzliwy jej rodzinie bankier z pewnością udzieli pożyczki na spłatę długów i uchronienie „Słodkiego Derenia” przed sprzedażą.

Wirginia zmrużyła oczy, bo raziły ją ostre promienie słońca. Boże, jakże nienawidziła swojego stryja, hrabiego Eastleigh,

człowieka, którego w życiu nie widziała na oczy. Nawet nie raczył z nią omówić problemów plantacji! A przecież plantacja do niej należy!

A raczej mogłaby należeć, gdyby nie została sprzedana przed ukończeniem przez Wirginię dwudziestego pierwszego roku życia.

Dopiero teraz trzy lata, dzielące ją od pełnoletności, wydały się autentyczną wiecznością.

- Panienko - odezwał się Frank, gdy Wirginia kierowała się ku imponującej, obłożonej piaskowcem fasadzie banku.

Pomimo ogarniającego ją strachu Wirginia uśmiechnęła się blado.

- Być może zajmie mi to dłuższą chwilę, Frank, choć nie przypuszczam.

- Nie o to chodzi - odparł. Był bardzo wysokim mężczyzną, do tego niebezpiecznie przystojnym. Tillie zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, chociaż nikt by tego nie zgadł, patrząc na to, jak obcesowo go z początku traktowała. Musieli jednak szybko się dogadać, bo sześć miesięcy później Frank poprosił Randalla Hughesa o pozwolenie na ślub, które natychmiast otrzymał. - Boję się o Tillie i chłopców, jeśli panienska nie otrzyma pożyczki.

Wirginia miała świadomość, że teraz od niej zależy los „Słodkiego Derenia”, ale słowa Franka sprawiły, że odpowiedzialność zaciążyła jej niczym olbrzymi gład. W jej rękach znalazło się życie pięćdziesięciu dwojga niewolników, w tym wielu dzieci, a także los najlepszej przyjaciółki, Tillie.

- Dostanę tę pożyczkę, Frank. Nie czas się martwić. - Musiała wypowiedzieć te słowa z wielką pewnością siebie, bo na twarzy Murzyna pojawił się wyraz ulgi.

Wirginia posłała mu kolejny uśmiech, w duchu poprosiła Boga o wsparcie i weszła do banku.

W środku panował chłód, dostojna cisza i atmosfera szacowności niczym w kościele. W kolejce do kasy stało dwóch klientów, za frontowym kontuarem tkwił ubrany na ciemno urzędnik. Charles King siedział za masywnym biurkiem w przeszklonym gabinecie, znajdującym się w głębi foyer. Na widok Wirginii oczy rozwarły mu się szeroko ze zdumienia.

Czas działać, pomyślała Wirginia i zadarła dumnie głowę.

King wstał na jej powitanie. Był tegim mężczyzną, starannie i kosztownie ubranym, w staromodnej, suto upudrowanej, gładkiej peruce.

- Moja droga! Przez chwilę wydawało mi się, że zmierza ku mnie twoja matka, Panie świeć nad jej duszą.

Ojciec wiele razy powtarzał, że jest kubek w kubek podobna do mamy, ale Wirginia mu nie wierzyła, bo przecież mama była niezwykle piękna. Obie natomiast miały niemal kruczoczarne włosy i niezwykle w kolorze, fiołkowe oczy.

Bankier z wyraźną przyjemnością uściśnął wyciągniętą dłoń Wirginii.

- To zapewne gra światła - odparła poważnym, opanowanym głosem, zdumiona gładkością, z jaką wypowiedziała te słowa. Cóż,

musi teraz za wszelką cenę przekonać Kinga, że nie jest już nieopierzonym podlotkiem, ale inteligentną, odpowiedzialną kobietą.

- Tak, tak. Z pewnością. Sądziłem, że jesteś na pensji w Richmond. Zapraszam, zapraszam. Czy sprowadza cię do mnie jakaś szczególna sprawa? - zapytał, prowadząc Wirginię do stojącego przy biurku fotela.

- W rzeczy samej - przyznała i zacisnęła dłonie na eleganckiej torebce z czarnego aksamitu, należącej do mamy.

Charles uśmiechnął się przyjaźnie i zaproponował herbatę, Wirginia jednak uprzejmie odmówiła.

- Co sądzisz o wielkim mieście? - spytał, sadowiac się za biurkiem i spoglądając na Wirginię z pewnym zatroskaniem. Zapewne dostrzegł jej zdenerwowanie.

- To całkiem przyjemne miejsce, ale ja jestem szczęśliwa jedynie w „Słodkim Dereniu”. Uwielbiam plantację i tylko tam chciałabym mieszkać.

Charles przybrał ponurą minę.

- Zapewne dotarło już do ciebie, że twój stryj postanowił sprzedać plantację.

Miała ochotę poderwać się z fotela i wykrzyknąć na całe gardło, co sądzi o hrabim Eastleigh, ale teraz nie powinna okazywać emocji, a wykazać się opanowaniem i rozsądkiem

- On nie ma prawa tego zrobić.

- Obawiam się, że jak najbardziej ma do tego prawo. Jest teraz twoim prawnym opiekunem i kuratorem majątku.

- Panie King, przyszedłam tutaj, żeby prosić o pożyczkę, dzięki której mogłabym spłacić długi ojca i zapobiec sprzedaży lub rozparcelowaniu „Słodkiego Derenia”.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Proszę posłuchać, od dziecka pomagałam ojcu w prowadzeniu plantacji. Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak sadzić tytoń, jak go zbierać, transportować i sprzedawać. Zapewniam pana, że w całości spłacę pożyczkę, wraz z należnymi odsetkami, najszybciej jak to możliwe...

- Wirginio... - wszedł jej delikatnie w słowo Charles King.

Coś w jego tonie wzbudziło w niej panikę; poderwała się na równe nogi.

- Owszem, jestem kobietą i mam zaledwie osiemnaście lat, ale doskonale wiem, jak zarządzać „Słodkim Dereniem”. Znam się na tym niemal tak dobrze jak mój ojciec. Przysięgam, że spłacę wszystko co do centa! Jak wysokie są długi ojca?! - wykrzyknęła w desperacji.

Charles spojrzał na nią współczująco.

- Moje drogie dziecko, one już zdążyły urosnąć do nieprawdopodobnej sumy dwudziestu dwóch tysięcy dolarów.

Kolana ugięły się pod Wirginią i bezwiednie opadła z powrotem na fotel.

- Nie...

- Długo dyskutowałem na ten temat z agentem twojego stryja, człowiekiem o nazwisku Roger Blount, który notabene za kilka dni wraca do Anglii. „Słodki

Dereń" nie jest dochodową plantacją, Wirginio - ciągnął łagodnym głosem. - Każdego roku twój ojciec odnotowywał poważne straty. Nawet gdybym był na tyle nieroztropny, by pożyczyć młodej, niedoświadczonej dziewczynie tak olbrzymią kwotę, nigdy nie byłabyś w stanie jej spłacić, w każdym razie nie z dochodów plantacji. Bardzo mi przykro, ale sprzedaż „Słodkiego Derenia" jest jedynym rozsądnym wyjściem w zaistniałej sytuacji.

Znowu poderwała się ze ściśniętym z bólu sercem.

- Nie! Nie mogę do tego dopuścić. Plantacja to moje dziedzictwo.

Charles King również podniósł się z miejsca.

- Rozumiem, że to dla ciebie bardzo przykre. Nie wiem, czemu nie jesteś w tej chwili w Marmott, gdzie twoje miejsce... Jeżeli miałabyś takie życzenie, mógłbym już teraz zaaranżować dla ciebie małżeństwo z jakimś odpowiednim kawalerem i pomówić na ten temat z twoim stryjem. To rozwiązałoby wiele problemów...

- O ile nie wyswata mnie pan za niezwykle bogatego człowieka, moje małżeństwo niczego nie rozwiąże! - wykrzyknęła Wirginia. - Nie mogę dopuścić do sprzedaży „Słodkiego Derenia"! Dlaczego pan nie chce mi pomóc? Pewnego dnia spłacę wszystkie długi. Nigdy w życiu nie zламаłam danego słowa. Czy nie pojmuję pan, że plantacja jest wszystkim, co mi zostało?!

- Przed tobą wspaniała przyszłość, moja droga. Wierz mi.

Zacisnęła powieki, walcząc z narastającym drżeniem ciała. W końcu popatrzyła bankierowi prosto w oczy.

- Błagam, niech mi pan pożyczy te pieniądze.

Jeżeli mój ojciec i matka byli panu bliscy, niechże mi pan teraz pomoże!

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę pożyczyć młodej kobiecie kwoty, której nie zdoła spłacić bankowi do końca życia.

Wirginia nie zamierzała się poddać.

- W takim razie proszę mi udzielić tej pożyczki prywatnie, ze swoich własnych pieniędzy.

Spojrzał na nią oszołomiony.

- Wirginio, nie posiadam takiego majątku. Doprawdy bardzo mi przykro.

Nie mogła uwierzyć w to, co się działo. King zaczął coś mówić o nowym początku i wspaniałych perspektywach, ale Wirginia obróciła się na pięcie i wypadła biegiem z banku. Oparła się o żerdź do uwiązywania koni, trzęsąc się jak osika, z trudem powstrzymując łzy, przerażona i zrozpaczona. „Słodki Dereń” nie może zostać sprzedany! Ona musi znaleźć jakiś sposób, by uratować plantację!

- Panno Wirginio? Wszystko w porządku? - spytał Frank pełnym niepokoju głosem, ujmując ją pod łokieć.

Spojrzała w jego czarne oczy, ale nie odpowiedziała, ponieważ nagle uderzyła ją pewna myśl, i to tak gwałtownie, że aż jej odjęło mowę.

Jej stryj jest hrabią. Hrabiowie to bardzo bogaci ludzie, a więc od niego pożyczy pieniądze.

- Panno Wirginio?

Uwolniła łokieć i spojrzała przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Stryj z pewnością miał dość pieniędzy, żeby spłacić długi ojca. Był teraz jej jedyną nadzieją. To oczywiste, że nie chciał ratować plantacji, bo w innym wypadku już by to zrobił. Musi mu wyłożyć całą sprawę osobiście. List nie wystarczy. Cena ewentualnej porażki jest zbyt wysoka. W tej sytuacji przede wszystkim trzeba znaleźć fundusze na przeprawę przez Atlantyk. W najgorszym wypadku Wirginia sprzeda jakże bliską jej sercu biżuterię mamy. A kiedy już stanie twarzą w twarz ze stryjem, przekona go, że nie wolno sprzedawać „Słodkiego Derenia”. Będzie błagać, argumentować, sprzeczać się, debatować, nawet poślubi kompletnie obcego mężczyznę, jeżeli tylko dzięki temu stryj zgodzi się na spłatę długów. W takim razie Wirginia jak najszybciej powinna poczynić stosowne plany, bo wkrótce znajdzie się na statku płynącym do Anglii.

Była pewna, że poradzi sobie i osiągnie cel. Ojciec często mawiał, że gdzie jest wola, znajdzie się i sposób.

Woli jej nie brakowało, teraz musi obmyślić sposoby.

ROZDZIAŁ DRUGI

1 maja 1812, Londyn, Anglia

Wiadomość o jego powrocie rozniosła się lotem błyskawicy. Wzdłuż Tamizy stały wiwatujące tłumy i przyglądały się, jak „Defiance” dumnie sunął w stronę portu marynarki wojennej.

Devlin O'Neill stał pewnie na pokładzie, z surową miną i założonymi na piersi ramionami. Wysoki, emanujący siłą, przypominał kamienny posąg. Z okazji powrotu do domu - o ile to miejsce w ogóle można nazwać domem - włożył galowy mundur marynarki: granatowy frak ze złotymi epoletami, białe spodnie i białe pończochy, na głowie miał czarny filcowy pieróg, a jasne długie włosy ściągnął w krótki warkoczyk. Zgromadzone na nabrzeżu tłumy - mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy niedożywieni, z najbiedniejszych warstw - biegły za jego okrętem, a niektóre dziewczęta obrzucały burty kwiatami.

Powitanie godne bohatera, pomyślał bez radości. Powitanie godne bohatera, zgotowane człowiekowi, którego powszechnie nazywano korsarzem Jego Królewskiej Mości.

Przez cały rok Devlin nie postawił stopy na angielskiej ziemi. Gdyby miał wybór, teraz też by tu nie zawinął, ale nie mógł po raz kolejny, już czwarty, zignorować wezwania admiralicji. Na myśl o spotkaniu z admirałami zacisnął usta. Teraz marzył jedynie o wygodnym łożu na łodzi, w którym znajdowałaby się piękna kobieta - niedotknięta francuską chorobą i nietrudniąca się zawodowo nierządem. Zachcianki musiały poczekać. Devlin nawet nie chciał się zastanawiać, w jakim celu został wezwany przez dowództwo floty - w minionym roku zlekceważył tak wiele rozkazów i pogwałcił tak wiele zasad, że już wielokrotnie mogli zażądać jego głowy, a tego nie zrobili. Zapewne więc otrzyma nowe rozkazy, które przyjmie z ochotą, nigdy bowiem nie zatrzymywał się w żadnym porcie dłużej niż tydzień.

Obrzucił uważnym spojrzeniem „Defiance”. Była to trzydziestośmiodziałowa fregata, słynąca z szybkości i zwrotności, ale przede wszystkim rozślawiona przez szaleńczą wręcz brawurę jej kapitana. Devlin wiedział, że na sam widok jego okrętu inne statki robiły nagły zwrot i rzucały się do ucieczki, dlatego najchętniej podchodził je nocą.

W tej chwili część jego załogi uwijała się na rejach i refowała żagle. Pięćdziesięciu marynarzy stało w pobliżu na baczność, w czerwonych mundurach armii, z muszkietami na ramieniu. Obok nich ustawili się pozostali żeglarze, niecierpliwie czekając, kiedy wreszcie wyrwą się na wolność. Na forkasztele kilku majtków szykowało się do spuszczenia wielkich kotwic. W sumie na wszystkich pokładach

fregaty znajdowało się trzystu marynarzy. Ponad portową keją wojennej floty - gdzie obecnie cumowały dwa potężne trójpokładowce flagowe, kilka korwet, szkuner i dwie kanonierki - błyszcząły na tle czystego, błękitnego nieba dachy i wieże Londynu.

Ostatni rok był dla Devlina wyjątkowo lukratywny. Żeglował nieustannie od Cieśniny Gibraltarskiej do Algieru i od Zatoki Biskajskiej po wybrzeża Portugalii. Złupił w tym czasie czterdzieści osiem statków i wziął do niewoli ponad pięciuset ludzi. Jego oficjalne obowiązki były rutynowe - eskortował konwoje handlowe, patrolował linie brzegowe, pilnował, by nie doszło do przełamania morskiej blokady Francji. Nocami łupił francuskich kaprów, dniami kołysał się leniwie na falach. Już wcześniej był bardzo majątnym człowiekiem, ale teraz, po ostatnim wyczynie - przechwyceniu amerykańskiego statku ze sztabami złota w ładowniach - stał się krezusem.

Na to wspomnienie wreszcie uśmiechnął się nieznacznie.

Wciąż odzywał się w nim ów dziesięcioletni chłopak, drżący z lęku i grozy. Tkwił głęboko w jego świadomości i ani bogactwo, ani potęga czy sława nie mogły ukoić jego bólu i buntu. Gdy tylko ów chłopiec przymykał powieki, widział oczy ojca, pełne gniewu, ale martwe w odciętej głowie, leżącej w kałuży krwi na irlandzkiej ziemi.

Devlin wyruszył na morze trzy lata po wexfordzkim powstaniu, za pozwoleniem hrabiego Adare'a, który rok po śmierci Geralda poślubił Mary (nigdy nie udało się odnaleźć małej Meg). Dzięki protekcji hrabiego i sfalszowanej na skutek jego wpływów historii marynarskich dokonań Devlina został on od razu zaokrętowany jako

aspirant i nie musiał wykonywać najgorszych prac pod pokładem, jakie przypadają w udziale chłopcom okrętowym - wyrostkom takim jak on, zaczynającym dopiero przygodę z marynarką. Dzięki inteligencji i odwadze szybko awansował na porucznika. Przez krótki okres pływał na okręcie flagowym Nelsona. Podczas bitwy pod Trafalgarem, gdy kapitan korwety „Gazelle”, na której w owym czasie służył, zginął ugodzony kulą muszkietu, Devlin błyskawicznie przejął dowództwo. Mały okręt miał jedynie dziesięć dział, ale był piekielnie zwrotny i Devlin niepostrzeżenie podprowadził go od zawietrznej do francuskiej fregaty. Była ona o wiele większa i wyższa od „Gazelle”, tak że jej burty sunęły nad małą korwetą. Wówczas Devlin rozkazał wypalić ze wszystkich dział, a ponieważ strzelał z bardzo bliskiej odległości, roztrzaskał pokłady i zniszczył olinowanie dużo potężniejszego i szybszego statku, który triumfalnie odholował do Leghorn. Wkrótce po tym wydarzeniu został awansowany na kapitana i otrzymał dowództwo nad pierwszym własnym okrętem - szybkim szkunerem „Loretta”.

Miał wówczas zaledwie osiemnaście lat.

Od tamtej pory stoczył wiele bitew i zagarnął wiele łupów, ale najcenniejszej nagrody za swoje trudy jeszcze nie zdobył, bo też nie czekała ona na niego na morzach czy oceanach.

Doskonale skrywany, nieustannie obecny w nim gniew zawrzał teraz ze zwiększoną mocą, ale Devlin to zignorował. Bacznie obserwował, jak sprawnie „Defiance” wpływa pomiędzy zacumowany szkuner i ka-nonierkę, żeby nie myśleć o mającym nadejść dniu

ostatecznej rozprawy z Haroldem Hughesem, hrabią Eastleigh. Devlin skinął z aprobatą głową swojemu pierwszemu oficerowi, ogorzałemu, rudowłosemu Szkotowi, porucznikowi MacDonnellowi. Mac, używając syreny, ogłosił tydzień wolnego dla marynarzy. Devlin uśmiechnął się z lekka, gdy jego ludzie zaczęli radośnie wiwatować, a potem patrzył z wyrozumiałością, jak pokład wyludniał się błyskawicznie, chociaż nikt nie dał sygnału do opuszczenia okrętu. Nie wzbudziło to jego oburzenia. Ta załoga należała do najlepszych na świecie. Około pięćdziesięciu jej członków pływało razem z nim od chwili, gdy dostał pod komendę pierwszy okręt; połowa z nich trwała u jego boku od czasu feralnego traktatu tylżyckiego. Byli to doskonali ludzie - odważni śmiałkowie, brawurowi jak ich wódz. Bez wahania wykonywali jego rozkazy, nawet jeżeli mogły wydawać się samobójcze. „Defiance” stał się postrachem mórza dzięki lojalności i dyscyplinie załogi.

Devlin był bardzo dumny ze swoich ludzi.

Mac dołączył do niego na kei. Wyraźnie czuł się nieswojo w galowym mundurze, który był na niego przyciasny. Mac - tak samo jak Devlin - miał dwadzieścia cztery lata, ale przez ostatni rok zdecydowanie rozrósł się w barach. Stanowili niezwykłą parę - niski, potężny Szkot o płomiennych włosach i wysoki, smukły Irlandczyk o szarych, tak jasnych oczach, że zdawały się srebrzyste.

- Jakoś mi dziwnie na stałym lądzie - odezwał się Mac.

Devlin uśmiechnął się pod nosem. Jemu też ziemia zdawała się umykać spod stóp, jakby znalazł się na falach wzburzonych

gwałtownym sztormem. Klepnął porucznika przyjacielsko po ramieniu.

- Jutro będziesz biegał jak rączy jelen.

- Ano będę i jutro, i przez kolejne siedem dni, za twoim pozwoleniem, kapitanie. - Mac uśmiechnął się od ucha do ucha. Miał jeszcze wszystkie własne zęby i tylko jeden z nich lekko spróchniały.

- Masz jakieś szczególne plany, kapitanie? Ja tęsknię za nienasyconą, wyuzdaną dziwką, więc pierwsze kroki skieruję do odpowiedniego przybytku. - Zaśmiał się lubieżnie.

Devlin na lądzie pobłażał swoim ludziom. Jak większość dowódców pozwalał im w portach uganiać się za dziewczynkami, chociaż wolał, by przyprowadzali je na okręt, żeby najpierw mógł je dokładnie obejrzeć okrętowy medyk. Nie chciał, by jego załogę toczyła jakaś paskudna franca.

- Przecież zaledwie tydzień temu cumowaliśmy w Lizbonie - zauważył pogodnie.

- Mam wrażenie, że od tego czasu minął co najmniej rok - odparł Mac.

W tej samej chwili Devlin dostrzegł czekający na niego powóz, podstawiony na polecenie Seana, którego w ostatniej poczcie zawiadomił o powrocie do Londynu.

- Czy podrzucić cię dokądś? Mac się zarumienił.

- Nie wybieram się na razie do miasta - odparł, mając na myśli West End.

Devlin skinął głową, przypomniał, że za tydzień w samo południe zamierza wypłynąć na morze i spodziewa się Maca na pokładzie wraz z resztą trzystu-osobowej załogi.

Wśród jego ludzi praktycznie nie zdarzały się dezercje, co wprawiało w osłupienie wszystkich oficerów Królewskiej Marynarki Wojennej. Ale też żaden inny kapitan nie przechwytywał tak wielu łupów. Jego załoga bogaciła się w nadzwyczajnym tempie.

Pół godziny później pojazd wtoczył się na most i Devlin wodził wzrokiem po znajomych widokach. Po miesiącach spędzonych na morzu oraz w egzotycznych, śródziemnomorskich portach północnej Afryki, czy też w gorących - nie tylko z powodu klimatu - przystaniach Portugalii, Londyn wydał mu się szary, ponury i brudny. Niemniej, jego oko cieszyły szycowne, piękne kobiety, od których tutaj aż się roilo; siedziały w koczach i landach, spacerowały po ulicach, robiły zakupy w eleganckich sklepach. Ledwo to sobie uświadomił, poczuł znajome mrowienie w łądźwiach. Nigdy nie korzystał z usług pospolitych dziwek. Natomiast wraz z ostatnimi pismami wysłał także list do swojej angielskiej metresy, oczekiwał więc, że przyjemnie zabawi się dzisiejszego wieczoru, jak i przez pozostałe siedem dni, które miał spędzić w tym mieście.

Londyńska siedziba admiralicji znajdowała się przy Brook Street w imponującym gmachu z piaskowca, wzniesionym pół wieku temu. Nieustannie roilo się tu od oficerów, adiutantów i ordynansów. Gdziekolwiek oficerowie zbijali się w grupki i toczyli ożywione rozmowy. Kiedy Devlin pchnął ciężkie drzwi i znalazł się w wielkim,

okrągłym westybulu zwieńczonym wysoką kopułą, wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Devlin tymczasem powiódł wzrokiem po ścianach obwieszonych portretami największych brytyjskich admirałów oraz obrazami przedstawiającymi sceny najślawniejszych bitew morskich. Kochanka Devlina utrzymywała, że pewnego dnia i jego podobizna znajdzie się na jednej z tych ścian. Tymczasem odgłosy rozmów gwałtownie cichły, aż w końcu w westybulu zapanowała cisza. Od czasu do czasu, w owej głuchej ciszy szeptem niosło się jego nazwisko, co bardzo rozbawiło Devlina.

- Kapitan O'Neill? - U podnóża szerokich, marmurowych schodów stał wyprężony i salutujący młody porucznik, wpatrujący się w Devlina z wypiekami na twarzy.

Devlin dość nonszalancko oddał salut.

- Mam rozkaz zaprowadzić pana do admirała St. Johna, sir - oznajmił młodzik, rumieniąc się jeszcze mocniej.

- A więc prowadź. - Devlin nie był w stanie opanować ciężkiego westchnienia.

St. Johnnie należał do jego wrogów. Co prawda, nie znosił niesubordynacji, ale dobrze znał wartość najdzielniejszego i najsprawniejszego ze swoich dowódców. Za to admirał Farnham tylko o tym marzył, by postawić go przed sądem wojennym, pozbawić czci, a może nawet i zgładzić. Tym bardziej że ostatnio bardzo go do tego namawiał kapitan Thomas Hughes, syn hrabiego Eastleigh.

Admirał St. John czekał na Devlina. Był to wysoki mężczyzna z grzywą białych włosów, któremu towarzyszyli: o wiele niższy,

przysadzisty i mocno wyłysiały Farnham oraz hrabia Liverpool, minister wojny.

Devlin zasalutował i zaintrygowany zerknął na Liverpoola. Nigdy dotąd nie widział go w tym gmachu.

Tymczasem minister, niski, szczupły, ciemnowłosy, uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

- Minęło sporo czasu od naszego ostatniego spotkania, Devlinie. Siadaj, proszę. Czego się napijesz, whisky czy brandy?

Devlin rozsiadł się w fotelu i zdjął z głowy pieróg.

- Czy to francuska brandy?

- Obawiam się, że tak. - Hrabia spojrzał na niego z rozbawieniem.

- W takim razie brandy - zdecydował Devlin, wyciągając przed siebie długie nogi.

Farnham z trudem krył wściekłość, St. John natomiast spokojnie zasiadł za biurkiem.

- Rzeczywiście, wiele wody upłynęło od czasu, gdy ostatni raz łaskawie pojawiłeś się w tych progach - zauważył.

Devlin wzruszył ramionami.

- Wiele się dzieje w Cieśninie Gibraltarskiej, milordzie.

Liverpool ujął kryształową karafkę i rozlał brandy do kieliszków, z których jeden podał Devlinowi.

- W rzeczy samej, dzieje się tam bardzo wiele - wtrącił Farnham.
- Dlatego pozostawienie „Lady Anne” bez eskorty było karygodnym, wręcz niesłychanym wykroczeniem.

Devlin pociągnął długi łyk brandy, uważnie smakując trunka na języku i szybko doszedł do wniosku, że jego zapasy zarówno w londyńskiej rezydencji, jak i na okręcie są dużo przedniejszej marki.

- Czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę? - spytał St. John.

- Nic zgola. - Devlin wzruszył ramionami. - Może tylko to, że „Lady Anne” nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

- Żadne niebezpieczeństwo?! - Farnham niemal się zadławił, natomiast Liverpool pokręcił ze smutkiem głową.

- Admirał Farnham żąda twojej głowy, mój chłopcze - oznajmił.
- Czy naprawdę musiałeś porzucić „Lady Anne”, by ścigać ów amerykański statek handlowy?

Devlin uśmiechnął się pod nosem.

- „Independence” był załadowany złotem, milordzie.

- A ty o tym wiedziałeś, gdy go dostrzegłeś na wysokości Trypolisu?

- Na tym świecie można wszystko kupić, również interesujące informacje.

- Nie znam innego dowódcy równie zuchwałego, jak ty, mój chłopcze. Gdzie przebywa twój szpieg i jak się nazywa? - spytał rozkazującym tonem St. John.

- Być może to nie on, a ona - zauważył Devlin. Rzeczywiście, o cennym ładunku dowiedział się od pewnej ognistej właścicielki maltańskiej tawerny, w której chętnie gromadzili się amerykańscy marynarze. - Jeżeli nawet zatrudniłam szpiegów, to moja prywatna

sprawa. Skoro zaś pomagają mi w wypełnianiu rozkazów admiralicji, myślę, że powinniśmy zakończyć ten temat.

- Rzecz w tym, że pan nie wypełniasz rozkazów! - wrzasnął Farnham. - One nakazywały konwojowanie „Lady Anne” do Lizbony. Masz więc pan wielkie szczęście, że statku nie przechwyciły jednostki wroga.

Devlin z trudem znosił filipikę Farnhama, ale nie okazał tego po sobie, tylko nadal rozpierał się w fotelu.

- Szczęście nie ma z tym nic wspólnego - oznajmił beznamiętnie. - Panuję nad Gibraltarem, co oznacza, że w pełni kontroluję i Morze Śródziemne. A więc żaden statek nie wpłynie tam bez mojej wiedzy. Stąd miałem pewność, że „Lady Anne” nie groziło żadne niebezpieczeństwo, czego najlepiej dowodzi fakt, że bezpieczne zawinęła do portu w Lizbonie.

- A ty przy okazji zostałeś bogaczem - zauważył Liverpool.

- Cały łup znajduje się u naszego agenta w Twierdzy - powiedział Devlin, mając na myśli Gibraltar, dokąd zaholował unieruchomiony „Independence”. Trzy ósme zdobyczy przypadało mu w udziale, a szybki szacunek znajdującego się na amerykańskim statku złota jasno wskazywał, że wzbogacił się o co najmniej sto tysięcy funtów. Obecnie był więc dużo bogatszy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, ba - niż sam swego czasu się spodziewał.

- W gruncie rzeczy nie obchodzi mnie los jednego statku w rodzaju „Lady Anne” - stwierdził autorytatywnie Liverpool. - Chociaż

jawnie zlekceważyłeś rozkaz, wszyscy jesteśmy gotowi o tym zapomnieć. Prawda, panowie?

St. John ochoczo kiwnął głową, Henry Farnham musiał jednak bardzo cierpieć, wyrażając zgodę na tę propozycję nie do odrzucenia, co szczerze rozbawiło Devlina.

- Tym natomiast, na czym mi zależy, jest jak najszybsze zakończenie tej piekielnej wojny - oznajmił Liverpool tak płomiennie, jakby wygłaszał przemówienie w parlamencie. - Tym bardziej że na horyzoncie majaczy nowa wojna, której w obecnej sytuacji musimy za wszelką cenę uniknąć.

- I dlatego wezwaliśmy cię, mój chłopcze - wtrącił St. John. Devlin wyprostował się w fotelu.

- Wojna z Ameryką byłaby poważnym błędem - oświadczył. Farnham prychnął lekceważąco.

- Jesteś Irlandczykiem, nic więc dziwnego, że żywisz jakobińskie sentymenty.

Devlina miało ochotę udusić tę kanalię, ale milczał i siedział bez ruchu, póki nie opuściła go mordercza pokusa.

- Nie przeczę - powiedział w końcu. - Co nie zmienia faktu, że Amerykanie, podobnie jak Irlandczycy, to nasi bracia. Nigdy i pod żadnym pozorem nie powinno wszczynać się bratobójczej walki.

- Musimy zachować całkowite panowanie na morzach i oceanach, chyba to dla ciebie jasne - rzucił bez ogródek Liverpool.

- On dba tylko o własne, egoistyczne interesy. Nie wie, co to lojalność wobec angielskiej Korony - zaciętrzewił się Farnham. -

Służbę w marynarce traktuje jedynie jako środek do pomnażania własnego bogactwa.

- Nie zebraliśmy się tu po to, by debatować nad lojalnością Devlina - zareplikował Liverpool ostrym tonem. - Nikt inny w naszej flocie nie służył Jego Królewskiej Mości z większą dzielnością i skutecznością.

- Dziękuję, milordzie - mruknął Devlin z lekko kpiącą miną.

Liverpool miał rację. Nie pojawił się jeszcze dowódca, który wyczynami dorównałby Devlinowi.

- Wojna z Francją nie dobiegła końca, mój chłopcze, sam wiesz o tym najlepiej, bo żaden inny angielski oficer nie spędził tak wiele czasu w Cieśninie Gibraltarskiej i na Morzu Śródziemnym. Ponieważ w tym rejonie nasze panowanie jest obecnie bezsporne, twoja tam obecność nie jest niezbędna. Mamy dla ciebie inne zadanie. Jednak opuścisz ten gabinet z nowymi rozkazami tylko wówczas, gdy będę miał pewność, że wypełnisz je co do litery.

- Proszę mówić, milordzie - powiedział Devlin, zaintrygowany. Ciekawe, co tym razem knuł Liverpool?

- Twoja sława cię wyprzedza, kapitanie - wtrącił admirał St. John. - Na Morzu Śródziemnym i Atlantyku każdy wrogi dowódca, każdy kaper, zdaje sobie sprawę, że nie może mierzyć się z tobą w walce, bowiem stosowana przez ciebie taktyka, choć niekonwencjonalna, jest nie do przewyciężenia. Wszyscy mają świadomość, że jeżeli zdecydujesz się na abordaż, pójdzie za tobą

paręset uzbrojonych po zęby marynarzy. Wszyscy panicznie ciebie się boją i dlatego nikt już nie chce wdawać się z tobą w potyczki.

To była prawda. Zazwyczaj wystarczyło, że Devlin oddał jedną salwę, a potem mógł wkraczać na pokład obcego statku pewien, że nie napotka na większy opór. Takie kapitulancie wroga zaczynało go nudzić.

- Twoje wyczyny są znane całemu żeglarskiemu światu, więc nawet u brzegów Ameryki wszyscy by zmykali na widok twojego okrętu.

- Pan mi pochlebia, milordzie.

- W istocie chcielibyśmy uniknąć wojny z Amerykanami. - Tym razem wątek podjął Liverpool, spoglądając znacząco na Devlina. - Mamy jednak świadomość, że gdybyśmy cię wysłali ad hoc w tamtę stronę, to tak, jakbyśmy wpuścili lisa do kurnika, po czym naiwnie oczekiwali wylęgu dorodnych kurcząt. Dlatego zanim zdecydujemy się wyekspediować cię na zachód, mój chłopcze, musisz nam wcześniej dać słowo honoru, że będziesz ściśle wypełniać powierzone ci zadania. A są one następujące: masz wzbudzać śmiertelny strach w przeciwniku, nie wolno ci jednak na niego napadać ani grabić jego statków. Kraj cię potrzebuje, Devlinie, ale tym razem nie możemy tolerować twoich pirackich praktyk.

Czy oni naprawdę sobie wyobrażali, że on zgodzi się płynąć na zachód i tam zabawiać w surowego owczarka pasterskiego względem amerykańskich statków handlowych i okrętów wojennych?

- Mam ich ścigać, zastraszać, zmuszać do odwrotu, po czym sam się wycofywać? - Wprost nie mógł uwierzyć w te żądania.

- Owszem, tak w ogólnych zarysach przedstawia się nasz plan. Żadne amerykańskie towary nie mogą dotrzeć do Europy, blokada Francji musi bowiem trwać. Zmieniają się jednak reguły zaangażowania militarnego. Nie chcemy, by jakiegokolwiek amerykańskie jednostki zostały zniszczone lub ich ładunki

przechwycone w charakterze łupu. Nie życzymy też sobie, by zginął choćby jeden amerykański obywatel. Devlin poderwał się z fotela.

- Znajdźcie sobie kogoś innego do podobnego zadania. Ja się do tego nie nadaję.

Farnham wydał z siebie odgłos, w którym niedowierzenie mieszało się z niezaprzeczalną satysfakcją.

- Panowie, on odmawia wykonania rozkazu. Kiedy wreszcie go powiesimy za tak rażącą niesubordynację?

Devlin miał najszczerzą ochotę powiedzieć staremu durniowi, żeby się wreszcie zamknął. Zignorował go jednak i zwrócił się do Liverpoola:

- Milordzie, nie można posyłać rozbójnika mojego pokroju do przeprowadzenia tak subtelnej misji.

Minister obrzucił go uważnym, przenikliwym spojrzeniem.

- Jestem innego zdania, ponieważ znam cię lepiej, niż przypuszczasz. - Zwrócił się ku obu admirałom. - Panowie, bądźcie tak uprzejmi i zostawcie nas samych.

Admirałowie nie kryli zdumienia, obaj jednak posłusznie skinęli głowami i wyszli z gabinetu.

- Teraz wreszcie możemy przejść do sedna. - Liverpool uśmiechnął się szeroko.

Devlin odpowiedział uśmiechem, ale tak naprawdę nie wiedział, co go czeka: poważny cios czy szczególne wyróżnienie.

- Już jakiś czas temu przejrzałem twoją grę, mój chłopcze... - Liverpool zawiesił głos, po czym ponownie napełnił kieliszki. - W twoich żyłach płynie krew irlandzkich królów, a mimo to zaciągnąłeś się do brytyjskiej marynarki jak pierwszy lepszy chudo-pachołek. Teraz jesteś właścicielem okazałej rezydencji nad Tamizą i wykupiłeś rodowe ziemie od Adare'a.

Nawet nie podejmuję się oszacowania twojego bogactwa zgromadzonego w bankach i prywatnych sejfach. Stałeś się krezusem i praktycznie nie jesteśmy ci już do niczego potrzebni.

- Gdyby ktoś posłuchał twoich słów, milordzie, uznałby, że nie ma we mnie krzty patriotyzmu - stwierdził Devlin, chociaż w duchu musiał przyznać Liverpoolowi rację.

- A jednak mimo doskonałego urodzenia i zgromadzonych bogactw wciąż jesteś na morzu, gonisz za łupami, rzucasz się w najgoretszy wir walki. Nigdy nie zatrzymujesz się na dłuższy czas na lądzie, nie grzejesz w ciepłe rodziny.

Devlin poczuł się nieswojo i by to ukryć, zaczął sączyć brandy.

- Zastanawiam się więc, co cię motywuje do działania, do ciągłej gonitwy po morzach i oceanach?

- Obawiam się, że postrzegasz mnie w zbyt romantycznych barwach, milordzie. Jestem zwykłym marynarzem.

- W żadnym razie. Uważam, że twoim zachowaniem kierują głęboko ukryte, poważne i złożone powody, choć jestem świadomy, że pewnie ich nigdy nie poznam. - Minister uśmiechnął się i tym razem to on skupił się na swoim trunku.

Ukryty w Devlinie mały chłopiec zaczął trząść się z przerażenia. Jak to możliwe, że ten obcy człowiek tak bezbłędnie go rozszyfrował?

- Masz wyjątkowo bujną wyobraźnię, milordzie. - Devlin uśmiechnął się zimno.

- Ty natomiast masz do zdobycia lordowski tytuł, kapitanie O'Neill.

Devlin się zdumiał. To ma być przynęta i nagroda zarazem, pomyślał.

Niegdyś jego przodkowie byli królami i książętami, ale ponad sto lat brytyjskich grabieży zredukowało jego rodzinę do statusu dzierżawców i wieśniaków. On to wszystko zmienił. Ojczym z radością odsprzedał mu Askeaton. Nadrzeczną londyńską rezydencję nabył dwa lata temu, gdy trudności finansowe zmusiły hrabiego Eastleigh do jej sprzedaży. Liverpool dobrze wiedział, że Devlin wykorzystuje służbę w marynarce do osiągnięcia wysokiego poziomu własnego bezpieczeństwa, które zawsze zależało od zasobności kieszeni. Nie wiedział natomiast - bo nie mógł wiedzieć - jakie motywy w istocie kryły się za posunięciami Devlina.

- Proszę mówić, milordzie - powiedział spokojnym głosem, chociaż zaczął się pocić.

- Dobrze wierz, że parowski tytuł jest na wyciągnięcie ręki, wystarczy jedynie, że będziesz co do litery wykonywać powierzone ci obecnie rozkazy.

Dziesięcioletek gorąco pragnął tego tytułu. Chłopiec, który patrzył na dokonany z zimną krwią mord na ojcu, pożądał owego wyróżnienia jeszcze bardziej niż bogactwa, ponieważ tytuł lorda zabezpieczał nawet lepiej niż pieniądze.

Devlin nienawidził tego dziecka - nienawidził jego nieustannej obecności w swoim życiu.

- Proszę najpierw nadać mi lordowski tytuł, a wówczas popłynę ku wybrzeżom Ameryki i będę siał tam postrach, nie odwołując się do użycia siły.

- A niech cię diabli porwą, O'Neill. - Liverpool uśmiechnął się szeroko. - Przystaję na twoje warunki. Zanim w przyszłym tygodniu ponownie podniesiesz żagle, będziesz już milordem, kapitanem Jego Królewskiej Mości.

Teraz i Devlin uśmiechnął się z satysfakcją. Serce zabiło mu mocniej w piersi, gdy pomyślał o swoim śmiertelnym wrogu, hrabim Eastleigh, mordercy ojca. Dzięki tej nobilitacji zyska nad nim dodatkową przewagę.

- Jakie ziemie chciałbyś otrzymać wraz z tytułem?

- Leżące na południe od Hampshire - odparł Devlin, mając świadomość, że w takim wypadku jego posiadłości znajdują się tuż obok rodowych ziem Eastleigha.

Na tę myśl ponownie się uśmiechnął. Od lat konsekwentnie mścił się na mordercy ojca. Już w wieku dziesięciu lat zrozumiał, że do osiągnięcia celu są potrzebne pieniądze i władza. Dlatego wstąpił do królewskiej marynarki, chociaż wówczas nawet mu się nie śniło, że w tak krótkim czasie stanie się po wielokroć bogatszy i potężniejszy od wroga. Lordowski tytuł wzmocni jego pozycję, jednak w zasadniczy sposób niewiele zmieni. Eastleigh znajdował się na skraju bankructwa, bo Devlin powoli, ale systematycznie doprowadzał go do ruiny.

Od czasu do czasu ich ścieżki krzyżowały się w Londynie. Eastleigh znał go dobrze. Jakimś cudem rozpoznał go już przy pierwszym spotkaniu, gdy Devlin miał zaledwie szesnaście lat i wyzwiał na pojedynek jego młodszego syna, Toma, z powodu pewnej, niewiele wartej dziwki. Był to jedynie pretekst, by uderzyć w śmiertelnego wroga - zadać mu ból, zabijając syna. Niestety, pojedynek został przerwany. To jednak był dopiero początek morderczej gry podjętej przez Devlina.

Jego agenci dopuszczali się sabotażu w kopalniach ołowiu należących do Eastleigha, wznecali bunty w jego włościach, swoją masowością zmuszając hrabiego do znacznych obniżek rent dzierżawnych.

Obecnie jego sytuacja była tak krytyczna, że stanęło przed nim widmo sprzedaży ziem rodowych. Devlin z niecierpliwością wyczekiwał tego dnia, zamierzał je bowiem ostentacyjnie nabyć. Do tej pory przejął najlepszego wyścigowego konia hrabiego, sforę wilczarzy czempionów i jego rezydencję w Greenwich. Perłą wśród dotychczasowych zdobyczy była druga żona wroga, hrabina Eastleigh, Elizabeth Sinclair Hughes, która od sześciu lat ochoczo dzieliła z Devlinem łożę.

I w tej chwili bez wątpienia na niego czekała. Nadszedł więc najwyższy czas, by opuścić mury admiralicji.

Weverly Hall niemal przez sto lat był rezydencją hrabiów Eastleigh do czasu, gdy dwa lata temu, po serii finansowych katastrof, obecny hrabia został zmuszony wystawić rezydencję na sprzedaż. Olbrzymi, dwupiętrowy budynek z piaskowca pysznił się dwoma narożnymi wieżami, a na terenie posiadłości, oprócz ciągnących się aż po brzeg Tamizy ogrodów, znajdowały się także korty. Devlin przybył, a właściwie przyplłynął do swojego domu na włoskim jachcie, jednym z pierwszych łupów, jakie zdobył w marynarskiej karierze. Lekkim krokiem przemierzył molo, wodząc obojętnym wzrokiem po idealnie wypielegnowanych trawnikach, artystycznie przystrzyżonych krzewach i różach w pełnym rozkwicie, pnących się po ścianach rezydencji. Jakże to wszystko było typowo angielskie.

Wszedł na wykładaną kamieniem ścieżkę, prowadzącą na tyły domu, ku tarasowi, z którego rozciągał się wspaniały widok na rzekę i miasto. Z jednego ze stojących na tarasie ogrodowych foteli podniósł

się rosły mężczyzna. Devlin rozpoznał go natychmiast i przyspieszył kroku.

- Tyrell!

Tyrell de Warenne, najstarszy syn i dziedzic hrabiego Adare'a, ruszył ścieżką Devlinowi naprzeciw. Choć nie łączyły ich więzy krwi, uważali się za braci i tak zawsze przedstawiali nawzajem. Podobnie jak ojciec, Tyrell był wysoki i śniady, miał kruczoczarne włosy i ciemnoniebieskie, niemal granatowe oczy. Oba j młodzieńcy, różni jak noc i dzień, uściskali się serdecznie.

- Co za miła niespodzianka - rzekł Devlin, szczerze ucieszony widokiem Tyrella.

- Sean wspomniał, że wracasz, a ponieważ miałem parę spraw do załatwienia w Londynie, zdecydowałem się wpaść i sprawdzić, czy już jesteś w domu. Widzę, że wykazałem się niezawodnym wyczuciem czasu. - Tyrell uśmiechnął się szeroko. Był szalenie przystojnym mężczyzną, co potwierdzały jego rozliczne romanse.

- Chociaż raz - wytknął mu Devlin. - Przede wszystkim powiedz mi, jak miewa się mama i hrabia, twój ojciec?

- Jak zwykle doskonale. Nie mogą się doczekać, kiedy wreszcie zawitasz w rodzinne strony. - Tyrell spojrzał znacząco na Devlina.

Ten rozmyślnie nie podjął wątku. Pchnął przeszkłone drzwi i wszedł do przepastnego, elegancko umeblowanego salonu.

- Właśnie podjąłem się nowego zadania, patrolowania Atlantyku u wybrzeży Ameryki Północnej. Naturalnie, to wiadomość nieoficjalna, bo jeszcze nie odebrałem rozkazów.

Tyrell złapał go za ramię i powiedział:

- Admirał Farnham jest wściekły z powodu tej awantury z „Lady Anne”. Gdziekolwiek pójde, wszyscy o tym rozprawiają. Nawet do ojca dotarły wieści, że Farnham knuje przeciwko tobie. Miałem nadzieję, że to była twoja ostatnia misja.

Devlin pociągnął za sznur dzwonka i natychmiast zmaterializował się uśmiechnięty radośnie kamerdyner, jakby szczerze zachwyił go widok pana. To zawsze bawiło Devlina, wiedział bowiem dobrze, że Anglicy nienawidzą służyć Irlandczykom. Dlatego między innymi zatrzymał całą służbę Eastleigha, gdy przejął rezydencję.

- Benson, mój dobry człowieku, przynieś drobne przekąski i butelkę przedniego czerwonego wina.

Wydawszy dyspozycje, Devlin znów zwrócił się w stronę Tyrella. Podobnie jak reszta rodziny, Tyrell uważał, że Devlin spędza zbyt wiele czasu na morzu, i tak jak oni coraz usilniej go namawiał, by zrezygnował ze służby.

- Zaoferowano mi lordowski tytuł.

- To fantastyczna wiadomość. Naprawdę fantastyczna!

- Nawet materialista mojego pokroju nie mógł oprzeć się takiej pokusie.

Tyrell wpatrywał się w niego z uwagą.

- Nad twoją głową zbierają się czarne chmury - powiedział w końcu. - Musisz na siebie uważać. Obawiam się, że Eastleigh nie wybaczył ci zakupu tej rezydencji. Tom Hughes knuje w admiralicji,

robi wszystko, by cię postawiono przed sądem wojennym, a na dodatek rozpowszechnia paskudne plotki na twój temat.

- Nie obchodzi mnie, co opowiada.

- Dowiedziałem się, że pomawia cię o konszachty z francuskimi kaprami; utrzymuje, że przepuszczasz przez blokadę tych, którzy sowicie ci się oplacają. Podobne pogłoski mogą zrujnować twoją karierę, a także ciebie - ostrzegł Tyrell.

- Ja się nie martwię, więc i ty nie powinienes. Niemniej słowa Tyrella sprawiły, że Devlinowi stanął przed oczami Tom Hughes, który nigdy w życiu nie wypłynął na morze (o ile nie liczyć drobnych przejażdżek na okręcie flagowym, gdzie wraz z innymi oficerami pływał się w luksusie) i który nie umiałby poradzić sobie z dziecięcą żaglówką na parkowym stawie, a mimo to miał ten sam stopień wojskowy, co Devlin. Kapitan Hughes spędzał całe dnie na płaszczeniu się i podlizywaniu rozmaitym admirałom. Devlin miał świadomość, że Tom go nienawidzi, i to go także niepomernie bawiło. Ubolewał, że przerwano ich pojedynek o pewną dziewczynę, przez co stracił okazję, by go poważnie zranić.

- Nie boję się Thomasa Hughesa - rzekł.

Tymczasem ponownie pojawił się Benson w towarzystwie dwóch służących, niosących na tacach przekąski. Szybko nakryli do niewielkiego stołu, po czym Benson skłonił się nisko.

- Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze, kapitanie?

- Nie, dziękuję.

Gdy służba się oddaliła, Devlin wręczył Tyrellowi kieliszek z winem, sam zaś podszedł do wychodzącego na taras wysokiego, panoramicznego okna. Nie zachwycił go widoki, rozciągające się z okien tej rezydencji. Zmuszały do wspomnień o Askeaton.

Tyrell stanął obok brata.

- Nie było cię w domu od sześciu lat - powiedział, jakby czytał w jego myślach.

Devlin doskonale wiedział, ile upłynęło czasu; pamiętał dokładnie dzień, a nawet godzinę swojego ostatniego pobytu w Irlandii. Uśmiechnął się jednak i udał zdziwienie.

- Doprawdy?

- Dlaczego unikasz rodzinnych stron? Do diabła, wszyscy za tobą tęsknimy. Chociaż Sean wspaniale zarządza Askeaton, obaj wiemy, że ty zrobiłbyś to jeszcze lepiej.

- Nie mogę płynąć do Irlandii, kiedy mi się spodoba. Nie pozwalają mi na to obowiązki - odparł Devlin. Formalnie nie skłamał, ale w gruncie rzeczy poważnie rozminął się z prawdą. Gdyby tylko chciał, mógł niemal w dowolnej chwili popłynąć ku irlandzkim wybrzeżom i Tyrell doskonale o tym wiedział.

- Nie rozumiem cię. Nie ja jeden o ciebie się martwię.

- Powiedz mamie, że wiedzie mi się wspaniale. Właśnie przechwyciłem amerykański statek handlowy załadowany złotem, które miało być okupem dla księcia Barbarii, przetrzymującego amerykańskich zakładników. Z częścią łupu, która mi przypadnie w

udziale, mógłbym bez trudu wykupić kilku z nich - wyrecytował gładko Devlin.

- Sam jej to powiedz.

Devlin odwrócił się od okna. Bardzo tęsknił za Askeaton, ale poprzednie wizyty nauczyły go, że jak ognia powinien unikać rodzinnych stron. Tam wspomnienia powracały ze zwielokrotnioną siłą i brały go w całkowite władanie; tam nadal mieszkał znienawidzony dziesięcioletni chłopiec.

Parę godzin później Tyrell pożegnał się i udał do domu Adare'ów na Mayfair, a Devlin, przyjemnie rozleniwiony winem, ruszył po schodach na górę. Prywatne apartamenty zajmowały całe jedno skrzydło pierwszego piętra. Chociaż w całym domu pozostawił wszystko tak, jak zastał, swoją sypialnię radykalnie przemeblował, wybebeszył z pozostałości po East-leighu z taką gwałtownością, jakby wybebeszał samego hrabiego. Teraz, przemierzając pokoje, mijał obojętnie cenne bibeloty i obrazy zgromadzone przez obcych sobie ludzi. Przeszedł obok pianina, na którym nikt nie grał, i po raz kolejny doszedł do wniosku, że ani jeden przedmiot znajdujący się w tym domu - za wyjątkiem książek - nie cieszy jego oczu i nie przynosi mu radości. Ale ostatecznie nie kupił tej rezydencji, by się nią cieszyć. Kierował nim tylko jeden motyw: zemsta.

Na progu sypialni czekała pokojówka. Była zarumienioną, ładną istotą o brązowych włosach i jasnej karnacji i Devlinowi przyszło do głowy, czy nie zaprosić jej do swojej sypialni. Zanim jednak zdążył

cokolwiek powiedzieć, pokojówka zarumieniała się jeszcze bardziej, po czym przemknęła obok i pobiegła hołem w stronę schodów.

Devlin spoglądał za nią rozbawiony, ciekaw, co spłoszyło dziewczynę. Czyżby jego intencje były aż tak oczywiste? Był spragniony kobiety, ale wcale nie jakoś szczególnie podniecony.

Kiedy wszedł do sypialni, wszystko zrozumiał.

Z jego wielkiego łóżka podniosła się blond Wenus odziana jedynie w przezroczystą koszulkę, spod której przeświecały bujne piersi, pełne biodra i miękkie uda, a pomiędzy nimi - ciemnorudy trójkąt.

Elizabeth Sinclair Hughes uśmiechnęła się zalotnie.

- Otrzymałam twój list i przyjechałam najszybciej, jak mogłam.

Na jej widok poczuł znane mrowienie w łydźwiach. Ta kobieta należała do jego śmiertelnego wroga, człowieka, na którym mścił się powoli, lecz konsekwentnie, i właśnie dlatego podniecała go jak żadna inna.

Elizabeth była bardzo ładna.

- Widzę, że trzeba tobą pilnie się zająć, kapitanie - szepnęła.

Nieokiełznana, prymitywna żądza wzięła nad nim górę. Devlin usiadł okrakiem nad Elizabeth, rozpiął spodnie i wszedł w nią gwałtownie.

Wykrzyknęła z rozkoszy, już od dawna rozpalona. Devlin nacierał dziko, z całej siły. Przed oczami stanął mu Eastleigh - siwy, gruby, po pięćdziesiątce, i ten sam człowiek czternaście lat młodszy, szczupły, okrutny. Nieokiełznana żądza zlewała się w jedno z

nienawiścią. Znalazł usta Elizabeth i zaczął ją całować drapieżnie, a ona wiała się pod nim i jęczała.

W końcu i jego przeszły dreszcz rozkoszy i jednocześnie pojawiły się gniew i cierpienie. Nieruchome oczy ojca parzyły teraz z wyrzutem. Pozwoliłeś mi umrzeć, mówiły, pozwoliłeś umrzeć. Devlin marzył, żeby uciec od tego obrazu, od bólu, od udręki. W końcu przyszło szczytowanie i ono wreszcie wymazało wszystkie straszliwe wizje.

Nastała chwila spokoju, ukojenia, ale chwilę później dotarło do niego, kto pod nim leży, czyja to żona, i wspomnienia zaczęły wypełzać z mroku.

Devlin przekręcił się na bok, żeby znaleźć się daleko od hrabiny i szybko poderwał się z łóżka.

- Wielkie nieba, można by pomyśleć, że przez cały rok nie dotykałeś kobiety - rzekła Elizabeth z satysfakcją i pełnym zadowolenia spojrzeniem powiodła po biodrach i smukłych, muskularnych udach Devlina.

Nagi, ruszył na drugi koniec sypialni i nalał sobie pełen kielich wina, po czym pociągnął długi łyk, wstrząśnięty, jak zwykle, wspomnieniami, których zgodnie ze złożoną sobie przysięgą nie zmierzał nigdy wyrzucić z pamięci. Powoli wysączył kieliszek do dna, zmagając się z obecną w nim bestią, aż w końcu zapadła do swej nory.

- Życie toczy się niezmiennymi torami, prawda, Devlinie? - powiedziała hrabina, unosząc się na łokciu.

Po raz kolejny napełnił kieliszek i podszedł z powrotem do łoża, świadomy, że znów ma erekcję. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Stajesz się wyjątkowo przewidywalny, mój drogi.

- To może szybko się zmienić - rzucił od niechcienia. Podał jej wino, po czym z podziwem wpatrywał się w piersi Elizabeth. - Ty natomiast ani trochę się nie zmieniłaś.

- Pomimo twojej reputacji jesteś w każdym calu dżentelmenem - orzekła z zadowoleniem. - Postarzałam się o rok, przytyłam i jak nigdy dotąd jestem spragniona seksu.

- Nic się nie zmieniłaś - stwierdził stanowczo, teraz jednak zauważył drobne zmarszczki przy oczach i nieznacznie poszerzoną talię.

Elizabeth była kilka lat od niego starsza, ale nie znał jej dokładnego wieku. Wiedział jedynie, że miała dwie nastoletnie córki, chociaż nie pamiętał, czy starsza miała czternaście, czy już piętnaście lat. W każdym razie żadna z nich nie była córką Eastleigha.

- Kochanie, czy kiedykolwiek choć przez chwilę poleżysz spokojnie u mojego boku? - spytała, gładząc delikatnie wewnętrzną część jego uda.

- Nigdy niczego przy tobie nie udawałem. Wiesz, że należę do niespokojnych duchów.

- Naturalnie. Jesteś przecież korsarzem Jego Królewskiej Mości, a w każdym razie tak cię nazywają, gdy podczas proszonych kolacji rozprawiają o twoich wyczynach. - Jej ręka powędrowała wyżej.

- Jakże nudne muszą być owe kolacje.

Devlin nie dbał o to, jak go nazywano, i nie zawracał sobie głowy tłumaczeniem tego Elizabeth. Hrabina uwielbiała niezobowiązującą konwersację po miłosnych uniesieniach, a ponieważ od sześciu lat była dla Devlina źródłem cennych informacji na temat East-leigha, często zachęcał ją do wynurzeń.

- Tęskniłam za tobą - wymruczała.

W tej sprawie nie miał nic do powiedzenia, położył więc jej rękę na swojej męskości i rozkazał:

- Pokaż mi, jak bardzo.

- Przemówił przez ciebie prawdziwy dowódca. Nie zamierzał wydawać rozkazu, ale to stało się

jego drugą naturą. Leżał w bezruchu, gdy pieściła go językiem, i przyglądał się jej beznamiętnie. Pewnego dnia Eastleigh zostanie poinformowany o ich romansie - Devlin musi tylko zdecydować, jaki moment będzie najlepszy.

Niespodziewanie uniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie.

- Czy kiedykolwiek usłyszę od ciebie, że także za mną tęskniłeś?

Devlin lekko zeszywniał.

- Elizabeth, to nie najlepsza chwila na takie rozmowy.

- Doprawdy? Przecież tylko w takich sytuacjach jesteśmy razem.

Często się zastanawiam, co kryje się w tej szerokiej piersi. Niekiedy nie mogę oprzeć się wrażeniu, że masz serce z kamienia.

Wolałby, żeby się zajęła jego erekcją, a nie sercem, odpowiedział jednak cierpliwie:

- Czy kiedykolwiek składałem ci obietnice, Elizabeth?

- Nie. - Spojrzała mu w oczy. - Znamy się sześć lat i stałeś mi się bliski.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Po raz pierwszy zabrakło mu konceptu.

- Niewykluczone, że się w tobie zakochałam. Devlin wpatrywał się w ładną twarz hrabiny, równie pociągającą, jak jej ciało. Nie żywił do niej żadnych uczuć, choćby przyjaźni. Była dla niego jedynie środkiem wiodącym do celu, ale nie życzył jej źle. Nienawidził Harolda Hughesa, nie Elizabeth Hughes. Wolałby, żeby na razie wszystko pozostało bez zmian. Nie chciał jej zranić, i to bynajmniej nie z powodów etycznych. Nie należał do ludzi, w których można wzbudzić litość. Życie było jednym wielkim polem bitwy, a litość okazywana w walce prowadziła w prostej drodze do śmierci. Nie chciał ranić Elizabeth z tej prostej przyczyny, że wciąż była dla niego bardzo użyteczna. Chciał ją mieć na swoich usługach i na swoich warunkach. Nie życzył sobie, żeby zmieniła się w żadną zemstę, zgorzkniałą kobietę, gotową wbić mu sztylet w plecy.

- To nie byłoby rozsądne z twojej strony - powiedział w końcu.

- Nie możesz przynajmniej udawać? - spytała rozmarzonym tonem. - Chociaż raz skłamać?

Devlin bez wahania powiódł palcem po jej wargach, a potem wodził nim coraz niżej, wędrując za palcem ustami, aż dotarł do piersi. Chwilę później oboje znów byli złączeni we frenetycznym uścisku, a Devlin wchodził w nią dziko, bez opamiętania.

Po paru godzinach Elizabeth zaczęła się ubierać, a Devlin wskoczył do wanny o nóżkach w kształcie orlich szponów, i z przyjemnością zanurzył się w letniej wodzie. Przeżył tego dnia tyle orgazmów, że w umyśle miał w końcu błogosławioną pustkę; wreszcie nie musiał walczyć z demonami.

- Kochany?

Devlin drgnął gwałtownie, nie wiedział, kiedy zmorzył go sen. Elizabeth uśmiechała się do niego ubrana w elegancką, szafirową suknię trymowaną czarnym aksamitem.

- Wyglądasz tak kusząco w tej wannie, że chętnie bym do ciebie wskoczyła.

- Czy Eastleigh cię nie oczekuje? Ściągnęła brwi.

- Spodziewamy się gości na kolacji, więc tak, z pewnością na mnie czeka. Chciałam ci tylko powiedzieć, że przez najbliższe dwa tygodnie pozostanę w Londynie.

Dobrze zrozumiał jej intencje. Koniecznie chciała się z nim zobaczyć, zanim znowu wypłynie w rejs, co jemu także całkiem odpowiadało.

- Nie otrzymałem jeszcze oficjalnych rozkazów - powiedział, starannie ważąc słowa. - Nie wiem, kiedy znów wyruszę w morze.

Oczy natychmiast jej pojaśniały.

- Zobaczymy się jutro popołudniu?

- Doskonale, Elizabeth. Czy Eastleigh także pozostanie w mieście?

Jego pytanie z pewnością zabrzmiało w uszach hrabiny zupełnie niewinne - jak typowe pytanie kochanka zameężnej kobiety.

- Na szczęście nie. Być może uda mi się spędzić u ciebie całą noc.

Nie zareagował żadnym słowem czy gestem. Nie dopuszczał do tego, żeby kobiety spędzały noc w jego łóżku i nie zamierzał tego zmieniać.

Tymczasem na twarzy Elizabeth pojawił się wyraz irytacji.

- Dostałam polecenie, żeby przez dwa tygodnie nie ruszać się z Londynu! To cud, że właśnie teraz wróciłeś z misji, bo twoja obecność osłodzi mi te dni.

- Dlaczego musisz tu tkwić?

- Amerykańska bratanica Eastleigha jest w drodze do Londynu na pokładzie statku o nazwie „America-na”. Ma się tu zjawić w ciągu najbliższych dziesięciu dni.

Devlin starannie ukrył zdziwienie. Do tej pory nie wiedział, że Hughes ma w Stanach rodzinę.

- Nigdy nie wspominałaś o krewnych w zamorskich krajach - powiedział w zamyśleniu.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Nie było ku temu powodu, ale dziewczyna została sierotą i teraz przybywa do Anglii. Eastleigh umieścił ją w Ameryce na pensji dla dobrze urodzonych panien, ona jednak najwidoczniej zamierza czepiać się naszej klamki. Tylko tego mi brakowało! Jakiejś nieokrzęsanej dzikuski z kolonii! A co, jeżeli się okaże urodziwa? Ma

osiemnaście lat, a Lydia dopiero szesnaście. Nie podoba mi się, że jakaś amerykańska sierota będzie rywalizowała z moją córką o dobrą partię, ponieważ z racji starszeństwa, ją pierwszą trzeba będzie wydać za mąż.

- Wątpię, czy zaćmi urodą twoje dziewczynki. Jeżeli są choć w przybliżeniu równie piękne, jak matka, to absolutnie niemożliwe - odpowiedział kurtuazyjnie, bowiem myślami znajdował się daleko stąd.

Od Liverpoola otrzymał wyraźne rozkazy - miał odstraszać jankeskie jednostki, nie wolno mu było jednak ich atakować. Bratanica Eastleigha płynęła do Anglii na pokładzie amerykańskiego statku, z którym Devlinowi z pewnością przyjdzie spotkać się na pełnym morzu.

Czy mógłby zrobić dobry użytek z informacji Elizabeth? Czy mógłby dla swoich celów wykorzystać jej amerykańską bratanicę?

- Cóż, to bardzo miłe słowa. Co nie zmienia faktu, że nie uśmiecha mi się przyjmowanie sieroty bez grosza pod mój dach. Przecież wiesz, z jakimi kłopotami finansowymi borykamy się od kilku lat. Po prostu nas nie stać, żeby dać jej posag i odpowiednią wyprawę.

Devlin skinął obojętnie głową. Poczucie winy było mu całkowicie obce. Teraz już wiedział, co powinien zrobić.

Eastleigh wolałby nie oglądać u siebie bratanicy, ale z pewnością jeszcze bardziej nie chciał skandalu. Devlin po raz kolejny zlekceważył rozkazy - przejmie statek, porwie dziewczynę i zmusi

Eastleigha do zapłacenia słonego okupu za krewniaczkę, o której istnieniu najchętniej by zapomniał.

Och, jakże wielką przyjemność sprawi mu zadanie kolejnego ciosu tej spasionej kanalii!

Uśmiechnął się leniwie, ale serce zaczęło mu bić żywszym rytmem. To wprost cudowne zrządzenie losu - zbyt wspaniałe, by je zignorować.

ROZDZIAŁ TRZECI

Koniec maja 1812, Ocean Atlantycki

Zostali zaatakowani!

Wirginia przykleknęła na koi i przywarła nosem do bulaju, łapiąc rzemienny uchwyt dla zachowania równowagi, bo statek kołysał się szaleńczo, wstrząsany wybuchami wielu dział.

Była w szoku.

A wszystko zaczęło się parę godzin temu. Wirginia usłyszała od kapitana, że są zaledwie o dzień drogi od angielskiego wybrzeża i że lada moment na niebie zasnutym białymi obłokami może ujrzeć kołującą mewę. Chwilę później na horyzoncie rzeczywiście zamajaczył jakiś ciemny punkt. Nie był to jednak ptak.

Z każdą minutą punkt rósł w oczach i w końcu się okazało, że to statek. A ponieważ płynął z wiatrem -podczas gdy „Americana” halsowała pod wiatr - zbliżał się bardzo szybko i wkrótce stało się jasne, że znajdzie się na ich kursie.

Wirginia przebywała na pokładzie, grzejąc się w słońcu, więc od razu spostrzegła nerwowe napięcie wśród załogi. Dowódca „Americany”, kapitan Horatio, swego czasu oficer marynarki wojennej, nakierował lunetę na nadpływający statek. Niepokoiło go przede wszystkim nieznanne pochodzenie zbliżającej się jednostki.

- Wywiesić niebiesko-białe flagi sygnałowe - rozkazał.

- Sir? Widzę wyraźnie gwiazdzistą flagę na maszcie nadpływającej fregaty - poinformował pierwszy oficer.

- Doskonale, więc to jedna z naszych. Niestety, rzeczywistość okazała się zupełnie inna.

Fregata podpłynęła na odległość pięćdziesięciu jardów, ustawiła się na zawietrznej i wówczas amerykańska flaga zniknęła z masztu. Co gorsza, na jej miejscu nie pojawiła się żadna inna. Kapitan polecił Wirginii, aby natychmiast zeszła pod pokład, załoga tymczasem rzuciła się do dziesięciu dział, jakimi dysponowała „Americana”. Wirginia nie zdążyła nawet dobiec do drabinki, kiedy odezwał się jeden armatni wystrzał: ogłuszający, ale nieszkodliwy, bo kula spadła za rufę.

- „Americana”, tu „Defiance”! - rozległ się władczy głos, wzmacniany przez tubę. - Zamknijcie furty działowe, wchodzimy na pokład.

Wirginia zamarła, przyciskając się do boku prowadzącego pod pokład ciemnego luku, i przyjrzała się stojącej nieopodal jednostce - olbrzymiemu wielo-masztowcowi. Szybko też wychwyciła wzrokiem podstępnego, zdradzieckiego kapitana fregaty. Stał na mostku z tubą w rękę. Miał jasnozłote włosy, był wysoki, ubrany w białe spodnie, luźną białą koszulę i buty z cholewami. Wpatrywała się w niego przez chwilę jak zaczarowana i niespodziewanie ogarnęło ją przedziwne wrażenie, że już nic nigdy nie wróci do normy, a jej świat wywróci się do góry nogami.

Czas stanął w miejscu. Wirginia patrzyła jak urzeczona na wrogiego dowódcę, człowieka morza. I nagle zdjął ją paniczny strach.

- Wstrzymać ogień! - rozkazał kapitan Horatio. - Nie zamykać jednak furt!

- Kapitanie! - W oczach pierwszego oficera widać było śmiertelne przerażenie. - To O'Neill, postrach mórza. Nie możemy stanąć z nim do walki.

- A ja właśnie zamierzam tak zrobić! - warknął Horatio.

Wirginia zrozumiała, że się nie poddadzą. Wobec tego potrzebowała broni.

Rozejrzała się nerwowo dokoła, a tymczasem kapitan „Defiance” ponowił wezwanie do poddania. Załoga „Americany” pospiesznie szykowała się do oddania kolejnej salwy. Nagle morze jakby się zagotowało. „Defiance” wystrzelił do nich z wielu dział naraz. Statek się przechylił, a chwilę później gwałtownie nim

wstrząsnęło, to armatnie kule dosięgły pokładu. Wirginia usłyszała głośny wrzask, a potem przeraźliwe jęki.

Odwróciła się, spojrzała w górę i z jej ust wyrwał się mimowolny krzyk.

Horatio wydał komendę „ognia!”, a tymczasem jeden z trzech masztów „Americany”, roztrzaskany u podstawy, zwałił się na pokład, przygniatając kilku marynarzy. „Defiance” znów otworzył ogień, ale tym razem armaty nie zagrały unisono. Wirginia nie namyślała się ani chwili. Uniosła spódnice i popędziła ku rannym mężczyznom. Trzech przygniecionych jeszcze żyło, jeden z pewnością zginął na miejscu. Próbowwała unieść maszt, ale to było beznadziejne. Chwyciła więc pistolet, należący do zabitego marynarza, i z powrotem wycofała się w stronę luku.

Zsunęła się w dół po drabince i wpadła do małej kabiny, którą dzieliła z jedynymi poza nią pasażerami tego handlowego statku, statecznym małżeństwem w średnim wieku. W ciemnym, ciasnym pomieszczeniu, pani Davis kurczowo ścisnęła w dłoniach Biblię, szepcząc coś bezgłośnie z twarzą ściągniętą przerażeniem. Wirginia wcześniej dostrzegła pana Davisa na pokładzie; próbował pomagać rannym członkom załogi.

Chwyciła kobietę za ramię.

- Czy nic się pani nie stało?

Pani Davis spojrzała na nią nieprzytomnym ze strachu wzrokiem, najwyraźniej niezdolna do odpowiedzi.

Rozległa się kolejna kanonada, a zaraz potem trzask pękającego drewna. A więc znowu zostali trafieni. Wirginia wskoczyła na koję i spojrzała przez bulaj na atakujący okręt. W tej samej chwili „Americana” potężnie zatrzęsło i niewiele brakowało, a Wirginia spadłaby z koi.

Nie wierzyła własnym uszom i oczom. Kto mógł zaatakować neutralny, praktycznie bezbronny statek?

Pani Davis zaczęła głośno łkać i modlić się przez łzy, co wprawiło Wirginię w irytację, bo nie pozwalało jej skupić się na podstawowych kwestiach.

Jak dalej potoczą się wypadki? Czego chce ów straszliwy kapitan? Czy zamierza zatopić „Americane”? W jego działaniu nie widziała krztyny logiki!

Odruchowo powędrowała spojrzeniem w stronę wysokiego pokładu wrogiego okrętu, gdzie ów groźny kapitan stał tak nieruchomo, że mógłby uchodzić za posąg. Niczym drapieżny jastrząb wbijał wzrok w „Americane”. Jaki człowiek może być tak bezwzględny, tak niesłuchanie okrutny? Wirginię przeszedł dreszcz, gdy przypomniała sobie, że oficer Grier nazwał tego kapitana „postrachem mórz”.

Nagle uświadomiła sobie, że dzieje się coś nieoczekiwanego. Jeszcze kilkanaście sekund temu załoga złowrogiego „Defiance” uwijała się jak w ukropie. Teraz kanonierzy przy działach i ludzie przy masztach stanęli w bezruchu. Jedynie kilkunastu marynarzy schodziło po sznurowych drabinkach do wiosłowych łodzi

uwiązanych do rufy fregaty. A więc wróg zamierzał wejść na ich pokład!

Na „Americanie” również zapanowała niesamowita cisza. Kapitan Horatio na poddałby się tak łatwo; Wirginia też by tego nie zrobiła, będąc na jego miejscu. Pewnie więc zginął lub został ranny.

Szybko sprawdziła, czy jej pistolet jest naładowany i gotowy do strzału.

- Ojcze nasz, który jesteś w niebie, zmiłuj się nad nami wszystkimi! - wykrzyknęła pani Davis.

Wirginia nie była w stanie znieść tego dłużej. Odwróciła się i bezceremonialnie złapała kobietę za ramię.

- Dzisiaj nie ma tutaj Boga. Z pewnością nam nie pomoże. Wróg za chwilę będzie na naszym statku. To z pewnością piraci. Przegrywamy tę walkę, pani Davis, więc powinniśmy poszukać lepszej kryjówki.

Pani Davis jedynie przycisnęła Biblię do piersi, najwyraźniej sparaliżowana strachem. Gwałtownie poruszała ustami, próbując wypowiedzieć jakieś słowa, ale z jej gardła nie wydobywał się żaden dźwięk.

- Proszę wstać. - Wirginia odezwała się łagodniejszym głosem. - Schowamy się na samym dole.

Wiedziała, że pod spodem są najniższe pokłady, i miała nadzieję, że znajdą tam jakiś kącik, w którym zdołają się ukryć. Raz jeszcze pociągnęła panią Davis za ramię, ale bezskutecznie.

W końcu postanowiła nie oglądać się na współ-pasażerkę. Z pistoletem w ręku wspięła się z powrotem na górny pokład i patrzyła, jak pierwsza z łodzi zbliża się do „Americany”. O'Neill stał przy rufie, za swoimi ludźmi. Czemu, do diabła, nikt do niego nie strzelał?

Gdyby tylko miała muszkiet, ten człowiek już byłby martwy.

Palce ją świerbiły, dłoń lekko spotniała. Nie wiedziała, jaki zasięg ma pistolet, który trzymała w ręku - z pewnością nie za wielki. Wrogi kapitan był jednak coraz bliżej, czemu żaden z amerykańskich oficerów nie próbował go zabić?

Nie zamierzała dłużej tego tolerować. Podbiegła do relingu i starannie wycelowwała.

Kierując się szóstym zmysłem, O'Neill odwrócił głowę i spojrzał prosto w jej twarz.

Doskonale, pomyślała i wypaliła.

Pocisk nie doleciał, z cichym pluskiem wpadł w wodę tuż przed dziobem łodzi. Wirginia zrozumiała, że gdyby wstrzymała się minutę lub dwie, bez wątpienia trafiłaby jasnowłosego kapitana.

On tymczasem wciąż na nią patrzył.

Wirginia nie czekała dłużej. Okręciła się na pięcie i pobiegła do pierwszego luku, tego, którego używali marynarze. Niezdarnie zeszła po drabince i znalazła się w niemożliwie ciasnym, przepelnionym paskudnym odorem przedziale załogi. Zdumiało ją, jak okropne jest to miejsce, ale nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo po przeciwnej stronie pomieszczenia dojrzała kolejny luk. Uniosła klapę i

zaczęła schodzić jeszcze niżej. Teraz z pewnością znajdowała się pod powierzchnią morza.

Na tę myśl ogarnęła ją panika tak wielka, że nie mogła złapać tchu. Opanowała się ostatnim wysiłkiem woli i ujrzała małe drzwiczki, za którymi panowała całkowita ciemność. Jakże żałowała, że nie miała dość przytomności umysłu, by wziąć ze sobą świecę. Ostrożnie ruszyła jednak w ciemność i znalazła się w pomieszczeniu, w którym wymacała wiele skrzyń i beczek. Przykucnęła na samym końcu i wówczas uświadomiła sobie, że wciąż ściska w dłoni pistolet, teraz jednak bezużyteczny, bo nie pomyślała o zaopatrzeniu się w proch i kule.

Jednak go nie wyrzuciła, ale tym razem chwyciła za lufę; w razie czego użyje go w charakterze broni obuchowej.

Wzrok powoli przywykał do ciemności, wracała jej też jasność myśli. Uświadomiła sobie, że wysoki blondyn widział, że to ona do niego strzelała! Co prawda, był wciąż zbyt daleko, by mogła dostrzec rysy jego twarzy, ale dałaby głowę, że gdy wypaliła, wprawiła go w zdumienie. A może jednak szczęście jej dopisało? Może nawet nie zwrócił uwagi na ten nieszczęsny strzał?

Co się z nią stanie?

Odniosła wrażenie, że kałuża wody, w której stała, zrobiła się zdecydowanie głębsza (modliła się przy tym w duchu, by był to jedynie wytwór jej wyobraźni), i w tej samej chwili znowu usłyszała wystrzały, tym razem muszkietów. Dobiegł ją także szcęk szpad i

serce podeszło jej do gardła. A więc piraci byli już na pokładzie. Czyżby zabrali się do mordowania załogi?

A jaki los ją czekał?

Niespodziewanie na statku ponownie zapanowała cisza; zamilkły wystrzały i szcęk żelaza. Dobry Boże, czyżby już było po wszystkim? Czyżby ludzie bezlitosnego kapitana tak szybko zdołali opanować „Ame-ricanę”, na której służyło prawie stu marynarzy? Może O'Neill jednak jej wcześniej nie dostrzegł. Może ograbi jedynie statek i popłynie z powrotem do piekła, z którego przybył.

Wirginia zaczęła dygotać na całym ciele, ale wytłumaczyła sobie, że to z powodu zimnej wody, która teraz sięgała jej niemal do kolan. Czy zabije ją za próbę zamachu na jego życie?

Z punktu widzenia bezlitosnego pirata, nastawionego na zysk za wszelką cenę, napaść na statek wiozący w ładowniach bawełnę, ryż i inne towary zapewne miała sens, po co jednak mordować niewinną, zaledwie osiemnastoletnią dziewczynę?

Po raz pierwszy Wirginia cieszyła się, że jest taka drobna, iż można by ją wziąć za czternastolatkę. Że ma małą, bladą twarz i gęste, niesforne włosy. Dzięki Bogu, że nie wygląda jak Sara Lewis.

Tuż nad jej głową rozległ się odgłos kroków i Wirginia zamarła, a potem znowu zaczęła dygotać. Ktoś przemierzał przedział marynarzy, podobnie jak ona jakiś czas temu, gdy szukała odpowiedniej kryjówki. Przerazona, spojrzała na luk, którym się tu dostała. Choć jej wzrok przywykł do ciemności, nadal nie widziała wiodącej na wyższy pokład drabiny.

Dobiegły ją nieznaczne trzaski. Zacisnęła powieki. Po tak wielu dniach na morzu poznała już dobrze odgłosy naturalnie wydawane przez statek i morze: skrzywienie omasztowania, ciche westchnienia i plusk fal. Wiedziała więc od razu, że to, co usłyszała, to kroki człowieka schodzącego po drabinie.

Poczuła, jak pot spływa jej między piersiami.

Zacisnęła mocniej palce na lufie pistoletu, który ukrywała w fałdach spódnicy. To on schodził po drabinie, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Po drugiej stronie drzwi zamigotał płomień świecy.

Wirginia zmrużyła oczy. Dojrzała zarys białej postaci oświetlającej sobie drogę, rozglądającej się po niewielkim pomieszczeniu. Wirginia nie mogła złapać tchu, bała się, że jeszcze chwila, a się udusi. Ubrany na biało mężczyzna przeszedł przez drzwiczki. Wirginia chciała się poruszyć, ale nie była w stanie. On tymczasem uniósł do góry świecę i natychmiast ją zauważył.

Wirginia nie mogła oderwać od niego wzroku. Ów człowiek był bezlitosnym potworem, który zgładził wielu ludzi - w żadnym więc razie nie spodziewała się podobnego widoku. Stojący przed nią mężczyzna miał twarz greckiego boga, który właśnie zstąpił z Olimpu, o regularnych, męskich rysach i przesywających, szarych oczach. Ta anielska twarz zdawała się wykuta z granitu, i tak naprawdę była twarzą morskiego diabła.

O'Neill okazał się także dużo wyższy, niż jej się zdawało - czubkiem głowy sięgała mu zaledwie piersi - a do tego miał szerokie

ramiona i wąskie, gibkie biodra. Spodnie, opinające smukłe, ale doskonale umięśnione uda, były teraz splamione krwią. Krew widniała również na białej koszuli. Miał u boku szpadę i sztylet za pasem, ale poza tym Wirginia nie ujrzała innej broni.

Wzięła głębszy oddech. W tej ciasnej przestrzeni, którą teraz dzielili, ów odgłos wydał się niezwykle donośny.

- Chodź tutaj. - O'Neill przerwał pełne napięcia milczenie.

Wirginia ani drgnęła. Nie była pewna, czy zdołałaby wypełnić jego polecenie, nawet gdyby chciała. Miała wrażenie, że nie uda jej się ruszyć ręką ani nogą. Wreszcie zrozumiała, co znaczy paraliżujący strach, który jakiś czas temu owładnął panią Davis.

- Nie zamierzam zrobić ci krzywdy. Wychodź stamtąd.

Przemawiał kategorięcznym, władcym tonem. Nie ulegało wątpliwości, że nieczęsto spotykał się ze sprzeciwem. Wirginia wpatrywała się w jego zimne, srebrzyste oczy niczym zahipnotyzowana. Widziała, że narasta w nim złość. Powoli prześliznął się po niej wzrokiem - po jej ustach, włosach, cienkiej talii, przemoczonej spódnicy - i jego spojrzenie stawało się coraz bardziej chmurne.

Wirginia raz jeszcze odetchnęła głęboko, mocniej zaciskając palce na pistolecie, który teraz trzymała za sobą.

- Czego... czego pan chce?

- Jak już mówiłem, chcę, żebyś tu przyszła. Nie zwykłem po raz drugi powtarzać poleceń, a tymczasem mówię to już do ciebie po raz trzeci. - W jego tonie pobrzmiwało gniewne zniecierpliwienie.

Wirginia wiedziała, że nie ma wyboru, musi go posłuchać. Mimo to z dziecinnym uporem domagała się jakiegoś zapewnienia nietykalności i to od najbardziej niebezpiecznego człowieka, jakiego spotkała w życiu.

- Co pan zamierza ze mną zrobić? - wyszeptała.

- Zabrać na mój okręt - odparł obojętnie.

A więc chciał ją zgwałcić! Wirginia próbowała się uspokoić, ale nie mogła zapanować nad drżeniem.

- Jestem młodą, bezbronną dziewczyną i proszę pana o litość.

Jego usta wygięły się w uśmiechu - bezdusznym i pozbawionym wesołości.

- Nic ci nie grozi. Nie zostaniesz skrzywdzona.

- Co takiego?

- Czyżbyś była tym rozczarowana? Wpatrywała się w niego oszołomiona i zastanawiała, czy mu uwierzyć. Doszła do wniosku, że nie może mu zaufać, bo przecież ma przed sobą mordercę, a więc zapewne i kłamcę.

- Nie udam się na pański statek z własnej woli - usłyszała własne słowa.

- Słucham? - Spojrzał na nią z niekłamanym zdziwieniem.

Próbowała przed nim się cofnąć, ale nie miała dokąd - tylko drewniane skrzynie wbiły się boleśniej w jej plecy i w rękę, w której trzymała pistolet.

Niespodziewanie O'Neill wybuchnął śmiechem. Był to chropawy dźwięk, jakby śmiech nie był dla niego naturalnym odruchem.

- Masz czelność mi się przeciwstawić? Przeciwstawić się kapitanowi tego statku?

- Pan nie jest... - Urwała i przygryzła wargę. Och zamknij się, nakazała sobie w duchu.

- Pozwolę sobie wyrazić przeciwną opinię. Jestem kapitanem „Americany”, ponieważ zdobyłem ten okręt, a załoga się poddała. Poza tym kończy się moja cierpliwość. Mamy doskonały północno-wschodni wiatr - dorzucił, jakby to wszystko wyjaśniało.

Wirginia uparcie nie ruszała się z miejsca. Wcześniej planowała, że gdy pirat się zbliży, uderzy go pistoletem w głowę, on jednak okazał się zbyt wysoki. Zerknęła na jego krocze i tam postanowiła go ugodzić.

Wystarczyły dwa długie kroki i znalazł się tuż obok niej. Serce waliło Wirginii tak mocno, że aż poczuła ostry ból w piersi. Zesztywniała, gdy wyciągnął rękę, a kiedy chwycił ją za ramię, zamachnęła się pistoletem.

Miał refleks dzikiego kota. Uskoczył w bok i czubek lufy uderzył jedynie w twarde jak skała udo, od którego odbił się niczym piłka. Uchwyt ręki na jej ramieniu stał się silniejszy i Wirginia mimowolnie jęknęła.

- Podobne zachowanie, mademoiselle, w żadnym razie nie przystoi damie. Czegóż jednak innego mógłbym spodziewać się po podstępnej lisicy, która próbowała mnie zastrzelić?

Zbladła i spojrzała w jasnoszare oczy. A więc ją zauważył. Przysłowie głosiło, że oczy są oknami duszy. Jeżeli wierzyć ludowej mądrości, ten człowiek nie miał czegoś takiego jak dusza.

- Co pan zamierza ze mną zrobić? - wyszeptała.

- Już mówiłem. Zabieram cię na mój okręt. - Wyjął jej z dłoni pistolet i cisnął w kąt. A potem wskazał na drabinę prowadzącą na wyższy pokład, nie puszczając jednak jej ramienia.

Wirginia uparcie tkwiła w miejscu.

- Ale dlaczego? Przecież nie jestem ładna. Spojrzał na nią zdziwiony, po czym na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia.

- Dlaczego? Ponieważ będziesz moim gościem, panno Hughes.

Na dźwięk swojego nazwiska Wirginia zeszywniała ze strachu, szybko jednak wrodzona inteligencja przyszła jej z pomocą. Zapewne kapitan Horatio albo któryś z członków załogi wyjawiał piratowi jej nazwisko.

- Gościem? Czy raczej ofiarą?

- Wielkie nieba, jak na taką drobinę jesteś wyjątkowo wojownicza i uparta!

Pociągnął ją za sobą i Wirginia nie miała innego wyjścia, jak tylko przebierać nogami. Mokre spódnice kleiły jej się do łydek i kolan, co w każdej chwili groziło upadkiem.

- Czy jesteś w stanie wejść po drabinie, czy mam cię zarzucić sobie na ramię?

Nie zamierzała dopuścić, żeby się z nią obchodził jak z workiem kartofli, przynajmniej tak długo, jak to będzie możliwe. Zanim jednak skapitulowała, rzuciła nerwowo:

- Kapitanie, mam bardzo pilne sprawy do załatwienia w Londynie. To niezwykle ważne, bym bez zwłoki tam popłynęła. Musi mi pan na to pozwolić!

Wyciągnął drugą rękę w jej stronę, by - bez wątpienia - przerzucić ją sobie przez ramię. Najwyraźniej jego cierpliwość się wyczerpała.

Wirginia okręciła się w miejscu, chwyciła za spódnicę i zaczęła się wspinać po szczeblach w górę. Nie usłyszała jednak za sobą jego kroków i ogarnęło ją złe przeczucie. Gdy była prawie na szczycie drabinki odwróciła się i spojrzała w dół.

Wpatrywał się w jej nogi, powyżej kostki okryte falbaniastymi pantalonami. W jego oczach pojawił się dziwny wyraz. Po chwili przeniósł spojrzenie na twarz Wirginii.

- Od lat nie widziałem kobiety w pantalonach.

Wirginia zarumieniła się, a w uszach zadźwięczały jej okrutne słowa Sary Lewis: „Przykro mi, ale najwyższy czas, by ktoś ci uświadomił, że coś podobnego już dawno temu wyszło z mody!”.

Policzki zaczęły palić ją jeszcze silniej, gdy O'Neill żwawo ruszył w górę. Szybko wgramoliła się do kajuty załogi. Dusząc się od

przykrego odoru, niemal biegiem pokonała przedział, świadoma, że nie ma szans na ucieczkę. Jednak wkrótce będzie musiała uciec.

Do pokonania pozostała kolejna drabina. Wirginia nie chciała wspinać się pierwsza, ale pirat pchnął ją delikatnie do przodu.

- Na górę proszę, panno Hughes.

Zdobyła się na śmiałość i odezwała wojowniczo:

- To oczywiste, że nie jest pan dżentelmenem, sir. Proszę jednak nie strzelać tak nieprzystojnie oczami.

Spojrzał na nią zdumiony, a chwilę później zdziwienie przerodziło się w rozbawienie.

- Nie jestem zainteresowany twoimi urokami, panno Hughes.

- To doskonale! - wykrzyknęła, zdjeta nagłą złością. - W takim razie może zostawi mnie pan na tym statku, żebym mogła kontynuować podróż, a sobie znajdzie kogoś innego do zgwałcenia.

Spojrzał na nią surowo.

- Mówiłem, że będziesz moim gościem.

- Mam uwierzyć zabójcy?

- Możesz sobie wierzyć, w co tylko chcesz, ja jednak nie mam zwyczaju gwałcić swoich gości. Prawdę mówiąc, nigdy nikogo nie gwałcę. To nie w moim stylu. A teraz na drabinę!

- Po co w takim razie zabiera mnie pan na swój statek? - Nic z tego nie pojmowała.

- Ta zuchwałość zaczyna mnie męczyć, panno Hughes.

Wirginia spostrzegła, że to nie przelewki. Uniosła więc spódnicę i, nie oglądając się za siebie, zaczęła wchodzić po wiodących na pokład szczeblach.

Po niebie gnały teraz ciemniejsze chmury, a wokół unosił się zapach krwi. Wirginia z trudem stłumiła krzyk na widok pięciu zabitych amerykańskich marynarzy, ułożonych starannie obok siebie, zapewne przygotowanych do wyrzucenia za burtę. Wśród nich był także kapitan Horatio. Wirginii napłynęły łzy do oczu. Ten człowiek był dla niej bardzo dobry i serdeczny; na swój szczególny sposób przypominał jej ojca.

Pozostali członkowie załogi stali skuci łańcuchami. A nieopodal pan i pani Davis tulili się do siebie, wyraźnie przerażeni. Wirginia odwróciła się gwałtownie i spytała z furją:

- A co stanie się z państwem Davis? Czy oni także będą pańskimi gośćmi? - Nawet nie usiłowała ukryć nienawiści i sarkazmu.

- Nie - odparł, nie zaszczycając jej spojrzeniem. Mac! Gus!

Ogorzały, potężny marynarz, uzbrojony w pistolety, dwa sztylety i szpadę, ruszył żwawo w ich stronę, a tuż zanim podążył szybkim krokiem chudy, jasnowłosy chłopak, również obładowany bronią.

- Kapitanie?

- Mac, niech Gus zabierze pannę Hughes na „Defiance”. Nie zapomnijcie o jej bagażu. Rozkazuję, by nikt się do niej nie odzywał, nikt na nią nie patrzył ani w żaden inny sposób nie reagował na jej

obecność. Ta kobieta jest moją własnością i dla załogi po prostu nie istnieje. Czy to jasne?

Mac skinął głową.

- Tak jest, kapitanie.

Gus skinął głową z jeszcze większą powagą. Wirginia osłupiała. Ona jest jego własnością?!

- Wydawało mi się, że mam być pańskim gościem! - wykrzyknęła.

Kapitan ją zignorował, podobnie jak Mac i Gus.

- Mac, ty obejmiesz dowództwo nad tym statkiem. Doprowadź go do Portsmouth. Odbierzemy należną nam część nagrody od tamtejszego agenta. Drogo, Gardener i Smith zostaną z tobą. Dobierz sobie dziesięciu innych - to będzie twoja załoga. Ja wkrótce podążę za tobą.

- Popłyniesz z nami do Portsmouth, kapitanie? O'Neill położył dłoń na ramieniu Maca w przyjacielskim geście.

- Postanowiłem zmienić plany. W Portsmouth z powrotem wejdiesz na pokład „Defiance”.

- Tak jest!

Wirginia wszystko bacznie obserwowała i pilnie nadstawiała ucha. Kiedy jasnowłosy pirat wspomniał o zmianie planów, nadzieja znów zaczęła w niej przygasać. Dlaczego ten pirat tak się zachowuje? W duchu modliła się, żeby nie miało to żadnego związku z jej osobą.

Co zamierzał z nią zrobić? Być może zwiodła go elegancka suknia po mamie. Pewnie uznał, że Wirginia jest dość bogata, by

zażądać za nią okupu. Ale przecież pani Davis miała na sobie naszyjnik z pereł, kilka brylantowych pierścionków na palcach i dużo kosztowniejszy strój, a tymczasem O'Neill powiedział:

- Panie Davis, pani Davis, proponuję, żeby państwo udali się do swojej kajuty. Wieje korzystny wiatr i za chwilę podniesiemy żagle. W Portsmouth zostaną państwo wysadzeni na ląd.

Przerażeni Davisowie szybko zniknęli pod pokładem, a Wirginię ogarnęły jak najgorsze przeczucia. Czemu pirat nie ograbił pani Davis? Przecież jej biżuteria była warta parę tysięcy dolarów!

- Kapitanie O'Neill? - Gus podążył za oddalającym się piratem. O'Neill nawet nie zwolnił kroku.

- Owszem, możesz zwrócić się bezpośrednio do panny Hughes, żeby się dowiedzieć, gdzie są jej bagaże - powiedział. - A potem zabierz ją do mojej kajuty.

Ani razu nie spojrzał na Wirginię. Wskoczył na wyższy pokład, gdzie działa „Defiance” uszkodziły środkowy maszt i żagle. Kilku piratów zabrało się już za reperację takielunku.

- Podnieść główny maszt. Pod nim leży dobry żagiel. Wymienić sztagzel. Resztę da się załatać. Macie na to godzinę, potem ruszamy. Nie chcę zmarnować tego wiatru.

Wirginia wpatrywała się w wysoką postać i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ktoś coś do niej mówi.

- Panno Hughes, proszę tędy. Tędy, panno... hm... Hughes.

Wirginia odwróciła się i zobaczyła jasnowłosego chłopaka, który zdawał się młodszy od niej. Miał rumieńce na twarzy i patrzył w inną stronę, a więc bardzo poważnie potraktował wydane rozkazy.

- Dokąd się udajemy?

- Na pokład „Defiance” - odparł, patrząc gdzieś ponad jej ramię.

- Gdzie są pani bagaże?

- W kabinie, pod pokładem.

Gus chwycił za ramię innego młodego żeglarza i posłał po rzeczy Wirginii, a sam podprowadził ją do relingu. Poniżej kołysała się na falach niewielka łódka. Wirginia się zawahała.

Powiedział, że jej nie skrzywdzi, ale w to nie uwierzyła. Byłaby idiotką, gdyby mu zaufała. Z pewnością nie zabierał jej dla okupu, bo przecież nie wykazał najmniejszego zainteresowania bogatym małżeństwem Davisów. Czego więc mógł od niej chcieć?

Atlantyk połyskiwał stalowo, był dużo ciemniejszy niż oczy O'Neilla, i wyglądał wyjątkowo groźnie. Jeden fałszywy krok i Wirginia znajdzie się w lodowatej głębi. Przyszło jej do głowy, że inna kobieta rzuciłaby się pewnie w toń, żeby uniknąć straszego losu.

Wirginia mocno chwyciła za reling. Nie zamierzała umierać; tylko idiota przedkładałby śmierć nad życie -jakkolwiek miałyby się ono potoczyć.

- Nawet o tym nie myśl - dobiegł ją głos O'Neilla, który znalazł się u jej boku w jednym kocim susie.

Wirginia drgnęła i spojrzała wprost w niemal srebrzyste oczy. Dojrzała w nich niekłamana złość.

Musi pamiętać, że ten człowiek ma niebywale wyostrzone zmysły; nic nigdy nie umyka jego uwagi. Przewrotnie powiedziała jednak gniewnym tonem:

- Jeżeli zechcę skoczyć, nie uda się panu mnie powstrzymać.
- To groźba czy wyzwanie?

Uderzyły ją te słowa, ton głosu, wyraz twarzy. Zrozumiała, że on nie pozwoli jej umrzeć. A gdy stał blisko, taki wysoki, emanujący męską siłą, w pełni panujący nad sytuacją, wydarzyło się coś niezwykłego: ogarnął ją nieznany dotąd żar, pobudzający każdy nerw. Zaskoczona reakcją własnego ciała, Wirginia odskoczyła gwałtownie od O'Neilla, niespodziewanie bardzo zmieszana.

- Zabierz ją na „Defiance” - rzekł kapitan do Gusa. - Jeśli tylko zerknie na wodę, zawiąż jej oczy.

Wirginia spiorunowała go wzrokiem. Odpowiedział jej tym samym i wówczas zrozumiała, że nie ma szansy wygrać z nim żadnej batalii.

Silne ręce uniosły ją w górę i zarzuciły na chude ramię. Wirginia krzyknęła, ale było za późno, Gus już schodził po sznurowej drabince do niewielkiej łódki. Niósł ją tak uważnie, jakby była cennym ładunkiem złota. Zwieszona głową w dół, Wirginia raz jeszcze spojrzała na pirata, ale z tej upokarzającej pozycji nie mogła wyraźnie dostrzec jego oczu.

A gdy tylko znalazła się w łódce i została posadzona na ławeczce - zniknął

ROZDZIAŁ CZWARTY

Z pokładu „Americany” morze wydawało się gładkie i spokojne. Ledwo jednak marynarze chwycili za wiosła, fale zaczęły miotać małą łódką na wszystkie strony. Wirginia kurczowo chwyciła się brzegów burty, próbując nie zważać na fakt, że morska woda moczy jej suknię. Jeszcze minutę temu „Defiance” zdawał się stać bardzo blisko. Teraz miała wrażenie, że fregata zakotwiczyła w wielkiej odległości.

Łódka wyskoczyła ku niebu na wysokiej fali, a już chwilę później zaczęła lecieć w dół z zawrotną prędkością. Nie poszli jednak na dno. Kolejny pienisty grzbiet wyniósł ich ponownie w górę.

Wirginia od śniadania nie miała nic w ustach, a i tak czuła mdłości. Oderwała wzrok od wzburzonej powierzchni oceanu i wówczas się przekonała, że żaden z marynarzy nie sprawia wrażenia zatroskanego. Ona jednak nie mogła zapanować nad lękiem.

Raz jeszcze powiodła spojrzeniem po marynarzach i jej oczy spotkały się z oczami Gusa. Chłopak natychmiast odwrócił wzrok, rumieniąc się przy tym po same uszy.

Cóż za nonsens!

- Gus! - wykrzyknęła. - Jak wysiądziemy z tej łódki? - Podobne przedsięwzięcie wydawało jej się teraz samobójcze.

Kolejna fala przemoczyła ją do cna, Gus natomiast zachowywał się tak, jakby nie dosłyszał jej słów. Huk oceanu był w istocie ogłuszający, powtórzyła więc pytanie, wrzeszcząc najgłośniej, jak umiała. Gus nawet nie spojrzał w jej stronę.

W końcu dopłynęli do fregaty. Żeglarze rzucili z pokładu liny, a także spuścili deskę, której drugi koniec oparli o burtę okrętu. To była niejako odpowiedź na pytanie Wirginii.

Stojący na pokładzie żeglarze gapili się na nią z lubieżnymi uśmiezkami, wystarczyło jednak, że Gus rzucił ostro:

- Ona należy do kapitana. Nikomu nie wolno się do niej odzywać ani na nią patrzeć. To rozkaz.

Natychmiast wszyscy odwrócili wzrok, przybierając obojętny wyraz twarzy.

Wirginia nie wierzyła własnym oczom. W jaki sposób udało się O'Neillowi wzbudzić w załodze tak nieprawdopodobny posłuch? Nawet wołała nie myśleć o metodach, które doprowadziły do podobnej dyscypliny i uległości. Ten pirat musiał być nad wyraz okrutnym dowódcą.

Gus pewnie wprowadził ją po desce na górę. Jak tylko znaleźli się na przestronnym pokładzie „Defiance”, od razu puścił jej ramię, bo na dużym okręcie praktycznie nie odczuwało się falowania wody.

Wirginia rozejrzała się po fregacie. Jaki los ją tu czeka? Została poprowadzona wzdłuż pokładu, a rozkaz kapitana musiał dotrzeć do wszystkich członków załogi, bo kiedy przechodziła, wszyscy ostentacyjnie odwracali głowy. Chwilę później znalazła się w kabinie, gdzie zauważyła swój kufer. Usłyszała cichy stukot zamykanych drzwi.

Z całej siły objęła się ramionami. A więc doszło do najgorszego. Została branką kapitana pirackiego okrętu i znalazła się w jego kajucie.

Zadrżała i wówczas dopiero zdała sobie sprawę, że jest przemoczona i przemarznięta. Nie otworzyła jednak kufra, żeby wyjąć suche ubranie, ale rozejrzała się uważnie po pomieszczeniu.

Kabina była jakieś cztery razy większa od tej, którą Wirginia zajmowała uprzednio razem z Davisami, a do tego luksusowo wyposażona. Tuż za drzwiami stało niskie łóże z baldachimem, na stałe przyśrubowane do podłogi, pokryte jedwabnymi kapami w tureckie, czarno-czerwono-złote wzory. Na łóżu piętrzyły się czerwone, aksamitne poduszki bramowane złotą lamówką - bez wątplenia pochodzące ze Wschodu. Na ścianie, nad zagłówkiem znajdowały się dwa rzędy półek, a podłogę pokrywały perskie kobierce w kolorze ciemnego burgunda. W rogu stało solidne, duże biurko, zarzucone książkami i mapami morskimi.

Naprzeciwko znajdował się niewielki stolik jadalny, idealnie wypolerowany, o pięknie rzeźbionej nodze, otoczony czterema fotelami o eleganckich pokryciach i wysokich zagłówkach. Naprzeciwko stał chiński czarny parawan z laki, inkrustowany macicą perłową, częściowo zasłaniający porcelanową wannę. Nieopodal w ścianę została wbudowana spora szafa.

Wirginia poczuła się nieswojo. Z miejsca znienawidziła tę kabinę pełną osobistych rzeczy O'Neilla. Wszystkie one były o wiele piękniejsze i elegantsze niż sprzęty i przedmioty, znajdujące się w jej

własnym domu. Podeszła do łóżka, zastanawiając się trwożnie, gdzie będzie spała. Na niższej z półek ujrzała wówczas złożone sztuki bielizny - męskie kalesony i pończochy. Tam również leżała brzytwa i szczotka do zębów, stało lusterko i porcelanowa miska zdobiona złotem oraz kilka świec w cennych, srebrnych świecznikach.

Konsternacja Wirginii narastała z każdą chwilą.

Na wyższej półce dostrzegła słowniki: francusko-angielski, hiszpańsko-angielski, portugalsko-angielski i rosyjsko-angielski, a także dwie małe, mocno podniszczone książeczki: jedna zawierała potoczne zwroty arabskie, druga - chińskie.

Czyżby ów bandyta był człowiekiem wykształconym? Mówił z silnym, irlandzkim akcentem, ale miał w sobie coś arystokratycznego. Rzeczywiście, nie przypominał w najmniejszym stopniu stereotypowego pirata: bezzębnego osobnika, brudnego i śmierdzącego. Wirginia uświadomiła też sobie, że O'Neill był idealnie ogolony.

O nie, nie zniesie tego dłużej. Jeszcze chwila w tej kabynie pełnej jego rzeczy, a się udusi. Rzuciła się w stronę drzwi i bez większej nadziei chwyciła za klamkę. Tymczasem, ku jej zdumieniu, drzwi ustąpiły bez najmniejszego oporu.

A więc nie trzymali jej pod kluczem.

Przez niewielką szparę spojrzała w górę. Przygotowania na „Americanie” praktycznie dobiegały końca. Właśnie rozwijano nowy grot, co mogło oznaczać tylko jedno - statek wkrótce podejmie rejs. Gdybyż tylko zdołała jakoś dotrzeć na jego pokład!

Wyszła z kabiny. Już dawno minęło południe i wzmogła się siła wiatru, który chyba też zmienił kierunek, bo niósł ze sobą wyraźny chłód. Wirginia, nie zważając na zimno, osłoniła dłonią oczy i spojrzała na amerykańską jednostkę. Przy jej burcie nie widać już było żadnej łódki, nie miała więc szans na powrót.

Ukradkiem rozejrzała się dokoła. Marynarze wspinali się na wanty, rozwijali jedne żagle, refowali inne. Kilku członków załogi wciągało na pokład ogromną kotwicę. Nikt nie zwracał na Wirginię najmniejszej uwagi.

Zawahała się, po czym skierowała wzrok na mostek. Natychmiast zauważyła wydającego rozkazy O'Neilla. Silny wiatr targał jego jasnymi, związanymi w kitkę włosami i wydymał koszulę na plecach, klejąc ją jednocześnie do muskularnego, pięknie rzeźbionego torsu. O'Neill wyglądał imponująco i władczo. Zbyt władczo, by uwierzyć, że to jakiś wieśniak, który został piratem. Ten mężczyzna był bez wątpienia arystokratą, który zszedł na złą drogę.

O'Neill dojrzał Wirginię, posłał jej gniewne spojrzenie, po czym odwrócił się do niej plecami.

Nagle fregata ruszyła gwałtownie w przód, niczym koń wyścigowy wypuszczony ze startowej bramki. Wirginię rzuciło na ścianę kabiny.

Niemal w tej samej chwili pojawił się przed nią Gus.

- Kapitan życzy sobie, by pozostała pani w kajucie, panno Hughes - oznajmił, starannie unikając jej wzroku.

- Czemu więc nie zamknął mnie na klucz? - rzuciła kłótliwie.

- To rozkaz kapitana - wyjaśnił chłopak, rumieniąc się gwałtownie.

- Gus! - rzuciła ostro, chwytając go za nadgarstek. -Mnie nie obchodzą jego rozkazy, bo nie jest moim dowódcą!

Gus aż zamrugał powiekami z wrażenia i tym razem spojrzął na nią z osłupieniem.

Wirginia poczuła przyływ satysfakcji.

- Proszę, żebyś mi patrzył w oczy, kiedy do mnie się zwracasz. Nie jestem meblem czy jakimś zbędnym przedmiotem.

Ponownie się zaczerwienił i szybko odwrócił wzrok.

- Rozkaz kapitana, panno Hughes.

- A niech diabli porwą twojego kapitana! Niech go piekło pochłonie, co zresztą z pewnością nastąpi, i to szybciej niż mu się wydaje!

Gus po raz kolejny ośmielił się na nią spojrzeć.

- Wiatr się zmienił. Nadciąga sztorm. Proszę wejść do kajuty, bo jeżeli nie, będę musiał wprowadzić tam panią siłą. Taki mam rozkaz.

Wirginia parsknęła w sposób, który zdecydowanie nie przystoi damie, po czym wpadła jak burza do kabiny, zatrzasnąjąc z hukiem drzwi. Nasłuchiwała zgrzytu klucza w zamku, jednak się nie doczekała. Ostatecznie znajdowali się pośrodku oceanu, dokąd więc mogłaby uciec?

Za to w Portsmouth z pewnością umknie swojemu prześladowcy.

Usiadła energicznie w fotelu, podekscytowana perspektywą ucieczki. O ile dobrze rozumiała, od angielskiego portu dzielił ich tylko dzień drogi. Bez wątpienia uda jej się powstrzymać chutliwe zapędy pirata przez jedną dobę i w tym czasie ułożyć sensowny plan ucieczki.

Portsmouth leży w Anglii, zdoła dotrzeć stamtąd do Londynu, gdzie już czekał na nią stryj. Ogarnęła ją nadzieja.

Nie miała nic lepszego do roboty, jak tylko zająć się obmyślaniem kolejnych posunięć. Była skostniała z zimna, tęsknie więc spojrzała w stronę kufra. Nie odważyła się jednak na zmianę ubrania; bała się, że ten bezwzględny pirat zaskoczy ją, kiedy będzie w negliżu. A to byłoby zdecydowanie gorsze od przejmującego ją chłodu.

Chwilę później poczuła, że powieki robią jej się coraz cięższe. Oparła głowę na złożonych na stole ramionach i pogrążyła się we śnie.

- Weszła do kabiny, panie kapitanie - zameldował Gus.

Stery trzymał pierwszy bosman, ale Devlin stał u jego boku i wpatrywał się w mknące po niebie ciemne chmury. Niepokoiło go nagłe ochłodzenie. Wiatr wzmagął się, a instynkt - wyostrzony przez jedenaście lat służby na morzu - podpowiadał, że zbliża się wyjątkowo gwałtowna burza.

Jeszcze jednak nie nadeszła konieczność reflowania żagli. Wciąż mieli drobną szansę na ucieczkę przed sztormem, chociaż kosztem poważnej zmiany kursu.

Najważniejsze, że dziewczyna jest w jego kabinie. Przypomniawsobiesobie parę wielkich fiołkowych oczu, przepelnionych gniewem, osadzonych w drobnej twarzy o pięknie uformowanych, delikatnych kościach. Szybko jednak odegnał od siebie niechciane obrazy i spojrzawsobie na wciąż rumieniącego się Gusa.

- Ta pannica zatruwa ci życie? - Zażenowanie młodego marynarza szczerze go bawiło.

- To bardzo dzielna młoda dama, sir - odparł Gus z wahaniem.

Devlin wydał z siebie bliżej nieokreślony pomnik. Dzielna? To było poważne niedomówienie. Jej wielkie fiołkowe oczy prześladowały go od chwili, gdy miał nieszczęście ujrzeć amerykańską bratanicę hrabiego Eastleigh. Z jednej strony, szczerze bawiły go jej wybryki, z drugiej, doprowadzały do furii brak subordynacji. Ta dziewczyna była drobna jak dziecko, a miała w sobie odwagę dziesięciu dorosłych mężczyzn. Devlin, doskonały znawca ludzkich charakterów, wyczuł to od razu. Tyle że przymioty bądź wady panny Hughes były mu zupełnie obojętne: liczyło się tylko to, że mogła mu posłużyć do ostatecznego pognębnienia śmiertelnego wroga.

Gdy planował jej porwanie, wyobrażał sobie, że ujrzy dojrzałą i doświadczoną wyrefinowaną damę, w sposobie bycia podobną do Elizabeth, którą chętnie wiałby do łóżka, aby dodatkowo osłodzić smak zemsty. W żadnym wypadku nie spodziewał się małego półdiabła, które spróbuje go położyć trupem strzałem z broni

palnej, a potem ośmieli się raz jeszcze go zaatakować - tym razem kolbą pistoletu.

Devlin przeszedł na drugą stronę mostka i uniósł do oka lunetę. W lędźwiach poczuł znajome uczucie, groźne i gwałtowne - początek potężnego, nieokiełznanego pożądania.

Spoglądając przez lunetę, wykrzywił usta w pozbawionym wesołości uśmiechu. Myśl, że jeszcze dziś mógłby kochać się z bratanicą Eastleigha, była wyjątkowo kusząca. Jeszcze nigdy jego żądza nie była tak rozpalona jak w przypadku tej dziewczyny - może dlatego, że była tak drobna - co z pewnością uczyniłoby sam akt bardziej pierwotnym i brutalnym. Devlin nie kłamał, kiedy mówił, że nigdy nikogo nie zgwałcił. Nie pozwalał także na to swoim ludziom. Ostatecznie był człowiekiem, nie potworem. Matka, ojciec, a potem ojczym wychowywali go na dżentelmena. I z pewnością, gdy okazjonalnie pokazywał się na balach czy oficjalnych uroczystościach, właśnie za takiego uchodził. Choć w gruncie rzeczy wcale nim nie był. Żaden dżentelmen nie miałby bowiem szans na takie zwycięstwa i triumfy na morzu - czy to w czasach wojny, czy pokoju. Żaden dżentelmen nie zgromadziłby równie wielkiej fortuny, bogacąc się na łupieniu statków. I żaden dżentelmen nigdy nie wzbudziłby w załodze tak wielkiego szacunku i posłuchu. Mimo to skalenie osiemnastoletniej dziewczyny nie wchodziło w rachubę, jakkolwiek wydawało się kuszące.

Devlin odłożył lunetę. Reputacja tej dziewczyny i tak będzie zszargana, gdy w końcu odda ją Eastleighowi. Ale wcale go to nie

wzruszało. Bo i dlaczego miałoby wzruszać? Ona nic go nie obchodziła. A jeżeli by się okazało, że Eastleigh jednak darzył ją rodzinnymi uczuciami, tym bardziej by go ucieszyło zrujnowanie reputacji jego krewnej. Gdy zaś chodziło o jego własną reputację, gwizdał na nią od zawsze.

Przez większość życia obmawiano go za plecami. W dzieciństwie, jeszcze zanim zginął ojciec, sąsiedzi szeptali z mieszaniną litości i szacunku, że w innych okolicznościach Devlin wyrósłby na pana i władcę, podobnie jak jego dawni przodkowie. Potem wspominali o pauperyzacji jego rodziny i o miłostkach ojca. Gerald był dobrym mężem, ale, podobnie jak wielu innych mężczyzn, nie należał do najwierniejszych. Po śmierci Geralda szepty nie ustały. Wówczas wręcz przybrały na sile, a do tego towarzyszyły im niezyczliwe, oskarżycielskie spojrzenia. Plotkowano o przejściu jego rodziny na protestantyzm, o gorącym uczuciu matki Devlina do nowego męża, w końcu pojawiły się bezczelne pogłoski wręcz kwestionujące ojcostwo Geralda. Devlin jednak zawsze je ignorował z dumnie uniesioną głową i płonącymi policzkami.

Teraz plotki na jego temat, rozsiewane przez angielską arystokrację, nieustająco krążyły po londyńskich salonach. Wszyscy kłaniali się Devlinowi z szacunkiem, ale za plecami szeptali co innego. W oczy nazywali go bohaterem, pod jego nieobecność mówili o nim „zbójca”, „łotr” lub „pirat”. Co jednocześnie nie przeszkadzało im zapraszać go na przyjęcia i bale oraz pchać mu w ramiona niezamężne, posaż-ne córki.

Kariera w marynarce również niewiele go obchodziła. Dobrze mu się przysłużyła, ale miał do niej stosunek co najmniej ambiwalentny. Morze i wiatr były jego żywiołami, uwielbiał życie na statku, załoga była mu rodziną - to oczywiste. Jeżeli jego kariera w królewskiej flocie przedwcześnie dobiegłaby końca, nadal by pływał, tyle że na innych warunkach. Nie odczuwał lojalności wobec angielskich zwierzchników, był natomiast gorącym patriotą: dla swojej Irlandii zrobiłby wszystko.

Devlin po raz kolejny nie wykonał rozkazów. Więcej, jawnie i skandalicznie je pogwałcił. Rzecz w tym, że admiralicja potrzebowała go bardziej, niż łaknęła jego głowy; poza tym on już się postara, żeby obecną rozgrywkę z Eastleighem poprowadzić dyskretnie, elegancko, ze wszelkimi pozorami przestrzegania zasad honoru. Eastleigh z pewnością nie życzył sobie skandalu, a Devlin wiedział, jak porwanie jego bratanicy i żądanie okupu utrzymać w tajemnicy. Zamierzał zresztą zakończyć tę sprawę możliwie szybko, gdy tylko odrobinę poigra z Eastleighem.

Na tę myśl, zapatrzony w ciemniejące niebo, uśmiechnął się z satysfakcją.

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło i jak długo stał przy drzwiach, w gęstniejącym mroku. Wiedziała jedynie, że nagle się obudziła, a on uparcie w nią się wpatrywał.

Wyprostowała się natychmiast w fotelu, świadoma dziwnego błysku w jego oczach. Devlin tymczasem nie ruszał się z miejsca, jakby dopiero co wszedł do kabiny. Wirginia poderwała się na równe

nogi. Jej suknia wciąż była mokra, co oznaczało, że nie mogła spać długo.

- Od jak dawna pan tu stoi? - spytała wojowniczo. Przesunął spojrzenie z jej twarzy na piersi. Szybko jednak znowu zajrzał jej w oczy, po czym przeszedł na drugi koniec kabiny.

- Od niedawna - odpowiedział chłodnym, obojętnym głosem.

Wirginia objęła się ramionami. Poczowała, że się rumieni. Czyżby ten mężczyzna lubieżnie patrzył na jej biust? Przecież ona miała bardzo małe piersi... Nie zmieniało to jednak faktu, że ta kabina był zbyt ciasna dla nich obojga.

- Wydawało mi się, że to teraz moje lokum. Właśnie otwierał drzwi szafy. Odwrócił się jednak w jej stronę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Bo jest.

- W takim razie powinien pan wyjść. Teraz spojrzał na nią uważniej.

- Czy ktoś ci już mówił, że masz język sekutnicy?

- Za to pan jest arogancki. Ta kabina jest za mała dla nas dwojga i... - Głos jej się załamał, gdy spojrzała na jego mokrą koszulę, klejącą się do mocnych mięśni. - Pan śmierdzi.

- Wyjaśnijmy coś sobie, panno Hughes. To przede wszystkim moja kabina, a ty jesteś tutaj gościem. Nie przebrałaś się. Dlaczego?

Nagła zmiana tematu wytrąciła ją z równowagi.

- Nie mam ochoty zmieniać sukni.

- Lubisz wyglądać jak zmokły szczur? A może przyjemnie ci trząść się z zimna?

- Dziękuję za komplement... i budujący przykład sarkazmu.

- Droga panno Hughes, jeżeli nie zrzucisz z siebie tych mokrych ubrań, dostaniesz zapalenia płuc. A twoja śmierć nie leży w moich planach.

- A co w nich leży? - podchwyciła z ochotą. Wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie. Nie ulegało wątpliwości, że go zirytowała. Zignorował pytanie, ale zanim zdążyła mu to wytknąć, ściągnął mokrą, poplamioną krwią koszulę i rzucił na podłogę.

Wirginia zaczęła cofać się gwałtownie, aż uderzyła plecami o drzwi.

- Co pan wyprawia, na Boga? - spytała, wpatrując się jak zahipnotyzowana w szerokie ramiona i równie szeroką, twardą niczym skała pierś.

Przesunęła wzrokiem nieco niżej. Jego brzuch był płaski, poznaczony liniami mięśni. Szybko odwróciła głowę i ponownie się zarumieniła.

- Mam dość zdrowego rozsądku, by się przebrać w suche ubranie - odparł stanowczym tonem.

Twarz boga i ciało wojownika. Już wcześniej widywała mężczyzn bez koszuli, jeszcze w „Słodkim Dereniu”, ale na widok nagiego torsu Franka jakoś nigdy nie popadała w taką konsternację.

Naturalnie, w „Słodkim Dereniu” nie przebywała w charakterze więźnia - nie trzymano jej tam wbrew woli w ciasnej przestrzeni razem z prześladowcą.

- Ta kabina jest zbyt mała dla nas dwojga - powiedziała raz jeszcze z bijącym sercem.

O'Neill trzymał w ręku czystą koszulę, ale stał bez ruchu. Gdyby Wirginia nie widziała, jak lekko wznosi się i opada jego pierś, równie dobrze mogłaby go wziąć za posąg.

- Powtarzasz się - stwierdził.

Spojrzał jej głęboko w oczy i wówczas Wirginia natychmiast przestała się trząść z zimna. Nagle w kabinie zrobiło się gorąco i duszno.

Twarz Devlina stężała.

- Gapisz się na mnie - zauważył. Szybko odwróciła wzrok.

- Mógł pan mnie ostrzec. Powiedzieć, że powinnam wyjść - odparła, usilnie wpatrując się w podłogę.

- Nie wiedziałem, że widok męskiego torsu może być aż tak fascynujący.

Posłała mu pełne złości spojrzenie, on jednak stał już zwrócony do niej plecami. Miał na sobie świeżą koszulę ze szlachetnego płótna, a teraz ściągał wysokie, obcisłe buty. Kiedy sięgał do górnej półki, Wirginia dojrzała skrawek złocistej skóry. Chwilę później O'Neill trzymał w ręku czyste spodnie.

Bez słowa Wirginia okręciła się na pięcie i otworzyła drzwi.

Devlin w dwóch szusach przebył szerokość kabiny i zatrzasnął Wirginii drzwi tuż przed nosem.

- W takim stanie nie możesz wyjść na pokład.

Jakże wyraźnie czuła bliskość męskiego muskularnego ciała! Gdyby się teraz odwróciła, wpadłaby w objęcia O'Neilla.

- Nie zamierzam patrzeć, jak pan się rozbiera -odparła niepewnie.

- Panno Hughes, nie proszę, żebyś na mnie patrzyła. Wybacz. Zapomniałem, jak niewinne bywają osiemnastoletnie dziewczęta.

A więc teraz zamierzał odgrywać dżentelmena? Zdumienie walczyło w niej z zawstyżeniem.

Do tego wszystkiego nie mogła wyzbyć się wrażenia, że z jego ciała emanuje niezwykle ciepło, pewnie dlatego, że dzieliły ich zaledwie cale. Na szczęście

O'Neill gwałtownie opuścił rękę i odsunął się od drzwi.

Wirginia powoli zwróciła się w jego stronę. Wciąż trzymał w dłoni czyste spodnie.

- Odwróć głowę - zarządził sucho. - Za moment będę gotowy i wówczas ty będziesz mogła się przebrać.

- Wolałabym jednak wyjść z kabiny... - podjęła.

- Na Boga, kobieto! Czy musisz kwestionować każde moje słowo? W tej sukni wyglądasz nieprzyzwoicie! - Raz jeszcze spojrzał na jej piersi, po czym ruszył w stronę szafy, po drodze rozpinając spodnie.

Dopiero za moment do Wirginii dotarły jego słowa. Rzeczywiście mokry jedwab kleił się do ciała, opinał niewielki biust, uwydatniał sterczące sutki - praktycznie każdy szczegół jej anatomii. Nic dziwnego, że tak na nią patrzył. Równie dobrze mogłaby stać naga. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak upokorzona.

Rozległ się szelest tkaniny.

Wirginia uniosła wzrok i wówczas zobaczyła dużo więcej niż powinna: długie nagie nogi, idealnie umięśnione, a ponad nimi jędrne pośladki. Szybko odwróciła się w stronę drzwi, z trudem łapiąc oddech. Była dzielna, ale teraz odwaga zaczęła ją opuszczać.

Musiała jak najszybciej dostać się do Londynu, wzbudzić w stryju współczucie, wyblagać spłatę długów. Tymczasem znajdowała się na pokładzie pirackiego statku, w kabinie herszta bandy, który niekiedy wysławiał się i zachowywał jak arystokrata i był tak uwodzicielsko męski, że ciało Wirginii po raz pierwszy zaczęło reagować w przedziwny, niezrozumiały sposób. Jak to możliwe? Jest jej wrogiem. Stoi na drodze do odzyskania „Słodkiego Derenia”. Nienawidzi go z całej duszy - nic w nim nie powinno jej więc fascynować ani zachwycać.

- Poczekam na zewnątrz - oznajmił. Wirginia, z trudem powstrzymując łzy, skinęła

głową i odsunęła się na bok. Miała świadomość, że się jej przygląda, ale nie zerknęła na niego choćby kątem oka. Podeszła do kufra i udawała, że pilnie czegoś w nim szuka, modląc się w duchu, by przypadkiem nie pociekły jej z oczu łzy. W końcu usłyszała odgłos

zamykanych drzwi. Opadła wówczas na podłogę i zaczęła cicho płakać.

Szli gnani silnym, wręcz porywistym wiatrem. Devlin przejął ster z taką miną, jakby wierzył, że jeszcze zdoła coś zmienić. Trzymał koło pewnie jak człowiek, który nawet przez sen mógłby prowadzić wielki okręt, i koncentrował się na czekającym go wyzwaniu: ucieczce przed sztormem.

- Damy radę? - usłyszał obok siebie cichy głos i natychmiast wyrzucił z pamięci obraz wielkich fiołkowych oczu.

Wdzięczny za tę ingerencję w jego myśli, spojrział uważnie na lekarza okrętowego, niskiego, tęgiego mężczyznę o gęstych bokobrodach i siwych kręconych włosach.

- Może tak, może nie - odparł. - Będę wiedział za piętnaście minut.

Jack Harvey skrzyżował ramiona na piersi i zerknął na czarne, pozbawione gwiazd niebo.

- Co to za sprawa z tą zakładniczką?

Devlin nie odrywał wzroku od ciemnego horyzontu.

- Szaleńcza i prywatna.

- Kim ona jest?

- Czy to istotne?

- Dostrzegłem ją, gdy jeszcze była na pokładzie „Americany”.

To bardzo młoda dama. Instynkt podpowiada mi, że chodzi o okup, i nic z tego nie rozumiem. Nigdy do tej pory nie brałeś zakładniczek.

Wszystkie kobiety, bez wyjątku, zawsze puszczałeś wolno.

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz - zauważył Devlin. W żadnym razie nie zamierzał wtajemniczać doktora w swoje plany. - Jak tam ranni?

- Brinkley umiera, ale dałem mu dużą dawkę laudanum, więc nie zdaje sobie z tego sprawy. Buehler i Swenson się wyliżą. Czy jej nie potrzeba lekarza?

- Jedyne, czego jej potrzeba, to knebel - odrzekł Devlin z irytacją.

Jack Harvey spojrział na Devlina zdziwiony, po czym powiedział:

- To wyjątkowo piękne, nieokiełznane stworzenie, czyż nie? Wielki Boże, słyszałem, że chciała cię zastrzelić! Ona...

- Reams! - wykrzyknął Devlin, nie zważając na doktora. - Przejmij stery i trzymaj kurs. - Postukał w kompas, po czym przeszedł na drugą stronę mostka. Sam nie pojmował, czemu nagle zdjęła go złość.

- Pewnie nie zaprosisz mnie dziś na kolację, żebym mógł godnie się posilić, zanim opadną nas piekielne szkwały? - zawołał za nim Harvey.

Devlin nie zawracał sobie głowy udzieleniem odpowiedzi. Rzeczywiście nadszedł czas na posiłek. Jeżeli dogoni ich sztorm, musi być syty, by mieć dość sił na walkę z żywiołem.

Wrócił myślami do zakładniczki. Czyżby płakała, gdy wychodził z kabiny?

W zasadzie nic go to nie obchodziło. Łzy były dla kobiet narzędziem manipulacji; przekonał się o tym dawno temu. Ponieważ nie zależało mu na żadnej kobiecie, płacz nie wywierał na nim najmniejszego wrażenia.

Otworzył drzwi kabiny i ujrzał Wirginię przy stole zastawionym naczyniami ze srebra i kryształu. Spod półmiska nakrytego kopulastą pokrywą wydobywały się apetyczne aromaty. Dziewczyna siedziała sztywno wyprostowana, z dłońmi złożonymi na kolanach. Gdy wszedł, spojrzała na niego nieco błędnym wzrokiem, a na wysokich, delikatnych kościach policzkowych wykwit rumieniec.

Devlin zamknął drzwi. Wyczuwał zbliżającą się batalię.

- Zastanawiałam się, kiedy pan wróci... kapitanie. Uwielbiał wszelkie potyczki, a ta z pewnością dostarczy mu przyjemności.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że tak tęsknisz do mojego towarzystwa. - Ukłonił się nieznacznie.

- Tęsknię do widoku pańskiej głowy podanej na srebrnej tacy - odparła tak wyniosłym tonem, jakby była królową angielską.

Miał ochotę się roześmiać. Powstrzymał się w ostatniej chwili.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować. Mój kucharz jest Francuzem. Z pewnością więc przygotował o wiele wykwintniejsze dania.

W jej oczach zapaliły się gniewne błyski.

- W takim razie poczekam na lepszy dzień, gdy zostanie mi zaserwowana potrawa, której pragnę najbardziej.

- Nie zrobiłaś na mnie wrażenia kobiety cierplivej. A ponieważ dzień, o którym marzysz, nie nadejdzie jeszcze przez długie lata, co mógłbym ci tymczasem zaoferować?

- Ma pan rację. Nie jestem cierpliwa! Nie ma we mnie krztyny cierpliwości! Jest pan złoczyńcą i zbrojcem!

- Panno Hughes, czyżbym czymkolwiek cię uraził?

- Uraził?! Morduje pan niewinnych Amerykanów, porywa mnie, więzi, obnaża się na moich oczach, patrzy nieprzystojnie na moje piersi i pyta pan, czy mnie uraził? To dopiero paradne!

Sięgnął po butelkę z czerwonym winem.

- Czy mogę? - spytał, napełniając jej kieliszek. Zerwała się na równe nogi.

- Pan jesteś oficerem! - wykrzyknęła, a Devlin stężał, bo odniósł wrażenie, że za chwilę ta pannica go uderzy. Ona jednak ograniczyła się do kolejnego wrzasku. - Oficerem brytyjskiej marynarki!

Odstawił butelkę na stół i zgiął się w ukłonie.

- Lord kapitan Devlin O'Neill. Do usług, panno Hughes.

Wirginia trzęsła się z wściekłości, on zaś postanowił ją zawstydzić i lubieżnym wzrokiem znów obrzucił jej piersi.

- Proszę tak na mnie nie patrzeć - wysyczała. -Dopuścił się pan zbrodniczych czynów! Odrażających! Proszę natychmiast się wytłumaczyć, lordzie kapitanie!

To zupełnie niesłychane. Ta kobieta ośmielała się wydawać mu rozkazy. Już dawno nic go bardziej nie rozbawiło. Znajdowała się na

jego statku, skazana na jego łaskę i niełaskę, i próbowała się rządzić!
Wybuchnął niepoohamowanym śmiechem.

Wirginia zamarła, słysząc ten dziwny, chropawy śmiech. Po chwili, wciąż rozwścieczona przewrotnością O'Neilla, a jednocześnie świadoma, że jej położenie nie jest tak dramatyczne, jak wcześniej przypuszczała, rzuciła ostrym tonem:

- Czekam na wyjaśnienia... kapitanie! Rozbawiony, pokręcił głową, po czym spojrzał na nią badawczo.

- Czy ty się mnie nie boisz? - spytał miękkim głosem.

Zawahała się na moment. Cóż miało oznaczać to pytanie?

- Bądź szczerą - ponaglił, udając powagę.

- Przeraza mnie pan - ze zdumieniem usłyszała własne słowa. -
To znaczy przeraził mnie pan bardzo na początku, ale w końcu się okazało, że nie potrzebnie się tak bałam, do diabła!

- Damy nie przeklinają - pouczył ją natychmiast.

- Nic mnie to nie obchodzi. Poza tym nie traktuje się mnie tu jak damę, czyż nie?

- Ktoś, kto by cię tak nie traktował, już dawno miałby cię w swoim łóżku, tam, gdzie twoje miejsce. Jak do tej pory nikt cię nawet nie próbował do tego nakłaniać, o ile się nie mylę.

- Ja nie... moje... moje miejsce wcale nie jest w pańskim łóżku - wyjąkała. - Zwykle przejęzyczenie z mojej strony.

- Zgadzą się z tobą w całej rozciągłości. Chude kobiety wbijają się człowiekowi w żebra.

W pierwszej chwili zaniemówiła, po czym wykrzyknęła:

- Mam zaledwie czternaście lat! Chyba nie wzięłyby pan do łóżka dziecka?!

- Prowadzisz bardzo niebezpieczną grę - powiedział cicho.

- To nie jest gra!

- Czyżby? Jak w takim razie wyjaśnisz fakt, że podróżowałaś przez morze sama, bez towarzystwa przyzwoitki?

Zaczęła gorączkowo zastanawiać się nad wyjaśnieniem.

- Okłamałam kapitana Horatia - rzuciła pośpiesznie.

- To jasne, że nie pozwoliby dziecku podróżować samotnie do Anglii. Powiedziałam mu, że mam osiemnaście lat...

- W mokrej sukni nie wyglądałaś na czternastolatkę. Siadaj, proszę. Nasza rozmowa jest interesująca, jednak przyszedłem tutaj w określonym celu. Nadciąga sztorm, a jeżeli nas dopadnie, czeka mnie długa, męcząca noc.

- Podeszedł szybko do Wirginii i odsunął jej fotel.

Ona tymczasem wcale nie miała ochoty usiąść, bo od środka rozsadzała ją dziwna energia. Nagle zaczęło jej zależeć, żeby ten mężczyzna nie myślał o niej jak o dziecku. Na szczęście chyba nie uwierzył w jej kłamstwo. Poza tym wcale nie jest piratem. Na myśl o tym, że dała się tak oszukać i zastraszyć, znowu zdjęła ją złość.

- Czemu mi pan nie powiedział, że jest kapitanem marynarki?

Wzruszył ramionami.

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Oczywiście! Ponieważ wcześniej sądziłam, że jestem tutaj więźniem, chociaż nie pojmowałam z jakiej racji. Teraz wiem, że nie

znalazłam się w rękach bandytów, mimo że nadal nie rozumiem, czemu nie jestem na pokładzie „Americany”. Zdaję sobie sprawę, że Brytyjczycy mają za nic naszą flotę i prawa Amerykanów, czego pan właśnie dowiódł. Jednak nasze kraje nie znajdują się w stanie wojny; na swój sposób jesteśmy wręcz sojusznikami. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w Portsmouth zejść wolna na ląd.

Do takiej konkluzji doszła, gdy zobaczyła w szafie jego mundur. Oficer brytyjskiej marynarki z pewnością nie porwałby dla okupu czy innych niecznych celów, obywatelki niepodległych Stanów Zjednoczonych. O co jednak mogło mu chodzić?

- My nie jesteśmy sojusznikami - oznajmił sucho. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Nie podobał

jej się także wyraz jego twarzy.

- Nie zamierzam wypuścić cię w Portsmouth na ląd.

- Co takiego?! Ależ...

- Zabieram cię natomiast do Askeaton. Czy kiedykolwiek byłaś w Irlandii, panno Hughes?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Chyba musiała się przesygnąć.

- W Irlandii? Chce mnie pan zabrać do Irlandii?!

- Nie nazwałbym tego chęcią - odparł. - Takie są moje plany. A teraz proszę usiąść, bo muszę w końcu coś zjeść. - Wciąż trzymał dla niej odsunięty fotel.

Wirginia poczuła zamęt w głowie.

- Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem.

- Wielkie nieba! - rzucił z irytacją. - Tu nie ma nic do rozumienia. Zabieram cię do Irlandii, młoda damo. Będiesz tam moim gościem.

Wciąż nie do końca pojmowała, co się dzieje.

- Jednak jestem pańskim więźniem.

- Wolę myśleć o tobie jak o gościu. Nie skrzywdzę cię w żaden sposób, nawet jeżeli masz osiemnaście lat.

- Dlaczego pan to robi?

- To nieistotnie. A teraz usiądź.

Wirginia znalazła się w beznadziejnym położeniu. Potrząsnęła głową, nie podchodząc do wysuniętego fotela.

- Nie mam apetytu. Czy chodzi o okup?

- Jakże jesteś domyślna.

- Nie mam pieniędzy ani majątku. Mój spadek wkrótce zostanie rozprzedany, a dochód przekazany na pokrycie długów ojca.

Wzruszył ramionami, jakby to nic go nie obchodziło. Ta obojętność przeraziła Wirginię, zdołała jednak się opanować.

- Puścił pan panią Davis. Ona jest bogata.

- Jeżeli zamierzasz się głodzić, wolna wola.

Usiadł przy stole i zaczął sobie nakładać z półmiska wonną potrawkę baranią. Jadł szybko i z taką koncentracją, jakby to była najważniejsza misja jego życia, którą chciał jak najszybciej i najdokładniej wypełnić.

W końcu uniósł kieliszek z winem i powiedział pogodnie:

- To doprawdy doskonała kontrabanda.

Wirginia nie odezwała się słowem. Zaczynała pojmować, że O'Neill zamierzał zażądać za nią okupu i nic a nic nie dba o jej spadek. Znał jej nazwisko, zanim się jeszcze spotkali. Zapewne wiedział wszystko o jej stryju, hrabim.

Zajęła odsunięty fotel. Devlin zerknął na nią spod oka, nie przestając jeść. Przynajmniej teraz jest bezpieczna, czyż nie? Ten człowiek to oficer marynarki. Być może mieli go zwolnić lub czekało go coś jeszcze gorszego - osobiście chętnie by popatrzyła, jak zawisa na szubienicy - ale nie był pospolitym przestępcą. Chciał okupu, lecz nie ulegało przy tym wątpliwości, że zamierzał oddać ją stryjowi pod każdym względem nietkniętą.

W zaistniałej sytuacji powstał więc zupełnie inny problem: czy stryj ma dość pieniędzy, żeby ją wykupić i jednocześnie spłacić długi ojca?

- Wydaje mi się, że myśłami błędzisz daleko stąd. -O'Neill rozparł się w fotelu, najwidoczniej już syty.

- Jest pan całkowicie wyzuty z zasad moralnych, kapitanie - orzekła. - To nie ulega wątpliwości.

- Nigdy nie twierdziłem inaczej. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Moralność jest dla głupców, panno Hughes.

Przechyliła się przez stół w jego stronę.

- W jaki sposób mogłabym wpłynąć na zmianę pańskich zamiarów? - Wprost nie mogła uwierzyć własnym słowom. - Nie chcę, żeby mój stryj płacił okup, kapitanie O'Neill. W rzeczywistości mam osiemnaście, nie czternaście lat. - Jego twarz pozostała bez wyrazu. - Zrobię wszystko, co pan zechce, byle tylko odzyskać wolność.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, która zdawała się wiecznością.

- Czy proponujesz to, co mi się zdaje?

Zrobiło jej się słabo... brakowało jej tchu... ogarnął ją wstyd... i rezygnacja.

- Owszem - wyszeptała. Devlin podniósł się z miejsca.

- Sztorm jest już niemal nad nami. Obawiam się, że na mnie czas. Nie opuszczaj kabiny. Podczas burzy taki drobiazg jak ty zostanie natychmiast zmieciony z pokładu do morza.

Rzucił serwetkę na stół, po czym pewnie podszedł do drzwi, chociaż podłoga się kołysała.

To miała być odpowiedź na jej słowa? Wirginia nie wierzyła własnym uszom.

Zatrzymał się z ręką na klamce.

- Moja odpowiedź brzmi: nie - rzekł i wyszedł. Rozpłakała się - teraz były to łzy desperacji. Dobrze

wiedziała, że jest stryjowi całkowicie obojętna. Nie ma mowy, aby zapłacił i okup, i długi ojca. Przez tego przekłętego Irlandczyka Wirginia straci „Słodkiego Derenia”.

Ogarnął ją straszny gniew, skoczyła więc w stronę drzwi. Ledwo za nie wyszła, potężny podmuch zwałił ją z nóg i rzucił przez całą szerokość pokładu na przeciwległą burtę. Jeszcze nigdy nie doświadczyła tak dzikiej, nieokiełznanej potęgi natury. Zobaczyła pienne fale, przewalające się przez reling, gwałtownie pędzące w jej stronę. Nie miała nawet czasu wykrzyknąć, a została z wielką siłą ciśnięta o drewno pokładu i zwój grubej liny.

Poczuła obezwładniający ból. Morze ją zalewało, a wichura spychała w otchłań. Ogarnęła ją panika; nie chciała umierać!

- Ty przekłeta, uparta kobieto! - wysyczał O'Neill i objął ją potężnymi ramionami.

Przycisnął mocno do siebie, więc teraz fale i sztormowa wichura biły bezlitośnie w nich oboje. Wirginia wtuliła twarz w szeroką męską pierś. Uścisk O'Neilla stał się jeszcze silniejszy, gdy z determinacją ciągnął ją pod wiatr w stronę kabiny - samotny mężczyzna stawiający czoło żywiołom. Wepchnął ją do środka i przez chwilę stał w drzwiach, opierając ramiona na framugach.

- Nie wychodź stąd! - wrzasnął, by przekrzyczeć huk morza i wiatru.

- Musisz mnie uwolnić! - zawołała w odpowiedzi, chociaż tak naprawdę miała ochotę podziękować mu za ocalenie życia.

Devlin potrząsnął głową, posłał jej pełne furii spojrzenie i pobiegł w kierunku mostku. Teraz na dodatek lunął gęsty, siekący deszcz.

Wirginia została w kabinie, osłonięta przed szalejącym sztormem, ale nie zamknęła drzwi, przyciśniętych przez mocny podmuch do ściany. Teraz dopiero zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Rozszalały ocean rzucał wielkim okrętem niczym małą łódką; wznosili się na grzbiecie fali niemal pod chmury, by po chwili w szaleńczym ślizgu opadać w dół. Wszędzie wokół roilo się od marynarzy: ciągnęli za potężne liny, pełzli w górę masztów. Niektórzy przewieszali się przez reje.

Kiedy podniosła wzrok, z przerażeniem zobaczyła człowieka szarpanego wiatrem, trzymającego się czubkami palców noku rei. Nie ulegało wątpliwości, że za moment runie w dół, ku śmierci.

Wirginia spojrzała w stronę mostku. Była zbyt drobna, żeby udało jej się dobiec od kabiny do miejsca, w którym stał O'Neill. Nie mogła go więc poinformować o dramacie, który rozgrywał się na górze. Ponownie zerknęła na reję - marynarza już tam nie było.

Zniknął... utonął, a ona nawet nie usłyszała jego krzyku.

Kiedy kolejny raz gwałtownie rzuciło okrętem, Wirginia zauważyła, że jeden z grotów nadal pozostał niezwinieły.

Zorientowała się wówczas, że marynarz, który spadł do morza, miał zrefować właśnie ów żagiel.

Potężny okręt zaczął niebezpiecznie kłaść się na zawietrzną.

Wirginię rzuciło na podłogę; po olbrzymiej pochyłości potoczyła się na drugą stronę kabiny i uderzyła głową o drewnianą ścianę.

Fregata zdawała się leżeć na boku, a tymczasem ogłuszona bólem Wirginia nie była w stanie się poruszyć.

Nagle zdała sobie sprawę, że okręt za chwilę kapotuje, o ile już tak się nie stało. Spojrzała w otwarte drzwi, które teraz znajdowały się nad jej twarzą, nachylone pod ostrym kątem. Przez otwór widziała ciemne niebo.

Wszyscy zginiemy, pomyślała zdjęta paniką.

Zacząła gramolić się w górę, chwytając za nogę stołu, a potem łóżka. W końcu udało jej się wyciągnąć na całą długość i chwycić za próg drzwi. Ręce ją bolały, barki protestowały gwałtownie. Zdołała jednak dociągnąć się do otworu. Zaparła się plecami o jedną framugę, stopami o drugą, i przerażona rozejrzała się po pokładzie.

Marynarze walczyli na wszelkie sposoby, żeby się na nim utrzymać. Okręt jeszcze nie tonął, ale już niemal leżał na burcie i spienione, białe fale wdzierały się na pokład. Wirginia spojrzała na maszty i zamarła.

Na pierwszy z nich wspinał się Devlin O'Neill, ze sztyletem w zębach, a za nim drapał się kolejny marynarz. Nad ich głowami wydymał się olbrzymi żagiel, który niebezpiecznie ściągał okręt na jedną stronę.

Wirginia pomyślała, że chwile O'Neilla są policzone. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jego sylwetkę, podobnie jak reszta załogi. Kiedy dzięki sile mięśni dotarł niemal do celu - mimo ostrego przechyłu, sztormowej wichury i ulewnego deszczu - fregatą po raz kolejny gwałtownie szarpnęło.

Wirginia zamarła. Jeżeli nawet O'Neill nie runie w głębinę, to i tak wszyscy zginą, bo żaden człowiek nie zdoła odciąć żagla przy tak potężnych szkwałach i takim przechyle.

O'Neill zatrzymał się na moment, jakby wyczerpany, a marynarz idący za nim uczynił to samo. Wirginia nie mogła oderwać oczu od tego mrozącego krew w żyłach widowiska, a jednocześnie modliła się gorąco za obu mężczyzn, przywierających do chwiejącego się na wszystkie strony masztu.

Po chwili Devlin znów ruszył w górę. Wszedł na reję, dotarł do miejsca, z którego spadł nieszczęsny marynarz, i zaczął z całej siły ciąć nożem takielunek. Drugi żeglarz do niego dołączył. Sekundy zdawały się wiecznością, w końcu jednak wielki żagiel wydał się jeszcze potężniej i odfrunął w mrok nocy.

Potężny okręt zaskrzypiał, jęknął i powoli zaczął wracać do poziomu.

- O mój Boże - wyszeptała Wirginia, patrząc na Devlina, schodzącego w dół powoli, lecz zwinnie.

Nie ulegało wątpliwości, że właśnie uratował statek i załogę, i oczywiste także było, że zdobył się na czyn, którego nie odważyłby

się podjąć nikt inny. Ten mężczyzna nie wiedział, co to strach.

Dotarło też do niej, że jeszcze nigdy wcześniej tak bardzo się nie bała.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała na pokładzie, gdy zjawił się przed nią jeden z marynarzy.

- Proszę wejść do środka. Rozkaz kapitana. Wirginia nie zdążyła zareagować. Poderwały ją w górę silne ręce i wepchnęły do kabiny. Potem marynarz przez jakiś czas zmagał się z drzwiami, w końcu jednak oderwał je od ściany i - walcząc z wiatrem - zamknął Wirginii przed nosem.

Tym razem usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

Potykając się, podeszła do łóżka, po czym opadła na nie zemdlna.

Gdy się ocknęła, przez bulaje kabiny wpływał słoneczny blask. Bolała ją każda część ciała, w głowie jej szumiało, a powieki ciążyły zbyt mocno, żeby je otworzyć. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak zmęczona, więc wcale nie chciała się obudzić. Miała ochotę wsunąć się głębiej w ciepły, miękki kokon kołdry. Wówczas zdała sobie sprawę, że jest przykryta tylko z jednej strony.

Próbowała złapać za skraj nakrycia, ale... nagle się okazało, że na łóżku nie ma kołdry. Obok niej spoczywało silne, muskularne ciało i to ono grzało ją tak przyjemnie. Czuła na włosach czyjś oddech. W talii obejmowało ją mocne ramię.

Otworzyła oczy i zmrużyła powieki w ostrym słońcu.

Odruchowo napięła wszystkie mięśnie. Doskonale wiedziała, kto leży

za jej plecami. Spojrzała na silną, brązową rękę O'Neilla, delikatnie spoczywającą na jej ciele, i nagle zalała ją fala gorąca.

Jak mogło do tego dojść, pomyślała, walcząc ze wzbierającą paniką. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że wyjaśnienie jest oczywiste: gdy sztorm wreszcie się uspokoił, O'Neill rzucił się na łóżko, zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na to, że i ona tam leży. Logiczne wnioskowanie nie przyniosło jej jednak ukojenia. Wręcz przeciwnie, podniecenie Wirginii wzrosło.

Ponadto uderzyło ją coś jeszcze. Ręka na jej ciele nie była ciężka i bezwładna, ale trzymana lekko, z pełną świadomością, co się dzieje. Serce zaczęło jej bić przyspieszonym rytmem. On nie śpi!

Zastanawiała się, czy do chwili, gdy O'Neill wstanie i wyjdzie z kabiny, nie udawać, że sama jest pogrążona we śnie. Jednak musiał odkryć, że się obudziła, bo nacisk ręki nieznacznie się zwiększył.

Wirginia odwróciła się gwałtownie. Ujrzała szare, błyszczące oczy i twarz anioła. Nie mogła się ruszyć, złapać tchu, żadne sensowne słowa nie przychodziły jej do głowy.

Devlin zerknął na zranioną skroń Wirginii.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Powoli przesunął spojrzeniem ku jej ustom, wpatrywał się w nie przez chwilę, a następnie znowu zajrzał jej w oczy.

- Ja... ja... - Urwała, bo wciąż nie mogła zebrać myśli ani oderwać wzroku od twarzy Devlina, nieruchomej, jakby wykutej z granitu, o nieprzeniknionym wyrazie.

Zaczęła się zastanawiać, co by poczuła, gdyby ją pocałował.

- Ocaliłeś mi życie - wyszeptała nerwowo. - Dziękuję.

Złapała za rękę obejmującą ją w talii.

- Uratowałeś statek i załogę. Widziałam, co zrobiłeś. Widziałam cię na maszcie.

- Jesteś w moim łóżku, Wirginio, i o ile nie chcesz zostać tu godzinę czy dwie dłużej, a przy okazji pożegnać się ze swoją dziewczęcą niewinnością, proponuję, żebyś pozwoliła mi wstać.

Jej ciało tęskniło do dotyku Devlina; była tego boleśnie świadoma. Heroizm, którym wykazał się ubiegłej nocy, niespodziewanie wszystko zmienił. Przeniosła wzrok na jego usta. Jeszcze nigdy nie całował jej żaden mężczyzna.

O'Neill gwałtownie i niespodziewanie poderwał się na nogi, i zanim Wirginia zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, wypadł z kabiny.

Usiadła na łóżku, kompletnie zdezorientowana i w głębi serca rozczarowana.

Po chwili przyszło opamiętanie.

Niewiele brakowało, a zaczęłaby całować swojego prześladowcę! Teraz wprost nie mogła w to uwierzyć. Zerwała się z łóżka i w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

O'Neill nigdy tego nie robił, więc zapytała ostro:

- Kto tam?

- Gus. Kapitan kazał przynieść pani wodę do kąpieli.

- Wejdz - bąknęła i odwróciła się plecami do drzwi.

O'Neill był wrogiem. Porwał ją z pokładu „Americany”, kierując się chęcią zysku, najzwyczajszą chciwością. Teraz praktycznie była jego więźniem. Uniemożliwił jej odzyskanie „Słodkiego Derenia”. Jakże mogła, choć przez chwilę, pragnąć dotyku i pocałunków takiego człowieka?

Do środka wszedł Gus, a za nim dwóch marynarzy, niosących wiadra z gorącą wodą. Gus trzymał w ręku dzbanek wody pitnej. Żaden z mężczyzn na nią nie spojrzał, zachowywali się tak, jakby była niewidzialna. Szybko napełnili wannę.

Cóż za urocze maniery, pomyślała ironicznie i po raz kolejny zdjęła ją złość na O'Neilla, a także na samą siebie. To jego wina, że miała ochotę go pocałować. Była w szoku spowodowanym porwaniem i sztormem. Tak czy owak, to poranne interludium było niewybaczalne. O'Neill jest wrogiem i wrogiem pozostanie dopóty, dopóki jej nie uwolni. A wroga się nie całuje, o nie!

Poza tym pocałunki niewątpliwie doprowadziłyby do najgorszego: Wirginia zostałaby jego dziwką!

- Czy potrzebuje pani jeszcze czegoś? - usłyszała głos Gusa.

- Nie, dziękuję - odparła ostrzej, niż należało. Gus ruszył do drzwi. Dwaj pozostali marynarze już opuścili kabinę.

Wirginia zrozumiała, że powinna wziąć się w garść i przezwyciężyć strach. Musi uciec, przekonać stryja, by uratował „Słodkiego Derenia”. Wkrótce koszmar zwany „Devlin O'Neill” nie będzie niczym więcej niż minionym złym snem, przeszłością ginącą w mrokach niepamięci.

- Gus! Gdzie jesteśmy? Czy blisko lądu?

Nie wyszedł, ale także nie odwrócił się w jej stronę.

- Bardzo nas zniosło z kursu na północ, panno Hughes.

Zniknął, zanim zdążyła spytać, gdzie dokładnie się znajdują.

Niewiele pamiętała z lekcji geografii, ale miała niejasne wrażenie, że Irlandia leży właśnie na północ od Anglii.

Podbiegła do biurka i spojrzała na jedną z rozłożonych map. Wystarczyło parę minut, by potwierdziły się jej najgorsze obawy. Irlandia była położona na północny zachód od Anglii, więc jeżeli zostali zniesieni z kursu dostatecznie daleko, tam właśnie trafiają. Czy zwykły sztorm mógłby zapędzić okręt aż na tak wielką odległość? Musieliby przemieścić się o dwieście mil - a może nawet więcej.

Zerknęła na mapę Anglii. Portsmouth leżało stosunkowo blisko Londynu. Pokonanie tego dystansu powozem prawdopodobnie nie zajęłoby więcej niż jeden dzień.

Ale co teraz? Spojrzała na wannę z parującą wodą. Szkoda byłoby ją zmarnować. Wykąpała się szybko, pełna lęku, że O'Neill nagle wtargnie do kabiny. Wskoczyła z wanny i, praktycznie bez wycierania, ubrała się w rekordowym tempie. Splotła włosy w warkocz i stanęła przed lustrem. Wyjątkowa bladość sprawiła, że jej oczy wydawały się jeszcze większe. A strój przerażał - suknia była pomięta, rozdarta przy szwie i poplamiona krwią na ramieniu. Jeszcze gorzej wyglądała rana na skroni. Zdawała się ziejącą dziurą i najłżejszy dotyk w owym miejscu sprawiał ból.

Wirginia wyglądała teraz jak przebrana w suknię damy prostaczka, która niedawno brała udział w bijatyce. Ostatecznie od chwili, gdy O'Neill zaatakował „Americaneę”, Wirginia znajdowała się w wirze walki.

Odeszła od lustra i uchyliła bulaj. Był piękny wiosenny dzień, na błękitnym niebie nie dostrzegła ani jednej chmurki, a morze zdawało się gładkie i błyszczące jak szyba, wręcz kojąco spokojne po horrorze ubiegłej nocy. Wirginia wyteżala wzrok w nadziei, że ujrzy majaczący w oddali ląd czy choćby jedną mewę, unoszącą się w przejrzystym powietrzu, ale nie zobaczyła nic prócz bezkresu niebieskiej toni. Zrezygnowana, wyszła na pokład.

Natychmiast go spostrzegła. Stał odwrócony plecami, ze skrzyżowanymi ramionami, obok oficera, który trzymał ster. Na ten widok zabrakło jej tchu w piersiach, co znów bardzo ją rozdrażniło. O'Neill niemal natychmiast zerknął w jej stronę - ten człowiek miał wyczulone zmysły niczym dzikie zwierzę - i ich spojrzenia na moment się skrzyżowały.

Skinął jej nieznacznie głową.

Wirginia zignorowała ów grzecznościowy gest i podeszła do relingu, ponieważ zdając sobie sprawę, że jest blisko miejsca, w które rzuciła ją sztormowa wichura. Fale bez wątpienia zmyłyby ją z pokładu, gdyby O'Neill nie pospieszył jej na ratunek.

Chwyliła mocno za reling, opuściła powieki i skierowała twarz w stronę ciepłego, majowego słońca. Ubiegłej nocy zajrzała w oczy śmierci. Nie chciała już nigdy więcej przeżyć podobnego koszmaru.

- Uroczy dzień - dobiegł ją radosny, zupełnie nieznany głos.

Wirginia odwróciła się gwałtownie.

Stał przed nią pulchny mężczyzna o siwych kręconych włosach i pogodnych piwnych oczach. Miał na sobie brązowy, wełniany surdut, tabaczkowe spodnie oraz jasne pończochy, i gdyby nie brak kapelusza oraz spacerowej laski mógłby uchodzić za dżentelmena, który wyszedł na przechadzkę po ulicach Richmond.

- Nazywam się Jack Harvey, jestem lekarzem okrętowym - oznajmił, kłaniając się szarmancko.

Uśmiechnęła się niepewnie. W odróżnieniu od swojego dowódcy lekarz wyglądał na poczciwego, serdecznego człowieka.

- Wirginia Hughes - przedstawiła się cicho.

- Wiem. Każdy wie, jak się pani nazywa. Na statku żaden sekret nie zdoła się uchować. Jak samopoczucie? Czy nie powinienem przyjrzeć się uważniej pani skroni? - zatroskał się Harvey.

- Rzeczywiście, ta rana mi doskwiera - przyznała Wirginia. - Gdy zaś chodzi o samopoczucie... Cóż, nie jest najgorsze, zważywszy na okoliczności. Nigdy wcześniej nie padłam ofiarą porwania.

Harvey wygiął usta w grymasie.

- Cóż, w przypadku Devlina to także debiut. Naturalnie, brał często zakładników, ale nigdy nie były to kobiety. Kobiety i dzieci zawsze puszczał wolno.

- Pochlebia mi, że w moim przypadku zrobił wyjątek - zauważyła z sarkazmem.

- Czy on cię skrzywdził, moje dziecko? - zapytał niespodziewanie Harvey.

Wirginia spojrzała na niego oniemiała.

- Jest pani bardzo piękna - ciągnął Harvey. - Nigdy wcześniej nie widziałem równie niezwykłych oczu. Nie podoba mi się, że Devlin dzieli z panią kabinę.

Czy ten lekarz mógłby zostać jej sojusznikiem? Umysł Wirginii zaczął działać na przyspieszonych obrotach. Zmusiła się do płaczu; odwołała się do sztuczki, której nigdy wcześniej na nikim nie wypróbowała.

- Błagam pana o zmiłowanie nade mną - wyszeptała przez łzy. - Mówiłam mu, że jestem młoda, niewinna i bezbronna... - Urwała, jakby nie była w stanie powiedzieć ani słowa więcej

Harvey spojrzał na nią szeroko rozwartymi oczami, bezsprzecznie zaszokowany.

- Własnym uszom nie wierzę! Ten łotr... czyżby cię uwiódł? A więc lekarz mógłby zostać jej sprzymierzeńcem!

- Uwiódł mnie? Nie określiłabym tego w podobny sposób.

Harvey zbladł pod ciemną opalenizną.

- Już ja się postaram, żeby sypiał gdzie indziej - rzucił oschle, po czym spojrzał przez ramię na O'Neilla, wciąż odwróconego do nich plecami, teraz wpatzonego w horyzont. - Co oczywiście nie zmieni tego, co się stało - dorzucił strapiiony. - Panno Hughes, wprost nie umiem wyrazić, jak bardzo mi przykro. Nie ulega wątpliwości, że jest

pani damą. Muszę też przyznać, że wprost nie poznaję Devlina. To wszystko jest bardzo do niego niepodobne.

Wirginia nie miała wątpliwości, że przeciągnęła pocziwego doktora na swoją stronę. Udała, że ociera z oczu łzy, starając się przy tym bardzo, by jej dłonie drżały.

- Jestem zrozpaczona. Widzi pan, mam wyjątkowo pilne sprawy do załatwienia w Londynie, od nich zależy moje życie, a tymczasem teraz... teraz zapewne nie uda mi się wyratować z opresji. Czy jest pan jego przyjacielem?

Zamyślił się na dłuższą chwilę.

- Devlin jest dziwnym człowiekiem .- stwierdził w końcu. - Trzyma wszystkich na dystans. Nigdy nie wiadomo, co naprawdę myśli, do czego zmierza. Od trzech lat pływam na pokładzie tego okrętu, co winno czynić nas przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, mało o nim wiem, z pewnością nie więcej niż inni. Znamy doskonale jego wyczyny i niezwykle osiągnięcia. Uważam siebie za jego przyjaciela, w Kadyksie uratował mi życie, ale muszę przyznać, że to najdziwniejsza przyjaźń na świecie.

Wydźwięk tych słów był smutny, Wirginia jednak nie zamierzała poddawać się współczuciu. Słowa doktora rozbudziły w niej ciekawość.

- Jakie wyczyny i osiągnięcia?

- Powszechnie jest nazywany korsarzem Jego Królewskiej Mości, panno Hughes - odparł Harvey z uśmiechem ulgi, jakby znalazł się na dobrze sobie znanym, bezpiecznym gruncie. - Dla łupu

bezlitośnie ściga statki, więc, jak sędzę, w ciągu tych wszystkich lat na morzu stał się niebywale bogatym człowiekiem. Jego sposób walki, taktyka i strategia należą do wyjątkowo nieszablonowych, podobnie jak rozgrywki stricte polityczne, które toczy z dowództwem floty. Większość admirałów go nie cierpi, ponieważ rzadko wypełnia rozkazy i nie ma krzty szacunku dla starszych panów w galowych mundurach, czego są w pełni świadomi. Natomiast gazety prześcigają się w doniesieniach o sukcesach Devlina. Do diabła... ee... proszę mi wybaczyć ten brak manier, panno Hughes, o sukcesach nie tylko związanych z wyczynami na morzu, ale także na lądzie. Kroniki towarzyskie namiętnie rozpisują się o jego życiu, bez względu na to, czy wiecie on akurat spokojną egzystencję w murach własnej rezydencji, czy też pojawia się w miejscach publicznych, w którymś z klubów dla dżentelmenów lub na wystawnym balu. W bitwie pod Trafalgarem miał zaledwie osiemnaście lat, a mimo to śmiało przejął dowództwo nad okrętem i zniszczył dwie dużo potężniejsze jednostki. Wówczas mianowano go kapitanem, przydzielono własny okręt, i to był początek wielkiej kariery. Nigdy nie zgodziłby się zostać dowódcą potężnego okrętu liniowego. O nie.

Nie Devlin. - Harvey przerwał przemowę dla zaczerpnięcia oddechu.

- Dlaczego nie? I czym właściwie jest okręt liniowy? - spytała Wirginia, po raz kolejny zerkając w stronę O'Neilla. Właśnie się dowiedziała, że ów mężczyzna należał do ekskluzywnych klubów i

bywał na najważniejszych londyńskich balach. Aż trudno było w to uwierzyć...

Niespodziewanie oczami duszy Wirginia ujrzała Devlina w czarnym fraku, z wysmukłym kieliszkiem do szampana w dłoni. Z pewnością wszystkie obserwujące go w podobnej sytuacji kobiety desperacko starały się zwrócić na siebie jego uwagę.

- Okręty liniowe walczą w tradycyjnej, zwartej formacji - dotarł do niej głos Harveya. - Devlin jest zbyt niezależnym duchem, by poddać się takiej dyscyplinie. On woli polować samotnie, rzucać się z nienacka na osaczoną zwierzynę lub prowadzić w zasadzkę tę co bardziej czujną. Zawsze zwycięża, panno Hughes, ponieważ rzadko kiedy odwołuje się do tych samych trików. Załoga ma do niego całkowite zaufanie. Byłem świadkiem, jak wydawał rozkazy, które można by nazwać samobójczymi, ale okazywały się trafne i skuteczne. Większość statków ucieka, czy usiłuje uciec, gdy tylko „Defiance” pojawia się na horyzoncie. Uważam, że Devlin jest obecnie najzdolniejszym żeglarzem na świecie. - Harvey się uśmiechnął. - Moja opinia nie należy do odosobnionych.

- Pan go lubi! - rzuciła Wirginia oskarżycielskim tonem, choć w głębi duszy była pod wrażeniem słów doktora.

- Przede wszystkim go podziwiam. Nawet bardzo. Nie sposób go nie podziwiać, gdy służy się na jego okręcie.

- Zeszłej nocy uratował ten statek - przyznała. - Czemu sam wspiał się na maszt, mógł przecież posłać kogoś z załogi?

Harvey pokręcił głową.

- Ponieważ wiedział, że tylko on jest w stanie wykonać to zadanie. Dlatego właśnie go wszyscy podziwiamy, panno Hughes. Jest prawdziwym dowódcą, daje dowód odwagi i męstwa, jak więc moglibyśmy nie iść za jego przykładem?

Wirginia zapytała z wahaniem:

- Czy... czy jest żonaty?

Harvey spojrział na nią ze zdumieniem, po czym wybuchnął śmiechem.

- Ależ skąd! To znaczy, proszę mnie źle nie zrozumieć, Devlin lubi kobiety, a wiele londyńskich dam zrobiłoby wszystko, żeby zaciągnąć go przed ołtarz, tym bardziej że niedawno otrzymał lordowski tytuł. Nie wyobrażam sobie Devlina w roli męża. Tylko wyjątkowo silna kobieta mogłaby żyć u jego boku.

- Na twarzy lekarza pojawił się wyraz zadumy. - Nie sędzę, by Devlin myślał o ożenku. Niemniej, ma zaledwie dwadzieścia cztery lata. Teraz jego żywiołem jest morze. Niewykluczone więc, że pewnego dnia to się zmieni - dorzucił głosem pełnym powątpiewania.

A więc O'Neill jest bezwzględny oraz bohaterski

- to już wiedziała. Okazało się, że najprawdopodobniej jest również samotny. Wirginia ponownie zapatrzyła się na kapitana i szybko zmieniła sentymentalny osąd na jego temat. Ktoś tak pewny siebie, władczy, otoczony sławą herosa nie odczuwał samotności. Żył we własnym świecie, do którego nie miał ochoty nikogo wpuścić, i naiwnością byłoby sądzić, że czegoś mu brakuje do szczęścia.

- To nie jest zły człowiek - odezwał się Harvey miękkim głosem.
- Dlatego zupełnie nie pojmuję, jak mógł dopuścić się tego haniebnego czynu, i o co mu w tej sprawie chodzi. Z pewnością nie potrzebuje pieniędzy.

- Jest pan pewien? - zdumiała się Wirginia.

- Jako kapitan, otrzymuje trzy ósme zdobycznych dóbr. Wiem, co zagarnęliśmy przez ostatnie trzy lata. On jest bogaczem.

Wirginię przeszedł dreszcz. Jeżeli nie zależało mu na okupie, to czego, na Boga, mógł od niej chcieć? Dotknęła nieznacznie ręki lekarza.

- Panie Harvey, potrzebuję pańskiej pomocy - szepnęła żałośnie.

Devlin nie miał ochoty znosić tego dłużej. Uszy go paliły, jakby był sztubakiem w szkole. Dobrze wiedział, że tych dwoje rozmawiało na jego temat.

- Martin, przejmiesz dowodzenie - rozkazał, po czym odwrócił się i zeskoczył z mostka.

Od razu dostrzegł dłoń Wirginii na dłoni Harveya, wielkie oczy wpatrujące się błagalnie w doktora, różowe drżące wargi. Natychmiast obudziły się w nim podejrzenia. Ta mała żmijka kokietowała Harveya, udawała potulną, słabą istotę, tymczasem Devlin doskonale wiedział, że w pannie Hughes nie ma krztyny kokieteryjności, słabości czy potulności. Ciekawe, co tym razem knuła?

Miejsce irytacji zajęło rozbawienie. Jedno musiał przyznać - umiała dostarczyć mu rozrywki. Niemal się uśmiechnął, ale w tej samej chwili przypomniał sobie śpiącą Wirginię, wtuloną w niego.

Bardzo pobudziła jego zmysły. Na to wspomnienie usta wykrzywił mu grymas. Nie miał pojęcia, że ona leży w łóżku, gdy padał na nie wyczerpany po sztormie. We śnie musiał wyczuć jej obecność, bo ledwo się obudził, miał ochotę natychmiast ją pojąć. Nie na darmo jednak szczyił się opanowaniem i samokontrolą; ostatecznie ćwiczył siłę woli od dziecka. Ignorowanie potrzeb własnego ciała nie było łatwe, jednak zawsze sobie z tym radził.

O dziwo, w jego ramionach ta dziewczyna wcale nie wydawała się chuda i koścista, lecz miękka i ciepła.

- Witam. - Skinął głową tej dwójce, porzucając rozmyślenia.

Wirginia szybko zdjęła drobną dłoń z ręki doktora i zarumieniła się tak gwałtownie, jakby została przyłapana na gorącym uczynku. Bez wątpienia miała minę winowajczyni.

Na Boga, oni przeciwko niemu spiskowali! Ta mała lisica przeciągnęła Harveya na swoją stronę, nakłoniła do niesubordynacji. To nie były już tylko przypuszczenia. Devlin umiał wyczuć spisek równie bezbłędnie, jak wyczuwał nadciągający sztorm.

- Chyba nie masz mi za złe, że postanowiłem zażyć świeżego powietrza w towarzystwie naszego gościa?

- Harvey uśmiechnął się promiennie.

- Masz szczęście, że moje rozkazy względem panny Hughes ciebie nie dotyczą.

- W rzeczy samej. Jestem przecież lekarzem okrętowym. - W głosie Harveya pobrzmiwała żartobliwa nuta.

Wirginia spojrzała na obu mężczyzn ze zdumieniem.

- Mam nadzieję, że te idiotyczne rozkazy już nikogo nie dotyczą!

- Moje rozkazy, raz wydane, muszą być respektowane, panno

Hughes. - Wskazał ranę na jej skroni.

- Harvey, chciałbym, żebyś zaraz się tym zajął.

- Przyniosę swoją torbę - odrzekł lekarz i oddalił się pewnym krokiem.

Zostali sami. Devlin raz jeszcze spojrzął na nią uważnie, ale umknęła wzrokiem. Czyżby nieczyste sumienie? Niewiele brakowało, a tego ranka, w łóżku, zaczęłaby błagać, żeby ją całował. Devlin nie był idiotą, wyraźnie widział pożądanie w jej fiołkowych oczach.

- Gryzie cię poczucie winy? - zapytał, z radością szykując się na kolejny pojedynek.

Aż podskoczyła z wrażenia.

- Z jakiego powodu miałabym czuć się winna? To pana powinny gnębić wyrzuty sumienia, ale musiałbyś je mieć.

- Przyznaję, jestem łotrem bez serca - oznajmił z uśmiechem.

- Jak bardzo zboczyliśmy z kursu? - zapytała wyniośle.

- Jakies sto pięćdziesiąt mil. - Zauważył, jak blednie. - Czyżby to cię martwiło?

- Dokąd teraz płyniemy?

Była bardzo sprytna, zadziwiała go swoją inteligencją. Nie wolno mu jej lekceważyć.

- W obecnej sytuacji nie ma sensu wracać na południe, do Portsmouth. Poza tym bardzo wątpię, czy „Americana” się tam zjawi - powiedział ze smutkiem.

- Chyba pan nie sądzi...

- Mało prawdopodobnie, że przetrwała sztorm. My ledwo umknęliśmy przed najgorszym uderzeniem. „Americanie” nie mogło się to udać. Co prawda, Mac to doskonały żeglarz, ale miał do dyspozycji bardzo niewielu ludzi.

Ogarnął go żal, którego nie próbował odegnąć. Tak właśnie wyglądało życie na morzu, które zabierało setki ludzkich istnień, potrafiło być okrutne i nielitościwe. Przez lata nauczył się, że trzeba pozwolić sobie na krótką żałobę po utraconych członkach załogi, a potem działać dalej i nie wracać do przeszłości. Wiedział, że wielu pływających z nim ludzi zginie w młodym wieku. Łatwiej było pogodzić się ze śmiercią, gdy akceptowało się jej nieuchronność.

- Nic pana nie obchodzi! - rzuciła oskarżycielsko. - Rzeczywiście ma pan serce z kamienia. Ci ludzie... ów statek... są teraz na dnie oceanu, i to przez pana!

Teraz już i jego zdjęła złość. Chwycił Wirginię za nadgarstek tak szybko, że nawet nie zdążyła zareagować.

- Leżą w oceanicznym grobowcu z powodu sztormu, panno Hughes, a ja nie jestem Posejdonem. Nie miałem najmniejszego wpływu na wczorajszą aurę.

- Nie! - ośmieliła się wykrzyknąć. - To nieprawda. Gdyby pan nie napadł na „Americane” i tak bardzo jej nie uszkodził tylko po to, żeby mnie porwać, oni by żyli!

Ta kobieta, jak nikt inny, potrafiła doprowadzić go do furii. Puścił jej rękę i ze wstydem zauważył, że zostawił na niej czerwony ślad.

- Gdybym nie napadł na ów statek, nie uszkodził go i ciebie nie porwał, leżałabyś teraz na dnie oceanu.

Odwrócił się, by odejść. Przemknęło mu przez głowę, że jeśli dzisiaj rano by ją posiadał, może wreszcie nauczyłby ją respektu, którego wyraźnie jej brakowało. Przypomniawszy sobie o niedawnych podejrzeniach, spojrzał więc na nią surowo.

- Nie knuj przeciwko mnie z Harveyem - ostrzegł.

- Ja... ja... nic podobnego nie robię! - W jej oczach dojrzał strach.

- Kłamczucha - wyszeptał, pochylając się tak nisko, że ich twarze niemal się zetknęły. - Bez trudu dostrzegam spisek, gdy się zawiązuje tuż pod moim nosem. Wiesz, jaki los czeka buntowników?

- Nie ma mowy o żadnym buncie!

- Jeżeli wciągniesz Harveya w jakiegokolwiek intrygi, będzie to bunt na pokładzie, moja droga. A my wieszamy buntowników - dorzucił i nie było to wcale kłamstwo. Naturalnie, nie powiesiłby Harveya, ale straciłby doskonałego chirurga, a o dobrego lekarza okrętowego było równie trudno, jak o wielki, czysty rubin.

Wirginia odskoczyła od niego nerwowo.

- Mam panu coś do powiedzenia - rzuciła wojowniczo.

Nie podobał mu się jej ton, ale stał w miejscu, cierpliwie czekając.

- Gardzę panem! - oświadczyła z mocą.

- Czy tylko na tyle cię stać? - zapytał. Sprawiała takie wrażenie, jakby zamierzała rzucić się na niego z pięściami.

- Nie radzę - powiedział z wolna.

- Żałuję, że spudłowałam - wysyczała. - Jestem dobrym strzelcem i gdybym tylko poczekała chwilę dłużej, już byłby pan martwy.

- Ale, na twoje nieszczęście, wciąż jeszcze chodzę po tym świecie - rzucił ironicznie, mimo że jej słowa go zraniły. - Cierpliwość, panno Hughes, to cenna cnota, a tobie wyjątkowo na niej zbywa. - Odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie.

- Czemu pan to robi?! - wykrzyknęła za nim. - O'Neill! Harvey twierdzi, że jest pan bogaty!

Całkowicie ją zignorował.

- Ostatni łajdak - mruknęła Wirginia pod nosem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jack Harvey po trzech stopniach wskoczył na mostek. Chociaż wyraz jego twarzy był jak zwykle pogodny i dobronuduszy, w duszy się dręczył, że Devlin zniewolił zakładniczkę, młodą, niewinną dziewczynę. Nie mieściło mu się to w głowie i zatruwało umysł. Z drugiej strony, już dawno temu przestał się zastanawiać nad motywami postępowania kapitana. Służył pod jego rozkazami dość długo, by wiedzieć, że nigdy go nie zrozumie.

Devlin trzymał ster, ale odwrócił się w stronę Harveya, gdy usłyszał jego drobne, zdumiewająco lekkie kroki.

- Jak ona się czuje?

- Zeszłej nocy nie zaszkodziłoby zszyc tę ranę na skroni, ale muszę powiedzieć, że i bez tego niezłe się goi. Na szczęście nie boli ją głowa.

Devlin gestem ręki przywołał pierwszego bosmana.

- Przejmij ster - rozkazał i skinął na doktora, dając mu znak, by przeszli na drugą stronę mostka. - Dziwnie na mnie patrzysz - zauważył oschle.

Uśmiech zniknął z twarzy Harveya.

- Mam nadzieję, że zraniła się, tak jak mówi, w czasie sztormu, a nie w innych okolicznościach.

Kiedy do Devlina dotarło znaczenie słów lekarza, spojrzął na niego z niedowierzaniem.

- Na Boga, podejrzewasz, że ją uderzyłem? - Był szczerze zdumiony. Jeszcze nigdy w życiu nie podniósł ręki na żadną kobietę.

- Nie mam pojęcia, co o tym myśleć - skrzywił się Harvey. - Jestem już całkiem skołowany.

- Czyżby? - Devlin chwycił doktora za ramię i sprowadził na główny pokład, z dala od wścibskich uszu i oczu załogi. - Jesteś durniem, Jack, skoro pozwoliłeś, by ta sprytna żmijka, panna Hughes, okręciła cię zgrabnie dookoła małego palca.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nakłoniła cię do działania przeciwko mnie, bo przecież to właśnie zrobiła.

Harvey wyraźnie pobladł.

- Devlin...

- Co oboje uknuliście? A przy okazji, wytłumacz mi, jak mogłeś zgodzić się na wypowiedzenie posłuszeństwa swojemu kapitanowi?

- Do stu piorunów! Uwiodłeś ją! Zniewoliłeś! Devlinowi wydawało się, że Harvey przemawia do niego w kompletnie obcym języku.

- Że niby co zrobiłem?

Teraz Harvey wyglądał na zatroskanego i zmieszanego.

- Zniewoliłeś... - powtórzył niepewnym głosem. Devlina ogarnęła furia. Niech piekło pochłonie tę kobietę wraz z jej machinacjami i podłymi kłamstwami!

- To ci powiedziała? - spytał chłodno.

- Ee... owszem.

- Wiesz, masz szczęście, że zawsze byliśmy w dobrych stosunkach, bo inaczej mocno byś oberwał. Ja nie uwodzę dziewczyn. Niewinność mnie nie pociąga. - Wymawiając te słowa, uświadomił sobie, że to niedawno się zmieniło.

Harvey tymczasem zbladł jak chusta.

- O mój Boże...

- Zawsze dawałeś się wodzić za nos ładnym buziom - zauważył Devlin.

- Błagam o przebaczenie. Tak mi przykro! Devlin nie potrafiłby stwierdzić, do kogo czuł teraz większą urazę: do Jacka Harveya czy Wirginii Hughes. Wiedział natomiast, że ją miałby ochotę udusić gołymi rękami.

- Co oboje uknuliście?

- Miałem jej przynieść ubiór jednego z chłopców okrętowych, a po zawinięciu do portu zająć czymś twoją uwagę. Ona zesłaby na ląd razem z resztą załogi.

- Bardzo sprytnie - stwierdził Devlin i mówił to szczerze.

Plan z pewnością by się powiódł, gdyby Devlin nie przejrzał zamysłów tej małej żmijki.

- Przepraszam cię, gorąco przepraszam. Wiedziałem, że to do ciebie niepodobne! Ale z drugiej strony, ta cała sprawa jest tak bezsensowna... Nigdy wcześniej nie brałeś kobiet w roli zakładniczek. Wybacz mi. Ona była niezwykle przekonująca. Na Boga, cały czas płakała! - wykrzyknął Harvey.

- Kiedy dopłyniemy do Limerick, będziesz musiał poszukać innego okrętu. Zwalniam cię z obowiązków ze skutkiem natychmiastowym.

Harvey otworzył usta, jakby zamierzał zaprotestować, ale Devlin wpatrywał się w niego groźnie. Lekarz szybko poszedł po rozum do głowy.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział tylko cicho.

Devlin tymczasem obrócił się na pięcie i ruszył w stronę mostka. Nie interesowało go, co Harvey powie, pomyśli czy zrobi. Ich znajomość dobiegła końca.

Wirginia z uśmiechem przechadzała się po pokładzie, nie zważając na brak osłaniającej od słońca parasolki. Prawdę mówiąc, z przyjemnością wygrzewała się w ciepłych, słonecznych promieniach. Cieszyła się, że żyje i może rozkoszować się piękną aurą. Po raz pierwszy zaczynała też rozumieć, czym jest uwodzicielski, syreni zew morza. Fregata sunęła leniwie pod lekki, ożywczy wiatr, linia wody zlewała się z czystym niebem, rozciągającym się ku nieskończoności. Wirginia chwyciła za reling niezwykle zadowolona z siebie. Jutro znajdą się w porcie Limerick i Jack Harvey pomoże jej w ucieczce.

Głośno się roześmiała. Jakże wiele by dała, żeby zobaczyć minę Devlina O'Neilla, gdy odkryje, że branka mu się wymknęła. Jednak myliła się, sądząc, że nie wygra z nim żadnej potyczki. Jutro dojdzie bowiem do starcia, z którego ona wyjdzie zwycięsko. Jej plan jest idealny.

Wiedziała, że jest chełpliwa - napawa się triumfem, którego jeszcze nie osiągnęła - i już wyobraziła sobie, jak skarciłaby ją przełożona pensji Marmott. „Damy nigdy niczym się nie chełpią. W rzeczy samej, panno Hughes, damy nie prowadzą potyczek z chciwymi, pozbawionymi skrupułów kapitanami marynarki, nie walczą z nikim i niczym, nigdy, pod żadnym pozorem”.

Wirginia zachichotała pod nosem.

- Cóż, ta dama właśnie prowadzi podjazdową walkę, pani Towne - powiedziała. - I do tego sprawia jej to autentyczną przyjemność.

A swoją drogą ciekawe, czemu tak bardzo jej zależało, żeby przechytrzyć kapitana O'Neilla? W którym momencie ta myśl stała się kusząca?

Wirginia wychyliła się nieznacznie za burtę, kątem oka spoglądając w stronę mostka. Ze zdumieniem stwierdziła, że nie ma tam Devlina.

Właściwie dlaczego jej nie pocałował?

Och, to przecież oczywiste! Jest chuda, koścista, o małych piersiach, szczupłej, kanciastej twarzy i włosach przypominających bocianie gniazdo. Na tę myśl ogarnęła ją desperacja. Niespodziewanie zapragnęła, żeby prześladowca zobaczył w niej piękną, godną pożądaną kobietę. Czyż to nie idiotyzm?

Wirginia uprzytomniła sobie, że już jutro będzie wolna i wkrótce powróci do „Słodkiego Derenia”. Tam od razu zapomni o Devlinie O'Neillu. Jego twarz, imię, staną się odległym wspomnieniem, które po paru tygodniach zapadnie w mroki niepamięci.

Chociaż powtarzała to kilkakrotnie, nie poczuła się pokrzepiona.

Nagle dojrzała przechodzącego przez pokład Jacka Harveya i zamachała do niego radośnie. Doktor zerknął na nią spod oka, po czym odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę, żadnym gestem nie odpowiadając na pozdrowienie.

Wirginia zamarła. Co się stało?! Niespokojna, strwożona, pobięła za lekarzem.

- Panie Harvey! Panie Harvey, proszę zaczekać! Zapewne po prostu jej nie dostrzegł, bo przecież niemożliwe, żeby ją tak spostponował!

Harvey zwolnił kroku i Wirginia go dogoniła.

- Witam! - rzuciła rozpromieniona, on jednak nie odpowiedział uśmiechem. - Jaki piękny mamy dzień! Czy nie widział pan, jak machałam?

- W rzeczy samej, widziałem, panno Hughes.

- Jednak pan nie zareagował... nawet nie skinął głową... - powiedziała z wolna.

- Jestem bardzo wzburzony i rozgoryczony - odparł prosto i szczerze. - Zostałem zwolniony ze swoich obowiązków i gdy zawiniemy do Limerick, muszę opuścić ten okręt na zawsze.

- Ach tak... - bąknęła.

- Okłamała mnie pani szpetnie, panno Hughes, oskarżając Devlina o haniebne zachowanie.

- Nie dopuściłam się przestępstwa, a jednak więzi mnie wbrew mojej woli.

- Twierdziła pani, że została przez niego uwiedziona i wykorzystana! - wykrzyknął Harvey. - Skłamała, bym wystąpił przeciwko mojemu dowódcy i pomógł pani w ucieczce!

Przegrała. Zbierało jej się na płacz, na szczęście zdołała powstrzymać łzy. Trzymając wysoko głowę, powiedziała:

- W pewnym sensie mnie niewoli, panie Harvey.

- Ale nie w takim, jak pani utrzymywała! Nie wziął pani do łóżka, proszę wybaczyć grubiańską dosłowność!

- Nigdy czegoś takiego nie twierdziłam. Pan sam wyciągnął podobne wnioski.

- To nieistotne! Dobrze pani wiedziała, do jakich doszedłem wniosków, i aluzyjnie mnie w nich utwierdziła.

- Ten człowiek jest zbrodniarzem.

- Ten człowiek jest... był moim kapitanem. A teraz z pani winy będę musiał szukać innego okrętu. Cóż, panno Hughes, życzę powodzenia. - Odwrócił się i odszedł sztywnym krokiem.

Zapewne popełniła błąd, sugerując Jackowi Harveyowi coś, do czego nie doszło, ale była skrajnie zdesperowana. Musiała uciec, musiała jak najszybciej dotrzeć do stryja i ocalić „Słodki Dereń”. Teraz jednak odezwało się w niej poczucie winy. Harvey to bez wątpienia do cna przyzwoity człowiek, którego bezwiednie naraziła na wielkie przykrości. To nie w porządku. Jeżeli ktoś tutaj zawinił, to ona, a nie pocziwy doktor. Wirginia raz jeszcze spojrziała na mostek, ale O'Neill tam nie było. Pobiegnęła więc do kabiny.

Kiedy wpadła do środka, siedział przy stole i smarował podpłomyk masłem. Spojrzała na niego oskarżycielsko, ale niepotrzebnie się wysilała, on bowiem nie podniósł wzroku znad talerza.

Opanowała złość, cicho zamknęła drzwi i podeszła do stołu.

W końcu zerknął na nią spod oka, ale nie wstał z fotela.

- Czy zechcesz się do mnie przyłączyć? - zapytał. Pokręciła przecząco głową.

Skończył placek, popił, po czym powiedział:

- Panno Hughes, słońce zaczyna przypiekać ci policzki.

Złość powróciła.

- To była moja wina! Obmyśliłam cały plan. Jeżeli chce pan kogoś ukarać, to mnie, nie Jacka Harveya.

Devlin podniósł się na całą swoją imponującą wysokość i Wirginia poczuła się nagle bardzo mała i krucha. Była pewna, że O'Neill celowo wykorzystuje przewagę fizyczną, by wzbudzić w niej właśnie taką reakcję.

- O niczym innym nie marzę, jak o wymierzeniu ci kary - orzekł.

- Czy masz może na myśli jakieś konkretne sankcje?

Stał tak blisko, że poczuła się nieswojo. Był za wysoki i silny, miał zbyt obcisłe spodnie i koszulę nonszalancko rozpiętą pod szyję. Zaparło jej dech w piersiach.

- Nie wolno ci opuszczać tej kabiny do czasu zejścia z okrętu - powiedział cicho, ale stanowczo.

- Takie są moje rozkazy, panno Hughes.

- Zrobię, jak pan każe. Tylko proszę nie odprawiać Harveya! On jest pańskim przyjacielem!

- Przyjacielem? Nie sądzę.

- Harvey pana uwielbia i niezwykle podziwia. Sam mi to powiedział! - wykrzyknęła Wirginia. - Nie może go pan potraktować tak bezdusznie za moje przewiny!

- Ja nie mam przyjaciół ani na pokładzie tego okrętu, ani gdzie indziej. - Devlin podszedł do drzwi.

- W takim razie bardzo mi pana żal!

- Ty się nade mną litujesz?!

Wirginia zdała sobie sprawę, że uderzyła w czułą strunę, choć wcześniej nie podejrzewała, że taka istnieje.

- Czy na całym bożym świecie jest choć jedna osoba, którą uważa pan za przyjaciela, kapitanie?

- rzuciła wyzywająco.

Oczy błysnęły mu i pociemniały niczym burzowe niebo.

- Ośmielasz się wnikać w moje prywatne życie? - W cichym głosie zabrzmiała złowieszcza nuta.

- Nigdy bym nie zgadła, że takowe pan ma - odparła równie gniewnie.

Podszedł do niej energicznie.

- Może następnym razem poważnie się zastanowisz, zanim wciągniesz kogoś w swoje machinacje i kłamstwa. Pomyślisz o konsekwencjach swoich oszukańczych działań.

- Może pomyślę, ale teraz nie o mnie tu chodzi. Nie mogę pozwolić, żeby z powodu mojej perfidii i głupoty odprawił pan dobrego człowieka, który uważa pana za najlepszego kapitana, pływającego po morzach świata. On jest pańskim przyjacielem, O'Neill! Oddanym, lojalnym przyjacielem!

- Był moim lekarzem okrętowym i mnie zdradził. To przeczy przyjaźni i lojalności. Harvey ma szczęście, że nie kazałem go wtrącić do ciemnicy. - Z powrotem podszedł do drzwi, ale zatrzymał się z ręką na klamce. - Dlaczego chciałaś uciec? W Irlandii natychmiast byś się zgubiła. Czy przemyślałaś kolejne etapy planu? Przecież nie zrobiłem ci nic złego, nawet cię nie tknąłem. Wkrótce oddam cię twojemu ukochanemu stryjowi. Po co więc ryzykować ucieczkę? Czemu nieustannie mi się sprzeciwiasz?

Wirginia spojrzała na niego bezradnie.

- Ponieważ od tego zależy całe moje życie. Odwróciła się i usiadła przy stole. Opadły ją czarne myśli i zwiesiła nisko głowę. Usłyszała kroki Devlina, zmierzające w stronę stołu. On także usiadł.

- Co to ma znaczyć? Pokręciła jedynie głowę.

Ujął jej brodę i uniósł w górę, tak że ich spojrzenia się spotkały.

- Chcę wiedzieć.

- Przecież pana i tak nic nie wzrusza - rzuciła łamiącym się głosem.

Puścił ją.

- To fakt - przyznał - ale teraz znajdujesz się pod moją opieką, więc wszystko, co cię dotyczy, w pewnym sensie dotyczy i mnie.

Zupełnie nie pojmowała, czemu go nagle zainteresowały jej osobiste sprawy. Chociaż się nie łudziła, że gdy usłyszy o jej problemach, nagle okaże współczucie, nie widziała też powodu, dla którego miałyby utrzymywać je w tajemnicy. Pomyślała o rodzicach i zalała ją dobrze znana fala smutku.

- Urodziłam się na plantacji tytoniu, w pobliżu Norfolku, w stanie Wirginia. Plantacja nazywa się „Słodki Dereń” i jest rajem na ziemi. - Uśmiechnęła się nieznacznie, bo poprzez zapach smołowanych desek i morskiej wody dotarł do niej niespodziewanie aromat kapryfolium, bzu i świeżo zerwanych, tytoniowych liści. - Mój ojciec zbudował nasz dom własnymi rękami, sam zasadził pierwszy plon. - Spojrzała na Devlina ze smutkiem w oczach. - Bardzo kochałam rodziców. Zginęli ubiegłej jesieni, pewnej burzowej nocy, w idiotycznym wypadku powozu.

Siedział milczący. Jeżeli choć w najmniejszym stopniu poruszyła go jej historia, nie dał tego po sobie poznać; w jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Jestem jedynaczką. „Słodki Dereń” należy do mnie. A tymczasem mój prawny opiekun, hrabia Eastleigh, postanowił sprzedać plantację, by w ten sposób spłacić długi mojego ojca. - Chwyciła za kant stołu tak mocno, że aż zbieleły jej kostki rąk. - Nie mogę do tego dopuścić.

- Rozumiem - powiedział po dłuższej chwili beznamiętnym tonem. - Zacziesz walić hrabiego pantoflem po głowie i nie

przestanieś, dopóki się nie zgodzi spłacić długów twojego ojca i wręczyć ci kluczy do plantacji.

To była jej ostatnia szansa. Wirginia chwyciła Devlina za rękę i ten kontakt tak ją zelektryzował, że nie dostrzegła błysku zdumienia w jego szarych oczach.

- Jeżeli mój stryj będzie musiał zapłacić za mnie okup - zaczęła nerwowo wyrzucać z siebie słowa - nigdy nie zdołam go nakłonić, żeby pokrył również długi mojego ojca. Hrabia postanowił sprzedać plantację, nawet mnie o tym nie informując, a więc i bez okupu będę musiała bardzo się natrudzić, żeby go przekonać do swoich racji! Czy pan tego nie pojmuje? Ja nie zdołam przeżyć bez „Słodkiego Derenia”. Muszę jak najszybciej spotkać się ze stryjem. I nie może być mowy o żadnym okupie! Harvey powiedział mi, że jest pan bardzo bogaty i nie potrzebuje pieniędzy. Proszę, niech pan zabierze mnie do Londynu, żebym rozmówiła się ze stryjem. Błagam!

Devlin wysunął rękę z jej dłoni i podniósł się z fotela.

- Bardzo mi przykro, że stracisz schedę, ale nigdy nie zmieniam raz powziętych planów.

Zerwała się na równe nogi.

- Jestem teraz sierotą! - wykrzyknęła. - „Słodki Dereń” jest wszystkim, co mam!

Podszedł do drzwi.

- Pana to nic a nic nie obchodzi! Chwycił za klamkę.

- Stracę przez pana „Słodkiego Derenia”!

Nie odwrócił się, ale zanim wyszedł, powiedział:

- Nie, moja droga, stracisz tę plantację tylko dlatego, że twój ojciec nie miał za grosz zmysłu do interesów.

Wirginia aż się zatrzęsała, słysząc tę obelgę, ale zanim zdążyła pozbierać myśli i zrewanżować się równie bolesną uwagą, O'Neill zniknął za drzwiami.

Musi koniecznie podjąć jeszcze jedną próbę wywiedzenia go w pole.

Wirginia stała przy bulaju, otwartym pomimo wietrznej pogody, i patrzyła na przesuwane się przed jej oczami krajobrazy. Najpierw były to irlandzkie kredowe klify, wznoszące się stromizną nad piaszczystymi plażami, które po pewnym czasie zaczęły ustępować miejsca łagodnym wzgórzom. Wirginia postanowiła, że nie będzie bardziej antagonizować O'Neilla i od poprzedniego dnia nie opuszczała kabiny. Kilka godzin temu, gdy na niebie dojrzała pierwsze mewy, uchyliła nieznacznie drzwi i wówczas usłyszała rozmowę marynarzy, z której wynikało, że wkrótce wpłyną na rzekę, wiodącą do portu Limerick.

Teraz fregata sunęła w górę rzeki Shannon. Od czasu do czasu Wirginia dostrzegała jakiś dworek lub kilka wiejskich chat. Wszystko było tu soczyście zielone, gdzieniegdzie upstrzone białymi punkcikami owiec, które pasły się na łagodnych zboczach.

Jak długo będą płynąć do portu w Limerick? Nie miała pojęcia. Obejrzała mapy O'Neilla, ale niewiele z nich wywnioskowała. Nie mogła jednak dłużej zwlekać. Jeżeli w odpowiednim czasie nie zdąży wprowadzić nowego planu w czyn, wszystko przepadnie.

Otworzyła drzwi i czujnie rozejrzała się dokoła. Nigdzie nie dojrzała śladu młodego, jasnowłosego Gusa, zauważyła za to Jacka Harveya, stojącego pod mostkiem ze smutną, poważną miną.

- Panie Harvey! Bardzo proszę, czy mogłabym zamienić z panem słowo?

Harvey ze zdumieniem spojrział w jej stronę.

Tkwiący na mostku Devlin nachylił się i powiedział coś do doktora. Harvey skinął głową, po czym niechętnie ruszył w stronę Wirginii. Przygryzła wargę, ale kiedy przed nią stanął, uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała.

- Chciałam pana prosić o przysługę.

- Nie zamierzam uczestniczyć w pani knowaniach -odparł szorstko.

- Czy mógłby pan przysłać do mnie Gusa? Muszę się wykapać, zanim zejść ze statku. Chciałam go tylko poprosić o trochę ciepłej wody.

Harveyowi wyraźnie ulżyło, że zwróciła się do niego z tak niewinną prośbą. W odpowiedzi skinął głową i ruszył przed siebie.

Wirginia weszła do kabiny i starannie zamknęła za sobą drzwi. Zacisnęła powieki, żałując, że nie ma innego sposobu wymknięcia się z niewoli. Jednak tylko Gus był na tyle chudy i drobny, by posłużyć jej celom. Chwyciła w rękę jeden ze srebrnych świeczników i stanęła tuż za drzwiami.

Modliła się w duchu, żeby Gus przyszedł sam.

Kiedy zapukał, krzyknęła „wejść”. Był z nim inny marynarz, Wirginia odskoczyła więc od ściany, schowała świecznik za plecami i stała z uśmiechem przyklejonym do twarzy, podczas gdy mężczyźni napełniali wannę. Gdy już mieli wychodzić, powiedziała:

- Gus, poczekaj, proszę. Nigdy wcześniej nie byłam w Irlandii, chciałabym zadać ci kilka pytań. To dla mnie bardzo ważne.

Jak zwykle, ani razu na nią nie spojrzął, odprawił jednak drugiego marynarza. Wówczas Wirginia podeszła do niego z bijącym sercem.

- Słyszałam, że Irlandia to w większości katolicki kraj. Czy znajdę tam pastora baptystę?

Gus był wyraźnie zbity z tropu jej pytaniem. Zawahał się, a tymczasem Wirginia się cofnęła, by stanąć za jego plecami.

- Ee... jestem pewien, że kapitan...

Czuła się okropnie, ale potrzeba ucieczki przewyciężyła strach i zagłuszyła wyrzuty sumienia. Wirginia zamachnęła się i uderzyła Gusa świecznikiem w głowę. Chłopak natychmiast osunął się na ziemię.

Zamarła, przerażona, że ugodziła go zbyt mocno, może nawet zabiła. Opadła na kolana. Z głowy Gusa sączyła się krew, ale na szczęście oddychał.

- Bardzo, bardzo cię przepraszam - wyszeptała i sięgnęła do sprzączki jego paska. Szybko ściągnęła z chłopaka przybrudzone portki. Widok jego chudych nóg i innych szczegółów anatomii nie wywarł na niej najmniejszego wrażenia. Po chwili wahania Wirginia

zabrała sztylet Gusa; broń mogła okazać się przydatna. Potem, z dużo większym trudem, zaczęła zdejmować z chłopaka koszulę. Wreszcie sięgnęła pod łóżko, gdzie ukryła dość długi kawał liny. Związała chłopakowi nogi w kostkach, potem ręce w nadgarstkach, na koniec zaś zakneblowała go pończochą.

- Błagam, nie znienawidź mnie - szepnęła i wtoczyła bezwładne ciało tam, gdzie wcześniej ukryła linę. Na widok jego bladej jak płótno twarzy, zaczęła się zastanawiać, czy ucieczka jest tego warta. Ten chłopak traktował ją z szacunkiem.

Cóż, teraz już za późno na podobne refleksje.

Wirginia szybko zrzuciła z siebie gorset i suknię; została tylko w cienkiej koszulce oraz w pantalonach. Swoje trzewiki wepchnęła pod łóżko. Wskoczyła w spodnie Gusa a jego paska nie zapięła na sprzączkę, tylko mocno zawiązała na supeł. Następnie naciągnęła koszulę, a włosy splecione w warkocz wepchnęła pod wełnianą czapkę. Obejrzała się uważnie w lustrze i skrzywiła na widok bosych, bez wątplenia kobiecych stóp. Dostrzegła też, że spod nogawek spodni wystaje koronka pantalonów.

- Do diabła - mruknęła, rolując nogawki nieznośnej sztuki bielizny.

Po krótkich zmaganiach w końcu uznała, że jej strój nie budzi większych podejrzeń. Wówczas podbiegła do bulaju i ujrzała na horyzoncie miasto - chaty na przedmieściu, a za nimi spore kamienne budowle, kilka okazałych rezydencji i kościołów. Zbliżali się do

portu. Przy kejach cumowały różne statki, ale żaden z nich nie był tak duży jak fregata O'Neilla.

A potem Wirginia zobaczyła tłumy nadciągające na nabrzeże.

Chłopcy w różnym wieku biegli obok statku i wiwatowali.

Szybko dołączyli do czekających przy palach cumowniczych wieśniaków w spranych kubrakach, mieszczan i kupców odzianych w kosztowne, wełniane kaftany oraz wielu kobiet różnych stanów. Młodsze z nich uśmiechały się i machały. Chociaż nie - uśmiechali się wszyscy zgromadzeni.

Wirginia poczuła się nieswojo.

Usłyszała, jak O'Neill wydaje różne komendy. Dostrzegła młodą rudowłosą dziewczynę w chłopskim stroju, odrywającą się od tłumy, niosącą kosz pełen kwiatów.

Ktoś wzniósł głośny, radosny okrzyk, zgromadzeni go podchwycili. Brzmiało to jak: „O'Neill, O'Neill!”.

Tymczasem piękność o tycjanowskich włosach zaczęła obrzucać okręt kwiatami, które porywał wiatr i kładł na wodach portowego kanału. Tłum cały czas wykrzykiwał: „O'Neill, nasz O'Neill!”. Wirginia ze zdumieniem spostrzegła, że po policzkach niektórych ludzi płynęły łzy.

Nic z tego nie rozumiała.

Mężczyźni ubrani jak marynarze, ale nie z załogi O'Neilla, podbiegli do „Defiance” i zaczęli chwytać rzucane z fregaty cumy. Po chwili Wirginia usłyszała głośny plusk wielkiej kotwicy.

Dlaczego ci ludzie tak cieszyli się z przybycia O'Neilla?

Szybko doszła do wniosku, że to nie powinno jej obchodzić. Nadszedł czas ucieczki.

Kiedy uchyliła drzwi, zrozumiała, że naprawdę dzieje się coś niezwykłego. O'Neill stał na mostku i spoglądał na wiwatujący tłum takim wzrokiem, jakim król wodzi po poddanych. Nie uśmiechał się. Doprawdy, nie sposób pojąć tego człowieka.

Nagle przez pokład przebiegła rudowłosa dziewczyna, wdrapała się na mostek i stanęła obok Devlina z bukietem róż w dłoni. O'Neill natychmiast wyczuł jej obecność, zwrócił się w tę stronę, a dziewczyna wypuściła róże, zarzuciła mu ręce na szyję i wpiła się ustami w jego wargi.

Wirginia nie wierzyła własnym oczom.

O'Neill objął tycjanowską piękność, po czym przejął inicjatywę - przycisnął ją do piersi i żarliwie oddał pocałunek.

Całe miasto, zebrane na nabrzeżu, zaczęło głośno wiwatować i raz po raz wykrzykiwać jego imię.

Wirginia patrzyła na tę scenę jak zahipnotyzowana, ale na szczęście szybko odzyskała przytomność umysłu. Teraz nadszedł najlepszy moment na ucieczkę. Wybiegła z kabiny, przemknęła przez pokład i dołączyła do schodzących po trapie marynarzy, po którym jednocześnie wspinał się tłum ludzi z miasta, garnących się w pobliże swojego bohatera.

Stanęła na kei i jeszcze raz spojrzała na fregatę. O'Neill odsunął od siebie rudowłosą dziewczynę i ścisnął dłoń jakiemś ważnemu, sądząc po stroju, urzędnikowi miejskiemu, być może burmistrzowi.

Potem nacisnęła czapkę mocniej na oczy, wymknęła się z portu, wyszła na brukowaną, szeroką ulicę, gdzie minęło ją kilka furmanek i powozów, a następnie skręciła w ciasny zaułek zabudowany wąskimi domkami, ze sklepami na dole i izbami mieszkalnymi na górze - po czym puściła się biegiem przed siebie.

Devlin wolnym krokiem zmierzał w stronę kapitańskiej kabiny. Z nabrzeża wreszcie zniknęły tłumy, większość załogi wyruszyła na miasto. Czuł przygnębienie. Pamiętał, jak przed wielu laty, w zupełnie innym życiu, jechał ulicami tego miasta na wozie u boku ojca, któremu wszyscy kłaniali się z estymą. Devlin wówczas dumnie unosił głowę, bo był synem Irlandczyka z książęcego rodu O'Neilów. Pamiętał także, jak biegł ulicami tego miasta niedługo po śmierci ojca, a rzemieślnicy i kupcy spoglądali na niego ze współczuciem, szeptem informując wszystkich wokół, że to „ten biedny chłopak O'Neilla”, oraz głośno rzucali nienawistne uwagi na temat „owego skandalu na wzgórzach”, bo tak powszechnie nazywano powtórne zamążpójście jego matki.

Devlin wstąpił do marynarki i od tamtej pory tylko raz odwiedził rodzinne strony. Było to sześć lat temu, po bitwie pod Trafalgarem, kiedy po raz pierwszy powierzono mu dowództwo okrętu. Wówczas nikt nie witał kwiatami stojącego na mostku szkunera rosłego osiemnastolatka. Nikt nie sypał przed nim róż, gdy przejeżdżał ulicami miasta w drodze do Askeaton, chociaż wszyscy wychynęli z domów i sklepów, żeby na niego popatrzeć. Wtedy także coś szeptano za jego plecami, ale on z zasady nie słuchał plotek.

Nagle Devlin spostrzegł, że wbrew temu, co sądził, nie jest na pokładzie sam. W pobliżu kabiny stał Harvey z fajką w zębach.

- Powrót syna marnotrawnego - zauważył.

Devlin przystanął przy doktorze. Nie żywił już do niego złości. Zaakceptował jego zdradę, tak jak zaakceptowałby jego śmierć. Odbył żałobę i pozostał obojętny.

- Nie jestem niczym synem marnotrawnym.

- Jesteś synem marnotrawnym tego miasta.

- To ludzie karmiący się ułudą i desperacko stęsknieni za kimś, kogo mogliby ochrzcić mianem bohatera, byle tylko był Irlandczykiem i katolikiem.

- Zabawne. Wszyscy w marynarce uważają cię za wyniosłego, zadufanego w sobie, nieznośnego aroganta. Byłem z tobą dość długo, by odkryć prawdę. Jesteś jednym z najskromniejszych ludzi, jakich miałem szczęście poznać w życiu.

- Czy przyszedłeś do mnie z jakiegoś określonego powodu, Jack? Od sześciu lat nie byłem w domu, chciałbym więc wyruszyć do Askeaton najszybciej jak to możliwe.

- W takim razie rzeczywiście nie powinienem cię zatrzymywać.

Devlin wiedział, że Harvey chciałby z nim porozmawiać, ale nie miał na to ochoty. Otworzył więc drzwi kabiny i stanął jak wryty - w środku nie było Wirginii. W pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom, ale szybko zrozumiał, że jakimś cudem udało jej się zbiec. Ogarnął go podziw dla tej dziewczyny. Okazało się, że jednak zdołała go przechytrzyć.

- Sprytna, mała wiedźma - rzekł cicho i w tej samej chwili spod łóżka dobiegły go jakieś zduszone odgłosy.

Doskoczył tam w dwóch susach i wyciągnął nagiego, zakneblowanego, związanego niczym prosię Gusa Piersona. Przeciął szybko więzy i wyciągnął knebel. Chłopak był blady jak chusta, mimo to od razu zerwał się na równe nogi.

- To moja wina, panie kapitanie. Przyjmuję pełną odpowiedzialność za ucieczkę więźnia, sir!

Devlin miał ochotę go uderzyć, ale się powstrzymał. Zza drzwi natomiast dobiegł go głos Harveya:

- No, no, a więc jednak uciekła. Czy Gusa także odprawisz, czy raczej każesz przeciągnąć go pod kilem?

Przeciąganie pod kilem zazwyczaj kończyło się śmiercią i w zasadzie nie stosowano tej kary.

- Powiedz mi dokładnie, co się stało. - Devlin zignorował przytyk doktora i rzucił Gusowi spodnie i koszulę.

Gus szybko je wciągnął, po czym zdał relację z zajścia, czerwony ze wstydu. Kiedy skończył, Devlin oznajmił:

- Pomożesz mi odszukać pannę Hughes, Gus, a kiedy znajdzie się z powrotem pod moją kuratelą, obejmiesz wachtę na okręcie. Cofam ci przywilej schodzenia na ląd na czas naszego pobytu w Irlandii albo do chwili, gdy zmienię zdanie.

- Tak jest, panie kapitanie - wymamrotał Gus, zadowolony, że nie spotkała go gorsza kara.

Gus był dobrym żeglarzem i bardzo dzielnym chłopakiem, a ponadto Devlin doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zakazując członkom załogi spoglądania na zakładniczkę, bardzo ułatwił Wirginii ucieczkę. Dlatego kara dla Gusa była raczej symboliczna. Musiał ją nałożyć, żeby utrzymać dyscyplinę, nie winił jednak chłopaka za to, co się stało. Gus nie dopuścił się zdrady; Wirginia Hughes zdecydowanie przewyższała inteligencją młodego Duńczyka.

- A jak zamierzasz ją znaleźć? - zainteresował się Harvey. - Teraz już zapewne jest w połowie drogi do jednej z okolicznych wiosek.

- Mylisz się. Panna Hughes za wszelką cenę chce dostać się do Londynu, a to może zrobić tylko w jeden sposób: na pokładzie statku.

Harvey zrobił zdziwioną minę.

- Czy sam nie powiedziałeś, że jestem synem marnotrawnym tego miasta? Czy burmistrz nie odznaczył mnie medalem? Czy sędzia O'Brien nie zaprosił na kolację, a kapitan „Mystere” na obiad?

- Zaczynam pojmywać - mruknął Harvey.

- Do każdej rozgrywki trzeba przynajmniej dwojga - stwierdził Devlin, po czym zwrócił się do Gusa. - Rozgłoś po porcie, że moja, niechętna mi, narzeczona, będzie próbowała przedostać się do Londynu, a ja, stęskniony i ze złamanym sercem, hojnie wynagrodzę każdego, kto mi ją przyprowadzi. Z burmistrzem i radą miasta porozmawiam osobiście.

Gus popędził bez słowa, żeby wypełnić rozkaz. Devlin też opuścił kabinę, a Harvey podążył za nim dużo wolniejszym krokiem, mówiąc:

- Biedna dziewczyna. Nie ma najmniejszych szans.

Scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Coś się w tym wszystkim nie zgadzało.

Wirginia, ukryta na stryszku stodoły, klęczała na pachnącym sianie i ukradkiem wyglądała przez małe okno na wąską, krętą uliczkę. Zapadła noc i pobliskie zaułki były wyludnione. Już od kilku godzin Wirginia kryła się w tej stodole, stojącej mniej więcej pośrodku miasta, tuż za warsztatem cieśli. Przez ten cały czas widziała niewielu przechodniów, wśród których prawie nie było marynarzy. Nie zauważyła także żadnej uzbrojonej grupy pościgowej.

Jej przemyślny prześladowca na pewno szybko odkrył, że zeszła ze statku. Bez wątpienia podzielił wówczas swoich ludzi na drużyny i wydał rozkaz dokładnego przeczesania miasta. Tymczasem ona przez cały dzień nie widziała ani jednej takiej grupy, a jedynymi docierającymi do niej odgłosami były śmiechy i muzyka, dobiegające z nadbrzeżnych tawern i barów. Od czasu do czasu słyszała także urywki pijackiego bełkotu marynarzy. Nic poza tym.

Co to mogło oznaczać?

Wirginia podniosła się z obolałych kolan i przeciągnęła na wszystkie strony. Czuła się niepewnie i nękały ją ponure przeczucia, ale nadszedł czas ruszać w drogę.

Musi jak najszybciej znaleźć płynący do Londynu statek, a w najgorszym przypadku zawijający do jakiegokolwiek portu w Anglii. To jedyny sensowny sposób, żeby dotrzeć tam, gdzie chciała. Piesza wędrówka po Irlandii bez grosza przy duszy nie wchodzi w grę.

Zeszła w dół po drabinie i ostrożnie wymknęła się ze stodoły. Pobieгла w stronę nabrzeża, przekonana, że lada chwila ujrzy swojego prześladowcę, czyhającego na nią z zimnym uśmiechem na pięknej twarzy. Jednak, ku jej zdziwieniu, na żadnym zakręcie ulicy nie zmaterializował się ani O'Neill, ani grupa pościgowa.

To doprawdy niezwykle.

Im bliżej była portu, tym bardziej wzrastał jej niepokój. W Limerick tylko na kilku głównych ulicach paliły się latarnie olejowe, a samo nabrzeże spowijał gęsty mrok, rozjaśniany gdzieniegdzie słabym światłem pochodni. Wirginia natychmiast dostrzegła przy kei ciemną sylwetę „Defiance”. Fregata kołysała się lekko na fali, potężna i piękna. Maszty i zrefowane żagle rysowały się wyraźnie na tle nocnego nieba. W kapitańskiej kabinie było ciemno, a obecność wachty na pokładzie zwiastowała tylko jedna pochodnia. Wirginia podświadomie spodziewała się, że na mostku nagle ukaże się Devlin - zjawiskowa postać odbijająca bielą stroju od ciemności. Nic podobnego się nie zdarzyło.

Czyżby w końcu pogodził się z jej ucieczką? Może jednak przemówiły do niego jej błagania?

Wtem zza pleców dobiegły ją ludzkie głosy. Pochyliła nisko głowę, przycisnęła się do drzwi pobliskiego składu i spod oka zerkała na idących nabrzeżem dwóch mężczyzn.

Bez wątpienia byli to marynarze - pijani i otwarcie omawiający przymioty pewnej dziwki, urzędującej w tawernie „Pod Głową Dzika”. Wirginia nie rozpoznała żadnego z nich, ale na statku nie

miała przecież okazji zetknąć się ze wszystkimi członkami załogi O'Neilla.

Podbiegła do nich szybko.

- Czołem, bracia - mruknęła niskim głosem, siląc się na londyński akcent. - Szukam statku, co by mnie dowiózł do domu, do Londynu. Nie słyszeliście o jakim, co się kieruje w tamte strony?

Mężczyźni przystanęli, cały czas pociągając coś z kufli.

- „Mystere” podnosi żagle wraz z pierwszym przyływem, synu-oznajmił potężniejszy z nich. - Słyszałem, że kapitanowi brakuje ludzi i bierze każdego, kto jest w stanie ustać na własnych nogach.

Wirginia wprost nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

- Rety, wielkie dzięki!

Mężczyzna niespodziewanie zbliżył twarz do jej twarzy.

- Coś wydajesz mi się znajomy, bratku. Nie płynąłeś przypadkiem z nami na „Defiance”?

Wirginia określiła się na pięcie i pognąła przed siebie bez słowa, dziękując w duchu, że mężczyźni byli solidnie pijani. „Mystere” okazał się smukłą korwetą, połowę mniejszą od zacumowanej w pobliżu fregaty O'Neilla. Wirginia szybko wbiegła na górę po trapie, i została natychmiast zatrzymana przez marynarzy, pełniących wachtę na pokładzie.

- Jestem Robbie - mruknęła. - Chcę ruszyć z wami, jeśli tylko kapitan się zgodzi.

Smukły żeglarz zaświecił jej pochodnią w oczy.

- Kapitan właśnie je kolację. Rzeczywiście brakuje nam ludzi. Chodź więc, Rob. Z pewnością z tobą pogada.

Wirginia ruszyła za marynarzem, ciesząc się w duchu, że mężczyzna idzie przodem i trzyma pochodnię z dala od jej twarzy.

- A ile masz lat, Rob? - zapytał wachtowy.

- Piętnaście - odparła po chwili wahania.

- Wyglądasz najwyżej na dwanaście, ale kapitan Rodrigo wziąłby cię, nawet gdybyś miał osiem.

Podeszli do niewielkiej kabiny, znajdującej się tuż pod mostkiem. Wachtowy zapukał i usłyszał „wejść”.

- Kapitanie, jest tu chłopak, który chce zabrać się z nami w rejs.

Przy stole siedział mężczyzna z siwą brodą, o potężnym torsie i przenikliwych ciemnych oczach. Najwyraźniej kończył kolację złożoną z chleba, sera, zimnej baraniny i piwa. Obrzucił uważnym spojrzeniem Wirginię, trzymającą się możliwie blisko drzwi.

- Zbliź się, chłopcze - rzucił ostro. - Czy już kiedykolwiek żeglowałeś po morzu?

Wirginia postąpiła kilka kroków do przodu, pilnie unikając wzroku mężczyzny. Musiała dostać się do Londynu, należało więc skłamać.

- Tak jest, panie kapitanie. Jestem na morzu od czasu, jak skończyłem lat osiem.

- Czyżby? - Mężczyzna otarł ręce o spodnie i beknął donośnie. - A na jakich pływałeś statkach?

Wirginia pobladła, ale natychmiast olśniła ją przednia myśl.

- Na „Americanie”, panie kapitanie.
- Nigdy nie słyszałem o takim statku.
- Zostaliśmy przechwyceni przez „Defiance”, sir. Zaledwie kilka dni temu. „Americana” prawdopodobnie leży teraz na dnie morza, nie była dość szybka, by uciec przed sztormem, który my ledwo przetrwaliśmy. Miałem szczęście, że mnie zabrano na pokład „Defiance” - stwierdziła z uśmiechem.

- A czemu zamierzasz zmienić statek? - Jak na gust Wirginii, kapitan patrzył na nią nazbyt przenikliwie. - Większość moich ludzi dałaby sobie odrąbać rękę za możliwość pływania pod O'Neillem.

- Ale nie ja, sir - odparła Wirginia z wahaniem. - On zbyt lubi chłopców, jeśli pan kapitan rozumie, co mam na myśli.

Przez cały czas rozmowy wyraz twarzy kapitana pozostawał nieprzenikniony.

- O'Neill słynie z zamiłowania do pięknych i eleganckich dam. Łap ją, Carlos.

„Łap ją Carlos”?!

Wirginia ruszyła w stronę drzwi. Smukły Carlos próbował ją pochwycić, ale bez trudu przemknęła pod jego ramieniem i wypadła na pokład.

- Schwytajcie tę dziewczynę! - wrzasnął Rodrigo. -Do diabła, to narzeczona O'Neilla. Wyznaczył za nią hojną nagrodę.

W tym momencie wszystko stało się jasne. O'Neill nie zawracał sobie głowy przeszukiwaniem miasta, bo dobrze wiedział, że Wirginia będzie próbowała dostać się na statek, płynący do Londynu. Och,

jakże nienawidziła tego człowieka! Czyżby miała ponieść klęskę?
Gdy już była tak blisko zwycięstwa i wolności?

Kilku marynarzy zbliżało się do trapu od strony kei. Za jej plecami Carlos wykrzyknął:

- Łapcie ją! To nie chłopak, lecz kobieta! Kobieta O'Neilla!

Mężczyźni wbiegli po trapie. Wirginia nerwowo obejrzała się za siebie. Kilka kroków dalej stał uśmiechnięty Carlos i przebierał palcami ręk, jakby nie mógł się doczekać, kiedy ją pochwyci.

Wirginia zerknęła w prawo. Woda była ciemna i połyskliwa. Wydawała się spokojna, a ona przecież jest dobrą pływaczką. Podbiegła do relingu i stanęła na barierce.

- Złapcie ją, zanim skoczy! - wrzasnął Carlos. Wirginia wyjęła zza pasa sztylet, uniosła rękę nad głowę, po czym zanurkowała w ciemnej toni.

Devlin szedł w stronę portu, mijając tawerny i bary. Był w parszywym nastroju. Z niewiadomych przyczyn przez cały dzień stawało mu przed oczami widmo zmarłego ojca, jak gdyby nie miał dość problemów związanych z przemyślną ucieczką Wirginii. Od chwili, gdy postawił stopę na irlandzkiej ziemi, gdziekolwiek się ruszył, widział Geralda O'Neilla, próbującego mu coś powiedzieć. Naturalnie, to tylko wytwór jego wyobraźni. Ojciec od dawna nie żył, a w odróżnieniu od wielu ludzi Devlin nie wierzył w duchy i zjawy.

Poza tym, co mógłby mieć mu do powiedzenia? Jego morderca, Eastleigh, był bliski całkowitej ruiny. Dawno temu Devlin zdecydował, że życie w nędzy będzie dla hrabiego o wiele dotkliwszą

karą niż śmierć, a przez to najlepszą możliwą zemstą za haniebne czyny.

Pozbawione życia oczy wyzierały z odciętej głowy ojca.

To wspomnienie wzbudziło w nim złość. Od czasu, gdy wypłynął z Londynu nie prześladowały go te okrutne obrazy, i był za to wdzięczny losowi. Z drugiej strony, dobrze wiedział, że kiedy znajdzie się w Irlandii, koszmary powrócą, i to ze zdwojoną siłą.

Chłopiec znów zaczął go prześladować. Był przerażony, słaby, niepewny siebie. Devlin nienawidził owego chłopaka - nienawidził go od zawsze - zaklął więc szpetnie pod nosem.

Nie chciał powrotu zjaw z przeszłości szczególnie wtedy, gdy miał głowę zaprzątniętą poszukiwaniem zakładniczki. Napominał się, że nawet gdyby uciekła na dobre, nie miałoby to większego znaczenia; była jedynie niczym morską sól, którą dodatkowo chciał wetrzeć w rany Eastleigha. Jednak owe zdroworozsądkowe argumenty nie łagodziły jego irytacji. Wirginia Hughes stała się kimś więcej niż tylko nieznośnym stworzeniem, ośmielającym mu się sprzeciwiać. Stała się wyzwaniem, które musiał podjąć.

Wielkie fiołkowe oczy wpatrywały się w niego żałośnie. „Nie zdołam przeżyć bez «Słodkiego Dere-nia». Proszę, pozwól mi odejść... Błagam...”

Nie zamierzał się nad nią litować, choć nie życzył Wirginii źle, ale nazywała się Hughes, więc wykorzysta ją do osiągnięcia własnego celu.

Devlin zwolnił kroku, gdy uświadomił sobie, że jednak, wbrew sobie, czuje wobec niej litość. Do Elizabeth nie żywił żadnych uczuć, ale tej małej zakładniczce na swój sposób współczuł. Zapewne z powodu jej młodego wieku i niewinności, a może dlatego, że jak nikt wiedział, iż Eastleigha nie stać na spłacenie długów plantacji.

W wyobraźni ujrzał oczy Wirginii tym razem przepelnione miłością. „Urodziłam się na plantacji tytoniu, w pobliżu Norfolku, w stanie Wirginia. Plantacja nazywa się «Słodki Dereń» i jest rajem na ziemi...”.

Nagle obudził się w nim niepoohamowany gniew. Litość, współczucie były równoznaczne ze słabością. Jeżeli ta pannica nadal będzie kwestionować jego władzę, Devlin z łatwością sprawi, że jej oczy zajdą mgłą i uwielbieniem. A jeżeli weźmie ją sobie do łóżka, wreszcie ją zdyscyplinuje.

Od strony kei dobiegły go głośnie krzyki.

Najwyraźniej doszło do jakiegoś zamieszania na „Mystere”. Na pokład wbiegała grupa mężczyzn. Ktoś trzymał wysoko uniesioną pochodnię, ktoś inny coś wykrzykiwał. Devlin dosłyszał swoje nazwisko. Pod wpływem niezrozumiałego impulsu przeniósł wzrok na reling i z wrażenia aż zaparło mu dech w piersi. Na barierce stała Wirginia i z rozpostartymi ramionami szykowała się do skoku w lodowate odmęty rzeki.

Co, do diabła, strzeliło jej do głowy?!

Ruszył przed siebie biegiem w chwili, gdy Wirginia sfrunęła z relingu w głęboką toń. Czy ona w ogóle umie pływać? Widział, w którym miejscu przecięła taflę wody, i natychmiast za nią wskoczył.

W lodowatej wodzie zdjął go strach. Choć zapewne niepotrzebnie się lękał. Ostatecznie ta dziewczyna sprawnie posługiwała się bronią, kleła jak szewc, bez skrpułów rozebrała mężczyznę do naga i ukradła mu ubranie. Zapewne umie także pływać.

Strach jednak go nie opuszczał.

Woda była czarna jak atrament. Zanurkował głęboko, ale nie dojrzał Wirginii. Zszedł jeszcze niżej, aż poczuł, że wodorosty chwytają go za ramiona i nogi. Jeżeli Wirginia zapłacie się w roślinność, może się nie uwolnić. Próbował ją wymacać w pobliżu miejsca, gdzie skoczyła, ale trafiał rękami jedynie na kamienie lub kawałki drewna.

Płuca mu już pękały i chcąc nie chcąc, musiał wypłynąć na powierzchnię. Kiedy wynurzył głowę i zaczerpnął haust zimnego powietrza, natychmiast zauważył Wirginię - biła rękami wodę zaledwie kilka jardów od niego.

Teraz nad relingiem „Mystere” pojawiło się dużo więcej pochodni, które całkiem nieźle oświetlały morze. Wirginia była zaskoczona widokiem Devlina co najmniej tak samo jak on, gdy nagle ujrzał ją przed sobą.

- Jesteś cała? - zapytał, podpływając bliżej i wyciągając ku niej rękę.

Zareagowała mściwie. Kiedy chwycił za jej nadgarstek, ostrzem sztyletu przejechała mu po ramieniu.

Był zdumiony, że dziewczyna ma broń, i na dodatek go atakuje. Przez chwilę wpatrywał się z niedowierzaniem w jej oczy, z których wyzierała determinacja. Ponownie próbowała go dźgnąć, tym razem w okolice twarzy. On jednak złapał ją z całej siły za rękę.

- Rzuć to! - zarządził, teraz już na dobre rozsierzdzony.

- Nie! - odparła wojowniczo, ale w jej oczach dostrzegł przerażenie.

Wiedział, że już go nie zaatakuje, ale nie zamierzał dłużej znosić tego szaleństwa. Ogarnęła go zimna, bezlitosna furia, i mocno ścisnął jej nadgarstek. Wirginia jęknęła i wypuściła sztylet z dłoni, a Devlin natychmiast przyciągnął ją do siebie.

- Prawie wygrałam - szepnęła, a w jej oczach zamigotały łzy.

Znowu ogarnęło go współczucie, ale natychmiast je w sobie zdusił.

- Nawet nie zbliżyłaś się do zwycięstwa, moja droga. Nigdy się nie zbliżysz. W każdym razie nie wtedy, gdy podejmiesz batalię ze mną.

- Pewnego dnia z radością zatańczę na twoim grobie, łajdaku.

- W to nie wątpię - powiedział i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że smukłe nogi oplatają jego potężne udo.

- O'Neill! Łap!

Marynarze z „Mystere” rzucili mu linę. Odwrócił się w ich stronę, udając, że nie czuje drobnej, idealnie kształtnej piersi na

swoim ciele. Trzymając jedną ręką Wirginię, drugą chwycił koniec liny. Kiedy wciągano ich na pokład, miał wrażenie, że Wirginia zaraz wybuchnie płaczem, ale jej nierówny, chrapliwy oddech mógł równie dobrze wynikać z przemarznięcia.

Nie płakała, dygotała natomiast niemiłosiernie, kiedy dotarli do jego kabiny, gdzie już czekał Gus.

- Nagrzej dla niej wody, zanim zejdziesz na gorączkę płucną.

- Tak jest, panie kapitanie. - Gus wyprężył się służbiście, zerkając jednocześnie z troską w stronę Wirginii.

Była tak zawstydzona niedawnym postępkami, że umknęła wzrokiem. Trzęsąc się nieustannie i głośno szczękając zębami, odeszła w drugi koniec kajuty.

Devlin zamknął za Gusem drzwi na klucz, po czym zapalił kilka świec.

- Wyskakuj z tych mokrych ubrań - zarządził. Podeszedł do szafy i wyjął z niej nocną koszulę, której nigdy nie używał, bo zawsze sypiał nago.

- Idź do diabła! - usłyszał w odpowiedzi. Spojrzał na nią i zamarł. Przemoczone ubranie Gusa kleiło się tak idealnie do jej ciała, że równie dobrze mogłaby być naga - widział wyraźnie twarde, sterczące sutki, wąską talię, którą objąłby jedną ręką i - do diabła - ciemny trójkąt między udami.

- O'Neill? - wyszeptała chropawo Wirginia. Wzdrygnął się, wciąż znajdując się we władaniu

najsilniejszego pożądanego, jakie ogarnęło go w życiu, w końcu jednak zmusił się, by wrócić do stanu, który od biedy można by nazwać przytomnością umysłu, i rzucił koszulę w stronę Wirginii. Potem odszedł w drugi koniec kabiny, najdalej jak mógł od tej kobiety. Serce biło mu tak gwałtownie, jakby przemierzył biegiem drogę z Limerick do Askeaton i z powrotem.

Czemu, do diabła, miałby przejmować się jej dziewictwem?

Była jego wrogiem, nieważne więc, że miała zaledwie osiemnaście lat. Mógł ją wziąć tu i teraz. Czy kogokolwiek by to obchodziło? Była sierotą, Amerykanką, a Eastleigh wcale nie chciał zawracać sobie nią głowy. Nikt by się nie przejął, gdyby Devlin zwrócił ją bez wianka.

Nikt poza nim samym.

Ostatecznie był synem Geralda i Mary O'Neillów, którzy wpajali mu poszanowanie dla kobiet, umiejętność odróżniania dobra od zła oraz nienawiść do Anglików. A przecież jego zakładniczka nie była Angielką.

Z ponurą miną nalał sobie solidną porcję szkockiej i dopiero w tym momencie zauważył, że drżą mu ręce. Wychylił szklanekę trunku. Potem następną. Nie przyniosło mu to jednak przyjemnego rozluźnienia.

W kabinie panowała nienaturalna cisza i Devlin spojrzał na Wirginię.

Stała tam, gdzie przedtem, nieporuszona, tyle że teraz wpatrywała się w niego uparcie i już nie trzęsła się ani nie szczykała

zębami. Nie włożyła nocnej koszuli - jak zwykle go nie posłuchała - ale gdy tylko na nią spojrział, zorientował się, że ona również wyczuwa elektryzującą atmosferę, panującą w kabinie.

Powoli przesunęła wzrokiem po jego potężnej sylwetce, a potem ponownie spojrzała mu w oczy i lekko się zrumieniła.

- Jestem mężczyzną, a ty kobietą. To proste - skłamał gładko.

Oblizła powoli wargi.

- Co ty... - Urwała. - Co zamierzasz zrobić?

- A czego oczekujesz?

- Nie wiem - wyszeptała.

Z ust wyrwał mu się śmiech niedowierzania. Sutki Wirginii były wciąż twarde i sterczące. Widział, że jest podniecona, choć jej nie tknął.

- Myślę, że kłamiesz, moja droga. Sądzę, że tęsknisz do mojego dotyku równie silnie, jak tęskniłaś wczoraj.

- Nieprawda - oburzyła się natychmiast.

- Naturalnie twoje pragnienia nie mają teraz żadnego znaczenia.

- Po raz kolejny dolał sobie whisky. Bawił się coraz lepiej pomimo erotycznego napięcia. Podszedł do Wirginii i podał jej swoją szklanekę.

- Za sprawą swojego wyczynu straciłaś wszelkie przywileje.

- Nigdy nie miałam przywilejów.

- Miałaś ich bardzo wiele, ale na własne życzenie traciłaś jeden po drugim. Wypij. To cię rozgrzeje do czasu, aż zagotuje się woda na kąpiel.

- Już nie jest mi zimno.

Podszedł bliżej i palcem uniósł do góry jej brodę.

- Wypij - powtórzył cicho, po czym powiódł kciukiem po jej dolnej wardze.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, a zaraz potem zaczęła oddychać nienaturalnie szybko. Jej warga była pełna, jędrna, wilgotna.

Jeden pocałunek, pomyślał. Jeden powolny, zmysłowy pocałunek. To chyba nic straszego?

Zamiast pocałować Wirginię, chwycił za dłoń, w której trzymała szklankę i podsunął jej do ust.

- Chociaż raz mnie posłuchaj.

Pociągnęła nie jeden, ale kilka sporych łyków.

- Szkocka to dla ciebie nie nowość - zauważył ze zdumieniem.

Przycisnęła szklankę do piersi, a raczej do miejsca dokładnie między piersiami, wyraźnie nieświadoma, jak kuszący przedstawia sobą obraz.

- Mój ojciec bardzo lubił szkocką i często pozwalał mi wypić odrobinę pod warunkiem, że nie powiem mamie.

Devlin poczuł ukłucie w sercu. Gdy był zaledwie sześciolatkiem, Gerald go nauczył posługiwać się muszkietem, po czym uśmiechnął się i szepnął: „Mama by mnie zabiła, gdyby się o tym dowiedziała, więc przypadkiem nie piśnij jej na ten temat ani słowa, słyszysz!”.

- Bardzo kochałaś rodziców. - Ze zdumieniem usłyszał własne słowa. Dzięki nim jednak zdołał ode-gnać bestię wspomnień.

- Owszem - szepnęła i spojrzała w dół, na szklankę.

Zaczerwieniła się też natychmiast, bo zdała sobie sprawę z własnego

wyglądu. - O rany! - sapnęła i spojrzała na niego oszołomionym wzrokiem.

- Ten widok szczerze cieszy moje oczy - oznajmił Devlin z uśmiechem.

Wychyliła do końca szkocką, wsunęła mu pustą szklanekę w dłoń i natychmiast się odwróciła.

- Wiesz, Wirginio, jak do tej pory nie sprawiałaś wrażenia szczególnie skromnej i wstydlivej.

W milczeniu, powoli, schyliła się po jego koszulkę.

Wyraźnie wyczuwał, że znowu coś knuje. Co wymyśliła tym razem? - zastanawiał się, sącząc powoli whisky. Niecierpliwie czekał na kolejne posunięcie Wirginii, nawet nie próbując zgadywać, czym teraz go zaskoczy.

Ona tymczasem posłała mu długie, powłóczyście spojrzenie spod rzęs, spojrzenie wytrawnej kurtyzany, a nie osiemnastoletniej dziewczicy. I zaraz potem zdjęła koszulkę Gusa. Pod spodem miała swoją koszulkę, ale była tak cienka, że równie dobrze Wirginia mogłaby być naga. Na tym nie poprzestała. Odwróciła się bardziej w jego stronę, tak że mógł teraz w pełni podziwiać jej wdzięki. Po chwili zdjęła i koszulkę, i raz jeszcze posłała mu uwodzicielskie spojrzenie.

Podszedł, objął ją dłońmi w pasie i przycisnął mocno do siebie, żeby poczuła, jak bardzo jej pożąda.

Jęknęła i rozwarła szeroko oczy.

Devlin uśmiechnął się drapieżnie, pchnął ją na łóżko, przesunął dłonie na jej nagie pośladki, ścisnął je i przycisnął Wirginię do siebie tak, że łonem czuła jego męskość, i zaczął rytmicznie się poruszać.

Chwyciła go z całej siły za ramiona.

- Nie przestawaj! - wykrzyknęła. - Chcę jeszcze!

- Ależ naturalnie. Bardzo proszę.

Poprawił ułożenie, a potem przywarł ustami do jej ust i całował z namiętną gwałtownością.

Po chwili zaczęła rzucać się na boki i z jej ust wyrwało się spazmatyczne łkanie. Potem zaczęła głośno krzyczeć, a jej ciałem wstrząsał silny dreszcz.

Devlin nie wierzył własnym oczom. Zsunął się z niej i poderwał z łóżka.

Musiał coś zrobić. Musiał działać. Podeszedł do szafy, chwycił świeżą koszulę i spodnie, i zaczął się przebierać.

Po chwili odwrócił się w stronę Wirginii.

- Czy po raz pierwszy szczytowałeś? - spytał ostro.

- Co... co takiego? - zdawała się całkiem zdezorientowana.

- Czy po raz pierwszy przeżywałeś orgazm, petit mort, jak nazywają to Francuzi?

Jak mógł się tego dopuścić? Był wściekły na siebie, na nią, na Eastleigha, na cały świat.

- Masz na myśli to, co się stało na końcu?

- Owszem. Ten moment, gdy zaczęłaś krzyczeć jak uliczna dziwka.

- Tak - szepnęła.

Ogarnęło go uczucie ulgi, a jednocześnie gniew.

- Muszę pamiętać, żeby nigdy więcej nie częstować cię szkocką.

- Szkocka nie miała tu nic do rzeczy. Ty to sprawiłeś.

Ruszył w stronę drzwi. Nie chciał słyszeć ani słowa więcej.

- Nigdy przedtem z nikim się nie całowałam, Devlinie -
powiedziała, gdy otwierał drzwi.

Scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wirginia stwierdziła, że nienawidzi ciemnoniebieskiej jedwabnej sukni i czarnej mantylki niemal równie mocno, jak nienawidzi O'Neilla. Wpatrywała się we własne odbicie w lustrze z przerażeniem, widziała bowiem absurdalnie wielkie oczy o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach i obrzękłe usta - pulchniejsze, większe, bardziej namiętne niż wcześniej.

Działo się z nią coś bardzo złego - to jedno nie ulegało wątpliwości. Oczywiście żadna kobieta nie mogła pozostać obojętna na urok Devlina O'Neilla - niebezpiecznie przystojnego i władczego - ale tylko idiotka mogłaby tęsknić do jego uścisków i pocałunków, gdy była więziona przez niego wbrew własnej woli. Tymczasem wczorajszego wieczoru po nieudanej próbie ucieczki, zamiast obmyślać kolejny plan działania, ona marzyła o pocałunkach. Była po prostu szalona.

- Jesteś gotowa? - zza drzwi dobiegł głos Devlina.

Wczoraj w nocy zniknął i Bóg wie, gdzie spał, zamknął za to drzwi kabiny na klucz. Wirginia to sprawdziła.

Patrząc w lustro, zastanawiała się, kim jest kobieta, której odbicie miała przed sobą. Musi być rozwiązła i zepsuta, bo nadal marzy o bliskości O'Neilla. A może wczorajsze doznania były jedynie wytworem jej wyobraźni? To niewykluczone, ponieważ uniesienie, jakie ją ogarnęło, gdy pieścił i całował jej ciało, nie mogło być aż tak obzwoadniające i rozkoszne, jak jej się zdawało. Gdyby raz jeszcze

znalazła się w takiej sytuacji, pozostałaby najprawdopodobniej zupełnie obojętna na jego dotyk.

O'Neill wszedł do kabiny ubrany w jasnoszary surdut, bryczesy i miękkie wysokie buty. Spojrzał na Wirginię ze zniecierpliwieniem.

- W Askeaton służba odświeży i odprasuje suknię. A teraz chodź już. Powóz czeka.

Wirginia przeszła obok niego z wielką ostrożnością, jakby się bała, że ją pochwyci w objęcia, albo - co gorsza - że ona jego pochwyci. Devlin obserwował ją uważnie, zwężonymi oczami, po czym rzucił z wyraźną irytacją:

- Zapomnij o ubiegłej nocy. To był błąd, który nigdy więcej się nie powtórzy.

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Dlaczego nie?

- Miałabyś ochotę grzać moje łóżko? Jedno drobne zbliżenie, choć, owszem, przyznaję, satysfakcjonujące dla obu stron, a ty już całkowicie zmieniasz zdanie?

- Nie miałabym nic przeciwko dzieleniu z tobą łóżka.

Popatrzył na nią z osłupieniem.

Wirginia od razu pożałowała w duchu, że jest tak amoralna, a jednocześnie prostolinijna i nie umie ukryć tego, co myśli.

- Nie chcesz być czysta i niewinna w noc poślubną?

- Nigdy o tym nie myślałam - odparła szczerze.

- Wszystkie kobiety marzą o ślubie; jest sensem ich życia.

- Ale nie moim! - zaprotestowała zapalczywie. - Nie zamierzam wychodzić za mąż, o ile nie spotkam kogoś, kogo gorąco pokocham. Tak było w przypadku moich rodziców.

Spojrzał na nią, jakby była cieleciem o dwóch głowach, po czym wybuchnął śmiechem.

- Nikt nie zawiera małżeństwa z miłości - stwierdził kategorycznie. - O ile w ogóle istnieje coś takiego jak miłość.

Wirginia miała ochotę kopnąć go w kostkę.

- Moi rodzice bardzo się kochali. Przykro mi, że twoi rodzice nie żywili wobec siebie takich uczuć - dodała gniewnie. - To najwyraźniej skaziło twój charakter. Niewykluczone, że właśnie z tego powodu jesteś tak okrutny i bezduszny.

Doskoczył do niej w mgnieniu oka.

- Nigdy więcej nie wspominaj słowem o moich rodzicach i nie mieszaj się do nie swoich spraw. Zrozumiano?

Cofnęła się o krok, zdumiona. Co go doprowadziło do takiej furii?

- Bardziej jasno nie mogłeś się wyrazić.

- Poza tym przypominam ci, że od chwili, gdy się znalazłaś na tym pokładzie nikt, łącznie ze mną, nie był wobec ciebie okrutny. Chyba że petit mort, której doświadczyłaś zeszłej nocy, nazwiesz okrucieństwem.

- Okrucieństwem było to, że rozbudziłeś moje zmysły, ale nie pozwoliłeś poznać, co czuje kobieta, gdy już naprawdę złączy się z mężczyzną.

Spojrzał na nią oniemiały.

- Nic na to nie poradzę. - Paliły ją policzki. - Cały czas się zastanawiam, jak to jest, kiedy...

Chwycił ją za ramię i wyprowadził z kabiny.

- Bardzo załuję, że nie mogę kontrolować twoich myśli - rzucił przez zęby.

- Nie masz prawa złościć się z powodu mojej ciekawości. To ostatecznie wszystko twoja wina! - wykrzyknęła, podziwiając jego idealny profil.

- Moja wina? - pchnął ją w kierunku trapu. - O ile pamiętam, ty byłaś wczoraj kusicielką.

- Mam zaledwie osiemnaście lat, nigdy wcześniej z nikim się nie całowałam, jak więc mogłabym cię uwodzić?

Nieopodal trapu stał powóz ze stangretem w liberii. Do tyłu powozu był uwiązany wielki szary, osiodłany ogier. Wirginia zrozumiała, że powóz jest dla niej, wierzchowiec dla Devlina.

Jakże cudownie byłoby znowu wskoczyć na siodło. Nie mogła jednak pokazać O'Neillowi, że jest doskonałą amazonką na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja do konnej ucieczki.

Devlin pomógł jej wejść do powozu. Wirginia ośmieliła się raz jeszcze popatrzeć w jego szare oczy, w których wciąż migotał gniew. Dlaczego?

- Poczekaj! - wykrzyknęła, gdy zaczął się odwracać.

Zatrzymał się zniecierpliwiony.

- Co takiego stało się wczorajszej nocy? Czy tobie nie było przyjemnie? Tak mi się przynajmniej zdawało. Ale, naturalnie, nie mam w tych sprawach doświadczenia, więc trudno, żebym...

Zatrzęsnał jej drzwiczki powozu przed nosem.

- Miłego dnia, panno Hughes.

Wirginia, ku własnemu zdumieniu, z przyjemnością wodziła wzrokiem po irlandzkich krajobrazach. Chociaż niebo zasnuwały grożące deszczem szare chmury, widać było, że jest to okolica żyzna, okryta soczystą zielenią pastwisk i pól. Wąska droga, którą się poruszali, biegła wzdłuż krętego szczytu wzgórza. Minęli wiele małych farm, bardzo do siebie podobnych: z tyłu ogród, kawałek pola, a dalej łąki, na których pały się owce i krowy. W pewnym momencie zobaczyła kamienny kościół, a dalej kilka imponujących zabudowań, których przeznaczenia nie umiała rozpoznać z tak dużej odległości.

Niespodziewanie Devlin pojawił się przy oknie powozu, otwartym pomimo chłodnej aury.

- To Askeaton - oznajmił z dumą. - Moje ziemie. Ciągną się daleko poza horyzont.

- Bardzo tu pięknie. - Uśmiechnęła się do niego pogodnie. - Twój majątek przypomina mi „Słodkiego Derenia”.

Zerknął na nią, po czym odjechał galopem.

Na łądzie jeszcze szybciej wpada w irytację niż na pokładzie okrętu, uznała Wirginia, spoglądając za oddalającym się Devlinem. Rozpuścił cugle i pędził cwałem przed siebie. Teraz już było wyraźnie widać wcześniej majaczące na horyzoncie zabudowania: piękny, duży

dwór oraz kilka stajen i innych budynków gospodarczych, za którymi rozciągały się kwitnące ogrody. Na wzgórzu, w pewnym oddaleniu, stała wysoka wieża, zapewne pozostałość warownego zamku. Serce Wirginii zaczęło bić żywszym rytmem. Już nie mogła się doczekać, kiedy obejrzy dom Devlina i pozna jego rodzinę, o ile taka w ogóle istniała.

Powóz zatrzymał się przed frontonem dworu. Wirginia niecierpliwie wyskoczyła na kamienny podjazd. Devlin stał nieopodal wsparty pod boki i toczył wzrokiem po starannie przystrzyżonych trawnikach, a potem po samym domu. Dwupiętrowy dwór wyglądał na niedawno wzniesiony z wyjątkiem fragmentu frontowej ściany i dwóch kominów. Po murach już pięło się dzikie wino. Wirginia uśmiechnęła się ciepło; nigdy by nie przypuszczała, że ten gwałtowny, surowy człowiek może mieć tak uroczą, przytulną posiadłość.

Otworzyły się frontowe drzwi, z których wypadł wysoki, smukły, ciemnowłosy mężczyzna.

- Dev!

O'Neill odwrócił się szybko, Wirginia zdążyła jednak dostrzec wyraz jego twarzy i aż sapnęła ze zdumienia. Zobaczyła bowiem czystą, niczym niezmaconą radość.

- Sean!

Obaj mężczyźni padli sobie w objęcia. Pomimo zasadniczej różnicy w kolorze włosów, nie ulegało wątpliwości, że Sean i Devlin to bracia; byli równie przystojni i mieli takie same srebrzyste oczy.

- Czas był już najwyższy! - wykrzyknął Sean z uśmiechem.

- Masz rację - zgodził się Devlin. - Dom wygląda doskonale.
Bardzo mi się podobają te drzwi.

- Poczekaj, aż zobaczysz główny hol. Jestem pewien, że
będziesz zadowolony... - Urwał, gdy jego wzrok padł na Wirginię. -
Czyżbyśmy mieli gości?

Devlin odwrócił się w jej stronę wciąż jeszcze z radosnym
uśmiechem na ustach.

- Owszem - odparł i wyciągnął ku niej dłoń. Wirginia stała
nieporuszona. Ów promienny
uśmiech był przeznaczony dla brata, nie dla niej. Czemu Devlin
częściej tak się nie uśmiechał?

- Pozwól, Wirginio. Chciałbym, żebyś poznała mojego brata
Seana.

Wreszcie ruszyła się z miejsca i podeszła do obu mężczyzn.

- Witam.

- Powinieneś mnie uprzedzić, że będziemy mieli gościa -
powiedział z z troską Sean, wędrując wzrokiem od Devlina do
Wirginii. - Mam nadzieję, że Fiona zdoła szybko przygotować pokój.

- Sean, oto panna Hughes. Panna Wirginia Hughes ze
„Słodkiego Derenia" w stanie Wirginia.

Zdziwiła się, że przedstawił ją właśnie w taki sposób, a
naprawdę się zdumiała, kiedy spojrzała na twarz Seana; brat Devlina
sprawiał wrażenie zaszokowanego.

- Panna Hughes? - powtórzył głucho. Czemu tak bardzo
wzburzyło go jej nazwisko?

- Napijmy się razem czegoś mocniejszego - zdecydował Devlin, poklepując brata po plecach. - Mamy sobie wiele do opowiedzenia.

Sean cały czas spoglądał na Wirginię i nie było to przyjazne spojrzenie.

Krępującą ciszę przerwał radosny pisk. Z domu wypadła bujna w kształtach kobieta o gęstych, czarnych, długich włosach i niezwykle szerokim uśmiechu. Była tak śniada, że mogłaby uchodzić za Hiszpankę lub Cyganek, a duże piersi niemal wylewały się jej z nad głęboko wykrojonego dekoltu bluzki.

- Milordzie! Witamy w domu! Och, kapitanie O'Neill, witamy najgoręcej!

- Fiona? - spytał Devlin, jakby niedowierzając własnym oczom.

- Tak, to ja milordzie! Jakże dawno pana nie widziałam, sir. Jestem taka szczęśliwa, że pan przyjechał. Wszyscy się cieszymy, kapitanie! Bohater Askeaton powrócił! Jesteśmy z pana bardzo dumni!

- Dziękuję - odparł Devlin uprzejmym tonem.

- Co mogłabym zrobić dla pana, milordzie?

Dla Wirginii nie ulegało wątpliwości, jaki podtekst się kryje za tym pytaniem. Była pewna, że owa kobieta zakosztowała już cielesnej miłości z Devlinem i zamierzała to powtórzyć w najbliższej przyszłości.

- Zaprowadź, proszę, pannę Hughes do gościnnego pokoju - powiedział Devlin - a kiedy się odświeży, podaj przekąski.

Fiona dopiero teraz zauważyła obecność Wirginii. Zmierzyła ją od stóp do głów, po czym uśmiechnęła się pogardliwie i z powrotem zwróciła się ku Devlinowi.

- Tak, oczywiście, milordzie. Jakże się cieszę, że znowu pana widzę.

Dygnęła nisko i Wirginia przez chwilę sądziła, że tym razem piersi wyskoczą jej z bluzki, ale jakimś cudem do tego nie doszło.

- Ja też jestem szczęśliwy, że wróciłem do domu -zapewnił Devlin, wodząc wzrokiem po dworze, jakby badał każdy jego cal. Rysy twarzy wyraźnie mu złagodniały.

Wirginia poczuła się nieco pokrzepiona na duchu. Devlin zdawał się nie zauważać, że Fiona jest ładna, krągła i wręcz zgłodniała seksu ze swoim panem. Nie powinna się więc przejmować. Tym bardziej że ostatniej nocy to ona, Wirginia, rozbudziła w nim namiętność. Nie potrzebowała doświadczenia w kontaktach z mężczyznami, by dostrzec, że był równie podniecony jak ona.

- Connor, zajmij się bagażem panny Hughes - zarządził Sean, zwracając się ku służącemu, posuniętemu w latach mężczyźnie. - Fiono, a ty zaprowadź naszego gościa do pokoju i zadbaj, żeby się tam znalazły świeże kwiaty.

Fiona skinęła głową, ale ani razu nie zerknęła na Seana, bo przez cały czas wpatrywała się z zachwytem w Devlina.

Tymczasem Devlin podszedł do Wirginii.

- Stąd nie ma ucieczki. Chyba to rozumiesz? Prawdę mówiąc, wcale nie była pewna, czy w ogóle miałyby ochotę się stąd ruszać, ale posłusznie pokiwała głową.

- Wszystkie te ziemie na przestrzeni dziesiątków mil należą albo do mnie, albo do mojego ojczyma, hrabiego Adare. Czy pojmujesz, co do ciebie mówię, Wirginio? - mówił cicho i spokojnie, ale w jego głosie było coś złowieszczonego.

Przypomniała sobie, jak skutecznie udaremnił jej ucieczkę w Limerick. Nie miała wątpliwości, że we własnych włościach poradziłby sobie jeszcze lepiej.

- Nie będę więcej próbowała ucieczki - zapewniła z uśmiechem. Za bardzo intrygował ją ten mężczyzna, by tak łatwo odrzuciła możliwość poznania jego charakteru.

- Zapewniam, że w Askeaton zostaniesz potraktowana z najwyższym szacunkiem. Zadbamy o wszystkie twoje potrzeby, a ja się postaram, żeby twój pobyt tutaj był jak najkrótszy.

Słyszała, co powiedział, ale i tak oznajmiła:

- Masz moje słowo, że nie ucieknę. Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

- Cokolwiek sobie umyśliłaś, proponuję, żebyś zmieniła plany - powiedział oschle.

- Skąd przypuszczenie, że cokolwiek sobie umyśliłam? - spytała słodkim głosem.

Postanowiła, że zanim opuści Askeaton, będzie dokładnie wiedzieć, czego może doświadczyć kobieta w silnych ramionach

Devlina O'Neilla. Nowe doznania i uczucia, które w niej obudził, były zbyt potężne, żeby chciała się im opierać.

- Ponieważ jesteś zbyt uparta, żeby pokornie poddać się mojej woli.

- Kiedyś tak, ale być może teraz wszystko się zmieniło.

Niewykluczone, że po ostatniej nocy nie mogę doczekać się nowych rozkazów - powiedziała cicho.

Nachylił się tak nisko, że ich twarze niemal się zetknęły.

- Więcej nie próbuj mnie uwodzić!

- A czemu nie?

- Bo jestem od ciebie silniejszy pod każdym względem i radzę, byś nigdy o tym nie zapominała. - Posłał jej groźne spojrzenie, po czym ruszył w stronę brata, który ze zdumieniem przysłuchiwał się ich rozmowie.

Wirginia powoli zaczynała rozumieć Devlina O'Neilla.

Uśmiechnęła się równie słodko, jak chwilę wcześniej.

- Nigdy nie twierdziłam inaczej - szepnęła. Drgnął, ale nie odwrócił się ani nie zatrzymał. Sean, teraz jeszcze bardziej zatroskany, powoli ruszył za bratem. Wirginia triumfowała w duchu. Była pewna, że tym razem wygrała drobną potyczkę.

Uniosła dumnie głowę i wówczas ujrzała przed sobą ciemne, pełne nienawiści oczy Fiony.

Pokój gościnny był najwyraźniej nieużywany od lat. Wirginia zatrzymała się w progu dużego pomieszczenia o ścianach

pomalowanych na kolor starego złota i przyglądała się, jak Fiona trzepie poduszki w chmurze drobnego, świetlistego kurzu.

Rozejrzała się dokoła. Pokój był piękniej umeblowany niż jej sypialnia czy też pokoje gościnne w „Słodkim Dereńiu”. Stojące pośrodku łóżce z baldachimem pokrywały kapy z takiego samego złotogłowi jak baldachim, a na starej, lecz doskonale wypolerowanej dębowej podłodze leżał brązowo-złoty kobierzec z Aubusson. Nad kominkiem widniała bogato rzeźbiona półka z hebanu, a ściany ozdobiono kilkoma starymi pejzażami i portretami.

Wirginia podeszła do okna i omal nie wykrzyknęła z zachwytu. Widok zapierał dech w piersiach. Pola i łąki leżały na łagodnych wzgórzach, ciągnących się aż po horyzont, na którym majaczyła wstęga rzeki. Po lewej stronie natomiast wznosiły się kamienne ruiny warownego stołpu.

Chwyliła mocno za parapet. Chociaż obie krainy były zupełnie inne, Irlandia wzbudzała w niej taki sam tkliwy zachwyty, co „Słodki Dereń”. Ciekawe, jakby się czuła w Askeaton, gdyby przyjechała tu w innych okolicznościach. Niewykluczone, że nie miałyby ochoty opuszczać tego miejsca.

Fiona skończyła trzepać poduszki i Wirginia odwróciła się w jej stronę. Po raz kolejny w spojrzeniu pokojówki dojrzała nienawiść.

- Poproszę o kilka kanapek i herbatę - oznajmiła tonem, jakim z powodzeniem mogłaby zwrócić się do służącej Sara Lewis.

Fiona zeszywniała.

- Zaraz przyniosę - powiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca.

- I trochę róż z ogrodu - dorzuciła Wirginia jeszcze bardziej wyniośle. - Ach. Jest jeszcze problem mojej sukni. Proszę mi pomóc się rozebrać. Trzeba ją niezwłocznie wyprasować, chciałabym w niej zejść na kolację.

Fiona wyglądała tak, jakby miała ochotę wydrapać Wirginii oczy.

- Czy zostaniesz jego żoną? - zapytała niespodziewanie, z furją w głosie.

Wirginia osłupiała, ale szybko opanowała się i wzruszyła obojętnie ramionami.

Jego żoną... Pewnego dnia Devlin O'Neill się ustatkuje, ożeni, spłodzi dzieci. Czemu ta wizja działała na nią wręcz narkotycznie? Kiedy ten dzień nadejdzie, ona już od dawna będzie w „Słodkim Dereniu”.

Teraz jednak wojowniczo spojrzała na Fionę.

- Być może - odparła lekko. Fiona obrzuciła ją złym spojrzeniem.

- A ty? - podjęła po chwili. - Byłaś kiedyś w jego łóżku? Z początku tak pomyślałam, ale teraz już nie jestem tego pewna.

Fiona skoczyła do przodu, Wirginia jednak, choć dużo drobniejsza, nie ruszyła się z miejsca.

- Nie widzieliśmy się od sześciu lat - wysyczała służąca. - Kocham go od dawna i oddałam mu swoje dziewictwo. Teraz jestem dojrzałą kobietą i znam kilka sztuczek, które z pewnością go zachwyca. W rzeczy samej, nie mogę doczekać się dzisiejszego

wieczoru, by zaspokoić go na wszelkie możliwe sposoby! Zanim nadejdzie ranek, nawet nie będzie pamiętał twojego imienia.

Ta kobieta nie kłamała. Devlin miał zaledwie osiemnaście lat, gdy zaczął zadawać się z Fiona, był jej pierwszym kochankiem. Nostalgia mogła go pchnąć w jej ramiona. Z drugiej strony, zaczęła nurtować Wirginię zupełnie inna kwestia: dlaczego O'Neill nie pojawiał się w domu przez taki szmat czasu?

- A ty ile masz lat? - spytała Fiona pogardliwie.

- Dwadzieścia - skłamała gładko Wirginia.

- Założę się, że nie więcej niż szesnaście. Pozwól więc, że coś ci powiem, moja pani. On nigdy nie spojrzy na ciebie w taki sposób, jak patrzy na mnie. Jesteś dla niego zbyt chuda! Taki mężczyzna lubi czuć, co ma w ręku! - Podłożyła dłonie pod swoje bujne piersi, wzdychając z uśmiechem, bez wątpienia wyobrażając sobie, że to Devlin je pieści.

Wirginia odwróciła się plecami do służącej. Pewność siebie nigdy nie należała do jej mocnych stron, a teraz legła w gruzach. Kogo właściwie chciała oszukać? Jeżeli Devlin miałby dokonywać wyboru, zawsze przedłożyłby nad nią starszą, pulchniejszą kobietę.

Ta świadomość powinna ją ucieszyć, a tymczasem napełniła lękiem i smutkiem.

Nagle rozległ się chrapliwy śmiech Fiony.

- Szukaj szczęścia gdzie indziej, wymuskana paniusiu. Tu, w Askeaton, nie potrzeba nam żadnych wyniosłych Angielek. Wracaj tam, skądś przyjechała!

Z tymi słowami Fiona triumfalnie wyszła z pokoju. Wirginia pospieszyła za nią.

- Jestem Amerykanką, ty kretynko. Amerykanką, nie Angielką.

Jeżeli na Fionie zrobiło to jakiegokolwiek wrażenie, nie dała tego po sobie poznać. Nie oglądając się za siebie, zniknęła za załomem holu.

Wirginia wróciła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Poniewczasie zdała sobie sprawę, że Fiona nie pomogła jej rozebrać się ani nie wzięła do odświeżenia sukni. Zapewne nie zamierzała przynieść przekąsek, kwiatów czy czegokolwiek innego.

Wirginia chwyciła za niewielkie krzesło i przystawiła je do okna, po czym w ponurej ciszy wpatrywała się w irlandzki krajobraz i rozmyślała o mężczyźnie, który ją porwał.

Devlin nalał whisky do szklaneczek i jedną z nich wręczył bratu. Nie zważając na gniewny nastrój Seana, potoczył spojrzeniem po bibliotece, by zatrzymać wzrok na krajobrazie, rozciągającym się za przeszklonymi, tarasowymi drzwiami. Napawał się znajomym pejzażem. Jakże cudownie czuł się w domu! Nagle sposepniał.

Oczy ojca, gniewne, rozwarte szeroko, spozierały na niego z zakrwawionej, odciętej głowy.

- Może wreszcie doczekam się wyjaśnień - odezwał się Sean. - Czy to córka Eastleigha? Nie wystarczy ci, że sypiasz z jego żoną?

Devlin uniósł szklaneczkę w geście toastu, odpędzając okrutne wspomnienia.

- Jest jego bratanicą. Sierotą. Pochodzi z Ameryki.

- To naturalnie wszystko wyjaśnia - rzucił Sean drwiąco. - Co ty, do diabła, wyprawiasz? W jakim ona jest wieku? Czyżbyś posunął się do uwiedzenia takiego dziecka?!

- Skończyła osiemnaście lat. I nie, nie uwiodłem jej - odparł, zastanawiając się przy tym, jak by zareagował jego świątobliwy braciszek, gdyby usłyszał, że to nie on ją, ale ona jego próbowała uwieść. - Zamierzam wziąć za nią okup, Sean. - Uśmiechnął się z niekłamaną wesołością. - Jeszcze trochę, a Eastleigh wyląduje w więzieniu za długi. Nie stać go na okup, a już na pewno nie na taki, jakiego zażądam. Oczywiście na początku poigram z nim trochę. Najprawdopodobniej jednak, żeby wykupić bratanicę, będzie zmuszony sprzedać Eastleigh. A na to czekamy.

- „Zemsta jest moja, powiedział Pan” - wtrącił surowo Sean. - Zemsta należy do Boga, nie do ciebie, a na tę chwilę czekasz tylko ty, ja nie! - Odstawił szklaneczkę z nietkniętą whisky.

- Rozumiem, że nie podzielasz mojego entuzjazmu, ale robię to także dla ciebie - oznajmił Devlin.

Otworzył tarasowe drzwi i zaczerpnął haust czystego irlandzkiego powietrza, przesyconego zapachem wiosennych kwiatów i trawy. Nie miał ochoty na roztrząsanie wraz z Seanem odwetowych działań przeciwko Eastleighowi. Nużył go ten temat. Pojawiał się raz lub dwa razy do roku, ilekroć bracia spotykali się w Londynie albo w Dublinie.

- O nie. Robisz to jedynie dla siebie. Kiedy wreszcie pozwolisz naszemu ojcu spocząć w pokoju?! - wykrzyknął Sean. - Dobrze, że mama i Adare są w Londynie.

Devlin zwrócił się w stronę brata, nie kryjąc złości.

- Gerald nie zazna spokoju, póki go nie pomszczę. Gdy zaś chodzi o matkę, nie musi nic wiedzieć o bratanicy Eastleigha.

Sean wbił w brata gniewne spojrzenie.

- Jeżeli duch ojca rzeczywiście nie znalazł ukojenia, to tylko dlatego, że ty mu na to nie pozwalasz. Wielkie nieba, doprowadziłeś Eastleigha do ruiny. Kiedy wreszcie zamierzasz zakończyć to szaleństwo? Uwolnić się od obsesji, która niszczy także ciebie?

- Może gdybyś miał lepszą pamięć, zemsta byłaby i dla ciebie równie ważna, jak dla mnie - zauważył zimno Devlin.

Sean spojrzał na brata lodowatym wzrokiem.

- Czy myślisz, że nie chciałbym pamiętać, co się tu wydarzyło przed laty? Mówisz tak, jakbyś podejrzewał, że specjalnie wyparłem wspomnienia. Nie wiem, dlaczego tak bardzo zawiódł mnie umysł, ale nie oskarżaj mnie o konformizm. Ja po prostu nie mogę sobie przypomnieć tego dnia, gdy zamordowano naszego ojca.

- Wybacz - rzucił Devlin, ale w głębi serca nie mógł pogodzić się z tym, że tylko jego nawiedzały okropne wspomnienia, że ani brat, ani matka nie przeżywali tak głęboko straty.

- A co z twoją karierą w marynarce? Czy sądzisz, że admiralicja puści ci płazem porwanie Amerykanki i szantażowanie angielskiego arystokraty?

- Eastleigh nigdy nikomu nie powie o porwaniu. Już nieraz wyszedł przede mną na ostatniego nieudacznika i głupca, więc duma każe mu nie tylko zapłacić za uwolnienie Wirginii, ale i zachować całą sprawę w tajemnicy. Nikt poza nami nie usłyszy o tej drobnej grze.

- Drobnej grze? Porywasz młodą, niewinną kobietę i nazywasz to drobną grą? Ojciec z pewnością przewraca się teraz w grobie! A co z panną Hughes? Jeżeli złożą na ciebie skargę, możesz stracić głowę! I bynajmniej nie mówię tego w przenośnym znaczeniu.

Devlin położył dłoń na ramieniu brata.

- Zapewniam cię, że nie stracę głowy - powiedział miękko.

- Wydaje ci się, że jesteś niezniszczalny. A to nieprawda.

- Zaufaj mojej intuicji. Eastleigh załatwi tę sprawę szybko i po cichu. Duma to jedyne, co mu pozostało.

Sean patrzył na brata z gorzkim smutkiem.

- Nie aprobuję twojego postępowania, Devlin. Po prostu nie mogę. W gruncie rzeczy w ogóle cię nie znam.

- Jestem twoim bratem.

- Owszem, a jednocześnie nieznanym, którego widuję sporadycznie, bo nie chcesz przebywać na łodzi dłużej niż dwa tygodnie. Jesteś człowiekiem zżeranym przez żądzę zemsty. Bardzo ci współczuję.

Devlin parsknął kpiąco, chociaż słowa brata wprawiły go w zakłopotanie.

- Powinieneś zachować współczucie dla tych, którzy go bardziej potrzebują, na przykład dla pięknej panny Hughes.

Sean pozostał niewzruszony.

- Nie ukrywam, że uważam ją za wyjątkową piękność. Mam nadzieję, że ona nigdy nie będzie potrzebowała mojego współczucia.

- Kiedy trochę lepiej poznasz naszego gościa, zorientujesz się, że litość nie jest uczuciem, które przyjęłaby z ochotą. - Devlin uśmiechnął się na wspomnienie jej odwagi i zamiłowania do niezależności.

- Mówisz tak, jakbyś ją szczerze lubił, a może nawet coś więcej - zauważył Sean ze zdumieniem.

- Nic z tych rzeczy, ale muszę przyznać, że jej śmiałość jest zadziwiająca, wręcz zakrawająca na brawurę.

- A więc ją podziwiasz...

- Dość już o panie Hughes! - zniecierpliwił się Devlin. - Ten temat zaczyna mnie nużyć. Kiedy Eastleigh zapłaci okup, będzie wolna. Na razie pozostanie naszym gościem. - Położył silny akcent na słowo "naszym". - Mam nadzieję, że lojalność wobec mnie jest silniejsza niż twoje szlachetne poczucie honoru i dezaprobata dla moich poczynań.

Sean założył ręce na piersi i wpatrywał się w brata w milczeniu.

- Sean?

- Dobrze wiesz, że nigdy bym cię nie zdradził, mimo że oburza mnie twoje postępowanie.

Usatysfakcjonowany Devlin podszedł do srebrnej tacy, na której stały karafki z trunkami, i napełnił szklaneczkę. Milczenie, które zapanowało po ostatnich słowach Seana niebezpiecznie się przeciągało. W końcu Devlin westchnął i zwrócił się w stronę brata.

- No dobrze. O co chodzi? Co miałbyś ochotę mi powiedzieć?

- Jeżeli Eastleigh jest takim bankrutem, jak utrzymujesz, skąd przypuszczenie, że zapłaci okup za daleką, amerykańską krewną, której nie widział na oczy i która zapewne nic go nie obchodzi?

- Zapłaci.

- A jeżeli nie? - upierał się Sean.

- Wówczas doprowadzę do jego kompromitacji, nie pozostawię mu wyboru: wykupienie naszego gościa stanie się już nie tylko sprawą jego osobistej dumy, ale honoru całego rodu.

- Będziesz musiał zniszczyć i tę dziewczynę, żeby zniszczyć Eastleigha, prawda? Jak ty w ogóle możesz żyć z tą myślą?

- Bez problemu - skłamał Devlin, doskonale zdając sobie sprawę, że jego życie jest w gruncie rzeczy bardzo pogmatwane.

- Jesteś najzwyklejszym łajdakiem - oznajmił Sean i wyszedł z biblioteki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy Wirginia przechodziła przez olbrzymi hol, dwór zdawał się wyludniony. Panowała tu niemal idealna cisza. Całe popołudnie poświęciła na zwiedzanie ogrodów i pobliskich łąk oraz na wizytę w stajni, gdzie Devlin trzymał kilka doskonałych koni, a wśród nich łagodną gniadą klacz. Kiedy nadciągnął zmierzch, Wirginia wykąpała się w perfumowanej wodzie - Connor napełnił dla niej wannę - a potem włożyła wykwintną suknię, jedyną z wieczorowych kreacji matki, którą Tillie zdążyła w pośpiechu przerobić. Była z różowego jedwabiu, z małymi bufiastymi rękawkami, o nisko wyciętym staniku. Następnie Wirginia sporo się napracowała, by upiąć niesforne, ciężkie włosy; jeżeli będzie miała dość szczęścia, szpilki pozostaną na swoim miejscu aż do końca wieczoru.

Przechodząc przez hol, z podziwem patrzyła na wiszące na ścianach wiekowe gobeliny, zachwycił ją także wielki, kryształowy żyrandol. Zatrzymała się przed otwartymi, dwuskrzydłowymi drzwiami, prowadzącymi do przytulnej bawialni o ciemnozielonych ścianach i różowo-lawendowych stiukach na suficie. Na jej widok z pokrytej ciemnym brokatem sofy podniósł się mężczyzna - był to Sean w wieczorowym granatowym surducie, w jasnych spodniach i takich samych pończochach.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś jest w pokoju - odezwała się Wirginia pospiesznie. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Sean podszedł bliżej, patrząc na nią z uznaniem.

- W żadnym razie pani nie przeszkadza, panno Hughes.

Niedługo podadzą do stołu. Czy przed kolacją napiłaby się pani sherry, czy raczej szampana?

Wirginia także patrzyła na Seana z prawdziwą przyjemnością. Ze swoimi kruczoczarnymi włosami i jasnoszarymi oczami był w każdym calu tak przystojny jak jego brat - równie wysoki i szeroki w barach, długonogi i wąski w biodrach, o doskonałej muskulaturze.

- Z przyjemnością napiję się szampana. Moment później podał jej wysoki kieliszek napełniony zmrożonym trunkiem.

- Wygląda pani zachwycająco w tej szykownej sukni.

- Dziękuję bardzo. Proszę mi mówić po imieniu, panie O'Neill...

Ta suknia należała do mojej mamy - dodała po chwili wahania.

- Przykro mi z powodu pani rodziców - odparł natychmiast. -

Proszę zwracać się do mnie Sean.

Spojrzała prosto w jego życzliwe, zatroskane oczy.

- Słyszał pan o moich rodzicach?

- Dev wspomniał, że jest pani sierotą.

- Owszem. To był wypadek powozu zeszłej jesieni.

- Czasami wyroki boskie są doprawdy niezbadane.

- Nie jestem pewna, czy wierzę w Boga. Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- To niedobrze. Chociaż przyznaję, że kilka razy w życiu sam zwątpiłem w jego istnienie.

- Co oznacza, że oboje jesteśmy inteligentni. Parsknął śmiechem.

Wirginia z dużą przyjemnością wsłuchiwała się w dźwięk tego śmiechu - ciepły i głęboki - jakże inny od chropowatego odgłosu wydawanego przez Devlina.

- Ty i brat bardzo się różnicie, prawda?

- Owszem.

- Jak to możliwe? Przecież jesteście prawie rówieśnikami.

- Jestem dwa lata od niego młodszy. Po śmierci ojca Devlin starał się mi go zastąpić. To jeden z powodów, dla których tak się różnimy.

- A jakie są inne? - Zależało jej, by jak najwięcej dowiedzieć się o bezwzględnym kapitanie.

Sean zmusił się do uśmiechu i wzruszył ramionami.

- Zupełnie go nie rozumiem - podjęła Wirginia.

- Jest szalenie odważny, po prostu nie zna strachu...

- przypomniała sobie, jak rzucił wyzwanie sztormowi i dzięki temu uratował okręt - ...a to dość sprzeczne z naturą ludzką.

- Rzeczywiście, jest nieustraszony - zgodził się Sean. - Sądzę, że nie dba o to czy zginie, czy zachowa życie.

Wirginię zdumiała teoria Seana.

- Ależ żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie dąży do własnej śmierci!

- Nie powiedziałem, że on dąży do śmierci, a jedynie, że śmierć go nie przeraża, w odróżnieniu od nas, zwykłych zjadaczy chleba.

Diagnoza Seana wydała się Wirginii trafna.

- Ale dlaczego? Jaki człowiek nie troszczy się o własne życie?

Sean milczał, a Wirginia sama wpadła na odpowiedź: człowiek głęboko zraniony i zgorzkniały. To odkrycie nią wstrząsnęło i aby tego nie okazać, pociągnęła kilka szybkich łyków francuskiego szampana, a więc zdobyczego. Jakże skomplikowanym człowiekiem jest Devlin O'Neill.

- Załoga podziwia go i szanuje - powiedziała w zamyśleniu, bardziej do siebie niż do Seana. - W mieście uchodzi za bohatera. Rozumiem uczucia jego załogi, widziałam, do jakich wyczynów jest zdolny na morzu. Ale skąd taki zachwyty w tych stronach?

- Widzę, że mój brat wzbudza w tobie niezwykłą ciekawość - zauważył Sean.

- To prawda. Ostatecznie przechwycił statek, którym płynęłam z Ameryki, a ze mnie uczynił zakładniczkę. Nie pojmuję natomiast, czemu chce zażądać za mnie okupu, skoro, jak widać na pierwszy rzut oka, jest bogaczem i nie potrzebuje pieniędzy.

- Powinnaś go o to zapytać.

- Może tak zrobię... Choć zamiast udzielić mi odpowiedzi, najprawdopodobniej wpadnie w złość, bo jest w nim mnóstwo gniewu. Dlaczego? Ty taki nie jesteś. W twoich oczach widzę jedynie serdeczność i ciepło, a także tyle współczucia, ile w twoim bracie bezwzględności.

- Nie jestem dowódcą okrętu, na którym trzeba utrzymywać żelazną dyscyplinę, bo od tego zależy życie załogi. Jednak fundamentalna różnica między nami ma swoje źródło zupełnie gdzie indziej. W dzieciństwie byliśmy świadkami brutalnego mordu

popelnionego na naszym ojcu przez pewnego angielskiego żołnierza. Devlin nigdy nie zapomniał owego dnia, ja nic z niego nie pamiętam.

Wirginia poczuła nagle ukłucie w sercu.

- Ile miał wtedy lat? - wyszeptała.

- Dziesięć, a ja osiem. Od tamtej pory był mi nie tylko bratem, ale i opiekunem. Nagle, jeszcze jako dziecko, został głową rodu O'Neillów, a z tym się wiążą rozliczne zobowiązania.

- Dobrze, że przynajmniej ty nie masz przerażających wspomnień. Nie mogę sobie wyobrazić, co bym zrobiła, gdybym widziała, jak ktoś zabija mojego ojca. Zapewne wszystko, by zemścić się na mordercy.

Z każdą chwilą coraz lepiej rozumiała naturę Devlina. To oczywiste, dlaczego wyrósł na zimnego, bezdusznego człowieka. Jako małe dziecko, odebrał okrutną lekcję, która wycisnęła niezatarte piętno na jego charakterze. Zapewne z tego powodu wybrał surowe życie na morzu.

- W takim razie mamy ze sobą więcej wspólnego, niż mogłoby się wydawać - rozległ się głos Devlina.

Wirginia się odwróciła. Stał w progu, w nonszalanckiej pozie, niezwykle elegancki w granatowym mundurze ze złotymi epoletami i złotymi guzikami, w śnieżnobiałych spodniach i pończochach. Teraz, gdy pojawił się taki władczy i wspaniały, przybladła przy nim uroda brata. Sean miał w sobie szczerłość i przyzwoitość obce Devlinowi, ale to Devlin fascynował i pociągał Wirginię, jakby była cimą, a on płomieniem.

Ta myśl ją zatrwożyła; Wirginia miała tylko nadzieję, że nie okaże się prorocza.

- Przykro mi z powodu zabójstwa twojego ojca - usłyszała własne słowa.

Wzruszył ramionami, podszedł bliżej i posłał jej chłodne, beznamienne spojrzenie.

- Życie jest pełne niespodzianek, czyż nie? - Powiódł wzrokiem po jej włosach, twarzy, odkrytych ramionach i dekolcie, rozgrzewając ją tak, jak gdyby pieścił ją rękami i ustami.

Chciała na to coś odpowiedzieć, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku, ponieważ wszystko, o czym mogła teraz myśleć, to nadchodząca noc, którą z pewnością spędzi w jego łóżku i w jego ramionach.

- Sean, poprowadź pannę Hughes do jadalni. Zdumiona i rozczarowana Wirginia odwróciła się

w stronę Seana, który trzymał już wyciągnięte ku niej ramię ze zrezygnowaną miną. Uśmiechnęła się do niego, po czym natychmiast spojrzała na Devlina, nalewającego sobie kieliszek szampana.

- Nie musisz udawać - powiedział cicho Sean. - Twoje uczucia są aż nader oczywiste, Wirginio.

Szybko skupiła na nim wzrok.

- Niczego nie udaję. A poza tym nie wiem, o czym mówisz!

- Mam nadzieję, że pewnego dnia będziemy mogli szczerze porozmawiać, ponieważ, niestety, muszę cię o czymś ważnym poinformować.

Nie podobał jej się ton głosu ani wyraz twarzy Seana, mruknęła więc tylko coś pod nosem, nie zamierzając ciągnąć niepokojącego tematu.

- Niektórzy plantatorzy nakrywają młode siewki cienką, bawełnianą siatką - opowiadała z ożywieniem Wirginia. - To bardzo kosztowne, poza tym w naszych stronach zbędne, bo rzadko kiedy zagraża im zimno. Przekonaliśmy się, że w razie czego cienka warstwa siana jest równie skuteczna. Największą sztuką jest przeniesienie siewek na pole po ośmiu, dziewięciu tygodniach od kiełkowania. Ziemia musi być dobrze spulchniona, wyrównana, wolna od wszelkich chorób - dlatego właśnie wypalamy pola każdej wiosny - oraz dobrze nawodniona. Ważne, żeby siewki były wysadzone w równych odstępach, stąd wykonuje się to ręcznie.

- Czy jest coś, czego nie wiesz na temat uprawy tytoniu? - zapytał z podziwem Sean.

- Z pewnością - odparła Wirginia z uśmiechem. Devlin przez całą kolację zajmował miejsce

u szczytu stołu milczący, z kamiennym wyrazem twarzy, mimo że ta dwójka siedząca po bokach wzbudzała w nim irytację. Zerknął spod oka na Wirginię, która sprawiała takie wrażenie, jakby całkiem zapomniała o jego obecności. Sean otwarcie ją podziwiał - szarmancki i uważny, stanowił zapewne najbardziej zasłuchane audytorium w jej życiu. A dziewczyna była tak spragniona zainteresowania jak hazardzista zagarnięcia puli.

Gdy patrzył na jej lekko zadarty nosek, pełne usta i mocno wycięty dekolt, z którego wylaniały się piersi uniesione gorsetem, z trudem udawało mu się ignorować pożądanie. Tylko on wiedział, jak namiętna jest Wirginia, jak gorąca i chętna.

„Jeszcze nigdy z nikim się nie całowałam, Devlinie”.

Wyciągnął pod stołem długie nogi. Na szczęście jej pokój znajdował się w innym skrzydle domu niż jego sypialnia. Chociaż postanowił, że wydarzenia ubiegłego wieczoru nigdy się nie powtórzą, pokusa była wielka. Wystarczyłoby jej dotknąć, żeby Wirginia natychmiast zapomniała o Seanie.

Mimowolnie wykrzywił usta. Tych dwoje przez cały wieczór raczyło się opowieściami o „Słodkim Dereniu” i Askeaton. Devlin musiał jednak przyznać, że jej historyjki były całkiem interesujące i świeże z racji nowości. Tylko dlatego, że zdołał ją już nieco poznać, nic, co usłyszał, go nie zaskoczyło. Doszedł jedynie do wniosku, że Randall Hughes musiał być interesującym, niekonwencjonalnym mężczyzną. Co za ojciec w dzisiejszych czasach uczy córkę strzelać, jeździć konno i pływać, pozwala nosić spodnie, pracować w polu u boku robotników, a nie dba o naukę tańca i nie każe asystować w popołudniowych herbatkach?

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że ojciec nauczył cię strzelać z muszkietu, gdy miałaś zaledwie siedem lat! - stwierdził Sean.

Wirginia roześmiała się dźwięcznie już chyba po raz setny tego wieczoru.

- Mama wpadła w furję, gdy się o tym dowiedziała. Papa musiał jej przynosić błyskotki i inne prezenty przez cały miesiąc, zanim dała się ugłaskać.

Sean także parsknął śmiechem.

- Bardzo mi ich brak. - Wirginia spoważniała. Devlin aż się wzdrygnął, gdy Sean sięgnął przez stół i dotknął jej dłoni, po czym powiedział:

- Wiem, że to truizm, ale z czasem ból mija.

- Już czuję się lepiej niż kilka miesięcy temu, ale i tak będę za nimi tęsknić do końca moich dni. Bez nich „Słodki Dereń” już nigdy nie będzie tym samym miejscem.

Sean cofnął rękę.

- Bardzo tęsknisz za plantacją? Skinęła głową.

- Szczególnie nocą. Ale - rozpromieniła się wyraźnie - bardzo spodobała mi się Irlandia. Na swój sposób przypomina mi rodzinne strony, mimo tak dużych różnic w klimacie. Może z powodu tej niezwyklej soczystości zieleni. Ziemia tu pulsuje życiem zupełnie jak u nas.

- Chciałbym kiedyś odwiedzić „Słodkiego Derenia” - przyznał Sean.

- Z radością bym cię powitała.

Tego już było za wiele, Devlin miał serdecznie dosyć tej rozmowy. Czyżby jego mała zakładniczka zadurzyła się w Seanie? Nie dalej jak wczorajszej nocy leżała w jego ramionach. Czyżby

zamarzył jej się nagle nowy romans? Gwałtownie odsunął krzesło i zerwał się na równe nogi.

- Idę zapalić - oznajmił, z ledwością hamując złość.

- Mam nadzieję, że twój tytoń pochodzi z Wirginii - rzuciła Wirginia słodkim głosem.

Devlin kątem oka zauważył, że Sean z trudem tłumi śmiech i wymienia z Wirginią porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie. Pochodzi z Kuby. Dobranoc.

Z przyjemnością zauważył, że te słowa sprawiły jej przykrość. Nie zamierzał jednak zostawiać tych dwojga sam na sam, rzucił więc jeszcze przez ramię:

- Dołącz do mnie, Sean.

To nie było zaproszenie, lecz rozkaz. Devlin już przekraczał próg, gdy usłyszał, jak Sean mówi do Wirginii:

- Pan i władca przemówił.

- Pan i władca jest dziś bardzo zimny i srogi.

- On jest zawsze zimny i srogi.

W pierwszej chwili Devlin chciał cofnąć się i usprawiedliwić, ale ostatecznie postanowił zlekceważyć te marnie zawołowane docinki. Poza tym oboje - i Sean, i Wirginia - wypili sporo szampana. Chociaż nawet to nie usprawiedliwiało aż takiego zainteresowania Seana dziewczyną. Devlin nie zamierzał tolerować podobnej sytuacji.

W bibliotece stanowiącej idealną replikę biblioteki, która jego ojcu służyła za gabinet, Devlin podszedł do pudełka z cygarami, po czym nalał sobie brandy.

Zaciągnął się mocno aromatycznym tytoniem, ale to nie zmniejszyło jego irytacji. Wiedział, że analizowanie wydarzeń dzisiejszego wieczoru, zastanawianie, czy niespodziewana przyjaźń tych dwojga ma podtekst romantyczny, tylko powiększy jego złość.

- Milordzie? Sir? - dobiegł go kobiecy głos. Odwrócił się i ujrzał Fionę.

Uśmiechała się do niego szeroko. Miała na sobie białą, obcisłą bluzkę uwydatniającą pełne piersi i ciemne sutki. Po raz pierwszy od przyjazdu do domu przyjrzał jej się uważniej. Była całkiem ładna, o kształtach, które większość mężczyzn rozpałiłyby do białości. Jak przez mgłę Devlin przypomniał sobie kilka burzliwych nocy, które spędził z nią przed wielu laty. Chociaż wcale nie pożądał tej kobiety, mogła być dobrym rozwiązaniem jego problemu: jak trzymać się z dala od Wirginii podczas długich, ciemnych godzin nocy.

- Kuchnia oporzędzona, sypialnia przygotowana - powiedziała cicho Fiona, przeciągle spoglądając mu w oczy. - Czy coś jeszcze mogłabym zrobić dla pana, milordzie, zanim położę się we własnym łóżku?

Devlin bez zastanowienia podjął decyzję.

- Owszem. Możesz pójść do mojego pokoju. Niedługo się tam zjawię.

- Oczywiście, milordzie.

Posłała mu niosące obietnicę spojrzenie i wyszła, kołysząc biodrami. Zaczął porównywać ich rozłożys-tość ze szczupłością pewnej drobnej kobiety, ale szybko odrzucił od siebie te obrazy.

Dzisiaj zaspokoi żądze tak, jak od wieków czynili to wielmożowie - z chętną, miłą dla oka, nic nieznaczącą służącą.

Dobiegło go pełne dezaprobaty chrząknięcie Seana, który najwyraźniej już od jakiegoś czasu stał w progach.

Devlin udał, że tego nie słyszy, i w zamian podał bratu cygaro, po czym nalał mu brandy.

- Mam wrażenie, że nasz gość podbił twoje serce.

- Rzeczywiście - przyznał Sean, wypuszczając z ust kłęb dymu.

- Nie przywiązuj się do niej zbyt mocno. Wkrótce straci swój ukochany „Słodki Dereń” i bez wątpienia mnie będzie o to obwiniać.

- Owszem, i do tego całkiem słusznie. Natomiast z pewnością nie będzie obwiniać mnie.

Devlin przysiadł na skraju biurka. Z niewiadomych przyczyn miał wrażenie, że razem z nimi siedzi w bibliotece ojciec.

- Zamierzam znaleźć dla ciebie posażną pannę z tytułem - rzucił ostrzegawczym tonem.

- Nie chcę żadnej posażnej panny. Ty nigdy nie zostaniesz na lądzie dość długo, by odpowiednio zadbać o Askeaton. Dlatego potrzebuję żony, która mnie wesprze we wszystkim, czym się tu zajmuję.

- To znaczy takiej, która świetnie zna się na uprawie ziemi, rynkowych cenach płodów i regułach rządzących importem? - Devlin poczuł, że znów narasta w nim niepokonana złość.

- Być może. - Sean podszedł bliżej do brata. - Słuchaj, uważam, że to fascynująca dziewczyna, i w odróżnieniu od ciebie nie próbuję

jej wykorzystać do osiągnięcia paskudnego celu, jakim jest osobista wendeta. Prawdę mówiąc, gdy ją trochę poznałem, uważam, że powinieneś natychmiast zrezygnować ze swoich planów i pomóc w skontaktowaniu się z East-leighem. Kto wie? Wirginia jest niewymownie czarująca. Może zdoła zawojować hrabiego i nakłonić, by ocalił jej dom.

Devlina ogarnęła furia. O ile dobrze zrozumiał

Seana, młodszy brat był na najlepszej drodze do zakochania się w tej pannicy.

- Nie ma mowy. Moje plany nie ulegną żadnej zmianie, ty zaś trzymaj uczucia na wodzy. Ona nie jest dla ciebie; nigdy nie pozwolę na ten związek. To jedynie narzędzie i nic więcej. Rozumiesz?

- Powiedziałem dziś po południu, że w ogóle cię nie znam. Jak więc mógłbym cię rozumieć? Jedno wiem na pewno: zmęczyły mnie twoje rozkazy. Nie jestem jednym z marynarzy na twoim okręcie. Jeżeli zechcę adorować pannę Hughes, to tylko moja sprawa i tobie nic do tego!

- Posuwasz się niebezpiecznie daleko... - Devlin oderwał się od biurka i stanął naprzeciwko brata, oko w oko, ponieważ byli tego samego wzrostu. - Skoro podjąłeś ten temat, to kiedy wydawałem ci jakiegokolwiek rozkazy? Nie byłem tutaj od sześciu lat. Spotykamy się zaledwie raz do roku w Londynie. Aż do wczoraj nie usłyszałeś ode mnie żadnych poleceń, mój mały braciszku. Pozwól też, że coś ci przypomnę: to mój dom i moja ziemia. Pozostanie moja dopóty,

dopóki nie umrę bezpotomnie. Dopiero wtedy stanie się twoją własnością.

- Czyżbyś groził, że mnie stąd wyrzucisz? - Sean nie wierzył własnym uszom. - Owszem, kupiłeś As-keaton od Adare'a za swoje przeklęte pieniądze z łupów, ale byłyby tu jedynie bagna i nieużytki, gdybym nie wziął się do roboty. To ja przemieniłem te włości w żyzną krainę i dokonałem tego sam, własnymi rękami. Gdyby nie ja, nic byś tu nie miał, o czym obaj doskonale wiemy!

Devlin był zdumiony niepohamowanym gniewem Seana i swoją własną furiacką reakcją. Jak mogło dojść między nimi do tak zażartej kłótni?

- Sean? - położył dłoń na ramieniu brata. Sean się skrzywił, ale nie wyrwał ramienia. - Świetnie zdaję sobie sprawę z tego, ile tu zrobiłeś. Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości. Bez ciebie ten dom byłby jedynie wypaloną, potrzaskaną skorupą, poła nie rodziłyby niczego, a wokół zalegałyby moczary. Wiem o tym doskonale i jestem ci wdzięczny za każdy dzień, który poświęciłeś Askeaton, za to, że wyręczałeś mnie w obsiewaniu pól, zbiorze plonów, poborze dzierżawy, pomnażaniu żywego inwentarza. Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć. Kocham cię. Jesteś moim bratem. Nigdy nie powinniśmy ze sobą walczyć w taki czy inny sposób.

Sean, poblady, skinął głową, po czym powiedział:

- Ja z kolei wiem, jak ciężko pracowałeś, żeby kupić Askeaton i dom w Greenwich oraz by zgromadzić te wszystkie skarby, które mamy tu i w Londynie. Doskonale też pamiętam, że ty jesteś tutaj

panem. Nigdy nie chciałem zająć twojego miejsca. Boże, marzę jedynie o tym, żebyś znalazł sobie wspaniałą żonę i miał z nią pięciu synów, którzy odziedziczą po tobie wszystko, co zdobyłeś z tak wielkim trudem i co ci się należy z racji starszeństwa.

- Nigdy nie wątpiłem w twoją szczerą - odparł Devlin, spoglądając uważnie na brata.

Sean zajął mu prosto w oczy.

- Mimo to będziemy jeszcze nieraz ze sobą walczyć, ponieważ nie jestem w stanie zaakceptować twojego postępowania, a już w szczególności wobec Wirginii.

- Bylebyś się w niej nie zakochał. - Devlin zdumiał się, słysząc własne słowa.

- Może już za późno na takie ostrzeżenie - odrzekł Sean z wahaniem.

Devlin odskoczył, jakby otrzymał bolesny cios.

- Idę spać - oświadczył tymczasem Sean. Zgasił cygaro, po czym wyszedł.

W bibliotece zapanowała cisza. Devlin, w posepnym nastroju, wpatrywał się we własne cygaro, dogorywające w porcelanowej popielniczce. Aż do tego wieczoru Wirginia była jedynie pionkiem w jego rozgrywce z Eastleighem. Teraz wydała mu się jadowitą żmiją rzuconą pomiędzy niego a Seana.

Mimo to nie zamierzał zrezygnować z planu.

Zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju, nawet nie próbując okiełznać złości. Była teraz jak najbardziej na miejscu. Wirginia

dzisiejszego wieczoru praktycznie flirtowała z jego bratem. Jej spojrzenia, perlisy śmiech i ożywione opowieści kompletnie oczarowały Seana. Ta dziewczyna nagle stała się poważnym problemem, który Devlin musiał jak najpilniej rozwiązać.

Im szybciej usunie ją ze swojego domu, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych stron.

Jakby wiedziona telepatią, Wirginia niespodziewanie zmaterializowała się w drzwiach biblioteki. Nie uśmiechała się, tylko powiedziała niskim głosem:

- Mamy dziś wyjątkowo piękną noc. Czy zechciałbyś się ze mną przejść po ogrodach, Devlinie?

- Nie.

Obcesowy ton ją zmroził.

- Wejdz - zarządził tymczasem Devlin, wiedząc doskonale, co musi zrobić, żeby skończyć z tym niedorzecznym flirtem między nią a jego bratem.

Podczas gdy Wirginia spoglądała na niego spłoszona, minął ją szybko i starannie zamknął drzwi.

- Czy coś się stało? - spytała niepewnie.

- Masz trzymać się z daleka od Seana.

- Co takiego?!

Devlin, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, chwycił ją mocno za ramiona i nagle w jego gniew wdarło się inne uczucie równie wszechogarniające, niepohamowane, palące.

- Pozwól, że powtórzę raz jeszcze. Trzymaj się z dala od Seana!

- Cokolwiek sobie ubzdurałeś, jesteś w błędzie.

- Czyżby? W każdym razie ostatnie, czego mi potrzeba, to miłość mojego brata do kogoś takiego jak ty. Czy wyraziłem się dość jasno?

Uścisk stawał się coraz silniejszy. Wirginia jęknęła, ale jego ręce działały poza jego wolą, przyciągały ją coraz bliżej.

- Devlin... - w jej tonie pobrzmiwało pożądanie.

- Chcesz usłyszeć coś interesującego? - zapytał, chwytając ją za pośladki i przyciskając do swojej męskości. - Bez trudu umiałbym sprawić, że natychmiast zapomniabyś o Seanie... kochana.

Wpatrywała się w niego szklistymi oczami. Mocno ścisnęła jego ramiona, rozpalona, z trudem łapiąc ustami powietrze.

- Nie chcę Seana - wyszeptała. - Chcę ciebie.

Rozsądek opuścił Devlina. Zaczął ją całować, namiętnie, gorąco, a gdy spotkały się ich języki, miał wrażenie, że coś eksplodowało mu w głowie. Poczul drobne dłonie, przesuwające się po jego brzuchu.

- Nie tutaj - powiedział i zepchnął rękę Wirginii niżej, przyciskając do męskości, a potem pokazując, jak powinna przesuwać dłonią po całej długości. Kiedy zaś lekko go ścisnęła, nie wytrzymał: pociągnął Wirginię w dół, ku podłodze, po czym położył się na niej, znowu namiętnie całując.

Chwyliła go za ramiona i jęknęła przeciągle. Devlin zaczął przesuwać usta coraz niżej; całował teraz jej szyję, a potem wyłuskał z dekoltu drobne, piękne piersi. Kiedy wpatrywał się w twarde, małe sutki, niespodziewanie stanęły mu przed oczami dwa obrazy

- postać Eastleigha, grubego, posiwiałego, oraz Seana
- ciemnowłosego, z twarzą wykrzywioną gniewem.

Co on, do diabła, wyprawia?!

Przestał myśleć jasno, to pewne. A ów incydent był tak impulsywny i gwałtowny, że nie sposób go nazwać uwiedzeniem ani tym bardziej gwałtem. Chciał przecież ratować Seana, więc furia zaćmiła mu umysł, pchnęła do brutalnego zachowania. Poprzysiągł sobie, że odda ją Eastleighowi nienaruszoną, a tymczasem kompletnie stracił nad sobą panowanie.

Dotknęła jego twarzy, wijąc się pod nim niecierpliwie.

- Pospiesz się - wyszeptała błagalnie. Spojrzał raz jeszcze na jej sterczące sutki, krągłe, jędrne piersi i znowu żądza zaczęła go brać w swoje posiadanie. Przemógł się jednak, naciągnął suknię na jej biust i poderwał się z podłogi.

Co go, do cholery, opętało?!

Był mistrzem samokontroli, a ona go złamała.

Nie ośmielając się choćby raz jeszcze na nią spojrzeć, ruszył szybko w stronę drzwi.

- Devlin! Wróć. Wróć, proszę. Nie zatrzymał się.

- Nie możesz mnie tak teraz zostawić! - wykrzyknęła.

Wypadł z biblioteki i popędził schodami na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Kiedy przeszedł przez długi korytarz i stanął pod drzwiami sypialni, uznał, że udało mu się częściowo odzyskać nad sobą panowanie.

Był jednak ciągle wstrząśnięty, bo Wirginia miała nad nim niespotykaną władzę, a on nie mógł pozwolić na to komukolwiek, a już w szczególności własnej zakładniczce.

Wszedł do pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi, zrzucił mundur. Był nadal podniecony, nerwowo więc zaczął rozpinać spodnie, ale napięcie nie ustało.

- Och, widzę, że potrzebna będzie moja pomoc. -Tuż przed nim stanęła naga Fiona.

Spojrzał na nią ze zdumieniem, ponieważ całkiem o niej zapomniał.

A potem doskoczył do Fiony i chwycił w dłonie jej wielkie piersi.

Devlin, wzburzony, chodził tam i z powrotem po wielkim holu, prześladowany wspomnieniami wydarzeń ostatnich dwóch godzin. Przez cały czas zdawało mu się, że ma za plecami zjawę.

Jakby Gerald postępował jego śladem od portu w Limerick i nie pozwalał mu zaznać spokoju.

Z butelką doskonałej francuskiej brandy w dłoni, Devlin wpatrywał się w stojak na broń zamocowany na ścianie. Wieki temu, w godzinie potrzeby, w podobnym, ojcowskim stojaku nie było ani jednej sztuki broni. Tamten spłonął w pożarze wznieconym przez żołnierzy Eastleigha. Teraz, choć nie było takiej potrzeby, w nowym stojaku znajdowało się wiele muszkietów - nigdy nie będzie pusty.

„Kiedy wreszcie pozwolisz naszemu ojcu spocząć w pokoju?”.

Devlin pił wprost z butelki, którą opróżnił już do połowy. Jutro przyjdzie mu za to zapłacić.

Nienawidził myśli o ojcu, nienawidził wszelkich wspomnień. Te dobre były jeszcze gorsze od tragicznych, dlatego tak rzadko przyjeżdżał do domu.

Nieruchome ojcowskie oczy przepełnione złością nabrały nowego, kpiącego wyrazu.

- Odejdź - mruknął Devlin. - Twój czas dopiero nadejdzie.

Stanął chwiejnie przed olbrzymim kominkiem, w którym z trzaskiem płonął ogień. Hol wypełniały migotliwe cienie. Devlin nigdy nie wierzył w duchy, a mimo to wyczuwał czyjaś obecność.

„Zemsta należy do Boga”. „Robisz to jedynie dla siebie!”

- Chryste! - Devlin pociągnął kolejny długi łyk brandy, wywołujący palenie w żołądku. Teraz prześladowały go inne obrazy: stojąca na pokładzie „Americany” Wirginia z rozwianymi włosami, celująca do niego z tego idiotycznego pistoletu; Wirginia rozpromieniona, uśmiechnięta podczas kolacji, swoim dowcipem, inteligencją, żywością konwersacji wzbudzająca w Seanie zachwyt; Sean, chmurny i gniewny, oznajmiający, że Wirginia podbiła jego serce.

„Będziesz musiał zniszczyć tę dziewczynę... Jak ty w ogóle możesz ze sobą żyć? Jak?”

Krążąc po wielkim pomieszczeniu, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem w tę dzisiejszą chłodną, bezwietrzną noc po raz pierwszy w życiu nie obudziło się w nim sumienie. Ten dom został wzniesiony

i wyposażony za pieniądze splamione krwią. Elegancki, wręcz wykwinny, stanowił memento setek zaatakowanych i zniszczonych okrętów, tysiący marynarzy wziętych w niewolę lub posłanych na dno. Jego dom był równie wspaniały, jak dom lorda admiralicji, tak samo wyrafinowane urządzone, jak dom Adare'a. W najbliższym czasie Devlin planował rekonstrukcję stołpu, będącego teraz ruiną. Według rodzinnej legendy, ongiś mieszkał w nim ich przodek, nieposkromiony pirat, który kochał jedną z najbardziej niezwykłych kobiet w historii, córkę osławionego Geralda Fitz-Geralda, hrabiego Desmond.

Obecnie miał na to fundusze; ostatni łup, cała ładownia sztab złota, uczynił z niego niebywałego bogacza.

Otrząsnął się, a potem znieruchomiał. Mógłby przysiąc, że właśnie usłyszał surowy, pełen złości głos ojca: „Dość tego!”. Rozejrzał się po olbrzymim holu, podświadomie oczekując, że z mroku wyłoni się jakiś byt, ale pomieszczenie było ciche i puste. Przez wielkie okno widział wyraźnie rozgwieżdżone niebo. Wyobraźnia płatała mu figle albo dopadło go przekłete sumienie.

Poczucie, że nie jest sam nie chciało go opuścić. „Dość tego!”.

Czy rzeczywiście cichym echem niósł się tu jakiś głos, czy to po prostu pijackie rojenia, i nic więcej? W każdym razie rada była dobra. Włóczenie się po domu w godzinie przedświtku nie miało najmniejszego sensu. Ruszył więc ku schodom, choć wydawało mu się, że ktoś go obserwuje.

Nie obejrzał się za siebie.

Ostatnią myślą tuż przed tym, zanim zapadł w sen bladym światem, wstającym nad irlandzką krainą, było postanowienie, że nie zrezygnuje z zemsty dopóty, dopóki Eastleigh będzie na tym świecie.

Scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wirginię ogarnął wilczy głód. Poklepała więc raz jeszcze śliczną gniadą klacz i wyszła ze stajni. Ranek był piękny, na niebieskim, bezchmurnym niebie ostro świeciło słońce, zapowiadając upalną pogodę. Wczorajszej nocy Wirginię wyczerpały gwałtowne przeżycia i ledwo się położyła, natychmiast zasnęła. Wieloletnie przyzwyczajenie sprawiło, że obudziła się o świcie. Postanowiła zwiedzić pobliskie ruiny starego zamku, które ją zafascynowały od chwili, gdy pierwszy raz je ujrzała, bo było w nich coś nieodparcie romantycznego.

Tego rana widziała Devlina przelotnie, gdy galopował na siwym koniu ku odległym wzgórzom. W siodle wyglądał równie imponująco, jak na mostku okrętu. Pozostawał dla niej enigmą, nie potrafiła go zrozumieć. Czyżby naprawdę oskarżał ją o zbyt przyjazne odnoszenie się do Seana? Wydarzenia w bibliotece potoczyły się w zawrotnym tempie od momentu, gdy poprosiła, żeby udał się z nią na przechadzkę w świetle księżyca. Bardzo się wówczas zezłościł, ale dlaczego? Sean był niezwykle ujmującym człowiekiem i Wirginia szczerze go polubiła. Rzeczywiście, pewnego dnia z chęcią ugościłaby go w „Słodkim Dereniu”.

Skąd jednak Devlinowi przyszło do głowy, że ona była zainteresowana Seanem jako mężczyzną? Przecież to kompletny absurd! Jak mógł tak myśleć po ich wspólnych, intymnych przeżyciach?

Nakazał jej się trzymać z dala od brata. Może były ku temu bardzo szczególne powody. Może Devlin się obawiał, że Wirginia zdoła nakłonić Seana do pomocy w ucieczce, tak jak wcześniej namówiła Jacka Harveya.

Choć głód dawał się jej we znaki, szła w stronę dworu noga za nogą, żeby mieć więcej czasu do spokojnego namysłu. Nie była w stanie przypomnieć sobie wszystkiego, co wydarzyło się ubiegłego wieczoru, ale to, co zapamiętała, wystarczyło, żeby zaczęły palić ją policzki. Kiedy Devlin ją całował, gdy poczuła jego męskość, całkowicie opuścił ją zdrowy rozsądek, podobnie jak tamtej nocy na okręcie. Z pewnością nie uroiła sobie własnej namiętnej reakcji, gdy trzymał ją w ramionach. Gorączkowe podniecenie, żar, który w niej rozpalał, były jak najbardziej realne i cudowne. A jednocześnie nieco przerażające.

Kiedy czuła na sobie jego dłonie, przestawała myśleć. Stawała się ucieleśnieniem żądz; wszystko inne zupełnie się nie liczyło, chciała tylko, by ją pieścił i całował.

Na szczęście teraz, w pełnym świetle dnia, żądza nie zaćmiewała jej umysłu. Owszem, coś dziwnego działo się z jej ciałem, gdy sobie przypominała pieszczoty Devlina, ale przynajmniej była zdolna do racjonalnego myślenia. Dlaczego ten mężczyzna miał na nią tak niezwykle wpływ?

Był niesamowicie przystojny, władczy, hipnotyzujący, ale ona w gruncie rzeczy była tu więźniem, a nie gościem. Devlin stał na drodze do odzyskania „Słodkiego Derenia”, a tymczasem Wirginia coraz

rzadziej o tym myślała, jakby mogła w nieskończoność ciągnąć to dziwne interludium, a potem i tak uratować plantację. A przecież czas miał kluczowe znaczenie. Nadeszła więc pora, by wziąć się w garść.

Z drugiej strony, Devlin nie był ani piratem, ani szaleńcem. Nie zranił jej w jakikolwiek sposób, nie sprawił fizycznego bólu i starał się traktować ją z należnym szacunkiem. Wszyscy go ubóstwiali jako bohaterskiego kapitana marynarki. On rzeczywiście był bohaterski - miał w sobie odwagę herosów. Jednak złamał prawo, gdy ją porwał, nie wspominając już o aroganckim ataku na „Americane”, praktycznie bezbronny statek handlowy. W wyniku tych przestępstw „Americana” leżała teraz na dnie morza, a Wirginia została więźniem. W żadnym razie nie powinna więc tęsknić do uścisków takiego człowieka.

Poza tym nadal nie wiedziała, dlaczego tak mu zależy na okupie.

Z posepną miną weszła do dworu. Musi odkryć, czemu O'Neill był gotów zaryzykować karierę tylko po to, żeby zdobyć pieniądze, których nie potrzebował, będąc tak majątym. Chociaż bardzo podobało jej się Askeaton - tak bardzo, że wcale nie miała ochoty stąd wyjeżdżać - powinna jak najszybciej spotkać się z hrabią Eastleigh. Jeżeli chciała odzyskać plantację, musiała skupić się na najważniejszym zadaniu i zapomnieć o namiętności.

Przechodząc przez hol, zastanawiała się, czy Devlin wrócił z porannej przejażdżki. Niedawno widziała Seana oddalającego się konno, ale w o wiele wolniejszym tempie. Zapewne udawał się do swoich codziennych obowiązków zarządcy Askeaton. Wirginia

weszła do jadalni i zobaczyła na stole tylko jedno nakrycie. Na ten widok ogarnęło ją rozczarowanie, ale i uczucie ulgi.

Z koszyka napelnionego pieczywem wzięła bułeczkę z jagodami oraz grubą kromkę jeszcze ciepłego, rodzynekowego chleba, po czym ruszyła w górę po schodach. Dość już tych rozmyślań o Devlinie O'Neillu. Przebierze się w bryczesy i konno zwiedzi jego rozległą posiadłość.

Pogryzając jagodową bułkę, weszła do sypialni, gdzie Fiona właśnie ścieliła łóżko i podśpiewywała. Pootwierane szeroko okna wpuszczały do środka świeże, wiosenne powietrze. Wirginia zignorowała pokojówkę i podeszła kufra.

- Dzień dobry - zaćwierkała radośnie Fiona.-Przyniosłam róże z ogrodu - dodała z promienną twarzą, wskazując na wazon z różowymi kwiatami, stojący przy łóżku.

Wirginię zdjął lęk. Czy to możliwe, że Sean lub Devlin zbeształ pokojówkę za wczorajsze, aroganckie zachowanie?

- Dziękuję - odparła niepewnie. - Czy mogłabyś mi pomóc zdjąć suknię?

- Ależ naturalnie! - Fiona niemal przefrunęła przez pokój z zachwyconą miną. Kiedy zaczęła rozpinać guziki sukni, Wirginia zauważyła:

- Jesteś dziś niezwykle szczęśliwa.

- Mamy przecież piękny dzień, prawda?

Wirginia wciągnęła spodnie, a potem wysokie buty do konnej jazdy. Na koniec włożyła prostą koszulę, której końce wepchnęła za pasek spodni.

- Otrzymałaś dobre nowiny? - spytała, sznurując buty.

Fiona wybuchnęła śmiechem.

- Jestem zakochana - wyznała. Wirginia drgnęła, zaskoczona.

- Za... zakochana?

Fiona skwapliwie pokiwała głową, składając przed sobą dłonie.

- Było tak, jak sobie wymarzyłam. To znaczy on był taki jak w moich marzeniach. O Boże, cóż za mężczyzna... taki silny, niespożyty... - Urwała. Oczy jej błyszczały, a na policzkach pojawiły się wypieki.

- Mówisz o... o Devlinie? - Wirginia poczuła, że robi jej się słabo.

- Kochał się ze mną przez całą noc, może robić to długo, jak prawdziwy ogier. Jeszcze nigdy nie byłam z takim mężczyzną i już nie wiem, jak zdołam doczekać dzisiejszego wieczoru!

Devlin poszedł z Fioną do łóżka! Wirginia przysiadła na skraju krzesła.

- Ma niesamowicie wielkiego - szepnęła Fiona. - Ledwo mieścił mi się w ręku.

Wczoraj Devlin całował Wirginię, trzymał ją w ramionach, a zaraz potem poszedł do Fiony.

Poczuła wzbierające mdłości. Jakimś cudem zdołała się uśmiechnąć i podnieść z krzesła.

- Bardzo się cieszę, Fiono. Będziecie stanowić piękną parę.
- Prawda? On jasnowłosy, a ja czarniawa, on przystojny, ja piękna! - wykrzyknęła.

Wirginia pospiesznie wyszła z pokoju, a gdy już miała pewność, że znalazła się poza zasięgiem wzroku Fiony, puściła się biegiem. Nie mogła złapać tchu, miała wrażenie, że serce jej pęka. Niespodziewanie śliskie podeszwy butów zsunęły się ze stopnia i Wirginia poleciała na łeb na szyję z połowy wypolerowanych schodów.

W holu podniosła się na czworaki i przez chwilę histerycznie chwytając ustami powietrze. Znajdowała się w stanie szoku. Po chwili wzięła się w garść na tyle, by wypaść na dwór. Zwymiotowała, kryjąc się za najbliższym krzewem róż.

Potem zawlokła się za róg i usiadła na ziemi, trzęsąc się na całym ciele. Prześladowały ją obrazy Fiony i Devlina splecionych w miłosnym uścisku - były niczym sól wcierana w jęczącą się ranę. Musiało minąć sporo czasu, zanim zdołała nad sobą zapanować. Wówczas te przywołane obrazy zaczęły wzbudzać w niej złość.

Tych dwoje wartych było siebie nawzajem!

Ona była dziewczynką - on rajfurem!

Ja, Wirginię, nic to nie obchodziło; jej dziewictwo pozostało nietknięte!

Wirginia szczerze nienawidziła ich oboje.

Jak mógł pójść do Fiony, gdy wcześniej trzymał Wirginię w ramionach?

W końcu udało jej się podnieść, choć kolana jeszcze drżały, gdy otrzepywała z jasnych spodni drobiny ziemi. W gruncie rzeczy lepiej nie mogło się stać. Wkrótce wyjedzie z Askeaton, opuści Irlandię i nigdy w życiu nie będzie musiała oglądać Devlina O'Neilla.

Jak to możliwe?

- Bo ona jest piękna, a ja brzydka, ot co! - wykrzyknęła.

Popędziła do stajni, gniada klacz zarżała przyjaźnie na jej widok. Wirginia znalazła siodło, które było mniejsze od pozostałych, zerwała z haka derkę i szybko osiodłała konia. Tymczasem zaczął kropić deszcz. Nie zważając na to, chwyciła za wodze i wilgotnymi dłońmi zaczęła głaskać klacz po szyi.

- Jesteś taka słodka - wyszeptała, po czym wyprowadziła konia ze stajni. Ku swojemu zdziwieniu, ujrzała błękitne, czyste niebo i świat wyzłocony promieniami słońca.

Och, naturalnie. Wcale nie padało. Po prostu z jej oczu płynęły łzy i nie dawały się powstrzymać.

Przez głowę przebiegła jej przerażająca myśl: czy zakochała się w tym potworze O'Neillu?

Wskoczyła na konia, zpuściła wodze i cwałem oddalała się od Askeaton.

Gniada klacz galopowała wijącą się, leśną dróżką, poprzecinaną plamami światła przesianego przez liście. Wirginia znów była sobą, córką plantatora, panią „Słodkiego Derenia”. Elokwentną, niezależną kobietą, niezainteresowaną żadnym mężczyzną, pochłoniętą jedynie myślami o odzyskaniu własnego domu i plantacji. Ostatnie pół

godziny poświęciła na planowanie kolejnej ucieczki, tym razem na końskim grzbiecie. Szczerze wierzyła, że teraz jej się powiedzie. Zdołała uspić czujność O'Neilla. Już nie podejrzewał, że Wirginia podejmie następną próbę ucieczki. A gdy wreszcie odkryje, że zniknęła, uzna, że udała się do najbliższego portu, by popłynąć do Anglii. Do diabła z nim! Tym razem nie pójdzie mu tak łatwo, bo ona najpierw przemierzy konno całą Irlandię i odpłynie z jakiegoś nadmorskiego miasta położonego na wschodnim wybrzeżu. Przy najbliższej nadarzającej się okazji wśliznie się do biblioteki i poszuka użytecznych map. Może nawet którąś z nich ukradnie.

Niespodziewane rzenie klaczy wyrwało Wirginię z zamyślenia. Nie zauważyła, kiedy wyjechała z lasu. Niespokojna i czujna, natychmiast wstrzymała konia.

Znajdowała się na trawiastym wzgórzu, z którego rozciągał się widok na niewielką farmę: wzniesiony z kamienia dom, kilka zabudowań gospodarczych, ogród warzywny, pola i łąkę, gdzie pasło się stado krów.

Przed domem stał uwiązany szary ogier, wraz z czterema ciężkimi farmerskimi końmi, także osiodłanymi. Znajdowały się tam również trzy dwukółki.

O co tu chodziło? Raczej trudno było uwierzyć, że jakiś farmer sprosił gości na wczesnopopołudniową herbatkę.

Wirginia napomniała się w duchu, że nie powinno jej obchodzić, co i z kim robi Devlin. Już miała zawrócić do lasu, gdy jej uwagę zwrócił masywny, kasztanowy koń, dokładnie taki sam jak koń Seana.

Co oni tu robią?

Intuicja jej podpowiedziała, że dzieje się coś niezwykłego. Zeskoczyła z klaczy i przywiązała ją do drzewa. Nie zaszkodzi chwila popasu. Zsunęła się ze zbocza, szybko przebiegła przez polanę i przycisnęła do kamiennych ścian domu. Potem, z walącym sercem, podkraśla się do okna bez szyb, którego okiennice były otwarte na oścież.

Z wnętrza dobiegały mocno podniesione, męskie głosy.

Niewykluczone, że właśnie jakiś farmer przyłapał Devlina in flagranti ze swoją żoną. Wirginia miała szczerą nadzieję, że tak się stało. Wyprostowała się na całą swoją wysokość i wówczas udało jej się zerknąć do środka.

Ujrzała dwudziestu kilku, może trzydziestu mężczyzn, sądząc po wyglądzie w większości farmerów

i wyrobników. Naprzeciwko nich, na podwyższeniu, wraz z katolickim księdzem stał Sean, unosząc ręce, jakby nawołując do spokoju. W pierwszym rzędzie siedział Devlin. Zdumiona i zdezorientowana, Wirginia kompletnie nie pojmowała, czego mogło dotyczyć tak liczne zebranie.

- Proszę o ciszę - odezwał się tymczasem Sean. - Każdy będzie mógł się wypowiedzieć.

Krzyki przeszły w głośne pomruki, a potem w przyciszone szepty.

- Timie McCarthy, czy chciałbyś wyrazić swoją opinię?

Naprzód wystąpił potężny mężczyzna o gęstych, zmierzwionych, siwych włosach.

- To kolejne kłamstwa, jak zwykle. Niczego innego nie można spodziewać się po tych piekielnych Anglikach, jak tylko kłamstw i dalszego zaboru naszej ziemi!

- Racja! Dobrze mówi! - wykrzyknęli zebrani. Wirginia słuchała tych słów w osłupieniu. To było zebranie polityczne.

- Jeszcze w tysiąc osiemsetnym roku, gdy powstawała Unia, obiecywali, że będziemy mieć takie same prawa, jak protestanci. I co z tego wyszło? Czy jakiś katolik zasiada w Izbie Gmin? Czy został doradcą króla? Wciąż muszę składać tę bezbożną przysięgę, jeżeli chcę wykupić ziemię, która od wieków należała do mojej rodziny!

Znowu wszyscy zaczęli mówić naraz, równie oburzeni, jak Tim McCarthy. Sean ponownie uniósł rękę.

- Pojedynczo i po kolei, panowie.

- Jeszcze nie skończyłem - stwierdził McCarthy.

- Doskonale, więc kontynuuj, Tim.

- Spotykamy się już od dwóch lat, i co z tego wynika? Musimy wreszcie wygnać tych przeklętych

Anglików z Irlandii, ot co! Trzeba zrobić to teraz! Nic się nie zmieni, jeśli im nie pokażemy, że dni poniżania katolików dobiegły końca. Musimy rozlać angielską krew i siłą odzyskać nasze prawa, tak jak zrobili to Francuzi.

W izbie rozległ się gorący aplauz.

Wirginia przeraziła się nie na żarty. Te słowa mogły okazać się niebezpieczne, sugerowały zdradę stanu. Co robili tu Sean z Devlinem?

Nie wiedziała zbyt wiele na temat Irlandii, ale za to sporo na temat rewolucji francuskiej, którą większość Amerykanów popierała całym sercem przynajmniej do czasu, aż Napoleon wyruszył na podbój Europy. Nie bardzo więc miała pojęcie, o jakich prawach mówił Tim McCarthy, ale jedno nie ulegało dla niej wątpliwości: Irlandia była częścią Wielkiej Brytanii. Irlandczycy nie powinni zatem głosić wywrotowych haseł, nawołujących do wygnania Anglików z kraju. To pachniało jeśli nie rewolucją, to na pewno groźnym buntem.

Nagle z krzesła podniósł się Devlin. Zanim jeszcze wstąpił na podwyższenie, rozległy się entuzjastyczne okrzyki.

-O'Neill! Kapitan O'Neill! Hurra!

Wirginia przylgnęła do muru. Czyżby Devlin zaangażował się w antyrządowy spisek? Ale jakże to możliwe?! Przecież jest szanowanym oficerem brytyjskiej marynarki!

Tymczasem Devlin stanął obok Seana na podwyższeniu.

- Czy mogę? - zwrócił się do brata, co potwierdziło wcześniejsze przypuszczenia Wirginii, że na czele grupy stoi Sean.

W pokoju zapanowało milczenie. Wirginia ponownie zajrzała do środka i, niczym zahipnotyzowana, wpatrzyła się w Devlina.

- Rozumiem wasz gniew - odezwał się kapitan O'Neill, powoli wodząc wzrokiem po zgromadzonych, każdemu z mężczyzn

spoglądając prosto w oczy. - Powstanie przyniesie jedynie cierpienie i śmierć. Ja i moja rodzina wiemy to najlepiej.

Pojawiły się pomruki aprobaty, ale i sprzeciwu.

- Co mamy robić?! - wykrzyknął jeden ze zgromadzonych. - Nie jestem w stanie zapłacić renty dzierżawnej, która od zeszłego roku zwiększyła się aż trzykrotnie!

Wszyscy poparli te słowa.

Sean ponownie uciszył zebranych. Devlin podjął przemowę, nadal wodząc wzrokiem po konspiratorach, aż w końcu jego oczy spotkały się z oczami Wirginii.

Najwyraźniej osłupiał.

Podobnie jak ona.

Odskoczyła od okna. W tej samej chwili usłyszała, że Sean kończy zebranie, puściła się więc biegiem przez polanę. Ledwo jednak pokonała kilkanaście jardów, potknęła się i przewróciła. Wówczas odwróciła się przez ramię i ujrzała Devlina.

Dzieliło go od niej już tylko parę jardów, a z domu wysypywali się kolejni mężczyźni, wszyscy gniewni, wykrzykując przerażające słowa.

- To szpieg! Szpieg! Angielski szpieg!

Zdjęta paniką, Wirginia poderwała się do ucieczki, ale natychmiast rzucił się na nią Devlin, a impet jego skoku powalił ich oboje na ziemię. Na szczęście w ostatnim momencie Wirginia skrzyła ciało i wylądowała w jego ramionach, a nie na twardym gruncie, co zapewne skończyłoby się złamaniem jakiejś kości.

Teraz jednak leżała na plecach, a Devlin pochylał się nad jej twarzą.

- Śledziłaś mnie? - zapytał z furią w głosie.

Po raz pierwszy od chwili, gdy przechwycił „Americane”, Wirginia zaczęła się go bać.

- Nie! Wybrałam się na przejażdżkę... zobaczyłam twojego konia... myślałam, że to jakieś przyjęcie! - wykrzyknęła.

- Ty mała idiotko! - rzucił przez zęby. Wirginia oderwała wzrok od jego twarzy i dopiero wtedy zauważyła, że otacza ich tłum rozwścieczonych mężczyzn, niektórych uzbrojonych w muszkiety, innych - w piki. Każdy z nich wyglądał groźnie, jakby miał ochotę ją na miejscu zamordować. Nagle stanął przed nimi Sean.

- Wszystko w porządku, chłopcy - rzucił z uśmiechem. - To tylko drobne nieporozumienie.

Wirginię ogarnęło przerażenie. Doskonale zdawała sobie sprawę, czego niedawno była świadkiem. Ci mężczyźni planowali powstanie przeciwko Anglikom, a więc posunęli się do zdrady stanu. Nic dziwnego, że na ich twarzach malowała się nie tylko wściekłość, ale i strach.

Bali się, że mogłaby komuś powtórzyć, co tutaj usłyszała.

- To szpieg! - wykrzyknął ktoś i zawtórowały mu inne głosy.

Wirginia spojrzała w oczy Devlinowi, starając się zapanować nad paniką. On chyba nie dopuści, by ją skrzywdzili?

Z twarzą wykrzywioną złością, Devlin postawił ją na nogi.

- To dziewczyna! - zauważył jeden z mężczyzn.

- Przeklęta kobieta-szpieg!

- Panna Hughes jest naszym gościem, a nie żadnym szpiegiem - wtrącił Sean, stając u boku Wirginii i brata.

Wirginia popatrzyła na otaczające ją wrogie twarze o nienawistnych spojrzeniach.

- Nie jestem szpiegiem - wyjąkała. - Po prostu zobaczyłam konia Devlina i...

Devlin szarpnął ją za ramię tak silnie, że poczuła przenikliwy ból; dał jej w ten bolesny sposób do zrozumienia, żeby natychmiast zamknęła usta. Wówczas ktoś wrzasnął:

- To Angielka! Ta dziewczyna jest Angielką! Wirginia spojrzała na krzyczącego ze zdumieniem, mimo że nie pierwszy raz spotykała ludzi, którzy nie znając Amerykanów, brali jej akcent za angielski.

- Powieśmy ją. - Tim McCarthy wystąpił naprzód. - Za dużo o nas wie.

Wirginia spojrzała przerażona na Devlina, ale on ją zignorował i stanął naprzeciw Tima.

- Nie ma mowy o wieszaniu kogokolwiek - powiedział tonem tak władczym, na jaki tylko on mógł się zdobyć. - Panna Hughes jest Amerykanką, a nie Angielką, i do tego moją narzeczoną.

Zapadła cisza i tylko niektórzy ze zdumienia rozwarli szeroko oczy.

Wirginia postanowiła pochwycić rzuconą przez niego linę ratunkową.

- Właśnie, jestem zaręczona z Devlinem i przyjechałam, bo...

Chwycił ją za nadgarstek tak mocno, że groziło to złamaniem, i zanim zdążyła zorientować się w sytuacji, zamknął jej usta pocałunkiem.

Pocałunek był gniewny i bolesny. Dobiegały ją pomruki, mówiące coś o tym, że O'Neill wziął sobie narzeczoną. Próbowwała go odpychać, ale wtedy jego uścisk stawał się jeszcze mocniejszy, a usta napierały na jej wargi. Zapomniała o tajnym zebraniu, którego niedawno była świadkiem. Instyktownie rozchyliła usta i poczuła dotyk jego języka. To sprawiło, że przed oczami stanęła jej Fiona, z którą spędził ostatnią noc.

Nie namyślając się, ugryzła Devlina w język.

Głowa mu odskoczyła, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku, nie wypuścił jej też z objęć. Wirginia posłała mu pełne furii spojrzenie, a on odpowiedział tym samym.

- Puszczaj! - mruknęła z wściekłością.

- Ani mi się śni, moja wybranko. - Uśmiechnął się i ponownie nachylił, by ją pocałować, ale zanim dotknął jej ust, wysyczał cicho: - Udawaj, że szalejesz za mną, chérie, bo od tego zależy twoje życie.

Wirginia poczuła w sercu rozpacz, gdy wodził ustami po jej wargach, a dłońmi - po jej plecach i pośladkach. Nie mogła jednak odmówić jego słowom racji. Znalazła się w potrzasku. Tymczasem Devlin przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie, zapewne by ją w ten sposób ukarać.

- Oddaj mi pocałunek - rozkazał szeptem.

Cały ból i poczucie krzywdy nagle do niej powróciły, chociaż wcześniej wierzyła, że już się z nimi uporała i więcej nie będzie musiała się z nimi mierzyć. Wiedziała, że powinna oddać pocałunek, aby wszyscy uwierzyli, że naprawdę są narzeczonymi. Jednak nie była w stanie. Nie sposób całować mężczyzny, gdy z oczu lecą łzy.

Devlin w lot pojął sytuację. Usztywnił się, przestał ją gładzić i chociaż wciąż dotykał ustami jej warg, nie było w tym namiętności. Wirginia zdobyła się na pozory pocałunku.

Wówczas ją puścił i obrzucił uważnym spojrzeniem.

Miała ochotę posłać go do wszystkich diabłów, ale nie ośmieliła się, bo wokół panowało wrogie milczenie. Patrzący na nią wiele par oczu, w których czaiło się podejrzenie, zmusiła się więc do uśmiechu, który zapewne wydał się wszystkim żalony.

Któryś ze spiskowców wykrzyknął gromko:

- Wiwat O'Neill i jego narzeczona! Wszyscy pochwycili zawołanie.

Devlin uśmiechnął się chłodno. Objął ją ramieniem w sposób uniemożliwiający Wirginii swobodny ruch, po czym odwrócił się do zgromadzonych.

- Moja mała wybranka już nie mogła się doczekać, kiedy wrócę do domu - rzekł żartobliwym tonem.

Wokół rozległy się rubaszne śmiechy, McCarthy jednak pozostał niespokojny.

- Czy każesz jej zaprzysiąc, że dotrzyma tajemnicy, kapitanie?

- Ona nigdy by mnie nie zdradziła, Tim. McCarthy uspokojony skinął powoli głową, nawet nie spoglądając na Wirginię, wpatrzony jak w obraz w przywódcę.

- Myślę, że czas ruszać do domu - oznajmił Sean, który pojawił się znowu na polanie, trzymając konia swojego i Devlina. On również uśmiechał się życzliwie, ale w jego oczach Wirginia dojrzała czujność. Na moment ich spojrzenia się skrzyżowały i wówczas jeszcze silniej ujawniło się niezwykle podobieństwo braci. Sean miał kamienny wyraz twarzy. Wyczuła w nim wrogość. Nie ufał jej czy któremuś z mężczyzn obecnych na spotkaniu?

Devlin chwycił ją w tali i, zanim zdążyła zaprotestować, posadził na swojego konia. Sam wskoczył za nią na siodło, które oczywiście było za małe dla dwóch osób.

- Jak się tu dostałaś? - zapytał Devlin, gdy oddalili się od zabudowań.

Nadal był wściekły. I dobrze, ponieważ go nienawidziła i będzie nienawidzić do końca swoich dni.

- Konno.

- Doprawdy? A kto ci pozwolił dosiadać konia?

- Nikt.

Nie odpowiedział, ale pewnie dlatego, że w tym momencie ich oczom ukazała się przywiązana do drzewa gniada klaczka, spokojnie skubiąca trawę. Devlin skreślił nieznacznie i kłusa podjechał do pasącego się konia.

- Co ci chodzi po głowie, Wirginio?

- Nic - rzuciła opryskliwie.

- To dobrze, bo na dzisiaj wyczerpałaś już moją cierpliwość - oświadczył, gdy znaleźli się obok klaczy.

Wirginia chciała zeskoczyć z siwego ogiera, ale jej na to nie pozwolił.

- Pojedziesz ze mną - zarządził, po czym zsiadł z konia i odwiązał klacz.

- Szybciej mnie diabli porwą! - wykrzyknęła zapalczywie.

- Uważaj, Wirginio, bo ja z trudem nad sobą panuję. Nie znoszę, gdy mnie ktoś śledzi. Jak wiele usłyszałaś?

- Wszystko - odparła, unosząc wysoko brodę.

- W takim razie może już nigdy nie opuścisz Askeaton, moja droga.

- Nie mówisz poważnie!

- O, jak najbardziej.

- A co z okupem?

- W świetle obecnych wydarzeń okup schodzi na dalszy plan.

Przede wszystkim muszę zapewnić bezpieczeństwo Seanowi i pozostałym.

Zaczęła gorączkowo szukać wyjścia z matni.

- Tak naprawdę to nic nie słyszałam! - wykrzyknęła.

Znowu znalazł się w siodle za jej plecami.

- Przed chwilą mówiłaś coś zupełnie innego.

- Oszukałam cię. Nie słyszałam ani słowa!

- Kłamczucha. Śliczna, mała kłamczucha. Czemu mnie nie pocałowałaś, kiedy mówiłem, żebyś to zrobiła? Twoje życie wisiało na włosku, a z mojej strony to nie była prośba, a rozkaz.

- Nie masz prawa wydawać mi rozkazów. Natychmiast ogarnęła go irytacja.

- A czemu zaczęłaś płakać?

- Piasek wpadł mi do oka - odparła bez zastanowienia.

Uważnie spojrzał jej w twarz.

- Marnie kłamiesz, więc nie radzę ci odwoływać się do oszustwa, bo można w tobie czytać jak w otwartej księdze.

- W takim razie czemu jestem rozgniewana? - zapytała głosem ociekającym fałszywą słodyczą.

Przez chwilę nie odrywał od jej twarzy przenikliwego spojrzenia.

- Nie wiem, ale wkrótce się dowiem - oświadczył i dźgnął konia obcasem.

Gdyby nie trzymał jej mocno, Wirginia z pewnością spadłaby z siodła. Kiedy pędzili w stronę domu, starała się powstrzymać łzy, żeby nie dawać mu więcej powodów do satysfakcji. W ten sposób cała droga upłynęła im w pełnym napięcia, krępującym i wrogim milczeniu.

Devlin wszedł do biblioteki, gdzie czekał na niego Sean, oparty o biurko, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Co z nią zrobiłeś? - zapytał, ze złością spoglądając na brata.

- Jest w swoim pokoju. Poleciałem Connorowi, żeby jej pilnował
- odparł Devlin.

- Może powinniśmy ją zamknąć na klucz? Gdyby nie powaga sytuacji, Devlin szczerze by się ubawił. Nalał sobie brandy, zaproponował trunek bratu, ale Sean odmówił.

- Wydawało mi się, że jesteś jej zagorzałym obrońcą,

- Ile usłyszała? - spytał sucho Sean.

- Nie wiem dokładnie, ale dowiem się w ten czy inny sposób.

- A niech to szlag! - wybuchnął Sean i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. - Co ona, u diabła, robiła na farmie Canaby'ego?

- Prawdopodobnie nas śledziła.

- I co teraz zrobisz? W tej sytuacji nie możesz jej oddać Eastleighowi!

Z kieliszkiem w dłoni Devlin rozparł się w dużym, skórzanym fotelu i wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Wcześniej czy później będę musiał mu ją oddać. Sean spojrzał na brata w osłupieniu.

- Dobrze wiesz, że samo zebranie było równoznaczne ze zdradą stanu, chociaż nie doszło do opracowania żadnego planu. Możemy wszystko stracić, a ty, oficer marynarki, zapewne zawiśniesz za to na najwyższej rei!

- O wiele bardziej prawdopodobne, że to tobie utną głowę i zatkną na pikę. Ostatecznie jesteś ich przywódcą.

- To ma być zabawne? - Sean nie wierzył własnym uszom. - Ci ludzie potrzebują nadziei i to właśnie próbuję im dać.

Devlin pociągnął łyk brandy.

- Nie, sytuacja wcale nie jest zabawna, a raczej dość niesamowita. Jaki ojciec, taki syn, co?

- Niesmaczna uwaga. Dobrze wiesz, że nigdy nie dopuściłbym do rebelii. Ale i tak mamy poważny problem. Trzymasz tu Wirginię wbrew jej woli, a ona zyskała teraz informację, dzięki której może pogrążyć nas obu.

- Co proponujesz? Mam ją posłać na dno morza? -zakpił Devlin.

Sean miał rację. Trzeba było zyskać pewność, że Wirginia nie piśnie słowa na temat zebrania, mimo że to, co widziała, było w istocie mniej groźne, niż z pozoru mogło się wydawać. Z listów brata Devlin od dawna wiedział, że ludzi przepelniały gniew i desperacja, więc parę razy do roku organizowano takie sekretne wiece, by mogli dać upust frustracji. Jego przyjazd do Askeaton był powodem zwołania dzisiejszego spotkania. Nawet gdyby go nie zaproszono i tak by się zjawił. W gruncie rzeczy ci ludzie nie planowali zbrojnego powstania. Byli farmerami i parobkami, zależało im na wykarmieniu rodziny, a nie na krwawej walce. W Wielkiej Brytanii w okresie wojny z Francuzami głoszenie własnych poglądów niezgodnych z linią rządu uchodziło za działalność wywrotową, ale ludzie czuli potrzebę wyrażania swoich opinii i mogli to czynić na owych spotkaniach. Dziś Tim McCarthy i inni zwołali zebranie, bo bardzo chcieli usłyszeć, co Devlin sądzi o panującej sytuacji. Jak wspomniał Sean, desperacko łaknęli nadziei.

Sean wciąż nerwowo chodził po bibliotece.

- Nie zadrezczaj się - powiedział Devlin. - Nie dopuszczę, żeby Wirginia naprowadziła Anglików na wasz trop. Jeżeli będę musiał, powiem jej prawdę: wytłumaczę, że nasi ludzie są zrozpaczeni, głodni i pełni złości, ale nie pozwolimy, żeby poderwali się do bezsensownej walki zbrojnej.

Sean wciąż żywił wątpliwości.

- Nie sądzę, by Wirginia miała ochotę wysłuchiwać jakichkolwiek argumentów z twoich ust - powiedział.

- Zapewniam cię, że mnie wysłucha - stwierdził Devlin, nagle posepniejąc. Co się z nią działo dzisiejszego popołudnia? Dlaczego płakała?

- Uważam, że istnieje tylko jedno rozwiązanie tego problemu.

- Bądź łaskaw mnie oświecić.

- Jeden z nas musi się z nią ożenić. Devlin zachłysnął się brandy.

- Ja nie żartuję.

Devlin odstawił kieliszek na niewielki stolik.

- A któremu z nas miałby przypaść zaszczyt uczynienia z Wirginii szczęśliwej, kochającej, lojalnej małżonki? Pozwól, że zgadnę. Tobie?

- Z chęcią bym ją poślubił, gdyby tylko miała taką wolę. Ale ona nie mnie chciałaby widzieć u swego boku.

- W żadnym razie nie ożenię się z amerykańską sierotą bez grosza przy duszy - rzucił gniewnie Devlin. Serce waliło mu tak, jakby właśnie na jego okręt zwałił się huragan.

- Dlaczego nie? Ostatecznie naruszyłeś jej nietykalność, praktycznie ją więzisz i tylko ty możesz sprawić, by sprawiedliwości stało się zadość.

- Kpisz sobie?

Sugestia brata wydała się Devlinowi absurdalna. Gdy tylko Eastleigh zapłaci okup, Wirginia pojedzie do stryja, a jeśli do tego czasu jej plantacja będzie już sprzedana, pozostanie w Anglii, przy swojej rodzinie.

- Mówię jak najbardziej poważnie. Nie chciałbym tracić Askeaton, a ty z pewnością nie chciałbyś stracić głowy - stwierdził Sean, po czym znów zaczął nerwowo przechadzać się po bibliotece.

- Jedno, co mi z pewnością nie grozi, to utrata głowy - uznał Devlin. - Przestań się przejmować. Panna Hughes nie przyczyni się do oskarżeń.

Spojrzenie, jakie posłał mu brat, rozeźliło Devlina.

- O co chodzi? - zapytał.

- Jeżeli nie chcesz jej poślubić, pozwól mi formalnie ubiegać się o jej rękę.

Devlin miał wrażenie, że źle słyszy.

- Wiem, że miałaś ją w swoim łóżku - podjął Sean, rumieniąc się wyraźnie. - Nie powiem, że jest mi to obojętne, bo to nieprawda. Niemniej, jeżeli więcej jej nie tkniesz, zdołam z tym żyć. Pozwól mi o nią zabiegać, zdobyć jej miłość i poślubić.

- Nie.

Sean odskoczył jak oparzony.

Devlin wcześniej nie rozważał podobnych możliwości i choć wciąż pałał złością, zaczynało do niego docierać, że gdyby mała Amerykanka rzeczywiście zamierzała stwarzać problemy, pomysł brata jest całkiem niezłym wyjściem z trudnej sytuacji. Sean mógłby ją poślubić, zapewnić sobie jej lojalność, po czym oboje żyliby szczęśliwie w Askeaton i podczas nieobecności Devlina doglądali majątku.

Rzecz w tym, że Sean mógł liczyć na o wiele lepszą partię.

- Mimo że byłbym gotów ją poślubić, ty się sprzeciwiasz, choć jedynie jest dla ciebie zabawką - rzucił chłodno Sean.

- Pragnę, żebyś ożenił się z dziedziczką fortuny i znacznie awansował w hierarchii społecznej - odparł bez wahania Devlin.

Sean wojowniczo spojrział na brata.

- Doprawdy? Takie są twoje motywy? Uważam, że w tej chwili nie myślisz głową, ale zupełnie inną częścią ciała. Przemyśl to, co powiedziałem. Przemyśl to dogłębnie, i dopiero wówczas udziel mi odpowiedzi. - Po tych słowach Sean szybkim krokiem opuścił bibliotekę.

Devlin w zamyśleniu patrzył na oddalającego się brata i powoli uchodziła z niego złość. Sean błędnie ocenił sytuację; nie marzył o tym, by zabawiać się z Wirginią. Co więcej, rozważany na chłodno pomysł Seana zdawał się całkiem dorzeczny.

Uniósł kieliszek i zapatrzył się w resztki brandy, byle tylko nie myśleć o Wirginii, wijącej się w jego uścisku, o jej szczupłym ciele i miękkich, wilgotnych wargach. Czemu właściwie nie miałby

pozwolić Sea-nowi na ślub z tą dziewczyną? Intencje brata są czyste i szlachetne. W gruncie rzeczy Wirginia zasługiwała na tak wspaniałego mężczyznę jak Sean. A w każdym razie z pewnością nie zasługiwała na los, jaki szykował jej Devlin.

Małżeństwo tych dwojga mogłoby przyczynić się do rozwiązania wielu problemów, między innymi zatuszowania ostatnich przestępstw, dzięki czemu mógłby nadal wieść życie, do jakiego przywykł.

Czymże jednak było to życie? Przypominało jedną z tych ciągnących się ku nieskończoności, ponurych, pokrytych szarym pyłem starorzemiejskich dróg - wąskie pasmo nicości, nieistotne, opustoszałe, wiodące donikąd.

Devlin podszedł do okna wychodzącego na rozległy trawnik, nagle wstrząśnięty własną wizją. Wolałby jutro zginąć gwałtowną śmiercią, niż ciągnąć tę parodię, w którą zmieniło się jego życie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W ramach pokuty za przewinienia musiała pozostać w sypialni. Nie pozwolono jej nawet zejść do jadalni na kolację; posiłek podano do pokoju na srebrnej tacy. W rezultacie przez całe popołudnie złościła się, uznając wydany na nią wyrok za niesprawiedliwy. Przecież udała się jedynie na poranną przejażdżkę. Skąd mogła wiedzieć, że natknie się na konspiracyjne, polityczne, antyangielskie zebranie? Gdyby wiedziała, co dzieje się na owej farmie, ominęłaby ją szerokim łukiem. A w ogóle to wszystko była wina O'Neilla - gdyby nie przespał się z Fiona, nie okazał się podły, Wirginia nigdy nie zapuściłaby się tak daleko.

Pograżona w ponurych myślach, nie była w stanie docenić kunsztu kucharza i rozkoszować się wspaniałym, nadziewanym bażantem oraz pieczonym łososiem, i w rezultacie ledwo ich skosztowała.

Czy to możliwe, by Devlin wprowadził w czyn groźbę i nie wypuścił jej z Askeaton z powodu tego, czego była świadkiem? Pocieszała się w duchu, że skoro zadał sobie tyle trudu, by ją porwać dla okupu, teraz tak łatwo nie zrezygnuje z planu.

Powiedział, że musi zapewnić bezpieczeństwo Seanowi i innym. Przed czym miał ich chronić? Przed oskarżeniem o zdradę własnego kraju?

W cienkiej, bawelmianej koszuli, nie zadając sobie trudu splecenia włosów, Wirginia podeszła do okna i zapatrzyła się w nocne

niebo usiane tysiącem migocących gwiazd. Potem przeniosła wzrok w miejsce, gdzie wiała się rzeka; naturalnie, teraz nie mogła jej dostrzec, ale wiedziała, że za rzeką leży Atlantyk, a po jego drugiej stronie „Słodki Dereń”.

Jakże chciała wrócić na plantację! Znowu ogarnęła ją potężna, ciężąca na sercu tęsknota za domem. Nagle Wirginia poczuła się równie nieszczęśliwa, jak w murach pensji Marmott.

Teraz była zamknięta w murach dworu Askeaton. Nic dziwnego, że tęskniła do życia w „Słodkim Dereniu”, bo aż do ubiegłej jesieni cieszyła się całkowitą wolnością. Ponieważ wychowywała się w niespotykanej swobodzie, do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak wiele miała szczęścia w życiu. Żałowała jedynie, że nie zdążyła podziękować rodzicom za ich zaufanie, bezwarunkową miłość, za to, że pozwalali jej nosić spodnie i pomagać w pracy na plantacji.

Jej rozmyślania przerwał odgłos pukania do drzwi.

Zapewne był to Connor, który bezsensownie cały dzień siedział pod drzwiami, strzegąc jej, jakby była groźnym przestępcą. Prawdopodobnie chciał sprawdzić, czy Wirginia śpi, bo sam zamierzał się położyć. A gdy on już pójdzie do siebie, może Wirginia zdoła spuścić się na dół przez okno, ukraść gniadą klacz i uciec pod osłoną nocy.

Zanim jednak zdążyła zareagować na pukanie, do pokoju wkroczył Devlin.

Zaskoczył ją, ale po chwili wykrzyknęła z furją:

- Precz stąd!

Odpowiedział nieodgadnionym spojrzeniem.

- Musimy omówić parę kwestii - powiedział. Wirginia podeszła do łóżka, rozglądając się za przedmiotem, którego mogłaby użyć jako broni. Z braku czegoś lepszego chwyciła za dzbanek z wodą, po czym się zamachnęła, by ugodzić nim O'Neilla. Miała nadzieję, że trafi go w głowę i położy trupem na miejscu.

Nim jednak zdążyła wprowadzić zamiar w czyn, znalazł się przy niej jednym susem i z całej siły ścisnął za nadgarstek.

- Rzuć to - polecił.

- Z wielką chęcią. Byle na twoją głowę. - Próbowała wyrwać rękę z uścisku.

Ogarnęły ją mordercze instynkty, bo oczami wyobraźni znów ujrzała go nagiego w namiętym uścisku z Fiona, a nic innego nie byłoby w stanie doprowadzić jej do większej furii.

- Opanuj się - rzucił ostrzegawczo, zaciskając palce jeszcze mocniej.

Wirginia spiorunowała go wzrokiem, jednocześnie walcząc z napływającymi do oczu łzami.

- W porządku - poddała się, wypuszczając dzbanek z ręki w nadziei, że roztrzaska się na jego stopie.

Dzbanek nie wylądował tam, gdzie się spodziewała, a na dodatek, ponieważ był to ciężki kryształ z Water-ford, nie rozbił się, a jedynie nieznacznie wyszczerbiło się ucho, natomiast woda chlusnęła przede wszystkim na jej boscie stopy.

- Rozumiem, że wciąż jesteś rozgniewana. - Devlin rozluźnił uścisk, ale nie puścił jej nadgarstka.

- Jakże błyskotliwe spostrzeżenie, kapitanie - rzuciła kpiąco. - Zabierz rękę, bo sprawiasz mi ból.

- Na dodatek wydajesz się rozgoryczona - zauważył, przesuając wzrokiem po dekolcie jej koszuli, zapewne by przyjrzeć się jej piersiom.

Wirginia nadaremnie próbowała wyrwać się z mocnego uścisku.

- Czemuż miałabym być rozgoryczona? - rzuciła ironicznym tonem. - Płynęłam do Londynu, żeby załatwić najpilniejszą, najważniejszą sprawę w moim życiu, gdy niespodziewanie zostałam porwana z pokładu statku, zamknięta w okrętowej kabinie, skazana na twoją łaskę i niełaskę, a teraz jestem więziona w tej sypialni. Czy mogłabym mieć jakieś powody do rozgoryczenia? Ależ skąd! W żadnym wypadku!

- Posłuchaj, musimy porozmawiać, ale jeżeli jeszcze raz spróbujesz mnie zaatakować, przesiedzisz zamknięta w tym pokoju przez cały następny tydzień.

- Pod każdym względem jesteś takim łajdakiem, za jakiego wszyscy cię uważają.

Wzruszył ramionami, po czym puścił jej rękę.

Odskoczyła od niego gwałtownie. Oparta o skraj łóżka, stała pomiędzy wielkim meblem a Devlinem i poczuła się jak w pułapce.

- Jesteś na mnie bardziej zła niż wtedy, gdy przejąłem „Americanę”. Płakałaś po południu i teraz znowu płaczesz. Dlaczego? Tylko mi nie mów, że piasek wpadł ci do oka.

- Tym razem wpadł mi kurz - oświadczyła z fałszywą słodyczą. - A teraz wynoś się z mojej sypialni, O'Neill!

- Nie ma mowy.

- Fiona na ciebie czeka. - Ledwo te zjadliwe słowa wyrwały jej się z ust, natychmiast ich pożałowała i mimowolnie wykrzywiła usta.

Devlin drgnął nieznacznie, a w jego oczach pojawił się wyraz szczerzego zdziwienia.

Wirginia, z płonącymi policzkami, przemknęła się bokiem, by znaleźć się jak najdalej od łóżka i tego człowieka. Przeszła przez pokój, stanęła przy kominku i wpatrzyła w ogień, jakby nic nie fascynowało jej bardziej od tych płomieni. Czemu to powiedziała? Teraz Devlin pomyśli, że Wirginia jest przygnębiona z jego powodu, może nawet o niego zazdrosna, a przecież to nieprawda. W rzeczy samej, niezmiernie się cieszyła, że powrócił do dawnej miłości.

- Co powiedziałaś?

Ze skrzyżowanymi na piersi rękami nadal wpatrywała się w ogień, ale teraz łzy rozmazywały jej obraz przed oczami. Dlaczego? - powtarzała w duchu. Żeby tylko powiedział mi dlaczego. Chyba przynajmniej tyle jest mi winien?

Nie usłyszała, kiedy stanął za jej plecami, i aż podskoczyła, gdy chwycił ją za łokieć.

- Co powiedziałaś? - spytał raz jeszcze.

- Nic.

Zacisnęła wargi, ale serce waliło jej jak miotem. Nienawidziła swoich gwałtownych reakcji na jego bliskość.

- Nieprawda. Powiedziałaś, że Fiona czeka. Gdzie ma czekać? I na kogo?

Odwróciła się ku niemu gwałtownie. Intuicja przestrzegała, by nie mówiła tego, co zamierzała, ale ją zignorowała.

- Nie obchodzi mnie, że leży teraz w twoim łóżku. Prawdę mówiąc, czuję z tego powodu ulgę! „Ledwo mieści mi się w dłoni!” - rzuciła, przedrzeźniając Fionę. - „On może tak długo jak prawdziwy ogier!” - dorzuciła z furją. - „Jestem zakochana!”.

Devlin pozostał milczący i w Wirginii obudziły się jak najgorsze przeczucia.

Przyjrzała mu się uważniej i nabrała pewności, że jest szczerze rozbawiony całą tą sytuacją: w jego oczach - niech go piekło pochłonie! - migotały wesołe ogniki.

- Złosisz się na mnie, bo wziąłem do łóżka pokojówkę? Czyżbyś była zazdrosna o Fionę?

- Wcale nie jestem zazdrosna. Wręcz przeciwnie: zadowolona. Co nie zmienia faktu, że znajdujesz się nie w tej sypialni, w której powinienes. - Poczęstowała go fałszywie radosnym uśmiechem.

Przez dłuższą chwilę taksował ją wzrokiem.

- Powiedz coś wreszcie! - wykrzyknęła.

- Porwałem cię ze statku. Staram się traktować cię jak mile widzianego gościa, ale oboje wiemy, że znajdujesz się tutaj wbrew

własnej woli. Powinnaś się cieszyć, że własne żądze zaspokajam z nic nieznaczącą służącą.

Nie ulegało wątpliwości, że Devlin bardzo starannie dobiera słowa. Wirginia zdawała sobie sprawę, że powinna uczynić to samo, ale nie potrafiła.

- Czuję z tego powodu wielką ulgę! Ty natomiast powinienes natychmiast do niej wracać! - wykrzyknęła i z przerażeniem stwierdziła, że do oczu znów napływają jej łzy.

Devlin milczał.

- Czemu patrzysz na mnie tak, jakbym była szalona?

- Nie rozumiem cię - orzekł Devlin. - Trzymam cię w roli zakładniczki, a ty jesteś o mnie zazdrosna. To może oznaczać tylko jedno: nie jestem ci obojętny.

- Nie jestem zazdrosna. - Wirginia odwróciła głowę, ponieważ się bała, że za moment wybuchnie płaczem.

Chwycił ją za ramię i zmusił, żeby znów na niego spojrzała.

- W jaki sposób cię zraniłem?

- Nie zraniłeś! - skłamała, desperacko walcząc ze łzami.

- Znowu płaczesz.

- Nie płaczę. Wcale mnie nie obchodzisz. Nie obchodzi mnie też, że ode mnie wolisz Fionę! - oświadczyła. - I, proszę, przestań mnie dotykać.

Nie dość, że nie puścił jej ramienia, to na dodatek drugą ręką chwycił ją pod brodę.

- Tylko głupiec przedłożyłby nad ciebie jakąś pokojówkę.

Wydawało jej się, że zawodzi ją słuch.

- Co takiego?

- Nie przedkładałam Fiony nad ciebie. Prawdę mówiąc, zupełnie o niej zapomniałem... - Zawahał się. - Przykro mi, że usłyszałaś od niej to, co usłyszałaś. Zupełnie zapomniałem, że jestem pierwszym mężczyzną, z którym się całowałaś.

- Ale ja nie zapomniałam.

- Chciałem z tobą przedyskutować parę ważnych spraw, ale najwyraźniej to nie najlepszy moment.

Dotknęła palcami jego rękawa.

- Myślałam, że mnie lubisz - wyznała takim tonem, jakby była małą dziewczynką proszącą o zrozumienie.

- Mężczyźni bezustannie wykorzystują kobiety i nie ma to dla nich żadnego znaczenia. Fiona aż się paliła, żeby mi dogodzić. Ja do niej nie poszedłem, nie szukałem jej towarzystwa. Nawet nie mogę sobie przypomnieć, jak wygląda poza tym, że jest gruba. Musiałem dać fizyczny upust napięciu. Przykro mi, że wzbudziłem twoją zazdrość, to nie było moją intencją. Szczerze mówiąc, całkiem zapomniałem o tym incydencie.

- Myślałam, że mnie lubisz - powtórzyła z uporem.

- Jesteś piękną kobietą, oboje wiemy, że nie pozostaję obojętny na twoją urodę.

Wirginia nagle poczuła, że serce bije jej mocno. Znajdowała się sam na sam z Devlinem w sypialni oświetlonej jedynie paroma

świecami i blaskiem padającym od kominka, a Devlin właśnie nazwał ją piękną kobietą.

- Czy nadal mnie pożadasz? - wyszeptała, choć tak naprawdę znała odpowiedź.

- Tak - odparł, śmiało patrząc jej w oczy.

- W takim razie czegoś nie rozumiem. Dlaczego mnie zostawiłeś i poszedłeś do Fiony? Miałeś mnie w ramionach...

- Nie poszedłem do niej. Czekala w moim pokoju, a ja zupełnie o tym zapomniałem.

- Czemu mnie zostawiłeś?! - wykrzyknęła, opierając dłonie na jego piersi.

W końcu się uśmiechnął, ale nieznacznie i z pewną autoironią.

- Jestem synem Mary i Geralda O'Neillów - powiedział tak, jakby to miało wszystko tłumaczyć.

Nie odsunął się od niej, nie zrzucił z siebie jej dłoni. Wirginia wyczuwała pod palcami, jak podnosi się i opada jego pierś w nienaturalnie szybkim tempie.

- To niczego nie wyjaśnia.

- Miałem kiedyś siostrę. Gdyby żyła, mogłaby być taka jak ty: buntownicza, odważna i piękna.

Na Wirginię nagle spłynęło oświecenie.

- Staraleś się traktować mnie z szacunkiem ze względu na pamięć siostry i zasady wpajane przez rodziców.

Milczał.

- Zostawiłeś mnie, ponieważ nie chciałeś pozbawić dziewictwa. Fiona już czekała w twoim pokoju, ale ona zupełnie się nie liczy.

- Widzę, że stajesz się światową kobietą. - Zdjął jej dłonie ze swojej piersi. - Nic się nie zmieniło. Nie zamierzam cię uwieść i nie zostanę twoim pierwszym kochankiem. Dobranoc.

Ruszył przez pokój w stronę drzwi, a Wirginii przebiegło przez głowę, że ta lubieżna pokojówka znów przyjdzie do jego łóżka, o ile już w nim nie leży. Nie mogła znieść tej myśli, nie mogła znieść, że znowu ją zostawi.

- Nie chcę twojego szacunku. Drgnął, ale się nie zatrzymał.

- Chcę wiedzieć, jak to jest, Devlin - wyszeptała. Miała wrażenie, że całe jej ciało ogarnia żar; wędruje od ud, poprzez brzuch, aż do piersi.

Wydał z siebie chrapliwy, bliżej nieokreślony dźwięk i chwycił za klamkę.

- Pokaż mi. Pokaż wszystko teraz, natychmiast. Bądź ze mną. Nie z nią, a ze mną.

Odwrócił się, wyraźnie spięty.

- Czemu miałabym z sobą walczyć? - Podbiegła do niego, chwyciła za ramiona i przyłgnęła do umięśnionego ciała.

Dostrzegła wahanie w jego oczach, widziała, że toczy wewnętrzną walkę. Uśmiechnęła się nieznacznie i dotknęła palcami jego policzka.

- Devlin...

Chwycił ją na rękę i zaniósł do łóżka.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty.

- To dobrze.

Niecierpliwie rozsunął kolanem jej uda.

- Miałem ochotę to zrobić zeszłej nocy.

- Zrób to teraz.

Powiódł wzrokiem po jej nagim ciele.

- Jesteś taka piękna, moja maleńka - szepnął chrapliwie . - Nie sprawię ci bólu. - Nakrył ręką jej płeć. - To należy do mnie.

Skinęła głową, zdumiona jego słowami.

A potem zaczął pieścić ją palcami, rozchylając delikatne płatki ciała, przesuwając nimi tam i z powrotem, aż Wirginia zaczęła się wić po jego ręką.

A potem poczuła, że wchodzi w nią językiem.

To była cudowna pieszczota. Wirginia miała wrażenie, iż zaraz zemdleje.

- Szczytuj dla mnie, maleńka - mruknął. Wirginią wstrząsnął dreszcz, załkała głośno i nagle

odniosła wrażenie, że uniosła się w powietrze i szybuje lekko, swobodnie.

Po chwili poczuła, że Devlin dociska do jej płci czubek penisa. Zdjął ją strach, ale było już za późno. Jednym gwałtownym pchnięciem przebił barierę jej dziewictwa. Poczuła ostry ból, który jednak zaczął szybko ustępować, a jego miejsce zajęło przyjemne pulsowanie.

- Oddychaj, maleńka.

Zaczął powoli poruszać się w jej wnętrzu, a uczucie przyjemności narastało. Devlin cudownie ją wypełnił i rozkoszny dreszcz zaczynał powracać. Devlin zwiększył tempo, Wirginia bez problemu podchwyciła rytm. Chciała go poczuć jeszcze silniej. Gorączkowo szarpała go za ramiona.

- Pospiesz się!

I znowu zalała ją fala rozkoszy.

Kiedy nieco ochłonęła, odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Devlina.

Leżał na plecach, z zamkniętymi oczami, całkiem ubrany - miał tylko rozpięte spodnie. Pierś unosiła się i opadała gwałtownie. Wirginia wpatrywała się w jego idealny profil.

- Devlin? - szepnęła, zdjeta niezrozumiałym niepokojem. Przecież właśnie doznała wielkiego szczęścia, nie miała żadnego powodu do zmartwień - nie po tych pięknych chwilach, które razem przeżyli. Devlin z pewnością czuł to samo co ona.

On jednak wciąż leżał milczący, z zamkniętymi oczami.

Wiedziała, że nie śpi. Nagle zapragnęła, aby jej dotknął, pogłaskał po ramieniu lub włosach, uśmiechnął się, dał jej do zrozumienia, że jest również szczęśliwy.

Puchowy materac ugiął się niespodziewanie. Devlin usiadł. Wirginia wpatrywała się w niego z napięciem, czekając, aż coś powie, dotknie jej, zajrzy w oczy, on jednak wstał, nie spoglądając na nią choćby raz. Dojrzała w mroku jego twarz, wyrażającą niezadowolenie, może wręcz złość.

- Devlin? - powiedziała raz jeszcze, zdumiona błagalnym tonem swego głosu.

Bez słowa zapiął spodnie, wetknął za pas koszulę, i dopiero wówczas spojrział beznamiętnie na Wirginię.

- Czas spać.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Jego obojętność porażała.

- Już bardzo późno - dodał z wymuszonym uśmiechem.

Co teraz chodziło mu po głowie? Czemu zachowywał się tak, jakby nic się nie stało? Dlaczego nie był szczęśliwy?

- Devlin... - Wirginia poczuła, jak wzbiera w niej panika.

Stał z ręką na klamce.

- Devlin! - Nie mogła uwierzyć, że zamierza wyjść bez ciepłego słowa, bez pocałunku czy choćby znaczącego spojrzenia.

Przystanął w progu, nie odwracając się w jej stronę.

- Bardzo mi przykro, że sprawiłem ci ból. Zrozumiała, że ma na myśli czysto fizyczny aspekt, i oniemiała ze zdumienia.

Devlin jednak już zamykał drzwi od strony holu.

Podjął nieodwołalną decyzję. Przemierzał dom długimi, zdecydowanymi krokami, starając się zagłuszyć wszelkie myśli. Tylko jedno wiedział na pewno: nigdy więcej.

Nie dotrzymał obietnicy, którą złożył sobie i Wirginii. Zawiódł rodziców: matkę, ojczyma i zmarłego ojca. Sprzeniewierzył się własnemu słowu. W końcu poddał się pożądaniu, nie zdołał nad nim zapanować. Nigdy wcześniej nie ogarnęło go tak niepokohamowane pragnienie i już nigdy więcej nie ogarnie.

Zatrzymał się przed drzwiami sypialni Seana, ale przed sobą wciąż widział szeroko rozwarte, zamglone, fiołkowe oczy, a w uszach dźwięczały krzyki rozkoszy, słodkie błagania o dalsze pieszczoty. Stało się z nim coś niedobrego, nieprzewidywanego. Kobiety służyły jedynie zaspokajaniu męskiego pożądania. Elizabeth, Fiona czy jakakolwiek inna - były wyłącznie użytecznymi zabawkami. Kiedy wszedł w Wirginię, coś zaczęło w nim pękać. Poczł się, jakby umierał w czarnym, niekończącym się tunelu, na końcu którego czekało niosące nowe życie migotliwe światło.

Nie podobały mu się te wizje.

Bardzo mu się nie podobały.

Nigdy więcej!

Stał pod drzwiami pokoju brata, ale miał wrażenie, że słyszy krzyki Wirginii; wciąż czuł jej smak, był przesiąknięty jej zapachem. Może powinien podjąć śmiałą decyzję; wyrwać się z ciemności i pochwycić to majaczące w oddali światełko.

Wizja wydała się niezwykle kusząca, jednak Devlin szybko ją odrzucił i skupił się na bardziej praktycznej kwestii: a co, jeśli się okaże, że Wirginia zaszła w ciążę po dzisiejszej nocy?

Cóż, on wtedy będzie daleko stąd.

Podjął zimną, okrutną decyzję. Myśl o ewentualnej ciąży Wirginii tylko go utwierdziła w słuszności postanowienia.

Załomotał do drzwi.

Sean, ubrany jedynie w krótkie kalesony, najwyraźniej został wyrwany z głębokiego snu. Wystarczyło jednak, że spojrzał na brata, a natychmiast się rozbudził.

Devlin próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

- A więc dobrze - rzucił jedynie.

- Co takiego? - Sean spojrzał na brata zaszokowany, bo od razu zorientował się, czego dopuścił się Devlin.

- Pozwalam ci ubiegać się o jej rękę. Adoruj ją, uwodź, rozkochaj, bylebyś na końcu się z nią ożenił.

Sean osłupiał, ale zanim zdołał coś powiedzieć, Devlin zatrzaskał mu drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wirginia z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Teraz nie była osiemnastoletnią kobietą, ale małą dziewczynką, zagubioną i zranioną. Leżąc w łóżku, desperacko usiłowała zrozumieć, co właściwie się stało. Kochała się z Devlinem. Pozwoliła, by mężczyzna, który ją więził, uprawiał z nią miłość, a doświadczenie to okazało się wspanialsze, niż mogłaby przypuszczać. A po tym wszystkim on ją zostawił, wyszedł niemal bez słowa, jakby to, że się kochali, nie miał dla niego najmniejszego znaczenia.

Próbowała go usprawiedliwić. Godzina była rzeczywiście bardzo późna. Devlin miał ciężki dzień. Od jutra zapewne zacznie witać ją uśmiechem, całować po kryjomu, tulić i hołubić, aż w końcu wyzna, że jest zakochany.

Wirginia jęknęła i usiadła gwałtownie na łóżku. Kogo ona próbowała oszukać? Tak naprawdę wcale nie знаła człowieka, któremu oddała swoje ciało w całkowite posiadanie. A to, co o nim wiedziała, nie nastrajało optymistycznie. Był szaleńczo odważny, ale także zimny i bezwzględny. Zostawił ją bez jednego ciepłego słowa czy gestu. A poprzednią noc spędził z inną kobietą.

Co też ona najlepszego zrobiła?!

Czemu zwabiła go do łóżka? Mimo braku doświadczenia Wirginia doskonale zdawała sobie sprawę, że to ona go uwiodła. Nie pojmowała, jak mogła się tego dopuścić. Devlin to mężczyzna o kamiennym sercu. Ale ich złączenie było cudowne, jakby byli dla

siebie stworzeni. Mimo to ogarnęło ją zdenerwowanie i strach.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna i zagubiona.

Gdyby tylko powiedział jej coś serdecznego przed wyjściem.

Gdyby ją pocałował lub przytulił... Gdyby... gdyby...

Po policzku Wirginii potoczyła się łza, ale otarła ją szybkim, zdecydowanym gestem. Ostatecznie jest silną, niezależną kobietą, nie będzie więc rozpaczać dlatego, że zrobiła coś, czego gorąco pragnęła. Poza tym być może jutro Devlin powita ją uśmiechem i wszystko zakończy się szczęśliwie.

Rzecz w tym, że bardzo bała się tego spotkania. Bała się, że Devlin potraktuje ją szorstko, czy, co gorsza, obojętnie.

Teraz tylko jedno stało się dla niej oczywiste -powinna jak najszybciej wracać do domu. Gdy tylko znajdzie się w „Słodkim Dereniu”, od razu odzyska równowagę.

Najgorsze było to, że nie wiedziała, czy ciągle jeszcze ma dom. A do tego, gdy opuści Irlandię, zapewne nigdy więcej nie ujrzy Devlina.

Zacisnęła mocno powieki i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że ta myśl jest dla niej nie do zniesienia.

Nie była zdziwiona, gdy nazajutrz się okazało, że pokoju nie zamknięto na klucz i że nikt już nie stoi na straży pod drzwiami. Poprzedniego dnia Devlin kazał tkwić tu Connorowi, ale najwyraźniej jej kara dobiegła końca. Zresztą, nie mogło być inaczej po minionej nocy.

Właśnie dochodziło południe. Wirginia aż do świtu nie zdołała zmrużyć oka, w rezultacie czego zasnęła. Ubrała się starannie w szarą suknię wysoko zachodzącą na szyję, po czym zdenerwowana i spięta zeszła na dół.

Czy zyskała status kochanki Devlina O'Neilla? Co jej powie, gdy zobaczą się po cudownych przeżyciach ostatniej nocy?

Napominała się w duchu, że nie może unikać jego wzroku, musi uśmiechnąć się pogodnie i powitać go najnormalniej w świecie, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. Najważniejsze to się zorientować, co Devlin czuje i myśli, nie zdradzając przy tym własnych emocji. Jeżeli potraktuje ją nieprzyjemnie, nie może mu pokazać, jak bardzo jest zawiedziona.

W domu panowała idealna cisza, jakby nigdzie wokół nie było żywej duszy. Wirginia zerknęła do jadalni, ale po śniadaniu nie zostało ani śladu. Chociaż skrecało ją z głodu, postanowiła na to nie zważać.

Gabinet Devlina znajdował się po przeciwnej stronie wielkiego holu. Wirginia ruszyła niemal biegiem, szybko jednak przywołała się do porządku, zwolniła kroku i uspokoiła oddech. Ku jej zdziwieniu, drzwi gabinetu stały otworem, a w środku nikogo nie było.

Zawiedziona wbiła wzrok w wielkie biurko, przy którym widywała pracującego Devlina. Potem zajrzała do sąsiadującej z gabinetem bawialni, ale tam również nikogo nie zastała. Podbiegła do tarasowych drzwi wychodzących na ceglany taras, z którego rozciągał

się widok na rozległe trawniki. Na horyzoncie ujrzała nadjeżdżającego jeźdźca.

Szybko wybiegła na dwór, przepełniona pełnym nadziei oczekiwaniem. Po niebie pędziły chmury, co zwiastowało doskonałą pogodę do żeglugi. Niemal słyszała Devlina wygłaszającego podobne słowa. Uśmiechnęła się, bo oczami wyobraźni zobaczyła go stojącego na mostku „Defiance”.

Ruszyła ku stajni, nerwowo zaciskając dłonie. Kątem oka pochwyciła srebrzysty cień i skoczyła w stronę boksów. Ku jej zdumieniu, w jednym z nich spostrzegła ogiera Devlina.

Jeżeli nie udał się na przejażdżkę, to gdzie się podziewał? Może wziął innego wierzchowca, pomyślała. Nagle ogarnęła ją desperacja, chociaż nie rozumiała dlaczego. Wybiegła przed stajnię i zamarła. Na dziedzińcu z konia zeskakiwał Sean, nie Devlin.

Odetchnęła parę razy głęboko, zmusiła się do uśmiechu i dopiero wtedy podeszła do Seana.

- Dzień dobry - zagaiła pogodnie.

- Dzień dobry. - Nawet nie spojrzawszy w jej stronę, rzucił wodze chłopcu stajennemu.

- Pospaceruj z nim trochę, Brian, jest bardzo spieniony. A gdy dojdzie do siebie, wytrzyj go starannie.

- Tak jest - odparł młodzik i oddalił się wraz z koniem.

Wirginia zaniepokoiła się nie na żarty. Dogoniła Seana. Idąc obok, wpatrywała się w jego piękny profil, jakże podobny do profilu

brata. Sean zdawał się osmalony słońcem albo miał wypieki. Tak czy owak, nie ulegało wątpliwości, że nie chciał na nią patrzeć.

W pierwszej chwili przyszło Wirginii do głowy, że dowiedział się o wydarzeniach minionej nocy. Od razu jednak wytłumaczyła sobie, że to niemożliwe. Ich sypialnie znajdowały się w dwóch różnych skrzydłach dworu. Czemu jednak zachowywał się tak dziwnie? Do tej pory był rozmowny i pogodny, natomiast teraz - ponury i przygnębiony.

- Czy wszystko w porządku? - spytała niepewnie.

- Tak.

W końcu na nią spojrział. Zerknął znacząco na jej obrzękłe usta, po czym szybko odwrócił wzrok.

Jeżeli do tej pory nic nie wiedział, teraz odgadł wszystko.

- Widziałeś Devlina? - Z przerażeniem stwierdziła, że jej głos nabrał histerycznych tonów.

- Owszem - odparł gniewnie Sean i przyspieszył kroku, tak że musiała prawie za nim biec.

- Odniosłam wrażenie, że nie ma go w domu i...

- Nie ma go w Askeaton. Stała jak wryta.

- Co takiego?!

Sean się nie zatrzymał; nawet nie odwrócił głowy.

- Wyjechał.

- Wyjechał?

Sean gwałtownie zwrócił się w jej stronę.

- Właśnie. Opuścił Askeaton - rzucił z pociemniałą twarzą.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- O świcie udał się do Londynu.

Wirginia miała wrażenie, że świat wokół zaczyna spowijać gęsty mrok.

Kiedy otworzyła oczy, znajdowała się w ramionach Seana, który patrzył na nią zatroskanym wzrokiem. Słabo, bez przekonania, spróbowała go od siebie odepchnąć. On jednak na to nie zważał i nadal mocno ją trzymał.

- Zemdląłeś - wyjaśnił krótko. Poczula napływające do oczu łzy.

- Wyjechał do Londynu? Sean skinął głową.

Wyjechał. Nawet się nie pożegnał. Tak bardzo była mu obojętna, że nawet nie raczył jej powiedzieć: „Do widzenia”.

- Czy wróci? - wyszeptała.

- Nie wiem. Obiecał, że napisze.

Drżała na całym ciele. Po raz kolejny w ciągu minionej doby zmieniła się w małą dziewczynkę - zrozpaczoną i zagubioną, porzuconą i bardzo samotną, a do tego przerażoną.

- Bardzo mi przykro - odezwał się Sean. - Mógłbym go udusić gołymi rękami. Jest moim bratem, a jednocześnie potworem, którego nie potrafię zrozumieć.

Wirginia bardzo starała się nie rozplakać. Nic go nie obchodziło, że się kochali. Była mu obojętna tak bardzo, że wyjechał bez słowa.

- Wiem, co ci zrobił. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi przykro.

Spojrzała w oczy Seana, jakże podobne do oczu brata. Tyle że w nich widać było uczucia zupełnie obce Devlinowi: współczucie, żal, a nawet poczucie winy.

- Ty wiesz? - spytała łamiącym się głosem. Skinął głową.

- Widziałem go ubiegłej nocy. To było oczywiste. Nigdy nikomu nie zdradzę twojego sekretu.

- Nic mnie to nie obchodzi. W gruncie rzeczy może i lepiej, że tak się stało. Jeżeli Eastleigh chciałby mnie wydać za mąż za kogoś obcego, wystarczy, że powiem prawdę o tym, co się wydarzyło, i nikt mnie nie zechce - odparła Wirginia, ale tak naprawdę ta cała sytuacja głęboko nią wstrząsnęła. Jeszcze nigdy tak nie cierpiała i marzyła o tym, by zaszyć się samotnie w jakimś zacisznym miejscu.

- Nie bądź okrutna sama dla siebie. To nie była twoja wina. Młoda, niedoświadczona dziewczyna jest łatwym łupem dla mężczyzny pokroju Devlina. Jakże mogłabyś oprzeć się jego urokowi? - Uśmiechnął się z goryczą. - W takich momentach szczerze go nienawidzę. Dobrze, że wyjechał. Pozostaje żywić nadzieję, że więcej nie wróci.

- Nie wolno ci tak myśleć.

- W tej chwili tak właśnie czuję. Devlin jest moim bratem. Wiem, że bez wahania oddałby za mnie życie, i ja także go kocham. Jednak tego nigdy mu nie wybaczę. - Oczy Seana były ciemne niczym morze przed sztormem.

Wirginię chwyciły mdłości. Devlin zabrał jej dziewictwo, po czym wyjechał. Nikt i nic go nie obchodziło. Rzeczywiście jest potworem, a nie człowiekiem.

- Muszę usiąść - wykrztusiła. - Czuję dziwną słabość w kolanach i mam mroczki przed oczami.

- Zdaje się, że za chwilę znów zemdlejesz - powiedział Sean i chwycił ją w ramiona.

Kiedy niósł ją do domu, nie próbowała się opierać. Teraz było za późno na żale, ale jedno nie ulegało wątpliwości: miała złamane serce, bo zakochała się w zdeprawowanym, pozbawionym uczuć człowieku.

Przestała liczyć dni, które stały się szare i deszczowe. Sean zostawił jej pełną swobodę, więc gdy tylko nie lało, przedpołudnia spędzała na konnych przejażdżkach, a popołudniami snuła się bez celu po domu lub korzystała z bogatego księgozbioru. Sean zajmował się własnymi sprawami. Kiedyś tak przyjazny, życzliwy i szarmancki, teraz najwyraźniej jej unikał. Gdy przypadkiem natykali się na siebie, traktował ją uprzejmie, ale bardzo oficjalnie, jakby byli obcymi sobie ludźmi. W rezultacie Wirginia poprosiła, żeby kolacje podawano jej do pokoju.

Raz podjęła próbę ucieczki.

Ośmieliła się wśliznąć do pokoju Seana i ukraść garść drobnych monet. Potem, w chłopcim stroju, osiodłała gniadą klacz i wyruszyła w kierunku Wexford, położonego około stu mil na wschód od Askeaton. Był kolejny szary, deszczowy dzień. Wirginia sądziła, że bez trudu trafi do celu, a tymczasem już na pierwszym rozwidleniu

znalazła się w kłopotcie - drogi prowadziły albo na północ, albo na południe, a tymczasem Wexford znajdowało się dokładnie na wschodzie. Zdecydowała, że powinna skręcić w prawo, ku północy. Wiele godzin później zorientowała się, że zablądziła. Na dodatek była przemoczona i przemarznięta do szpiku kości, a drobna klacz potykała się ze zmęczenia. Późnym popołudniem natknęła się na przydrożną gospodę i weszła, by zapytać o drogę. Naturalnie, okazało się, że zamiast się zbliżyć, jeszcze bardziej oddaliła się od celu. Nie miała innego wyjścia, musiała wrócić do Askeaton, chociaż przerażała ją perspektywa wielu kolejnych godzin w siodle i w deszczu. Na szczęście zjawił się Sean na kruczym wielkim koniu - zdenerwowany i zniecierpliwiony. Nie krzychał jednak na nią, nie zrobił żadnej wymówki. Wynajął dwa pokoje, nakazał, by przygotowano Wirginii gorącą kąpiel, czyste, suche ubranie i suty posiłek. Następnego dnia wyruszyli do Askeaton i całą drogę pokonali w ponurym milczeniu.

Dopiero gdy ich oczom ukazał się dwór, Sean wstrzymał konia i spojrzał Wirginii prosto w oczy. - Daj mi słowo, że nie podejmiesz następnej próby ucieczki! - rzucił zapalczywie. - Jeżeli tego nie zrobisz, będę zmuszony trzymać cię pod kluczem. - Było to pierwsze pełne zdanie, które do niej wypowiedział od dnia wyjazdu Devlina.

- Nie rozumiem cię. Twierdzisz, że nie apróbujesz posunąć brata, a jednocześnie nie jesteś skłonny przymknąć oka na moją ucieczkę.

- Nie apróbuję to mało powiedziane - odparł ponuro. -

Przysiągłem Devlinowi, że będę strzegł twojego bezpieczeństwa w Askeaton, i zamierzam dotrzymać słowa.

- Nie masz dość odwagi, by mu się przeciwstawić. Rysy mu stężały, a w oczach pojawiły się groźne błyski.

- Devlin zażądał, żebyśmy się pobrali.

To niemożliwe. Z pewnością się przesłyszała! Podwaliny jej świata, już nadwerężone i bardzo kruche, zaczęły gwałtownie się rozpadać.

- Co takiego?!

- Uznał, że gdy już dostanie okup, najlepiej będzie, jeżeli weźmiemy ślub - powtórzył Sean.

Wirginia spięła klacz do galopu i popędziła w stronę zabudowań dworskich.

Zamierzał scedować ją na Seana! Wykorzystał ją, a teraz rzucał bratu jak ochłap!

Przed domem zeskoczyła z konia i rzuciła wodze stajennemu. Sean zatrzymał się zaraz za nią.

- Wiem - powiedział. - To niepojęte.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - rzuciła Ostrzegawczo, wpadając do domu. Czuła się tak, jakby zadano jej bolesny cios pięścią. Nie mogła oddychać, a przed oczami widziała czerwonawą mgłę. Ból i gniew mieszały się ze sobą, zlewały w jedno niszczące uczucie. Z całego serca znienawidziła Devlina.

Niespodziewanie wróciły do niej obrazy pamiętnej nocy. Jakże cierpiała, gdy dotarło do niej, że nie są jedynie wytworem jej wyobraźni, ale wspomnieniami prawdziwych wydarzeń.

Oby tylko stryj jak najszybciej zapłacił za nią okup.

Tego wieczoru Sean zapukał do drzwi jej pokoju. Stojąc w holu, zapytał uprzejmie, czy zechciałaby zejść do jadalni na kolację. Jak zwykle od dnia wyjazdu Devlina miał bardzo posępną minę i także wydawał się rozdarty.

- Nie rób tego - powiedziała cicho Wirginia.

- Nie wiem, co masz na myśli. Od owej feralnej nocy bardzo źle cię traktowałem. Chciałbym, żebyśmy zaczęli wszystko od nowa. Nie jestem twoim wrogiem, a wręcz przeciwnie, przyjacielem.

Stojąc w swojej sypialni, Wirginia objęła się mocno ramionami, po czym spojrzała Seanowi prosto w oczy.

- Dlaczego więc odwróciłeś się ode mnie, gdy byłam w rozpaczy, kiedy najbardziej potrzebowałam bratniej duszy? - wyszeptała.

- Chyba dlatego, że też cierpiałem - odparł po chwili wahania.

Potrzebowała kilku sekund, by w pełni dotarły do niej słowa Seana. Zdaje się, że chciał jej powiedzieć, iż żywił do niej głębsze uczucia, a postępek Devlina zniweczył jego nadzieje.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Chyba nadszedł czas, żebyśmy zawarli pokój, Wirginio. Poza tym czuję się diabelnie samotny w tej wielkiej jadalni. Brakuje mi twoich zabawnych opowieści.

Wzruszyły ją słowa Seana.

- Ja też cię przepraszam - powiedziała, delikatnie pociągając go za rękaw. - To wszystko nie twoja wina i nie ciebie znienawidziłam.

- Wiem.

Minął miesiąc. Potem kolejne. Codziennie jadała kolację wspólnie z Seanem i napięcie między nimi zniknęło. Było niemal tak, jakby jego brat nigdy nie wyrządził jej krzywdy. Wirginia niecierpliwie wyczekiwała wieczornego posiłku - wykwintnego jedzenia, świetnego wina i zajmującej rozmowy. Sean całymi dniami ciężko pracował - zarządzanie posiadłością wymagało wiele wysiłku - a przy kolacji dzielił się swoimi problemami i sukcesami, zarówno tymi ważnymi, jak i najdrobniejszymi. Wirginia szybko pojęła, na czym polegają Prawa Zbożowe i dlaczego uratowały Irlandię. Wkrótce wiedziała tyle samo o uprawie tutejszych plonów, co o uprawie tytoniu.

Często ich rozmowa schodziła na tematy polityczne. Liverpool, człowiek, którego Sean darzył dużą estymą, sformował nowy gabinet i stanął na jego czele jako premier. W połowie sierpnia wyczytali w dublińskim „Timesie”, że w czerwcu Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Wielkiej Brytanii po tym, jak Anglicy zajęli Mackinac - niewielką osadę na północnym zachodzie - i przechwycili amerykański okręt wojenny o nazwie „Nautilus”. Wirginia nie posiadała się z oburzenia.

- Jakim prawem rządowi twojego kraju się zdaje, że może nas znowu zredukować do statusu kolonii?! - wykrzyknęła.

- Nikt nie zamierza redukować Stanów do statusu kolonii. W ogóle nie chcieliśmy tej wojny, jesteście przecież militarnie zaangażowani w Europie. To waszyngtońskie Jastrzębie" są za to odpowiedzialne.

Wirginia miała pewne pojęcie o amerykańskiej polityce, jednak nie słyszała o jastrzębiach.

- Mój ojciec, który był bardzo inteligentnym człowiekiem, często powtarzał, że Wielka Brytania nie szanuje naszych praw, że znowu chce odzyskać władzę nad Stanami i nigdy nie zezwoli nam na wolny handel. Ile statków, podobnych do „Americany”, zostało przechwyconych przez waszą marynarkę? Ilu Amerykanów uprowadzono tak jak mnie? Czy macie pojęcie, jaką cenę płaci nasza gospodarka za waszą restrykcyjną politykę handlową?

Gdy tak zapalczywie przytaczała argumenty, natychmiast stawał jej przed oczami ojciec, który mówił dokładnie to samo podczas kolacji w „Słodkim Dereniu”.

- Niestety nie polega na tym, że chcecie ubierać i żywić armię Napoleona - powiedział spokojnie Sean - a do tego w żadnym razie nie możemy dopuścić.

Ich debata pozostała ostatecznie nierozstrzygnięta - ogłosili zawieszenie broni - ale prawdziwa wojna toczyła się nadal. Indianie zmasakrowali załogę amerykańskiego Fort Dearborn, a Anglicy wkroczyli do Detroit. Działania za oceanem, tak nieistotne dla Brytyjczyków, a tak ważne dla Stanów Zjednoczonych, nie rozwijały się pomyślnie dla Amerykanów.

Devlin nie przysłał listu ani choćby krótkiej notki. Jeżeli podjął jakieś negocjacje w sprawie okupu, nikogo o nich nie poinformował.

Pewnego popołudnia Sean zaproponował, żeby Wirginia pojechała z nim konno na inspekcję dwóch dzierżawionych gospodarstw. Zgodziła się bez zastanowienia. Okazało się, że ziemie leżą w pobliżu Limerick, gdzie zjedli kolację. Nazajutrz udali się razem na doglądanie przebiegu pierwszych zbiorów i od tamtej pory Wirginia codziennie towarzyszyła Seanowi w jego obowiązkach. Ich przyjaźń rozkwitła. Prawie nie myślała o Devlinie. Czas rzeczywiście leczył rany. Jakimś cudem udało jej się zamknąć wspomnienia związane z bratem Seana w mrocznym zakątku umysłu, chociaż w głębi serca wiedziała, że tak naprawdę nigdy o nim nie zapomni.

Mijały tygodnie i nadeszła połowa września, wyjątkowo upalnego i dusznego jak na koniec lata. Pewnego wieczoru, idąc na kolację, Wirginia usłyszała nieznane sobie głosy, dochodzące z wielkiego holu. Zwolniła kroku. Przybyli - mężczyzna i kobieta - prowadzili z Seanem lekką w tonie pogawędkę. Sądząc po jego głosie, był uszczęśliwiony wizytą. Wirginię ciekawiło, kim są goście, zaważała się jednak i uważnie zerknęła w dół, zanim zeszła po schodach.

Ujrzała wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę o śniadej cerze, którego otaczała aura władzy. Szybko przeniosła wzrok na towarzyszącą mu wysoką, złotowłosą, pięknie zbudowaną i elegancko ubraną kobietę. Natychmiast się zorientowała, kto przybył z gościnną. Devlin tak bardzo przypominał tę kobietę rysami twarzy i kolorytem,

że mogła być jedynie jego matką. Postawny wysoki mężczyzna to zapewne Edward de Warenne, hrabia Adare.

Miała ochotę umknąć, zanim ktokolwiek ją zauważy, a następnie wymówić się od kolacji poważnym bólem głowy, lecz było za późno.

- Wirginia! - Sean uśmiechnął się szeroko. - Chodź, proszę, poznaj moich rodziców. Oto hrabina Mary de Warenne oraz hrabia Adare, mój ojczym.

Goście zwrócili na Wirginię baczące spojrzenia. Odniosła wręcz wrażenie, że jest poddawana dokładnej inspekcji. Zmieszana i pełna obaw, powoli zbliżyła się do Adare'ów. Mary uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Witaj, moje dziecko. Właśnie przyjechaliśmy z Londynu, a gdy tylko dotarła do nas szczęśliwa wiadomość, natychmiast tu pospieszyliśmy.

Całkiem zdezorientowana, Wirginia dygnęła nisko.

- Milady.

- Devlin, naturalnie, nie pisnął o niczym słowem - rzucił tajemniczo Adare, nie spuszczając wzroku z Wirginii.

Wciąż nieświadoma istoty zdarzeń, spojrzała pytająco na Seana, ale on też najwyraźniej nie wiedział, o co chodzi.

- A co u Devlina? - spytał oschle.

- Wpadł w niezłe tarapaty, naturalnie na własne życzenie - stwierdził ponuro hrabia. - Ponownie go oskarżono o zlekceważenie rozkazu. Krążyły plotki, że zaatakował amerykański statek.

- Jak to się skończyło? - spytał Sean.

- Farnham, podżegany sprytnie przez Toma Hughesa, doprowadził do formalnego przesłuchania w admiralicji. Devlin jednak oświadczył, że pospieszył na pomoc amerykańskiemu statkowi handlowemu, który znalazł się w poważnych opałach, a następnie stanowczo zdementował pogłoski o jakimkolwiek ataku. Kilku członków jego załogi potwierdziło te zeznania. Ów statek handlowy o nazwie „Americana” najprawdopodobniej zatonął podczas potężnego sztormu i nikt z przebywających na jego pokładzie nie ocalał. Farnham domagał się sądu wojennego, jednak został przegłosowany przez St. Johna i Ketinga, tak więc Devlin ponownie ocalał skórę.

- Chryste! - Sean zbladł jak chusta.

- Nie uszło mu to całkiem na sucho - podjął Adare.

- Znalazł się pod ścisłym nadzorem admiralicji i jeśli jeszcze raz wykaże się niesubordynacją, stanie przed sądem. Obecnie został wysłany z konwojem do Hiszpanii.

Zatem istniało wytłumaczenie przeciągającej się nieobecności Devlina, pomyślała Wirginia. Nie zamierzała go rozgrzeszać, lecz poczuła pewną ulgę na myśl o tym, że nawet gdyby chciał przyjechać do Askeaton, to nie mógł.

- Czy powróci z morza w najbliższym czasie? - wyrwało jej się pytanie.

Mary uśmiechnęła się promiennie.

- Jestem o tym przekonana. Chyba nie dopuści, żeby brat wyręczał go w obowiązkach względem ciebie, moja droga, podczas gdy on będzie płynął na koniec świata?

Wirginia poczuła się bardzo nieswojo.

- A przy okazji, gratulacje. - Mary chwyciła ją mocno za rękę. -
Tak bardzo cieszę się waszym szczęściem.

- Słucham... słucham?

Na twarzy Adare'a także pojawił się uśmiech.

- Oboje się cieszymy i odczuwamy wielką ulgę, jeśli wolno mi
to wyznać. Toż to ostatnia wiadomość, jakiej byśmy się spodziewali.

Wirginię ogarnęły złe przeczucia. Spojrzała szybko na Seana,
szukając u niego pomocy.

- Jak się poznaliście? - spytała Mary. Wirginia czuła zamęt w
głowie. Czyżby hrabina

Warenne miała na myśli ją i Devlina?

Adare tymczasem chwycił Seana za ramię.

- Devlin, jak to on nie raczył poinformować nas o zbliżającej się
uroczystości, dlatego mamy nadzieję dowiedzieć się wszystkiego do
ciebie. Na kiedy wyznaczono datę ślubu? Czy zaplanowano oprawę?

Wiesz, że mama bardzo chciałaby uczestniczyć w
przygotowaniach.

- Ślub... - powtórzył czujnie Sean i zaczerwienił się gwałtownie.

- Owszem, ślub Devlina. Ledwo zjawiliśmy się w kraju,
natychmiast doszły nas wieści o jego zaręczynach. Gdy zesliśmy ze
statku w Limerick, burmistrz pospieszył z gratulacjami, a po nim
każdy dzierżawca i kupiec. - Adare uważnie przyjrzał się Seanowi. - O
co chodzi? Jesteś dziwnie nieswój.

Sean i Wirginia wymienili spojrzenia pełne rezygnacji, a Mary przestała się uśmiechać.

- Czy stało się coś złego? - zwróciła się do syna. W końcu odezwała się Wirginia.

- Bardzo mi przykro - z trudem wypowiadała każde słowo - ale nie jestem narzeczoną Devlina. Musiało zajść nieporozumienie.

- Nic z tego nie pojmuję - powiedziała Mary, gwałtownie błędząc.

- Cóż, to przynajmniej wyjaśnia, czemu Devlin nie wspomniał o niczym słowem, gdy spotkaliśmy się w Londynie - stwierdził Adare z ponurą, pełną niezadowolenia miną. - Przyznaję, że aż boję się pytać, o co tutaj chodzi. Czy jest pani gościem Devlina? - Spojrzał na Wirginię uważnie. - Proszę wybaczyć, ale zdaje się, że nie zostaliśmy sobie należycie przedstawieni.

Wirginia nie chciała sprawiać przykrości Mary de WARENNE, jednak teraz nie miała wyjścia.

- Nie jestem gościem - przyznała.

- Nic nie rozumiem - szepnęła Mary.

- A więc nie jest pani gościem - z wolna powiedział Adare, po czym zwrócił się do Seana. - Czy to twoja żona?

Sean zaczerwienił się gwałtownie.

- Nie. Ojczy, chyba ty i mama powinniście usiąść.

- Mam jak najgorsze przeczucia. Wyduś to wreszcie z siebie! - zarządził ostro Adare.

- Wirginia jest bratanicą hrabiego Eastleigh - odparł Sean.

Po tych słowach zapadło milczenie.

Na tarasie hrabia Adare przyciskał do piersi płaczącą żonę. Wirginia, stojąca przy otwartych z racji pięknej pogody drzwiach, poczuła na ramieniu dłoń Seana.

- Teraz już wiemy, dlaczego Devlin do tej pory nie załatwił sprawy okupu. Był zajęty wywijaniem się od sądu wojennego.

- Ma jeszcze dodatkowy problem. Eastleigh zapewne sądzi, że utonąłam - odparła Wirginia. - Że wraz z wrakiem „Americany” spoczywam na dnie morza.

- To możliwe - zgodził się Sean.

- Dlaczego twoja mama jest tak bardzo przygnębiona? Przecież nie ma pojęcia o okupie.

- Po części - zaczął z wahaniem Sean - wynika to z jej troski o Devlina. Chciałaby, żeby wreszcie odnalazł w życiu szczęście.

- Devlin nie szuka szczęścia - zauważyła chłodno Wirginia.

- Mnie też tak się zdaje - zgodził się Sean - ale każda matka pragnie, żeby jej dzieci były szczęśliwe.

- Twoich rodziców zaszokowała wiadomość, że jestem bratanicą Eastleigha.

Sean wzruszył ramionami.

- Wiele razy cię pytałam, dlaczego Devlin mnie porwał - ciągnęła Wirginia. - Przecież nie dla pieniędzy, których nie potrzebuje. Ty jednak uparcie odmawiałeś odpowiedzi. Teraz chciałabym się dowiedzieć, czemu lady de Warenne jest tak przybita?

Dlaczego na sam dźwięk nazwiska Eastleigh nieomal zemdląca? Czy w tym wszystkim chodzi właśnie o mojego stryja?

- Tak.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Eastleigh nie zawsze nosił tytuł. Harold Hughes był drugim synem zmarłego hrabiego i swego czasu służył w wojsku w randze kapitana, jak wielu młodych arystokratów, którym nie przysługuje prawo dziedziczenia - wyjaśnił sucho Sean.

- Nadal nie pojmuję, co to ma wspólnego ze mną czy też z twoim bratem.

Sean mimowolnie wykrzywił usta.

- Hughes służył w Irlandii, to on zamordował naszego ojca.

Wirginia zachwiała się i pewnie by upadła, gdyby Sean jej nie podtrzymał.

- A więc to wszystko ma związek ze śmiercią waszego ojca?

- Z obsesją mojego brata na punkcie jego śmierci. Wreszcie dotarł do niej sens wydarzeń.

- Devlinowi wcale nie chodzi o okup, ale o zemstę! Sean przytaknął, a Wirginia uświadomiła sobie w tym momencie absurdalność całej sytuacji i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Cóż za ironia losu! I jakim głupcem jest Devlin!

- Wirginio, jesteś na skraju hysterii. - Sean ostrożnie chwycił ją pod ramię i skierował w stronę sofy.

- W żadnym razie! - wykrzyknęła, ale posłusznie dała się prowadzić. - Tym razem twój brat grubo się przeliczył, ponieważ mój los w najmniejszym stopniu nie obchodzi Eastleigha.

Sean pchnął ją delikatnie na sofę, a sam wycofał się w głąb pokoju.

Wirginia nadal nie mogła opanować spazmatycznego śmiechu. Sean wrócił i z zatroskaną miną podał jej kieliszek brandy, ale Wirginia go nie przyjęła.

- Dostrzegasz ironię? - podjęła zapalczywie. -W tym wypadku nie może być mowy o zemście. Porwanie mnie nie będzie dla Eastleigha żadnym dotkliwym ciosem.

Sean usiadł obok i chwycił jej obie drobne dłonie w swoją silną rękę.

Wirginii natychmiast stanęły przed oczami dłonie Devlina - obaj bracia byli tak bardzo fizycznie podobni - i zamilkła, po czym spojrzała Seanowi w twarz.

- Mylisz się. Devlin od lat metodycznie doprowadza Eastleigha do bankructwa. Obecnie hrabiemu pozostała tylko jedna jedyna posiadłość, zresztą przynosząca bardzo marny dochód. Tak naprawdę nie stać go na okup i żeby go zapłacić, będzie musiał wysprzedać się ze wszystkiego. To dopełni jego ruiny, a mój brat osiągnie wreszcie swój cel.

Wirginia wpatrywała się w Seana z niedowierzaniem i rozpaczą.

- Jesteś pewien, że Eastleigh zapłaci?

- To dla niego sprawa honoru.

- Jaki człowiek niszczy życie niewinnej kobiety, by pomścić śmierć ojca?

- Mój brat - odparł Sean. Ponownie chwycił jej rękę i ścisnął mocno w swojej dłoni. - Jeszcze nie zniszczył ci życia. Nie nosisz przecież jego dziecka-mówił teraz szeptem. - Obiecuję ci, że już nigdy cię nie tknie. Wkrótce ten koszmar dobiegnie końca i przyjdzie moment, że stanie się jedynie mglistym wspomnieniem.

Wirginia nie widziała teraz przed sobą twarzy Seana, ale Devlina. Nagle zrozumiała, czemu jego oczy były zimne, pozbawione cienia serdeczności czy współczucia. Devlin żył ogarnięty żądzą zemsty i imał się każdego środka prowadzącego do celu, choćby najnikczemniejszego.

- A co z jego karierą w marynarce? Przecież za to, że mnie porwał, czeka go sąd wojenny.

- Wirginio - podjął Sean z wahaniem - mój brat już wiele razy zrobił z Eastleigha idiotę w oczach innych ludzi. Duma nie pozwoli hrabiemu udać się do władz po pomoc.

Wirginia pogрузzyła się w milczeniu. Uderzyła ją jedna myśl: gdyby tylko chciała, mogłaby swoimi zeznaniami doprowadzić Devlina O'Neilla do upadku. Miała go w ręku. Sean posłał jej znaczące spojrzenie, najwyraźniej był tego świadomy.

W tej samej chwili do biblioteki powrócili hrabina i hrabia de Warenne. Mary już nie płakała, oboje natomiast mieli niezwykle poważne miny. Wirginia wysunęła rękę z dłoni Seana i powoli podniosła się z sofy.

Mary zdołała przywołać na usta blady uśmiech.

- Drogie dziecko, czy zechciałabyś usiąść ze mną na tarasie?

Mamy dzisiaj taki piękny wieczór.

Wirginia dałaby wiele, żeby ktoś lub coś wybawiło ją od rozmowy z Mary, bo wiedziała, że będzie ona dotyczyła intymnych uczuć i przeżyć. Popatrzyła błagalnie na Seana z nadzieją, że pospieszy jej z pomocą, ale on jedynie wzruszył ramionami. Nie pozostało więc nic innego, jak ruszyć za hrabiną de Warenne na taras.

- Moje dziecko - Mary przyjaźnie popatrzyła na Wirginię - ogromnie przepraszam cię za ekscesy mojego syna.

Wirginia musiała spojrzeć jej w oczy, a bała się, że pod wpływem ciepłych uczuć tej kobiety całkiem się rozklei.

- Pani nie ponosi za nie odpowiedzialności, milady.

Mary milczała przez dłuższą chwilę, walcząc z emocjami.

- Całym sercem kocham moich synów - odezwała się w końcu. - Chciałabym, żeby wiedli spokojne, szczęśliwe życie. Tutaj, w Irlandii, nie jest to proste. Myślę, że Seanowi udało się ta sztuka. Jednak z Devlinem sprawa przedstawia się zgoła inaczej. Ruszył na morze, gdy był chłopcem, i od tamtej pory rzadko go widuję. Wybrał życie pozbawione szczęścia i radości, naznaczone przemocą, destrukcją i śmiercią. Zamknął się w swoim bólu, odciął od świata i ludzi, jakby był samotną wyspą lub istotą niepragnącą ciepła, miłości czy szczęścia. - Mary zacisnęła powieki, a po jej policzkach potoczyły się łzy. - Nieustannie się za niego modlę.

Wirginia z trudem powstrzymywała się od płaczu.

- Może naprawdę nie odczuwa potrzeby miłości czy radości.

- Niewykluczone, że jest emocjonalnie chłodny -Mary spojrzała Wirginii w oczy - ale przede wszystkim jest człowiekiem, więc z pewnością potrzebuje miłości i poczucia szczęścia. Jak każdy z nas.

Wirginia podejrzewała, że Mary de WARENNE może głęboko mylić się w tej kwestii.

- Budzę się po nocach i płaczę, zdjęta troską o Devlina. Mój mąż powtarza mi nieustannie, że on jest dorosły i że dostarczył nam rozlicznych powodów do dumy. Sam doszedł do wszystkiego, swego czasu byliśmy bowiem bardzo biedni. Teraz jest właścicielem tego pięknego dworu i ziem, które od wieków należały do rodu O'Neillów i FitzGeraldów. Ma wiele statków, praktycznie dysponuje własną małą flotą, nie wspominając już o wspaniałej rezydencji w Londynie. Ostatnio otrzymał także lordowski tytuł. - Mary uśmiechnęła się przez łzy. - Teraz jest już sir Dev-linem.

- To rzeczywiście bardzo potężny i wpływowy człowiek - przyznała Wirginia.

- Owszem. - Mary chwyciła ją za rękę. - Nigdy nie był okrutny. Bo chyba nie był? - dorzuciła błagalnym tonem.

Wirginia przez moment nie była zdolna wypowiedzieć słowa.

- Nie w takim sensie, jaki ma pani na myśli, milady -szepnęła.

- Wielki Boże, czegoż on się dopuścił?! - wykrzyknęła przerażona Mary.

- Nie zrobił nic złego - skłamała Wirginia. Mary badawczo zajrzała jej w twarz, z desperacją i rozpaczą, na jaką może zdobyć się jedynie matka.

- Od dziecka bezwzględnie wymagałam od moich synów poszanowania dla kobiet - wyjawiała łamiącym się głosem. - Czy Devlin uszanował cię pod każdym względem?

Wirginia nie wiedziała, co powiedzieć. Gdyby Mary zadała jej to pytanie na dzień przed odjazdem Devlina, bez wahania odparłaby twierdząco. Jednak ból, jaki jej sprawił, porzucając tak bezpardonowo, powrócił ze zdwojoną siłą. Wirginia poczuła ogłuszający szum w uszach, oczy zaszyły jej mgłą. Wyjechał bez choćby zdawkowego „do widzenia”. Jak to nazwać, jeżeli nie okrucieństwem, wciąż wywołującym głębokie cierpienie?

Mary od razu odgadła prawdę.

- Gdybym tak bardzo nie kochała mojego pierworodnego, natychmiast bym się go wyrzekła, choć jest krwią z mojej krwi i kością z mojej kości. Czy spodziewasz się dziecka, moja droga?

Wirginia pokręciła przecząco głową, a Mary podeszła bliżej i położyła dłoń na jej policzku.

- Jesteś taką piękną kobietą - wyszeptała. - Kochasz go?

Wirginia przez chwilę wpatrywała się w matkę Devlina, po czym powiedziała:

- Przepraszam, ale nie jestem już w stanie odpowiadać na dalsze pytania. - Ruszyła do drzwi, jednak zanim opuściła taras, jeszcze się odwróciła. - W gruncie rzeczy Devlin mnie nie skrzywdził. I myślę...

nie, ja wiem, że bardzo starał się być człowiekiem, na jakiego pani go wychowywała. To po prostu... po prostu się stało! -Nagle zdała sobie sprawę, że staje w obronie Devlina i ogarnęła ją panika, bo takie postępowanie było z jej strony zupełnie nielogiczne. - Już niczego nie pojmuję i nie umiem wyjaśnić! - rzuciła nerwowo. - Wiem jedynie, że jak najszybciej muszę wracać do domu.

Przebiegła przez bawialnię, a mijając Seana i hrabiego wymamrotała jakieś bezsensowne słowa przeprosin, po czym skryła się w swoim pokoju.

Siedząc w powozie, Edward mocno przytulił żonę, a ona złożyła głowę na jego szerokiej piersi i zacisnęła powieki. Hrabia czuł jej rozpacz i chociaż kochał Devlina jak rodzzonego syna, zdejmowała go wściekłość, że ten młodzieniec przysparzał tak wiele bólu własnej matce, a on, głowa rodziny, nie mógł temu przeciwdziałać.

To niebywała ironia losu, która dotykała wielu potężnych, wpływowych ludzi. Mimo że skutecznie panowali nad setkami poddanych, nie byli w stanie zapanować nad niesfornym potomkiem.

Edward pogładził żonę po włosach.

- Nie zamartwiaj się tą sprawą dzisiejszego wieczoru - wyszeptał. - Jurto wszystko dokładnie omówimy i zdecydujemy, jak postąpić.

Mary nie odpowiedziała, a Edward poczuł drżenie jej ciała; znowu płakała. Schylił się i ucałował żonę w skroń, a ona chwyciła go mocno za rękę.

- Cóż ja bym poczęła bez ciebie, Edwardzie. Tak bardzo cię kocham. Kocham całym sercem.

Hrabiego załapała jakże znajoma fala tkliwości. Zakochał się w Mary od pierwszego wejrzenia, kiedy Gerald, jego dzierżawca, sprowadził do domu młodziutką, siedemnastoletnią żonę. Edward był w owym czasie już zaręczony i wkrótce się ożenił. Przez kolejne jedenaście lat wielbił Mary z daleka, ani razu nie pozwalając sobie, by jakieś słowo czy gest zdradziły jego uczucia. W owym czasie Mary urodziła Geraldowi trójkę dzieci, a żona Edwarda czwórkę: trzech synów i córkę. W ciągu tych lat w hrabim obudził się szacunek i podziw dla dzierżawcy, ale także uczucie pewnej nieufności. Od dawna dochodziły go wieści, że Obrońcy zadomowili się w Wexford i zyskiwali coraz więcej żarliwych popleczników. Sam Edward popierał katolicką emancypację, ponieważ uważał, że dzięki niej Irlandia stanie się krajem silniejszym politycznie i ekonomicznie, a przez to zrówna się w prawach z Anglią. Inni możni władcy nie podzielali jednak jego opinii. Obawiali się, że utracą ziemię i potęgę, a jednocześnie zachęcą katolików do upomnienia się o swoje dawne przywileje także na ziemi angielskiej.

Niekiedy Edward ucztował wieczorami z Geraldem, a wówczas Mary dyskretnie usuwała się w cień, żeby mężczyźni mogli swobodnie omówić sprawy związane z ekonomią, a także polityką. Niemożliwe było bowiem, by dwóch Irlandczyków, siedzących razem przy stole, wcześniej czy później nie zaangażowało się w dyskusję na

temat sytuacji Irlandii, a także podziałów dzielących protestantów i katolików.

Geraldowi nawet nie zaświtało w głowie, że Edward jest nieprzytomnie zakochany w jego żonie. Mary wiedziała. Wyczuła to od pierwszej chwili, więc zawsze w obecności hrabiego trzymała skromnie spuszczone oczy, jakby się obawiała, że jedno skrzyżowanie spojrzeń mogłoby doprowadzić do wybuchu czegoś niewypowiedzianie niestosownego.

Na kilka tygodni przed powstaniem w Wexford Edward się dowiedział, że Gerald jest członkiem organizacji spiskowej. Wówczas doszło między nimi do karczemnej awantury, o mały włos zakończonej rękoczynami. Hrabia stanowczo zażądał, żeby dzierżawca trzymał się z dala od zbrojnego konfliktu, ale parę dni po tym, jak powstańcy zajęli Wexford, Gerald wpadł do dworu Adare'a rozgorączkowany, z szaleńczym błyskiem w oku.

Hrabia wybiegł mu na spotkanie na dziedziniec, przerażony, że coś złego spotkało Mary lub dzieci. Gerald tymczasem zeskoczył z konia i chwycił Edwarda za klapy myśliwskiej kurty.

- Musisz mi przysiąc, że zajmiesz się moją żoną i dziećmi!

- Co takiego? - hrabia był kompletnie oszołomiony.

- Musisz mi to obiecać na wypadek, gdyby... - Gerald spojrzął na przyjaciela błędnym wzrokiem. - Tylko do ciebie będą mogli zwrócić się o pomoc. Przysięgnij. Przysięgnij na wszystko, co święte, że o nich zadbasz, nie pozwolisz im głodować. I że... - głos mu się załamał

- ...i że znajdziesz dla niej nowego męża. Przyzwoitego, dobrego człowieka.

W owym czasie Edward był wdowcem. Jego żona zmarła przed kilkoma miesiącami przy porodzie kolejnej córeczki, która także nie przeżyła. Wciąż był pogrążony w żałobie i nie snuł w owym czasie żadnych marzeń związanych z przyszłością.

- Trzymaj się z dala od tej rebelii! - zażądał. -Masz wspierać rodzinę, cudowną żonę, jesteś im potrzebny.

- Jestem potrzebny mojej ojczyźnie! - odparował Gerald. -
Przysięgnij!

Edward przysięgnął, chociaż było to całkiem zbędne, bo i bez danego słowa poruszyłby niebo i ziemię, byle zapewnić bezpieczeństwo Mary i dzieciom.

Było to okrutne, a zarazem cudowne zrządzenie losu - śmierć jego żony, a potem mord popełniony na Geraldzie przez Brytyjczyków. Teraz, po niemal piętnastu latach od owych tragicznych wydarzeń, Edward był człowiekiem spełnionym, w pełni szczęśliwym i nie wyobrażał sobie życia bez Mary. Ponownie pogładził żonę po włosach.

- Odeślemy ją Eastleighowi. Jutro poczynię odpowiednie kroki.

- Nie! - Mary oderwała się od piersi męża i spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Nie? Ależ kochanie, on przetrzymuje tę dziewczynę w Askeaton wbrew jej woli - odparł hrabia, pilnie unikając słów

„uwięzienie” czy „zakładniczka”. Z Seanem bardzo uważali na to, co mówią w obecności Mary.

- Devlin ją porwał i teraz trzyma ją w charakterze zakładniczki.

Nie czas odwoływać się do eufemizmów.

- Chcę ci tylko oszczędzić dodatkowego bólu.

- Wiem! - wykrzyknęła. - Czy pomyślałeś o Wirginii? Czy jej również nie należy oszczędzić dodatkowych cierpień? Czy ona nie zasługuje na sprawiedliwe, uczciwe potraktowanie?

Edward zajrzał głęboko w błękitne oczy żony.

- Co przez to rozumiesz?

- Devlin musi postąpić, jak na dżentelmena przystało - odparła beznamiętnie. - Załatwić tę sprawę w jedyny możliwy do przyjęcia sposób.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dzień był szary i słotny. Devlin zmrużył oczy i wbił wzrok w rozciągający się przed nim krajobraz.

Wiejski dukt, który przywiódł go tu z Limerick, wijąc się, ginał wśród pagórków i brunatnych pól poprzecinanych kamiennymi murkami. Devlin wstrzymał konia i zastygł w bezruchu, odcinając się od wszelkich emocji. Z dobrym skutkiem. Na myśl o powrocie do domu nie ogarniały go uczucia. To była jedynie kolejna misja, którą musiał wypełnić szybko i skutecznie.

Spiął konia ostrogami i ruszył kłusa, świadomy, że zza następnego zakrętu wyłonią się pola i pastwiska -jego ziemie. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Devlin trzymał się mocno w garści, panował nad sobą jak nigdy dotąd.

Beznamiętnie powiódł wzrokiem po pustych polach o żyznej glebie, zaoranych już po jesiennych zbiorach. Mijając pierwszą farmę, zakonotował, niemal z obojętnością, że McCarthy musiał zebrać tego roku dobry plon, ponieważ jego stado owiec powiększyło się dwukrotnie, a dom był świeżo pobielony.

Pobliskie pole przecinał typowy dla tych okolic, kamienny murek. Devlin poderwał wierzchowca do skoku, a gdy zwierzę się zawahało, mocno ścisnął jego boki kolanami. Koń pokonał przeszkodę, lądując niepewnie. Gdy tylko wyrównał krok, Devlin poklepał go w nagrodę za dzielność.

Na skraju następnego pola Devlin zauważył dwa wierzchowce skubiące leniwie trawę i instynktownie rozejrzał się za jeźdźcami, których tu przyniosły. Ujrzał dwie postacie prowadzące rozmowę nad strumieniem i natychmiast wstrzymał konia. Serce zaczęło mu bić przyspieszonym rytmem, ale udał, że tego nie czuje. Jedna z osób była bardzo drobna, jak dziecko lub niebywale krucha kobieta. Rozpoznał ją od razu.

Mimowolnie ścisnął konia kolanami i zwierzak nerwowo rzucił się do przodu. Devlin równie gwałtownie ściągnął wodze, tak że koń zarył kopytami w ziemi.

Przez ostatnie pięć miesięcy Devlin koncentrował się wyłącznie na swojej misji. Żelazną siłą woli odsuwał każdą niechcianą myśl, a powrócił tu tylko w jednym celu. Stanowczo stwierdził w duchu, że nie interesuje go, o czym rozmawia tych dwoje. Niech sobie do woli debatują nad zaletami irlandzkiej gleby. Mimo to powściągnął zniecierpliwionego konia i wbił wzrok w stojącą nad potokiem parę.

Byli zbyt daleko, żeby mógł dojrzeć wyraz ich twarzy. Widział jedynie, że Sean ma na sobie białą koszulę i czarne sztyblety, a Wirginia - kremowe bryczesy i wysokie buty do konnej jazdy. Ściągnęła włosy do tyłu i puściła luźno lub niedbale splotła na karku, w każdym razie kaskada czarnych loków spływała jej po plecach. Wysilił wzrok, wypatrując oznak ciąży, ale z tej odległości niczego nie był w stanie orzec.

Wykrzywił usta w mimowolnym grymasie. Szaleńczy pociąg do tej dziewczyny należał do przeszłości, tego był pewien. Kiedy spojrzy

jej w oczy, będzie wobec niej równie obojętny, jak wobec Fiony, Elizabeth czy każdej innej kobiety. Nie ma sensu dłużej roztrząsać tej kwestii.

Z tym postanowieniem zawrócił ostro konia i skierował się ku Askeaton.

- Receptura tego przepisu jest utrzymywana w ścisłym sekrecie - wyjaśniała Wirginia z uśmiechem, gdy powolnym krokiem szli w stronę dworu. - Wymyśliła ją prababka Tillie.

- Tillie, twojej najlepszej przyjaciółki, tej niewolnicy? - spytał Sean, niosąc w dłoniach kilkanaście kolb kukurydzy.

Wirginia skinęła głową, wciąż zarumieniona od niedawnej galopady. Nie umiałyby powiedzieć, które z nich pierwsze wpadło na pomysł, by ścigać się konno w drodze do domu. Sean wygrał, ale tylko o pół długości. W rezultacie oboje byli pokryci rdzawym pyłem.

- Dopilnuję kucharki - obiecała. Aż ślinka jej pociekła na myśl o kukurydzianym puddingu, który zamierzała podać dzisiejszego wieczoru. - Mamy szczęście, że udało nam się znaleźć jeszcze te kilka kolb.

Stanęli w progu. Sean coś jej odpowiedział z uśmiechem, ale do Wirginii już nie dotarły jego słowa. W holu dostrzegła bowiem Devlina.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że Sean się z nią zderzył.

Wirginia nawet tego nie zauważyła. Oddech uwiązł jej w gardle, a serce jakby stanęło w miejscu. On wrócił!

Devlin stał w nonszalanckiej pozie i patrzył na nią beznamiętnym wzrokiem. Najwyraźniej był przygotowany na spotkanie.

Wirginia odetchnęła głęboko. Bezwiednie zaczęła dygotać. Odwróciła się i zobaczyła, że Sean wypuścił kukurydzę z rąk i wpatruje się w brata jak oniemiały. Próbując opanować drżenie, Wirginia przykucnęła i zaczęła zbierać rozsypane kolby. Przez głowę przebiegało jej wiele niespójnych, nielogicznych myśli.

Co ona teraz pocznie?

- Devlin - odezwał się cicho Sean, obejmując ramieniem Wirginię i pomagając jej się podnieść. - Nie mieliśmy pojęcia, że wróciłeś. - Nie wypuszczał jej z mocnego uścisku, jakby miał pełną świadomość, że sama nie zdoła utrzymać się na nogach.

Jego uwaga pozostała bez odpowiedzi.

Wirginia odwróciła głowę, zdjęta nagłą paniką, i zobaczyła, że Devlin się uśmiecha. Ich spojrzenia niespodziewanie się skrzyżowały.

- Kukurydza... - wydukała, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Nic się nie zmienił. Był władczy, uwodzicielski i pociągający; miał nadal w sobie tę hipnotyczną moc. Gdyby tylko się okazało, że jest teraz innym człowiekiem...

- Zostaw te kolby - rzucił Sean do Wirginii, po czym zwrócił się do brata: - Nie zawiadomiłeś o swoim przyjeździe.

- Nie przyszło mi do głowy, że muszę cię uprzedzić o powrocie do domu - odparł Devlin ze stoickim spokojem.

Tymczasem przed oczami Wirginii przesuwały się wyraziste wspomnienia wszystkich chwil, które kiedykolwiek spędzili sam na sam: od potyczek słownych w kapitańskiej kabinie „Defiance” do ostatniego momentu, gdy opuszczał jej sypialnię. „Bardzo mi przykro, że sprawiłem ci ból” - powiedział wówczas.

- Witaj, Wirginio - usłyszała.

Nie była w stanie wykrztusić słowa, więc tylko niemrawo skinęła głową. Sean ruszył w stronę brata.

- Wczoraj był tutaj ojciec. Poinformował mnie o twojej nowej misji i o przesłuchaniu. Cieszę się, że wróciłeś.

- Doprawdy? - spytał Devlin chłodno.

- Owszem - odparł stanowczo Sean, przenosząc wzrok z brata na Wirginię i z powrotem.

Wirginia zdała sobie sprawę, że jest jak sparaliżowana i wciąż wpatruje się w Devlina. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedyś go zobaczy, i już się z tym pogodziła. Zranił ją dotkliwie, ale uznała, że czas zabił rany. Tymczasem gdy stał teraz przed nią, nagle wszystko wróciło, jakby nie minęły długie miesiące.

Niespodziewanie Sean wydał z siebie bliżej nieokreślony dźwięk i wypadł z holu, pozostawiając ich dwoje sam na sam.

- Ładnie wyglądasz - zauważył Devlin beznamiętnie. -

Oczywiście, o ile pominąć ten kurz na twoim stroju.

Czy on zapamiętał tamtą noc? Czy pozostał mu chociaż strzęp wspomnień? Devlin podszedł bliżej.

- Widzę, że dobrze rozumiesz się z moim bratem. Zamarła.
Czyżby znów chodziła mu po głowie ta absurdalna myśl o
wyswataniu jej z Seanem?

- Jest przyjacielem. Obojętnie wzruszył ramionami.

- Czy... czy naprawdę mu powiedziałeś, że powinien mnie
poślubić?

- Naprawdę.

- Jesteś zupełnie pozbawiony serca? - wyszeptała.

- Przecież oboje dobrze znamy odpowiedź na to pytanie.

- Nie możesz okazać mi choćby odrobiny zrozumienia?

- Nie bardzo wiem, czego ode mnie oczekujesz, Wirginio.

Wybacz, że na tak długi czas zostawiłem cię pod opieką brata, ale
wojna przeszkodziła mi we wcześniejszym powrocie - odparł
beznamiętnie.

Poczuła nagły zawrót głowy. On naprawdę nie pamiętał! Jak to
możliwe, że tamto wydarzenie było dla niego tak nieistotne i banalne?

- Jakie mieliście na dziś plany? - spytał zdawkowo.

- Co... co takiego? Chcieliśmy ugotować pudding kukurydziany.
To znaczy zamierzałam pokazać kucharce, jak przygotować to danie.

Uniósł brew ironicznie, ale powstrzymał się od uwag.

Wirginia zastanawiała się tymczasem, jak to możliwe, że wciąż
żywi uczucia do tego człowieka. Nie widziała go od pięciu miesięcy.
On ją bezdusznie porzucił po najbardziej znaczącym wydarzeniu w jej
życiu. Teraz po długiej nieobecności nie okazał ani odrobiny ciepła,

nawet życzliwie się z nią nie przywitał, a jednak ona czuła w sobie ten sam żar, co kiedyś.

Jakże pragnęła usłyszeć od niego, że nie jest mu obojętna, że zapamiętał każdą sekundę ich wspólnej nocy i błaga ją o przebaczenie.

- Pudding kukurydziany - mruknął. - Fascynujące. Wreszcie zrozumiała, że Devlin w żaden sposób nie odniesie się do przeszłości.

- To wyjątkowo smaczna potrawa. Jeżeli zostaniesz na kolację, będziesz miał okazję sam się o tym przekonać.

Jakże trudno jej przyszło wypowiedzieć te słowa, zapomnieć o dumie i upokorzeniu. Tym razem nie krył rozbawienia.

- To przecież mój dom. Dlaczego nie miałbym we własnej jadalni zjeść kolacji, zanim nazajutrz wyruszę w drogę?

- Ty już... już jutro wyjeżdżasz?

- Wyjeżdżamy oboje - stwierdził, po czym powiódł wzrokiem po jej twarzy, białej koszuli i jasnych spodniach ciasno opinających talię i biodra. - Jestem szczerze zdziwiony, że Sean pozwala ci paradować w takim stroju.

Jeżeli czuł do niej jakikolwiek pociąg, nie zdradził tego ani tonem głosu, ani wyrazem twarzy. Jego oczy pozostały zimne i bezduszne.

- Oboje wyjeżdżamy? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Owszem. - Odwrócił się i podszedł do dużych okien, wychodzących na trawniki i odległe wzgórze. - Eastleigh nie wierzy w twoje istnienie.

- Co takiego?

Wciąż stał odwrócony do niej plecami i spoglądał przez okno.

- Z Kadyksu wysłałem mu list z żądaniem okupu - wyjaśnił. - W odpowiedzi odpisał, że utonęłaś na pokładzie „Americany”. Jedziemy do Southampton, by mu udowodnić, że jesteś cała i zdrowa.

Wirginia była tak oszołomiona i zraniona zachowaniem Devlina, że ta wieść nie sprawiła jej radości, chociaż oznaczała szybszy powrót do „Słodkiego Derenia”. To dziwne, ale w Askeaton zaczęła czuć się jak w domu. Dni spędzone na doglądaniu tej posiadłości były jednymi z najlepszych w jej życiu. Nawet polubiła tutejszą mglistą, deszczową aurę.

W niczym jednak nie zmieniło to faktu, że jej domem jest plantacja w Ameryce. Jeżeli Eastleigh jej nie sprzedał, może Wirginia zdoła wymyślić, jak ją ocalić. Jedno wszakże stało się całkiem oczywiste - w tym względzie nie mogła liczyć na stryja.

Plany Devlina, choć opóźnione przez wojnę, najwyraźniej nie uległy zmianie. Wirginia nie wiedziała, jak zareagować na jego słowa. Sprawa okupu była ostatnim tematem, jaki miałyby ochotę podejmować.

- Czy Sean pojedzie z nami? - zapytała w końcu smutnym głosem.

- A chciałabyś, żeby pojechał?

Czyżby wychwyciła w jego głosie jakąś dziwną, wcześniej niesłyszaną nutę?

- Naturalnie - odparła. Spróbowała zajrzeć mu w oczy, ale umknął ze wzrokiem.

- Sean jest potrzebny tu, w Askeaton - stwierdził szorstko Devlin. - Jutro po śniadaniu bądź gotowa do drogi - nakazał i wyszedł.

Zalała ją fala gniewu i ruszyła za nim stanowczym krokiem. Był już w salonie i nalewał sobie whisky. Nie spoglądając na Wirginię, uniósł pustą szklanekę i spytał lekkim tonem:

- Czy też miałabyś ochotę na szkocką?

- Nie, nie chcę szkockiej! Żądam natomiast, żeby Sean pojechał z nami!

Powoli odstawił szklanekę.

- Osoba w twoim położeniu nie może zgłaszać żądań.

- Będzie mi zastępował przyzwoitkę. Nie zamierzam spędzić ani chwili sam na sam z tobą.

Podszedł do niej i natychmiast poczuła się bezradna i krucha.

- Nie masz najmniejszych powodów do obaw.

- Mam ich aż nazbyt wiele! - wykrzyknęła. Prawdę mówiąc, wierzyła w słowa Devlina, który sprawiał takie wrażenie, jakby nie pamiętał, że kiedykolwiek choćby jej dotknął, nie mówiąc miłosnym o zbliżeniu.

- Sean pozostanie na miejscu - oświadczył Devlin sucho.

- W takim razie ja nigdzie nie pojedę! - zawołała z dziecinnym uporem.

- Nie martw się. - Pociągnął solidny łyk whisky. - Połączycie się znowu, gdy tylko sfinalizuję swoje sprawy.

- Ty już nic nie pamiętasz, prawda? - zapytała i zaczęła się trząść niczym w febrze.

Popijał whisky, jakby nie dosłyszał jej słów. Chwyliła go gwałtownie za ramię. Trunek chlusnął ze szklanki i oblał ich oboje.

- Nie pamiętasz naszej wspólnej nocy? Tej, kiedy się ze mną kochałeś?

Zdjął rękę Wirginii ze swojego ramienia.

- O co ci właściwie chodzi?

- Pamiętasz czy nie? - spytała kategorycznym tonem.

- Prawie wcale - mruknął.

Z całej siły go spoliczkowała, a odgłos uderzenia poniósł się głuchym echem po pokoju. Gwałtownie odskoczyła, sama zaszokowana tym, co zrobiła. W jego oczach pojawiła się wreszcie jakaś żywa iskra, chociaż nie o takim błysku Wirginia marzyła. Lepszy gniew od poprzedniego obojętnego, zimnego spojrzenia.

Skuliła się w sobie, oczekując, że Devlin odda cios, ale on powiedział jedynie:

- Seks a miłość to dwie zupełnie różne sprawy. Jego słowa były o wiele brutalniejsze niż policzek.

- Jestem ci winien przeprosiny... jak sądzę - dorzucił po chwili.

Było za późno na słowo „przepraszam”. Wirginia poczuła pod powiekami łzy i odwróciła się, by wybiec z pokoju. Devlin zdążył złapać ją za rękę i zmusić, żeby ponownie na niego spojrzała.

- Puść mnie!

- Przepraszam - odezwał się Devlin. - Powtarzam raz jeszcze, że przepraszam.

- Jakąż byłam idiotką, sądząc, że „seks” coś dla ciebie znaczy!

- Zasługuję na twoje potępienie. Nie miałem prawa zapuszczać się tam, gdzie nie zapuścił się żaden mężczyzna. Czy teraz jednak moglibyśmy już zostawić przeszłość za sobą i więcej do niej nie wracać?

- Naturalnie, tak właśnie zrobimy! - wykrzyknęła. Devlin ruszył w stronę drzwi, rzucając jeszcze przez ramię:

- Jutro po śniadaniu, Wirginio. - Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

- A jeżeli jestem w ciąży? - zawołała w stronę jego oddalających się pleców. Wiedziała, że to nieprawda, ale za cierpienie, którego jej przysporzył, chciała go choć odrobinę zranić.

Zatrzymał się gwałtownie, po czym z wolna odwrócił się w jej stronę.

- A jesteś? - spytał z groźnie pociemniałymi oczami, świadczącymi o tym, że jednak jest zdolny do odczuwania emocji.

- Nie - wysyczała, a już chwilę później, odrzucając dumę, dodała: - Wyjechałeś bez jednego słowa pożegnania!

- Czy ty doprawdy nie masz ani odrobiny godności własnej, Wirginio? Jestem po prostu najzwyklejszym draniem. Czy słyszałaś kiedyś powiedzenie: „Nie budź licha, kiedy śpi”? Powinnaś wziąć je sobie do serca.

- Licho, a w szczególności sen nie mają tu nic do rzeczy!

- Jutro zabieram cię w okolice Southampton, do mojego domu oddalonego zaledwie pięć mil od posiadłości Eastleigha. Udowodnię mu, że żyjesz, odbiorę okup i będziesz wreszcie wolna. Czy to ci nie wystarczy?

- Nie - odparła stanowczo, ponownie zapominając o dumie.

- Cóż, bardzo mi przykro, bo nic więcej nie mogę ci zaoferować.

Zdecydowanym krokiem wyszedł z salonu, a Wirginia opadła na szeslong i zakryła twarz dłońmi, walcząc ze łzami. Devlin nie chciał z nią rozmawiać na temat przeszłości, a odpowiedzi, których jej udzielił, wolałaby nigdy nie usłyszeć. Prawda - prawda widziana jego oczami - okazała się wyjątkowo brutalna.

Devlin zatrzymał się dopiero w sypialni. Był bardzo wzburzony, ale postanowił za wszelką cenę stłumić w sobie gwałtowne uczucia. Całkowicie je zignorować. Nie może dopuścić, by te wielkie fiołkowe oczy znów zaczęły go prześladować.

Gdyby wiedział, że powrót do domu będzie groził utratą samokontroli, nigdy by się tu nie zjawił. Kazałby Seanowi przywieźć Wirginię do Southampton.

- Powinieneś uprzedzić o swoim powrocie. W progu, z chmurną miną, stanął Sean.

- Nie musisz krępować się moją obecnością - odparł Devlin. - Przecież przed wyjazdem dałem ci wolną rękę. Czy już ją zaciągnąłeś do łóżka? - Wzdrygnął się gwałtownie, bo nagle ujrzał przed oczami odrażający obraz Seana z Wirginią.

W tej samej chwili Sean go zaatakował.

Devlin spodziewał się takiej reakcji brata - każdy z nich lubił dobrą walkę na pięści - a na dodatek tego teraz najbardziej potrzebował. Impet natarcia Seana pchnął go na łóżko, gdzie zaczęli ze sobą walczyć jak za chłopięcych czasów. Devlin spróbował przewrócić brata na plecy i w rezultacie obaj wylądowali na podłodze.

Devlinowi udało się usiąść na piersi Seana.

- Wystarczyłoby proste „tak” lub „nie” - powiedział z zimnym uśmiechem.

- Ty łajdaku bez serca! - wykrzyknął Sean i potężnym ciosem w szczękę powalił brata na plecy.

Devlin zobaczył gwiazdy przed oczami, ale udało mu się przyklęknąć i zdzielić Seana pięścią w brzuch. Sean jęknął, zgiął się wpół, a Devlin poderwał się szybko i pchnął go z całej siły na ścianę. Znowu zaczęli się szarpać, dysząc jak rozjuszone byki.

Wreszcie Sean zdołał wywinąć się spod ramion brata i ponownie uderzył go w szczękę.

Devlin zatoczył się na nogach, wdzięczny za ból, który eksplodował mu w głowie. Stał spokojnie i czekał na następny cios, który trafił go w żołądek i zgiął we dwoje.

- Walcz! - wykrzyknął Sean.

Devlin nie miał ochoty walczyć. Wyprostował się i uśmiechnął krzywo.

- Podniecały cię jej jęki i krzyki? Czyje imię wrywało jej się z ust w chwili ekstazy: twoje czy moje?

Sean zdzielił go ponownie. Głowa odskoczyła Devlinowi do tyłu i uderzył potylicą w ścianę.

Wybacz mi Wirginio, pomyślał niespodziewanie, a w sercu poczuł ostre ukłucie żalu. Wybacz, że nie jestem mężczyzną, na jakiego zasługujesz. Sean chwycił go za przód koszuli.

- Czy doprawdy sądzisz, że jeśli pozwolisz się stłuc, to tym samym zadośćuczynisz krzywdzie, jaką wyrządziłeś tej dziewczynie? Niech cię diabli!

Devlin się uśmiechnął.

- Przyłożysz mi jeszcze raz?

- Chciałbyś - warknął Sean i puścił poły jego koszuli.

Devlin oblizwał krew, płynącą z rozciętej wargi. Sean zakochał się w Wirginii po uszy, teraz nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

Czy także z nią sypiał?

Devlin podszedł do wiszącego nad komodą lustra. Jedno oko miał zapuchnięte, na szczęce widniał krwiał. Sean podał mu zmoczoną szmatkę i Devlin przyłożył ją do obrzękniętej powieki.

Ostatecznie sam chciał, żeby Wirginia zapalała uczuciem do Seana. Przed wyjazdem dał bratu swoje błogosławieństwo. Związek tych dwojga rozwiązałby wiele problemów, a jemu, Devlinowi, pozwolił zachować swobodę działania.

- Nie znoszę, jak ktoś próbuje mną manipulować -oznajmił Sean.

- Sypiasz z nią? Jeśli tak, pochwalam to - dorzucił szybko.

- Nie, nie sypiam - odparł Sean z grymasem na ustach.

Ku własnemu niezadowoleniu, Devlin poczuł satysfakcję.

- A powinieneś - powiedział, po czym dotknął nabrzmiałej szczęki. - Spodziewałem się ciosów chłopca, nie mężczyzny.

- Już od dawna nie jestem dzieckiem. Dlaczego postanowiłeś nas zaskoczyć? - Sean najwyraźniej nie miał ochoty dyskutować na temat sypiania z Wirginią.

- A więc teraz to już „my”? - szybko spytał Devlin.

- Żywię do niej głębokie uczucie, ale nie, nie ma żadnego „my”.
Swoim wyjazdem bardzo ją zraniłeś. To ją powinieneś uprzedzić o swoim powrocie, nie mnie.

- Jakoś nie bardzo chce się mi wierzyć w twoje opowieści. -
Devlin uważnie zajrzał w oczy brata.

- Wierz sobie, w co chcesz - rzucił szorstko Sean. - Jestem jedynie jej przyjacielem.

- Nie patrzysz na nią, jak się patrzy na przyjaciela - zauważył Devlin.

- Ty zaś możesz udawać, że Wirginia jest ci obojętna, ale nawet ślepiec by się zorientował, że pałasz do niej pożądanym - odciął się gniewnie Sean.

- Grubo się mylisz - odparł Devlin, chociaż obaj wiedzieli, że to kłamstwo. - Tak czy owak, nie zamierzam się z tobą spierać. Jesteś moim bratem. Stoimy po tej samej stronie barykady.

- W żadnym razie. Nie po tym, co zrobiłeś tej dziewczynie.
Uwolnij ją, Devlin. Zapomnij o okupie.

- Nie mogę. Jutro zabieram ją do Wideacre. Sean spojrział na niego surowo.

- Jeżeli jeszcze raz ją skrzywdzisz, to cię zabiję. Devlin wpatrywał się bacznie w brata, rozważając, czy Sean rzeczywiście tak bardzo kocha Wirginię, że gotów byłby przedłożyć ją nad rodzinne więzi.

- Mam nadzieję, że nie mówiłeś tego poważnie - rzekł. - Gdy dostanę okup, Wirginia będzie mogła wrócić tutaj, do ciebie.

- Radzę ci poważnie potraktować moje słowa. Devlin próbował się uśmiechnąć, ale na jego twarzy pojawił się jedynie bliżej nieokreślony grymas. Wzburzony zaczął krążyć po pokoju. Dalsze samooszukiwanie się nie miało sensu. Mógł sobie wmawiać, że związek Seana z Wirginią byłby najlepszym wyjściem z sytuacji, ale tak naprawdę na tę myśl ogarniały go mroczne, nienawistne uczucia.

Westchnął ciężko. Trudno. Jeżeli po wypłacie okupu Wirginia zechce wrócić do Askeaton, do Seana, on da im swoje błogosławieństwo, stłumi uczucia.

- Wiesz - zwrócił się do brata - przez ostatnie trzy miesiące całymi dniami patrolowałem wybrzeża Hiszpanii, a nocami napadałem na francuskich kaprów. W tym czasie zaanektowaliśmy cztery statki i pojмалиśmy ośmiuset jeńców.

- Czy ta opowieść ma nas doprowadzić do jakichś konstruktywnych wniosków?

- Owszem. Chciałem ci powiedzieć, że przez te wszystkie miesiące ani razu nie pomyślałem o Wirginii. Co z oczu, to z serca.

Nie zamierzał jednak wyznać Seanowi, jak wiele samozaparcia go to kosztowało.

- Musisz być z siebie bardzo dumny - rzucił kpiąco Sean.

Devlin spojrzał wprost w oczy brata.

- Szczerze żałuję swojego postępu - wyznał. - Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo.

- W takim razie powinieneś jej to powiedzieć.

- I co by to zmieniło?

- Co by to zmieniło? - Sean parsknął z niesmakiem. - Złamałeś serce tej dziewczynie. Może pomógłbyś je uleczyć!

- Wybacz, ale mam inny pogląd na tę sprawę. Nie mogłem złamać jej serca z bardzo prostego powodu: Wirginia jest moją zakładniczką, a nie kochanką.

- Pozwól, że teraz ja się z tobą nie zgodzę. Ona jest w tobie zakochana.

Devlin na moment zaniemówił z wrażenia.

- Straszny z ciebie głupiec.

- O nie - Devlin był wstrząśnięty słowami brata - to ty nic nie rozumiesz. Wirginia jest niezależna, pełna ciekawości i namiętności. To wszystko. Jeżeli sądzi, że mnie kocha, jest w błędzie. To jedynie żądza, nic więcej, i zauroczenie, ponieważ byłem jej pierwszym mężczyzną.

- Wiesz - Sean zaczął z wolna - kobieta może pragnąć od ciebie czegoś więcej niż tylko cielesnych uciech.

- Owszem. Może pragnąć bogactwa, pozycji i bezpieczeństwa, jakie mogę jej zaoferować. - Ogarnęła go złość i nerwowo odrzucił zakrwawioną szmatkę. - Nigdy się nie spodziewałem, że właśnie od ciebie usłyszę podobne słowa!

- A czego się spodziewałeś? Że zrobisz swoje, a potem odejdiesz, jak gdyby nigdy nic? Że nakłonisz ją, by się we mnie zakochała? A może, że po prostu oddasz mi ją łaskawie, nie bacząc w ogóle na jej uczucia? Wirginia to nie Elizabeth! Nie potrafi udawać choćby przez chwilę. Można w niej czytać jak w otwartej księdze. Od razu widać, kogo kocha.

- Niestety, w owej chwili opuściła mnie zdolność logicznego myślenia, nie mówiąc już o przewidywaniu przyszłości - rzucił ponuro Devlin i opadł na krzesło. Czy odważy się przyznać do prawdy nie tyle przed bratem, co przed samym sobą? - Kompletnie straciłem samokontrolę - powiedział w końcu z wolna. - Przysięgałem sobie, że jej nie dotknę, ale tamtej nocy przestałem nad sobą panować. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Do diabła, uwiodłem niewinną, młodą kobietę.

Przesunął dłońmi po twarzy, szczerze udęczony. Gerald z pewnością przewraca się teraz w grobie, a matce chyba pękłoby serce, gdyby poznała prawdę.

- Jednak jesteś człowiekiem. Powiedz jej to, co wyznałeś mnie, że żałujesz, przepraszasz, że tak całkowicie zatraciłeś się z powodu niezwykłej piękności Wirginii.

Devlin zaklął szpetnie.

- Nie jestem poetą, Sean.
- To powiedz jej coś serdecznego własnymi słowami.
- Już to zrobiłem.

Nie zamierzał nigdy więcej w obecności Wirginii powracać do przeszłości. Koniec, kropka.

- Więc zrób raz jeszcze.
- Wykluczone.

Sean westchnął, jak gdyby godził się z porażką, po czym zapytał:

- Może powinieneś rozważyć, co oznacza taka utrata panowania nad sobą?

Devlin poderwał się z krzesła.

- Oznacza, że ta dziewczyna mnie sprowokowała w nadzwyczajny sposób.

- Jakże wygodne wytłumaczenie - zauważył Sean. Devlin już go nie słuchał.

- Przez ostatnie miesiące udało mi się całkowicie wyrzucić ją z myśli. Zapomnieć o jej istnieniu - mówił bardziej do siebie niż do brata. - Jeżeli jestem w stanie pokonać każdego francuskiego dowódcę, zdołam też pokonać samego siebie.

Sean uśmiechnął się pod nosem.

- Ale może nie zdołasz pokonać pewnej drobnej kobiety.
- Niedoczekanie! - wykrzyknął Devlin z furją.

Wirginia wolałaby nie schodzić na kolację, ale doszła do wniosku, że byłoby to dziecinne zachowanie, mogące sugerować

nieważne dąsy. Poza tym nie chciała, żeby Devlin zorientował się, jak głęboko ją zranił.

Obrzuciła uważnym wzrokiem swoje cztery suknie. Nie miała wielkiego wyboru. Wyjęła tę z różowego jedwabiu, mocno wyciętą, obramowaną czarną koronką. Wyglądała w niej naprawdę pięknie i miała nadzieję, że jak Devlin ją ujrzy, natychmiast pożałuje swojego zachowania.

Czy on doprawdy musiał wrócić?

Wszystko było na najlepszej drodze, czas przyćmił ból i pozwolił wiele zapomnieć, a teraz znów czuła się rozbita i - wbrew sobie - ponownie była zauroczona Devlinem. Dobrze chociaż, że przyznał, iż zasłużył na ten policzek. Zdawał sobie sprawę z własnej nikczemności. Ona jednak nie przyjmie jego przeprosin, nawet gdyby płynęły prosto z serca.

Niespodziewanie wróciły do niej raniące słowa Devlina. Seks to nie miłość. Nie powinna się łudzić. Choćby włożyła najwspanialszą suknię, Devlin nigdy nie uzna jej za piękną, godną uwagi kobietę.

Wirginia pociągnęła za sznur dzwonka, by zażądać wody na kąpiel. Wówczas uderzyła ją ponura myśl. Nigdy nie usłyszy od Devlina tego, co chciałyby usłyszeć, ponieważ była tylko jedną z setek kobiet w jego życiu.

Uświadomiwszy to sobie, jednak nie uroniła ani jednej łzy.

Jeżeli Devlin zdumiał się na jej widok, nie dał tego po sobie poznać. Rozparty na sofie pokrytej szmaragdowym brokatem, skinął jej tylko uprzejmie głową. Miał na sobie aksamitny, granatowy surdut,

szafirowo-srebrną kamizelkę i kremową koszulę z bogatym żabotem oraz sutymi falbanami przy mankietach. Nie zmienił jednak trzewików, nosił wysokie buty z miękkiej skóry.

Wirginia wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Devlin wdał się z kimś w bójkę! Lewe oko było sine i zapuchnięte, na szczęce widniał potężny krwihak. Co, na Boga, zaszło w tym domu?

Z fotela poderwał się Sean i podszedł do niej z wyciągniętą ręką. Uśmiechnął się pogodnie, ale jednocześnie obrzucił ją badawczym wzrokiem.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała Wirginia na jego nieme pytanie. Raz jeszcze zerknęła na Devlina, po czym doszła do wniosku, że jeżeli o nią chodzi, to mógł się bić z samym diabłem.

Sean uśmiechnął się ponownie i lekko ścisnął jej palce.

- Devlin zabiera cię jutro do swojego wiejskiego domu w Anglii, położonego nieopodal posiadłości Eastleigha. Chce, żebyś tam spotkała się ze stryjem. Czy sądzisz, że poradzisz sobie z tą sytuacją, Wirginio?

Skinęła głową i ponownie spojrzała na Devlina, który teraz wreszcie podniósł na nich wzrok. Jego twarz pozostała bez wyrazu. Wirginia pomyślała, że bez trudu mogłaby mu pokrzyżować plany: wystarczy, że w obecności stryja oznajmiłaby, iż nigdy w życiu nie słyszała o pannie Hughes, i podała się za kogoś zupełnie innego. A gdyby ostatecznie chciała pograć dumnego kapitana, tuż po uwolnieniu zgłosiłaby się do władz i wówczas Devlin przez wiele lat gniłby w więzieniu.

Jednak żaden z tych przemyślnych, mściwych czynów nie sprawiłby jej przyjemności. W odróżnieniu od

Devlina miała w sobie ludzkie uczucia. Nigdy celowo by go nie skrzywdziła, a już na pewno nie dla zemsty.

- Wyglądasz pięknie - powiedział Sean. - Jak zwykle, Wirginio - dorzucił szybko.

- Jeżeli będziesz dla mnie taki miły, mogę się rozkleić - ostrzegła cichym głosem.

- W żadnym razie tego nie rób! Czy zechciałabyś wyjść ze mną do ogrodu? Muszę zamienić z tobą kilka słów.

- Teraz? - Na zegarze wybiła siódma, a zawsze o tej porze siadali do kolacji.

- Tak, bardzo proszę.

Wirginia uważnie popatrzyła na Seana, ale nic nie potrafiła wyczytać z jego twarzy. Gdy ramię w ramię ruszyli przez pokój, rozległ się głos Devlina:

- Nie krępujcie się moją obecnością.

Wirginia posłała mu pełne złości spojrzenie, a Devlin uniósł kieliszek w geście toastu, po czym zasłonił się dublińską gazetą.

Wieczór był rzeczywiście ciepły i gwieździsty. Ku zdumieniu Wirginii, ledwo stanęli w ogrodzie, Sean chwycił ją za ramiona.

- Będę za tobą tęsknił - wyznał.

- Ja także będę tęskniła - odparła, patrząc na niego ze zdumieniem.

- Nie lękaj się Devlina. Taki incydent jak ostatnio więcej się nie powtórzy. W żadnym razie do tego nie dopuszczę, a poza tym...

- Poza tym?

- Devlin poprzysiągł sobie, że będzie traktował cię z najwyższym szacunkiem.

Poczuła ukłucie rozczarowania i zirytowała się na samą siebie.

- Wątpię, czy tak naprawdę powiedział.

- On bardzo żałuje swojego postępu...

- Daj spokój! Jeżeli Devlin naprawdę żałuje swojego zachowania, powinien mi to osobiście powiedzieć.

- Może nie starczyć mu na to odwagi. Wirginia nie wierzyła własnym uszom. Devlin był najodważniejszym człowiekiem, jakiego znała, czy o jakim słyszała, o czym więc, u diabła, opowiadał Sean?

- Wirginio... - dotknął lekko jej policzka - chciałbym cię o coś zapytać.

Chociaż Sean stał się jej najbliższym przyjacielem, nagle poczuła się nieswojo.

- Czy wciąż go kochasz?

Zmieszała się tak bardzo, że przez chwilę nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

- Sean - odezwała się wreszcie, chwytając go za dłoń i odrywając ją od swojej twarzy. - Nie kocham twojego brata. Może przez moment miałam takie urojenia, ale przecież wcale go nie znam. Potraktował mnie niegodziwie. Nie ma więc mowy o miłości! - wykrzyknęła.

W tym momencie stanął jej przed oczami Devlin, dowodzący z mostka fregatą, a także z dumą oznajmiający, że posiadłość Askeaton jest jego własnością. Również Devlin podniecony, rozgorączkowany, pochylający się nad nią z oczami zamglonymi pożądaniem.

- Obawiam się, że ci nie wierzę - zaproponował Sean, obejmując ją czule ramionami.

Wirginia zeszywniała.

- Co robisz?

- Cały czas próbowałem usilnie myśleć o tobie jedynie jako o drogiej bliskiej przyjaciółce - powiedział z wolna.

Sean jest w niej zakochany!

- Zawsze będę twoim przyjacielem - ciągnął. - Chciałbym jednak wiedzieć, czy istnieje choć niewielka szansa, że kiedyś zapomnisz o Devlinie i o tym, co cię z nim łączyło. Że kiedykolwiek spojrzysz na mnie jak na kogoś bliższego niż przyjaciela.

Wirginia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ogarnęło ją wielkie wzruszenie. Ujęła w dłonie męską, piękną twarz Seana, tak podobną do twarzy jego brata. Nigdy jednak nie pomyliłaby tych dwóch mężczyzn. Oczy Seana były oknami jego duszy, Devlina nie wyrażały żadnych uczuć.

- Nie wiem... - zaczęła niepewnie. - Twoje słowa bardzo mnie zaskoczyły...

Powiodł dłońmi po jej rozsypanych na plecach włosach.

- Skłamałem Devlinowi - wyznał. - Kocham cię, Wirginio.

Ona też pokochała go, ale jak brata. Co niewątpliwie świadczyło o jej głupocie. Tylko idiotka mogłaby nie darzyć głęboką miłością tak szlachetnego mężczyzny, zdolnego kochać kobietę głęboko i do końca życia.

- Sean, ja nie mogę... - Nie miała odwagi wyznać dlaczego nawet przed sobą.

Skinął głowę, przytulił ją mocno, po czym szybko wypuścił z ramion.

Wirginia przywarła do niego kurczowo.

- Nie opuszczaj mnie, Sean! Teraz potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Wiem. - Uśmiechnął się pośpiesznie. - Będę zawsze twoim przyjacielem, na którego możesz liczyć, ale nie pojedę z tobą i Devlinem do Wideacre. To zły pomysł. Wolę na to nie patrzeć.

- Ale...

- Nie, Wirginio. Pozwól mi skończyć. Od dłuższego czasu chciałem z tobą szczerze porozmawiać.

Skinęła głowę. Po takim wyznaniu przynajmniej tyle była mu winna.

- Devlin nie jest złym człowiekiem. Od czasu, gdy był świadkiem mordu dokonanego na naszym ojcu, bardzo się zmienił. Owego dnia przestał się śmiać, a nawet uśmiechać. Właśnie wtedy ogarnęła go obsesja zemsty.

Poczuła ściskanie w gardle. Trudno w takiej sytuacji nie współczuć Devlinowi. Szybko jednak wzięła się w garść.

- Mówię ci to, Wirginio, ponieważ kocham brata. Podobnie jak matka i ojczym, bardzo się o niego martwię. Nie mogę patrzeć na to, co robi ze swoim życiem. Tak naprawdę nie zależy mu na karierze w marynarce i nic nie obchodzi go Wielka Brytania.

Przypomniała sobie tajne zebranie spiskowców.

- Ale dlaczego? - spytała.

- Człowiek taki jak Devlin może poprzez służbę w marynarce dojść do potęgi i bogactwa, co zresztą perfekcyjnie zrealizował. Służba była dla niego sposobem osiągnięcia prominentnej pozycji i fortuny, dzięki którym mógł doprowadzić do ruiny Eastleigha.

Wirginia zadrżała.

- Zaokrętował się jako wyrostek - ciągnął Sean. - Od tamtej chwili prowadzi odwetową krucjatę.

- O Boże... - Dopiero teraz pojęła ogrom obsesji Devlina.

- Chętnie oddałby życie za mnie, za mamę, naszego ojczyma, przybranych braci i siostrę. Zrobiłby to bez wahania. Poległby w obronie swojej załogi i okrętu. Zginąłby za Irlandię. Ale jego odwaga nie ma tu nic do rzeczy.

- Nie, nie ma - szepnęła.

- Jest potężny, bogaty i nieustraszony. Powszechnie podziwiany jako wielki kapitan, wzbudzający szacunek i strach. Nie ma jednak w sobie serdeczności i ciepła. One umarły w nim tego dnia, gdy zginął nasz ojciec.

- Bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie. Nie jest jednak okrutnym potworem, co, jak wiem, już zauważyłaś. Kocham brata i dlatego chciałbym ci powiedzieć, że jest jeszcze dla niego nadzieja.

- Nadzieja? - powtórzyła. Chwycił ją impulsywnie za ramiona.

- Devlin, którego znam, nigdy by nie uległ požądaniu, jakie wzbudziłaby w nim młoda, niewinna kobieta. Na Boga, mamy przybraną siostrę i przysięgliśmy, że będziemy ją chronić. Co ważniejsze, mieliśmy też małą siostrzyczkę, która zginęła w płomieniach, gdy Brytyjczycy podpalili dwór w dniu śmierci naszego ojca. Ja tego nie pamiętam, ale Devlin ma wciąż owe wydarzenia przed oczami. Nigdy by nie wykorzystał niecnie niewinnej kobiety. Gdyby chciał dać upust żądom, wziąłby sobie do łóżka rozpustnicę pokroju Fiony.

- Co próbujesz mi wyjawiać?

- Myślę, że dotarłaś do części jego duszy, którą uważaliśmy za straconą już dawno temu. Modlę się, byś dotarła do niej ponownie i dała mu nowe, szczęśliwe życie.

- Słucham?!

- On żałuje swojego postępu. Wyznał mi to i wiem, że nie kłamał. Sprawa między wami jeszcze nie jest zakończona.

Wirginia wpatrywała się w Seana z niedowierzaniem.

- Devlin nie jest wobec ciebie obojętny, to jedynie poza, teatralna maska. Jeżeli nie czujesz do niego nienawiści, jeżeli zdołasz mu wybaczyć, może ty będziesz tą jedyną, która zdoła ocalić jego duszę.

- Czyś... czyś oszalał? Uśmiechnął się i wypuścił ją z objęć.

- Nie. Jest mi tylko smutno.

Wirginia przytuliła go, a wówczas Sean wyszeptał:

- Mój brat potrzebuje miłości szlachetnej kobiety. Jeśli nie jesteś w stanie mnie pokochać, może zechcesz dać Devlinowi jeszcze jedną szansę.

- O co ty mnie właściwie prosisz? - spytała Wirginia drżącym głosem.

- Proszę, żebyś uratowała mojego brata.

Scandalous

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wirginia patrzyła przez okno powozu na oddalający się dwór w Askeaton. Sean stał na dziedzińcu i machał na pożegnanie, ale z każdą chwilą stawał się coraz mniejszy, aż w końcu zniknął Wirginii z oczu. Czowała gwałtowne ściskanie w gardle. Nie miała ochoty wyjeżdżać. Nie umiałaby jednak powiedzieć, czy dlatego, że nie chciała opuszczać Seana, czy raczej bezpiecznej przystani, jaką stało się dla niej Askeaton.

A może po prostu odczuwała lęk przed przyszłością?

„Proszę, żebyś uratowała mojego brata”.

Niespodziewanie zdjęła ją panika. Nie chce nikogo ratować, a już z pewnością nie jego, pomyślała gorączkowo.

Zerknęła ukradkiem na Devlina. Siedział obok i przytłaczał ją swoją obecnością. Powóz był zbyt mały dla nich obojga, bez względu na dzielącą ich odległość.

„Myślę, że dotarłaś do części jego duszy, którą uważaliśmy za straconą już dawno temu”.

Wirginia mimowolnie się skrzywiła. Miała ochotę zatkać uszy jak małe dziecko w nadziei, że przestanie jej dźwięczeć w głowie głos Seana.

„Devlin nie jest wobec ciebie obojętny - to jedynie poza, teatralna maska”.

Czemu Sean nalegał, żeby zaprzyjaźniła się z Devlinem, rozbudziła w nim uczucia, uleczyła z odrętwienia? Dlaczego nie

powierzył tak ciężkiego zadania silniejszej, bardziej doświadczonej i pociągającej kobiecie? Seana musiało ogarnąć wczoraj szaleństwo, skoro uznał, że Wirginia mogłaby pomóc Devlinowi odzyskać ciepłe uczucia.

„Mój brat potrzebuje miłości szlachetnej kobie-ty...”.

Mimowolnie jęknęła głośno, a gdy poniewczasie zdała sobie z tego sprawę, zasłoniła dłonią usta. Poczuła na sobie obojętny wzrok Devlina.

- Źle się czujesz? - zapytał.

- Ja... Rozboliła mnie głowa.

Ich spojrzenia skrzyżowały się przelotnie. Devlin musiał uznać jej wyjaśnienie za wiarygodne, bo odwrócił głowę i kontemplował przesuwane się za oknem widoki: pola i pagórki skąpane w deszczu.

Raz jeszcze zerknęła na jego wyraziste rysy twarzy: wysokie kości policzkowe, mocno zarysowaną szczękę. Niebywale fascynujący mężczyzna; pociągał ją jak wielka fala zasysająca wszystko w oceaniczną głębinę. Jednak Sean z pewnością się mylił. Devlin nie żywił wobec niej żadnych uczuć, jego obojętność nie była udawana. Ona zaś z pewnością nie należała do kobiet, które mogłyby pobudzić go do nowego życia.

„Każdy zasługuje na drugą szansę w życiu. Co ci pozostało do stracenia, kochanie?”

Wirginia zamarła, bo miała wrażenie, że usłyszała łagodny głos matki.

- Nie mamy na pokładzie medyka, ale jeżeli ból nie minie, podam ci laudanum.

- Nie potrzebuję laudanum - stwierdziła bardzo stanowczo.

Mama była najserdeczniejszą, najlepszą kobietą, jaką Wirginia знаła. Elissa Craycroft Hughes starała się pomagać każdemu, kto znalazł się w potrzebie. Szczególną troską otaczała dzieci. Raz w miesiącu, w niedzielę, urządzali wyprawę do Richmond, gdzie tato doglądał koniecznych napraw w sierocińcu, a Wirginia z mamą rozdawały maluchom świeżo pieczone ciastka i wykonane na plantacji zabawki. W pozostałe niedziele jeździli do kościoła w Norfolku, a po kazaniu Elissa kręciła się między najbiedniejszymi i próbowała się zorientować, komu czego najbardziej brakuje. Ludzie byli dumni i nie mówili o swoich potrzebach, ale Elissa zawsze wiedziała, komu przydałby się ziołowy kata-plazm, a komu używana, ale jeszcze dobra koszula.

Potem zawsze zatrzymywali się przy kościele kolorowych. Wirginia za każdym razem miała nadzieję, że jeszcze zdążą na śpiewanie hymnów, połączone z rytmicznym tańcem. Elissa była ciepło witana wśród Murzynów, traktowali ją jak swoją. Nigdy też nie zjawiała się tam z pustymi rękami. Jakimś cudem się dowiadywała, że babcia JoJo nie ma butów, a syn Wielkiego Bena znowu zapadł na gorączkę. Żaden potrzebujący nigdy nie odszedł ze „Słodkiego Derenia” z pustymi rękami.

- O co chodzi, Wirginio? - zainteresował się w końcu Devlin. - Czy ogarnął cię niepokój na myśl o spotkaniu ze stryjem?

Drgnęła, gwałtownie wyrwana ze wspomnień.

- Nie. Myślałam o mamie - przyznała z nostalgicznym uśmiechem.

Wirginia pomyślała ze smutkiem, że mama z pewnością zgodziłaby się z Seanem, szczególnie gdyby wiedziała, jak bardzo jej córka jest podatna na wdzięki Devlina.

- Wczoraj podczas kolacji brakowało nam twojego towarzystwa
- powiedziała cicho.

Devlin nie przyszedł do jadalni, tylko pozostał w gabinecie, pozornie zatopiony w rejestrach posiadłości.

- Bardzo w to wątpię - odparł chłodno.

W przeszłości podobna uwaga sprawiłaby jej przykrość. Teraz już trochę lepiej rozumiała tego mężczyznę. W dniu, gdy został zamordowany jego ojciec, stracił znacznie więcej niż tylko dzieciństwo i jego postępowanie oraz sposób bycia były konsekwencją owego tragicznego wydarzenia. Wirginia miała przed sobą głęboko zranionego, cierpiącego człowieka, który nie był z gruntu zły. Nie zauważyła u niego skłonności do okrucieństwa czy sadyzmu, a jedynie bezwzględną dyscyplinę, narzuconą nie tylko innym, ale przede wszystkim samemu sobie. Nie dostrzegła też u niego, niestety, ani śladu radości.

Nagle złapała się na tym, że w gruncie rzeczy głęboko mu współczuje.

- Wiesz, Wirginio, zaczynam czuć się jak insekt poddany obserwacji w laboratorium przyrodnika.

- Wybacz. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Byłeś niezdrów wczorajszego wieczoru?

- Miałem migrenę - odparł ze złością. Wirginia roześmiała się, a kiedy spiorunował ją

wzrokiem, przybrała minę niewiniątka.

- Mężczyźni nie miewają migren, kapitanie.

Nie odpowiedział, ale jego rysy stężały jeszcze bardziej.

Wirginia postanowiła tego nie zauważać.

- A nawet gdyby migreny im się zdarzały, ty z pewnością nie należałbyś do mężczyzn, uskarżających się na podobną przypadłość.

- Czy mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego prowadzimy tę konwersację?

- Cóż, podróż do Limerick zajmie nam co najmniej godzinę, siedzimy razem zamknięci w małym powozie, więc staram się być uprzejma.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Poza tym jestem ciekawa, czemu nie przyłączyłeś się do nas podczas wczorajszej kolacji - dodała.

- Nie chciałem wam zakłócać słodkiego tete-a-tete - rzucił kpiąco.

- Co takiego?!

- Mój brat jest w tobie zakochany! - wykrzyknął. - Po tej ogrodowej scenie z ubiegłego wieczoru nawet ty musisz mieć tego świadomość.

- Po jakiej scenie?

Czyżby odnosił się do rozmowy, którą przeprowadziła z Seanem na tarasie? Czy ich podsłuchiwał?!

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Och, proszę cię. Mówię o tym, jak tuliłaś mojego brata w ramionach, czy może było odwrotnie?

- Podglądałeś nas? - spytała, rumieniąc się gwałtownie.

- Nikogo nie podglądałem, Wirginio - napomniał ją surowym tonem. - Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza, ale byliście tak sobą pochłonięci, że postanowiłem wam nie przeszkadzać. To była piękna noc dla pięknej pary kochanków.

- Co usłyszałeś?

- Nic - odparł sucho. - Czy jego pocałunki sprawiły ci rozkosz, Wirginio? - dorzucił niespodziewanie.

Nagle zdała sobie sprawę, jak wczorajsza sytuacja mogła wyglądać w oczach Devlina: dwoje kochanków niemogących oderwać się od siebie.

- To, co zaszło między mną a Seanem, jest wyłącznie naszą sprawą - rzuciła śmiało, wciąż zdumiona słowami Devlina.

- Ależ ja z całego serca popieram wasz związek -oznajmił.

Był to bolesny cios. Nagle przez głowę przemknęła jej nowa myśl. Czyżby Devlin był o nią zazdrosny? Nie, to niedorzeczne! Po prostu absurdalne. Zazdrość bierze się z miłości, a ten mężczyzna nie żywił wobec niej żadnych uczuć.

- Sean jest moim przyjacielem. Drogim i bliskim, ale jedynie przyjacielem - powiedziała z wolna.

Devlin parsknął szyderczo.

- W jednym się nie mylisz - podjęła Wirginia. -Sean rzeczywiście zaczął darzyć mnie gorącym uczuciem, którego, niestety, nie mogę odwzajemnić.

- Dlaczego nie?

- Dlaczego nie?! - wykrzyknęła, zdjęta taką złością, że mimowolnie zacisnęła dłonie w pięści. - Nie jestem ladaczną. A może już zapomniałeś, że zabrałeś mi dziewictwo?

Skrzywił się, ale śmiało spojrzął jej w oczy i Wirginia ze smutkiem stwierdziła, że Devlin o wiele lepiej od niej potrafi panować nad emocjami.

- Jak mógłbym zapomnieć, skoro bez przerwy mi o tym przypominasz?

Miała ochotę go spoliczkować. Zdołała się jednak pohamować.

- Cóż, tamta noc sprawiła, że nigdy nie mogłabym obdarzyć Seana miłością.

- Czemu?

- Czemu?! - Wprost nie wierzyła własnym uszom.

- Tak, chciałbym wiedzieć dlaczego. Przeszłość powinna zostać pogrzebana na zawsze, Wirginio. Wkrótce będziesz mogła pojechać, dokąd tylko zechcesz. Widziałem, że ze smutkiem opuszczałaś Askeaton... i mojego brata.

Ogarnęły ją gniew i smutek. Ale zaraz też wróciły słowa Seana: „Devlin nie jest wobec ciebie obojętny - to jedynie poza, teatralna maska”.

Nie mogła w to uwierzyć, choć Bóg jej świadkiem, że bardzo się starała. Przecież gdyby nie była Devlinowi obojętna, nie pchałby jej w ramiona brata.

- Askeaton to magiczne miejsce - powiedziała. -Przez te pięć miesięcy zaczęłam o nim myśleć jak o domu.

Devlin wykrzywił usta w grymasie, po czym orzekł:

- To dobrze. Gdy tylko wpłynie okup, będziesz mogła tam wrócić, o ile zechcesz.

- Czy teraz kieruje tobą poczucie winy? - spytała nieoczekiwanie. - Chcesz, żeby brat posprzątał za ciebie bałagan, którego narobiłeś w moim życiu?

- Dość tego! - uciał szorstko.

- O to chodzi, prawda?! - zawołała, zdumiona własnym odkryciem. - Odczuwasz wyrzuty sumienia. Jednak nie jesteś całkowicie pozbawiony serca. Wyznałeś, że żałujesz swoich postępów, Sean mi to powiedział. A do tego przyznałeś, że zasłużyłeś na policzek, który ci wczoraj wymierzyłam. Zatem zdajesz sobie sprawę, że potraktowałeś mnie niegodziwie. Naturalnie nigdy nie zaproponowałbyś mi małżeństwa, którego zresztą wcale nie chcę!

- dodała pośpiesznie.

- Gdyby jednak Sean zechciał mnie poślubić, jakże byłoby to dla ciebie dogodne wyjście z sytuacji. Mógłbyś zapomnieć, że pewnego dnia przestałeś być mężczyzną, na jakiego wychowywała cię matka; mężczyzną, z którego mogłaby być dumna...

Chwycił ją gwałtownie za ramiona.

- Powiedziałem „dość”!

Pochyliła się ku niemu, oczekując pocałunku. Jednak w sekundzie opamiętała się i odsunęła.

- Nigdy więcej nie wspominaj o hrabinie de WARENNE - rzucił ostrzegawczym tonem Devlin.

- Miałam okazję ją poznać. Wyraźnie zbladł.

- Jest wspaniałą kobietą. Bardzo ją polubiłam - stwierdziła Wirginia przebiegle.

- Uduszę Seana własnymi rękami.

- Sean nie miał z tym nic wspólnego! - wykrzyknęła zapalczywie Wirginia. - Twoi rodzice przybyli z wizytą, kiedy doszła ich wieść o naszych zaręczynach.

- O naszych zaręczynach?!

Wirginia patrzyła mu prosto w oczy. Wytrąciła go z równowagi i sprawiło jej to wielką przyjemność. Nie odzywała się, tylko w milczeniu czekała, by do Devlina dotarło znaczenie jej słów.

- Nie jesteśmy i nigdy nie byliśmy zaręczeni.

Jakże cieszyła ją ta chwila. Gdyby mogła, utrwaliłaby ją dla potomności. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- To ta rozplotkowana ciżba - stwierdził. - Po całej okolicy już się pewnie rozniosło, że jesteś moją narzeczoną.

- Najprawdopodobniej - zgodziła się gładko.

- Czemu się uśmiechasz? Oboje wiemy, że zmyśliłem tę bajeczkę, by ocalić twoją śliczną szyję.

- Uważasz, że moja szyja jest śliczna?

- Czy oni nadal w to wierzą? Moja matka i Adare?

- Nie, Devlinie. Już w to nie wierzą - odparła z cichym westchnieniem.

W powozie zapanowało pełne napięcia milczenie.

- Sean starannie dobierał słowa - zaczęła Wirginia, ale szybko się poddała. - Czego ty się spodziewałeś?! Że porwiesz bratanicę swojego śmiertelnego wroga i zdołasz zamydlić oczy rodzinie, która mieszka po sąsiedzku?

Przeklął szpetnie i głośno.

- Sam jesteś sobie winien.

- Muszę bez zwłoki złamać Eastleigha i zmusić do zapłacenia okupu. Im szybciej znikniesz z mojego życia, tym lepiej.

Te słowa ją zaboląły, ale i wywołały irytację.

- Masz rację - przyznała. - Kiedy tylko będę wolna, od razu wrócę do domu, do „Słodkiego Derenia”. Już nie mogę się tego doczekać.

Prawdę mówiąc, przez ostatnie miesiące niewiele myślała o plantacji, która stała się mglistym wspomnieniem, coraz intensywniej wypieranym przez życie w Askeaton w towarzystwie Seana i Devlina.

- O ile mój dom jeszcze istnieje - dorzuciła posepnie.

Pod pełnymi żaglami, w deszczu i pod wiatr „Defiance” parł na południe. Wirginia siedziała przy stole w kapitańskiej kabinie, pełna wątplenia. Jakaś jej część bardzo pragnęła okiełznać tego mężczyznę i uzdrowić jego duszę, ale Wirginia nie miała dość wiary we własne siły, a ciągle nalegania Devlina, by poślubiła jego brata, nie

poprawiały sytuacji. Podejrzewała, że Devlin odczuwa wyrzuty sumienia, ale jednocześnie był tak arogancki, tak nieodgadniony, że czuła się przy nim jak niepewne, naiwne dziecko.

W porze zmierzchu niebo wypogodziło się, a morze uspokoiło. Wirginia zjadła samotnie kolację - Devlin najwyraźniej unikał jej towarzystwa - po czym zarzuciła pelerynę na ramiona i wymknęła się z kabiny.

Kapitan stał na mostku, chociaż nie dzierżył steru. Wpatrywał się w gwiazdy, które pojawiły się nad horyzontem. Po chwili wahania Wirginia z bijącym sercem zaczęła wspinać się na mostek. Devlin musiał ją usłyszeć, bo natychmiast się odwrócił.

Spodziewała się, że każe jej odejść, a tymczasem skinął przyzwalająco głową.

- Piękny wieczór na żeglugę - zagaiła Wirginia. Jej słowa były jak najbardziej szczerze. W łagodnym powietrzu unosił się ożywczy zapach, a nad taflą morza właśnie wschodził księżyc.

Devlin powędrował za jej wzrokiem.

- Rzeczywiście piękny - zgodził się. - Przez jakieś dwie godziny będzie wiać sprzyjająca bryza, którą musimy wykorzystać do maksimum. Dzięki niej zdołamy płynąć z prędkością dobrych czternastu węzłów.

Wpatrywał się w dal, a Wirginia spoglądała na niego spod oka. Jakiś czas temu zrzucił mundur i znów miał na sobie luźną koszulę. Patrząc na niego, Wirginia nagle zapragnęła znaleźć się w jego mocnych ramionach. Ledwo to pomyślała, wzdrygnęła się

gwałtownie. Musi wybić sobie z głowy podobne rojenia. Ostatecznie dostała bolesną nauczkę.

- Nie przyszedłeś do kajuty na kolację - powiedziała cicho.

- Zjadłem na pokładzie - odparł, nie patrząc w jej stronę.

Postanowiła cieszyć się tą nocą, gwiazdami i wiatrem. Doszła do wniosku, że przemierzanie mórz dniami i nocami jest całkiem przyjemne.

- Żeglowanie daje takie niesamowite poczucie wolności - szepnęła.

Nie odpowiedział, a Wirginię nagle olśniło.

- Czy myślisz, że ścigając się z wiatrami, zdołasz uciec od wspomnień z dzieciństwa?

Czy to właśnie robił? Uciekał od przeszłości w przebraniu kapitana marynarki wojennej?

- Jakże to przemyślnie - rzuciła z podziwem. Devlin sprawiał wrażenie człowieka, który czymś gwałtownie się zadławił.

- Chciałam powiedzieć, że takie życie zwalnia cię z obowiązków i wszelkich obciążeń, na przykład rodziną. Gdybyś chciał, mógłbyś nie schodzić z okrętu.

Wciąż na nią nie patrząc, rzucił do swojego bosmana:

- Red, teraz ja przejmę stery.

- Tak jest, kapitanie - odparł marynarz i natychmiast się usunął.

- Powinnaś pójść do kabiny - zwrócił się do niej Devlin.

- Czy to rozkaz? - spytała.

W końcu zwrócił na nią oczy i wtedy się zorientowała, że rzeczywiście trafnie odgadła, co tak naprawdę pcha Devlina na morze.

- Nie - odparł po chwili wahania.

- Nie?

- Noce na morzu często się dłużą. Uśmiechnęła się radośnie.

- A więc nie masz nic przeciwko temu, bym ci towarzyszyła.

- O ile tylko będziesz cicho.

- Ty pragniesz mojego towarzystwa! - rzuciła przekornie.

Dałaby głowę, że stłumił uśmiech.

- Tego nie powiedziałem. Pozwalam ci natomiast tu pozostać, ale pod warunkiem, że nie będziesz przeszkadzać.

- Obiecuję. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, oparła o barierkę i wbiła wzrok w nocne niebo.

- Gdybym była chłopcem, mogłabym zostać żeglarzem.

- Nie mogłabyś.

- Śmiesz mi się sprzeciwiać? - rzuciła żartobliwie, modląc się w duchu, żeby ich rozmowa utrzymała się w lekkim tonie.

- Ty kochasz ziemię - podjął w zamyśleniu. - Patrząc na ciebie, można by pomyśleć, że przypominasz morze: jesteś zmienna, wolna, niezależna. Jednak tak naprawdę masz więcej wspólnego z odwieczną, żyzną glebą.

- Bardzo się mylisz, Devlinie. Ty jesteś o wiele bliższy ziemi.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Zawsze chciałeś zostać żeglarzem?

- Nie.

- Raczysz rozwinąć swoją odpowiedź?

Jego ręce przesuwały się po sterze delikatnie, jakby pieścił ciemne drewno.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że przyjemniej jest prowadzić rozmowę, niż toczyć milczącą wojnę?

- Askeaton od wieków należało do mojego rodu. Kiedyś pragnąłem robić to, czym teraz zajmuje się Sean.

- A potem zginął twój ojciec i wszystko się zmieniło.

- Mój brat ma zbyt długi język. Co jeszcze ci powiedział?

- Że służba w marynarce była dla ciebie środkiem do zdobycia majątku, który miał ci z kolei pomóc w doprowadzeniu do upadku mordercy twojego ojca, czyli mojego stryja.

- To prawda - przyznał.

- Jeżeli sądzisz, że zemdleję ze strachu i popadnę w histerię, to grubo się mylisz.

Uśmiechnął się pod nosem.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że zemdlejesz i będziesz histeryzować, Wirginio - powiedział uwodzicielskim tonem, który nie umknął jej uwagi i uświadomił, że nie może znów wylądować w jego łóżku.

- Co zamierzasz zrobić po wypłaceniu okupu? Zaskoczył ją tym pytaniem, ale wiedziała, po co je zadał. Chciał rozproszyć panujące między nimi erotyczne napięcie.

- Wrócę do domu - odparła bez wahania.

- A jeżeli się okaże, że „Słodki Dereń został sprzedany? - spytał po dłuższej chwili milczenia.

- To wykluczone. Po prostu nie przyjmuję podobnego rozwiązania do wiadomości. Plantacja jest całym moim życiem. Kiedyś należała do rodziców, teraz jest moja, należy mi się z racji urodzenia.

- Musisz jednak liczyć się z najgorszym - wtrącił, spoglądając na nią spod oka. - Kiedy byłem ostatnio w Londynie, zainteresowałem się tą sprawą. W ubiegłym miesiącu plantacja wciąż była wystawiona na sprzedaż.

Ta wiadomość ją zelektryzowała.

- Jeśli się okaże, że nie masz domu, może będziesz zmuszona pozostać w Anglii, u swojego stryja.

- Nigdy w życiu! - wykrzyknęła zapalczywie. - Tak czy owak wrócę w rodzinne strony - dodała po chwili wahania.

- I co będziesz tam robić?

- Nie wiem. - Czuła na sobie baczny wzrok Devlina. - Jeżeli „Słodki Dereń” zostanie sprzedany, poszukam innego źródła dochodu.

- Wciąż jeszcze jesteś dzieckiem - orzekł Devlin łagodnym głosem. - Nie masz należnego doświadczenia, by zostać nauczycielką czy guwernantką, a jakoś nie widzę cię w roli szwaczki. Najlepszym dla ciebie rozwiązaniem będzie zamążpójście.

- Sugerujesz, że miałabym wyjść za Seana? - spytała z niedowierzaniem.

- Za Seana albo jakiegoś Amerykanina.

- Jeżeli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to tylko z miłości.

- Jak mówiłem, jesteś jeszcze dzieckiem, i to na dodatek bardzo naiwnym.

Wirginię znów ogarnął gniew.

- Zapewne w oczach światowca i bywalca salonów twojego pokroju wydaję się dzieckiem. Choć z drugiej strony, tak o mnie nie myślałeś, gdy byłeś ze mną w łóżku.

- Musimy bez końca wywlekać ten incydent? - spytał z irytacją.

Wiedziała, że zaraz popełni poważny błąd, ale nie miała ochoty dłużej się hamować.

- Proszę, powiedz mi tylko jedno, Devlinie - złapała go za rękę - to dla mnie bardzo ważne. Dlaczego po wszystkim tak mnie zostawiłeś bez jednego ciepłego gestu, bez życzliwego słowa?

W jego szarych oczach mignął błysk gniewu.

- Miałem ważne sprawy do załatwienia w Londynie - rzucił gładko, ale oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

- Jesteś tchórzem! - wykrzyknęła. Zesztywniał, niczym ugodzony kulą z muszkietu, po czym spojrzał na Wirginię szeroko rozwartymi oczami.

- Jak mnie nazwałaś?

- Słyszałeś!

- Mężczyzna zapłaciłby za takie słowa życiem.

- W takim razie mam szczęście, że nie jestem mężczyzną - odparła, siląc się na lekki ton.

Nie rozbawił go jej cienki dowcip.

- Samodzielnie stawiałem czoło całym flotom. Zawsze wybierałem walkę, nigdy ucieczkę. Może jestem bezwzględny, zimnym łajdakiem, ale z pewnością nie tchórzem.

- W sprawach osobistych nim jesteś - stwierdziła stanowczo. - Bez przerwy uciekasz, twoje życie na morzu jest ucieczką.

Patrzył na nią z narastającym osłupieniem. Wirginia zaś doszła do wniosku, że posunęła się za daleko. Postanowiła więc spuścić z tonu.

- Stałeś się bezwzględny i bezlitosny, ponieważ miałeś nieszczęście być świadkiem mordu dokonanego na ojcu. To każdego poraniłoby na całe życie - dorzuciła gorączkowo. - Rozumiem, co tobą powoduje!

Pochylił się nad nią z kamienną twarzą.

- Jeżeli jesteś taką znawczynią mojego charakteru, to zapewne zdajesz sobie sprawę z tego, że oczekujesz ode mnie więcej, niż jestem gotów ci zaoferować. Mam szczerą nadzieję, że po załatwieniu okupu wrócisz do Askeaton i poślubisz Seana, który darzy cię głębokim uczuciem, i na zawsze pogrzebiesz przeszłość. -

Wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość. - Red! - warknął. - Zaprowadź pannę Hughes do kabiny.

Pierwszy bosman szybko wbiegł na mostek.

- Nie! - gwałtownie zaprotestowała Wirginia. - Ja już wszystko pojęłam, Devlinie! Wiem, czemu czujesz taki straszny gniew, dlaczego zżera cię obsesja zemsty. Bez względu na to, co powiesz czy zrobisz, nigdy nie będę twoim wrogiem, ale przyjacielem.

- Zabierz ją stąd! - rzucił Devlin groźnym głosem.

- Tak jest, sir! Panno Hughes, kapitan rozkazał...

- Nie boję się ciebie Devlinie O'Neillu. - Wirginia bezpardonowo przerwała bosmanowi. - Najwyraźniej ty boisz się mnie!

Stał zwrócony do niej plecami, teraz jednak gwałtownie się odwrócił.

- Dlaczego mnie prowokujesz? - wysyczał, ku przerażeniu Reda puszczając ster, który bosman gorączkowo pochwycił. - Radzę ci przemyśleć swoje położenie, Wirginio. Doprawdy masz piekielnie dużo powodów, by się mnie bać.

- Nie uda ci się mnie zastraszyć - skłamała. - Jest mi natomiast bardzo przykro z powodu twojego ojca, i to wszystko, co chciałam ci powiedzieć!

Devlin złapał Wirginię za ramię i pchnął w kierunku Reda.

- Natychmiast zabierz ją z mostka! - rozkazał.

25 października, Eastleigh Hall, południe Hampshire.

William Hughes, lord Stuckey, dziedzic Eastleigh, bez pukania wszedł do pokojów ojca. Był człowiekiem po trzydziestce, już nieco otyłym. Miał na sobie elegancki, wiśniowy surdut, wiele pierścieni na palcach i starannie ufryzowane, gęste, ciemne włosy. Na jego twarzy malowało się wzburzenie.

- Ojczy! - wykrzyknął, a w jego niebieskich oczach błysnął gniew.

Hrabia Eastleigh, Harold Hughes, swego czasu wyglądał jak syn. Teraz był zwalisty, z olbrzymią nadwagą, a z powodu pociągu do

tytoniu miał ziemistą, niezdrową cerę. Siwe włosy ściągał w kitkę, a jego twarz okalały gęste, długie bokobrody. Na pierwszy rzut oka wydawał się bogato odziany. Ale uważniejszy wzrok wychwyciłby przetarcia na żakiecie ze złotej lamy, niewywabialne plamy na spodniach i nicowanie pończoch. Lakierki błyszcząły jak lustro, ale były mocno porysowane i o tak cienkich podeszwach, że w każdej chwili mogła się w nich zrobić dziura.

Eastleigh siedział w bawialni za masywnym biurkiem i pisał coś z zapalem. William nie mógł sobie wyobrazić, jakie sprawy mogłyby go tak pochłaniać, skoro od dawna to on wraz z zarządcą, Harrisem, administrował posiadłością, a raczej tym, co z niej pozostało.

Na widok syna Eastleigh odłożył pióro.

- Ojciec. - William stanął nad biurkiem i wówczas zobaczył, że hrabia komponuje list do znajomego, umawiając się z nim na wyścigi konne. To nappełniło go niesmakiem.

- Zdajesz się wzburzony. Czyżbyś przynosił złe wieści?

William wprost trząśnięty z furii. Rodzina znalazła się na skraju ruiny, i to za sprawą jednego człowieka - lorda kapitana Devlina O'Neilla. W zeszłym miesiącu William otrzymał od niego absurdalny list, w którym O'Neill oznajmiał, że w jego domu w Irlandii przebywa amerykańska kuzynka, uratowana z pokładu tonącej „Americany”. „Choć okazuję jej najwyższą gościnność, wkrótce panna Hughes z pewnością zechce wrócić na łono rodziny” - napisał. „Jestem pewien, że to szczęśliwe złączenie z brytyjskimi krewnymi zostanie

zaaranżowane w sposób satysfakcjonujący wszystkie zainteresowane strony".

William nie miał pojęcia, jakie znaczenie kryło się za tą notą. Ojciec przeczytał pismo, podarł je na drobne kawałki i ze stoickim spokojem rzucił w ogień, po czym odmówił jakiegokolwiek dyskusji. Prawdę mówiąc, hrabia uchylał się od wszelkich rozmów na temat O'Neilla od czasu, jak bezczelny kapitan kupił ich dom w Greenwich.

- „Defiance” właśnie wpłynął do portu w Southampton, ojczec. Zapewne ten szaleniec, O'Neill, przybył na lustrację wiejskiego domu. Co zrobimy, jeżeli zechce się w nim zatrzymać na dłuższy czas? Wideacre leży zaledwie kilka mil stąd!

Eastleigh podniósł się z biurka i położył dłoń na ramieniu syna.

- O'Neill ma święte prawo przebywać w swoim wiejskim domu, jeżeli taka jego wola.

William zrzucił ojcowską rękę i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Do wszystkich diabłów! Wiedziałem, że ta kreatura wcześniej czy później się tu zjawi, by się z nas naigrawać. Niech piekło pochłonie tych głupców w admiralicji! Jak mogli znowu przymknąć oko na jego występki! Nie pojmuję, jakim cudem się wywinął. Tom przysięgał, że tym razem srogo zapłaci za niesubordynację.

Eastleigh ze spokojem splótł dłonie na brzuchu.

- Nie rozumiem, czemu się tak unosisz. To nie nasza sprawa, gdzie rezyduje ów człowiek.

William spojrział na ojca z niedowierzaniem.

- On nas obrabował z domu w Greenwich! Żyje tam teraz bez mała jak król! Ukradł Tomowi kochankę, po czym chełpliwie rzucił mu to w twarz! A do tego jeszcze dowiedziałem się, że hrabina... - Urwał gwałtownie.

- Co hrabina? - Eastleigh uniósł pytająco brwi. William się opamiętał. Rok temu odkrył, że macocha ma romans ze znienawidzonym piratem. Wpadł wówczas w taką wściekłość, że wprost ją o to oskarżył. Hrabina naturalnie wszystkiemu zaprzeczyła, ale William wynajął szpiega, który potwierdził jego przypuszczenia. William nie mógł tylko zrozumieć jednego: czemu ten przeklęty pirat postanowił zostać cierniem w boku jego rodziny. Można by odnieść wrażenie, że Hughesowie są jego odwiecznymi wrogami, tyle że to nie miało najmniejszego sensu.

- Nic ważnego - odparł William, krzywiąc się. - Czyżbyś już zapomniał o tym niedorzecznym liście? - spytał spokojniejszym głosem.

- Oczywiście, że nie. Może O'Neill zamierza przyprowadzić do nas córkę mojego zmarłego brata? Jeżeli ona rzeczywiście pozostała przy życiu, mamy wobec niego szczególny dług wdzięczności za wyratowanie jej od śmierci, nie sądzisz?

- Wirginia Hughes była na pokładzie statku, który zatonął w czasie sztormu. Wiemy, że nikt nie ocalał z katastrofy. Jeżeli Devlin O'Neill utrzymuje, że dziewczyna przebywa w jego domu, to zapewne chce nas wystrychnąć na dudka. Jakaś podstawiona przez niego

kobieta będzie próbowała wyciągnąć od nas pieniądze. Nie mamy na zbyciu ani pensa - rzucił ostrzegawczym tonem.

- Nie mamy pieniędzy na zbyciu, ale jeżeli ten człowiek rzeczywiście ocalił życie mojej bratanicy, chyba należy mu się gratyfikacja - rzekł Eastleigh nonszalanckim tonem, bawiąc się sztyletem o perłowej rękojeści, który służył mu do otwierania listów.

Niewiele brakowało, a William zacząłby rwać sobie włosy z głowy.

- Ojczy! O'Neill od lat niszczy naszą rodzinę. Ukradł już niemal wszystko, co było drogie naszym sercom, chociaż nie mamy pojęcia, dlaczego tak się na nas zawziął. Chcesz go nagradzać?! Za tym kryje się kolejna intryga. Wirginia Hughes utonęła, a O'Neill podsunie nam jakąś aktorkę, by wyrwać resztki naszej krwawicy!

- Masz wybujałą wyobraźnię, mój chłopczy.

Eastleigh podszedł do okna, wciąż bawiąc się sztyletem. Powiódł wzrokiem po trawnikach swego czasu idealnie wypielegnowanych, teraz zaniedbanych, zarośniętych zielskiem oraz po ogrodach niegdyś cieszących oko bogactwem form i kolorów, a obecnie obumarłych, zdławionych przez chwasty. Przycisnął palec do czubka sztyletu. Na widok krwi hrabia uśmiechnął się mściwie.

- Poślę po Thomasa - zdecydował William. - Jestem pewien, że O'Neill zaprosi nas do Wideacre, by przedstawić uzurpatorkę. My jednak nie mamy środków na utrzymanie kolejnej osoby, pojmujesz to chyba, ojczy?

Williama zupełnie nie obchodziło, czy dziewczyna znajdująca się pod opieką O'Neilla jest czy też nie jest jego kuzynką. Dla niego Wirginia Hughes spoczywała na dnie morza, co w obecnej sytuacji należało uznać za bardzo szczęśliwą okoliczność.

Eastleigh zwrócił się do syna:

- Doskonale, ściągnij Thomasa. Będziecie mogli wspólnie lamentować nad utratą naszej rodowej fortuny. - Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały lodowate.

William wydał z siebie pomruk niezadowolenia i wybiegł z pokoju.

Dopiero wówczas Eastleigh dał upust furii. Wbił sztylet w ścianę, po czym nienawistnym wzrokiem wpatrywał się w drgającą broń.

- A więc sądzisz, że jeszcze raz uda ci się mnie dopaść? - powiedział do siebie. - Nie obchodzi mnie los mojej bratanicy, więc w żadnym razie nie zapłacę okupu, którego się domagasz.

Gwałtownym ruchem wyrwał sztylet z tynku.

- Nie jestem takim głupcem jak moi synowie. Ta wojna jeszcze nie dobiegła końca.

Oczami wyobraźni ujrzał siebie ścinającego głowę Devlina O'Neilla, tak jak uczynił to przed wieloma laty z jego ojcem. Nic nie sprawiłoby mu teraz większej przyjemności.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Wciąż nie pojmuję, czemu przed złożeniem wizyty mojemu stryjowi nie mogliśmy zajechać do twojego domu - powiedziała Wirginia ściszonego głosem.

Przeprawa z Irlandii do Southampton trwała dwa i pół dnia, na dodatek zbliżał się wieczór. Po pamiętnej rozmowie na kapitańskim mostku Wirginia nie miała okazji zamienić z Devlinem ani słowa. Przez cały czas podróży w ogóle nie zaglądał do kabiny, a gdy Wirginia wychodziła na pokład, stał przy sterach. Musiał też wydać zakaz wpuszczania jej na mostek, bo ilekroć zmierzała w jego stronę, kilku marynarzy zastępowało jej drogę.

Teraz, gdy stali w holu rezydencji Eastleighów, też nie zareagował na jej słowa. Wirginia bolała, że nie mogła ogarnąć się po podróży, ponieważ bardzo chciała wyrzeć jak najlepsze wrażenie na stryju, od którego tak wiele zależało w jej życiu.

Uderzyła ją jeszcze jedna myśl: co się stanie, gdy sprawa okupu zostanie załatwiona od ręki? Pewnie spędzi nadchodzącą noc w posiadłości stryja i nigdy więcej nie ujrzy Devlina O'Neilla. Gdy to sobie uświadomiła, poczuła bolesny skurcz w sercu.

- Ja naprawdę powinnam się odświeżyć...

- Twój wygląd nie budzi zastrzeżeń - oznajmił, nawet na nią nie spoglądając, wyraźnie zaprzątnięty innymi problemami.

- Zależy mi na tym, żeby wyrzeć na stryju korzystne wrażenie - szepnęła.

W końcu skierował na nią wzrok.

- Dlaczego? - spytał beznamiętnie. - Przecież Eastleigh to zwykły szubrawiec i morderca.

- Wiesz, że bez jego pomocy stracę „Słodki Dereń”. Poza tym, choć nie znam zupełnie bliższych okoliczności śmierci twojego ojca, jestem pewna, że nie została mu zadana z rozmysłem. To zapewne nieszczęśliwy wypadek, który przez lata wyolbrzymiłeś w swojej wyobraźni.

Oczy Devlina rozbłysły gniewem.

- Kiedy ktoś ścina głowę związanemu człowiekowi, robi to z całkowitym rozmysłem, Wirginio - oświadczył lodowatym tonem.

Te słowa ją sparaliżowały. Przed oczami stanął jej obraz krwawej egzekucji.

- Twojemu ojcu... ścięto głowę?

- Właśnie - potwierdził. - Widziałem ten barbarzyński czyn na własne oczy, podobnie jak moja nieszczęsna matka.

- O Boże - jęknęła Wirginia i odruchowo chwyciła go za rękę. Przez chwilę patrzył na jej dłoń, po czym ją strząsnął.

- Nie jest to czas ani miejsce na omawianie okoliczności śmierci mojego ojca. Czy wyraziłem się dość jasno? Możesz powitać stryja i kuzyna, jak chcesz, ale wyjaśnienia pozostaw mnie.

Wciąż była w szoku. Jednocześnie zalała ją fala współczucia dla Devlina i jego matki. Jej własny stryj dopuścił się tak haniebnego czynu? Jak to możliwe?

Nagle w holu pojawił się mężczyzna w wiśniowym surducie, o wyniosłej postawie i zimnych, niebieskich oczach. Wirginia od razu się zorientowała, że nie mógł to być hrabia, ponieważ ten człowiek miał około trzydziestu lat.

- Kapitanie O'Neill - odezwał się z uśmiechem, który przypominał złowrogie szczyrzenie zębów. - Witam w Eastleigh - mówiąc to, skłonił się dwornie.

Devlin skinął głową.

- Dobry wieczór - przywitał się uprzejmie. - Właśnie przybyliśmy do Southampton, żeby udać się do mojej wiejskiej posiadłości. Jednak twoja kuzynka nie mogła doczekać się spotkania z rodziną, postanowiłem więc zadośćuczynić jej życzeniu i przywieźć tu bez zbędnej zwłoki. Poznaj, proszę, pannę Wirginię Hughes.

William spojrział na dziewczynę z miną wyrażającą zdziwienie.

- A mnie doszły wieści, że panna Hughes poszła na dno wraz z „Americana”! - wykrzyknął. - Podobno nikt nie ocalał z katastrofy.

- Twoje wiadomości były nieprawdziwe. Jak widzisz, panna Hughes jest cała i zdrowa.

- To ja we własnej osobie, kuzynie - odezwała się Wirginia, która teraz dałaby wiele, żeby znajdować się jak najdalej od tego miejsca. - Nie podzieliłam losu nieszczęsnego okrętu i jego załogi.

- Ale jakimże to cudem? - rzucił William ironicznie. - Oficjalny komunikat marynarki głosi, że nikt z płynących na „Americanie” nie przeżył sztormu.

Teraz Devlin przybrał zdumiony wyraz twarzy.

- Czyżbyś oskarżał pannę Hughes o kłamstwo, lub, co gorsza, o niecne oszustwo?

- Nikogo o nic nie oskarżam - odparł William z szerokim uśmiechem. - Proszę mi wybaczyć panno... hm... Hughes, jeżeli sprawiłem takie wrażenie.

- Jedna osoba wyszła cało z kataklizmu - oznajmił gładko Devlin, zanim Wirginia zdążyła otworzyć usta. - A ja wiem to najlepiej, ponieważ osobiście eskortowałem pannę Hughes z pokładu „Americany” na mój okręt.

- Cóż za niezwykła historia! - wykrzyknął William. - I jakże różna od oficjalnej wersji wydarzeń.

- Proponuję, żebyś sprowadził hrabiego - odparł na to Devlin. Nie była to jednak sugestia, ale zdecydowany nakaz.

- Tak właśnie uczynię - zgodził się William i z widoczną ulgą opuścił hol.

Devlin spojrzał badawczo na Wirginię, która poczuła się upokorzona.

- On uważa mnie za oszustkę - wyszeptała ze zgrozą.

- Doskonale wie, że jesteś jego kuzynką - stwierdził Devlin z uśmiechem satysfakcji. - Niemniej do upadłego będzie utrzymywał, że utonełaś, by uniknąć konieczności zapłaty okupu i późniejszego finansowego wsparcia, które słusznie ci się należy.

- Nie mogliśmy odłożyć rozmowy z moim stryjem na później?
- szepnęła błagalnie.

- W żadnym razie. I tak zbyt długo zwlekałem. Nie marzysz o poznaniu stryja i odzyskaniu wolności?

- Nie w taki sposób. Spójrz tylko, jak bardzo są zubożali. - Powiodła ręką wokół holu.

Ściany rzeczywiście gwałtownie wymagały odmalowania, marmur na posadzce był spękany, a jedno spojrzenie w głąb salonu wystarczyło, by stwierdzić, że wszystkie sprzęty są mocno sfatygowane.

Jak w tej sytuacji stryj mógłby zapłacić okup, nie mówiąc już o uiszczeniu długów „Słodkiego Derenia”?

W holu rozległo się echo kroków. Wirginia odwróciła się i ujrzała wysokiego, zwalistego mężczyznę o ziemistej cerze, schodzącego powoli ze schodów w towarzystwie Williama. Devlin i Eastleigh spojrzeli sobie prosto w oczy i atmosfera natychmiast zgęstniała.

- Kapitanie O'Neill. Jakże miło, że pan postanowił złożyć nam wizytę.

- Milordzie - odezwał się Devlin, skłaniając nieznacznie głowę. Hrabia zwrócił się w stronę Wirginii, która pospiesznie dygnęła.

- A to moja... bratanica? Wirginia skoczyła do przodu.

- Tak jest, milordzie. To ja, Wirginia Hughes, jedyna córka i dziedziczka twojego brata!

Spojrzenie hrabiego, zimne i przeszywające, wzbudziło w Wirginii nieokreślony lęk.

- Powiedziano mi, że nikt nie przeżył katastrofy - rzekł cicho.

Nieprzyjemne odczucia związane ze stryjem wciąż jej nie opuszczały, odezwała się jednak śmiało:

- Kapitan O'Neill mnie ocalił, milordzie, i to dwukrotnie. Kiedy nadciągał sztorm, zabrał mnie na pokład swojego okrętu, bo tam byłam bezpieczniejsza. - Nigdy nikomu by nie powiedziała, że Devlin zaatakował „Americanę”. - Gdyby tego nie uczynił, teraz znajdowałabym się na dnie morza. Nawałnica była tak potężna, że niewiele brakowało, a wypadłabym za burtę, ale wówczas kapitan O'Neill ponownie pospieszył mi z pomocą, za co pozostanę mu dożgonnie wdzięczna.

Devlin wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, Eastleigh natomiast mierzył ją uważnym wzrokiem.

- Przez ten cały czas byłaś gościem mojego przyjaciela, kapitana.

- Nie nazwałabym tego gościem - szepnęła, ale Eastleigh zdawał się nie słyszeć jej słów. Zerknęła na Devlina i w jego oczach ujrzała błysk typowy dla drapieźników tuż przed tym, zanim skoczą na swoją ofiarę.

- Sir... milordzie... stryju! - Chwyciła hrabiego za pulchne, wilgotne dłonie. - Błagam, powiedz, że „Słodki Dereń” nie został jeszcze sprzedany!

Eastleigh zabrał dłonie z jej rąk i spojrzał na syna.

- Czy pozbyliśmy się plantacji?

- Niestety, nie.

Wirginia ostatnim wysiłkiem woli się powstrzymała, by nie krzyknąć ze szczęścia.

Trzej mężczyźni spojrzeli na nią zdziwieni, po czym rozległ się głos Devlina.

- Milordzie, chciałbym z panem porozmawiać... w cztery oczy, jeśli łaska.

- Obawiam się, że jesteśmy spóźnieni na proszoną kolację. Proponuję, byś przybył tu, kapitanie, w przyszłym tygodniu - odparł Eastleigh ze swoim nieodłącznym, dobrotliwym uśmiechem.

- Ja jednak nalegam.

Eastleigh zastygł niczym posąg, a po chwili odezwał się tak cicho, że Wirginia z ledwością go usłyszała.

- Twoje gierki zaczynają być bardzo męczące. Zaczynam mieć ich serdecznie dosyć.

- O ile nie chcesz, żeby na światło dzienne wyszły pewne niedyskrecje hrabiny, poświęcis mi teraz chwilę czasu.

Wirginia nie miała pojęcia, o czym Devlin opowiada, za to William aż się zatchnął i pobladł jak płótno. Dla odmiany na twarzy Eastleigha wykwitły czerwone, apoplektyczne plamy.

- Poślę po konstabla! - wykrzyknął nagle William. - Ten człowiek nie ma prawa wdzierać się do naszego domu, stawiać nam przed oczy jakąś uzurpatorkę, a na dodatek rzucać oszczercze oskarżenia pod adresem hrabiny.

- Jak na razie jeszcze nie rzuciłem żadnych oskarżeń, a jedynie zagroziłem, że to zrobię - zauważył ze spokojem Devlin.

- Nikt nie będzie przywoływał konstabli - dławiąc się, zarządził Eastleigh. - Powiedz, po coś tu przyszedł, O'Neill, i wyjdź, zanim zostaniesz wyrzucony.

Ta uwaga najwyraźniej rozbawiła Devlina.

- A jak niby zamierzałyś mnie wyrzucić? - spytał i wybuchnął śmiechem.

Wirginia natychmiast dostrzegła absurdalność całej sytuacji. Ten stary człowiek i jego wymuskany syn nigdy w życiu nie daliby rady Devlinowi, który bez mrugnięcia okiem atakował i niszczył całe formacje statków.

- Powinniśmy już iść - rzuciła nerwowo. Devlin jednak jej nie słuchał; żaden z mężczyzn nie zwracał już na nią uwagi.

- Wirginia pragnie znaleźć się na łonie rodziny. Twoja szczodrość jest szeroko znana, milordzie, chciałbym więc omówić z tobą sprawę nagrody, jaką zamierzasz mnie obdarzyć - rzucił Devlin niemal kpiąco.

Eastleigh sprawiał takie wrażenie, jakby miał ochotę udusić Devlina własnymi rękami. Był teraz fioletowy na twarzy.

- Nagrody?! - oburzył się William. - Ten człowiek żąda od nas okupu! - wykrzyknął. - Oho, za to zapłacisz gardłem! Nawet ty nie możesz bezkarnie porwać kobiety wysokiego rodu i bezczelnie żądać pieniędzy za jej wydanie!

Tymczasem Eastleigh i Devlin patrzyli sobie w oczy i gdyby wzrok mógł zabijać, obaj padliby martwi.

- Nikt nie wezwie konstabli - powtórzył stanowczo hrabia. - Ty zaś, Williamie, nikomu słowem nie wspomnisz o tej sprawie, nawet swojemu bratu. Zrozumiano?!

- Ależ... - zaprotestował William.

- Nie domagam się okupu - wtrącił Devlin niebezpiecznie miękkiem głosem. - Oczekuję jedynie pokrycia poniesionych przeze mnie znacznych wydatków, które umownie nazwiemy nagrodą. Piętnaście tysięcy funtów załatwi sprawę. - Obrócił się na pięcie. - Idziemy, Wirginio. Na dzisiaj zakończyliśmy tutaj nasze sprawy.

Chwycił ją pod rękę. Wirginia zerknęła jeszcze przez ramię i zobaczyła, że Eastleigh gotuje się z bezsilnej furii, William zaś sterczy w bezruchu jak osłupiały. Piętnaście tysięcy funtów! To niewyobrażalna kwota, którą Eastleigh z pewnością nie dysponował.

Byli już przy drzwiach, gdy rozległ się głos hrabiego.

- Nie zapłacimy ci, O'Neill. Tym razem przegrałeś, ponieważ nie zależy mi na tej dziewczynie. Możesz ją sobie zatrzymać - dorzucił i wybuchnął śmiechem.

Wirginia wcisnęła się w kąt powozu. Devlin tymczasem kazał uwiązać stangretowi swojego konia do pojazdu, sam zaś usadowił się obok Wirginii, po czym stuknął w ściankę i powóz się potoczył po nierównej drodze.

Wirginia spojrzała na Devlina. Z zaciętą twarzą pograżył się w myślach. Trudno było stwierdzić, co sądził o odmowie zapłaty okupu. Za to Wirginią wstrząsnął ten fakt. Nie ulegało wątpliwości, że Eastleighowi był całkiem obojętny jej los. Nigdy nie widziała u nikogo tak

zimnych oczu jak u stryja, może za wyjątkiem Devlina. Chociaż nie, oczy Eastleigha wyrażały większą bezwzględność. Obaj mężczyźni nienawidzili się i teraz znaleźli się w impasie: Devlin żądał pieniędzy, hrabia mu ich odmawiał. Czy cokolwiek mogłoby skłonić Devlina do poniechania dalszej zemsty? Wirginia bardzo w to wątpiła.

- To musi się skończyć! - powiedziała stanowczo.

- Skończy się wtedy, gdy ja tak zdecyduję.

- Czy nie masz dość? Nie wystarczy ci to, co już osiągnąłeś?

Mój stryj jest bankrutem. Doprowadziłeś go do ruiny. Czemu chcesz dalej ciągnąć tę grę? Dlaczego tracisz życie na pogrążaniu się w nienawiści i żądzy zemsty?

- Pewnego razu powiedziałaś, że gdyby ktoś zamordował twojego ojca, starałabyś się własnoręcznie zabić sprawcę.

- Nie sądzę, bym w rzeczywistości była do tego zdolna.

- Z pewnością byś była. Pod tym względem niewiele się różnimy.

- Różnimy się, i to bardzo! Mam tysiące powodów, by cię nienawidzić i szukać na tobie pomsty. Jednak nie nienawidzę ciebie i nigdy nie zrobię niczego, by cię skrzywdzić. Nikomu nie powiem, co naprawdę zrobiłeś. Jak widzisz, rozmyślnie rezygnuję z zemsty. Po prostu się nie zgadzam, by chęć odwetu rządziła moim życiem.

- Jestem to winien mojemu ojcu.

- Twój ojciec nie żyje! Jest martwy od wielu lat! Devlin, ich nie stać na zapłacenie okupu, a nawet gdyby mieli te pieniądze, i tak by ci

ich nie dali. Przecież ktoś, kto jak ty zna się na ludzkich charakterach, musi to widzieć.

Zaciął się w milczeniu. Natomiast Wirginię ogarnęły złe przeczucia. Devlin bez wątpienia snuł nowe plany, które z niejasnego powodu wzbudzały w niej lęk. Może popadł w szaleństwo. Czyż ostatecznie „obsesja” nie była terminem medycznym, oznaczającym psychiczną chorobę? Co się z nim stanie? Gdybyż tylko mogła się tym nie przejmować. Czy można jednak mieć pewność, że Eastleigh rzeczywiście nie zwróci się do władz i nie wsadzi Devlina za kraty? Devlin tak bardzo kochał wolność, morze, powiew wiatru na twarzy - uwięzienie mogłoby go zabić.

Choć niewykluczone, że ktoś, kto się nie boi śmierci, nie odczuwa także lęku przed ciemnicą. Jedno nie ulegało wątpliwości: Devlin nie sprawiał wrażenia człowieka zaniepokojonego rozwojem wypadków. To ona się o niego martwiła, chociaż tak naprawdę powinna kłopotać się własną przyszłością, która w tej chwili rysowała się w niezwykle ciemnych barwach.

Posiadłość Eastleigha dawno pozostała w tyle. Przejeżdżali przez niewielkie miasteczko zabudowane kamiennymi, pobielanymi domami, ze sklepami na parterze i częścią mieszkalną na piętrze. Stał tu także kościół wzniesiony w czasach Normanów i nigdy nie-poddany przebudowie ani restauracji. Po opuszczeniu miasteczka skręcili z głównej drogi i przejechali przez zardzewiałą, kutą bramę. Po chwili ich oczom ukazał się duży trawnik i skromny, piętrowy dom, za którym widniała zaniedbana powozownia. Wirginia wprost

nie mogła uwierzyć, że tak zapuszczona, uboga siedziba może należeć do Devlina.

On jednak bez wahania wyskoczył z powozu, pomógł jej wysiąść, a potem przystanął i krytycznym wzrokiem obrzucił dom. Wirginia zrozumiała wówczas, że Devlin także go widzi po raz pierwszy w życiu. W końcu wziął Wirginię pod ramię i poprowadził kamienną dróżką w stronę wejścia.

Drzwi się otworzyły, zanim zdążyli do niech dojść, i w progu stanęło dwoje ludzi.

- Lord kapitan O'Neill? - odezwała się kobieta w średnim wieku. Była wysoka, szczupła i ciemnowłosa, ubrana w czerń typową dla służącej.

Devlin skinął głową.

- Pani Hill, gospodyni, jak przypuszczam? Uśmiechnęła się powściągliwie.

- Tak jest. Oczekiwaliśmy pana, milordzie. Mam nadzieję, że dom przypadnie panu do gustu.

- Rozejrzę się i dam znać - rzucił Devlin.

- Sir? Ja jestem Tompkins, kamerdyner - przedstawił się drobny, starannie ubrany mężczyzna, stojący u boku pani Hill. - Bardzo się cieszymy, że raczył pan zawitać do swojej posiadłości, milordzie.

- Weźcie bagaże i zanieście do moich pokojów. Wirginia spojrzała na niego ze zdumieniem. A co z jej kuferkiem?

- Oto panna Hughes - przedstawił ją Devlin.

Gospodyni i kamerdyner powitali Wirginię uśmiechem. Pani Hill zdawała się spięta, natomiast Tompkins wręcz przeciwnie: otwarty i jowialny.

- Pannie Hughes nie może braknąć ptasiego mleka - zarządził Devlin. - Jest moim bardzo szczególnym gościem i wszystkie jej prośby mają być natychmiast spełnione.

Wirginia spojrzała na niego zdjęta jak najgorszymi przeczuciami. Do czego on tym razem zmierza?

- A gdzie mamy zanieść bagaże panienki? - zapytał Tompkins.

- Jak to gdzie? Do moich pokoi, naturalnie. Zapanowało pełne konsternacji milczenie. Wirginia już miała zaprotestować, ale w tej samej chwili Devlin chwycił jej rękę i uniósł do ust. Wirginii zdawało się, że śni. Tymczasem Devlin czule ucałował jej dłoń suchymi, gorącymi ustami.

Wirginię natychmiast przeszył niebezpieczny dreszcz pożądania.

- Do pańskich... hm... pokojów, sir? - powtórzył Tompkins, rumieniąc się gwałtownie.

- Owszem, panna Hughes będzie dzielić ze mną apartament. - Devlin uśmiechnął się do Wirginii uwodzicielsko.

Wirginia nagle zrozumiała, co się święci.

- Devlin... - zaczęła słabym głosem.

- Cicho, kochanie - powiedział i z radosną miną zwrócił się ku służącym. - Pani Hill, panie Tompkins, poznajcie pannę Wirginię Hughes, moją metrese.

Część druga

Transakcja

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wirginia nie była w stanie ukryć zdumienia. Czowała, że nieelegancko rozdziawia usta i wybałusza oczy. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, pani Hill przybrała surową minę, a Tompkins zarumienił się jeszcze bardziej.

- Chodź, kochanie - powiedział Devlin i pociągnął Wirginię za rękę.

Ogarnęła ją wielka złość. Nie ruszyła się z miejsca, tylko posłała swojemu prześladowcy mordercze spojrzenie. Co też on najlepszego wyprawia?!

Devlin nie baczył na jej gniew. Uniósł ją w ramionach i wniósł do domu.

- Nie sprzeciwiaj mi się - mruknął - i nie próbuj wierzgać nogami.

- Zrobię coś po stokroć gorszego! Postaw mnie natychmiast na ziemi...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

To całkowicie zaskoczyło i oszołomiło Wirginię. Gniew zniknął, rozchyliła wargi i objęła mocno Devlina za szyję. Trzymając ją na

rękach, wbiegł lekko po schodach. Na podeście zatrzymał się i rozejrzał na boki.

- Puść mnie, proszę - powiedziała spokojnie, chociaż była cała rozedrgana.

- Bądź cicho - nakazał - i przestań się wiercić.

- Ja się nie wiercę. Ja tylko...

Wszedł do pokoju i po swoim cieple zsunął Wirginię na podłogę. Wówczas poczuła, że on także jest podniecony, że jej pożąda. Jak ona sobie poradzi z tą sytuacją?

Devlin zamknął starannie drzwi, a potem powiedział cichym głosem:

- To tylko gra pozorów. Będę spał... - rzucił okiem po pokoju - ...na podłodze - dokończył z rezygnacją w głosie.

- Słucham? - Nie była pewna, czy dobrze słyszy. W sypialni znajdowało się wielkie łóżko, fotel, dwa stoliki i komoda. To wszystko.

Wirginia modliła się w duchu, żeby ten mężczyzna przestał ją tak hipnotycznie pociągać.

- Co ty wyczyniasz?

- Niestety, będę musiał odwołać się do prowokacji, bo tylko w ten sposób mogę wymóc na twoim stryju zapłatę okupu - odparł beznamiętnie. - Będiesz mieszkać wraz ze mną, jakbyś była moją metresą. Przy ludziach będziemy odgrywać parę bezwstydných kochanków. Oczekuję od ciebie pełnej współpracy - dorzucił ostrzegawczym tonem. - Przypominam, że w twoim interesie leży jak najrychlejsze uwolnienie. W końcu Eastleigh nie zniesie, że tak

publicznie się z tobą afiszuję, i skapituluję. A im szybciej to nastąpi, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Wirginia osłupiała.

- Bardzo żałuję, że nie mogliśmy bezboleśnie i od ręki załatwić transakcji - dodał Devlin.

Potrzebowała dłuższej chwili, by w pełni pojąć istotę tego diabolicznego planu.

- Mamy udawać, że jesteśmy kochankami? Będziemy dzielić tę sypialnię? Zrujnujesz moją reputację w oczach całego świata, ale nie zamierzasz ze mną sypiać? - spytała z niedowierzaniem.

- Owszem, tak mniej więcej przedstawia się mój plan - przyznał.

- Żaden dżentelmen nie afiszuje się ze swoją kochanką i nie oprowadza jej po towarzyskich salonach.

- To jedyny sposób zmuszenia Eastleigha do zapłaty.

- Jak możesz mi wyrządzać taką krzywdę? - Sean jednak nie miał racji. Devlinowi na niej nie zależało, w innym bowiem wypadku nie narażałby jej na publiczne potępienie.

„Może ty będziesz tą jedyną, która zdoła ocalić jego duszę”.

To wykluczone. Sean się pomylił. Wirginia jest Devlinowi obojętna, poza tym on nie ma duszy, skoro w tak okrutny, bezlitosny sposób zamierza wykorzystać bezbronną kobietę.

- Dobrze wiesz, co mnie popycha do takiego postępowania - powiedział Devlin oschle. - Nie zamierzałem rozgrywać tej potyczki twoim kosztem, ale teraz nie mam wyboru. Zadałem sobie zbyt wiele trudu, żeby spokojnie patrzeć, jak Eastleigh śmieje mi się w twarz i

odmawia wypłaty. - Devlin odwrócił się, bo nie był w stanie spojrzeć Wirginii w oczy.

- Ależ oni są już praktycznie bankrutami! Nie mogą ci zapłacić, to zupełnie oczywiste! - Musiała usiąść, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa. - A nawet... gdyby mogli... dlaczego rozprawiasz się z nimi moim kosztem?

- Mogą sprzedać rodowe ziemie, Wirginio, lub zwiększyć dług na hipotecę czy też zająć się energiczniej zbyciem „Słodkiego Derenia”. Zresztą, nie moja sprawa, jak zdobędą pieniądze. - Sztywnym krokiem ruszył w stronę drzwi. - Co zaś tyczy się drugiej kwestii; oboje wiemy, że nie dbasz o to, co myślą o tobie ludzie. Ostatnie pięć miesięcy spędziłaś bez przyzwoitki w Askeaton. Poza tym nie czarujmy się, gdybym uczynił z ciebie kochankę, byłabyś zachwycona. Porzuć więc tę pozę oburzonej, zranionej niewinności.

Z niewiadomych przyczyn Devlin cały się trząsł. Wirginia nie miała pojęcia, co wytrąciło go z równowagi, i prawdę mówiąc, wcale jej to nie obchodziło.

- Nikt nie wiedział o moim pobycie w Askeaton, a miejscowi uważali mnie za twoją narzeczoną. Ranisz mnie tym, że za nic masz moje dobre imię, że jesteś gotów mnie zniszczyć, byle osiągnąć swój cel. Poświęcasz mnie dla zemsty.

Odwrócił się. Fiołkowe oczy były pełne łez. Wirginia patrzyła na niego w taki sposób, jakby wobec niej dopuścił się najgorszej zdrady. Przez chwilę Devlin nienawidził samego siebie za to, co robi.

Niespodziewanie poczuł impuls, żeby się wycofać, uwolnić tę dziewczynę i raz na zawsze zakończyć krucjatę.

Jednak moment później w uszach zadźwięczał mu zimny śmiech Eastleigha i zobaczył martwe oczy ojca, wycierające z uciętej głowy.

Morderca nie może wygrać. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

- Dramatyzujesz - powiedział spokojnie. - Przecież nie zamierzam robić z ciebie swojej kochanki. A gdy to wszystko się skończy, rozgłoszę, że była to wielka mistyfikacja, mająca na celu upokorzenie twojego stryja. Jeżeli natomiast wrócisz do Wirginii, to, co tutaj się wydarzy, nie będzie miało żadnego znaczenia, bo tam nikt o niczym się nie dowie. - Mówiąc to, zdawał sobie sprawę, że ta próba racjonalizacji jest, delikatnie mówiąc, żalosna.

Uniosła hardo głowę, ale odezwała się cichym, miękkim głosem:

- Gdybyśmy naprawdę byli kochankami, pilnie strzegłbyś mojej reputacji i nie dopuścił, by ktokolwiek dowiedział się o romansie.

Miała rację. Poczuli się tak, jakby ktoś zadał mu dotkliwy cios.

- Nie widzę różnicy - skłamał - i nie mam innego wyjścia.

- Zawsze jest inne wyjście, Devlinie. Skąd pewność, że jak zaczniesz szargać moje dobre imię, Eastleigh ci zapłaci, nawet jeśli zdoła w taki czy inny sposób zdobyć gotówkę?

Chwycił za gałkę w drzwiach.

- To będzie dla niego kwestia honoru. Zapłaci, już ja się o to postaram - odparł, nie odwracając głowy, po czym wyszedł najszybciej, jak mógł.

Wirginię zdjął strach.

Teraz stało się jasne, że Devlin jest tak opętany żądzą zemsty, iż nie cofnie się przed niczym. „Proszę, żebyś uratowała mojego brata”.

- Sean, nie prześladuj mnie więcej! - wykrzyknęła Wirginia, uderzając dłonią w wodę, aż wychlusnęła z wanny. - Jego nikt i nic nie może uratować.

Ale czy rzeczywiście? Czy można powiedzieć, że ktoś jest zgubiony, skoro jeszcze żyje na tym świecie? Wirginia nie wiedziała, co robić. Od czasu, gdy znalazła się na pokładzie „Defiance”, była pionkiem w rękach Devlina, przestawianym z miejsca na miejsce wedle jego widzimisię. Teraz pojawił się nowy manewr w grze, który jedynie dowodził, jak bardzo jest mu obojętna.

Boże, powinna nienawidzić tego człowieka, a tymczasem czuła dla niego współczucie; współczucie dla małego chłopca, który był świadkiem morderstwa dokonanego na ojcu, i dla mężczyzny, na którego wyrósł ten chłopiec.

Wyszła z wanny, owinęła się ręcznikiem i stanęła przed kominkiem. Nie miała wpływu na prowadzoną przez Devlina grę, ale była dość silna, żeby jej sprostać. Poza tym rzeczywiście Wirginii nie obchodziło, jak osądzają ją inni.

Nagle uderzyła ją szczególna myśl: czemu nie miałyby go przechytryć? Poddać się regułom jego gry, ale prowadzić ją tak, żeby osiągnąć własny cel?

Szybko zaczęła wciągać na siebie ubranie. Teraz najbardziej zależało jej nie na odzyskaniu wolności i powrocie do „Słodkiego

Derenia". Obecnie jej największym pragnieniem było zdobycie miłości Devlina.

Problem w tym, że przecież on nie potrafił kochać. Czy musi pragnąć czegoś, co nieosiągalne?

Nie uważa się za piękną, godną pożądania kobietę. Jak więc może myśleć o usidleniu tak niezwykłego mężczyzny?

Cóż jej jednak innego pozostało? Miała powrócić do Ameryki lub zostać w Anglii i poślubić Seana? To niemożliwe.

Jednak zakochała się w Devlinie i musi zrobić wszystko, co w jej mocy, aby ocalić jego duszę, a przy okazji sprawić, żeby odwzajemnił jej uczucie.

Wirginia zeszła na dół zaprzątnięta obmyślaniami planu działania na najbliższe dni.

- Czy ma pani jakieś życzenia, panno Hughes? Wirginię wyrwał z rozmyślań głos pani Hill, w którym protekcjonalność mieszała się z ugrzecznością.

- O ile to możliwe, proszę o odświeżenie niebieskiej sukni - odparła Wirginia.

- Naturalnie. Zaraz wydam odpowiednie dyspozycje służącej - odparła gospodyni z wymuszonym uśmiechem. Z jej ciemnych oczu wyczierała dezaprobata, ale Wirginia udała, że tego nie dostrzega.

- Gdzie jest kapitan? - zapytała uprzejmym tonem.

- W bibliotece - poinformowała pani Hill i spojrzała na Wirginię takim wzrokiem, jakby podejrzewała, że dziewczyna szuka Devlina, by oddawać się nieprzystojnym igraszkom. Wirginia ze zdumieniem

odkryła, że cudza niechęć i ostry osąd jednak sprawiają jej przykrość. Szybko wytłumaczyła sobie, że ludzkie opinie, a w szczególności pani Hill, nie powinny mieć dla niej żadnego znaczenia. Ostatecznie na pensji Marmott wszystkie dziewczęta patrzyły na nią z góry i uważały za nieokrzesaną prowincjuskę.

Roztrząsanie niemiłych wspomnień nie miało sensu. Wirginia uniosła dumnie głowę i ruszyła przez zapuszczony salon, mijając sofę obitą spłowiałym złotogłowiem i fotele w ponurych odcieniach brązu. Po przeciwnej stronie znajdowały się drzwi prowadzące do biblioteki. Były otwarte na oścież i ukazywały solidne biurko, a także kominek, przed którym stała ciemnozielona sofa. Wszystkie ściany były okolone półkami zapchanymi książkami, a duże okna wychodziły na trawnik, teraz wyłożony promieniami zachodzącego słońca.

Devlin siedział na sofie ze szklaneczką szkockiej w dłoni i z ponurą miną wpatrywał się w płonący w kominku ogień. Na odgłos kroków Wirginii odwrócił głowę i obrzucił ją mrocznym, złowrogim spojrzeniem.

- Chyba wpakowałaś się w niezłe tarapaty - mruknęła do siebie Wirginia i stanęła w progu, bo nagle opuściła ją odwaga.

Jak mogła myśleć, że uda jej się zwyciężyć w tej grze? Że zdoła rozkochać w sobie takiego mężczyznę? Devlin podniósł się z wolna.

- Masz ochotę na szkocką? Zaproponowałbym ci wino, ale cały zapas tutejszej piwniczki zmienił się w ocet.

Wirginia natychmiast sobie przypomniała, czym skończyło się picie whisky w kabinie „Defiance”.

- Nie, dziękuję. - Uśmiechnęła się nieśmiało. Popatrzył na nią zwięzonymi oczami, niczym lew wylegający się leniwie na słońcu - jeszcze nie wygłodniały, ale też nie całkiem nasycony, w każdej chwili gotów rzucić się na potencjalną ofiarę.

- Przestałaś gustować w szkockiej whisky czy może zaczęłaś się mnie bać, Wirginio?

Weszła energicznie do biblioteki, śmiało podejmując wyzwanie.

- Jestem pewna, że twoja whisky jest przedniej marki - uśmiechnęła się ponownie - ale wolę mieć się na baczności. Jakimś cudem twój posepny nastrój stał się nagle jeszcze bardziej ponury.

- Kontakt z hrabią Eastleigh nie poprawił mi humoru.

- Czyżby nie cieszyła cię perspektywa łowów? Nie bawi cię osaczanie starego, tłustego nieszczęśnika?

- Polowanie zawsze dostarcza mi rozrywki. Jeśli jednak masz czelność litować się nad mordercą, proponuję, byś te uczucia zachowała dla siebie. - Podał Wirginii szklaneczkę ze szkocką.

- Nie nad nim się lituję - odparła ze spokojem. - To ciebie mi żal. Devlin wzruszył ramionami.

- Powtarzasz się, Wirginio. Myśl sobie lub czuj, co chcesz, tylko wreszcie usiądź. Ja nie gryzę. Ostatecznie służących należy utwierdzać w przeświadczeniu, że jesteś nieustannie spragniona mojego towarzystwa. - Jednym haustem opróżnił szklaneczkę, po czym natychmiast dolał sobie whisky.

- Przyszłam do ciebie tylko dlatego, że nie mam tu żadnych innych rozrywek - skłamała gładko, po czym przysiadła na przeciwległym krańcu sofy.

- Doprawdy? Uważam, że przebywanie w moim towarzystwie sprawia ci autentyczną przyjemność. -W jego oczach znów pojawił się mroczny cień. -Chociaż zupełnie nie pojmuję dlaczego.

- Jesteś podchmielony, Devlinie? Zasalutował jej zadzierzyście.

- Może odrobinę.

- Tylko głupim i bezmyślnym kobietom może sprawiać przyjemność twoje towarzystwo - stwierdziła i natychmiast stanęły jej przed oczami liczne damy, które z pewnością były gotowe przybiec na każde skinienie Devlina.

- W takim razie na tym świecie musi być mnóstwo głupich kobiet - odparł chłodno, po czym znów opróżnił szklaneczkę.

Zamierzał się upić w sztok? Ale dlaczego?

- To znaczy ile?

- Co „ile”?

- Ile kobiet czerpało przyjemność z przebywania w twoim towarzystwie?

- Słucham? - W jego tonie niedowierzanie mieszało się z rozbawieniem. - Czyżbyś chciała się dowiedzieć, ile kobiet przewinęło się przez moje łóżko?

- Właśnie.

Wybuchnął typowym dla siebie, chropawym śmiechem.

- Tym, co mi się w tobie podoba najbardziej, jest chyba nieokiełznana ciekawość, zupełnie niezwykła, szczególnie u kobiety. - Uśmiechnął się, co przydawało mu niebywałego uroku. - Chociaż nie. Cofam swoje słowa. Najbardziej podoba mi się twój nieposkromiony język. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że powinnaś pewne myśli i pragnienia zachować tylko dla siebie?

Devlinowi podobała się jej ciekawość i sposób bycia! Czyżby ją choć odrobinę polubił?

- Ile już wypiełeś?

- Dwie szkockie. Może cztery. Ale nie jestem pijany, nigdy się nie upijam.

- A mnie się zdaje, że właśnie się upiełeś. Przecież nikomu trzeźwo myślącemu nie może podobać się mój żywiołowy sposób bycia. Nawet moi rodzice nad nim ubolewali.

Uśmiechnął się ponownie.

- Jesteś nieprzewidywalna. Nigdy nie wiem, co zrobisz lub powiesz. To interesujące.

- A więc trochę mnie lubisz?

Devlin posłał jej długie, uwodzicielskie spojrzenie, po czym podniósł się i zaczął przechadzać po pokoju.

- Ciągłe pytania - mruknął po nosem. - Wysłałem Tompkinsa na „Defiance” po trunki. Kucharka przygotowała na kolację dziczyznę, do której doskonale pasowałoby dojrzałe cabernet. Wiem jednak, że wolisz białe wino, kazałem więc Tompkinsowi przywieźć dla ciebie kilka butelek. - Oparł się nonszalancko o komodę.

- Nie unikaj odpowiedzi! - Wirginia poderwała się z sofy.
- Tych kobiet było wiele. Nie liczyłem. Wciąż uciekał od zasadniczego tematu.
- Świat by się nie zawalił, gdyby wielki, wspaniały kapitan O'Neill szczerze polubił inną ludzką istotę - rzuciła.
- Jesteś jak pies, który wbił zęby w kość i nie chce puścić. Co właściwie chciałabyś usłyszeć? Że uważam cię za piękną kobietę? Że marzę o tym, by trzymać cię w ramionach? Że nie mogę bez ciebie żyć? Owszem, uważam cię za nieprzewidywalną, a przez to interesującą, nie należę jednak do mężczyzn, którzy wzdychają do kobiety, tęsknią do szczerzej, gorącej miłości czy tym podobnych nonsensów.

Był niebywale przenikliwy, jakby czytał w jej myślach.

- Sam to wszystko rozpętałeś - zaczęła cicho - Oboje wiemy, iż nie jestem piękna, więc nie oczekuję, że będziesz się mną zachwycał. Nie jest również tajemnicą, że niewiele trzeba, by pobudzić twoje zmysły, więc niewątpliwie marzysz o trzymaniu mnie w ramionach czy też o innych dużo bardziej intymnych pieszczotach. Natomiast co do wspólnego życia... Obawiam się, że jesteś bardziej szalony, niż mi się zdawało. Oczywiście, że możesz beze mnie żyć, nie ma takiej osoby, bez której nie mógłbyś się obejść! Jesteś samotną wyspą, Devlinie, to oczywiste dla każdego, kto cię poznał. - Była bardzo dumna z rzeczowego, energicznego tonu, jakim wygłosiła swoją ripostę.

- O nie, Wirginio. To ty wszystko rozpętałaś, domagając się ode mnie więcej, niż jestem w stanie ci dać - odparł zdecydowanym, ale bardzo szczerym tonem.

Wirginia spojrzała mu prosto w oczy. Co właściwie Devlin próbował powiedzieć? Że nigdy jej nie pokocha?

- Nie wiem, o co ci chodzi - wyszeptała. Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że jej nie wierzy. Wirginia tymczasem wpadła na błyskotliwy pomysł.

- Ale w istocie czegoś od ciebie oczekuję, Devlinie, a to z pewnością jesteś w stanie mi ofiarować - dodała z naciskiem.

- Oho! Czuję, że czeka nas kolejna batalia. Kochanie, zrozum, że mną nie wygrasz, więc lepiej w ogóle nie wyruszaj w pole.

Nawet niecałkiem trzeźwy, Devlin był groźnym przeciwnikiem.

- Nie jestem twoim „kochaniem”.

- Ależ jesteś. W oczach świata. - Jego miękki ton był jak pieszczota.

Wirginia zadała sobie w duchu pytanie, czy mimo wcześniejszych zapewnień Devlin jednak nie będzie próbował jej uwieść.

- Chcę twojej przyjaźni, Devlinie. Tylko przyjaźni, niczego poza tym.

- Kolejny niespodziewany zwrot akcji - orzekł, skłaniając przed Wirginią głowę niczym przed godnym szacunku przeciwnikiem. - Jak mówiłem, jesteś absolutnie nieprzewidywalna. Moja odpowiedź brzmi „nie”.

- Wysłuchaj mnie! - Podeszła do Devlina i desperacko chwyciła go za ramię.

- Wirginio - rzucił ostrzegawczo i spojrzał karcąco na jej dłoń. Nie zamierzała tak łatwo się poddać.

- Proszę, żebyś był moim przyjacielem do czasu, aż wpłynie okup, a ja stanę się wolną kobietą.

- Ja nie mam przyjaciół.

- Cóż za bzdura! Sean jest twoim przyjacielem. Devlin odsunął się od Wirginii i skrzyżował ramiona.

- Widzę, że postanowiłaś negocjować. Słucham propozycji.

- W zamian za przyjaźń będę z tobą współpracować i z pełnym przekonaniem odgrywać rolę bezwstydną kochanki.

Spojrzał na nią szczerze zaskoczony.

- Co ty na to? Sam stwierdziłeś, że szybciej osiągniesz cel, jeżeli będę z tobą zgodnie współdziałać. Ja proponuję znacznie więcej: pełne zaangażowanie.

Rozciągnął usta w leniwym uśmiechu, który jednak nie sięgnął jego wciąż posepnych i zadumanych oczu.

- Doskonale wiem, jak jesteś inteligentna - powiedział. - Nie ulega dla mnie wątpliwości, że za twoją ofertą kryje się ukryty cel. Nie potrafię w tej chwili powiedzieć, co tak naprawdę chcesz osiągnąć, ale jedno jest pewne, to ci się nie uda.

- Po prostu zawrzyj ze mną układ. Potraktujmy to jak handlową transakcję.

- Jeżeli chcesz zostać wytrawnym graczem, kochanie, musisz przede wszystkim nauczyć się cierpliwości.

Westchnęła teatralnie, udając irytację, choć w istocie nie posiadała się z radości.

- Zgadzasz się czy nie? - wykrzyknęła.

- Dobrze. Zawrzyjmy tę transakcję. - Uśmiechnął się pod nosem.

- Niech zgadnę... mamy ją przypieczętować uściskiem dłoni? - dorzucił kpiąco.

- Nie - zaprzeczyła stanowczo i śmiało przylgnęła do Devlina. - Przypieczętujemy ją pocałunkiem.

Z mocno bijącym sercem Wirginia wspięła się na palce. W oczach Devlina ujrzała dziwny błysk - on też pragnął tego pocałunku! Przymknęła oczy i zdecydowanie przywarła ustami do jego warg.

Stał nieporuszony.

Wirginia zaczęła wodzić językiem po jego wargach i w końcu Devlin nie wytrzymał. Przycisnął ją mocno do siebie i zaczął całować zachłannie, namiętnie. Teraz pozwoliłaby mu na wszystko, on jednak szybko odsunął się i obrzucił Wirginię baczny spojrzeniem.

- Prowadzisz bardzo niebezpieczną grę, kochanie.

- Chcę tylko twojej przyjaźni, Devlinie - skłamała. W odpowiedzi usłyszała ironiczne parsknięcie.

Kiedy zaskrzypiały drzwi, Wirginia zamknęła oczy, udając, że jest pogrążona w głębokim śnie.

Leżała na plecach w idealnym bezruchu i pilnie nasłuchiwała. Nie dobiegł jej odgłos kroków, doszła więc do wniosku, że Devlin stoi w progu i ją obserwuje.

Westchnął i wszedł do środka.

- Wiem, że nie śpisz, Wirginio, ponieważ się rumienisz - powiedział, unosząc do góry świecę.

Przestała udawać i usiadła. Dochodziła północ. Wirginia położyła się dwie godziny temu, ale nie mogła zasnąć, gnębiona lękiem. Czuła się tak, jakby stała na wysokim nadmorskim klifie i miała wskoczyć w lodowatą, bezkresną głębię. Nękała ją gonitwa myśli. Czy naprawdę wierzyła, że zdobędzie przyjaźń Devlina? Że zdoła go w sobie rozkochać? I czemu, na Boga, dzieląc sypialnię, nie mogą także dzielić łoża?

- Widzę, że przygotowałaś mi posłanie. – Devlin spojrział na pościel i górę poduszek, ułożoną na podłodze. - To miło z twojej strony.

Wyglądził prześcieradło, a potem usiadł w fotelu i zaczął ściągać wysokie buty. Wirginia podciągnęła nogi pod brodę i przypatrywała się temu w milczeniu. Gdy drugi but spadł na podłogę, Devlin spojrział na nią zwężonymi oczami.

- Nie komplikuj spraw, Wirginio.

- A dlaczego? - rzuciła wojowniczo. - Ty bez wahania skomplikowałeś mi życie.

- Nie będziemy spać w jednym łóżku. - Podniósł się z fotela, rozpinając koszulę.

Wirginia jak zaczarowana wpatrywała się w jego złocisty tors.

- Oczywiście - powiedziała po chwili. - To wszystko jest tylko grą. Zdaję sobie z tego sprawę lepiej od ciebie.

- Doprawdy?

- Zamierzasz się rozebrać? - Wstrzymała oddech, gdy odrzucił koszulę. Był pięknym mężczyzną o muskularnym, idealnie wyrzeźbionym ciele.

Nie spoglądając na nią, pogasił świece.

- Będę spał w spodniach. Czujesz się teraz bezpieczniej?

- Od razu mi ulżyło! - rzuciła kpiąco.

Oczy szybko przywykły do ciemności, wyraźnie więc widziała Devlina, rozciągniętego na prześcieradłach, trzymającego rękę pod głową. Leżał całkiem nieruchomo. Czy to możliwe, że tak szybko zasnął?

- Devlin?

- Słucham, Wirginio?

- Czy czasami myślisz o tym, co ja teraz?

- Nie - odparł ze stoickim spokojem. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Oczywiście, że tak! Jak w innym przypadku mógłbyś wiedzieć, o czym myślę?

- Myślisz o powrocie do domu - odparł stanowczo. - Dobranoc.

- Wcale nie. - Podciągnęła wyżej kolana. - Myślę o tym pocałunku w bibliotece.

- Dobranoc - powtórzył z naciskiem. Westchnęła ciężko i opadła na poduszki. Jak mogła zasnąć, skoro Devlin leżał tak blisko? Zawarty układ wzbudzał w niej lęk, ale zamierzała go dotrzymać. A w tej sytuacji przecież nie miało znaczenia, czy naprawdę będzie jego kochanką, czy tylko odegra taką rolę przed ludźmi.

- Wirginio - rozległ się głos Devlina - nie zachowuj się jak dziecko.

Przesunęła się na skraj łóżka, żeby go lepiej widzieć.

- Wcale nie zachowuję się jak dziecko. Po prostu nie mogę zasnąć, gdy tutaj leżysz.

- Nie chcesz spać. Za to zamierzasz się ze mną sprzeczać... i zapewne na tym nie poprzestaniesz.

- A co mam robić? - spytała niewinnie.

- Zaczynaj liczyć owce - zarządził - lub liście tytoniu. Dobranoc.

- Chyba muszę być szalona - powiedziała w zadumie. - Nie widzę innego wyjaśnienia. Zaledwie sześć miesięcy temu znajdowałam się na pokładzie „Ameri-cany” i nie miałam pojęcia o twoim istnieniu. Chociaż nie. Wtedy byłam jeszcze na tej okropnej pensji w Richmond. Od tamtego czasu wiele się wydarzyło: porwałeś mnie, zabrałeś do Askeaton, pozbawiłeś dziewictwa, porzuciłeś, próbowałeś wyswatać z własnym bratem, a teraz jesteśmy tutaj, w jednej sypialni jak para kochanków, no, może prawie jak para.

- Wielkie nieba, czy przez całą noc zamierzasz być tak gadatliwa?

- Po tym wszystkim wielką przyjemność sprawił mi dzisiejszy pocałunek. Oczywiście w żadnym razie nie zgodziłabym się ponownie dogadzać ci w łóżku.

Usiadł gwałtownie, a opadające prześcieradło ukazało jego szeroki tors i płaski, poznaczony mięśniami brzuch.

- Jesteś szalenie monotematyczna. Gdy już o tym mowa, to ja ci dogadzałem, kochanie, a nie odwrotnie. - Devlin poderwał się z podłogi. - Idę na dół zająć się lekturą.

- Szkoda, że nie ma tutaj Fiony.

- To prawda - przyznał bez wahania.

- To się nie uda. Nie możemy dzielić sypialni. Musisz spędzać noce gdzie indziej. Niech diabli porwą, co pomyśli sobie służba.

Oparł się o drzwi i spojrzał na nią przeciągle.

- Służący plotkują jak najęci. Założę się o całą moją fortunę, że pani Hill rozpowiada po okolicy, jakim barbarzyńcą jest jej nowy, irlandzki pan. Musi nam się udać, Wirginio, i bez wątpienia tak się stanie, jeżeli zdobędziesz się choć na odrobinę wysiłku i przestaniesz koncentrować na swojej wybujałej namiętności.

- Tak jak ty?

- Właśnie - odparł z zimnym uśmiechem. - To się nazywa samodyscypliną. Zdaję sobie sprawę, że jest ci ona obca, ale najwyższy czas, byś zaczęła ją w sobie wyrabiać.

- Ja nie jestem niczemu winna - przypomniała po raz kolejny.

- Połóż się, zamknij oczy i zacznij liczyć owce, bele tytoniu, czy, jeśli wolisz, okręty wojenne. Zaśniesz, zapewniam cię. -

Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju.

- Na naszej plantacji nie prasujemy tytoniu w bele -odparła ze złością.

Położyła się z ramionami skrzyżowanymi na piersi, szczerze z siebie zadowolona. Okazało się, że jest w stanie wyprowadzić Devlina z równowagi. A co ważniejsze, on uważa ją za atrakcyjną kobietę.

Wirginia uśmiechnęła się pod nosem. Może wbrew pozorom uda jej się przeprowadzić własny plan

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Panno Hughes? Ma pani gości, czekają w bawialni - poinformował Tompkins.

Tego ranka, po godzinach nocnej bezsenności, obudziła się wyjątkowo późno. Kiedy otworzyła oczy, była w sypialni sama. Teraz dochodziło południe i po krótkiej przechadzce Wirginia zatrzymała się na małym tarasie.

- Gości? - spytała z uśmiechem.

- Owszem - rozpromienił się kamerdyner. Tompkins w niczym nie przypominał okropnej pani

Hill, która tego przedpołudnia oznajmiła Wirginii w przelocie, że śniadanie serwuje się między ósmą a dziewiątą, co wyjaśniało brak nakrycia w jadalni. Wirginia uprzejmie poprosiła o kawę, grzanek i filiżankę czekolady. Przez cały czas tej krótkiej rozmowy gospodyni odwracała od Wirginii oczy, jakby od samego patrzenia mogła zarazić się niemoralnym prowadzeniem. Natomiast zamówiony posiłek przyniosła pokojówka, czym pani Hill zapewne chciała dać Wirginii do zrozumienia, że obsługa kochanki pana domu jest poniżej godności ochmistrzyni.

Kierując się ku tarasowym drzwiom, Wirginia spytała kamerdynera:

- Jak długo mieszkasz w Wideacre, Tompkins?

- Od dziesięciu lat.

- I jesteś zadowolony z tej służby?

- Tak, panienko. Żona zmarła przed kilkoma laty, córki są mężatkami i mają własne dzieci. Jedna mieszka w Manchesterze, druga w niewielkim miasteczku na południu Anglii, więc Wideacre stało się moim domem.

- Doskonale wywiązuje się ze swoich obowiązków - zapewniła go Wirginia akurat w chwili, gdy doszli do progu bawialni.

Devlin rozmawiał z jakimś ziemianinem i jego pulchną, ładniutką żoną. Wirginia przyjrzała się uważnie Devlinowi; miał na sobie elegancki brązowy surdut oraz beżowe bryczesy, ale nic nie stracił ze swojej władczości.

Kątem oka dostrzegł Wirginię i zwrócił się do niej z uśmiechem.

- Pozwól, moja droga. Pan Pauley wraz z małżonką byli tak mili i wpadli z sąsiedzką wizytą.

Gra miała się rozpocząć. Oboje - ziemianin z potężnymi bokobrodami i jego jasnowłosa żona - spoglądali na Wirginię z zaciekawieniem, uśmiechając się uprzejmie. Zapewne jeszcze się nie domyślali, że mają przed sobą kobietę upadłą. Ona za chwilę ich uświadomi. Zdecydowanym krokiem podeszła do Devlina i ucałowała świeżo wygolony policzek.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała uwodzicielskim tonem.

Zerknął na nią zdumiony, ale natychmiast, jak na wytrawnego gracza przystało, uniósł szybko dłoń Wirginii do ust.

- Wyglądasz zachwycająco - zauważył. - Bardzo późno dziś wstałaś. Cóż, bez wątpienia miałaś powody, by poleżeć dłużej niż zwykle.

- Byłam tak zmęczona po minionej nocy, że po prostu nie mogłam się podnieść - wyznała i pogładziła Devlina po twarzy.

- Pozwólcie państwo, że przedstawię: panna Wirginia Hughes ze „Słodkiego Derenia” w Wirginii.

Ziemianin i jego żona, do tej pory obserwujący całą scenę z szeroko rozwartymi oczami, szybko przywołali na twarz grzecznościowe uśmiechy.

- Jakże miło panią poznać, panno Hughes - oznajmił Pauley. Zerkał spod oka to na Wirginię, to na Devlina, wyraźnie nie rozumiejąc natury łączącego ich związku.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Wirginia tonem najświetniejszej wychowawicy Mar-mott.

Wyciągnęła rękę i ziemianin cmoknął powietrze nad jej dłonią. Następnie Wirginia zwróciła się ku jego żonie.

- Witam, pani Pauley. Czy rzeczywiście mieszkacie państwo po sąsiedzku?

- Zaledwie kilka mil stąd - odparła blondynka, bez powodzenia siląc się na uśmiech.

- Dowiedzieliśmy się od kapitana, że pani po raz pierwszy zawitała w nasze strony - wtrącił Pauley, nerwowo szarpiąc za fontaź.

- Owszem, wczorajszego popołudnia. Poprzednie pięć miesięcy spędziłam w irlandzkiej posiadłości Devlina - odparła Wirginia.

- Ja, niestety, w owym czasie musiałem patrolować wybrzeża Hiszpanii. - Westchnienie Devlina nie pozostawiało nikomu wątpliwości, że każdy dzień bez Wirginii był dla niego stracony.

Policzki pani Pauley płonęły, niemniej bohatersko zwróciła niebieskie oczy na Devlina.

- Bardzo wiele słyszeliśmy o pańskich wyczynach, kapitanie. Jest pan dla nas wszystkich bohaterem.

- O tak, milordzie - potwierdził skwapliwie jej mąż. - Niezmiernie się cieszymy, że ma pan teraz w naszej okolicy ziemskie dobra.

- Dziękuję, miło mi to słyszeć.

- Jak długo pozostanie pan między nami, sir?

- Najwyżej tydzień - odparł Devlin.

- Tylko tydzień? - zdumiała się Wirginia. Przytulił ją do siebie.

- Czyżby mały wiejski domek przypadł ci tak bardzo do gustu jak wcześniej Askeaton?

- Tak mi się zdaje... kochanie.

Pauley zakasłał i jednocześnie poczerwieniał jak burak.

- Czy państwo jesteście... zaręczeni? - wyjąkała jego oszołomiona żona.

- Zaręczeni? - powtórzył Devlin z niedowierzaniem. - Obawiam się, że nie jestem mężczyzną stworzonym do ożenku.

Zapadło krępujące milczenie. Wirginia postanowiła je przerwać.

- Jestem metresą kapitana - oświadczyła śmiało i poczuła, jak Devlin sztywnieje.

- Wirginia chciała powiedzieć, że jest moją niezmiernie drogą przyjaciółką - oznajmił.

- Eee... naturalnie - wydukał ziemianin. Wirginia zerknęła na niego spod oka, on natomiast

spojrzał przeciągle na żonę. Oboje byli zaszokowani. Wirginia już wyobrażała sobie, jakie myśli przebiegają im przez głowę. Ona żyje z nim tak otwarcie? Czy ta kobieta nie ma za grosz wstydu? Popatrzyli na nią z potępieniem. Wirginia dzielnie odpowiedziała uśmiechem.

Podeszła do stolika i zaczęła przestawiać znajdujące się na nim bibeloty. Powtarzała sobie w duchu, że nie jest jej przykro ani nie czuje się zażenowana. Stawka w tej grze była zbyt wysoka. Jeżeli wygra, zyska nie tylko wolność, ale i miłość Devlina.

Nic innego się nie liczyło.

Tompkins wszedł do bawialni, pchając przed sobą wózek, na którym piętrzyły się miniaturowe, tortowe ciastka. Wirginia miała ochotę wybiec na dwór i zaczerpnąć świeżego powietrza. Szczęśliwie napięcie szybko rozładował Devlin.

- Słyszałem, że w pobliskim miasteczku co niedziela organizowane są wspaniałe jarmarki.

- Och, w rzeczy samej! - wykrzyknęła pani Pauley, uśmiechając się z aż nazbyt widoczną ulgą. - Musi pan koniecznie przekonać się o tym osobiście, kapitanie. Jest tam zawsze mnóstwo atrakcji: placki domowego wypieku, tańczący niedźwiedź, kucyki dla dzieci, a poza tym nasz lokalny mistrz pokazuje swoje najnowsze cuda. Wytwarza wspaniałe sekretery pełne najrozmaitszych tajemnych szufladek.

Proszę koniecznie zabrać ze sobą Wirginię... hm... pannę Hughes...
Jestem pewna, że będzie zachwycona.

Wirginia poczuła się paskudnie. Ci poczciwi ludzie byli wykorzystywani i na swój sposób upokarzani tylko dlatego, żeby zrodzony z obsesji plan Devlina zakończył się powodzeniem.

Niemniej uśmiechnęła się pogodnie i rzuciła:

- Bardzo chciałabym zobaczyć taki jarmark, kochanie.

Devlin udawał, że pilnie przygląda się figurce z porcelany.

- Z pewnością sprawi pani przyjemność - bąknął Pauley, po czym zwrócił się do swojej żony: - Beth?

Myślę, że powinniśmy ruszać w drogę. Już dość czasu zabraliśmy panu kapitanowi.

- Tak, naturalnie - odparła, posyłając Wirginii spojrzenie, w którym fascynacja mieszała się z przerażeniem.

Devlin powrócił do rzeczywistości. Potrząsnął energicznie ręką Pauleya.

- Proszę nas ponownie odwiedzić - powiedział uprzejmie. - Pani Pauley, miło było panią poznać - dorzucił z czarującym uśmiechem.

Pulchna blondynka aż pokraśniała z zachwyty.

- Proszę koniecznie przybyć na nasz jarmark, milordzie -
zaćwierkała.

- Postaramy się zjawić - odparł Devlin i odwrócił się w stronę drzwi, gdzie czekał niezawodny kamerdyner.

- Tompkins, odprowadź, proszę, pana i panią Pauley do wyjścia.
Życzę państwu dobrego dnia.

Wirginia uśmiechnęła się sztucznie, a Devlin podszedł do drzwi i zamknął je stanowczym gestem. Wreszcie pozostali w bawialni tylko we dwoje.

- Jesteś niezłym graczem - zaczął z chmurną, ściągniętą twarzą.

- Ale?

- Ale, jak powiedziałem ubiegłego wieczoru, wyrażasz się nazbyt swobodnie i otwarcie.

- Przyznałeś, że to ci się podoba.

- Jesteś moją „drogą przyjaciółką” nie „metresą”, Wirginio. To są ludzie z towarzystwa, a nie przypadkowa zbieranina z ulicy. Niewiele brakowało, a przyprawiłabyś Pauleya o apopleksję.

Devlin tak się zachowywał, jakby nagle przestały mu się podobać reguły, które sam narzucił.

- Wybacz. Nie wiedziałam, że powinnam być oględna w słowach. A teraz przepraszam, ale opuszczę cię, Devlinie. Nie spałam dobrze tej nocy, muszę się położyć.

Wirginia ruszyła w stronę drzwi, ostatnim wysiłkiem powstrzymując się od biegu. Kiedy już chwyciła za klamkę, Devlin oznajmił:

- Wkrótce wyjeżdżamy do mojego domu w Greenwich.

Co wymyślił tym razem?

- Jestem pewien, że niedługo zjawią się następni goście, bądź więc gotowa na ich przyjęcie.

Nie odwracając się za siebie, Wirginia szybko poszła na górę.

- Wirginio, poznaj lorda Astona i pana Jaysona. Dochodziła piąta. Do tej pory, poza Pauleyami, złożono im jeszcze cztery wizyty. Zjawily się trzy kolejne pary małżeńskie z okolicy, a także miejscowy pastor. W sumie pięć razy podawano herbatę i trzeba było pięciokrotnie odgrywać tę samą farsę, podczas której Wirginia z Devlinem co chwila wymieniali między sobą słowo „kochanie”. Wirginia była już jak odrętwiała; mechanicznie powtarzała określone gesty. W takim też stanie zjawila się po raz szósty tego dnia w bawialni.

Obaj nowo przybyli mężczyźni spojrzeli na nią śmiało i natarczywie. Devlin, jak zwykle, miał nie-odgadniony wyraz twarzy, ale Wirginia wyczuła, że jest zniecierpliwiony, i to ją zezłościło. Przecież ona od południa z samozaparciem odgrywała rolę, którą jej wyznaczył. Gdyby wiedziała, że to będzie tak uciążliwe, nigdy by nie przyszło jej do głowy zawierać z Devlinem transakcji, którą w swojej głupocie jeszcze wczoraj uznała za genialną.

- Kochanie, czyś niezdrowa? - Devlin zapytał z troską i w dwóch krokach znalazł się przy niej.

- Nie, nic mi nie jest... kochanie.

Objął ją ramieniem w geście dumnego posiadacza.

- Lordzie Aston, panie Jayson, pozwólcie, że przedstawię moją drogą przyjaciółkę, pannę Wirginię Hughes ze „Słodkiego Derenia” w Wirginii.

Obaj mężczyźni rażno pospieszyli w jej stronę. Lord Aston - blondyn o ciemnych oczach - schylił się nisko nad jej dłonią i powiedział:

- Jestem niezmiernie szczęśliwy, że mogę panią poznać, panno Hughes.

Wirginia miała już tego wszystkiego dosyć. Po chwili zorientowała się, że Aston wciąż ściska jej dłoń, i nagle poczuła się jak smaczny kąsek, o który walczy kilka zgłodniałych psów; a może raczej jak ladacznica, przekazywana z rąk do rąk. Spróbowała wyrwać z uścisku dłoń, ale bezskutecznie.

- Mój stryj jest biskupem Oksfordu - oznajmił Aston, świdrująco-taksującym wzrokiem wpatrując się w Wirginię. - Czy byłaś kiedyś w Oksfordzie, pani? Chętnie pokażę ci okolicę, jeżeli znów zawitasz w te strony.

Wirginia przewyciężyła zniecierpliwienie i odparła:

- Chętnie zwiedzę Oksford, milordzie, jeżeli okoliczności na to pozwolą.

Uśmiechnął się lubieżnie.

- Może gdy kapitan O'Neill wypłynie w morze z kolejną wojenną misją, zechce pani zjawić się w Wideacre? Czy jeździsz konno? Trzymam w stajni kilka przednich wierzchowców.

- Owszem, jeżdżę - odpowiedziała machinalnie.

- Ach, przecież jeszcze nie przedstawiłem mojego przyjaciela, Ralpa Jaysona! - wykrzyknął Aston.

- Myślałem, że już nigdy się nie usuniesz - burknął kłótliwie Jayson, po czym posłał Wirginii łobuzerski uśmiech i ujął jej dłoń. - Jestem zachwycony, że mamy okazję zaznajomić się, panno Hughes. Aston chwali się swoim stryjem biskupem, ja natomiast mogę poszczycić się kilkoma fabrykami i tartakami. Mam także wspaniały dom na południu Londynu. Kiedy zjedziesz, pani, do miasta, musisz mnie koniecznie odwiedzić i zjawić się na jednym z wyprawianych przeze mnie balów.

- Z przyjemnością - wydusiła Wirginia. Dobrze wiedziała, czego chcieli ci mężczyźni: zaciągnąć ją do łóżka, uczynić swoją kochanką.

- Moje bale cieszą się szczególną sławą - szepnął Jayson konfidencyjnie. - Prinnie jest ich stałym bywalcem.

- Prinnie? - Wirginia nie miała pojęcia, o kim opowiada ten człowiek.

Devlin nachylił się do jej ucha.

- Księżę Walii, kochanie, następca tronu. - Spojrzał z uśmiechem na obu mężczyzn. - Wirginia jest Amerykanką od niedawna przebywającą w naszym kraju - wyjaśnił.

- Przepraszam, Devlinie - niespodziewanie wtrąciła Wirginia - ale to był bardzo męczący dzień i rzeczywiście nie czuję się najlepiej. Miło mi było panów poznać. Proszę wybaczyć.

Nie czekając na jakąkolwiek reakcję, odwróciła się i szybko opuściła bawialnię.

Autentycznie wyczerpana, Wirginia zażyczyła sobie gorącej wody do kąpieli, po czym położyła się w wannie, zamknęła oczy i

próbowała odsunąć od siebie wszelkie myśli. Okazało się to niemożliwe.

Wiedziała, że będzie jej przykro, gdy Devlin zacznie ją jawnie przedstawiać jako swoją kochankę. Nie sądziła jednak, że okaże się to aż tak poniżające. Teraz już nie czuła się jak wielbiona metresa, ale jak uliczna dziwka.

Wymyśliła tę idiotyczną umowę, ponieważ zakochała się w Devlinie. Jak do tej pory, tylko ona dotrzymywała warunków transakcji. On dostał to, czego chciał. Zapewne całe hrabstwo wiedziało, jakie łączą ich więzi; ona nie otrzymała nic w zamian. Devlin nie zachowywał się jak na przyjaciela przystało. Z drugiej strony, po ostatniej wizycie, gdy na siłę przedstawił ją tym dwóm lubieżnym capom, Wirginia wcale nie była pewna, czy jeszcze chce jego przyjaźni.

Była rozżalona i wściekła zarazem. Wściekła na siebie samą za słabość. Szybko otarła łzy. Musi pamiętać, że Devlin O'Neill jest w stanie zranić ją jak nikt inny na świecie. Co jej w takim razie pozostało?

Mogła się poddać lub walczyć.

Wszedł do pokoju bez pukania i Wirginia zaczęła gorączkowo rozglądać się za ręcznikiem. Leżał na krześle, zbyt daleko, by mogła po niego sięgnąć. Devlin tymczasem stanął w progu sypialni i spoglądał w stronę niewielkiego pomieszczenia kąpielowego, w którym znajdowała się wanna. Wirginia zanurzyła się głębiej w wodzie.

Devlin podszedł bliżej.

- Przepraszam cię - powiedziała Wirginia, siląc się na lekki ton - ale właśnie się kąpię.

- Widzę.

Zaczerwieniła się, zerknęła w dół i wówczas zobaczyła, że jej nagie ciało jest widoczne jak na dłoni.

- Chciałabym mieć odrobinę prywatności. Skrzyżował ramiona i wpatrywał się w jej piersi.

- Czyżbyś płakała? - spytał po dłuższej chwili.

- Mydło dostało mi się do oczu - odparła szybko. - Czy teraz mógłbyś już wyjść?

- Nie. - Spojrzał na nią uważniej niż przedtem. - Jeżeli płakałaś, chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Nie płakałam - Poczula jak twarzonej jej sutki, a łono zaczyna pulsować. - Proszę, podaj mi ręcznik - powiedziała cicho.

Podszedł do krzesła, chwycił ręcznik i szeroko rozłożył przed sobą.

Wirginia w żadnym razie nie zamierzała wychodzić z wanny i pozwolić, by to Devlin otulił ją ręcznikiem.

- Po prostu mi go podaj.

- Naturalnie - zgodził się natychmiast, podchodząc do brzegu wanny.

Wirginia wyrwała mu ręcznik z ręki i szybko się nim owinęła.

Devlin wyciągnął rękę w jej stronę. Zaprotestowała, a on zawahał się, po czym złapał ją mocno za ramię.

- Chcę ci tylko pomóc wyjść z wanny, żebyś nie upadła i nie skręciła karku.

- Cóż za troska - rzuciła kpiąco.

- Nigdy nie udawałem troskliwego.

- Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

- Umowa nie wystarczy do nawiązania przyjaźni.

- Nagle zebrało ci się na filozofowanie! - wykrzyknęła, próbując mu się wyrwać.

- Wyjdź wreszcie z tej wanny, Wirginio. Kiedy stanęła obiema nogami na posadzce, natychmiast puścił jej rękę.

- Nie miałam pojęcia, że to będzie aż takie trudne! Nie odpowiedział.

- Ci mężczyźni potraktowali mnie jak sprzedajną dziwkę.

- Przykro mi z tego powodu - powiedział.

- Doprawdy?

- Tak. Mówię całkiem szczerze.

- Cóż za ulga. A więc jesteś niekiedy zdolny do ludzkich odruchów - rzuciła, mijając go w drzwiach sypialni.

- Zmieniłem zdanie. - Podążył za nią. - Nie zostaniemy tutaj dłużej. W Londynie będzie ci łatwiej.

- Dlaczego? Bo roi się tam od metres i od tanich dziwek?

- Nie jesteś dziwką, Wirginio.

- Powiedz to Astonowi i jego przyjacielowi. - Devlin nie spuszczał z niej oczu, więc wykrzyknęła w złości: - I przypomnij o

tym samemu sobie, ponieważ ty też patrzysz na mnie jak na ladacznicę!

- Nigdy tak na ciebie nie patrzyłem. Nikt lepiej ode mnie nie wie, jak bardzo jesteś niewinna! - podniósł głos, niemal tracąc nad sobą kontrolę.

Co się za tym kryło?

- Nie patrzyłem na ciebie jak na ladacznicę - powtórzył spokojnym tonem.

- Chcesz powiedzieć, że nie spoglądałeś pożądliwie na moje nagie piersi i...

- Podziwiałem jedynie piękną kobietę - oznajmił i wyszedł z pokoju, a Wirginia, jak oniemiała, wpatrywała się w zamknięte drzwi.

Kiedy brat, który właśnie przyjechał z Londynu, wszedł do pokoju, William odrzucił pióro, ale nie podniósł się z krzesła. Wbił gniewny wzrok w szczupłego, przystojnego mężczyznę o zimnych, niebieskich oczach charakterystycznych dla wszystkich mężczyzn w rodzinie. Tymczasem Thomas Hughes, kapitan królewskiej marynarki, odziany w galowy mundur, zdjął rękawice i rzucił je na biurko.

- Mam nadzieję, że ściągnąłeś mnie z Londynu z naprawdę istotnego powodu, Will.

- Posłałem po ciebie tydzień temu! - wrzasnął William, zrywając się na równe nogi.

- Sprawy państwowej wagi wymagały mojego pilnego zaangażowania w admiralicji - odparł Tom. - Czyżbyś zapomniał, że

toczymy wojnę? A właściwie dwie, bo ci przekłęci kolonialiści zbiesili się po tym, jak zlekceważyliśmy ich protesty. Słyszałeś najnowsze wieści? Zatopili nasze dwa okręty, „Macedonię” i „Frolic”.

Will ochłonął.

- Pierwsze słyszę, chyba nie mówisz o trójpok-ładowcach Jego Królewskiej Mości?

- Oba były fregatami. O dziwo, można odnieść wrażenie, że kolonialiści znajdują się na żegludze i, co gorsza, na prowadzeniu bitew morskich. - Thomas zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Trafiło im się jak ślepej kurze ziarno. To po prostu niemożliwe, żeby amerykańska marynarka, która, jak słyszałem, składa się z kilku przestarzałych łajb, mogła skutecznie związać w walce naszą flotę i jeszcze do tego odnieść zwycięstwo.

- Podobne opinie przeważają w admiralicji. Nie zmienia to faktu, że w zeszłym miesiącu jankesi zdobyli „Kaledonię” i „Guerrierere”. Za to z Kanady z pewnością ich wykurzymy.

- Zdumiewające wieści - mruknął William.

Do tej pory każdy w Anglii uważał, że walka o wpływy w Kanadzie była praktycznie przegrana, ponieważ tam siły wroga po wielokroć przekraczały liczebnie oddziały Brytyjczyków i ich indiańskich sojuszników, na dodatek odciętych od linii zaopatrzenia.

- Wczoraj w admiralicji znowu zjawił się Liverpool; że też on bez przerwy musi wtykać nos w nasze sprawy! Oznajmił, że nie życzy sobie żadnych więcej przegranych batalii. Jest wściekły z powodu strat na morzu.

Williama uderzyła nagle myśl.

- To akurat może okazać się zbawienne dla naszej rodziny.

- Co proszę? - Tom usadowił się w wielkim fotelu obitym czerwonym adamaszkiem.

- Wezwałem cię do Eastleigh, ponieważ O'Neill zjechał do Wideacre, choć moje źródła donoszą, że lada chwila wyruszy do Londynu.

W oczach Toma pojawił się błysk nienawiści.

- Nie zważaj na tego zdeprawowanego łotra.

- To będzie raczej trudne, trzyma on bowiem naszą kuzynkę w charakterze zakładniczki i prezentuje całemu Hampshire jako swoją kochankę - odparł William z ponurym uśmiechem.

- Co takiego?! - Thomas poderwał się z fotela.

- Przecież słyszałeś - rzucił William zimno. - Ten łajdak otwarcie mieszka z nią pod jednym dachem! To wstrząsające. Domaga się od nas piętnastu tysięcy funtów okupu. Piętnastu tysięcy!

Tom zbladł jak płótno.

- Ma czelność afiszować się z nią w szacownym towarzystwie, szargać nasze nazwisko, deptać reputację rodu! Do tej pory udało mi się utrzymać ten skandal w tajemnicy przed ojcem, ale wcześniej czy później on o wszystkim się dowie. Codziennie przyjmuję po kilku gości i każdy aluzyjnie wypytuje o naszą kuzynkę. To jest gorzej niż upokarzające, musimy powstrzymać tego szaleńca! Naturalnie, za uwolnienie dziewczyny nie zamierzamy zapłacić ani pensa.

- Wielkie nieba, o co właściwie chodzi temu O'Neillowi? Poza okupem, oczywiście. Czemu tak niemiłosiernie nas prześladowuje? Wiem, że to wyjątkowa szumowina, ale żeby w równie bezwzględny sposób rujnować życie młodej dziewczyny? Przecież dobrze wie, że praktycznie jesteśmy bez grosza.

- Dałbym wiele, żeby się dowiedzieć, dlaczego postanowił nas zniszczyć - rzekł William. - Jednak, chociaż wyteżam umysł, nie jestem w stanie znaleźć żadnego logicznego uzasadnienia dla jego nienawistnych posunięć.

Tom oparł się o kominek i skrzyżował ramiona na piersi.

- Wiesz, w lipcu admiralicja niemal miała go w garści. Ponownie wykazał się niesubordynacją, zlekceważył rozkazy. Ale jakoś wywinął się od sądu wojennego. Czy hrabina wciąż z nim sypia?

- Wczoraj zjechała tu z Londynu. Zapewne dlatego, że on jest o miedzę stąd.

- Mam już po dziurki w nosie tego O'Neilla. Najpierw moja kochanka, potem nasza macocha, teraz kuzynka. Która będzie następna? Córka hrabiny? Tym człowiekiem muszą powodować jakieś ważne względy i najwyższy czas, żebyśmy je poznali.

- Chyba wiem, jak rozwiązać bieżący problem, Tom.

- Mów, proszę.

- Postaraj się, by wysłano O'Neilla do Ameryki. Nasza marynarka odnosi tam poważne straty. Któż skuteczniej poskromi Amerykanów, jeśli nie O'Neill, postrach mórz? Niezwyciężony

kapitan? - William uśmiechnął się nienawistnie. - Farnham ci sprzyja, przekonaj go.

- To fantastyczny pomysł! - wykrzyknął Tom.

Odwrócił się i ujrzał hrabiego, stojącego w progu pokoju.

- Ojczy!

Eastleigh spojrział na młodszego syna z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Thomas, nie wiedziałem, że ściągnąłeś z miasta. Cóż za miła niespodzianka. Kiedy przybyłeś? - W głosie hrabiego, jak zwykle, pobrzmiwała nuta ironii.

Tom grzecznościowo cmoknął ojca w policzek.

- Przed chwilą. Świetnie wyglądasz, ojczy. - To było kłamstwo; Eastleigh przez lato jeszcze przybrał na wadze.

- Miewam się nie najgorzej. - Hrabia zerknął spod oka na Williama. - Na razie nie zamierzam kłaść się do grobu. O czym tak zawzięcie rozprawiacie? O ile słuch mnie nie myli, wymienialiście uwagi na temat naszego bohaterskiego sąsiada, Devlina O'Neilla - dorzucił kpiąco.

Tom i William spojrzeli znacząco po sobie, po czym starszy z braci wybuchnął:

- Nie rozumiem cię, ojczy! Siedzisz beczynn timer z założonymi rękami i pozwalasz, żeby O'Neill szargał reputację rodziny, przedstawiał naszą kuzynkę jako kobietę upadłą. Sytuacja stała się kryzysowa. On robi z nas wszystkich głupców. To haniebne upokorzenie!

- W tej sprawie to O'Neill wyjdzie na głupca -oznajmił Eastleigh. - Jeżeli o mnie chodzi, może bywać z tą małą ladacznicą nawet na królewskim dworze. Niczego nie wskóra.

- On nas nienawidzi - odezwał się Tom. - To wiemy już od dawna. Teraz jednak mieliśmy okazję przekonać się, że i ty pałasz do niego nienawiścią. Dlaczego, ojcze? Do diabła, to jedno musisz nam wreszcie wyjaśnić!

- Zabrał mi najlepszego wyścigowego konia, najprzedniejszą sforę psów, mój ulubiony londyński dom, teraz na dodatek wziął sobie do łóżka córkę mojego brata, a ty pytasz, czemu go nienawidzę? - Hrabia uniósł w zdumieniu krzaczaste brwi. - Mam wszelkie powody, by życzyć wszystkiego, co najgorsze, temu człowiekowi, który mieni się dżentelmenem, lecz w istocie jest najzwyklejszym piratem.

- O nie. Tak łatwo się nie wykpisz. - Tom stanął w wojowniczej pozie naprzeciwko dużo wyższego i trzy razy potężniejszego ojca. - Dlaczego O'Neillowi tak bardzo zależy na zrujnowaniu naszej rodziny?

- Ponieważ jest takim samym przeklętym barbarzyńcą, jakim był jego ojciec. Ot co!

Tom i William wymienili zdumione spojrzenia.

- Znałeś jego ojca?

- Czy go znałem? - Eastleigh uśmiechnął się lodowato. - Ja go zabiłem, mój chłopcze. Zgładziłem z zimną krwią.

Hrabina Eastleigh, ubrana we wspaniałą suknię z rubinowego jedwabiu, siedziała sztywno w swoim powozie zdobionym na bokach

herbem rodowym męża i po raz kolejny powtarzała sobie w duchu, że pogłoski, które do niej dotarły, z pewnością są kłamliwe.

Po raz pierwszy usłyszała tę plotkę w Londynie z ust lady Celi Farthingham, która już od dawna podejrzewała ją o romans z Devlinem. W trakcie podwieczorku Clia napomknęła, że kapitan O'Neill przebywa aktualnie w swojej wiejskiej posiadłości wraz z nową kochanką, z którą chętnie afiszuje się w towarzystwie. Elizabeth nie uwierzyła tym słowom, chociaż z trudem udało jej się zachować na twarzy uśmiech.

Szybko wytłumaczyła sobie, że cokolwiek powiedziec o Devlinie, jest on dżentelmenem, a żaden dżentelmen nie żyje otwarcie z kobietą niebędącą jego prawną małżonką. W odpowiedzi na rewelację Celi wzruszyła więc tylko ramionami, po czym odparła, że wiejska rezydencja Devlina jest w tak opłakanym stanie, iż rozmówany w luksusie kapitan z pewnością długo nie zabawi w Hampshire.

Posiadłość tę rzeczywiście znała dobrze, ponieważ sąsiadowała z Eastleigh, i za życia poprzedniego, zmarłego bezpotomnie, właściciela Elizabeth dość często bywała tam wraz z mężem. Sam Devlin wspomniał o swoich nowych ziemiach w lecie, gdy był w Londynie w przykrym dla niego okresie przesłuchań przed komisją admiralicji. Nie wykazywał wiejską posiadłością większego zainteresowania, a wszystkie informacje, które Elizabeth przekazała mu na jej temat, zbył wzruszeniem ramion, po czym powiedział:

- Wątpię, czy kiedykolwiek tam zawitam.

Dwa dni temu hrabina znowu usłyszała, że kapitan O'Neill przebywa w Hampshire. Tym razem zdjęła ją panika, po której nadeszło rozgoryczenie. Oto ona siedziała w Londynie, a tymczasem Devlin był tak blisko jej domu w Eastleigh! Nie namyślając się wiele, rozkazała pokojówce pakować kufry i nazajutrz rano ruszyła na wieś.

Ledwo dotarła do posiadłości męża, miała ochotę biec do Wideacre, ale zdrowy rozsądek zwyciężył. Najpierw powinna zainteresować się zdrowiem hrabiego, a także zająć dwiema córkami, które szczerze kochała. Właśnie gdy poświęcała czas jednej z nich, napatoczył się znienawidzony przez nią od dawna pasierb, William, i od niechcienia potwierdził najgorsze wieści.

- Mniemam, że doszły cię już słuchy o poczynaniach naszego nowego sąsiada, moja droga?

Elizabeth siedziała w ogrodowym fotelu, przyglądając się wyczynom jeździeckim młodszej córki, która w damskim siodle pokonywała niewysokie przeszkody. Nie spojrzawszy nawet na Williama, powiedziała:

- Nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

- Och, daj spokój! - Opadł na stojący obok fotel i wyciągnął przed siebie długie nogi. - Trzeba przyznać, że Lila zapowiada się na wytrawną amazonkę.

- Powiedziawszy to, nachylił się do ucha Elizabeth.

- Oboje dobrze wiemy, co cię przygnało na wieś w połowie londyńskiego sezonu przyjęć i balów.

- Zupełnie nie pojmuję, co masz na myśli, Williamie. - Podniosła się z fotela i zaczęła z wolna wachlować. - Lilo! - wykrzyknęła do córki. - To było doprawdy wyśmienite!

- Dziękuję, mamó. - Dziewczynka rozpromieniła się i odjechała z powrotem w stronę małego parkuru, chętna do dalszych popisów.

Tymczasem William stanął tuż za plecami Elizabeth, przysunął usta do jej ucha i wyszeptał zjadliwie:

- Devlin O'Neill aktualnie rezyduje w Wideacre wraz z kochanką, którą ochoczo prezentuje całemu światu.

Elizabeth zamarła.

Naturalnie wiedziała, że w życiu Devlina były inne kobiety. Nic jej nie obchodziły hiszpańskie barmanki czy sycylijskie ladacznice. Nie dbała, co robił przez te miesiące, które spędzał poza Anglią.

Była jednak bardzo żywo zainteresowana tym, co się działo tu i teraz.

Wirginia, wracając z dalekiego spaceru, zobaczyła na podjeździe elegancki powóz zdobiony herbem. W ciągu trzech dni pobytu w Wideacre przyjęli z Devlinem ponad tuzin towarzyskich wizyt. Zapewne już pół hrabstwa wiedziało, że osławiony kapitan O'Neill mieszka z kochanką, i każdy chciał się o tym przekonać na własne oczy. Wirginia doskonale odgrywała swoją rolę. Trzymała głowę wysoko, odzywała się do Devlina miękkim tonem, zwracała do niego per „kochanie” i często całowała go w policzek. Wielbiciele plotek i skandali z pewnością byli usatysfakcjonowani. Podobnie jak Devlin. I

tylko Wirginia jedna wiedziała, jak bardzo wyczerpująca jest ta maskarada.

Nienawidziła tego miejsca. Czuła się tu okropnie, jakby naga wystawiono ją na pokaz lubieżnikom o najgorszych intencjach.

Patrząc na kamienny dom, objęła się mocno ramionami. Nie miała sił ani ochoty na kolejne przedstawienie, na poddanie się następnemu surowemu osądowi zgorszonej, ale i zafascynowanej gawiedzi. Nie wejdzie więc do środka, tylko ruszy na dalszy spacer.

Już miała obrócić się na pięcie, gdy jej uwagę przykuł wymalowany na powozie herb.

Był jej doskonale znany. Ojciec trzymał w domu herbarz i od wczesnego dzieciństwa często pokazywał jej emblematy rodowe Hughesów. Poczowała ukłucie w sercu. A więc Eastleigh postanowił zapłacić za nią okup. Może to i lepiej. Może rzeczywiście nadszedł czas, by zrezygnować z walki o Devlina i powrócić do domu.

Ruszyła więc śmiało w stronę wejścia, tłumiąc w sobie lęk.

- Są w bibliotece, panno Hughes - poinformował Tompkins z poważną miną i przestraszonym w oczach.

Wirginia nie pojmowała, co się dzieje. Do tej pory Devlin wszystkich gości podejmował w bawialni. A Tompkins zawsze radośnie uśmiechał się na jej widok.

- Czy stało się coś złego? - odważyła się spytać.

- W żadnym razie. - Kamerdyner rozciągnął usta w wymuszonym, nerwowym uśmiechu. - Rozmawiają za zamkniętymi drzwiami - dorzucił bardzo znaczącym tonem.

- Czy to mój stryj, hrabia Eastleigh?

- Nie. Wizytę złożyła hrabina.

Wirginię zdumiała ta wiadomość, a przed oczami stanął jej obraz kobiety równie otyłej i leciwej jak jej mąż. Może postanowiła wyręczyć niedomagającego hrabiego i sama przybyła z okupem? Wirginia, zdecydowana poznać stryjną, uchyliła drzwi i wówczas dobiegł ją niski, zmysłowy głos młodej kobiety, najwyraźniej pogrążonej w rozpacz.

- Nic z tego nie pojmuję, Devlinie.

Hrabina zwracała się do niego po imieniu?! Wirginia zerknęła w głąb pokoju przez wąską szparę w uchylonych drzwiach i aż zaniemówiła z wrażenia.

Naprzeciwko Devlina stała blondynka, która z racji wieku byłaby odpowiedniejszą żoną dla Williama niż jego ojca. Miała niezwykle piękne rysy i pełną, zmysłową figurę, ale w jej oczach malował się głęboki smutek. Wirginia szybko przeniosła wzrok na twarz Devlina i ujrzała jedynie zimną, kamienną maskę.

- Czy to prawda? - Hrabina delikatnie dotknęła jego piersi.

O nie, pomyślała Wirginia. To nie dzieje się naprawdę!

- Owszem, Elizabeth - odparł chłodno. Hrabina zadygotała niczym w febrze i spojrzała na niego tak, jak patrzy kobieta, której właśnie złamano serce.

- Przecież to ja jestem twoją kochanką. Jak możesz równie bezpardonowo wymieniać mnie na inną?

- Przykro mi, Elizabeth. - Devlin podał hrabinie kieliszek brandy. - Nigdy nie składałem ci obietnic. Okoliczności uległy zasadniczej zmianie.

Żona Eastleigha była kochanką Devlina?! Wirginia poczuła współczucie dla hrabiny, a jednocześnie ogarnęło ją przerażenie. Jeżeli tak oszałamiająca kobieta jak Elizabeth Hughes nie zdołała rozkochać w sobie Devlina, ona, Wirginia, nie miała najmniejszych szans.

Hrabina przycisnęła kieliszek do pełnych, odsłoniętych przez dekolt piersi.

- Wiem, że niczego mi nie obiecywałeś, ale wciąż nie mogę pojąć, co się dzieje. Zawsze miałam wrażenie, że tutaj, w Anglii, jestem jedyna. Że cię zaspokajam.

- Może powinnaś usiąść? - zaproponował Devlin beznamiętnym tonem.

- Ja cię kocham! - wykrzyknęła zdesperowana hrabina.

- Swego czasu ostrzegałem, że uczuciowe zaangażowanie z twojej strony byłoby bardzo nieroztropnym posunięciem.

- Dobry Boże! - Elizabeth sprawiała takie wrażenie, jakby za chwilę miała zemdleć. Ścisnęła w dłoni kieliszek, ale nie uniosła go do ust. - Jestem ci całkowicie obojętna, prawda? Moje uczucia nic cię nie obchodzą.

- Jak już wspomniałem, okoliczności uległy małej zmianie.

- O nie! Ty zawsze byłeś bez serca, a ja jedynie się łudziłam, że jest inaczej, że uda mi się cię zmienić! - Niepewnie wstała z sofy.

Miała oczy pełne łez. – Kim ona jest? Czy to aktorka? - Hrabina odstawiła kieliszek z nietkniętym trunkiem. - Wszyscy wiedzą, że żyjesz z nią otwarcie pod jednym dachem. Czyżbyś mnie porzucił dla jakiejś ladaczniczki?

- Elizabeth, chyba nie zamierzasz urządzać sceny?

- Przede wszystkim chcę poznać kobietę, dla której tak bezdusznie mnie odprawiasz.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparł spokojnie Devlin. - Wybacz, że sprawiłem ci przykrość. A teraz proponuję, żebyś poszła, zanim powiesz coś, czego będziesz nazajutrz żałować.

- Przez sześć lat byłam twoją kochanką i nagle bezceremonialnie mnie porzucasz?!

Wirginia, oszołomiona tą wiadomością, przyłgnęła zbyt mocno do drzwi, które pod jej ciężarem odchyliły się gwałtownie i pozbawiły ją równowagi, tak że wylądowała na podłodze nieopodal pary niedawnych kochanków.

Hrabina spojrzała na nią zaszokowana, a Devlin uniósł ironicznie brew.

- Zabawiasz się w szpiega, moja droga? - Wyciągnął rękę i pomógł jej pozbierać się z podłogi.

Wirginia miała ochotę zapytać, czemu jest tak okrutny względem tej kobiety i ile jeszcze niewinnych osób narazi na cierpienie, zanim dopełni zemsty, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- To ona zajęła moje miejsce? - wykrzyknęła z niedowierzaniem hrabina. - Przecież to jeszcze dziecko!

- Mam już osiemnaście lat, milady - wydukała Wirginia i dygnęła.

Elizabeth zasłoniła dłonią oczy i odwróciła głowę. Zapadło głucho, nieznośne milczenie, które w końcu przerwał Devlin.

- Wirginio, hrabina nas opuszcza. Może zechcesz pójść teraz na górę? Wkrótce do ciebie dołączę.

- Wirginio?! - wykrzyknęła Elizabeth, zanim Wirginia zdążyła otworzyć usta i sprzeciwić się Devlinowi. - Ta dziewczyna ma na imię Wirginia? To chyba nie jest moja bratanica?

- Obawiam się, że tak - odparł Devlin. Wirginia już nie była w stanie znieść dłużej tego okrutnego spektaklu. Podbiegła do hrabiny i chwyciła ją za rękę.

- Proszę usiąść. Musi być pani w szoku, ale nie ma powodów do rozpaczki. On mnie nie kocha, nie żywi do mnie odrobiny przyjaznych uczuć. Jestem mu całkowicie obojętna.

Zapłakana hrabina z niedowierzaniem spojrzała na Wirginię.

- Zamiast mnie nienawidzić, okazujesz dobroć i współczucie?

- Pani ma rację. On jest zimny i pozbawiony serca. Poza tym nikt nie zasługuje na tak bezduszną odprawę. - Spiorunowała wzrokiem Devlina, który stał z ponurą miną, rozdrażniony całą sceną.

Hrabina otarła łzy i uważniej przyjrzała się Wirginii.

- Byliśmy przekonani, że utonęłaś - szepnęła.

- Nie. Zostałam przeprowadzona na pokład jego okrętu i...

Devlin mocno złapał Wirginię za ramię.

- Nie ma sensu zanudzać hrabiny szczegółami - rzucił groźnym tonem.

Wirginia szarpnęła się gwałtownie.

- Jesteś ostatnim łajdakiem! Zostaw mnie!

Bez protestu puścił jej rękę, po czym zwrócił się do hrabiny, nie odrywając jednak oczu od Wirginii:

- Przykro mi, Elizabeth, ale muszę cię prosić, żebyś wyszła.

- Tak. Na mnie rzeczywiście już czas - odrzekła hrabina, wpatrując się uważnie w Wirginię.

- Czy ją skrzywdziłeś? - zwróciła się po chwili do Devlina.

- Ja bym tego nie nazwał krzywdą. Elizabeth spojrzała pytająco na Wirginię.

- Nic złego mnie nie spotkało... wzięwszy pod uwagę zaistniałe okoliczności.

- Boję się zgadywać, co mogą oznaczać twoje słowa. Jesteś zbyt młoda i niedoświadczona dla takiego mężczyzny jak Devlin. Lękam się o ciebie, moja droga.

- Nie taki diabeł straszny, jak go malują - odparła Wirginia, siląc się na lekki ton.

- Tylko nie popełnij mojego błędu, bo będzie cię drogo kosztować. Nie zakochaj się. Devlin nigdy nie odwzajemni twoich uczuć. - Elizabeth uśmiechnęła się smutno i wyszła z pokoju.

Już za późno na takie ostrzeżenia, pomyślała Wirginia, spoglądając zza oddalającą się hrabiną.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Devlin nerwowo chodził po jadalni, raz po raz spoglądając na kieszonkowy zegarek, na którym już dawno minęła siódma.

Na stole pyszniła się zastawa dostarczona z „Defiance”: eleganckie kryształy, piękna porcelana i pozłacane sztucce. Spod srebrnych pokryw półmisek wydobywała się para.

Wirginia nie nadchodziła.

Unikała go od trzech dni, od czasu wizyty Elizabeth. W pewnym sensie było to Devlinowi na rękę, bo coraz trudniej przychodziło mu trzymanie emocji na wodzy i bezpardonowe wykorzystywanie Wirginii jako pionka w rozgrywce z Eastleighem.

Wystarczyło, że przypomniawszy sobie jej pełne przekory poczucie humoru, szczere pragnienie przyjaźni, otwartość i żywiołowość, a od razu miał ochotę zwrócić jej wolność.

Gdyby to uczynił, zarazem uwolniłby siebie od pokus i żądz.

„Ci mężczyźni potraktowali mnie jak sprzedajną dziwkę”.

Na to wspomnienie odezwało się w nim poczucie winy. Tak naprawdę miał ochotę udusić Astona własnymi rękami i stłuc Jaysona na krwawą miazgę, a mimo to odgrywał przed nimi żaloszny spektakl.

Devlin poczuł nieprzyjemne pulsowanie w skroniach. Zamiast oskarżycielskiego wzroku ojca, oczami wyobraźni ujrzał nagle pełne cierpienia spojrzenie wielkich fiołkowych oczu. Wyrzuty sumienia dokuczały mu coraz silniej. Droga zemsty, kiedyś tak prosta i gładka, stała się nagle kręta i wyboista. Jednak Devlin musiał wypełnić

synowską powinność. Nie miał innego wyboru. Żył dla nienawiści i walki. Dla rodziny i miłości był stworzony Sean.

Wirginia nie zdawała sobie sprawy, jak ciężko mu było mieszkać z nią pod jednym dachem, panować nad namiętnością. Nie miała pojęcia, że sypiał w bibliotece, a na prowizorycznym posłaniu w sypialni kładł się tylko pro forma tuż przed świtem. Dał do zrozumienia służbie, że cierpi na bezsenność, i te nocne godziny wykorzystuje na pracę.

Gdy ruszył po schodach na górę, w uszach zadźwięczało mu łzawe ostrzeżenie Elizabeth: „Nie zakochaj się. Devlin nigdy nie odwzajemni twoich uczuć”. Miał tylko nadzieję, że Wirginia weźmie sobie do serca radę hrabiny.

Stanął przed drzwiami sypialni. Zastanawiał się, czy nie zapukać, ale wówczas stanął mu przed oczami obraz nagiej Wirginii w wannie, i z nadzieją, że może znów zaskoczy ją w kąpielu, wszedł bez zapowiedzi. Niestety, tym razem Wirginia leżała w łóżku w swojej dziecinnej, zapiętej pod szyję koszuli nocnej, i czytała książkę.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

- Wybacz, ale nie będę ci towarzyszyła przy kolacji. Nie mam apetytu.

Przynajmniej już się na niego nie złościła. Devlin stanął u stóp łóżka i oparł dłoń na poręczy.

- Jesteś chora?

- Nie. - Powoli zamknęła książkę. - Nigdy jej nie kochałeś?

- Nigdy - odparł niechętnie, bo w tej chwili nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę o Elizabeth.

- Romans z nią był jedynie częścią twojej zemsty?

- Tak. - Skrzywił usta.

- To straszne i odrażające.

- Doprawdy? - Zaczęła go ogarniać złość. - Rozkoszowała się każdą chwilą w moim łóżku. Nigdy przed nią niczego nie udawałem, nie oszukiwałem jej, nie składałem fałszywych obietnic. Elizabeth się zakochała, więc przekroczyła granicę, czego nie powinna była robić, o czym ją lojalnie uprzedziłem. Przykro mi, że czuje się zraniona, ale nie żałuję swojego postępowania. Eastleigh zasługuje na wszystko, co go z mojej strony spotyka. A nawet na dużo gorsze rzeczy!

- Dlaczego go nie zabijesz? W ten sposób raz na zawsze zakończyłbyś to szaleństwo! - wykrzyknęła zarumieniona z emocji.

- Myślałem o tym - przyznał Devlin, choć wiedział, że Wirginię zaszokują jego słowa. - Dawno temu uznałem, że śmierć byłaby dla niego zbyt lekką karą.

- A więc chcesz, żeby cierpiał. Proszę, powiedz, że czujesz się winny, iż tak bezdusznie wykorzystaleś Elizabeth.

- W jej przypadku nie mam wyrzutów sumienia. Nie byłem jej pierwszym kochankiem, zawsze szukała pozamałżeńskich przygód. Otwarcie mnie uwodziła. Zgodziła się na określony pakt, w swej istocie niewiele różniący się od transakcji, którą zawarliśmy we dwoje.

- Nieprawda. Trwało to tak długo, że musiałeś dobrze wiedzieć, co czuła do ciebie ta kobieta. Na Boga, przez sześć lat się z nią kochałeś!

- Nigdy nie kochałem się ani z nią, ani z nikim innym! - Ledwie to powiedział, zrobiło mu się wstyd.

Wirginia zbladła.

- Oczywiście. Nigdy nie było mowy o miłości - wyszeptała.

Wiedział, że ją zranił. Nienawidził się za to, co jej zrobił. Za to, że ją rozbudził i wprowadził w świat namiętności. To dlatego Wirginia oczekiwała teraz zbyt wiele. A tymczasem miłość nie była dla niego.

- Zawarliśmy układ: moja przyjaźń za twój udział w tej maskaradzie.

Patrzyła mu w oczy w milczeniu.

- Nie próbuj więc domagać się tego, czego nie mogę i nie zamierzam ofiarować - powiedział z naciskiem.

- Prosiłam cię jedynie o przyjaźń. Łudzisz się, jeżeli myślisz, że chcę więcej. Bo i czego, będąc przy zdrowych zmysłach, mogłabym oczekiwać od człowieka, który mnie porwał i więzi?

- Jutro ruszamy do Londynu.

- Chciałabym jeszcze na moment pozostać przy poprzednim temacie. Tak się zaangażowałeś w rujnowanie mojej reputacji w oczach dobrych mieszkańców hrabstwa Hampshire, że zupełnie zapomniałeś o swoich zobowiązaniach i nie zachowywałeś się jak na przyjaciela przystało. Wspólne kolacje trudno zaliczyć do

przyjacielskich gestów, szczególnie gdy z posępną miną sączysz wino i z irytacją wodzisz wzrokiem po półmiskach.

- Masz rację - przyznał, tłumiąc uśmiech.

- Przyznajesz, że do tej pory tylko ja wywiązywałam się z umowy?

- Tak.

- I co w związku tym zamierzasz zrobić, kapitanie?

- Kiedy przyjedziemy do Londynu, zabiorę cię na wyprawę po sklepach, pójdziemy do teatru, a może nawet na wyścigi konne. Mam nadzieję, że w ten sposób przynajmniej w części zadośćuczynię dotychczasowej niesprawiedliwości.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Najwyższy czas.

- Czy... - zawahał się - czy jesteś pewna, że nie masz ochoty zjeść dziś ze mną kolacji? - Niespodziewanie jej odpowiedź stała się dla niego bardzo ważna.

Wirginia zacisnęła usta, a potem skinęła głową.

- Daj mi tylko kilka minut, żebym mogła się ubrać. Devlin posłusznie opuścił sypialnię z uczuciem zadowolenia.

Londyn! Wirginia widziała dużo sztychów przedstawiających to miasto, wiele na jego temat opowiadał jej ojciec, więc od dawna chciała zobaczyć brytyjską metropolię.

O świcie wraz z Devlinem wyruszyli powozem z Southampton i po kilku godzinach byli w Londynie. Kiedy mknęli przez miasto w stronę Greenwich, gdzie nad rzeką stał dom Devlina, Wirginia z

zachwytem chłoneła widoki. Jeszcze nigdy nie widziała takiej mnogości wspaniałych pojazdów, tyłu bogato odzianych dżentelmenów i olśniewających kobiet. Przy ulicy, którą jechali, znajdowało się wiele eleganckich sklepów, kilka okazałych hoteli, teatr oraz park. Wirginia aż się wychyliła przez okno, żeby uważniej przyjrzeć się kobiecie odzianej w szokujący strój o barwie ostrego amarantu, którego dopełniały różowa parasolka oraz różowe boa.

- Czy to ladacznica? - spytała Devlina z przejęciem.

- Albo ladacznica, albo czyjaś bardzo wyzywająca metresa - odparł z pogodnym uśmiechem, który na chwilę kazał jej zapomnieć, jak bezdusznie Devlin wykorzystywał hrabinę Eastleigh.

Chwilę później po obu stronach ulicy pojawiły się majestatyczne rezydencje, okolone idealnie wypielegnowanymi trawnikami, na których stały kamienne posągi i fontanny. Wirginia z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Można by pomyśleć, że w tym mieście zgromadzono wszystkie bogactwa świata.

- Nie wszystkie, choć znaczną ich część - przyznał Devlin. - Obok tych oaz niebywałego przepychu znajdują się obszary niewyobrażalnej nędzy, do których nigdy cię nie zabiorę.

- Dlaczego? - zapytała z powagą. - U nas też w wielu okolicach panuje straszna bieda. Nie mamy natomiast tak widomych oznak ogromnej fortuny.

- Damom należy oszczędzać przykrych widoków.

- Och, proszę cię! Zawsze pomagaliśmy biednym. Mama tego wymagała, a tato chętnie spełniał jej oczekiwania. Czy dzielisz się z potrzebującymi, Devlinie?

- Tak. Wspomagam ubogich w Irlandii. Brytyjczykami niech zajmują się Brytyjczycy.

- Głód i choroby nie znają granic - stwierdziła Wirginia w zamyśleniu.

Ponownie odwróciła się w stronę okna i zobaczyła, że jadą teraz drogą biegnącą wzdłuż Tamizy. Choć wcześniej wydawało się to niemożliwe, nad rzeką stały jeszcze okazalsze i większe rezydencje.

- Czy stąd widać twój dom?

- Wkrótce go zobaczysz - zapewnił uspokajającym tonem.

- Nie traktuj mnie tak protekcyjnie, jakbym była dzieckiem - oburzyła się Wirginia.

- Dzisiaj jesteś rozemocjonowana niczym dziecko.

- Nienawidziłam Wideacre! - wybuchnęła żywiołowo i natychmiast pożałowała swoich słów. Nie chciała, żeby się zorientował, jak okropnie czuła się w roli upadłej kobiety. - To znaczy... Londyn wydaje mi się dużo bardziej interesujący, ponieważ jeszcze nigdy nie byłam w tak wielkim mieście.

Devlin odwrócił głowę w stronę okna i przez chwilę jechali w milczeniu.

- Będzie ci potrzebna nowa garderoba - oświadczył niespodziewanie. - Postaram się, żeby jutro przyjęła nas madame Didier.

Wirginia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Nie potrzebuję nowych ubrań.

To było oczywiste kłamstwo. Tutaj nie mogła paradować w obcisłych spodniach do konnej jazdy i sztyb-letach. Bez dwóch zdań przydałyby się jej ze dwie porządne suknie.

- Będziemy często przebywać między ludźmi, zapewne też udamy się na jakiś bal. Musisz mieć kilka strojów na dzień i przynajmniej jedną wieczorową toaletę.

Bal?! Przecież ona nie umie tańczyć!

- Mówisz tak, jakbyśmy mieli pozostać w Londynie przez dłuższy czas.

- Pozostaniemy tu tak długo, jak będzie trzeba -stwierdził stanowczo Devlin.

Wirginia nie zamierzała uczestniczyć w balach. Chociaż... może jakimś cudem zdołałaby szybko nauczyć się tańczyć tylko po to, żeby potem opowiedzieć Tillie, jak wygląda prawdziwy londyński bal. Ogarnęło ją przygnębienie. Nie chciała wyjść na nieokrzesaną prowincjuszkę. Teraz zaczęła szczerze żałować, że pilniej nie słuchała baletmistrza w szkole w Richmond.

- Coś nie w porządku, Wirginio? Śmiało spojrzała mu w oczy.

- Ależ skąd! Z wielką ochotą udam się na bal. W moich stronach często organizowano bale, a ja uwielbiam tańczyć.

Uniósł brwi w dobrze jej już znanym wyrazie, w którym powątpiewanie mieszało się z rozbawieniem.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił po chwili.

Wirginia wyjrzała przez okno i zaniemówiła z wrażenia. Zobaczyła przed sobą zamek - bo tym właśnie wydała jej się potężna budowla z wieżami po obu stronach fasady. Otaczające dom ogrody również zapierały dech w piersiach. Wirginia jeszcze nigdy nie widziała takiej feerii barw jesienią. Po chwili dojrzała także wąskie, podłużne boisko porośnięte trawą i przedzielone siatką.

- Czy to kort?! - wykrzyknęła. Devlin przytaknął ze śmiechem.

- Chcę zagrać.

- Będiesz mogła grać do woli, Wirginio, ponieważ obecnie będzie to twój dom.

Radosne podniecenie natychmiast ją opuściło. Devlin traktował ją od rana tak przyjaźnie, że przestała myśleć o ich umowie, a przecież w Londynie zamierzał przedstawiać ją jako swoją kochankę, niszczyć reputację i dalej upokarzać Eastleigha, by w końcu zmusić hrabiego do kapitulacji i zapłacenia okupu.

- To nie jest mój dom, ale więzienie - powiedziała cicho. - Na moment o tym zapomniałam, ale nie wolno mi więcej popełniać tego błędu.

- Postaraj się myśleć o tym miejscu jak o domu - doradził Devlin.

Drzwi otworzył pełen powagi kamerdyner. Wirginia została wprowadzona do przestronnego, reprezentacyjnego holu o wysokim sklepieniu, z którego zwieszał się ogromny, kryształowy żyrandol. Posadzki były wyłożone najprzedniejszym marmurem, a wokół znajdowało się wiele dzieł sztuki. Stojąca pośrodku rzeźba

naturalnych rozmiarów, przedstawiająca starorzymskiego żołnierza na koniu, z pewnością należała do arcydzieł swojego gatunku.

Devlin był o wiele bogatszy, niż sobie wyobrażała.

- Dzień dobry, sir. Jesteśmy niezmiernie szczęśliwi, że przyjechał pan do domu - powiedział kamerdyner, odbierając kapelusz od Wirginii i rękawiczki od Devlina.

- Benson, to jest panna Wirginia Hughes. Każ zanieść jej bagaże do moich pokojów. Będzie je ze mną dzielić.

Kamerdynerowi nawet nie drgnęła powieka.

- Tak jest, sir.

Tymczasem Wirginia podeszła do wielkiego malowidła, przedstawiającego jakąś starożytną bitwę. Konni wojownicy - greccy lub rzymscy - oblegali cytadelę pełną przerażonych kobiet i płaczących dzieci. Scena była ponura, ale oddana z niezwykłą ekspresją i dbałością o szczegóły.

- Tyrell!

Z kontemplacji obrazu wyrwał ją zdumiony głos Devlina. Wirginia odwróciła się i ujrzała wysokiego mężczyznę, stojącego w drzwiach po przeciwległej stronie holu. Był to bez wątpienia syn hrabiego Adare'a, miał bardzo podobne do ojca rysy twarzy i ten sam koloryt włosów oraz cery.

- Dev!

Mężczyźni uścisnęli się serdecznie. Nie ulegało wątpliwości, że poza koligacjami rodzinnymi łączyły ich więzy przyjaźni.

- Wirginio. - Devlin wyciągnął ku niej rękę i uśmiechnął się ciepło.

Wysoki czarnowłosy nieznajomy patrzył na nią badawczo i przenikliwie. Wirginia stanęła przed Devlinem niepewna, jak powinna się zachować. Czy tym razem też ma udawać jego kochankę? Devlin nie objął jej jednak ramieniem, jak to zawsze czynił w Wideacre, gdy odgrywali maskaradę, a więc na szczęście w obecności rodziny nie zamierzał ciągnąć tej gry.

- Panna Wirginia Hughes. Mój brat, Tyrell de Warenne.

Tyrell obrzucił Devlina gniewnym spojrzeniem ciemnych oczu, po czym skłonił się przed Wirginią.

- Proszę mi wybaczyć, panno Hughes. Pani olśniewająca uroda tak mnie oszołomiła, że na moment odjęło mi mowę.

- Bardzo w to wątpię - odparła z uśmiechem.

- Słucham?

- To znaczy bardzo dziękuję za uroczy komplement.

- Sean wyrażał się o pani w samych superlatywach. Przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia - powiedział Tyrell.

Wirginia poczuła ukłucie w sercu.

- A jak on się miewa?

- Jeśli ma pani na myśli stan jego zdrowia, to jak najlepiej.

Spojrzała w czarne oczy Tyrella. Czy wiedział, że Sean jest w niej zakochany? I dlaczego tak bardzo złościł się na Devlina?

- Widział się pan z nim w Askeaton?

- Owszem. Dwa tygodnie temu byłem u niego na kolacji. - Tyrell sięgnął za połę eleganckiego, ciemnego żakietu i wyjął zalakowany list. - Dla pani, panno Hughes.

Natychmiast rozpoznała pismo Seana na kopercie.

- Dziękuję, że zechciał mi pan dostarczyć list -powiedziała do Tyrella, po czym zwróciła się do Devlina: - Twój dom jest doprawdy piękny. Jeszcze nigdy nie widziałam równie wspaniałej rezydencji. Rozejrzę się w ogrodzie, a ty będziesz mógł swobodnie wymienić nowiny z bratem.

W odpowiedzi Devlin skinął jedynie głową i Wirginia, przyciskając do piersi kopertę, spieszenie wyszła przez tarasowe drzwi.

Wówczas Tyrell popatrzył gniewnie na Devlina.

- Ta dziewczyna ma dzielić z tobą pokoje? Przyznaję, doszły mnie nedorzeczne plotki, że mieszkasz otwarcie z jakąś kobietą, ale nie chciałem dać im wiary.

- Uważaj, stąpasz po kruchym lodzie - rzucił ponuro Devlin i przeszedł do przyległego salonu. Przez olbrzymie, wychodzące na taras okna, widział, jak Wirginia otwiera kopertę. To był z pewnością list miłosny, a jej zależało, by jak najszybciej go przeczytać.

Niespodziewanie ogarnęła go złość.

- Co ty, do diabła, wyczyniasz?! - rozległ się oburzony głos Tyrella.

- To moja sprawa, kogo biorę do łóżka.

- Myślisz, że uda ci się zamydlić mi oczy? Przecież to bratanica Eastleigha. Twoje uniki utwierdzają mnie tylko w przekonaniu, że nadal krocysz tą przeklętą drogą, wiodącą cię wprost ku zagładzie!

- Jediną osobą na drodze do zagłady jest Eastleigh -odparł Devlin. Wydawało mu się, że ramiona Wirginii zdrząły. Czyżby płakała?

- Sean jest zakochany w tej dziewczynie. Zamierzasz deptać uczucia własnego brata?

Devlin wreszcie oderwał wzrok od Wirginii i zwinął dłonie w pięści. Miał szczerą ochotę rzucić się na wyższego i potężniejszego, chociaż nieco wolniejszego w ruchach Tyrella. Jeszcze nigdy żaden z nich nie podniósł na drugiego ręki.

- Nie wtrącaj się!

- O nie! Nie zamierzam spokojnie patrzeć na twoje wybryki. Sean powiedział mi o idiotycznym pomysle z okupem. Minęły trzy tygodnie, od kiedy opuściłeś Askeaton. Dostałeś pieniądze? Dlaczego ta dziewczyna została twoją kochanką, chociaż jej miejsce jest u boku Seana?

Tyrell miał rację i właśnie z tej przyczyny Devlina ogarnęła tak wielka wściekłość, że aż ujrzał czerwone plamy przed oczami.

- Dziewczyna pozostanie ze mną tak długo, jak uznam za stosowne!

Tyrell chwycił go z całej siły za ramiona.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś postępował równie bezmyślnie i szaleńczo. Wprost nie mogę uwierzyć, że postanowiłeś

tak bezdusznie zniszczyć tę dziewczynę. Pomyślałeś, jakie będą tego reperkusje? Doprawdy wierzysz, że zdołasz i tym razem ocalić głowę?!

Devlin wzruszył ramionami, ale w głębi duszy był poruszony. Najpierw Sean, teraz Tyrell. Choć i bez tego doskonale wiedział, że nie powinien wykorzystywać Wirginii do swoich knowań.

- Nic złego jej nie spotka - stwierdził. - Jak tylko wpłynie okup, otrzyma zadośćuczynienie.

- A niby jakie? Ożenisz się z nią, żeby ocalić jej reputację?

- Nie - odparł bez zastanowienia.

W duchu przyznał rację Tyrellowi. Od dłuższego czasu nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. W istocie tylko ślub mógłby zdjąć z Wirginii odium, które sam na nią ściągnął. Tyle że życie rodzinne i miłość nie leżały w jego planach.

Tyrell potrząsnął nim z całej siły.

- A co z twoją karierą? - zapytał. - Już teraz wisi na włosku. Jeden fałszywy krok i staniesz przed sądem wojennym. Porwanie tej dziewczyny było przestępstwem kryminalnym i nie próbuj mi wmówić, że nie zdajesz sobie z tego sprawy. Ludzie kończyli na szubienicy za drobniejsze występki.

- Nie skończę na szubienicy - odparł szorstko Devlin i drgnął gwałtownie, bo zauważył, że Wirginia poszarzała na twarzy i zastygła w bezruchu niczym kamienny posąg.

Tyrell powędrował wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Jesteś zakochany w tej dziewczynie? - W jego głosie brzmiało niedowierzenie.

- Nie!

- Rozumiem. Eastleigh zapłaci?

- Nie pozostawię mu wyboru.

- Jak ty możesz jej to robić? - Tyrell skinął głową w stronę Wirginii, stojącej teraz z twarzą ukrytą w dłoniach. - Tylko popatrz. Ona płacze. Wiem, że musi to wzbudzać w tobie wyrzuty sumienia, bo znam cię lepiej niż ktokolwiek inny, nawet lepiej niż Sean. Co do jednego nie mam wątpliwości: nie jesteś wcale tak bezwzględny, za jakiego uchodzisz.

- W porządku - odezwał się ponuro Devlin. - Nękają mnie wyrzuty sumienia. Zadowolony?

Podszedł do kredensu i drżącą ręką nalał szkockiej. Bezskutecznie starał się zwalczyć w sobie gniew i jeszcze inne, nieznane mu dotąd uczucie, wywołane widokiem Wirginii, płaczącej nad listem od Seana - pomieszanie mrocznego lęku z bliżej niesprecyzowanymi rozterkami, które podejrzenie przypominało zazdrość.

- A niech to szlag! - Devlin z całej siły cisnął szklaneczką o ścianę i ciężki kryształ z głośnym hukiem roztrzaskał się na drobne kawałki.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś stracił nad sobą kontrolę - skomentował cicho Tyrell. - Już jako dziesięcioletek, gdy znalazłeś się

w naszym domu po śmierci Geralda, byłeś najbardziej chłodnym emocjonalnie człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem w życiu.

W tej samej chwili Wirginia wbiegła do salonu z zarumienionymi policzkami, wcale jednak nie poznaczonymi śladami łez.

- Wielkie nieba! Czy nikomu nic się nie stało? -Spojrzała nerwowo na obu mężczyzn. - Wydawało mi się, że ktoś wypalił z muszkietu...

Devlin odwrócił się szybko, wciąż trawiony gniewem i do tej pory zupełnie mu obcym uczuciem zazdrości.

- Nikt do nikogo nie strzelał - odparł spokojnie Tyrell. - Panno Hughes, czy mogłaby pani odszukać Bensaona i powiedzieć, że doszło do drobnego wypadku? - Uśmiechnął się przyjaźnie.

Wirginia skinęła głową i wyszła, tymczasem Devlin nalał sobie kolejną porcję whisky, którą tym razem wychylił jednym haustem.

Tyrell położył mu rękę na ramieniu.

- Widzę, że sprawy przedstawiają się inaczej, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka - powiedział.

Devlin strząsnął dłoń brata.

- Mylisz się - odparł, już opanowany. - Czy napijesz się szkockiej?

- Chętnie - odparł Tyrell. Zamyślił się na moment, po czym dorzucił: - Zostanę również na kolacji.

- Gorące racuchy! Muffiny i zawijańce! Biszkopty za pensa!

Wirginia z Devlinem przemierzali Regent Street, główną ulicę handlową Londynu.

- Krzesła reperuję! Krzesła!

Drogę zastąpił im uliczny rzemieślnik i skłonił się nisko.

- Sir, umiem naprawiać wszystkie rodzaje krzesel i foteli - oznajmił.

- Nie, dziękuję - odparł Devlin i chwycił Wirginię za rękę.

- Rybki! Piękne złote rybki dla uroczej damy! Devlin uśmiechnął się do Wirginii i odciągnął ją od handlarki, trzymającej duże wiadro, Wirginia jednak zaprotestowała.

- Chcę je obejrzyć!

- Wirginio...

- Teraz czas na moje przyjemności - przypomniała. - Czy może mi je pani pokazać?

Handlarka uśmiechnęła się szeroko, obnażając bezzębne dziąsła i opuściła niżej wiadro, żeby Wirginia mogła popatrzeć na jego zawartość.

- Są śliczne!

- Tuzin za pensa.

- Wirginio, proszę, tylko mi nie mów, że kupujemy rybki.

- Nie. Dziękuję pani - zwróciła się przeproszającym tonem do handlarki.

- Gorące racuchy! Muffiny i zawijańce! Biszkopty za pensa!

- Devlin, proszę...

- Co sobie życzysz tym razem?

Wirginia zdążyła już zjeść muffinkę i biszkopta.

- Zawijańca - odparła stanowczo, chociaż nie miała pojęcia, co to takiego.

Devlin dokonał zakupu i podał Wirginii coś, co przypominało zwinięty, przyrumieniony naleśnik. Wirginia odgryzła spory kęs.

- Pycha! - zawyrokowała.

Devlin parsknął śmiechem i pokręcił głową.

- Chodź już. Jesteśmy tu od godziny, a przeszliśmy zaledwie jedną przecznicę.

W odpowiedzi Wirginia wcisnęła mu w rękę zawijańca, a sama podbiegła do dużego okna wystawowego.

- Popatrz jaka piękna, czarna koronka!

- Chcesz, żebyśmy ją kupili?

Bardzo chciała. Już widziała oczami duszy, jak w czerwonej sukni przybranej masą tej koronki udaje się z Devlinem na bal, gdzie tańczą razem do białego rana... Nagle przypomniała sobie o hrabinie Eastleigh i oprzytomniała.

- Nie, dziękuję.

- Tak szybko zmieniłaś zdanie? - Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Nie jest dla mnie odpowiednia, choć bardzo piękna - dorzuciła tęsknie.

- W takim razie ruszajmy. Musimy zdążyć na spotkanie z madame Didier - zarządził Devlin, ujmując Wirginię pod ramię.

- Wiesz, teraz można by nas wziąć za dwójkę prawdziwych przyjaciół - powiedziała z wahaniem.

- Przecież ci to obiecałem - odparł lekkim tonem. - Czy dobrze się bawisz?

- Wspaniale! Pyszne muffinki, prześliczne rybki... tutaj chyba wszystko można kupić na ulicy. Widziałam nawet człowieka, który sprzedawał ceglany pył!

- Jest używany do czyszczenia noży - wyjaśnił Devlin, a potem spytał od niechcena: - Co pisze Sean?

Ten list utwierdził Wirginię w żywionych przez nią uczuciach. Nigdy nie pokocha Seana, ale też w nikim nie będzie widzieć droższego, serdeczniejszego przyjaciela. Miała szczerą nadzieję, że pewnego dnia Sean zakocha się bez pamięci w kobiecie, która w pełni odwzajemni jego miłość.

- To nie twoja sprawa.

- W pewnym sensie moja, ponieważ jestem odpowiedzialny za mojego brata od czasu, gdy skończył osiem lat. Jeżeli nie chcesz, nie zdradzaj jego sekretów, tym bardziej że są mi doskonale znane.

Widok magazynu madame Didier zaskoczył Wirginię. Przypuszczała, że będzie to niewielka manufaktura: ciasne pomieszczenie pełne kobiet pracownicę pochylonych nad furkoczącymi maszynami do szycia. Tymczasem drzwi otworzyła piękna rudowłosa kobieta w wyjątkowo szykownym stroju i wprowadziła ich do holu o podłodze ze szlachetnego drewna, pokrytej perskimi dywanami, gdzie stały przeszklone gabloty pełne eleganckich kapeluszy, rękawiczek, torebek i sztuk przednich tkanin.

Na końcu holu widniały szerokie schody wyłożone czerwonym chodnikiem.

- Kapitan O'Neill? - odezwała się rudowłosa kobieta z uśmiechem. Mówiła z nieznacznym francuskim akcentem.

- Madame Didier? - Devlin nie krył zdziwienia. Ta kobieta nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia parę lat.

- Jestem bratanicą madame Didier. A to, jak sądzę, panna Hughes?

Wirginia skinęła głową. Nie mogła zdecydować, co bardziej ją zafascynowało: elegancka, zmysłowa Francuzka czy piękne artykuły wystawione w gablotach.

- Kapitanie, mademoiselle, zapraszam na górę. Ciotka już na państwa czeka.

Na piętrze zostali wprowadzeni do salonu o marmurowej posadzce, w którym stało kilka eleganckich foteli i kanap. Na powitanie wyszła im starsza, ciemnowłosa kobieta o dobrej figurze i regularnych rysach twarzy.

- Kapitanie O'Neill, jakże się cieszę, że wreszcie mam okazję pana poznać - oznajmiła i uśmiechnęła się szeroko. Jej francuski akcent był znacznie silniejszy niż u bratanicy.

Devlin pochylił się nad dłonią słynnej mistrzyni krawiectwa.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madame Didier. Jestem wdzięczny, że pani zgodziła się tak szybko nas przyjąć.

- Pana, mon capitaine, przyjmę zawsze, nawet bez wcześniejszej zapowiedzi. - Odwróciła się w stronę Wirginii. - Mademoiselle... Ach,

cóż za filigranowa piękność! Przygotowanie strojów będzie czystą przyjemnością. Tylko popatrz, Sophie! Regardez la petite!

Kobiety zaczęły szybko wymieniać zdania po francusku, promieniejąc na twarzy. Wirginia poczuła się nieswojo.

- Czy kapitan życzy sobie zostać i zaaprobować nasze propozycje, czy pozostawi wybór tkanin i fasonów kobietom? - zapytała madame Didier, prowadząc Wirginię do sąsiedniego pokoju.

- Kapitan musi nas opuścić - wtrąciła Wirginia.

- Zostanę, madame - odparł Devlin z leniwym uśmiechem. -

Wirginia potrzebuje zestawu sukien na dzień i ze dwie balowe toalety. Preferowałbym kolory korespondujące z barwą jej oczu. Myślę, że głęboki fiolet i barwa ametystu byłyby bardzo odpowiednie.

Wirginia nie wierzyła własnym uszom. Devlin zamierzał zostać? Przecież dla zdjęcia miary będzie musiała się rozebrać!

- A także rubinowa czerwień, mon capitaine. I naturalnie srebro.

Pstryknęła palcami i Sophie podała jej jedwabną tkaninę skrzącą się srebrzyście przy najdrobniejszym poruszeniu.

- O tak. Jestem zachwycony - zdecydował, gdy Sophie udrapowała materiał na Wirginii.

- Devlinie, może przekażesz madame Didier swoje sugestie, a potem zostawisz nas same na jakiś czas - zaproponowała Wirginia.

- Nie zamierzam się stąd ruszać - stwierdził stanowczo i nonszalancko rozparł się na niewielkiej sofie.

Madame zaśmiała się, po czym wykrzyknęła:

- Sophie, gdzie le rouge noir!

Dziewczyna podała ciotce sztukę jedwabiu o barwie głębokiej czerwieni.

- Mon capitaine, proszę tylko spojrzeć! Wirginia chciała zaprotestować, wyjaśnić, że taki kolor jest odpowiedni dla kobiet o figurze i urodzie hrabiny Eastleigh, a nie dla niej, lecz w tym samym momencie Devlin ochoczo pokiwał głową.

Madame Didier powiedziała coś do bratanicy po francusku, a sama przysiadła na fotelu i zajęła się sporządzaniem notatek. Sophie podeszła do Wirginii i zaczęła rozpinać jej suknię.

- Co pani robi?

- Muszę panią rozebrać, mademoiselle, żebyśmy mogły wziąć miarę.

Wirginia zwróciła błagalny wzrok na Devlina, ale on jedynie wyciągnął przed siebie długie nogi i mruknął:

- Nie zwracaj na mnie uwagi.

Pozwoliła więc zdjąć z siebie suknię. Madame Didier uniosła wzrok znad notesu i zacmokała z dezaprobatą na widok pantalonów.

- W Ameryce są nadal w modzie - skłamała Wirginia.

Zanim zdążyła ochłonać, Sophie zdjęła z niej także koszulkę, pozostawiając jedynie gorset unoszący do góry nagie piersi.

Wirginia zerknęła na Devlina; jak pogrążony w transie, wodził oczami po jej ciele.

- Mademoiselle potrzebuje nowej bielizny - stwierdziła rzeczowo madame Didier, podnosząc się z fotela. - Dwa gorsety,

jeden czarny, drugi biały, zdobione koronkami i wstążką, a do kompletu odpowiednie koszulki. Oui?

Sophie uniosła dwa kawałki czarnej, przezroczystej koronki i przerzuciła Wirginii przez ramiona, tak że opadły na piersi.

Na twarzy Devlina pojawił się zachwyt.

- Pan aprobeuje, mon capitaine?

- Całkowicie.

Koronka zniknęła; jej miejsce zajął cieniutki len w kolorze kości słoniowej, a następnie jedwabne wstążki - również w odcieniu kości słoniowej, a także beżu i różu.

- Kość słoniowa - zdecydował Devlin.

- Superbe, mon capitaine. - Madame Didier pogratulowała mu wyboru. - Niewymowne do kompletu w najnowszym fasonie, oui?

- Tak jest.

- Chciałabym panu koniecznie coś jeszcze pokazać. Specjalny jedwab na bieliznę, bardzo niezwykły, mademoiselle będzie zachwycona. Mam go na dole, un moment, s'il vous plait. - Madame wyszła z pokoju.

Tymczasem Sophie przerzuciła przez ramiona Wirginii połyskliwy jedwab w kolorze ciemnego fioletu. Devlin skinął głową, a Sophie udrapowała materiał tak, że nieznacznie odsłaniał piersi.

- Jak wysoko, kapitanie? - spytała. - Pour la jour?

- Niżej.

Wirginia czuła się jak w erotycznym transie. Jeszcze nigdy w życiu nie nosiła tak wydekoltowanej sukni.

- Tutaj? - Sophie obsunęła brzeg tkaniny.

- Doskonale - zdecydował Devlin, po czym zaczął mówić szybko i płynnie po francusku.

- D'accord - odparła Sophie, zerknęła na Wirginię i pospiesznie opuściła pokój.

Wirginia chwyciła najbliższą sztukę tkaniny, żeby się okryć.

- Nie - sprzeciwił się i wysunął jedwab z jej dłoni.

- Co robisz?

- Jesteś taka piękna - powiedział. Położył dłonie na jej piersiach i zaczął pocierać sutki. Wystarczyła chwila, a Wirginia jęknęła z zachwytem.

- Popatrz na mnie - nakazał miękkiem głosem. Ich spojrzenia się spotkały. Wirginia poczuła rękę

Devlina, przesuwaną się po jej brzuchu, ściągającą pantalon.

- Pozwól, że ci dogodzę, najdroższa - wyszeptał.

- Nie... nie tutaj.

- Nikt nam nie przeszkodzi.

Wirginia, płonąca z pożądania, chwyciła Devlina mocno za ramiona i gwałtownie przyciągnęła do siebie.

- Cierpliwość jest cnotą - przypomniał, wodząc ustami coraz niżej po jej ciele, aż w końcu dotarł do ciemnego trójkąta.

Drżąc na całym ciele, Wirginia wygięła się w łuk. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje z rozkoszy.

Kiedy uchyliła powieki, zobaczyła, że Devlin klęczy między jej nieprzyzwoicie rozsuniętymi nogami. Chciała je szybko zsunąć.

- Nie rób tego - mruknął. Znowu wróciło pożądanie. Devlin ponownie zaczął ją pieścić.

- Czy będziesz dla mnie szczytować raz jeszcze, maleńka?

- Chcę... cię... tam... bardziej... poczuć... Błagam, Devlin, chcę go mieć w sobie... błagam...

Podniósł się, przycisnął usta do jej warg i zaczął wodzić po jej płci męskością, łapiąc głośno ustami powietrze, szepcząc jej imię.

Wirginia chwyciła go z całej siły za ramiona, a po chwili coś w niej eksplodowało i zalała ją fala obezwładniającej rozkoszy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy wyszli od madame Didier ruch na Regent Street zdecydowanie się zmniejszył. Pozostało zaledwie kilku ulicznych handlarzy, sklepy zamykały podwoje, a wśród niewielu przechodniów w ogóle nie widziało się kobiet, chociaż przedtem było ich tutaj bardzo wiele.

- Zdaje się, że jest dużo później, niż sądziłam - powiedziała Wirginia.

- Niedawno minęła czwarta. O tej porze damy z towarzystwa szykują się na wieczorne przyjęcia - wyjaśnił Devlin.

Wirginia usilnie unikała jego wzroku. Była roztrzęsiona. Co ona teraz pocznie? Jak zdoła wypełnić warunki umowy, skoro dla niej było to coś znacznie więcej niż zwykła maskarada?

- Dostaniesz piękne suknie. Wiem, że nie dbasz o modę, ale będziesz je mogła zabrać ze sobą do Ameryki.

Nagle zdjęła ją złość.

- Nie chcę sukien.

Zbliżali się do pięknego powozu Devlina, ciągniętego przez cztery dorodne siwki.

- Ja natomiast mam ochotę ci je podarować.

- Czy ten hojny gest ma zmniejszyć twoje poczucie winy?

- A powinienem czuć się winny? - powiedział z wolna, jakby starannie dobierał słowa. - Za to, że dałem ci rozkosz?

- Za całokształt - rzuciła zapalczywie.

- Darowanie ci tych sukien nie ma nic wspólnego z poczuciem winy. Zdajesz się smutna i przygaszona, podczas gdy ja miałem nadzieję poprawić ci nastrój.

- Zawsze możesz raz jeszcze dostarczyć mi rozkoszy, to z pewnością załatwi problem.

Ruszyła przed siebie stanowczym krokiem, żalując wszystkiego, co się stało. Miłosna ekstaza była zapowiedzią bólu i cierpienia. Och, gdybyż mogła - jak wielkoświatowe kobiety - przyjmować rozkosz z uczuciową obojętnością, nie marząc o miłości.

- Milady? Piękne szczeniaki na sprzedaż. Prawdziwie rasowe, proszę tylko spojrzeć.

Przez napływające do oczu łzy Wirginia ujrzała szeroką mordkę czarnego, tłustego psiaka o klapniętych uszach i dużych brązowych oczach.

- Śliczny, prawda? - Sprzedawca rozciągnął usta w bezzębnym uśmiechu.

Wirginia chwyciła szczeniaka w ramiona, przycisnęła go do piersi i przytuliła policzek do miękkiej sierści. Nagle gorąco zatęskniła do „Słodkiego Derenia”, gdzie życie było takie proste i szczęśliwe.

- Co to za rasa? - rozległ się surowy głos Devlina. Wirginia uśmiechnęła się do szczeniaka, entuzjastycznie liżącego ją po twarzy.

- Wyjątkowo rzadka, sir. Z północy. To dobre pokojowe pieski, bo nie rosną duże, ot, najwyżej do kolan. Idealne dla damy.

Wirginia mocniej przytuliła szczeniaka i spojrzała wyzywająco na Devlina.

- Chcę mieć tego psa - oznajmiła.

- O ile mnie wzrok nie myli, to jest dog - zauważył. Nie spuszczać wzroku z Wirginii, westchnął i zapytał: - Ile za to zwierzę?

- Szylinga, sir.

Devlin odliczył parę monet.

- Masz tu pięć pensów i uważaj się za szczęściarza.

- Tak jest, milordzie. - Sprzedawca się rozpromienił.

- Dziękuję ci. Już go zdążyłam pokochać.

- To dobrze. Cieszę się - odparł Devlin i uśmiechnął się blado.

Poczucie winy nie opuszczało go ani na moment, coraz bardziej upodobniając się do jęczącej rany.

Kilka kolejnych dni upłynęło w spokoju. W odróżnieniu od Wideacre, w Londynie nikt ich nie nachodził, a rezydencja była tak wielka, że Wirginia mogła bez trudu unikać Devlina, co uznała teraz za nader istotne. On też nie szukał jej towarzystwa, więc spotykali się jedynie przy kolacji, którą spożywali w pełnym napięcia milczeniu. W ciągu dnia natomiast Wirginia z zapalem uczyła szczeniaka podstawowych komend.

Aż w końcu pojawił się gość: lord de Warenne.

Wirginia polubiła przystojnego Tyrella, który, jak się dowiedziała, był rówieśnikiem Devlina. Gdy więc tylko usłyszała o jego przybyciu, zbiegła na dół, żeby się z nim przywitać. Zatrzymała

się w progu bawialni: bracia stali pogrążeni w cichej rozmowie, a na dodatek, ku zdumieniu Wirginii, Devlin miał na sobie mundur.

- Przepraszam - powiedziała, gdy mężczyźni zwrócili na nią wzrok. - Doszło do mnie, że przybył lord de WARENNE. Nie chciałam przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz. Właśnie omawialiśmy wyniki waszych wyborów prezydenckich - odparł Devlin.

- Witam, milordzie. - Wirginia zwróciła się w stronę Tyrella.

- Panno Hughes. - Tyrell się skłonił, po czym uśmiechnął ciepło.

- Czy prezydent Madison został wybrany na kolejną kadencję? - spytała w nadziei, że usłyszy twierdzącą odpowiedź.

- Niestety, tak. - Devlin mimowolnie się skrzywił.

- Prezydent Madison doskonale sprawuje swój urząd - stwierdziła autorytatywnie Wirginia. - Jest bardzo mądrym i kompetentnym człowiekiem.

- Ten twój mądry i kompetentny prezydent wypowiedział wojnę Wielkiej Brytanii, chociaż uznaliśmy wszystkie handlowe żądania wysunięte przez Amerykę.

- W tej wojnie nie chodzi tylko o handel i wysiłki Anglii, mające na celu niedopuszczenie do bogacenia się mojego kraju, ale o próbę faktycznego, choć nie de jure, zdegradowania statusu Stanów i ponownego uczynienia z nich kolonii.

- W tej wojnie chodzi o wiele spraw. Jednak przede wszystkim służy ona waszym republikanom do rozgrywania politycznych celów:

rozprawy z federalis-tami i utrzymania się za wszelką cenę u władzy - gładko zripostował Devlin.

- Czy zaprzeczasz, że Brytyjczycy chcą z nas uczynić zubożałą prowincję?! - wykrzyknęła zapalczywie Wirginia.

- Nie. Temu nie przeczę. Utrzymuję jedynie, że Wielka Brytania nie chce toczyć wojny z Ameryką. Rząd w Londynie nie życzy sobie, aby jakikolwiek inny kraj dorównał Anglii wielkością i bogactwem, spójrz choćby na Irlandię. Nikt tu jednak nie zamierza czynić z was na powrót kolonii. To czysta propaganda uprawiana przez waszyngtońskie „jastrzębie”.

- Mylisz się. Brytyjczycy to imperialiści.

- Czy mogę wtrącić swoje trzy grosze? - spytał Tyrell, który z rozbawieniem przysłuchiwał się tej wymianie poglądów.

- Bardzo proszę - zgodził się Devlin.

- Amerykanie są takimi samymi imperialistami, jak Brytyjczycy, panno Hughes. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że lobby agrarne w waszym kraju dąży do zaanektowania Kanady i ekspansji na północ.

- W Kanadzie nie wygrywamy - odparła cicho Wirginia.

Codziennie czytała gazety Devlina i stąd wiedziała, że, jakkolwiek wydawało się to niemożliwe, amerykańskie oddziały ponosiły na terytorium kanadyjskim klęskę za klęską, chociaż liczebnie znacznie przeważały nad Brytyjczykami. - Rzecz w tym, że wcale nie chcemy wypędzać z Kanady Anglików. Domagamy się jedynie prawa do wolnego handlu zarówno na lądzie, jak i na morzu, co nam słusznie się należy.

Tyrell zerknął na Devlina.

- Czyżbyś spotkał równą sobie dyskutantkę?

- Niewykluczone - odparł Devlin, przekładając drobiazgi na biurku. - Chciałaś się ze mną zobaczyć w konkretnej sprawie, Wirginio? - zapytał nieoczekiwanie.

- Nie... Pragnęłam jedynie powitać twojego brata.

- I to wszystko?

- Owszem - odpowiedziała, po czym posłała mu uważne spojrzenie. - Dlaczego jesteś w mundurze? Czy wyruszasz na morze?

- Nie. Mam spotkanie na mieście. Rozczarowana?

- W żadnym razie - odrzekła, a Devlin uniósł brew, lekko zaskoczony. Tymczasem Wirginia uśmiechnęła się do Tyrella. - Czy zechcesz zostać u nas na kolacji, milordzie? Bylibyśmy zachwyceni.

- Z największą przyjemnością, panno Hughes. - Skłonił się dwornie.

- Cudownie. A teraz pozwolicie panowie, że was opuszczę. - Skierowała się ku drzwiom.

- Wirginio? - zatrzymał ją głos Devlina.

- Tak?

- Jutro wieczorem lord Carew wydaje bal w swojej rezydencji. Przyjąłem zaproszenie.

Wirginii serce zamarło. Nie mogło jej spotkać nic gorszego niż ponowne odgrywanie roli ładaczniczki, bezwstydnego kochanicy Devlina.

- Nie mam co na siebie włożyć! - wykrzyknęła w desperacji.

- Dziś dostarczono trzy z twoich nowych sukien, a wśród nich srebrną balową toaletę - poinformował Devlin.

Wirginia próbowała się uśmiechnąć, ale nadaremnie.

- Wyruszymy stąd o siódmej.

- Jak zwykle wyglądasz doskonale, Devlinie - powiedział na powitanie Liverpool.

Devlin skinął głową i wszedł do gabinetu ministra wojny, który tymczasem rozkazał adiutantowi, by nikt im nie przeszkadzał.

- Napijesz się czegoś? Herbaty? Brandy?

- Nie. Dziękuję.

- Miło spędziłeś czas w Hampshire? - Liverpool wskazał na obszerny fotel.

Devlin rozsiadł się wygodnie.

- To było przyjemne interludium - skłamał gładko.

Miał nadzieję, że już nigdy jego noga nie postanie w tamtych stronach. Chyba że po odbiór okupu.

- Doszło do mnie, że wzięłeś sobie wyjątkowo piękną metresę, Amerykanke.

- Owszem. Plotkarze nie próżnują.

- Ponoć w Londynie przybyło złamanych niewieścich serc.

Przejdźmy jednak do spraw zasadniczych.

- Z największą chęcią.

- Tom Hughes usilnie nalega, żeby cię przenieść na amerykański teatr wojenny. Teraz, gdy Napoleon wycofał się spod Moskwy, a jego

zdziesiątkowane oddziały są w rozsypce, ja również optowałbym za podobnym rozwiązaniem.

- Nie mam nic przeciwko walce z Amerykanami. - Devlin poczuł dreszczyk emocji. Dobra wojna to coś, czego teraz potrzebował: pozwoli mu zapomnieć o Wirginii i wyzwolić się od niechcianych emocji, jakie wywoływała w nim ta dziewczyna. - Na morzu ponosimy straty. Może uda mi się temu zaradzić.

- Tak. Te straty poważnie mnie niepokoją. A teraz mam jeszcze dodatkowe zmartwienie. Ta twoja Amerykanka... czy nie będzie dla ciebie problemem?

- W jakim sensie?

- Niewykluczone, że jest silnie przywiązana do swojego kraju, a ty do niej. W takiej sytuacji mógłbyś unikać zaangażowania w walkę.

- Milordzie - zaczął Devlin - moja metresa jest pod wieloma względami kobietą niezwykłą i bez wątpienia patriotką, jednak nigdy nie przedłożyłbym naszego związku nad obowiązki.

- Takich właśnie słów od ciebie oczekiwałem. Wyjaśnij mi jeszcze jedną kwestię. Nie mogę pojąć, czemu Hughesowi tak bardzo zależy, żeby cię wysłać na północny Atlantyk. Wiem, że, najogólniej mówiąc, nie przepadacie za sobą, ale tak głęboka niechęć musi wynikać z poważniejszych powodów niż przebrzmiały spór o jakąś francuską aktorkę. Czy zechciałbyś mnie oświecić?

- Nie była Francuzką, lecz Węgierką - odparł Devlin gładko. Szybko też doszedł do wniosku, że po balu u lorda Carew Liverpool i

tak pozna tożsamość Wirginii, dorzucił więc lekkim tonem: - Być może jego uraza wynika z faktu, że moja metresa jest jego kuzynką.

- Co proszę?!

Devlin wzruszył ramionami.

- Zaangażowałem się w miłosny związek z bardzo zajmującą, młodą kobietą, która, tak się składa, jest bratanicą Eastleigha.

W oczach Liverpoola pojawiła się zgroza.

- Devlin, czyżbyś był kompletnie pozbawiony honoru? Toż to nikczemność!

- Cóż, rzeczywiście nie należę do ludzi szczególnie honorowych. Odpowiedziałem jednak szczerze na pytanie.

Liverpool, wciąż w szoku, wstał z fotela. Devlin także się podniósł.

- Eastleigh pozwala na coś podobnego?

- Nie pozostawiłem mu wyboru. - Devlin ponownie wzruszył ramionami.

- Podobne wybryki nie mogą być tolerowane -oznajmił stanowczo Liverpool. - Jako oficer marynarki Jego Królewskiej Mości, musisz zachowywać się jak na człowieka honoru i dżentelmena przystało. Eastleigh zapewne będzie nalegał, żebyś ożenił się z tą dziewczyną, a ja poprę jego żądania.

Devlin poczuł skurcz w sercu. W uszach zadźwięczały mu słowa Tyrella: „Ożenisz się z nią, żeby ocalić jej reputację?”. Z pewnością wystarczy, jeżeli zwróci Wirginii wolność. A jak będzie trzeba,

osobiście dopilnuje, by szczęśliwie dotarła do Ameryki, gdzie jej reputacja pozostawała nadal nieskalana.

- Kiedy otrzymam nowe rozkazy? - zapytał, ale jego myśli powędrowały ku „Słodkiemu Dereniowi”. Jeżeli Eastleigh sprzedał plantację, Wirginia nie będzie miała dokąd wrócić.

- Za tydzień lub dwa.

- Zanim wyruszę, rozwiążę problem mojej met-resy. Ślub nie wchodzi w rachubę.

Liverpool wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Czy mamy coś jeszcze do omówienia? - podjął szorstko Devlin. Nagle poczuł do siebie odrazę. Honorowy mężczyzna rzeczywiście ożeniłby się z Wirginią, ale przede wszystkim nie wykorzystywałby jej tak niecznie do własnych celów.

- Nigdy nie mogłem cię zrozumieć - powiedział Liverpool z rezygnacją w głosie. - Jesteś doskonałym oficerem, oddałeś nieocenione usługi swojemu krajowi, na dodatek wielce szanuję i podziwiam twojego ojczyma, Adare'a. I nagle coś tak niesłychanego. Wysokiej rangi oficer, szargający reputację młodej kobiety arystokratycznego pochodzenia. Tego nie sposób pozostawić bez konsekwencji!

- Proponuję, żebyś rozważył postawienie mnie przed sądem wojennym po moim powrocie z misji, Jamesie. Teraz ponownie mnie potrzebujesz. - Devlin skłonił się i wyszedł.

Wirginia jak zahipnotyzowana wpatrywała się we własne odbicie w lustrze. Wprost nie mogła uwierzyć, że to ona jest tą

zjawiskową istotą w sukni z cienkiego kremowego jedwabiu przetykanego gęsto srebrną nicią.

- Och, panno Hughes - zachwyciła się Hanna, pokojówka - jak tylko pan kapitan panią zobaczy, już nigdy nie spojrzy na inną kobietę!

Wirginia odwróciła się profilem. W tym kroju sukni jej piersi zdawały się wyjątkowo pełne, a jednocześnie cała sylwetka pozostawała delikatna i wysmukła.

- Jest pani taka elegancka! Kapitan będzie pękać z dumy - orzekła Hanna.

Wirginię przerażał nadchodzący wieczór. Miała stanąć twarzą w twarz z całą śmietanką towarzyską Londynu i jednocześnie odgrywać znienawidzoną przez siebie rolę. Patrząc na własne odbicie, skonstatowała z ulgą, że przynajmniej nie wygląda jak ladacznica, ale jak wytworna księżniczka. Dotknęła delikatnej, srebrnej koronki wplecionej we włosy, stanowiącej oryginalną ozdobę. Jedyne, co mogłoby jeszcze dopełnić stroju, to naszyjnik i kolczyki, ale przy tak kosztownej toalecie Wirginia nie śmiała o tym wspomnieć.

- Grozi nam spóźnienie - rozległ się głos Devlina. Wirginia zerknęła na jego odbicie w lustrze. Devlin zatrzymał się w progu i patrzył na nią z niekłamanym podziwem.

- Obróć się - powiedział cicho.

Uczyniła, jak prosił, po czym dygnęła wdzięcznie.

- Mam nadzieję, że apróbujesz wysiłki madame Didier. -

Zmusiła się do uśmiechu.

- „Aprobujesz” to zbyt mało powiedziane. Będiesz najpiękniejszą kobietą na balu. Możesz odejść - zwrócił się Devlin do pokojówki. Hanna skinęła głową, spuściła oczy i umknęła z pokoju. - Podejdź do mnie - odezwał się do Wirginii.

Bez protestu stanęła przed Devlinem. Wyciągnął rękę, po czym przypiął do jej uszu kolczyki. Następnie odwrócił ją do siebie plecami i założył jej naszyjnik.

Wirginia zerknęła w dół i aż sapnęła z wrażenia

- jeszcze nigdy w życiu nie widziała tylu drogocennych kamieni naraz.

- Podoba ci się? - spytał, ustawiając ją przed lustrem.

Z szyi Wirginii zwieszały się brylanty, migoczące jak gwiazdy, a pośrodku widniał największy z nich, kształtem przypominający medalion. Całości dopełniały dobrane do kompletu koczyki.

- Tak - zdołała wyszeptać. Nie miała pojęcia, skąd Devlin wziął podobne klejnoty. Zapewne dostała je tylko na ten wieczór.

- Możemy iść? - spytał, unosząc srebrzystą, satynową pelerynę i drapując ją na ramionach Wirginii.

- Nie zostaniemy tam długo - zapewnił.

Dla niej i minuta w roli upadłej kobiety to będzie za wiele. Nie odważyła się jednak tego powiedzieć.

Devlin posłał jej dziwne spojrzenie, jakby czytał w jej myślach.

- Obiecuję ci, że wkrótce wszystko się skończy, Wirginio.

Rezydencja lordostwa Carew, położona na obrzeżach Greenwich, otoczona setkami akrów parku oraz lasu, była

majestatyczna jak królewski pałac i pomieściłaby trzy domy Devlina. Gdy powóz minął ogrodowy labirynt i wjechał na podjazd, oczom Wirginii ukazał się ciąg najelegantszych pojazdów, jakie widziała w życiu.

- Ilu gości będzie na balu? - spytała, kiedy zatrzymali się w długiej kolejce powozów.

- Kilkuset - odparł Devlin.

Wyglądał oszłamiająco w galowym mundurze, ale minę miał zasepioną i myślami błędził gdzieś daleko.

Wirginia wyczuwała, że z niezrozumiałych dla niej przyczyn jest niemal równie spięty, jak ona.

Pół godziny później lokaj pomógł Wirginii wysiąść z powozu. Devlin ujął ją delikatnie pod łokieć i za innymi gośćmi ruszyli szerokimi schodami ku frontowym drzwiom.

- Kapitanie O'Neill, jak miło znów pana widzieć, sir.

- Lady Arnold, lordzie Arnold - Devlin skłonił się szarmancko. - Pozwólcie, że przedstawię moją drogą przyjaciółkę, pannę Wirginię Hughes.

Wirginia poczerwieniała, gdy poczuła na sobie zaciekawiony wzrok nieznajomych. Lord Arnold był korpulentnym mężczyzną o dobrodusznej twarzy, jego żona nie wyróżniała się ani figurą, ani urodą, ale bystre spojrzenie jej oczu zdradzało inteligencję. Arnold się skłonił, po czym powiedział:

- Wyjątkowo piękny wieczór na bal, nieprawdaż, panno Hughes? Chyba nie miał jeszcze pojęcia o jej haniebnym statusie.

Wiktoria skinęła głową.

- Bardzo piękny - wydukała.

Wraz z Arnoldami weszli do wielkiego holu o sklepieniu wysokim na kilka pięter. W głębi widniała otwarta na oścież olbrzymia sala balowa rozświetlona kryształowymi kandelabrami, ożywiona różnorodnością barw wytwornych kreacji. W środku znajdowało się już co najmniej dwustu gości.

- Jest pani Amerykanką? - zagaiła lady Arnold, kiedy czekali w kolejce na powitanie przez gospodarzy.

- Owszem. - Świadoma, że się rumieni, Wirginia dorzuciła szybko: - W moich rodzinnych stronach nie organizuje się tak wystawnych balów.

- Gdzie dokładnie są te rodzinne strony, moja droga?

- W Wirginii, milady - odpowiedziała z drżeniem serca.

- A dlaczego znalazła się pani w Anglii?

- Moi rodzice zginęli w wypadku i na jakiś czas przyjechałam do mojego stryja, hrabiego Eastleigh.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci rodziców.

- Dziękuję - odparła Wirginia.

- Kapitan O'Neill, jak rozumiem, jest przyjacielem rodziny?

Wirginia się zawahała. Może powinna, jak w Wideacre, jasno określić swój domniemany status i mieć najgorsze za sobą?

- To, naturalnie, nie moja sprawa. Rzecz w tym, że jeszcze nigdy nie widziałam kapitana w towarzystwie kobiety.

- Kapitan... jest mi bardzo życzliwy. W rzeczy samej, zatrzymałam się w Waverly Hall.

Lady Arnold posłała Wirginii uważne spojrzenie.

- Ach tak. W domu, który kapitan nabył od hrabiego. Czy pani rodzina również tam obecnie rezyduje?

- Niestety, nie - odparła Wirginia i poczuła, że nie ma siły ciągnąć dalej tej rozmowy. - Proszę wybaczyć, milady, ale kapitan mnie wzywa. - Świadoma zdumienia rozmówczyni, pospieszyła w stronę Devlina.

- Boję się, że nie zdołam dzisiaj dobrze odgrywać swojej roli - szepnęła.

- Nie musisz niczego odgrywać, Wirginio. Bądź jedynie przy mnie. - Odwrócił wzrok, jakby nie mógł patrzeć jej w oczy. - Lordzie Carew - skłonił się przed potężnym, starszym mężczyzną. - Niech mi będzie wolno przedstawić moją drogą przyjaciółkę, pannę Wirginię Hughes.

Głowa pękała Wirginii z bólu. Stała samotnie z boku, przyglądała się tańczącym parom i nie mogła rozpoznać ani jednej wykonywanej przez nich figury. Devlin nieopodal rozmawiał z kilkoma mężczyznami, a spojrzenia, jakie rzucali w jej stronę, świadczyły, że oni doskonale rozumieli naturę łączącego ją z Devlinem związku.

Poczuła się głęboko nieszczęśliwa.

- Mogę prosić do tańca?

Odwróciła się i ujrzała uśmiechniętą twarz Tyrella de Warenne.

- Milordzie! Obawiam się, że nie pamiętam kroków - wyznała, po czym uświadomiła sobie, że nie dygnęła i chwyciła za rogi sukni.

Tyrell szybko ją powstrzymał.

- Ależ, panno Hughes, znamy się na tyle dobrze, że możemy sobie podarować grzecznościowe formalności.

Wirginia odetchnęła z ulgą.

- Wy, Brytyjczycy, przykładacie niezwykłą wagę do etykiety. Trudno mi do tego przywyknąć.

- Wyobrażam sobie - odparł Tyrell, po czym wyciągnął rękę. - Może w takim razie zechciałaby pani przejść się po galerii?

Zerknęła na Devlina, który nie spuszczał z nich wzroku.

- Wątpię, czy dostanę pozwolenie - odparła. - Jeszcze nie zdążył wepchnąć mnie przed oczy dostatecznie dużej liczbie osób.

Uśmiech zniknął z twarzy Tyrella.

- Wirginio, czy mogę być z panią szczerzy? Z trudem zebrała się na odwagę.

- Bardzo proszę.

- Wszyscy w rodzinie jesteśmy wściekli na Devlina za jego postęпки, z których przyprowadzenie pani na ten bal bynajmniej nie należy do najbardziej godnych potępienia.

Kątem oka spostrzegła, że Devlin oderwał się od grupy mężczyzn i stanowczym krokiem zmierza ku niej i Tyrellowi.

- Chciałem jednak zapewnić, że sprawiedliwości stanie się zadość. Pani krzywdy zostaną wyrównane. Mój ojciec osobiście o to zadba.

Wirginia nie wiedziała, jak rozumieć słowa Tyrella.

Wyrównanie krzywd? Niespodziewanie błysnęła jej iskierka nadziei: może rodzina Devlina pomoże jej w spłacie długów taty? To z pewnością zrekompensowałoby jej wszystkie upokorzenia.

Devlin dołączył do nich i ujął Wirginię za łokieć.

- Próbujesz skraść Wirginii serce, Tyrell?

- Nigdy bym się nie ośmielił igrać z uczuciami -odparł gładko

Tyrell.

Devlin skinął głową, po czym zwrócił się do Wirginii:

- Zechciałabyś zatańczyć?

Drgnęła, wyrwana z marzeń o odzyskaniu plantacji.

- Skłamałam - przyznała, patrząc mu prosto w oczy. - Nie umiem tańczyć. Nie znam ani jednej tanecznej figury.

Po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnął się ciepło i szczerze.

- Ja również uznaję tę rozrywkę za nudną. Może w takim razie przyniosę nam szampana?

Wirginia wolałaby, żeby raczej zaproponował wyjście z balu, skinęła jednak głową bez protestu. Przynajmniej do tej pory nie spotkały jej tutaj żadne nieprzyjemności.

Gdy Devlin się oddalił, Tyrell skłonił się przed nią i powiedział:

- Ponieważ ma pani towarzystwo, życzę dobrej zabawy.

Zapewne jeszcze spotkamy się dzisiejszego wieczoru.

Wirginia uśmiechnęła się, dygnęła i przez chwilę spoglądała za oddalającym się Tyrellem.

Została sama, co nie było miłe. Gdy zabrakło Devlina i Tyrella, różni ludzie zaczęli rzucać znaczące spojrzenia w jej stronę. Kilka kobiet przyglądało się jej przez chwilę, a potem zaczęły z zaaferowaniem wymieniać zdania, zasłaniając usta wachlarzami. Wirginia nie miała wątpliwości, że plotkują na jej temat. Odwróciła się do nich plecami i ujrzała przed sobą trzech nieznanych mężczyzn, uśmiechniętych od ucha do ucha.

Stojący najbliżej, dżentelmen koło trzydziestki o jasnoskaworudych włosach i bladoniebieskich oczach, skłonił się nisko przed Wirginią.

- Zdaje się, że nie miałem jeszcze przyjemności poznać pani.

- W rzeczy samej - odparła. - Jestem Wirginia Hughes.

- John Marshall, do usług - odparł, kłaniając się dość nonszalancko. - Pani jest Amerykanką?

- Owszem. Przyjechałam do Anglii w odwiedziny do stryja, hrabiego Eastleigh. - To wyjaśnienie już raz się sprawdziło tego wieczoru, dlatego postanowiła je powtórzyć.

- Jest pani bratanicą Eastleigha. - Marshall zdawał się zachwycony tą wiadomością. - Ale dzisiaj w towarzystwie kapitana O'Neilla?

- Tak - przyznała, siląc się na uśmiech.

- Pozwoli pani, że przedstawię moich dobrych przyjaciół, lordów Halseya i Ridgewooda?

Obaj mężczyźni się skłonili, a tymczasem Wirginii nie opuszczało wrażenie, że została osaczona.

- W jakich okolicznościach zawarła pani znajomość z największym i najbardziej kontrowersyjnym bohaterem wojennym Wielkiej Brytanii? - spytał wysoki, bladolicy Ridgewood.

- Daj spokój, George, wszyscy wiemy, że O'Neill anektuje dla siebie najpiękniejsze. - Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, po czym Marshall, świdrując Wirginię wzrokiem, dorzucił cicho: - Dla nikogo nie jest tajemnicą, że O'Neill i Tom Hughes nie darzą się sympatią. To niezwykle, że towarzyszy pani na balu zaciętemu wrogowi kuzyna.

Wirginia, milcząc, wzruszyła ramionami.

- Panna Hughes i kapitan O'Neill są serdecznymi przyjaciółmi, tak w każdym razie słyszałem - wtrącił Halsey z lubieżnym uśmiechem i posłał Ridge-woodowi sójkę w bok. - Nad wyraz serdecznymi przyjaciółmi. Zdaje się, że pani nawet rezyduje w Waverly Hall, czyż nie?

- Owszem - odparła Wirginia. Nienawidziła tych mężczyzn, tak samo jak w tej chwili nienawidziła Devlina. Najwyższy czas, by zerwać ich pakt. Nie zdołała osiągnąć celu, nie liczyła na miłość Devlina, nie było więc sensu ciągnąć dłużej tej farsy.

- Czy mógłbym wkrótce złożyć pani wizytę, panno Hughes? Może jutro? - spytał Marshall, nachylając się nieprzyzwoicie nad Wirginią.

- Panowie wybaczą! - wykrzyknęła. Odwróciła się i wbiegła w tłum gości. Przed oczami widziała jedynie rozmazane kolory: krwiste czerwienie, oślepiające złocistości, fiolety, błękity i zielenie, upstrzone gdzieś czernią. Jak mogła odróżnić wyraźnie

kontury sukien, skoro w oczach miała łzy, a w piersi brakowało jej tchu. W sali balowej było duszno i gorąco... Jaka szkoda, że nie istniała czarodziejska siła, która mogłaby ją w tej chwili przenieść za ocean, wprost do „Słodkiego Derenia”.

„Sprawiedliwości stanie się zadość. Twoje krzywdy zostaną wyrównane”.

Dźwięczące w uszach słowa Tyrella dodały jej sił. Wbiegła na otaczającą salę balową galerię, a potem skręciła za załom, gdzie znajdowały się wielkie okna, przez które wpływało światło księżyca i gwiazd. Szczęśliwa, że wreszcie jest sama, Wirginia oparła się o chłodny, kamienny parapet. Nagle poczuła ostre ściskanie w dołku, jakby ktoś dźgnął ją nożem, i aż zgięła się wpół. Musi jak najszybciej stąd wyjechać. Nie zniesie dłużej tej sytuacji.

Wirginia zmusiła się do uspokojenia oddechu i ból zaczął powoli ustępować. Gdyby tylko mogła zniechęcić Devlina, wszystko stałoby się o wiele prostsze...

„Devlin nie jest wobec ciebie obojętny - to jedynie poza, teatralna maska”.

„Proszę, żebyś uratowała mojego brata”.

Rzecz w tym, że jego już nie można uratować. Ostry ból znowu powrócił i raz jeszcze Wirginia zgięła się wpół.

- Nie do wiary. Toż to moja, jakże droga, amerykańska kuzynka.

Wirginia odwróciła się i ujrzała szczupłego, przystojnego mężczyznę w mundurze królewskiej marynarki.

- Kapitan Thomas Hughes, do usług - powiedział nieznajomy z uśmiechem, który jednak nie sięgał oczu. - Jestem zachwycony, że wreszcie mamy okazję się poznać.

- Milordzie - odezwała się niepewnie. Zaczęła nerwowo rozglądać się dokoła, ale nigdzie nie dostrzegła Devlina.

- Wydajesz się zalekniona - zauważył Hughes. - Chyba to niemożliwe, droga kuzynko, żebym wzbudzał w tobie strach?

Nie mogła wykrztusić słowa. Wyczuła złe intencje krewniaka i cofnęła się o krok.

- Dobrze się bawisz na balu, Wirginio?

- Prze... przepraszam. - Przemknęła obok Hughesa, ale on zdołał chwycić ją za rękę i przycisnąć do kamiennego parapetu.

- Czy bawisz się na balu równie dobrze, jak w łóżku kapitana O'Neilla?

Krzyknęła z przerażenia i spróbowała się wyrwać.

- Proszę mnie natychmiast puścić. Pan mi sprawia ból, sir!

Thomas przysunął twarz do twarzy Wirginii.

- Podobno rżnie się jak rozplodowy buhaj. Czy to lubisz? Tego pragniesz, moja kuzyneczko, moja mała kurewko?

Ostry ból przeszywał całe ramię Wirginii. Bała się, że za chwile zemdleje.

- Proszę... - wyszeptała.

- O tak. Właśnie to słowo chciałem usłyszeć. - Szarpnięciem przyciągnął ją do siebie i przycisnął usta do jej warg.

Wirginia podjęła walkę. Odpychała napastnika, on jednak naciskał ustami na jej wargi, ranił je zębami. Poczowała, że wciska ręce za stanik jej sukni i zaczyna miętosić pierś. Przed oczami zobaczyła mroczki. Wiedziała, że jeśli zemdleje, zostanie zgwałcona. Walczyła więc nadal zajadle, on jednak coraz mocniej przyciskał ją ciałem do ściany.

- Zabiję cię.

Ledwo padły ostre słowa Devlina, twarz Toma Hughesa zniknęła Wirginii sprzed oczu. Łkając, osunęła się na ziemię. W tej samej chwili rozległ się wrzask mężczyzny.

Hughes leżał na posadzce, a powyżej, na ścianie, widniał krwawy ślad.

Wirginii wróciła jasność myślenia.

Tymczasem Devlin z całej siły kopnął leżącego mężczyznę.

- Wstawaj, tchórze - powiedział złowrogo.

Wirginia wiedziała, że musi natychmiast powstrzymać Devlina, bo w innym wypadku on zamorduje Thomasa Hughesa.

Ten zdołał podnieść się na czworaki.

- To tylko zwykła kurwa - jęknął i splunął krwią. Devlin uniósł go jedną ręką i rzucił o kamienną ścianę, po czym podtrzymał osuwającego się mężczyznę i huknął z całej siły pięścią w twarz. Coś głośno chrupnęło.

Wirginia, zapominając o bólu, zerwała się na równe nogi.

- Devlin, dosyć! Przestań!

Zakrwawiony Hughes wyciągnął szpadę z pochwy. Wirginia nie wierzyła własnym oczom.

- Bardzo nieroztropne posunięcie - stwierdził Devlin z zimnym uśmiechem i także wyjął broń. Obaj mężczyźni zaczęli tańczyć wokół siebie z morderczym błyskiem w oku.

- Devlin, nie!

Jeżeli ją usłyszał, nie okazał tego w żaden sposób. Zamarkował wypad, Hughes złożył się do odbicia, tymczasem szpada Devlina rozcięła na piersi jego mundur. Pojawiła się krew. Hughes wrzasnął.

Tyrell! Musi odnaleźć Tyrella! Wirginia ruszyła biegiem przed siebie. Gdy zaczęły ją ścigać pełne zdumienia spojrzenia, zdała sobie sprawę ze swojego wyglądu. Włosy opadały jej na plecy w nieładzie, miała rozdarty stanik sukni. Dla nikogo nie mogło być tajemnicą, co jej się przytrafiło. Teraz jednak nie było czasu na zachowanie pozorów. Jeżeli Devlin zabije Thomasa Hughesa, zawiśnie na szubienicy.

Zdesperowana zatrzymała się w progu sali balowej.

- Lordzie de WARENNE!

Tyrell właśnie wdzięcznie okrążał w tańcu partnerkę.

- Tyrell! Pomocy!

Odwrócił się i biegiem ruszył w jej stronę. Wszyscy na parkiecie zmarli w bezruchu.

- Co się stało? Jesteś poraniona?

- Devlin za chwilę zabije Thomasa Hughesa! Pojedykują się w holu za galerią!

Tyrell pomknął przed siebie, a Wirginia co sił w nogach ruszyła za nim, nie zważając na to, że wielu gości podąża jej śladem.

W holu obaj mężczyźni nadal walczyli - Hughes zlany krwią, Devlin natomiast nieskazitelnie elegancki i niedrażniony. Zwarli broń raz jeszcze: szpada Hughesa spadła ze szczękiem na posadzkę, a ostrze Devlina oparło się o pierś wroga.

Devlin uśmiechnął się zimno, bezlitośnie.

- Wystarczy! - zarządził Tyrell, stając tuż za bratem.

Hughes opierał się o ścianę i zataczał na boki, jakby miał zaraz paść zemdlony. Wszyscy, którzy wpadli za Wirginią do holu, wprost osłupieli.

Twarz Devlina zastygła w wyrazie, jakiego Wirginia nigdy wcześniej nie widziała.

- Jestem innego zdania - odpowiedział cicho Tyrellowi. - Myślę, że nadszedł najwyższy czas, by Thomas Hughes rozstał się z tym światem.

- Z powodu twojej dziwki? - wymamrotał Hughes. Devlin złożył się do zadania śmiertelnego pchnięcia prosto w serce. Zgromadzeni krzyknęli, Tyrell jednak z całej siły chwycił brata za nadgarstek. Uśmiech Devlina był przerażający.

- Nie wchodź mi w paradę.

- Nie zabijesz go - zdecydował Tyrell. Tak mocno ścisnął rękę brata, że aż pobieleły mu kostki palców.

Wirginia zamknęła oczy i zaczęła gorąco modlić się w duchu.

- Nie jest wart, by wisieć z jego powodu. Nie on zabił Geralda, nie jego chciałeś dopaść.

Devlin nadal mierzył w pierś Hughesa.

- Wirginia jest cała i zdrowa - dorzucił cicho Tyrell.

Ze stężałą twarzą, Devlin raz jeszcze spojrział na pokonanego wroga, po czym odskoczył do tyłu.

Wszyscy zgromadzeni odetchnęli z ulgą, a do Hughesa dopadło kilku oficerów, by pomóc mu się pozbierać. Devlin szybkim ruchem wsunął szpadę do pochwy i podszedł do Wirginii.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Nie próbował jej dotknąć, tylko uważnym spojrzeniem przesuwał po jej twarzy. Zatrzymał na moment wzrok na zakrwawionej wardze, po czym zerknął na rozdarty stanik sukni i oczy znowu zaczęły mu się zmieniać w dwie bryłki lodu. Po chwili otoczył Wirginię ramieniem.

- Wracamy do domu - oznajmił.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wirginia nie mogła zapanować nad drzeniem, co dodatkowo ją wytrącało z równowagi, nie chciała bowiem, żeby Devlin uznał ją za tchórza. Wciąż jednak prześladowało ją wspomnienie brutalnego ataku Thomasa Hughesa. Gdy powóz podskoczył na wyboju, poczuła mdłości i zacisnęła powieki.

- Wirginio? - odezwał się Devlin.

Nie miała ochoty na rozmowę. Była bliska hysterii.

- Wkrótce znajdziemy się w domu. Już za parę minut.

Wirginia skinęła głową. Nie otworzyła oczu w obawie, że zacznie płakać rozczulona troską w głosie Devlina.

- Czy coś cię boli?

Postanowiła skłamać i zaprzeczyła. W rzeczywistości nadgarstek i pierś boleśnie pulsowały, ale najgorsze było cierpienie psychiczne. Tom Hughes potraktował ją jak marną dziwkę, którą była w oczach całego Londynu. Wirginia nie miała siły ciągnąć dalej tej gry.

- Jesteśmy na miejscu.

Otworzyła oczy i ujrzała Waverly Hall. Jeden z lokajów podbiegł i otworzył drzwi powozu. Devlin poprawił pelerynę na ramionach Wirginii, żeby zakryć rozdarcie sukni. Zdziwiła się, że zawraca sobie tym głowę, przecież skaleczona warga zdradzała aż nadto wiele.

Gdy wysiedli, ujął ją pod ramię i poprowadził do drzwi rezydencji. Po wejściu do holu, zanim Benson sięgnął po wierzchnie okrycie Wirginii, Devlin nakazał:

- Przyślij natychmiast Hanne do moich pokojów z gorącą wodą, ręcznikami i brandy. Panna Hughes przewróciła się i potłukła.

Ledwo kamerdyner wybiegł z holu, Devlin chwycił Wirginię na rękę i ruszył w stronę schodów.

- Co robisz?

- To, na co miałem ochotę od chwili, gdy darowałem Hughesowi życie.

Kiedy wbiegał na górę, w końcu odważyła się na niego spojrzeć. Jego twarz była ściągnięta gniewem i, jak Wirginia spostrzegła ze zdumieniem, udręką.

Pchnął barkiem drzwi i przez oświetloną bawialnię wniósł ją do sypialni, gdzie w kominku płonął ogień. Położył ją na rozścielonym już na noc wielkim łożu, po czym delikatnie zsunął z ramion pelerynę.

- Zanim przyjdzie Hanna, pomogę ci zdjąć suknię.

Teraz dla odmiany postanowił zadbać o jej reputację? Po co? I tak do jutra rana cały Londyn dowie się o wydarzeniach na balu.

- Odwróć się, proszę - powiedział miękko. Wirginia spojrzała na Devlina zdumiona.

- Jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś wypowiedział słowo „proszę”.

- Rzadko mam okazję go używać. Wirginio... -Urwał gwałtownie, zmieszany.

- Tak?

- Przepraszam - odezwał się po dłuższej chwili.

Choć bardzo chciała, nie mogła przestać go kochać. Już miała otworzyć usta, by powiedzieć, że nie jest niczemu winien, ale to nie byłaby prawda. Za wszystkie nieprzyjemności i afronty, jakie ją spotykały, Devlin ponosi odpowiedzialność.

- Proszę, odwróć się .- powtórzył. Posłuchała, a on szybko i wprawnie rozpiął jej suknię, po czym ją zdjął i położył na fotelu. Wirginia tymczasem rozpuściła włosy, zawstydzona swoim neglizhem. Miała na sobie tylko gorset, koronkową koszulkę i majtki z jedwabiu - wszystko czarne, przybrane kremowymi wstążkami.

- Czy... czy mógłbyś mi podać peniuar?

Bez słowa podszedł do masywnej szafy. Gdy ją otwierał, rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Wejść - rzucił Devlin.

Ku zdumieniu Wirginii, na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

Do pokoju weszła Hanna, niosąc przed sobą tacę, na której stała miska z gorącą wodą i leżało kilka ręczników. Zanim postawiła tacę na łóżku, Devlin zarzucił Wirginii na ramiona satynowy peniuar w kolorze lawendy, będący dziełem francuskiej mistrzyni krawiectwa.

- Och, madame - wyszeptała Hanna z przerażeniem w oczach - jakże mi przykro, że się pani potłukła. Kapitanie - spojrzała na Devlina - jeszcze chwila.

Ruszyła ponownie w stronę drzwi, gdzie inna służąca czekała z karafką brandy i kieliszkami. Natomiast Devlin sięgnął po mały ręcznik i zanurzył jego róg w misce z wodą.

- Masz zakrwawioną wargę - powiedział. Przysiadł obok na łóżku i zaczął delikatnie usuwać zakrzepłą krew. Potem popatrzył uważnie na usta Wirginii. - Obawiam się, że obrzęk będzie utrzymywał się przez kilka dni - zawyrokował.

Dotyk Devlina był delikatny, zdradzający jego drugą, zupełnie nieznaną Wirginii naturę. Dlaczego okazywał jej czułą troskę?

Hanna ustawiła kieliszki na bocznym stoliku, Devlin zaś uniósł wciąż pulsujący bólem nadgarstek Wirginii i twarz ponownie stężała mu z gniewu. Zaklął szpetnie pod nosem.

- Nie jest tak źle - skłamała Wirginia.

- Akurat. Ten łajdak próbował złamać ci rękę. Ma szczęście, że mu się nie udało.

A więc nie jest Devlinowi obojętna. Przecież trudno inaczej zinterpretować jego obecną reakcję. A może jednak istniało inne wytłumaczenie? Może nie powinna na nowo rozbudzać w sobie nadziei?

Podał jej kieliszek brandy.

- To ci pomoże. Radzę, żebyś wypła do dna, a będziesz spała jak dziecko. - Próbował się uśmiechnąć, ale nadaremnie. - Dzisiaj położę się w skrzydle dla gości, żeby ci nie przeszkadzać - dodał, wstając.

Spojrzała na niego skonsternowana. Nie chciała, żeby tej nocy znowu zostawił ją samą, choćby miał tylko, jak każdego dnia, spać tuż za ścianą, na kanapie w bawialni.

- Hanno, przyłóż kompres z lodem na nadgarstek panny Hughes
- zarządził.

- Tak jest, sir - szepnęła pokojówka.

- Ja nie chcę zostać sama. Nie dzisiaj. Proszę - odezwała się
Wirginia ze łzami w oczach.

- Pójdę po lód - mruknęła Hanna i dyskretnie wyśliznęła się z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Devlin stał nieruchomo, z dziwnym wyrazem twarzy, jakby zmagał się ze sprzecznymi uczuciami.

- To wszystko moja wina - powiedział w końcu. -
Wykorzystałem cię w niegodziwy sposób. Bardzo tego żałuję i przepraszam.

Wirginia wprost nie wierzyła własnym uszom. Tymczasem Devlin ponownie przysiadł na łóżku, ujął jej dłonie w swoje ręce, po czym zacisnął powieki, niczym zdjęty nagłym paroksyzmem bólu.

- Nie będę cię prosił o wybaczenie, maleńka, bo wiem, że nie zasługuję.

- Wybaczam ci - wyszeptała całkiem szczerze. Otworzył oczy, zaszokowany.

- Jak możesz być tak wielkoduszna po tym, co musiałaś przeze mnie wycierpieć? Tom Hughes zaatakował cię dzisiaj z powodu gry,

którą prowadzę z jego ojcem. Na Boga, teraz żałuję, że nie pozbawiłem go życia! - wykrzyknął.

Wirginia wpatrywała się w Devlina. Nigdy przedtem nie widziała, żeby okazywał inne uczucie niż gniew. Delikatnie ścisnęła jego palce.

- Dobrze, że go nie zabiłeś. Ostatecznie mnie nie zgwałcił.

- To właśnie zamierzał uczynić?! W publicznym miejscu?! - spytał z ledwo tłumioną furją.

- Tak sędzę. Poderwał się na nogi.

- Jednak go zabiję.

Spojrzała na niego zdezorientowana.

- Z mojego powodu?

- A jaki mógłby być inny? - spytał zdziwiony.

- Śmierć twojego ojca - powiedziała cicho.

- Jego śmierć nie ma tu nic do rzeczy.

Opadła na poduszki, oszołomiona. A więc tym razem nie chodziło o jego obsesyjną zemstę!

- Muszę już iść - rzucił niespodziewanie.

- Nie! Proszę, nie zostawiaj mnie samej! Zobaczyła, że Devlin raz jeszcze toczy wewnętrzną walkę.

- Proszę, zostań. Przytul mnie... - Po policzkach Wirginii potoczyły się łzy.

Ponownie przysiadł na łóżku i ujął jej rękę.

- Żądasz ode mnie zbyt wiele - stwierdził.

W odpowiedzi przycisnęła policzek do jego piersi, nie zważając na złote guziki, wbijające się w jej twarz. Devlin zeszywniał, ale chwilę później zaczął głaskać ją po plecach, powoli przesuając dłonią po jedwabnym peniuarze.

- Proszę, nie płacz - powiedział. - Już po wszystkim, jesteś bezpieczna. Od dziś kończymy z tą absurdalną farsą.

- Nie mogę dłużej odgrywać tej roli, to zbyt bolesne.

Skinął głową, nachylił się i musnął wargami jej usta.

- To już koniec. Przysięgam. - W jego tonie pobrzmiwała skrucha, ale i namiętność. Wirginia chwyciła go mocno za ramiona i teraz to ona zaczęła przesuwać ustami po jego wargach.

- Nie rób tego. To niebezpieczne.

W odpowiedzi wsunęła język w jego usta.

- Nie mogę... - Devlin lekko popchnął Wirginię na poduszki. - Nie mogę ci obiecać, że zdołam nad sobą zapanować.

Nie chciała, żeby się hamował.

Zaczął całować ją namiętnie, ale nie wziął jej w ramiona. Bał się, że skoro jest tak obolała, może przysporzyć jej więcej cierpienia.

- Nic mi nie będzie - szepnęła i przyciągnęła go do siebie. Chwyciła jego dłoń i zaczęła nią wodzić po swojej nieposiniaczonej piersi.

Devlin zsunął koszulkę i zaczął całować jej sutki, brzuch, a w końcu dotarł do źródła kobiecej rozkoszy. Po chwili oderwał od niej usta i szybko się rozebrał. Nagi wyglądał imponująco - silny, cudownie umięśniony. Wirginię ogarnęło uczucie triumfu.

- Nie chcę ci sprawić bólu, najdroższa - wyszeptał.

- Nie sprawisz.

- Wirginio... - zaczął ją całować.

A potem otarł się kilka razy męskością o jej pleć i spytał:

- Czy jesteś gotowa, kochanie? Nie była w stanie odpowiedzieć.

- Myślę, że tak - szepnął i zaczął w nią wchodzić, wypełniając coraz szczelniej.

Wirginia jęknęła głośno i przywarła do niego spazmatycznie.

- Zrelaksuj się, najdroższa. - Wszedł jeszcze głębiej i zaczął poruszać się powoli, rytmicznie.

Wirginię zalała fala niebywałej rozkoszy. Zacisnęła łydki na jego udach, zmuszając, żeby natarł jeszcze energiczniej, co sprawiło mu ogromną przyjemność. Wirginią zaczęły wstrząsać dreszcze, a on przyspieszał rytm i szeptał:

- Ukochana, chcę dać ci jeszcze więcej.

Krzyki Wirginii stawały się coraz głośniejsze. Szczytowała. Jej orgazm był potężny i wszechogarniający. Jestem beznadziejnie zakochana, pomyślała, gdy w końcu była zdolna do sformułowania jednej, spójnej myśli.

Dochodziło południe. Devlin siedział w bibliotece za biurkiem, na którym stała opróżniona szklanka po whisky. Wirginia o świcie zapadła w sen i wtedy po cichu wyszedł z sypialni, wiedząc, że już nie zaśnie.

Czuł się rozdarty i zdezorientowany. A do tego spięty, jakby nie doznał erotycznego spełnienia. Przed oczami raz po raz stawała mu Wirginia, leżąca w jego ramionach, uśmiechnięta, szczęśliwa.

Co się z nim, u diabła, dzieje?

Kiedy zobaczył, jak Tom Hughes rzuca się na Wirginię, ogarnęła go furia, która nie miała nic wspólnego ze śmiercią Geralda, za to wiele z uczuciami do tej dziewczyny.

Devlin nie był głupcem. Wirginia nigdy nie zostanie jego kobietą. Niemniej ostatniej nocy pieścił ją i całował jak jeszcze żadną kobietę. Nie mógł już dłużej się oszukiwać, że to nie miało dla niego znaczenia. Podziw, jaki odczuwał dla Wirginii, w pewnym momencie przerodził się w o wiele głębsze uczucie.

Sięgnął po szklaneczkę i wówczas spostrzegł, że jest pusta. Wbił w nią ponure spojrzenie. Nie ma co udawać. Whisky nie wymaże z pamięci krzywd, jakie wyrządził Wirginii, od porwania poczynając, a na zszarganiu reputacji kończąc.

Gdy tylko zobaczył ją na pokładzie „Americany” instykt podpowiedział mu, że powinien natychmiast porzucić swój plan i trzymać się jak najdalej od tej dziewczyny. Nie posłuchał go jednak i teraz drogo za to płacił.

Poderwał się na nogi i zaklął siarczyście. Nie może dłużej wykorzystywać Wirginii jako pionka w swojej rozgrywce. Żałował wszystkiego, a najbardziej tego, że kochał się z nią minionej nocy. Miłość i szczęście rodzinne nie były dla niego.

Eastleigh oczywiście musi zapłacić za swoją zbrodnię - Devlin jeszcze nie dopełnił zemsty - ale Wirginia poniosła już niewyobrażalne koszty, za co sam się teraz nienawdził.

Podszedł do kominka i spojrzał w dopalające się polana. Właśnie otrzymał nowe rozkazy, zgodnie z którymi wkrótce wyruszy do Ameryki. Zabierze więc Wirginię do domu. W „Słodkim Dereniu” nie osiągną jej hańbiące plotki. Tam też szybko o nim zapomni; zapewne po paru miesiącach nie będzie nawet pamiętać jego imienia.

Na tę myśl poczuł ostry ból w sercu.

„Jesteś zakochany w tej dziewczynie?” - spytał swego czasu Tyrell.

Wykluczone. To jedno Devlin wiedział na pewno: miłość była i na zawsze pozostanie mu obca.

Z powrotem usiadł za biurkiem, odsuwając od siebie myśl, że gdy Wirginia powróci na plantację, ich drogi już nigdy się nie skrzyżują. Wyjął arkusz pergaminu i napisał instrukcję dla swojego prawnika, w której nakazywał nabycie od Eastleigha „Słodkiego Derenia” z zachowaniem w tajemnicy tożsamości kupca. Podaruje Wirginii plantację w nadziei, że w ten sposób choć w pewnym stopniu zadośćuczyni za wyrządzone jej krzywdy.

A potem, gdy Wirginia zniknie z jego życia, rozprawi się ostatecznie z Eastleighem w taki lub inny sposób.

Wirginia stanęła niepewnie przed drzwiami biblioteki, gdzie według słów służby pracował Devlin. Chociaż dochodziło południe, dopiero niedawno się obudziła. Od chwili, gdy otworzyła oczy,

myślała tylko o jednym: wczorajszej nocy kochał się z nią i wszystko się między nimi zmieniło. Musiała jak najszybciej znaleźć się w jego ramionach i upewnić, że miniona noc nie była tylko snem.

Mimo to zawahała się przed wejściem, bo doświadczenie ją nauczyło, jak bardzo zimny i nieprzewidywalny potrafi być ten władczy mężczyzna.

W końcu przyglądała nową, piękną suknię i zapukała. - Devlin?

Nie usłyszała odpowiedzi. Uchyliła więc drzwi i zajrzała do środka. W bibliotece nikogo nie było. Podeszła do biurka, na którym leżał stosik listów i stała do połowy opróżniona filiżanka z herbatą. Była jeszcze ciepła. Devlin musiał całkiem niedawno opuścić bibliotekę.

Już miała wyjść, kiedy jej wzrok padł na otwarty list, leżący pośrodku blatu. Zerkając ukradkowo na drzwi, podniosła go i zaczęła czytać.

„Admirał St. John do kapitana Devlina O'Neilla

Waverly Hall

Greenwich

20 listopada 1812

Panie kapitanie!

Oto pańskie rozkazy. Najpóźniej do dnia 14 grudnia ma pan wypłynąć z macierzystego portu i skierować się ku wybrzeżom Maryland i Wirginii, gdzie wraz z HMS „Southampton”, HMS „Java” oraz HMS „Peacock” rozpocznie pan blokadę Zatoki Delaware i Chesapeake. Wszystkie amerykańskie okręty wojenne mają być

poddane przeszukaniu, a następnie rekwizycji. Podkreślam, że do owego zadania należy podejść z pełną determinacją i bezwzględnością. Również statki handlowe podejrzane o wspomaganie działań militarnych mają zostać przechwycone i zatopione. Należy dołożyć starań, by w wyniku owych działań nie ucierpieeli amerykańscy cywile; niemniej, w przypadku każdej osoby cywilnej podejrzanej o uczestnictwo w działaniach wojennych należy przeprowadzić drobiazgowe śledztwo, a delikwenta potraktować zgodnie z regulami zaangażowania militarnego marynarki Jego Królewskiej Mości.

Admiral St. John 13 Brook Street West Square

Wirginia drżącą dłonią odłożyła pismo. Wkrótce Devlin wyruszy na wojnę! Będzie wystawiony na śmiertelne niebezpieczeństwo. Zdjął ją strach. Próbowwała sobie tłumaczyć, że przecież Devlin od trzynastego roku życia walczył na morzu i wychodził zwycięsko ze wszystkich bitew, ale to nie pomagało. Nie umiała wyzbyć się lęku o jego życie.

Uderzyła ją kolejna myśl. Devlin wyruszał na wojnę przeciwko jej ojczyźnie! Będzie brał udział w walkach z Amerykanami, zaledwie kilka mil od jej rodzinnego domu! Gdy sobie to uświadomiła, wojna na Atlantyku stała się dla niej nagle wyjątkowo realna i złowieszcza.

- Wirginio? - Podniosła wzrok znad pergaminu i ujrzała Devlina.

- Wybacz. Nie przyszłam tu myszkować. Szukałam cię i przez przypadek zobaczyłam twoje rozkazy.

- Moje rozkazy są tajne - powiedział beznamiętnym tonem. -
Żaden cywil nie ma prawa znać ich treści.

- Przepraszam. Wkrótce wyruszasz na morze?

- Tak. - Spojrzał na nią posepnie. - Najszybciej jak to będzie
możliwe.

- Najszybciej jak to możliwe? - powtórzyła.

- Owszem - odparł, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nie możesz na tydzień czy dwa odłożyć wyjazdu?

- Nie, ale zabiorę cię do domu, do Wirginii.

- Co takiego?!

Jego wzrok stał się jeszcze bardziej ponury.

- Znajdę inny sposób zniszczenia Eastleigha. Najwyższy czas,
byś wróciła do siebie.

Wirginia opadła na fotel. Nie wierzyła własnym uszom. On
zamierzał ją teraz odesłać? Po minionej nocy pełnej miłości i
namiętnych uniesień?

- Ale...

- Ale co? - przerwał jej szorstko.

- Ta ostatnia noc... przecież wszystko między nami zmieniła,
czyż nie? - Wirginia modliła się w duchu, żeby nie wybuchnąć
płaczem.

Odwrócił się i nalał sobie whisky. Czy jej się zdawało, czy
drżały mu ręce?

- Musisz odzyskać wolność. W tej kwestii nic nie uległo
zmianie.

- Ostatniej nocy kochałeś się ze mną. Wychylił whisky ze szklanki jednym haustem.

- Nie zaczynaj - rzucił ostrzegawczo. Podpierając się o kant biurka, zdołała podnieść się z fotela.

- Jestem pewna, że się kochaliśmy - powtórzyła z uporem.

Spojrzał na nią ponownie. W jego twarzy dostrzegła ten sam wyraz, co wczoraj po balu.

- Nie chcę cię więcej ranić, Wirginio.

- Więc tego nie rób! - wykrzyknęła.

- Dlaczego żądasz ode mnie rzeczy niemożliwych?! -

wykrzyknął w odpowiedzi. - Czemu nie zostawisz mnie w spokoju? Odstawię cię do „Słodkiego Derenia”. Przecież na tym ci właśnie zależy.

- Nie - wyszeptała.

Spojrzał na nią z autentyczną złością.

- Nie proś mnie o coś, czego nie mogę ci dać. Łzy potoczyły się po policzkach Wirginii, nie była w stanie dłużej ich powstrzymać.

- To, co zaszło między nami ubiegłej nocy, nic dla ciebie nie znaczyło?

- Było wielce satysfakcjonujące zarówno dla mnie, jak i dla ciebie, lecz nie miało żadnego znaczenia. Przyznaję, że nie powinienem był wczoraj ulegać żądzy, ponieważ jesteś zbyt młoda i niedoświadczona, by rozumieć zachowania mężczyzn. Jestem tylko mężczyzną, na dodatek o mało romantycznej naturze. Przykro mi, że w twoich wyobrazeniach igraszki ubiegłej nocy urosły do rangi

doniosłego, przełomowego wydarzenia, gdy w istocie nic nie znaczyły. A teraz wybacz, muszę zająć się przygotowaniem do wyprawy. - Z tymi słowami ruszył ku drzwiom.

Jakimś cudem zdołała utrzymać się na nogach.

- Życie bywa dziwne i zaskakujące. - Wirginia zdziwiła się, że mówi tak spokojnie.

Devlin przystanął, ale nie odwrócił się w jej stronę.

- Wiele razy słyszałam, że miłość i nienawiść to dwie strony tego samego medalu, i aż do tej pory nie rozumiałam sensu tego powiedzenia.

W końcu na nią spojrział.

- Wczoraj oddałam ci się z miłością. Patrzył na nią, nie zdradzając żadnych emocji.

- Teraz jest we mnie tylko nienawiść. - Ledwo wypowiedziała te słowa, natychmiast ich pożałowała. Jak mogła być tak okrutna?

Twarz drgnęła mu nieznacznie.

- Masz prawo do swoich uczuć, Wirginio. Życzę ci miłego dnia.

- Powiedziawszy to, skłonił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Devlin z zaciętą twarzą wbiegał po szerokich, wiodących do gmachu admiralicji schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Wezwanie dotarło do niego zaledwie godzinę temu, ale go nie zaskoczyło. Zapewne cały Londyn słyszał o wczorajszym incydencie na balu, nie wyłączając starych ramoli w granatowych mundurach.

Mijali go oficerowie w towarzystwie adiutantów, Devlin jednak nikogo nie zauważał, miał bowiem cały czas przed oczami wielkie fiołkowe oczy przepełnione gniewem.

„Wczoraj oddałam ci się z miłością. Teraz jest we mnie tylko nienawiść”.

Wspomnienie tych słów wywoływało ból, ale Devlin niezmiernie się cieszył, że Wirginia wreszcie poszła po rozum do głowy. On nie zasługiwał na nic innego niż nienawiść. Ogarnęło go także uczucie ulgi; ta piękna kobieta przestanie oczekiwać od niego miłości.

- Sir? - U szczytu marmurowych schodów czekał na Devlina młody porucznik. - Admirał St. John już czeka.

Devlin, nie oglądając się na młodego oficera, zapukał do drzwi St. Johna. Wszedł, zasalutował energicznie, w żaden sposób nie okazując zdziwienia, jakie wywołała w nim obecność admirała Farnhama.

Następnie zdjął pieróg z głowy, przepisowo wsunął go pod ramię i trwał w postawie „na baczność”.

- Proszę usiąść, kapitanie - polecił St. John z ponurą miną.

Devlin skinął głową i rozparł się w fotelu, stojącym obok fotela, który zajmował Farnham, St. John natomiast zasiadł za biurkiem i rozpoczął grobowym tonem:

- Bardzo mi przykro, że musiałem cię tu dzisiaj wezwać, zaledwie kilka miesięcy po wyjątkowo nieprzyjemnych, lipcowych przesłuchaniach.

Devlin w żaden sposób nie zareagował na te słowa.

- Doszły mnie słuchy o twoich wczorajszych wyczynach. Czy chciałbyś mi przedstawić swoją wersję wydarzeń?

- Nie.

St. John westchnął głęboko.

- Tom Hughes ma rozbitą czaszkę i wstrząśnienie mózgu. Trzeba mu było założyć na piersi ponad tuzin szwów. Utrzymuje, że zaatakowałeś go niesłusznie i podstępnie. Co ty na to?

- Ma jeszcze dość sił, żeby rzucać oskarżenia? - Devlin uśmiechnął się szeroko. - Powinienem być poważniej go poharatać.

St. John zerwał się na nogi.

- Nie widzę w tym nic zabawnego. To zachowanie niegodne munduru oficera, mój panie.

Devlin także się podniósł.

- Podczas gdy napaść na damę jest zachowaniem jak najbardziej tego godnym?

Na twarzy St. Johna wykwitły czerwone plamy.

- Wybacz, proszę, ale kobietę złego prowadzenia nie sposób nazwać damą.

Devlin z trudem stłumił gniew.

- Panna Hughes jest bratanicą hrabiego Eastleigh, damą nad wyraz cnotliwą o nieposzlakowanym charakterze.

- Czy zaprzeczasz, że to twoja kochanka? - odezwał się Farnham.

- Naturalnie - odparł Devlin bez wahania. - Obawiam się, że padła ofiarą podłych oszczerstw. Panna Hughes jest jedynie gościem w moim domu i nic poza tym.

Farnham parsknął kpiąco.

- Cały świat wie, że jest twoją metresą, kapitanie. Kobieta upadła, która z pewnością miała Toma swoimi wdziękami.

- Wykluczone - zaprzeczył Devlin, z trudem tłumiąc pokusę trzaśnięcia Farnhama pięścią w wielki czerwony nochal. - Natomiast bez wątpienia na najwyższe potępienie zasługuje haniebny postępek Hughesa.

- Czy byłeś świadkiem całego zajścia od początku do końca? - spytał St. John.

- Nie.

- Hughes twierdzi, że ta kobieta go zaczepiła i zaproponowała, by nazajutrz spotkali się tylko we dwoje w jakimś ustronnym miejscu. Była przy tym tak uwodzicielska, że Tom stracił nad sobą panowanie, i właśnie w owej chwili ty pojawiłeś się na scenie.

Devlin czuł, jak narasta w nim furia.

- Czyli mamy do czynienia ze słowami Toma Hughesa przeciwko słowom ladaczniczy?

- Ty to powiedziałeś, nie ja - odparł St. John. - Tak czy inaczej, twój atak na Hughesa trudno nazwać zachowaniem dżentelmeńskim. To moje ostatnie ostrzeżenie, Devlin. Jeszcze jeden tego rodzaju występki, a zostaniesz postawiony przed sądem wojennym. W marynarce nie ma miejsca dla hultajów.

Devlin wiedział, że tradycyjnie wyjdzie z tej potyczki zwycięsko. Te spotkania zawsze przebiegały tak samo. Admirałowie w bombastycznych tyradach ganili go za niesubordynację i zuchwałość, po czym wszystko mu darowali, ponieważ żaden z nich nie odważyłby się pozbyć dowódcy o tak wielkim doświadczeniu i niezwykłych umiejętnościach bojowych. Tym razem jednak Devlin nie odczuwał satysfakcji ze swojej przewagi. Ogarnął go natomiast niesmak do samego siebie.

Jakkolwiek zaciekle broniłby Wirginii, nie było już dla niej przyszłości w Anglii, i to z jego winy.

Człowiek honoru by się z nią ożenił, zadźwięczało mu w głowie. Z przerażeniem odrzucił od siebie tę myśl. Człowiek honoru przede wszystkim nigdy by tak niegodziwie nie wykorzystał dziewczyny.

Z zamyślenia wyrwał go głos St. Johna.

- Czy rozumiemy się, kapitanie?

- Całkowicie.

- To doskonale. - St. John rozpromienił się, zachwycony, że tak gładko zdołał zażegnać kryzys. - Napijesz się brandy? - zaproponował.

Devlin skinął głową i przyjął napełniony kieliszek. Pociągając z zadowoleniem trunek, St. John zapytał:

- Czy otrzymałeś rozkazy?

- Owszem.

- Kiedy zamierzasz wypłynąć?

- Tak jak pan sugerował, sir, w ciągu dwóch tygodni.

- Postaraj się wyruszyć jak najszybciej. Dzisiaj doszły nas wieści, że HMS „Swift” został przechwycony przez USS „Constitution”. Nie mam pojęcia, jak to udaje się jankesom, ale obecnie niepodzielnie panują na Atlantyku. Liczę, mój chłopcze, że szybko zmienisz tę sytuację. - St. John uniósł kieliszek w geście salutu.

Devlin skłonił się nieznacznie.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, milordzie - obiecał, a admirał aż pokraśniał z radości.

- Co, u diabła, tam się wydarzyło? - spytał hrabia Eastleigh młodszego syna.

- Głowa mi pęka, ojczec. Czy byłbyś łaskaw powstrzymać się od krzyku? - odparł Tom Hughes, leżąc w łóżku z obandażowaną pierśią i ramieniem.

- Ani przez moment nie podniosłem głosu.

- To po prostu nie do zniesienia! - wybuchnął nagle William, sterczący u boku ojca.

- Zamilcz. - Eastleigh bezceremonialnie uciszył pierworodnego i ponownie obrzucił Toma uważnym spojrzeniem. - Jak poważne są twoje obrażenia?

- Przeżyję - odparł Tom, po czym pociemniał na twarzy. - Temu łajdakowi znowu się upiekło. St. John udzielił mu jedynie reprimendy!

- Prawdopodobnie on ich wszystkich przekupuje - powiedział Eastleigh. - Albo ich przekupuje, albo ma niewiarygodne szczęście. - Które wkrótce się skończy, dodał w duchu.

- Sytuacja stała się nie do zniesienia - powtórzył William. - Afiszował się z naszą kuzynką w całym Hampshire, zszargał jej reputację, a przez asocjacje reputację całej rodziny. Lord Livingston ostatnio nie przyjął mojej żony. A zawsze była tam mile widzianym gościem; lady Livingston wprost przepadała za Cecily. Teraz nasi przyjaciele się od nas odwracają, i trudno im się dziwić, ostatecznie mamy w rodzinie rozpustną ładacznicę. To nie do zniesienia! Trzeba za wszelką cenę powstrzymać O'Neilla!

- Przyznaję, nie przypuszczałem, że posunie się tak daleko i zabierze ją na bal do lorda Carew - rzucił z niesmakiem Tom.

- A ty musiałeś szukać z nim zwady? - zapytał lodowatym tonem Eastleigh.

- To on mnie zaatakował! - zawołał z oburzeniem Tom. - Ta dziewczyna jest naszą kuzynką i przyznaję, że zachwycająca z niej

bestyjka. Uważam, że miałem święte prawo skosztować jej uroków, a tymczasem ten barbarzyńca na mnie napadł!

- Swoim zachowaniem wywołałeś jedynie burzę plotek.

Eastleigh na zewnątrz zdawał się spokojny, ale w duchu aż kipiał z wściekłości i przyznawał synom rację. O'Neilla trzeba powstrzymać. Pozostawało pytanie: jak? Powoli nabierał pewności, że tylko śmierć położy kres żądzy zemsty tego człowieka.

- Jestem pewien, że cały Londyn rozprawia o twoich wczorajszych wyczynach - wtrącił William. - Aż boję się iść na jutrzejszą proszoną kolację. Dobrze, że chociaż pojawił się kupiec na plantację. Co prawda, chce pozostać anonimowy, a na dodatek oferuje cenę o połowę niższą od wartości rynkowej, ale nie mamy wyjścia, to jedyna okazja, żeby wreszcie pozbyć się „Słodkiego Derenia”.

- Wspaniała nowina! - Tom się rozpromienił. - Dzięki temu na jakiś czas załatamy dziury w budżecie. Ojczy, zapewne jesteś uszczęśliwiony.

Eastleigh już go nie słuchał. Synowie byli głupcami o słabym charakterze. Ale on - mimo że stary, otyły i doprowadzony niemal do ruiny - miał jeszcze w sobie hart ducha. Już raz zabił bez mrugnięcia powieką, beznamiętnie, jakby rozgniewał natrętną muchę. Irlandczycy byli nieokrzesanymi barbarzyńcami, on wiedział to najlepiej. Był też wrogiem emancypacji katolików. Nikt tego wyznania nie powinien mieć prawa do posiadania ziemi czy udziału w wyborach. Żaden z tych dzikusów nie powinien być równie bogaty i potężny, jak ów

łajdak, O'Neill. On, Eastleigh, już raz zabił. Z ochotą uczyni to ponownie.

Ostatecznie nie miał wiele do stracenia.

Nadszedł najwyższy czas, żeby opracować stosowny plan.

Wirginia stała przy oknie i wpatrywała się w Tamizę, po której, wśród plebejskich łódek, sunęło kilka pięknych łodzi. Zapadał zmierzch, zbliżał się czas kolacji, ale nie zamierzała schodzić do jadalni. Emocje opadły - nie potrafiłaby naprawdę znienawidzić Devlina - ale nie zamierzała dopuścić, by bezustannie doprowadzał ją do rozpacz. Z goryczą przypominała sobie dzisiejszą wymianę zdań i cudowne chwile w jego ramionach ubiegłej nocy. To musiało wreszcie się skończyć. Nadszedł czas powrotu do domu.

Szczeniak, którego nazwała Arthur, przysiadł u jej boku i zaczął cicho popiskiwać. Po chwili z tarasu dobiegły Wirginię głosy kobiety i mężczyzny, oba znajome.

O nie! - pomyślała, ponieważ kobietą na tarasie była bez wątpienia Mary de Warenne, a mężczyzną jej mąż, hrabia Adare.

Rozległo się pukanie do drzwi, co w zaistniałych okolicznościach nie zdziwiło Wirginii.

- Proszę - rzuciła z rezygnacją.

W progu stanęła rozpromieniona Hanna.

- Kapitan prosi, żeby zeszła pani na kolację, panno Hughes. Ich lordowskie moście przybyły z wizytą.

Wirginia uśmiechnęła się posepnie.

- Boli mnie głowa. Powiedz, proszę, że bardzo przepraszam, ale zaniemogłam.

- Czy mam przynieść tacę z kolacją? - spytała szczerze zatroskana pokojówka.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna.

Po wyjściu Hanny Wirginia usiadła na sofie przed kominkiem, przytuliła do siebie Arthura i zapatrzyła się w ogień. Nie płakała, chociaż cierpiała. Teraz mogła tylko z utęsknieniem wyczekiwać przyszłości, tego magicznego dnia, gdy uda jej się na zawsze wymazać Devlina z pamięci. Z całą mocą wierzyła, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Może będzie musiało upłynąć kilka lat, ale w końcu zapomni o tym mężczyźnie, a jego twarz przestanie prześladować ją we snach.

- Wirginio?

Odwróciła się zaskoczona. W progu stała uśmiechnięta Mary de Wrenne, ubrana w jedwabną suknię koloru miedzi, przybraną brązową koronką.

- Przepraszam, pukałam kilka razy, ale nie odpowiadałaś, postanowiłam więc sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Trochę boli mnie głowa, ale to nic poważnego.

- Mogę wejść?

Wirginia nie miała wyboru, skinęła potakująco głową.

Mary spojrzała na nią uważnie.

- Jak się miewasz, moja droga?

- Chyba bierze mnie przeziębienie - odparła Wirginia.

Wyczuwała, że na tym indagacja się nie zakończy i zdjął ją lęk.

Lady de WARENNE spojrzała jej prosto w oczy.

- A więc ty i mój syn otwarcie zamieszkaliście razem.

Wirginia zarumieniła się gwałtownie.

- Jesteś, pani, bardzo bezpośrednia.

- Przede wszystkim zawstydzona zachowaniem Devlina.

Wychowywałam go na człowieka, który umie odróżnić dobro od zła, a kobiety traktuje z najwyższym szacunkiem.

Wirginia się wzdrygnęła.

- Wiem, jak niegodziwie cię wykorzystał. Bardzo mnie tym rozsierdził. Chciałabym jednak dowiedzieć się, czy wyrządził ci więcej krzywd?

- Nie mogę odpowiedzieć na podobne pytanie.

- Poniekąd właśnie na nie odpowiedziałas. - Zanim Wirginia zdążyła się zorientować, lady de WARENNE objęła ją i przytuliła. - Bardzo przypadłaś mi do serca, córko.

Wirginia tak usilnie starała się zapanować nad łzami, że dopiero po chwili dotarły do niej słowa Mary.

- Jak mnie pani nazwała?

- Nazwałam cię córką, bo wkrótce nią zostaniesz.

Przedyskutowaliśmy z Edwardem zaistniałą sytuację. Nie była to długa dyskusja, ponieważ sprawa jest zupełnie oczywista. Mój syn postąpi w jedyny uczciwy sposób.

Wirginia potrząsnęła głową, oszołomiona.

- Ożeni się z tobą, Wirginio, bez obaw, i będzie traktował z rewerencją należną małżonce - oznajmiła Mary stanowczym tonem. - Edward właśnie przeprowadza z nim męską rozmowę. - Uśmiechnęła się szczęśliwa, że może przekazać tak pomyślną nowinę.

Wirginii przemknął przed oczami obraz siebie samej, stojącej w ślubnej sukni u boku ubranego w galowy mundur Devlina, w jakimś małym wiekowym kościółku, przed błogosławiącym ich związek duchownym. Szybko jednak oprzytomniała i odrzuciła tę zwodniczą wizję.

- Dziękuję, milady - wykrztusiła jedynie.

- Zejdźmy teraz razem na dół. - Mary ponownie ją objęła.

Wirginia w duchu błagała wszelkie możliwe siły o pomoc.

- Milady? Ja naprawdę muszę się położyć. Nie stanowiłabym dzisiaj dobrej kompanii.

Mary ucałowała ją w czoło.

- Rozumiem, moja droga. Każę przysłać na górę tacę z lekkim posiłkiem. Wirginio?

- Tak?

- Wszystko się ułoży, jestem o tym przekonana. Gdy tylko za Mary zamknęły się drzwi, Wirginia bezsilnie opadła na najbliższy fotel.

Nic się nie ułoży, bo po prostu jest na to za późno. Ona za żadne skarby nie poślubi Devlina, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi.

Devlin podał ojczymowi kieliszek czerwonego wina, po czym usiadł w sąsiednim fotelu. Edward pociągnął spory łyk trunku.

- Diabło dobre wino - zawyrokował.

- To prawda - zgodził się Devlin, zerkając na otwarte drzwi.

Stojący zegar wybił już wpół do ósmej, a matka i Wirginia wciąż się w nich nie ukazały. Devlin nie widział Wirginii od czasu ich nieprzyjemnej, porannej rozmowy i skłamałby, gdyby powiedział, że nie miał ochoty jej ujrzeć. Chciał się przekonać, że w pełni doszła do siebie po przykrych przeżyciach.

- Podobno otrzymałeś nowe rozkazy. - Edward odstawił kieliszek i swobodnie wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Owszem, za dwa tygodnie ruszam w morze. Mam uczestniczyć w wojnie z Amerykanami.

- Czyż to nie ironia losu? Odnosimy triumfy w Kanadzie, chociaż mamy tam mizerne oddziały, za to ponosimy klęski na Atlantyku, mimo że jesteśmy największą potęgą morską na świecie.

- Amerykanie są nieugięci - odparł Devlin, i niespodziewanie ujrzał przed sobą parę fiołkowych oczu. Wyzierała z nich nienawiść, ale tak właśnie być powinno; on musi tylko dość często sobie o tym przypominać.

- A co z tą wczorajszą aferą?

- Zastanawiałem się, czy już dotarły do was najnowsze wieści - odparł Devlin, szykując się na nieuniknioną reprimendę.

- A czego, na Boga, się spodziewałeś, skoro w tak haniebną rolę zaciągnąłeś tam tę dziewczynę? - W głosie Edwarda pobrzmiwała ostra dezaprobata.

Devlin poderwał się na nogi.

- Wczoraj zostałem wezwany na dywanik do St. Johna.

Nasłuchałem się dość, wierz mi. Owszem, popełniłem poważny błąd, i tak, szczerze tego żałuję. Nie żałuję natomiast, że Hughes dostał ode mnie cięgi, bo na nie zasłużył.

- A na co zasłużyła Wirginia? - Hrabia także się podniósł.

- Edwardzie, zdaję sobie sprawę, że postąpiłem nieciebie i niegodziwie. Nie powinienem jej wykorzystywać do rozgrywki z Eastleighem. Mam nadzieję jej to wynagrodzić. Kupiłem „Słodki Dereń” z zamiarem podarowania go Wirginii. Zabiorę ją do domu.

- Syn, którego wychowałem, wiedziałby, jak należy postąpić wobec tej dziewczyny, i z pewnością nie byłoby to składanie jej w ofierze na ojcowskim grobie.

- Szczerze żałuję wszystkich krzywd, których doznała z mojego powodu. Ale czy to, że kupiłem dla niej ukochaną plantację, nie jest wystarczającym zadośćuczynieniem?

- Ty mi odpowiedz na to pytanie.

- Znasz mnie, Edwardzie, i nie od dziś wiesz, jakie życie dla siebie wybrałem. Nie jestem człowiekiem stworzonym do założenia rodziny.

- Twój ojciec nie wychowywał cię na zimnego łajdaka, ale właśnie na człowieka ciepłego i rodzinnego.

Cios Edwarda był bolesny, bo celny.

- Nie mieszaj do tego ojca - rzucił ostro Devlin.

- A niby dlaczego? Przecież mord popełniony na twoim ojcu jest siłą napędową wszystkich twoich poczynań. Wielki Boże, Gerald nie żyje od piętnastu lat! Kiedy wreszcie pozwolisz mu spocząć w spokoju?

Odwrócił się od ojczyzna, dygocąc na całym ciele. Swego czasu Sean wypowiedział podobne słowa. Problem w tym, że Devlin nie potrafił uwolnić się od przeszłości. To przekraczało jego siły.

- Jest tylko jeden sposób, w jaki możesz wyrównać krzywdy wyrządzone pannie Hughes, i sam o tym wiesz najlepiej - powiedział Edward.

Rzeczywiście Devlin wiedział, i to już od dłuższego czasu. Tylko żeniąc się z Wirginią, mógłby zniwelować skutki niegodziwych posunięć. Znowu ujrzał przed sobą fiołkowe oczy.

„Teraz jest we mnie tylko nienawiść”.

Tak wiele nienawiści... to on, Devlin, zaraził Wirginię tym destrukcyjnym uczuciem.

- Wątpię, czy ona mnie zechce - wyrwało mu się.

- Oczywiście, że cię zechce! Jesteś skłonny się ożenić?

Zrobiłby to bez wahania, gdyby był innym człowiekiem - niezdolnym do okrucieństwa, gotowym pogrzebać demony przeszłości, godnym miłości Wirginii. Jednak nie potrafił przemienić się w kogoś takiego.

- Kiedy wreszcie porzucisz tę ponurą obsesję? Uwierzysz, że możesz jeszcze odnaleźć szczęście? Kiedy przedłożysz radość nad cierpienie? - ciągnął Edward. - Zaczнешь wreszcie normalnie żyć?

- Gdybyś ty zginął taką śmiercią jak Gerald, twoi rodzeni synowie, Tyrell, Rex i Cliff, zachowywaliby się tak samo jak ja i zrobiliby wszystko, żeby cię pomścić - stwierdził Devlin.

- Mam nadzieję, że nie - odparł stanowczo Edward. - A wracając do zasadniczego tematu: dobrze wiesz, jak musisz postąpić.

Do pokoju weszła Mary.

- Devlinie? Kocham cię tak, jak tylko matka może kochać swojego pierworodnego, jestem gotowa wiele ci wybaczyć, ale tu chodzi o wybór między dobrem a złem. Jeżeli rzeczywiście jesteś mężczyzną honoru, na jakiego starałam się cię wychować, postąpisz w jedyny słuszny sposób i ożenisz się z panną Hughes. - W oczach Mary błysnęły łzy. - Nie zawiedziesz mnie, prawda?

Był zgubiony. Nie mógł odmówić kobiecie, która wydała go na świat, obdarzała bezwarunkową miłością i na przekór wszystkiemu wierzyła w jego prawość.

„Wczoraj oddałam ci się z miłością”.

Zacisnął powieki. Nie potrzebował miłości, mimo to mógł poślubić Wirginię i zachować wobec ich związku odpowiedni dystans. Mógł się ożenić, a jednocześnie nie odrzucać tego, co dla niego najważniejsze: zemsty za śmierć ojca. W gruncie rzeczy w jego życiu ślub niewiele by zmienił.

- Devlinie? - dobiegł go głos matki. Odwrócił się i skłonił.

- Ożenię się z Wirginią. Zaplanuj uroczystości ślubne. Stawię się w wyznaczonym miejscu.

Mary zarzuciła mu rękę na szyję.

- Kochanie, tak się cieszę. Wirginia będzie dla ciebie wspaniałą żoną. Jestem o tym przekonana.

Devlin skinął głową. Był jak odurzony, a jednocześnie doznał ulgi. Jeszcze do niedawna sądził, że zawiezie Wirginię do domu i nigdy więcej jej nie zobaczy. Nagle się okazało, że spędzą razem życie. Zdjęła go panika. Będzie musiał bardzo uważać, bo w przeciwnym razie ta dziewczyna zniewoli go swoim urokiem.

- Edwardzie, przed nami ślub i wesele! - wykrzyknęła radośnie Mary. -I bardzo mało czasu na przygotowania! - Uśmiechnęła się do Devlina. - Uroczystości muszą odbyć się przed upływem dwóch tygodni, zanim „Defiance” wyruszy w morze.

Devlin nie był w stanie skoncentrować się na pracy. Pierwszy oficer przedstawił mu do autoryzacji listę zaprowiantowania, a tymczasem słowa na pergaminie rozplływały się Devlinowi przed oczami. Wprost nie mógł uwierzyć, że jeszcze przed czternastym grudnia zostanie mężem Wirginii.

W końcu odsunął od siebie arkusz. A właściwie gdzie, do diabła, podziewała się Wirginia? Wczorajszego wieczoru wymówiła się bólem głowy i to w zasadzie było mu na rękę, wołał bowiem nie rozmawiać z nią tuż po tym, jak zgodził się ją poślubić. Dzisiaj jednak nie zeszła na śniadanie, teraz dochodziło już południe, a Wirginia nie należała do kobiet z rozkoszą wylegających się w łóżku.

Najprawdopodobniej więc o świcie udała się na spacer. Tak czy owak, nadal go unikała, a tymczasem powinni omówić plany na przyszłość. Z pewnością uda im się zaaranżować układ, który będzie zadowalający dla obu stron. Devlin zamierzał położyć nacisk na fakt, że w zasadzie nic między nimi się nie zmieni. Wirginia jedynie zyska oficjalnie jego nazwisko i tytuł.

W drzwiach pojawił się Benson i Devlin spał się w sobie, oczekując, że za chwilę zobaczy Wirginię. Tymczasem kamerdyner zaanonsował przybycie Williama Hughesa.

Szczerze zdumiony Devlin podniósł się z fotela.

Hughes skłonił głowę w parodii ukłonu, Devlin odpowiedział mu tym samym, zastanawiając się, czego ten człowiek może tutaj szukać.

- Cóż za niespodzianka - mruknął.

- Czy możemy sobie podarować zbędne uprzejmości? - odparł Hughes sztywno.

- Sam nie wiem. - Devlin wyszedł zza biurka. William wyglądał na głęboko zgnębionego i nieszczęśliwego, co jeszcze bardziej wzmogło ciekawość Devlina. - Szkockiej? Brandy? Wina? - zaproponował, szykując się w duchu na starcie, które niewątpliwie ta wizyta zwiastowała.

William zbył go lekceważącym machnięciem dłoni.

- A jak tam zdrowie brata? - spytał Devlin z ironicznym uśmiechem.

Hughes sprawiał takie wrażenie, jakby za chwilę miał się udusić.

- Dość pozorów! - wykrzyknął. - Sytuacja stała się nie do zniesienia. Nie będziesz dłużej plamił dobrego imienia Hughesów. Przyszedłem złożyć ci pewną ofertę.

- A więc ją przedstaw - odparł Devlin, wciąż się uśmiechając.

Czyżby Eastleigh, ten śmierdzący tchórz, wydelegował syna do załatwienia swoich brudnych sprawek? William wyciągnął przed siebie notę bankową.

- To wszystko, na co mogę się zdobyć. Nie jest to piętnaście tysięcy funtów, suma doprawdy absurdalna! Daję trzy tysiące za uwolnienie mojej kuzynki.

Devlin nie ruszał się z miejsca. Był zdumiony, a jednocześnie szczerze ubawiony, ponieważ Hughes z całą pewnością oferował mu pieniądze, które Devlin zapłacił za „Słodkiego Derenia”.

- Czy twój ojciec wie, że przyszedłeś do mnie z tą propozycją?

- A czy ma to znaczenie? - spytał kwaśno William, zdradzając tym samym, że Eastleigh nie ma pojęcia o transakcji.

Devlin wzruszył ramionami i przyjął notę.

- W istocie żadnego - odparł.

William spojrział na niego z odrazą, odwrócił się i wyszedł.

Gdy zniknął, Devlin wybuchnął śmiechem, zastanawiając się, co powiedziałby lub zrobiłby Hughes, gdyby wiedział o nadchodzącym ślubie.

Kiedy rozbawienie minęło, zerknął na zegar z brązu, stojący na biurku. Dochodziła pierwsza.

- Benson! - zawołał, podchodząc do drzwi. Kamerdyner wyrósł przed nim jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Słucham, sir?

- Chciałbym porozmawiać z panną Hughes. Służący skłonił się i ruszył w górę po schodach. Devlin natomiast z powrotem zasiadł za biurkiem i wziął do ręki listę z zaprowiantowaniem dla załogi. Solona wołowina, solona wieprzowina, płatki owsiane, masło, ser...

Westchnął i odłożył pergamin. Nagle przeprowadzenie zasadniczej rozmowy z Wirginią stało się dla niego nadzwyczaj istotne. Co się z nią działo? Czyżby naprawdę się rozchorowała? A może wybrała się na piechotę do miasta? Zaczął niecierpliwie bębnić palcami po blacie, gdy w progu ponownie stanął Benson.

- Czy panna Hughes wkrótce zejdzie?

- Nie zastałem jej w apartamentach, milordzie. Za to znalazłem na łóżku ten list. Zaadresowany do pana, sir, lecz, o dziwo, zamknięty pańską pieczęcią.

Devlin wyskoczył zza biurka i niemal wyrwał kamerdynerowi pismo z rąk.

- To wszystko - rzucił sucho.

Gdy tylko Benson zniknął za drzwiami, Devlin przełamał pieczęć i zaczął czytać.

5 grudnia 1812

Szanowny kapitanie O'Neill!

Nie mogę zostać Pańską żoną. Kiedy otrzyma Pan mój list, będę daleko stąd. Po głębszej refleksji zrozumiałam, że w swoim

postępowaniu wykazywałam się wielką głupotą i naiwnością.

Nadszedł czas, żebym wróciła do domu.

Żałuję wielu rzeczy. Przede wszystkim tego, że nie zdołaliśmy nawiązać prawdziwej przyjaźni. Ponadto bardzo żałuję wczorajszych, ostrych słów. Zapewniam, że nie żywię wobec Pana żadnej urazy, nie wspominając już o nienawiści. Mam dla Pana jedynie przyjacielskie uczucia, chociaż zdaję sobie sprawę, że są one jednostronne. Życzę Panu niezmiennie wszystkiego najlepszego.

Proszę przekazać wyrazy uszanowania swojej rodzinie. Wszyscy oni traktowali mnie nad wyraz życzliwie.

Z poważaniem Virginia Hughes

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Hrabina Eastleigh była pewna, że źle zrozumiała słowa kamerdynera.

- Słucham? - spytała, odkładając na kuchenny stół naręczę kwiatów, które chwilę wcześniej ścięła w cieplarni.

- Przybyła panna Wirginia Hughes, milady - powtórzył służący w liberii.

Elizabeth zadała sobie pytanie, czego może od niej chcieć kochanka Devlina. Dlaczego pofatygowała się z wizytą? Czyżby z Devlinem powrócili do Wideacre? Ale jeżeli tak, to dlaczego?

Elizabeth naturalnie słyszała o skandalicznym incydencie, do którego doszło na balu u lordostwa Carew. Jej sąsiadka, lady Cramer, była naocznym świadkiem wydarzeń i nader skwapliwie zrelacjonowała szczegóły pojedynku. Wedle jej opowieści O'Neill był zdecydowany zamordować rywala i tylko stanowcza interwencja Tyrella de Warenne zapobiegła najgorszemu.

Elizabeth z uśmiechem przyklejonym do twarzy podała pokojówce tuzin tulipanów.

- Włóż je do wazonu i zanieś do mojej sypialni - poleciała, nie przestając się zastanawiać, dlaczego kochanka Devlina postanowiła złożyć jej wizytę.

Jeszcze się nie otrząsnęła po zerwaniu, a najwięcej bólu sprawiała jej świadomość, że Devlin wykorzystał ją bezdusznie do swoich celów. Gdyby nie nienawiść, jaką żywiła do Williama,

poszłaby do niego i zażądała wyjaśnienia całej sytuacji związanej z Wirginią. Gdyby nie była niewierną żoną, poruszyłaby tę sprawę także z Eastleighem. Jednak w zaistniałych okolicznościach nie mogła zwrócić się do żadnego z nich.

Jednakże Elizabeth miała swój rozum. Najpierw Devlin wziął ją sobie za kochankę, teraz bratanica jej męża dostępowała tego wątpliwego zaszczytu. Kilka lat temu Devlin kupił należący do jej rodziny londyński Waverly Hall. Elizabeth zaczęła podejrzewać, że za tymi posunięciami krył się makiaweliczny plan.

- Wprowadź pannę Hughes do bawialni i podaj herbatę, Walden
- zarządziła, ponieważ ciekawość zwyciężyła i Elizabeth postanowiła przyjąć Wirginię. Szybko zdjęła fartuch i opłukała ręce.

Zastała Wirginię w żółtym salonie, przestronnym, pełnym wygodnych, choć zniszczonych kanap i foteli. Dziewczyna miała na sobie jasnoliliową suknię i czarną pelerynę, stała wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, ale wystarczyło jedno spojrzenie jej wielkich oczu, by Elizabeth zdała sobie sprawę, że ma przed sobą kobietę, której złamano serce. To nią wstrząsnęło.

- Panno Hughes? - Uśmiechnęła się ciepło, niespodziewanie ogarnięta współczuciem dla dziewczyny.

Wirginia próbowała odpowiedzieć uśmiechem, ale na jej twarzy pojawił się jedynie bolesny grymas.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, milady...

- W żadnym razie nie przeszkadzasz. - Elizabeth wskazała dłonią na pobliski fotel. - Chociaż nie ukrywam, że twoja wizyta jest dla mnie zaskoczeniem.

Wirginia przycupnęła na skraju siedzenia.

Elizabeth zajęła stojący naprzeciwko fotel, myśląc przy tym: jest piękna, zaczynam rozumieć, dlaczego Devlin chciał ją mieć dla siebie. Ale to przecież jeszcze dziecko...

- Przebywasz obecnie w Wideacre, moja droga? - spytała uprzejmie.

Wirginia wygładziła suknię i pokręciła przecząco głową.

Zapadło krępujące milczenie. Elizabeth szczerze współczuła tej dziewczynie, teraz tak bardzo zagubionej i nieszczęśliwej. Przynajmniej jestem mężatką, pomyślała, a do tego kobietą doświadczoną, umiejącą radzić sobie z cierpieniem.

Nie ulegało wątpliwości, że Devlin był pierwszym kochankiem Wirginii. Czyżby i ją nagle porzucił? Jeśli tak, nic dziwnego, że jest zdruzgotana.

- Niezwykle piękny dzień jak na tę porę roku, nieprawdaż? - zagaiła hrabina. - Chociaż słyszałam, że niedługo mają nadejść słoty.

- Muszę prosić panią o pomoc, milady. Elizabeth, wiedzioną współczuciem, pochyliła się i chwyciła Wirginię za rękę.

- Moja droga, przecież jesteśmy rodziną. Naturalnie, że ci pomogę, jeżeli tylko będę w stanie.

- Muszę wracać do domu, do Wirginii, a nie mam pieniędzy na opłacenie morskiej przeprawy. Gdyby mogła mi pani pożyczyć stosowną sumę, przysięgam, że zwróciłabym wszystko co do pensa.

Elizabeth szczerze chciała pomóc Wirginii, ale jej zasoby były obecnie tak skromne, że nie miała na zbyciu ani pensa.

- Powiedz mi, dziecko, co się stało?

- Muszę wracać do domu - powtórzyła uparcie Wirginia.

- A Devlin... - Elizabeth bardzo starannie ważyła słowa - ...Devlin nie chce ci umożliwić wyjazdu? Jego z pewnością stać na opłacenie podróży.

- Uciekłam od niego, milady, i muszę jak najszybciej opuścić ten kraj.

Słowa Wirginii rozpały ciekawość Elizabeth.

- Czyż nie darzyłaś go miłością?

- Owszem.

- Mam rozumieć, że wyrządził ci krzywdę?

- A czym innym niż krzywdą było przedstawianie mnie całemu światu jako ładacznicy, swojej bezwstydnej kochanki?! - wykrzyknęła.

Elizabeth nawet nie próbowała ukryć zdumienia.

- Nie pojmuję zachowania Devlina - powiedziała. Wirginia podniosła się z fotela.

- Nie do mnie należy wyjaśnianie motywów jego działań. Nie zamierzam stawać pomiędzy nim a pani rodziną. Błagam tylko o

pożyczkę pieniędzy na podróż do Ameryki, bo dłużej już nie mogę tak żyć!

Elizabeth również wstała. Wirginia nadal darzyła Devlina miłością: w innym wypadku nie miałyby oporów przed ujawnieniem jego celów.

- Wnoszę, że jesteś w nim zakochana.

- Nie. On złamał mi serce i teraz pozostał już tylko ból.

Elizabeth wstrząsnęły te słowa. Pogłaskała delikatnie Wirginię po policzku.

- Dlaczego tak podle cię potraktował?

- Kiedy wyjadę, może go pani o to spytać.

- Najpierw ja, teraz ty. Niewiele brakowało, a zabiłby Thomasa.

Przejął Waverly Hall. Ktoś mógłby powziąć podejrzenie, że postanowił zniszczyć moją rodzinę - dorzuciła z nerwowym śmiechem.

Wirginia posłała jej poważne, przeciągłe spojrzenie.

- Wielkie nieba, czy to prawda? - Elizabeth szeroko rozwarła oczy.

- Musi go pani sama o to spytać - odparła stanowczo Wirginia. - Wracając do sprawy, czy mogłaby mi pani pożyczyć jakąkolwiek kwotę?

- Bardzo chciałabym ci pomóc, moja droga - zapewniła Elizabeth, wciąż zaszokowana odkryciem, że sześć lat dzielenia łóża z Devlinem najprawdopodobniej nie miało wiele wspólnego z

namiętnością, a z całkiem innymi emocjami: mrocznymi i groźnymi. -
Nie mam na zbyciu ani pensa.

- Czy przynajmniej mogłaby pani odesłać mnie powozem do Londynu? Wszystkie pieniądze wydałam na podróż do Eastleigh.

- Oczywiście. A więc jednak do niego wracasz?

- W żadnym razie!

- Milady? - W drzwiach pojawił się kamerdyner, pchając przed sobą wózek, na którym stała patera ze słodkościami, filiżanki i dzbanek.

Elizabeth poczuła ulgę na widok służącego.

- Napijemy się herbaty? - zaproponowała Wirginii. - Nasz kucharz wypieka doskonale biszkopty.

- Obawiam się, że niezwłocznie muszę wracać do miasta - odparła Wirginia.

Elizabeth ucieszyła się w duchu. Jak najszybsze wyekspediowanie gościa był jej bardzo na rękę.

- Walden, niech Jeffries zajedzie przed dom moim powozem. Powiedz mu, że odwiezie pannę Hughes do Londynu.

- Tak jest, milady. - Kamerdyner spiesznie opuścił salon.

Elizabeth napełniła herbatą jedną z filiżanek.

- Jesteś pewna, moja droga, że nie chcesz się napić niczego przed podróżą?

Wirginia pokręciła przecząco głową, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Elizabeth nie skomentowała tego braku manier. Popijając herbatę, utwierdzała się w przekonaniu, że to nie z powodu niezwyklej urody Devlin wziął sobie Wirginię do łóżka. Sprawa była o wiele bardziej ponura, związana z jakąś wendetą, którą prowadził przeciwko rodzinie Hughesów.

Dziesięć minut później Wirginia siedziała w powozie hrabiny, a Elizabeth, owinięta w kaszmirowy szal machała na pożegnanie. Gdy tylko pojazd zniknął jej z oczu, pospiesznie wróciła do domu i przywołała kamerdynera.

- Walden, czy hrabia jest u siebie?

- Nie, milady, poszedł z psami na przechadzkę. To była dobra wiadomość.

- A William?

- Pracuje w bibliotece, milady.

Elizabeth organicznie nie znosiła Williama, niekiedy nawet się go bała, ale teraz nie miała wyjścia, musiała z nim porozmawiać. Przemknęła przez korytarze, starając się nie patrzeć na obłazące z farby ściany i pęknięcia na posadzce. Drzwi biblioteki były zamknięte. Otworzyła je bez pukania.

William siedział za biurkiem z piórem w dłoni. Uniósł wzrok znad pergaminu, wyraźnie zde gustowany tak niecywilizowanym wtargnięciem.

- Chcę zamienić z tobą kilka słów - oświadczyła Elizabeth.

- Doprawdy? Jakże to niezwykle. - Podniósł się i lubieżnie prześliznął wzrokiem po jej kształtach.

Elizabeth poczuła mdłości. Gdyby tylko zachęciła go najdrobniejszym gestem, William wziąłby ją na tym biurku.

- Była tu panna Hughes. Zdumiał się.

- Po co?

Elizabeth wzruszyła ramionami. Nie zamierzała niczego wyjawiać pasierbowi, póki sama starannie nie rozważy, komu dane informacje mogą posłużyć, a komu zaszkodzić.

- Czego O'Neill chce od naszej rodziny? - spytała ostro.

- W ogóle czy w szczególności?

Nie zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć.

- Uważam, że dzieje się coś niezwykłego - podjęła. - Najpierw ja, teraz moja bratanica. Wcześniej przejęcie Waverly Hall. Słyszałam, że na balu u lorda Carew był zdecydowany zabić Thomasa. Czy zechcesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

William wyszedł zza biurka.

- Co tu wyjaśniać? Znudził się tobą, więc wziął sobie do łóżka dużo młodszą kobietę o piękniejszej twarzy i cieńszej kibici.

Zaczęły palić ją policzki.

- Zażądał od nas okupu za pannę Hughes - dodał William.

- Co takiego?! - Elizabeth nie wierzyła własnym uszom.

- Cóż, moja droga macocho, to wszystko jest w gruncie rzeczy całkiem proste i nad wyraz przemyślnie zarazem. O'Neill porwał ją w charakterze zakładniczki, a kiedy odmówiliśmy zapłaty, zdecydował się zrujnować reputację naszej rodziny.

Elizabeth osłupiała.

- To znaczy, że ta dziewczyna nie była jego kochanką...

- Och, naturalnie zrobił z niej swoją kochankę. To aż nadto oczywiste. Nie kierował się jednak miłością ani nawet żądzą, możesz więc spać spokojnie. Nie przegrałaś z żadną kobietą, a jedynie z chęcią zemsty. Bo widzisz, wiele lat temu twój drogi mąż zamordował ojca O'Neilla i teraz wszyscy słono za to płacimy.

Wirginia, dygocząc, przykucnęła w krzakach. Niestety, w Londynie nie panowała równie piękna pogoda, jak w Hampshire. Kiedy dotarła do przedmieść stolicy, chmury zapowiadały deszcz, a teraz mżawka zmieniała się w ulewę. Żałowała, że nie przyjęła poczęstunku Elizabeth, ponieważ przez cały dzień nie miała nic w ustach. Jeszcze bardziej żałowała, że tak mizernie przedstawiał się stan finansów hrabiny, bo ta kobieta z pewnością by ją poratowała, gdyby tylko mogła.

Wirginia kazała zawieźć się pod bramę rezydencji de Warenne'ów przy Mayfair. Gdy tylko powóz ruszył w drogę powrotną do Eastleigh Hall, przeszła przez mur i, kryjąc się za drzewami i krzewami, podeszła pod dom. Zbliżał się wieczór, Wirginia czuła się wyczerpana. Tyrell de Warenne był jej ostatnią szansą.

Zamierzała spotkać się z nim po kryjomu, czekała więc, aż wyjdzie z domu. A co zrobi, jeżeli z powodu deszczu Tyrell nie wybierze się tego wieczoru na miasto? Zakradnie się do stajen i tam przenocuje, a z rana zaczai się na Tyrella. Plan nie należał do najlepszych. Zęby szczękały jej z zimna, a kępa drzew, pod którymi stała, zupełnie nie chroniła przed deszczem. Wirginia najchętniej już

w tej chwili pobiegłaby do stajen, ale stąd miała dobry widok na drzwi domu, a bardzo jej zależało na tym, żeby jeszcze tego dnia rozmówić się z Tyrellem.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, zanim prze domem ujrzała jakiś ruch. Pojawił się masztalerz, prowadzący za uzdę piękną, kasztanową klacz. Wirginia nie miała pojęcia, kto przebywa w rezydencji, wątpiła jednak, żeby hrabia o tej porze i przy takiej pogodzie wybierał się dokądś wierzchem. Z trudem stłumiła okrzyk radości, gdy zobaczyła Tyrella, schodzącego po schodach na podjazd. Z bijącym sercem wyszła z za drzew i pobiegła w jego stronę.

Masztalerz przekazywał wodze Tyrellowi, który właśnie miał wskoczyć na siodło. Obaj mężczyźni jednocześnie zobaczyli biegnącą ku nim kobietę.

- Wirginia?! - wykrzyknął z niedowierzaniem Tyrell.

Próbowała się uśmiechnąć, ale zęby tak jej szczękały, że nie zdołała rozciągnąć ust.

- Milordzie, błagam, wstrzymaj się z odjazdem. Muszę pilnie zamienić z tobą kilka słów.

Tyrell odrzucił wodze masztalerzowi, a sam zwrócił się do Wirginii.

- Co się dzieje, na Boga? Jesteś przemarznięta i przemoczona do suchej nitki. Jak się tutaj dostałaś? Przyszłaś na piechotę z Waverly Hall?!

- To nic. Nie zmoczyło mnie za bardzo, a chłód nie jest aż tak dokuczliwy - skłamała. - Proszę, milordzie, jestem w desperacji. Muszę pilnie przedyskutować z tobą pewną sprawę.

- Będziemy dyskutować, o czym tylko zechcesz, ale najpierw musisz wejść do środka, przebrać się w coś suchego i ogrzać przy ogniu!

- Nie! - wykrzyknęła i odskoczyła, gdy próbował ująć ją pod ramię.

- Słucham? - Spojrzał na nią zdumiony.

- Nie mogę wejść do domu.

- A dlaczego nie?

- Bo uciekłam - wyznała po chwili wahania. - Uciekłam od Devlina. Błagam, żebyś zachował to w sekrecie i pomógł mi dostać się do Ameryki.

Wirginia siedziała w bibliotece, przed ogniem buzującym w kominku, w jednej z sukien Mary de Warenne oraz pledzie zarzuconym na ramiona. Szczęśliwie hrabia i hrabina udali się na przyjęcie i mieli nieprędko wrócić. Kiedy Wirginia trochę się rozgrzała, zdała sobie sprawę ze swojego wyczerpania, które bardziej było natury psychicznej niż fizycznej. Tyrell zachował się wobec niej niezwykle szarmancko, dlatego była pewna, że jej pomoże. Jeśli wszystko pomyślnie się ułoży, jutro znajdzie się na Atlantyku.

Na pewno Devlin był na nią wściekły, ale ona więcej go nie zobaczy. Może dopiero po latach, gdy będzie żoną wspaniałego

mężczyzny, tak piękną i szczęśliwą, że Devlin nagle zrozumie, jak wiele stracił.

Uniosła wzrok znad ognia. Tyrell nerwowo przechadzał się po pokoju. Kiedy ją wnosił do domu, była tak roztrzęsiona, że nie bardzo pamiętała, co właściwie mu powiedziała. W końcu z ponurą miną zatrzymał się przed jej fotelem.

- Wirginio?

- Dziękuję, że okazałeś mi tyle serdeczności.

- Musisz powiadomić o wszystkim Devlina. Skoro uciekłaś, on zapewne odchodzi od zmysłów.

- Wierz mi, ja go nic nie obchodzę. Jestem pewna, że mu ulżyło, kiedy odkrył, że zniknęłam z jego życia.

- Przemawia przez ciebie gorycz.

- Nieprawda - odparła, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

- Nic z tego nie rozumiem. Zaledwie wczoraj wieczorem ojciec przekazał mi wspaniałą nowinę.

- Nie wyjdę za Devlina - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- Ale dlaczego?

- Dlaczego?! - wykrzyknęła. - Ten człowiek mnie porwał, więził, zażądał, bym zamieszkała z nim otwarcie pod jednym dachem, a to wszystko w imię obłąkańczej obsesji. Niewiele brakowało, a dwa dni temu zabiłby mojego kuzyna. Podałam ci już cztery powody, dla których nie mogę zostać jego żoną, a będziesz miał i piąty, jeżeli doliczymy fakt, że traktował mnie jedynie jak pionka w swojej morderczej rozgrywce.

- Jesteś przepelniona gniewem i trudno ci się dziwić.

Potraktował cię niegodziwie, ale teraz zamierza cię poślubić, więc wszystko skończy się szczęśliwie.

- Dla kogo?! - wykrzyknęła. - Dla niego? W żadnym razie. On wcale nie ma ochoty się ze mną wiązać. Dla mnie? Ani trochę, bo on mnie nie kocha. Nie ma dla mnie krztyny ciepłych uczuć! Teraz chcę jedynie wrócić do domu, na moją plantację.

- Obawiam się, że gniew mąci ci myśli, Wirginio. Ślub z Devlinem to jedyny sposób ocalenia twojej reputacji.

- Nie dbam o reputację. Tyrell spojrział na nią surowo.

- W takim razie całe szczęście, że ja o nią dbam, podobnie jak mój ojciec i moja macocha. Wszyscy bardzo cię polubiliśmy - dodał łagodniejszym tonem.

- Devlin wcześniej czy później musi się ożenić. Dlaczego więc nie z tobą? - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Jesteś kobietą filigranowej postury, ale wielkiego ducha. Będziecie stanowić z Devlinem wyjątkowo dobraną parę.

Wirginia poderwała się na równe nogi.

- Nie będziemy! Nie zamierzam spędzić życia u boku tego człowieka. W istocie nie chcę nigdy więcej go widzieć.

Ledwo wypowiedziała te słowa, poczuła bolesny skurcz w sercu.

- Czego oczekujesz ode mnie w tej sytuacji? Mam cię tu ukrywać? Odesłać potajemnie do Ameryki? Co, według ciebie, mógłbym uczynić?

- Błagam, milordzie, żebyś mi pożyczył pieniądze na opłacenie podróży przez Atlantyk. Przysięgam, że zwrócę ci całą sumę, choć może zabrać mi to nieco czasu.

- A co poczniesz, gdy znajdziesz się w Stanach? O ile w ogóle tam dotrzesz, ponieważ to może okazać się niemożliwe ze względu na wojnę, którą toczą między sobą nasze kraje. Dokąd się udasz?

- Do „Słodkiego Derenia”...

- „Słodki Dereń” przeszedł na własność twojego stryja, który wystawił plantację na sprzedaż. I, o ile mi wiadomo, właśnie ją spieniężył, co oznacza, że nie masz dokąd wracać. Decyzja o przeprowie do Ameryki jest czystym szaleństwem, Wirginio, do którego nie przyłożę ręki.

- Odmawiasz mi pomocy? - Wirginia oniemiała.

- Muszę działać w imię twojego dobra.

- Ale tego nie robisz! Byłeś moją ostatnią nadzieją! Czemu nie możesz pojąć najprostszych rzeczy? Nie wyjdę za tego człowieka, bo po tym wszystkim, co mi zrobił, jest to nie do pomyślenia!

W tej samej chwili do pokoju wkroczył Devlin. Odrzucił połę mokrego płaszcza i skłonił się nieznacznie.

- Przykro mi, że tak myślisz, pani. Rozesłałem ludzi, by przeczesali ulice Londynu - zwrócił się do Tyrella. - Powinienem był się domyślić, że przyjdzie do ciebie. Dziękuję, że mnie zawiadomiłeś.

- Musisz odbudować wiele mostów - odparł Tyrell. - W Wirginii jest mnóstwo gniewu i trudno jej się dziwić.

- Właśnie widzę - mruknął Devlin, zerkając na Wirginię.

Do niej natomiast dotarło, że podczas gdy brała kąpiel, Tyrell pchnął pachółka z wieściami do Devlina. To ją rozsierdziło.

- Zdradziłeś mnie! - wykrzyknęła, odwracając się w stronę Tyrella. - Wierzyłam, że jesteś moim przyjacielem. Zaufałam ci!

- Jestem twoim przyjacielem - odparł ze smutną miną. - W swoim postępowaniu kierowałem się jedynie twoim jak najlepiej pojętym interesem. Sądzę... Mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz mi za to wdzięczna.

- Nie jesteś przyjacielem - wyszeptała, wciąż oszołomiona jego zdradą.

Tyrell nic na to nie odpowiedział, skłonił się i wyszedł.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Devlin podszedł do Wirginii.

- Co to za szaleństwo? Chcesz się pozbawić życia?

- Nie - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Jedynie uniknąć małżeństwa z tobą.

- Umierając na zapalenie płuc?

- Przecież nie chcesz tego związku. Odeślij mnie do domu, Devlin, a oboje będziemy na powrót wolnymi ludźmi.

- Wyraziłem zgodę na nasz związek.

- Zupełnie nie pojmuję dlaczego.

- Od dłuższego czasu gnębią mnie wyrzuty sumienia, a incydent na balu u lorda Carew w pełni mi uświadomił, jak wielką krzywdę ci wyrządziłem. Żałuję, że tak bezdusznie cię wykorzystałem, i zamierzam teraz za to zapłacić. Postąpię, jak przystało na człowieka honoru.

Odczuwał autentyczny żal, ale to niczego nie zmieniało. Zranił ją już wiele razy i zrobi to ponownie, jeżeli tylko będzie miał okazję. Głos sumienia to nie miłość.

- Matka planuje nasz ślub na dwunastego grudnia, na dwa dni przed rozpoczęciem mojej misji.

- Wyruszasz na wojnę przeciwko mojej ojczyźnie, moim rodakom. Cóż to za podstawa do małżeństwa?

- Uporamy się z tym. Nie jesteśmy jedyną parą, która z racji wojny będzie zmuszona zmagać się z problemem lojalności.

Wirginia z trudem panowała nad sobą. Miała świadomość, że przegrywa tę bitwę. Do tej pory nie udało jej się wygrać ani jednej batalii z Devlinem.

- Nie mogę cię poślubić - powtórzyła z uporem. - Ani teraz, ani w przyszłości.

Patrzył na nią nieporuszony.

- Mówię poważnie - dorzuciła nerwowo.

- Nie zawsze czułaś do mnie nienawiść - powiedział z wolna.

- Obecnie też jej nie czuję. Byłam szczerą, gdy napisałam, że nie życzę ci niczego złego pomimo tego, jak mnie potraktowałeś. Oboje wiemy, że swego czasu byłam w tobie zakochana i marzyłam, byś odpłacił mi tym samym. Nie możesz dać mi miłości, prawda?

- Nie mogę.

- No właśnie. - W jej głosie zabrzmiała gorycz. - Dlatego ja nie mogę cię poślubić. Jeżeli chcesz uspokoić świeżo rozbudzone

sumienie, po prostu odeślij mnie do domu i wreszcie zwróć mi wolność.

- To niemożliwe.

- Oczywiście, że możliwe. Jesteś potężnym, niezależnym człowiekiem. Dla ciebie nie ma rzeczy niewykonalnych.

- To niemożliwe, ponieważ nie sprzedam „Słodkiego Derenia”.

- Nie sprzedasz „Słodkiego Derenia”? Nic... nic z tego nie rozumiem.

- Usiądź - zarządził, prowadząc Wirginię w stronę fotela.

Była tak oszołomiona, że nawet nie próbowała mu się sprzeciwić.

- Kupiłem tę plantację, żeby ci ją podarować, i w ten sposób wynagrodzić zło, którego przeze mnie doświadczyłaś.

Do Wirginii wciąż nie bardzo docierały słowa Devlina. To znaczy, że teraz na dodatek on stał się właścicielem jej domu?!

- Dostaniesz ode mnie plantację w prezencie ślubnym - oznajmił.

Część trzecia

Oblubienica

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Do ślubu pozostało zaledwie kilka dni.

Wirginia jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak ubezwłasnowolniona. Miała wkrótce wyjść za mężczyznę, który jej nie kochał i jeszcze do niedawna zamierzał odesłać do Ameryki, żeby zniknęła z jego życia. To bolało. Co się zaś tyczy jego wielkodusznego gestu - zakupu plantacji z zamiarem zwrócenia jej - przedstawiałby się on całkiem inaczej, gdyby nie był podszyty szantażem. Co prawda, Wirginia nie rozmawiała na ten temat z Devlinem, zrozumiała jednak, że albo ślub i „Słodki Dereń”, albo nic. Teraz pocieszała się jedynie myślą, że za kilka dni wreszcie stanie się prawną właścicielką rodzinnego domu. Jej przyszłość rysowała się niepewnie u boku człowieka, który żył jedynie dla zemsty. Przynajmniej będzie miała gdzie się schronić, jeśli kiedykolwiek w jej życiu zaszłaby taka potrzeba.

W zaistniałej sytuacji przyjęła najbezpieczniejszy kurs: zamknęła się we własnym świecie. Wstawała późno i wczesnie kładła się spać. Namiętnie oddawała się lekturze. Próbowwała nie snuć żadnych planów, a gdy jej się to nie udawało, koncentrowała się na „Słodkim Dereniu” i myśli, że pewnego dnia jej dzieci odziedziczą

plantację. Starła się trzymać jak najdalej od Devlina, wiedząc, że kontakt z nim sprawiałby jej ból, i z tym na szczęście nie miała najmniejszych trudności, spędzał bowiem większość czasu na „Defiance”, przygotowując okręt do wyprawy lub w admiralicji na naradach wojennych. Wirginia zaczęła podejrzewać, że on także jej unikał, ponieważ idea ich małżeństwa była mu obmierzła. Zazwyczaj jadał kolacje na mieście, więc wieczorne posiłki spożywała sama w wielkiej, pustej jadalni. Kiedy zaś ich ścieżki się krzyżowały, odnosili się do siebie z dystansem i kurtuazją, co - choć było dziwaczne - wyjątkowo odpowiadało Wirginii.

Natomiast całkiem odmienny problem stanowiła Mary de Warenne. Wirginia polubiła matkę Devlina i uważała, że w innych okolicznościach mogłyby się zaprzyjaźnić. Teraz hrabina rzuciła się w wir przygotowań do ślubu i, tryskając entuzjazmem, nieustannie nachodziła Wirginię, by uzyskać jej akceptację w każdej, najdrobniejszej sprawie. Czy ślub może odbyć się w rezydencji przy Mayfair, w małej rodzinnej kaplicy? Naturalnie. Goście weselni ograniczą się do członków najbliższej rodziny, dobrze? Doskonale. Przyjęcie odbędzie się także w Harmon House. Cudownie. Na obiad weselny złożą się: łosoś, bażanty oraz sarnina, i czy podanie francuskiego szampana będzie na miejscu? Oczywiście. Do tego wszystkiego dochodziła kwestia sukni ślubnej.

Krawcowa, szyjąca kreacje dla Mary de Warenne, wprost wychodziła ze skóry. Wirginia machinalnie kiwała z aprobatą głową na widok koronek, kryształków, srebrnych nici, satyny i jedwabiu. Nie

miała pojęcia, jak będzie wyglądać suknia, i ani trochę jej to nie obchodziło. Czy nie mogli po prostu przygotować tego ślubu, zawieźć ją na miejsce o określonej porze i do tego czasu dać święty spokój?

Nie mogła jednak zachować się grubiańsko wobec Mary. I choć kosztowało ją to wiele, starała się znosić wszystko ze stoickim spokojem. Pilnie liczyła dni dzielące ją od ślubu z makabryczną fascynacją więźnia skazanego na gilotynę.

Dziewiątego grudnia Mary de Warenne zapukała do drzwi jej sypialni.

- Wirginio? Mam twoją ślubną suknię. Musisz ją zobaczyć! Mogę wejść?

- Tak, proszę. - Wirginia z rezygnacją podniosła się z fotela, który stał przy wychodzącym na rzekę oknie.

Mary weszła z wielkim pakunkiem w ramionach.

- Jest precudna. Musisz ją przymierzyć. - Podbiegła do Wirginii i pocałowała ją w policzek.

- Chyba nie powinnam jej przymierzać - powiedziała z wolna Wirginia. Bała się, że gdy włoży na siebie ślubną suknię, nie zdoła dłużej utrzymać emocji na wodzy.

- Trzeba sprawdzić, czy nie wymaga poprawek. - Mary położyła pakunek na łóżku i odwinęła brązowy papier. - Tylko popatrz, moja droga!

Uniosła masy jedwabiu i Wirginii nie wypadało nie spojrzeć. Jak zahipnotyzowana wbiła wzrok w suknię o kwadratowym dekolcie, z długimi rękawami, przetykaną srebrną nicią, pokrytą koronką

naszywaną masą skrzących się kryształków, o długim, eleganckim trenie.

- Jest rzeczywiście śliczna - szepnęła Wirginia, po raz kolejny z przerażeniem uświadamiając sobie, że za parę dni wyjdzie za mąż za człowieka, któremu jest obojętna.

- Będiesz najpiękniejszą panną młodą, jaką widziały mury Harmon House - rozpływała się Mary. - Pozwól, pomogę ci się rozebrać.

Wirginia podeszła i posłusznie odwróciła się do Mary plecami. W tej samej chwili ujrzała przez okno, że do mola dobija elegancka łódź - kilku żeglarzy już było na brzegu i uwiązywało cumy. Nigdy wcześniej nie widziała tej łodzi, ale natychmiast rozpoznała mężczyznę, który z rufy wyskoczył na deski mola, po czym przez trawnik ruszył ku domowi.

- Sean! - wykrzyknęła. Otworzyła okno na całą szerokość i zaczęła wymachiwać rękami. - Sean! Sean!

Usłyszał ją, uniósł głowę i także pomachał na powitanie.

Wirginia zbiegła ze schodów z zawrotną prędkością. Przemknęła przez salon, obojętnie mijając Devlina, rozmawiającego z kimś w bibliotece. Nawet nie wiedziała, że był w domu; to nie miało dla niej znaczenia. Otworzyła tarasowe drzwi i wypadła na zewnątrz.

Wchodzący na patio Sean uśmiechnął się radośnie.

- Jak cudownie, że przyjechałeś! - zarzuciła mu ręce na szyję.

Lekko zeszywniał, zmieszany tym wybuchem, ale Wirginia na to nie zważała. Przy Seanie czuła się bezpieczna.

- Nie spodziewałem się takiego powitania. Wirginia zdała sobie w tym momencie sprawę, że nie odwzajemnił jej uścisku i wypuściła go z objęć.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę! Sean przesunął baczny spojrzeniem po jej twarzy, a Wirginia pogłaskała go po policzku, tym razem w milczeniu.

Chwycił za jej dłoń i odsunął się o krok.

- Za chwilę pan młody zzielenieje z zazdrości.

Obejrzała się za siebie i ujrzała opadającą w oknie firankę. Ponownie zwróciła się w stronę Seana i wzruszyła ramionami.

- To wykluczone - stwierdziła.

Sean raz jeszcze przyjrzał jej się z uwagą.

- Czy u ciebie wszystko w porządku? - W jego głosie pobrzmiwała troska.

Wirginia przecząco pokręciła głową.

- Chodź. - Delikatnie dotknął jej pleców. - Przejdziemy się po ogrodzie.

Zanosilo się na deszcz, ale Wirginia natychmiast przystała na propozycję. Sean tymczasem zdjął z siebie płaszcz i zarzucił Wirginii na ramiona.

- Nie wyglądasz na szczęśliwą oblubienicę - zauważył.

- Z czego miałabym się cieszyć? Że Devlin ostatecznie postanowił się poświęcić i ratować moją zszarganą reputację?

- Dużo w tobie gniewu.

- Sean, jestem zmuszona do zawarcia małżeństwa, w którym nigdy nie będzie miłości.

- Przecież byłaś w nim zakochana, Wirginio. W Askeaton miałaś w oczach ten szczególny blask.

- Widzisz go teraz?

Ponownie obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Nie... nie widzę.

- Próbowałam uciec. Tyrell mnie zdradził i poinformował o wszystkim Devlina. On kupił „Słodki Dereń” i bez ogródek oznajmił, że jeżeli wyjdę za niego za mąż, dostanę plantację w prezencie ślubnym.

Sean zatrzymał się gwałtownie.

- Zmusił cię szantażem do małżeństwa?!

- Niezupełnie - odparła Wirginia z wahaniem. -Ale przecież gdyby chciał mi ofiarować plantację z dobroci serca, mógłby od razu wręczyć mi akt własności.

- Wirginio - odezwał się Sean po chwili milczenia -doszły mnie słuchy, że z nim zamieszkałaś i zostałaś jego kochanką. W takiej sytuacji Devlin podjął jedynie słuszną decyzję.

Ponieważ po balu u lorda Carew z własnej woli kochała się z Devlinem, nie mogła powiedzieć Seanowi o maskaradzie, którą wcześniej odgrywali.

- Nie chcę być jego żoną - powtórzyła uparcie. -Niestety, nie mam innego wyjścia.

Sean delikatnie uniósł jej brodę.

- Kiedyś byłaś w nim bardzo zakochana. Czy możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć szczerze, że już go nie kochasz?

Wirginia otworzyła usta, ale nie zdołała zaprzeczyć.

- Moje uczucia nie mają tu nic do rzeczy - oznajmiła po chwili. - Ja po prostu nie mogę znieść tej jego obojętności.

- Devlin nie jest wobec ciebie obojętny. Znam mojego brata lepiej niż ktokolwiek inny i powiem ci jedno: gdyby nie chciał cię poślubić, żadna siła nie byłaby w stanie go do tego zmusić.

Jutro miał odbyć się jej ślub.

Nadciągał świt, a Wirginia siedziała przy oknie i wpatrywała się w deszcz, przesywający granatowo-czarne niebo na podobieństwo srebrnych nici. Próbowała sobie wyobrazić, jakim byłaby człowiekiem, gdyby w dzieciństwie stała się świadkiem morderstwa dokonanego na ojcu. Niewykluczone, że zareagowałyby tak samo jak Sean.

Devlin natomiast wszystko pamiętał i od kilkunastu lat żył owładnięty żądzą dokonania zemsty na mordercy ojca. To z każdego uczyniłoby zimnego, bezdusznego człowieka, a tymczasem mężczyzna, z którym spędziła noc po balu u lorda Carew wcale nie był pozbawiony serca, tego była całkiem pewna. Może więc jednak istniała jeszcze dla nich nadzieja?

Jutro miała poślubić Devlina. Mogła uwierzyć w cud albo podjąć próbę ucieczki, która prawdopodobnie znów zakończyłaby się fiaskiem. W istocie więc wybór był żaden.

W takim razie nadszedł czas na poważną, rzeczową rozmowę. Na zawarcie rozejmu. Ich małżeństwo nie może wyglądać tak jak obecne stosunki, bo tego nie zniosą, a w każdym razie z pewnością ona tego nie zniesie.

Wiedziała, że Devlina nie ma na kanapie w przyległej bawialni. Przeszła bosą przez sypialnię i wyszła do holu w towarzystwie Arthura zachwyconego perspektywą nocnego spaceru. Wypuściła szczeniaka na taras, a sama poszła w stronę biblioteki, sanktuarium Devlina. Drzwi stały otworem, ogień buzował na kominku, a on - zgodnie z przypuszczeniami Wirginii - siedział za biurkiem i zapisywał coś na arkuszu pergaminu. Na odgłos kroków podniósł wzrok.

- Wirginia?

- Pomyślałam, że powinniśmy porozmawiać. O ile masz chwilę czasu - dodała nerwowo.

- Przeziębisz się - mruknął, obrzucając spojrzeniem jej białe stopy.

Wirginia podeszła do kominka i stanęła przed paleniskiem. Z jednodniowym zarostem na twarzy, w rozpiętej na piersi, lekko pomiętej koszuli, Devlin zdawał się tak zniewalający, że wołała na niego nie patrzeć. On jednak chwilę później stanął za jej plecami. Odwróciła się - trzymał w rękach czerwony pled.

- Czy mogę? - zapytał.

Skinęła głową, a on otulił pledem jej ramiona.

- O czym chciałabyś ze mną porozmawiać o wpół do szóstej nad ranem? - W jego głosie pobrzmiwała nuta ironii.

- O naszym małżeństwie... Rozwazałam, czy ponownie podjąć próbę ucieczki - przyznała po chwili wahania - ale ostatecznie odrzuciłam ten pomysł.

Devlin oparł się o półkę kominka.

- Mów dalej, proszę.

- W zaistniałej sytuacji musimy się zastanowić, jak ułożyć wspólne życie, żeby było one znośne dla obojga z nas.

- Rozsądna propozycja.

- Kiedyś niewiele brakowało, a zostalibyśmy przyjaciółmi. - Coraz bardziej zdenerwowana, chwyciła Devlina za rękę. - Wciąż mamy szansę na przyjaźń. Jestem tego pewna. Przez ostatnie tygodnie gniew brał nade mną górę, ale starannie przemyślałam całą sprawę i doszłam do wniosku, że moglibyśmy zacząć od nowa. Jutro nasz ślub. Czy może być lepsza podstawa do małżeństwa niż przyjaźń?

Wpatrywał się w nią w milczeniu niczym zahipnotyzowany.

- Devlinie?

- Czy to kolejny podstęp? - spytał cicho.

- W żadnym razie - zapewniła. - Nie mogę jednak wyjść za mężczyznę, z którym nie będę mogła swobodnie pożartować czy porozmawiać. Nie mogę urodzić dzieci człowiekowi, który nie będzie zabierał mnie na spacer, wybierał się na konne przejażdżki i dzielił ze mną drobnych radości. Mamy spędzić ze sobą resztę życia, Devlinie, a to niemożliwe bez przyjaznych uczuć.

Przez dłuższą chwilę rozważał jej słowa w milczeniu.

- Już raz prosiłaś mnie o przyjaźń - odezwał się w końcu - a ja cię haniebnie zawiodłem, Wirginio. To akt wielkiej odwagi z twojej strony, że zwracasz się do mnie ponownie z taką prośbą.

- Czy doprawdy żądam zbyt wiele?! - wykrzyknęła. - Mam rozumieć, że nie chcesz mieć w życiu żadnych przyjaciół? Że chcesz jedynie dzielić ze mną łożę i stół? Dla mnie to nie do zaakceptowania - rzuciła ostrzegawczo.

- A więc warunkiem naszego małżeństwa mają być wspólne rozmowy, długie spacery i konne przejażdżki po okolicy?

- Nie mogę żyć w zimnym, jałowym związku - powiedziała. - Znasz mnie już dość długo, żeby o tym wiedzieć.

- Z pewnością nie będzie on ani zimny, ani jałowy - zareplikował.

- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie - zauważyła ze spokojem.

- Tak, rzeczywiście unikam. Zdajesz się mnie postrzegać jako rozmiłowanego w sielskich rozrywkach domatora, do dyspozycji na każde twoje skinienie. Ja tymczasem jestem wojskowym. Dwa dni po naszym ślubie udaję się na wojnę, a moja misja potrwa co najmniej sześć miesięcy.

Poczuła się zdruzgotana.

- Jednak - podjął Devlin - po powrocie do domu będę zabierał cię na długie spacery i konne przejażdżki, kiedy tylko przyjdzie ci na nie ochota. A jeżeli powiesz coś zabawnego, to nawet postaram się roześmiać.

Po tych słowach zalało Wirginię uczucie ulgi.

- Dziękuję ci - wyszeptała.

Uśmiechnął się i nieznacznie potrząsnął głową.

- Nie przestajesz mnie zaskakiwać.

- To dobrze. Nie będziesz przy mnie się nudził -odparła. Czuła się uskrzydłona faktem, że ten uparty mężczyzna przystał na jej warunki, że przynajmniej postara się je wypełnić.

- Chcę, żebyś wiedziała jedno: po ślubie niczego ci nie zabraknie. Już wydałem zarządcy polecenie, że wszystkie twoje potrzeby i zachcianki mają być w lot zaspokojone, a w razie jakichkolwiek wątpliwości czy problemów zawsze będziesz mogła zwrócić się do Adare'a, Seana lub Tyrella. Nie poznałaś jeszcze Reksa i Cliffa, ale zapewniam, że są równie szlachetni, jak moi pozostali dwaj bracia.

Wirginia poczuła ukłucie w sercu. Ten związek nie zaspokoi wszystkich jej potrzeb, chyba że Sean się jednak nie mylił i Wirginia rzeczywiście zdoła rozbudzić uczucia Devlina. Nie było jednak sensu podnosić tego tematu. Jak na jeden dzień i tak dużo uzyskała.

- Dziękuję ci - powtórzyła i ruszyła w stronę drzwi, bo bosa noga miała już całkiem skostniałe od stania na kamiennej posadzce.

- Wirginio? - zatrzymał ją miękki ton jego głosu. -Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nasze małżeństwo ma szansę być udane.

Rozległy się dźwięki marsza weselnego.

Devlin miał wrażenie, że serce stanęło mu w miejscu, by chwilę później ruszyć w galopującym tempie. Ubrany w galowy mundur stał przed ołtarzem kaplicy w Harmon House, obok Seana, swojego drużby. W uroczystości brali udział tylko najbliżsi członkowie rodziny. W pierwszej ławce siedziała Mary, a obok niej Tyrell, Rex, Cliff i Eleonor, ich młodziutka siostra, która właśnie powróciła z Bath. Devlin odwrócił się i nagle odniósł wrażenie, że czas się zatrzymał.

Nawą szła Wirginia, prowadzona przez Adare'a.

Zdawała się niezmiernym zjawiskiem w białej, skrzęcej się sukni i przezroczystym welonie, upiętym na włosach gęsto przetykanych brylantami. Devlin nie był w stanie oderwać oczu od oblubienicy, a jednocześnie zdjął go paniczny strach. Nie może poddać się urokowi tej najpiękniejszej kobiety, jaką widział w życiu, nie może ulec miłości, zboczyć z dawno wytyczonej drogi.

Niespodziewanie opadły go wspomnienia: Wirginia stojąca przy relingu „Americany”, mierząca do niego z pistoletu; Wirginia w jego kabinie, dumna i wojownicza, żądająca, by wyjawiał swoje intencje; Wirginia w Askeaton, zapierająca dech w piersiach, oddająca mu swoje ciało; Wirginia zeszłego ranka w długiej nocnej koszuli, drobna niczym dziecko, prosząca o rozejm i przyjaźń.

Nie zasługiwał na tak wspaniałą kobietę. Nigdy nie będzie dla niej dość dobrym mężem. Nie mógł się wycofać! Zacisnął powieki i poczuł, że zalewa go zimny pot.

Tymczasem Wirginia stanęła u jego boku i spojrzała na niego z wyczekiwaniem. Devlin był tak oszołomiony, że nie udało mu się zdobyć na najlżejszy uśmiech. Kiwnął więc jedynie głową.

Ojciec McCarthy dał znak, oboje uklękli i rozpoczęła się msza.

Do Devlina nie docierało ani jedno słowo kapłana, ponieważ przez cały czas natrętnie powracała do niego jedna myśl. Oto los dawał mu szansę na nowe życie. Devlin znalazł się na rozdrożu. Miał teraz wybór: albo miłość i szczęście, albo zemsta i nienawiść.

Przyjęcie weselne w rodzinnym gronie urządzono w jednym z salonów Harmon House, gdzie na długim stole znajdowały się rozmaite rarytasy, wśród których królowały wspaniałe, wielopiętrowe torty. W rogu sali grał kwartet smyczkowy, a służba dyskretnie przemieszczała się z tacami zastawionymi kieliszkami pełnymi szampana.

Wirginia była tak oszołomiona wydarzeniami dnia, że całkiem odjęło jej mowę. Poza sakramentalnym „tak” od paru godzin nie wypowiedziała ani słowa. Raz po raz zerknęła na serdeczny palec lewej ręki, na którym połyskiwała gładka, złota obrączka, namacalny dowód, że naprawdę została żoną Devlina. Wirginia nie wiedziała, co przyniesie przyszłość, ale teraz już niczego nie żałowała. Modliła się jedynie w duchu, by pewnego dnia ziściły się jej najskrytsze marzenia.

Zerknęła na drugi koniec salonu, gdzie stał Devlin z wysmukłym kieliszkiem w dłoni, otoczony przez przybranych braci. Wirginia poznała Rekxa, średniego syna hrabiego, i najmłodszego Cliffa zaledwie kilka godzin przed ślubem.

Podobnie jak Tyrell, obaj byli wysocy i smagli. Rex służył w kawalerii i miał teraz na sobie czerwony galowy mundur ze złotymi epoletami, a na piersi wiele orderów. Tak jak Devlin był kapitanem i jak on miał w sobie coś onieśmielającego. Wirginii majaczyło niejasno, że w zeszłym roku Rex został ranny pod Salamanką i że służył potem na rosyjskim teatrze wojennym, z którego dopiero niedawno powrócił do kraju.

O Cliffie wiedziała jeszcze mniej. Miał ciemno-blond włosy i odznaczał się pewną zawadiacką arogancją. Obiło jej się o uszy, że posiadał kilka statków i bywał na Karaibach, stąd doszła do wniosku, że jest kimś w rodzaju kupca, chociaż wcale na kupca nie wyglądał. Miał w sobie raczej coś z pirata, w czym bardzo przypominał Devlina.

Wszyscy trzech bracia de Warenne byli niebezpiecznie przystojni - każdy na swój szczególny sposób.

Najwspanialej prezentował się Devlin-zniewalający, charyzmatyczny, władczy.

- Jest tak niewiarygodnie męski! Nie wyobrażam sobie, bym mogła mieć równie przystojnego męża.

Zdumiona Wirginia ujrzała przed sobą młodą dziewczynę, niezwykle piękną, o wysokich kościach policzkowych, bursztynowych oczach i włosach barwy miodu.

- Jestem Eleanor de Warenne - przedstawiła się panna z uśmiechem i zaprezentowała wdzięczny dyg. - Przybrana siostra Devlina.

Wirginia również dygnęła, po czym powiedziała:

- Miło mi, że się spotykamy. O ile się nie mylę, miniony sezon spędziłaś w Bath?

Eleanor potaknęła z roztargnieniem. Wirginia uważniej przyjrzała się dziewczynie, która z zarumienionymi policzkami wodziła oczami za Seanem. Nagle odwróciła twarz w stronę Wirginii.

- Denerwujesz się przed swoją nocą poślubną? - spytała bez ogródek.

Wirginię zdumiała ta obcesowość, ale odpowiedziała szczerze:

- Owszem. - Odruchowo przeniosła wzrok na Devlina.

W tej samej chwili pomiędzy nią a Eleanor pojawił się Sean.

- Widzę, że wreszcie się poznałyście. Eleanor, jeżeli ci się zdaje, że zdołasz wciągnąć Wirginię w dyskusję na temat nocy poślubnej, to jesteś w błędzie. - Jego głos był dobrotliwy, ale spojrzenie surowe. - Ona ma zaledwie szesnaście lat - zwrócił się do Wirginii - i pewne kwestie nie są odpowiednie dla jej uszu.

Uśmiech zniknął z twarzy Eleanor, a policzki się zarumieniły.

- Za trzy miesiące skończę siedemnaście lat! - wykrzyknęła zapalczywie. - Już nie jestem małą dziewczynką w mysich ogonkach, biegającą boso po łąkach, ale damą i mam wielu adoratorów. Każdy w Bath ci to powie. - Uniosła spódnice i oddaliła się pośpiesznie.

Sean westchnął i przez chwilę spoglądał za dziewczyną w zamyśleniu. Następnie podał Wirginii kieliszek z szampanem.

- Wyglądasz na zmęczoną. Czy mam przywołać Devlina?

Wirginia wahała się przez moment, po czym doszła do wniosku, że może wspólnie z Devlinem znajdą wymówkę, żeby się wymknąć.

- Tak. Będę ci bardzo wdzięczna.

Sean skłonił się i odszedł. Wirginia pociągnęła łyk szampana w nadziei, że ją ochłodzi, a tymczasem nagle twarze obecnych zaczęły rozpływać się przed oczami.

Brakowało jej tchu. Muszę usiąść, pomyślała. Zanim zdążyła zamier wprowadzić w czyn, kieliszek wysunął się z jej dłoni i upadł z hukiem na ziemię. Wirginia z niedowierzaniem wpatrywała się w kałużę jasnego, pianistego trunku, która nagle zaczęła ciemnieć i falować. Jakże to dziwne, zdecydowała i w tej samej chwili cały pokój zawirował jej przed oczami.

Zaraz zemdleję, pomyślała.

- Wirginio! - wykrzyknął Devlin.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Zdjęty paniką ukląkł przy żonie i chwycił ją za nadgarstek, żeby zbadać puls. Na szczęście był mocny i równy. A więc to nic poważnego.

Wziął Wirginię na rękę, po czym spojrział na otaczającą go rodzinę.

- Zasłabła - wyjaśnił. - To był męczący dzień. Szybko podniósł się z kolan. Wirginia zdawała się lekka jak piórko. Jej filigranowość go zdumiewała.

- Ostatnio żyła pod wielką presją - szepnęła Mary z poszarzałą twarzą. - To moja wina, nie powinnam nalegać na tak szybki ślub.

- Za nic się nie obwiniaj, moja droga. - Edward opiekuńczo otoczył ramieniem żonę.

Z bezwładną Wirginią na rękach Devlin ruszył ku drzwiom salonu, a za nim podążył zatroskany Sean.

- Czy przysłać na górę pokojówkę z solami trzeźwiącymi? - spytał.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł Devlin dość szorstko.

Zdawał sobie sprawę z tego, że uczucia brata do Wirginii nie uległy zmianie, a jednocześnie gnębiło go przeświadczenie, że jego piękna oblubienica byłaby szczęśliwsza u boku kogoś takiego jak Sean.

- Devlin! - Matka dyskretnie wsunęła buteleczkę z solami do kieszeni jego fraka. - Wirginia ostatnio bardzo mało jadła. Potrzeba jej wypoczynku i pożywnej posiłku.

Devlin skinął głową i stanowczym krokiem wyszedł z salonu.

Szybko wbiegł po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz i wpadł do sypialni udekorowanej bukietami róż. Położył Wirginię na łóżku i podsunął jej pod nos sole. Zatchnęła się i natychmiast otworzyła oczy.

Przez chwilę wpatrywała się w niego nieruchomo, po czym zaczęła się podnosić. Stanowczo przytrzymał ją za ramiona, nie pozwalając wstać.

- Nie ruszaj się przez moment - powiedział łagodnym tonem, ogarnięty nieznaną mu dotąd czułością. - Dopiero co ocknęłaś się z omdlenia.

- Przepraszam. Nigdy nie mdleję.

- Wszystkie kobiety mdleją od czasu do czasu.

- Ale nie ja... aż do tej pory. Devlin delikatnie dotknął jej twarzy.

- To był dla ciebie trudny dzień, zdaję sobie z tego sprawę.

Wirginio...

- Tak?

Przez głowę przebiegało mu mnóstwo myśli, które jednak nie układały się w żaden logiczny ciąg. Wiedział jedynie, że bardzo chciałby coś powiedzieć Wirginii, podzielić się z nią tym do tej pory nieznanym mu uczuciem.

- Postaram się być dla ciebie dobrym mężem. Oczy jej rozblęły.

- Nie mogłabym prosić o więcej - powiedziała. Była tak niewiarygodnie piękna, tak wyjątkowa i teraz należała do niego. Wpatrywał się w jej oczy, póki ich usta nie złączyły się w namiętym pocałunku.

Ogarnęła go niepoohamowana żądza i potrzeba jej rozładowania - teraz, natychmiast.

Potrzebował ogromnego wysiłku woli, żeby oderwać się od Wirginii.

- Musisz wypocząć - powiedział i zaczął podnosić się z łóżka.

Chwyciła go za ramię ze zdumiewającą siłą.

- Nie!

- Niedawno zasłaś.

Miała zarumienione policzki i mocno rozszerzone źrenice.

- Nic mi nie jest.

- Przed nami całe życie...

Złapała go za ramiona i przycisnęła usta do jego warg. Gdy nie chciał ich rozchylić, delikatnie go ugryzła. W tym momencie Devlin zupełnie przestał nad sobą panować. Ogarnęło go szaleństwo - pożądanie pomieszane z triumfem i jeszcze innym, dotąd nieznanym mu uczuciem, które narastało, anektowało jego ciało i duszę.

Wirginia chwyciła go gorączkowo za ramiona i wydawała ciche jęki. Jakimś cudem udało mu się wymacać małe guziczki sukni na jej plecach.

- Pospiesz się! - wykrzyknęła.

Nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Ściągnął z niej suknię, gorset, falbaniaste majtki, po czym zerwał się z łóżka i zaczął pospiesznie zrzucać z siebie ubranie, wpatrując się w swoją piękną oblubienicę.

Kiedy był nagi, wyciągnęła ku niemu ramiona. Delikatnie pchnął ją na poduszki i rozwarł jej nogi.

- Patrz na mnie - szepnął i wszedł w nią powoli. Jęknęła, ale cały czas spoglądała mu prosto w oczy, a im głębiej w nią wchodził, tym większa rozkosz malowała się na jej twarzy. Potem ruszył najpierw wolno, potem coraz szybciej. Wirginia cudownie dostosowała się do rytmu, a Devlin napierał coraz mocniej i gwałtowniej, całując ją po policzkach, skroniach, powiekach. W pewnym momencie rozwarła szeroko oczy i wykrzyknęła: - Ja wciąż cię kocham!

Devlin nie wierzył własnym uszom. Natarł jak szalony i z jego ust wyrwał się jęk spełnienia, podczas gdy w uszach wciąż dźwięczały mu słowa: „Ja wciąż cię kocham!”.

Devlin, ubrany w mundur, siedział przy dogasającym kominku i wpatrywał się w żonę. Leżała pogrążona w głębokim śnie, a na jej ustach błąkał się uśmiech. Kochali się przez dwie noce, a także w ciągu przedzielającego je dnia, a on wciąż nie mógł się nią nasycić.

Był czternasty grudnia. Za pięćdziesiąt osiem minut Devlin miał wyruszyć ku brzegom Ameryki. Problem w tym, że nie chciał zostawiać Wirginii. Nie chciał wypływać w morze.

Nie chciał wypływać w morze?!

Zerwał się gwałtownie z fotela. Cóż za nonsensowna myśl! Przecież jest oficerem marynarki, bitwy i wojna na morzu to jego żywioł.

Wirginia cicho westchnęła.

Będzie tęsknił, już zaczął do niej tęsknić, chociaż jeszcze nie wyszedł za próg. Co go nagle opętało? Właśnie wyruszał na wojnę. Owszem, jest żonatym człowiekiem, ale nie może dopuścić do tego żeby jakakolwiek kobieta wpływała na jego wybory. Uczucia, które ogarnęły go po ślubie - tkliwość, łagodność - nie były dla niego. Podobnie jak miłość. Gdy tylko podniesie żagle, poczuje wiatr na twarzy, a pod stopami deski pokładu „Defiance”, przestanie zachowywać się jak romantyczny głupiec i ani przez moment nie zatęskni do Wirginii.

Co oznaczało, że najwyższy czas się zbierać - zanim te idiotyczne rojenia pozbawią go hartu ducha. Problem w tym, że tak trudno odejść. Pomyślał o tych wszystkich krwawych bitwach, których był uczestnikiem i ogarnęło go znużenie.

Podszedł do łóżka. Chociaż pokusa była wielka, nie zamierzał budzić Wirginii. Naciągnął tylko kołdrę na jej nagie ramiona. Ta kobieta jest jego żoną. Bez względu na to, co sobie powtarzał, małżeństwo mogło wszystko zmienić. Devlin przyglądał się śpiącej Wirginii i ze zdumieniem skonstatował, że wbrew wszelkiej logice nie chce jej zostawiać.

Dlatego musi natychmiast ruszać w drogę. Odwrócił się i stanowczym krokiem wyszedł z sypialni.

Wirginii się śniło, że Devlin ją opuścił.

Leżała w ciepłym łóżku szczęśliwa i kochana; a już chwilę później lodowaty podmuch przeszywał ją do szpiku kości. Nie była teraz w przytulnym pokoju, ale stała na piaszczystym brzegu morza i patrzyła, jak „Defiance” odpływa w dal.

Zdjęta paniką, zaczęła krzyczeć.

Kiedy otworzyła oczy, okazało się, że siedzi naga na łóżku. Dotarło do niej, że straszna wizja była jedynie senną marą i zalała ją fala ulgi.

- Devlin?

Nie było go w sypialni. Niepokój znowu powrócił. Wirginia odrzuciła kołdrę i wstała, drżąc z zimna ciągnącego od podłogi. Zegar z brązu stojący na kominku wskazywał wpół do szóstej.

Nagle zdała sobie sprawę, że to dzień, w którym

Devlin miał wyruszyć w morze. To przecież niemożliwe, żeby wyjechał bez pożegnania! Wirginia ściągnęła koc z łóżka, zarzuciła go sobie na ramiona i wpadła do sąsiedniej bawialni. Jednak nikogo tam nie zastała. Przełęczona nie na żarty pobiegła do pokoju kąpielowego po peniuar. Kiedy zawiązywała pasek, zauważyła miskę z mydlaną wodą i mokry pędzel Devlina, stojący na marmurowej toaletce.

Doskoczyła do szafy i zaczęła szybko się ubierać. Chwyciła pończochy i buty, po czym bosą zbiegła na dół. Holem przechodziła jedna z pokojówek.

- Rosemary! Gdzie jest kapitan? Służąca zdawała się zaskoczona pytaniem.

- Wyszedł jakieś dziesięć minut temu, proszę pani. Wirginia nie wierzyła własnym uszom. Wyszedł?

Zniknął bez słowa? Dlaczego się nie pożegnał?

- Potrzebny mi powóz - zarządziła.

Pokojówka pomknęła korytarzem, a Wirginia usiadła na krześle i zaczęła pospiesznie wciągać pończochy i buty.

Opadły ją wspomnienia. Cichy śmiech Devlina, sposób, w jaki na nią patrzył i nazywał swoją „maleńką” i „ukochaną”. Iskierki rozbawienia w jego oczach i ogień pożądania. Najintymniejsze chwile, gdy kochał się z nią gwałtownie i zachłannie lub delikatnie i niespiesznie. Zasypianie i budzenie się w jego ramionach. Deklaracja, że postara się być dla niej dobrym mężem.

Otarła łzy. Czemu jej nie obudził?

Powróciło jeszcze jedno, tym razem bolesne wspomnienie: owego poranka, gdy po nocy pełnej miłości Devlin zmienił się na powrót w zimnego, obojętnego człowieka. Nie mogła znieść myśli, że znów zamknie się w skorupie, w której tkwił tak długo. Musiała go odnaleźć. Zobaczyć raz jeszcze jego ciepły, pełen czułości uśmiech, który utwierdzi ją w przekonaniu, że dni burz mają za sobą i teraz czeka ich jedynie jasna przyszłość.

Bez tego nie zdoła przetrwać kolejnych sześciu miesięcy.

Pół godziny później mknęła w powozie przez port, mijając żurawie, załadowane węglem wagony, olbrzymie skrzynie pełne towarów. Pojazd zatrzymał się na kei i Wirginia wyskoczyła na nabrzeże.

Wśród zakotwiczonych statków nie było fregaty Devlina. Wirginia uniosła dłoń do oczu, by osłonić je przed wschodzącym słońcem, i spojrzała poza dok.

Sto jardów od brzegu jakże dobrze jej znana sylweta „Defiance” powoli wypływała z kanału, kierując się ku otwartemu morzu, a stojącej na mostku, wysokiej, dumnej postaci nie można było pomylić z nikiem innym.

Unosząc spódnicę, Wirginia podbiegła do skraju kei.

- Devlin! Devlin! - krzyczała na całe gardło. Fregata była teraz zbyt daleko, żeby ktokolwiek znajdujący się na pokładzie mógł usłyszeć jej wołanie. Załoga rozwijała groty, które po chwili wydał wiatr. Okręt nabierał prędkości, coraz szybciej mknął ku linii horyzontu.

Wirginia wbijała w niego wzrok dopóty, dopóki całkiem nie zniknął jej z oczu.

Na początku wyprawy Devlin miał zwyczaj patrzeć przed siebie, pilnie lustrować horyzont, a tymczasem zdjęła go pokusa, żeby obejrzeć się na oddalające nabrzeże, jakby dzięki temu mógł jeszcze raz zobaczyć swoją oblubienicę.

- Doskonały dzień na żeglugę, kapitanie – zauważył trzymający ster Red i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając pożółkłe, poznaczone ciemnymi plamami zęby.

- W rzeczy samej - mruknął Devlin.

Świeża, wiejąca z prędkością dziewiętnastu węzłów bryza, spieniała grzywy morskich fal. Jak dobrze pójdzie, pokonają dzisiaj

spory dystans. Devlin był tak długo na lądzie, że ta wyprawa powinna przejąć go dreszczem podniecenia i radości. Tymczasem niczego takiego nie odczuwał. Westchnął ciężko i w końcu obejrzał się do tyłu.

I wówczas na dolnym pokładzie dojrzał nienaturalny rozbłysk światła, jakby słońce odbiło się niespodziewanie od metalu. Spojrzał uważniej: jeden z marynarzy mierzył do niego z muszkietu.

Czas się zatrzymał. Devlin nie miał wątpliwości, że to zamach i że tym razem nie zdoła ująć z życiem. Odruchowo dał nura w bok, chociaż wiedział, że to bezcelowe. A więc jednak przegra walkę ze swoim śmiertelnym wrogiem; był pewien, że to Eastleigh nasłał skrytobójcę.

W chwili, gdy rozległ się huk wystrzału, fregatą rzucił nagły podmuch wiatru. Devlin, sunąc po deskach w poprzek mostku, poczuł piekący ból w ramieniu.

Zdjął go straszliwy gniew. Zamachowiec spudłował, ale tylko dzięki niespodziewanemu szkwałowi. Wciąż leżąc na pokładzie, Devlin wyciągnął pistolet i wykrzyknął:

- Pojmać go!

Przeturlał się na bok, szybko załadował broń, zerkając w stronę, gdzie spodziewał się dojrzeć napastnika. Nie pomylił się. Mężczyzna gorączkowo ponownie nabijał muszkiet. Z przeciwnej strony Gus, wraz z grupą innych marynarzy, szarżował na zamachowca. Devlin przyklęknął, zabójca wycelował i obaj wystrzelili niemal jednocześnie.

Kula ugodziła skrytobójcę w nogę. Mężczyzna wrzasnął i padł na deski. Devlin odrzucił pistolet, wyciągnął szpadę i zeskoczył z mostka.

- Pochwycić go żywcem! - zawołał, gdy do zamachowca dopadł Gus i zdzielił go lagą po głowie.

Po chwili na wpół ogłuszony mężczyzna klęczał na pokładzie ze skrepowanymi rękami i obficie krwawił. Devlin stanął nad nim, kipiąc z furii.

- Kapitanie? Jak ciężko jest pan ranny? - zaniepokoił się Gus.

- To tylko draśnięcie - warknął, po czym kopnął zamachowca w szczękę.

Niedoszły zabójca padł na deski i spojrzał na niego z panicznym przerażeniem w oczach.

- Łaski, sir! Zrobiłem jedynie to, co mi polecono! Za co mi zapłacono! Zlituj się nade mną, błagam, mam żonę, trzech synów, wszyscy głodują, błagam...

Devlin z całej siły nadepnął na jego pierś. Rozległ się trzask żeber. Mężczyzna wrzasnął.

- Kto ci to zlecił?

- Nie wiem. Nie wyjawiał nazwiska. Proszę poczekać, sir...

Devlin nadepnął raz jeszcze.

- Proponuję, żebyś starannie rozważył swoją sytuację - powiedział zimno.

- Nie wyjawiał nazwiska - wydyszał mężczyzna. -Chwileczkę!

Devlin mocniej docisnął stopę do jego piersi.

- Ale wiem, kto to był! Arystokrata, sir, arystokrata... Widziałem na powozie jego herb. Kiedy odjechał, popytałem tu i ówdzie!

- No i?

- Eastleigh. To był lord Eastleigh, sir. Błagam, oszczędź mnie, daruj życie!

Devlin przez chwilę rozważał prośbę o łaskę.

- Wrzucić go do ciemnicy - rozkazał w końcu -i niech medyk go opatrzy.

- Tak jest, kapitanie! - wykrzyknął Gus. Devlin odwrócił się i wszedł z powrotem na mostek.

W głębi duszy był wstrząśnięty i wściekły na samego siebie. Wzdychał do swojej wybranki jak sztubak, trawił czas na bezsensowne rojenia o miłości, tracił czujność, zapominając o rozprawie ze śmiertelnym wrogiem. Niewiele brakowało, a za głupotę zapłaciłby życiem.

Brutalny akt, który przypomniał mu o powinnościach, nastąpił w samą porę. Owszem, był teraz żonatym człowiekiem, ale to niczego nie zmieniało.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Pani O'Neill? - dał się słyszeć głos Hanny. -Przybyła lady de WARENNE. Czeka na dole.

Po powrocie z portu Wirginia natychmiast zamknęła się w swoich pokojach. Zdjęta smutkiem, przygnębiona, położyła się do łóżka, tłumacząc sobie, że sześć miesięcy to nie wieczność. Mimo to nie mogła uwolnić się od strachu. A jeżeli Devlin zostanie ranny lub przytrafi mu się jeszcze coś gorszego? Przecież płynął ku wybrzeżom jej kraju, żeby walczyć. Na szczęście szybko zmoгло ją zmęczenie i Wirginia zasnęła.

Wstała za ledwie przed godziną, nieco uspokojona. Szybko wykąpała się i ubrała, żeby zejść na dół i w samotności zjeść kolację. Wieść o wizycie teściowej szczerze ją ucieszyła. Bez Devlina Waverly Hall zdawał się przeraźliwie pusty.

Mary siedziała w jednym z saloników i popijała herbatę. Gdy Wirginia stanęła w progu, obrzuciła synową bacznym spojrzeniem.

W tym momencie tama pękła i łzy potoczyły się po policzkach Wirginii.

- Wielkie nieba - szepnęła Mary i pospieszyła ku dziewczynie. - Co się stało, moje dziecko?

- Proszę mi wybaczyć, bardzo mi przykro. - Wirginia odwróciła głowę.

Mary serdecznie objęła synową.

- Byłam pewna, że zastanę cię radosną i szczęśliwą. Nie mów, proszę, że Devlin znowu cię czymś zranił.

- Nie zrobił nic złego... To znaczy wyszedł dzisiaj rano bez pożegnania i dlatego jestem taka przygnębiona. Tęsknię do niego, lady Adare, ogromnie tęsknię i nie wiem, jak zdołam przetrwać te sześć miesięcy.

Obie kobiety przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. W końcu Wirginia otarła łzy.

- Zachowuję się nedorzecznie. Przepraszam. Mary ujęła w dłoń jej twarz.

- W twoim zachowaniu nie ma nic nedorzecznego, moja droga. Jesteś po prostu zakochana, co mnie niepomiernie cieszy.

- Rzeczywiście, milady, jestem zakochana, i to jeszcze bardziej niż przedtem.

Mary uśmiechnęła się.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków z pośpiesznego odjazdu Devlina. Mężczyźni czasami postępują głupio. Nie chciał cię budzić o świcie lub kierował się równie nonsensownym powodem. Choć zapewne nigdy się nie dowiemy, czemu tak się zachował. Cóż, Devlin nie ma romantycznego usposobienia, ale jednego jestem pewna: mój syn cię kocha.

- Naprawdę?

- Podczas ceremonii ślubnej nie mógł oderwać od ciebie oczu. Był tobą zafascynowany. Nigdy nie widziałam go w takim stanie.

Wirginii natychmiast poprawił się nastrój.

- Rzeczywiście, chyba zaczął żywić do mnie trochę ciepłych uczuć - przyznała. - Jak jednak zdołam przetrwać te sześć miesięcy?

- Bez najmniejszego problemu - odparła Mary. - Nie będziesz tkwić sama w tym wielkim domu, ale wprowadzisz się do Harmon House. Rex wyrusza w kolejną misję dopiero po Nowym Roku, a i Cliff zostaje w Londynie na zimę. Jest jeszcze Eleanor. To teraz twoja siostra, powinnyście lepiej się poznać, zanim wróci do Hinckleyów, do Bath. - Mary uśmiechnęła się promiennie. - Nie będzie więc aż tak źle.

W odruchu wdzięczności Wirginia ścisnęła hrabinę za rękę.

- Dziękuję za serdeczność, milady. Czy mogę być z panią szczerą?

- Naturalnie.

- Czuję się, jakbym naprawdę była pani córką. Mary przycisnęła Wirginię do piersi.

- Jesteś nią, moja droga.

- Zdaje się, że mamy gości - powiedziała Mary, gdy weszły do wielkiego holu Harmon House. Z przyległego salonu dochodziły kobiece śmiechy i chichoty. - Od czasu powrotu Reksa i Cliffa przez nasz dom przewija się wiele młodych kobiet. - Mary posłała Wirginii znaczące spojrzenie. - Żaden z moich synów nie jest z nikim po słowie, a każdy z nich dysponuje pokaźną fortuną. Niestety, obaj są niespokojnymi duchami i niemożliwymi flirciarzami, więc nie traktują tych kobiet poważnie, a szczególnie dla Cliffa są jedynie źródłem rozrywki.

Wirginia zerknęła do salonu, tego samego, w którym odbywało się jej ślubne przyjęcie. Śniady, czarnowłosy, niezwykle przystojny w galowym mundurze kawalerzysty Rex stał ze znudzoną miną, w dość nonszalanckiej pozie, naprzeciw pulchnej blondynki, raczącej go jakąś opowiastką. Ciemnymi oczami co i rusz wodził po pokoju, aż w końcu jego wzrok padł na drzwi, gdzie przystanęły Wirginia i Mary. Twarz mu natychmiast pojaśniała, a na ustach pojawił się uśmiech.

Ten mężczyzna z pewnością złamał wiele niewieścich serc, pomyślała Wirginia. Odpowiedziała Reksowi uśmiechem, po czym zerknęła na Cliffa. On z pewnością się nie nudził, o nie. Piękna brunetka, zdecydowanie starsza od trzech pozostałych kobiet, stała z nim w rogu salonu i upierścienioną dłonią co chwila dotykała jego ramienia. Cliff nachylał się i szeptał jej coś do ucha, niewątpliwie prowadząc gorący flirt. Chociaż najmłodszy z braci, był jednocześnie z nich wszystkich najbardziej cyniczny, sprawiający wrażenie człowieka całkowicie pozbawionego złudzeń. Kiedy zdał sobie sprawę z obecności Mary, wyprostował się powoli i leniwie postąpił krok w tył, by znaleźć się w bardziej stosownej odległości od brunetki.

- To lady Arlette. - Mary poinformowała Wirginię przyciszonym głosem. - Wdowa. Nie jest odpowiednią partią dla żadnego z moich synów.

- Ośmielę się zauważyć, że Cliff jest nią zauroczony.

- Jest zauroczony jej dekoltem i skłonnością do nawiązywania dyskretnych romansów.

Wirginia ze zdumieniem spojrzała na Mary. Do tej pory nie słyszała, żeby lady Adare wypowiedziała pod czyimkolwiek adresem niepochlebne słowa.

W tej samej chwili podszedł do nich Rex i uklonił się szarmancko.

- Cudna bratowa przybywa na odsiecz. - Uśmiechnął się ciepło. - Czy mam rozumieć, że mojego niegodziwego, lekkomyślnego brata znowu pognało na morze?

- Owszem, twój szlachetny, sumienny brat rzeczywiście wypłynął w rejs.

- Jakże mógł tak szybko opuścić piękną oblubienicę? - zapytał, posyłając jej długie spojrzenie spod rzęs.

Czyżby ośmielał się z nią flirtować?

- Jestem przekonana, że przyszło mu to z największą trudnością, milordzie.

Rex ujął Wirginię pod ramię, po czym szepnął:

- Ratuj mnie, siostrzyczko. Oszaleję, jeżeli będę musiał wysłuchać kolejnej paplaniny spragnionej szybkiego ożenku pannicy, wynoszącej pod niebiosa moje ordery i zasługi.

Wirginia zerknęła na męską, przystojną twarz Reksa. W jego oczach dostrzegła aż nazbyt dobrze jej znany, mroczny wyraz.

- Zechcesz się ze mną przejść po ogrodach? - zaproponowała. - Wprost marzę o spacerze.

Ciekawe, czemu tak go mierzily umizgi kobiet i jakie ponure duchy go prześladowały. Mrugnął szelmowsko.

- Z największą ochotą.

Nachylił się i ucałował Mary w policzek.

- Zabieram Wirginię na spacer. Myślę, że wkrótce powinnaś ruszyć Cliffowi na ratunek.

Kiedy wyszli na taras, Rex wyraźnie się odprężył.

- Większość mężczyzn byłaby zachwycona takim powodem u kobiet.

- Ja nie jestem taki jak większość - odparł z lekkim uśmiechem.

- Zdaje się, że to cecha wszystkich mężczyzn w tej rodzinie.

Zeszli z tarasu na kamienną ścieżkę, przecinającą pokryte szronem trawniki.

- Dziękuję za komplement. Jak się czujesz w roli zamężnej kobiety?

- Jestem tą samą osobą, a jednocześnie kimś zupełnie innym... Chyba moje słowa nie brzmią zbyt sensownie.

- Doskonale wiem, co masz na myśli. Wiesz, Wirginio, nigdy bym nie przypuszczał, że Devlin ożeni się z kobietą twojego pokroju.

- Czy to ma być obelga?

- Nie. Komplement. Byłem pewien, że wybierze na żonę którąś z nieprzyzwoicie bogatych dziedziczek. Potraktuje małżeństwo jako czysto handlową transakcję. A tymczasem stracił głowę dla filigranowej Amerykanki, sieroty bez majątku, która na dodatek próbowała go zgładzić strzałem z pistoletu.

- Skąd o tym wiesz?

- Pewnego dnia zaciągnęliśmy go do klubu. Przecież nie mógł się ożenić, nie wyprawiwszy wcześniej wieczoru kawalerskiego. Jak go przycisnęliśmy do muru, stał się całkiem rozmowny. Interesujący początek znajomości, który, jak widać, okazał się dla was szczęśliwy.

- Znienawidziłam go od pierwszego wejrzenia -wyznała Wirginia szeptem.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Chcesz usłyszeć szczerą prawdę?

- Jeżeli masz odwagę ją wyjawić...

- Tak bardzo się bałam, że byłam jak odrętwiła. Nic nie czułam, strach mącił mi myśli, ale gdy tylko ujrzałam Devlina, jedno wiedziałam na pewno, już nigdy w życiu nie poznam drugiego takiego mężczyzny.

- Miło mi to słyszeć - odparł Rex z uśmiechem.

W Harmon House znajdowały się dwie jadalnie. W mniejszej z nich, o ścianach pokrytych złotą tapetą, gdzie stał długi stół, nad którym wisiał potężny kandelabr, rodzina zebrała się na kolację. U szczytów stołu zasiadali Mary i Edward, Wirginii zaś przypadło miejsce pomiędzy Cliffem i Tyrellem, naprzeciwko Eleanor, Reksa i Seana. Rozmowy toczyły się swobodnie: Eleanor, wychylając się zza Seana, konwersowała z matką; Tyrell i Edward dyskutowali na temat rent dzierżawnych; Cliff i Rex omawiali stan finansów Napoleona. Wirginia siedziała w milczeniu i uśmiechała się. Devlin miał cudowną rodzinę, czuła się wspaniale.

Nagle zwróciła się do niej Eleanor:

- Podobno spędziłaś sporo czasu w Askeaton. Czy podobały ci się nasze rodzinne strony? Według mnie to najpiękniejsze miejsce w Irlandii.

Wirginia odłożyła widelec.

- Zgadzam się - powiedziała. - Askeaton jest cudowne.

- Równie przyjemne jak twoja plantacja w Wirginii?

- Tak. - Wirginia poczuła ukłucie nostalgii. - „Słodki Dereń” jest wyjątkowo urokliwy, ale tereny jeździeckie są o wiele lepsze w Askeaton. - Uśmiechnęła się do Seana, przypominając sobie ich wspólne konne wyprawy po okolicy.

Eleanor posłała jej uważne spojrzenie.

- No tak... zapomniałam, że kiedy nie było Devlina, Sean dotrzymywał ci towarzystwa.

Wirginia poczuła się nieswojo, nie wiedziała, jak zareagować. Sean natomiast skwapliwie nachylił się nad talerzem.

- Od lat nie jeździłem konno po Askeaton - wtrącił nonszalanckim tonem Cliff, ratując Wirginię z niewygodnej sytuacji. - Sean trzyma w stajniach kilka doskonałych wierzchowców, prawda?

- Owszem. W Askeaton są wspaniałe konie. A szczególnie słodka jest Bayberry. - Wirginia uśmiechnęła się na wspomnienie łagodnej, dzielnej klaczki.

Sean w końcu podniósł wzrok znad talerza.

- Jest twoja - powiedział nieoczekiwanie. - Proszę, przyjmij ją ode mnie w prezencie ślubnym.

Wirginia zaniemówiła ze wzruszenia, natomiast Eleanor z niedowierzaniem spojrzała na Seana.

- Przecież sam wykarmiłeś Bayberry z butelki! A teraz oddajesz ją Wirginii?!

- Wirginia kocha tego konia - odparł ze spokojem. Eleanor poderwała się od stołu.

- Wybaczcie, proszę, ale dopadła mnie migrena -oznajmiła, po czym wybiegła z jadalni.

Wirginia nie wierzyła własnym oczom. Co to miało znaczyć?

Sean westchnął.

- Zapomniałem, że Eleanor była przy narodzinach tej klaczy. Pomogła mi ją sprowadzić na świat. - Podniósł się z chmurną miną. - Przepraszam - mruknął i także wyszedł.

Edward zdawał się całkowicie zdezorientowany.

- Mary, co tu się dzieje? Dlaczego Eleanor jest taka przybita?

Mary uśmiechnęła się nieznacznie.

- Myślę, że twoja córka staje się kobietą.

- Życie jest pełne niespodzianek - wtrącił Tyrell w zamyśleniu. - Eleanor drażniła się z Seanem od dnia, gdy nauczyła się chodzić. Jej ulubioną zabawą była „zasadzka”; dopadała Seana w najmniej oczekiwanych miejscach, po czym obrzucała kamykami i patykami. - Tyrell pokiwał głową z uśmiechem.

- A teraz jest zazdrosna o Wirginię - dodał Rex i uniósł kieliszek.

Wirginia zaczęła protestować.

- Sean powinien wreszcie jej pokazać, jak całuje prawdziwy mężczyzna - oznajmił ze spokojem Cliff. - To rozwiąże problem... i przy okazji stworzy kilka nowych. - Odchylił się na oparcie krzesła i wybuchnął śmiechem.

- Dość tego! - wykrzyknęła Mary de Warenne. -Benson, główne danie proszę.

Dni upływały powoli, ale nie nudno. Wczesnym rankiem Wirginia jeździła konno z którymś z braci, chociaż nigdy z Seanem. Po południu wraz z Mary i Eleanor chodziła na proszone herbatki lub zostawała w domu, by ratować Rekxa przed rozlicznymi kobietami, składającymi wizyty jemu i Cliffowi. Wszyscy wiedzieli, że Cliff wdał się w gorący romans z owdowiałą lady Arlette, ponieważ żadne z tych dwojga nie dbało szczególnie o dyskrecję. Cliff, podobnie jak Devlin, w najmniejszym stopniu nie przejmował się swoją reputacją. Wieczory spędzali w gronie rodzinnym lub na przyjęciach, fetach charytatywnych czy balach. Potężna rodzina de Warenne na nowo wprowadziła Wirginię do towarzystwa i wkrótce stała się ona podziwianą ulubienicą elity. Tylko raz w tym czasie natknęła się na Williama Hughesa z małżonką; skończyło się na suchym powitaniu.

Spotkała natomiast innych de Warenne'ów i poznała historię rodu. Protoplasta walczył u boku Wilhelma Zdobywcy i chociaż był Normanem bez ziemi, poślubił bogatą saksońską dziedziczkę i w końcu otrzymał tytuł. Jeden z jego potomków wyruszył do Irlandii w pogoni za nowymi ziemiami i tytułami, i w ten sposób narodziła się irlandzka gałąź Adare'ów. Pierwotna, northumberlandzka gałąź

zyskała takie znaczenie, że stała się solą w oku angielskich królów, a w rozgrywkach z władcami przed wiekami utraciła ziemie i tytuły. Kilku de Warenne'ów zostało bogatymi kupcami; niektórzy zdołali odzyskać resztki dawnych posiadłości; jeszcze inni wyemigrowali do Ameryki, żeby tam szukać fortuny. Okazało się więc, że Wirginia weszła w niezwykle interesującą rodzinę.

Pomimo wielu rozrywek nieustannie tęskniła za Devlinem, od którego nie miała żadnych wiadomości. Pilnie śledziła doniesienia wojenne, świadoma, że każda wieść jest spóźniona o parę miesięcy. Największe poruszenie wzbudziła informacja o pokonaniu amerykańskiej jednostki USS „Vixen” przez HMS „Southampton” i przez tydzień wszyscy Brytyjczycy świętowali zwycięstwo. Wirginia nie była w stanie podzielać ich entuzjazmu, wciąż stojąc wobec konfliktu lojalności.

- Zabiję go własnymi rękami, jeżeli do ciebie nie napisze - oznajmił Sean pod koniec stycznia.

- Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób kapitan okrętu mógłby przesłać z morza list - odparła Wirginia.

Rzeczywiście, choć krótka notka od Devlina pomogłaby jej przetrwać rozstanie. Cały czas liczyła dni, jakie dzieliły ją od połowy czerwca, zapowiedzianego terminu powrotu.

- Okręty marynarki bez przerwy kursują pomiędzy Anglią a Ameryką z zaopatrzeniem - poinformował ją Sean. - Odległość nie jest żadnym usprawiedliwieniem.

- On walczy na wojnie.

Sean uśmiechnął się blado, po czym powiedział:

- Wracam do Askeaton, już i tak zbyt długo tu zabawiłem.

Pozostawiam cię w dobrych rękach, Wirginio. Wszyscy cię szczerze pokochali.

- Ja też pokochałam twoją rodzinę, Sean. Dajecie mi poczucie, że jestem jedną z was.

- Tak jest w istocie - stwierdził stanowczo. - Jeżeli miałabyś jakiegokolwiek problemy, zawsze możesz bez wahania zwrócić się do każdego z nas o pomoc. Ja niezwłocznie stawię się na wezwanie, podobnie jak Tyrell, Rex czy Cliff.

- Dziękuję, wiem - odparła szczerze.

Chociaż Rex, a w szczególności Cliff, nieco ją onieśmielali, nie miała wątpliwości, że w razie potrzeby broniliby jej honoru.

- Zaprzyjaźniłaś się z Eleanor - powiedział po chwili wahania Sean. - Cieszę się. Ona jest taka młoda...

- Naturalnie, że się zaprzyjaźniłyśmy. Przecież teraz jesteśmy siostrami. Niemniej, ilekroć na mnie patrzysz, Eleanor śledzi nas jastrzębim wzrokiem.

Zdumiony, wykrzywił usta w grymasie.

- Co takiego? Chyba ci się zdaje. - Nachylił się i pocałował Wirginię w policzek. - Obiecuj mi, że jeżeli czegokolwiek będziesz potrzebować, natychmiast dasz znać komuś z rodziny. Nikomu z nas nie zabraknie odwagi ani lojalności.

- Mam nadzieję, że nie będę musiała wzywać na pomoc kawalerii de WARENNE'OW.

Sean wybuchnął śmiechem. Wtedy Wirginia zrozumiała, że jego serce jest już uleczone, co bardzo ją ucieszyło.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

1 stycznia 1813

Droga Wirginio!

Nadszedł nowy rok. Mam nadzieję, że zastał cię w dobrym zdrowiu i nastroju. Jak Ci upływa czas w Waverly Hall? Zapewne do tej pory zaprzyjaźniłaś się z moją matką i nie zawahasz się zwrócić do rodziny, gdyby na czymkolwiek Ci zbywało. Jaką pogodę macie tej zimy w Anglii? Podczas przeprawy przez Atlantyk panowały siarczyste mrozy, ale tego należało się spodziewać o tej porze roku. Teraz zbliżamy się do wybrzeży New Jersey i jak do tej pory nie byliśmy zaangażowani w działania wojenne. Zawróciliśmy do Stanów jeden amerykański statek handlowy, „Southern Belle”, a także przechwyciliśmy francuski statek kaper-ski, który eskortowaliśmy do Nowej Fundlandii. Moi ludzie są w dobrych nastrojach, chociaż nieco znudzeni, ponieważ nie przywykli do takiej bezczynności. Dlatego aż palą się do walki. Mam nowego lekarza okrętowego, Paula White'a, erudytę o dużym poczuciu humoru, którego zapewne byś polubiła. Gra on również na skrzypcach, czym zapewnia załodze parę godzin rozrywki dziennie.

Proszę, przekaż pozdrowienia mojej rodzinie. Życzę ci szczęśliwego Nowego Roku.

Szczerze oddany Devlin O'Neill

Wirginia otrzymała list piątego lutego. Czytała go po wielokroć. Żałowała jedynie, że nie napisał, jak bardzo za nią tęskni. Ale przecież

Devlin i w kontaktach osobistych nie był zbyt wylewny, trudno więc oczekiwać, żeby wspominał o swoich uczuciach w liście, szczególnie wysłanym z wojennej misji.

Należało się cieszyć, że w ogóle znalazł czas, żeby do niej napisać. A ponieważ zadał jej kilka konkretnych pytań, postanowiła na nie od razu odpowiedzieć.

5 lutego 1813

Drogi Devlinie!

Twój list sprawił mi wielką przyjemność. Najbardziej uradowała mnie wiadomość, że Ty i Twoja załoga jesteście cali i zdrowi. Zaprzyjaźniłam się serdecznie zarówno z Twoją mamą, jak i z Eleanor; w rzeczy samej lady Adare zjawiała się w Waverly Hall w dniu Twojego wyjazdu i nalegała, żebym na czas Twojej nieobecności przeniosła się do Harmon House, co chętnie uczyniłam. Serdecznie pokochałam całą Twoją rodzinę! Niestety, Rex musiał powrócić do swoich wojskowych obowiązków, Cliff wkrótce popłynie na Martynikę (dopiero niedawno się dowiedziałam, że ma tam plantację trzciny cukrowej!), a Sean wyjechał do Askeaton, więc nagle dom stał się pusty. Tyrell pozostaje w Londynie, jednak widujemy się tylko przelotnie, jest on bowiem bardzo zajęty własnymi interesami. Twoja mama i ojczym cieszą się jak najlepszym zdrowiem, natomiast Eleanor ma wkrótce wrócić do Bath, chociaż ostatnio pojawiły się jakieś wątpliwości, czy rzeczywiście powinna tam jechać. Ja osobiście wolałabym, żeby została, bo wyjątkowo miło spędzam z nią czas.

W dniu Bożego Narodzenia bardzo nam Ciebie brakowało. Tego wieczoru mieliśmy wspaniałą rodzinną uroczystość. Twoja mama zorganizowała prawdziwą ucztę, a jedzenia było tak dużo, że bez kłopotu starczyłoby dla pułku wojska. Eleanor i Sean jak zwykle się sprzeczali, tym razem chodziło o jej powrót do Bath, gdzie ponoć ma zbyt wielu adoratorów jak na pannę w tak młodym wieku (przynajmniej według opinii Seana). Ku wielkiemu niezadowoleniu Twojej mamy, Cliff przyprowadził owdowiałą lady Arlette. Czy kiedykolwiek miałaś okazję ją poznać? To kobieta niezwyklej piękności, bardzo zauroczona Cliffem. Panowie dużo dyskutowali o Napoleonie, sytuacji w Europie i ewentualnych postanowieniach traktatu pokojowego. Wszyscy grzecznościowo omijali temat wojny w Ameryce ze względu na mnie, jak sądzę. Po wieczerzy Rex przyłapał mnie pod jemiolą, ale jego całus był czysto braterski. Sean natomiast tak bardzo rozgniewał się na Eleanor, że szybko nas opuścił, nie mam jednak pojęcia, o co poszła sprawa.

Wszyscy byli dla mnie cudowni. Od lady Adare dostałam medalion z Twoją podobizną w środku. Jest teraz dla mnie prawdziwym skarbem. Eleanor podarowała mi szal, a Twoi bracia - rękawiczki, czekoladki i wachlarz. Sean dał mi książkę opisującą historię Irlandii. To doprawdy pasjonująca lektura! Podarował mi także Bayberry w prezencie ślubnym i jeżdżę na niej każdego ranka, bez względu na pogodę.

Z przyjemnością poznałabym nowego lekarza okrętowego, bo z Twojego opisu wynika, że to interesujący i przyjemny człowiek. Wciąż

jednak wdzięcznie wspominam Jacka Harveya. Czy miałeś o nim jakieś wieści od czasu, gdy zszedł z „Defiance”?

Przekazałam Twoje pozdrowienia całej rodzinie. Ja Ci życzę zdrowia i pogody ducha. Niech Bóg ma w opiece Ciebie i Twoją załogę.

Twoja kochająca żona Wirginia

Wirginia wiedziała, że mogą minąć miesiące, zanim dostanie odpowiedź od Devlina - uprzedzono ją o tym w admiralicji - niemniej w drugiej połowie marca była przygnębiona brakiem wiadomości. Za dwa dni obchodziła dziewiętnaste urodziny. Jakże żałowała, że nie będzie ich mogła świętować razem z mężem.

- Nie rozpaczaj. - Mary objęła ją ramieniem. - Wkrótce otrzymasz list. Jestem tego pewna.

- Mam nadzieję - odparła Wirginia i nieświadomie przycisnęła dłoń do brzucha. Podejrzewała, że jest przy nadziei, bo od czasu wyjazdu Devlina nie miała miesięcznego krwawienia. Myśl o ciąży ją cieszyła, ale i napawała lękiem. Bardzo chciała urodzić dziecko Devlinowi, jednak nie miała pewności, czy Devlin będzie zadowolony, że tak szybko zostanie ojcem. Każdy mężczyzna marzył o synu, ale ich związek był jeszcze taki kruchy i niescementowany.

Przez wycie wiatru szarpiącego okiennicami przebił się tętent końskich kopyt.

- Może to pocztylion! - Wirginia z nadzieją podbiegła do okna.

Jeździec, który właśnie zeskakiwał z siodła, miał na sobie szeroki, granatowy płaszcz oficera marynarki i buty z cholewami

powalane błotem. Był wysoki, smukły i potężny w ramionach. Wirginia natychmiast go rozpoznała i aż krzyknęła z radości. A więc wrócił. Wrócił do domu!

- Co się dzieje? - spytała Mary.

Frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem i Devlin wszedł do holu. Kiedy zobaczył żonę, oczy mu rozbłysły.

Zerwał z głowy kapelusz i się skłonił.

- Wirginio. Dygnęła nisko.

- Nie... nie spodziewaliśmy się ciebie... tak szybko.

- Postanowiłem gonić za amerykańskim statkiem handlowym przez cały Atlantyk. - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Cóż za... szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Też tak uznałem.

Czyżby chciał powiedzieć, że wykorzystał pogoń za amerykańskim statkiem jako pretekst, żeby szybciej powrócić do Anglii? Zamknęła oczy, przepelniona miłością, a Devlin podszedł i ucałował ją w policzek. Następnie przywitał się z matką.

- Jesteś niezrównany. - Mary roześmiała się i przytuliła syna, po czym powiedziała: - Pomimo słoty i wichury muszę udać się na miasto. Edward także przebywa poza domem - dodała znacząco i wyszła z holu.

Devlin rzucił płaszcz i kapelusz służącemu.

- Dostałem twój list - powiedział, bacznie się wpatrując w twarz Wirginii.

- Mam nadzieję, że sprawił ci radość.

- Owszem. Pomógł przetrwać zimne noce na Atlantyku. Chociaż niewykluczone, że skrócę Reksa o głowę, bo nie wierzę, iż jego całus był tak czysto braterski.

Wirginia zarumieniła się gwałtownie, ponieważ ów pocałunek rzeczywiście nie należał do niewinnych, za co Rex potem serdecznie ją przeprosił.

- Tak właśnie myślałem. - W oczach Devlina pojawiły się groźne błyski.

- Okropny z niego flirciarz, ale tylko w stosunku do mnie. Inne kobiety zdają się go nudzić lub wręcz drażnić.

- Nie mam ochoty na dyskusje o moim bracie.

- Ani ja. Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa, że wróciłeś. Bardzo za tobą tęskniłam.

Doskoczył do niej, przyciągnął i zaczął całować namiętnie, zachłannie, gorączkowo. A gdy w końcu oderwał usta od jej warg, wziął Wirginię na rękę.

- Który pokój jest twoją sypialnią?

- Ależ, Devlin, jesteśmy w domu rodziców!

- Nic mnie to nie obchodzi. Już nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie znajdę się z tobą sam na sam. - Szybko zaczął wbiegać po schodach. - Wirginio, przed wyjazdem wydawało mi się, że jak tylko znajdę się na morzu, stanę się na powrót wolnym człowiekiem. Ale się myliłem. Nie mogłem przestać o tobie myśleć - wyznał z pociemniałą, chmurną twarzą. - Stawałaś mi przed oczami za dnia, nieustannie widywałem cię w snach.

- To oznacza, że jesteśmy kwita - powiedziała cicho.

Przystanął, bo znaleźli się na piętrze.

- Który pokój? - powtórzył.

- Trzecie drzwi po prawej.

Nazajutrz rano, starannie ubrana, Wirginia siedziała przed lustrem i upinała włosy. Ujrzała odbicie Devlina, który stanął w progu pokoju, bardzo elegancki w cywilnym stroju;

Pozostali w Harmon House. A nie byli teraz razem w łóżku tylko dlatego, że Wirginia nalegała, by zeszli na kolację, zanim zgorszą domowników.

Wirginia wsunęła we włosy ostatnią szpilkę.

- Jestem szczęśliwa - wyznała.

Devlin podszedł, po czym pocałował ją w odsłonięty kark.

- I w pełni zaspokojona, jak mniemam. - To nie było pytanie.

- Dobrze wiesz, że tak.

- Jesteś wyjątkowo bezpruderyjną i żywiołową lisiczką.

- Mam nadzieję, że to cię cieszy.

- Bardzo - odparł z powagą.

Serce Wirginii drgnęło. Czy to oznaczało, że Devlin zaczął ją choć troszkę kochać?

On tymczasem sięgnął do wewnętrznej kieszeni żakietu.

- Mam coś dla ciebie - powiedział, podając jej obciążone aksamitem jubilerskie puzderko.

- Co to takiego?

- Twój prezent urodzinowy.

- Skąd... skąd wiesz o moich urodzinach? - Ogarnęło ją
wzruszenie.

- To już jutro, prawda? Skończysz dziewiętnaście lat, staniesz się
w pełni dojrzałą kobietą - zażartował.

Uśmiechnęła się, ale tak naprawdę miała ochotę krzyknąć ze
szczęścia.

- Otwórz.

- Nie powinnam poczekać do jutra?

- Jestem pewien, że jutro zostaniesz zasypana prezentami, bo
moja matka bez wątpienia szykuje na tę okoliczność wielką fetę.

- Nie. Poprosiłam, żeby to była skromna uroczystość rodzinna.
Rex jest w Hiszpanii, a Sean w Askeaton, więc nie spotkamy się w
komplecie. - Mówiąc to, uniosła wieczko puzderka i aż zaniemówiła z
wrażenia na widok dużego wisiora z ametystu otoczonego
brylancikami.

- Jest przepiękny, Devlinie!

- Zamówiłem go, zanim wypłynąłem w morze. Zależało mi na
klejnocie, który by podkreślał kolor twoich oczu - wyjaśnił, wyraźnie
z siebie zadowolony.

- Devlin? - Przytuliła się do niego. - To moje najcudowniejsze
urodziny w życiu. Dziękuję ci za wisior, a przede wszystkim za to, że
wróciłeś do domu.

- Ja nie wróciłem - powiedział po chwili wahania. - Wszystkiego
najlepszego z okazji urodzin, Wirginio.

Później tego samego dnia, już w Waverly Hall, do Wirginii dobiegł męski śmiech. Przystanąła przy drzwiach salonu i już miała wejść do środka, kiedy rozległ się głos Tyrella.

- A jak działania wojenne? Doszły mnie słuchy, że będziemy atakować wybrzeża u Zatoki Chesapeake.

Wirginia szybko się cofnęła, żeby pozostać niezauważoną. O czym oni mówili? Aż do tej chwili odsuwała od siebie myśl, że Devlin wrócił z wojny prowadzonej przeciwko jej ojczyźnie. Przez cały czas nie zapytała go o szczegóły związane z misją, on też nie kwapił się do opowieści. Teraz, zdjeta lękiem, wytężyła słuch.

- Przykro mi, ale nie mogę zdradzać tajemnic wojskowych. - W głosie Devlina pojawiła się nuta zniechęcenia. - Przyznaję, że otrzymałem nowe rozkazy. Należy spodziewać się eskalacji działań militarnych.

Wirginia się zatrwożyła. Podczas nieobecności męża doszły ją słuchy o blokadzie Zatoki Chesapeake, w pobliżu której znajdowała się jej ukochana plantacja.

Ale to wszystko. O jakich plotkach wspominał Tyrell i co miał na myśli Devlin mówiąc o „eskalacji”? Nagle zdjął ją strach o bezpieczeństwo Tillie, Franka i wszystkich innych mieszkańców „Słodkiego Derenia”. Chyba Brytyjczycy nie wtargną na wirginijską ziemię i nie będą prowadzić lądowych bitew!

Devlin wspomniał też o nowych rozkazach. Czy to oznaczało, że już szykował się do wyjazdu, chociaż wrócił zaledwie wczoraj?

Przygnębiona, odruchowo położyła rękę na brzuchu. A co będzie, jeżeli rzeczywiście jest w ciąży? Wreszcie między nimi rodziła się miłość i przyszłość zaczęła rysować się w jasnych barwach. W ich życiu nie było teraz miejsca na wojnę, a już szczególnie przeciwko jej ojczyźnie.

Wirginia niepostrzeżenie przemknęła do biblioteki. Zgodnie z jej przewidywaniami na biurku znajdowały się jakieś papiery. Wiedziała, że nie powinna czytać tajnych dokumentów, a jednak z drżącym sercem podeszła do biurka. W leżących na wierzchu pismach nie zobaczyła nic interesującego, otworzyła więc szufladę. Od razu natknęła się na to, czego szukała. Wyjęła arkusz pergaminu i przysunęła do oczu.

Admirał St. John do Devlina O'Neill

Waverly Hall

Greenwich

18 marca 1813

Panie kapitanie!

Proszę przyjąć do wiadomości, co następuje. Dwudziestego czwartego marca wyruszy pan w kolejny rejs i skieruje w rejon Zatoki Chesapeake, gdzie zamelduje się pan u admirała George'a Cockburna. Koordynując swoje działania z admirałem Cockburnem, zacznie pan systematycznie zatapiać wszystkie amerykańskie okręty wojenne, łącznie z jednostkami cumującymi w portach. Zniszczeniu mają ulec ponadto składy i wszelkie źródła zaopatrzenia sił rządowych, także te położone w głębi lądu — a więc farmy i fabryki.

Jednym słowem, ma pan podjąć stosowne wysiłki, mające na celu całkowite sparaliżowanie gospodarki i wymiany handlowej w pasie nadbrzeżnym. Pozostawiam panu wolną rękę odnośnie wyboru metod realizacji zadania, niemniej sugeruję objęcie ochroną i pomocą zbiegłych niewolników, którzy mogliby służyć brytyjskim oddziałom za przewodników po okolicy. Należy się starać, by w działaniach wojennych nie ucierpieli cywile, niemniej gdy któryś z nich będzie podejrzany o wspomaganie amerykańskich wojsk, ma zostać uznany za poważne zagrożenie dla naszych oddziałów i tak też potraktowany.

Podpisano Admirał St. John Admiralicja 13 Brook Street West Square

Była wstrząśnięta.

- Wirginio? - W progu stanął Devlin.

Szybko wsunęła pergamin z powrotem do szuflady.

- Co tu robisz?

- Niechcący usłyszałam twoją rozmowę z Tyrellem - powiedziała niepewnie.

Jak on mógł zgodzić się na sianie takiego zniszczenia i śmierci w jej rodzinnych stronach? Ilu Amerykanów straci życie na skutek jego działań?

Devlin podszedł do niej powoli, z twarzą zastygłą w kamienną maskę, której miała nadzieję już nigdy nie oglądać.

- Czytałeś moje rozkazy?

- Tak - szepnęła. A po chwili wykrzyknęła: - Nie jedź! Jesteś mi potrzebny tutaj, w domu! Zrezygnuj! Wycofaj się z tej misji! Nie wracaj na wojnę. Ja tego nie zniosę!

- Tylko tchórze uciekają od trudnych obowiązków.

- Cały świat wie, że nie jesteś tchórzem! Udowodniłeś to tysiące razy!

- Wirginio - spojrzał jej badawczo w oczy - jestem kapitanem marynarki. Wiedziałaś o tym, gdy za mnie wychodziłaś. Przykro mi, że nasze kraje są w stanie wojny, ale każda wojna kiedyś się kończy.

- A ilu ludzi musi przedtem zginąć? Jak straszne zniszczenia muszą wcześniej nastąpić? Ilu Amerykanów już poniosło śmierć na skutek twoich działań?! - wykrzyknęła w zapamiętaniu.

- Nie wiem.

- Myślę, że wiesz. - Nie chciała go atakować, a tymczasem właśnie to robiła. Wyszła zza biurka i podbiegła do Devlina. - Wreszcie odnaleźliśmy szczęście. Ta wojna nas poróżni.

- Tylko jeżeli na to pozwolisz. Do diabła, nie powinnaś była czytać moich rozkazów!

- Rzeczywiście, nie powinnam. Błagam cię, Devlinie, nie wyruszaj na wojnę przeciwko mojej ojczyźnie.

- Jesteś roztrzęsiona, to zrozumiałe. Jednak proszę cię raz jeszcze, nie pozwól, żeby ta wojna nas podzieliła.

Wirginia nie odezwała się słowem, ale kiedy wziął ją za rękę, nie zaprotestowała.

- Dobrze. Nie pozwolę, żeby cokolwiek nas podzieliło - szepnęła w desperackiej nadziei, że zdoła spełnić prośbę Devlina.

W tej samej chwili kamienna maska opadła i Wirginia poczuła wielką ulgę.

Była wzruszona niemal do łez.

Nadszedł wieczór jej urodzin. Ogień płonął z trzaskiem w marmurowym komiku, przy którym stał Edward w otoczeniu Tyrella, Cliffa, Devlina i Seana. Popijali szampana, rozmawiali przyciszonymi głosami, ale raz po raz wybuchali śmiechem. Devlin przedstawiał sobą wspaniały widok. Musiał poczuć na sobie spojrzenie Wirginii, bo odwrócił głowę i uśmiechnął się.

Usilnie starała się spełnić prośbę męża i odsuwała od siebie myśli o wojnie. Fakt, że Devlin miał wypełniać tak groźne dla jej rodaków rozkazy, nie był w stanie w żaden sposób wpłynąć na jej uczucia; za mocno kochała męża. Poza tym musiała mu przyznać rację. Nie może dopuścić, aby wojna ich poróżniła, szczególnie że dzisiejszego ranka uzyskała pewność, iż jest w ciąży.

Wybrała się do lekarza w sekrecie, jedynie Mary wtajemniczyła w swoje plany. Dziecko miało urodzić się pod koniec września.

Dotknęła lekko ręką brzucha. Przekáže Devlinowi tę nowinę przed jego wyjazdem. W duchu gorąco się modliła, żeby perspektywa ojcostwa go ucieszyła. Modliła się również, żeby nie być wdową, gdy dziecko przyjdzie na świat. Ile by dała, żeby Devlin nie wyruszał na wojnę!

- Ciekawe, czy ktoś kiedyś tak mnie pokocha, by mi ofiarować naszyjnik w kolorze moich oczu - powiedziała Eleanor.

Siedziała u boku Mary na ciemnozielonej sofie, stojącej obok fotela Wirginii, przy którym leżało pół tuzina pootwieranych pudeł.

- Twój czas nadejdzie, kochanie - zapewniła córkę

Mary. - Naszyjnik rzeczywiście doskonale wygląda. Pięknie podkreśla niezwykły kolor oczu Wirginii. - Powiedziawszy to, rzuciła synowej porozumiewawcze spojrzenie, bez wątpienia myśląc o dziecku.

- Wyczuwam jakiś sekret - mruknął Devlin niskim, uwodzicielskim głosem.

I właśnie w tym momencie do bawialni wkroczył hrabia Eastleigh.

Wirginia oniemiała. W żaden sposób nie zareagowała na ukłon hrabiego. Nie docierały do niej słowa bladego, roztrzęsionego kamerdynera, który usiłował przeproszać, że nie zapobiegł najściu. W głowie kołatało się jej pytanie: Czego jej stryj tu szuka?

Devlin natomiast, po chwili zaskoczenia, ruszył do działania. Wyraz jego twarzy był straszny. Wirginia się przeraziła, że może zabić Eastleigha za to wtargnięcie, ale Tyrell i Cliff zareagowali błyskawicznie i chwycili Devlina za ramiona.

Edward stanął Eastleighowi na drodze.

- Nie jesteś mile widziany w tym domu - oznajmił.

- Uznałem brak zaproszenia na urodziny bratanicy, podobnie jak wcześniej na jej ślub, za niedopatrzenie. Przyszedłem, żeby złożyć

Wirginii życzenia urodzinowe. Przyniosłem nawet prezent. - Odwrócił się i skinął na służącego, który trzymał pakunek sporych rozmiarów.

Deylin strząsnął ręce braci z ramion i postąpił do przodu.

- Proszę, proszę - powiedział, obrzucając Eastleigha lodowatym spojrzeniem - oto człowiek, którego miałem nadzieję spotkać. Nie jesteś zdumiony, że mnie widzisz, milordzie?

Eastleigh się skrzywił.

- Dlaczego miałaby mnie dziwić obecność męża na przyjęciu urodzinowym żony? Słyszałem o twoim powrocie, O'Neill. Ach, przyjmij też gratulacje z okazji ślubu. - Nagle przeniósł wzrok na Wirginię i skłonił głowę. - Tobie także gratuluję, moja droga.

Wirginię przeszył lodowaty dreszcz. Patrząc na tych dwóch mężczyzn, emanujących wrogością i nienawiścią, nabrała przeświadczenia, że za chwilę wydarzy się coś złego. Jak mogłaby rozładować sytuację? Szybko skoczyła do przodu.

- Dziękuję, stryju. Miło, że przyszedłeś. Devlin ścisnął jej ramię, zanim zdążyła ponownie otworzyć usta.

- Skończ z tymi pozorami - rzucił zimno, a potem zwrócił się do Eastleigha: - Mój ojczym ma rację. Nie jesteś tu mile widzianym gościem. Zanim odprowadzę cię do wyjścia, zadam ci jedno pytanie. Nie chcesz wiedzieć, jaki los spotkał skrytobójcę, którego na mnie nasłałeś?

Wirginii zabrakło tchu w piersiach. O czym Devlin mówił? Zdezorientowana, posłała mu pytające spojrzenie, ale on nie zwracał na nią uwagi.

- Skrytobójcę? - Eastleigh wybuchnął śmiechem. - Nic mi nie wiadomo o żadnym skrytobójcy. Czyżby ktoś próbował cię zamordować, O'Neill? - Zaśmiał się ponownie. - Skąd pomysł, że ja go wynająłem? Masz więcej wrogów, niż zdołałbyś zliczyć, obaj świetnie o tym wiemy.

Devlin nachylił się w stronę hrabiego.

- Twój zamachowiec nie wywiązał się z zadania. Ty natomiast powinienes się pilnie strzec, Eastleigh, bo broń, którą wybrałeś, jest obosieczna.

- Czy to groźba? Teraz postanowiłeś mnie zgładzić? Moje bankructwo już ci nie wystarcza? Może to ty powinienes pilniej oglądać się za siebie, O'Neill, nie ja. - Odwrócił się i ponownie uklonił przed Wirginią. - Mam nadzieję, że spodoba ci się urodzinowy prezent. Po tych słowach wyszedł.

Na twarzy Devlina malowała się nienawiść i bezwzględność. Edward objął ramieniem żonę, która była bliska łez. W pokoju panowało niemal fizycznie wyczuwalne napięcie.

- Pozbędę się tego. - Tyrell uniósł w górę pakunek przyniesiony przez Eastleigha.

- Nie! - Devlin podszedł do brata i zdarł brązowy papier. W środku znajdował się obraz.

- Spalę to - rzucił ostro Devlin.

- Chwileczkę! - Wirginia odepchnęła Devlina. Kiedy spojrzała na obraz, z trudem stłumiła okrzyk.

Miała przed sobą portret rodziców, namalowany przed osiemnastu laty. Mama była na nim wyjątkowo piękna, ojciec - dumny i przystojny. Trzymali między sobą dziecko - maleńką Wirginię, a stali na tle domu, który Wirginia natychmiast rozpoznała. Eastleigh Hall. Obecny hrabia Eastleigh także widniał na portrecie - młodszy, szczuplejszy, ale równie pyszny i arogancki, jak obecnie.

Wymowa prezentu była oczywista. Wirginia wywodziła się z rodu Hughesów i ślub z Devlinem nie mógł tego zmienić.

- Zabiorę to - powtórzył Tyrell, zerkając na Wirginię.

Skinęła głową, a on zabrał płótno i poszedł.

- Mary musi wrócić do domu i położyć się - oznajmił Edward. - Eleanor, idziemy.

Mary, z oczami pełnymi łez, uśmiechnęła się przepraszająco.

- Wybacz, inaczej zaplanowałam ten wieczór.

Wirginia ujęła jej dłonie.

- Wszystko w porządku - szepnęła. - Miałam wspaniałe urodziny.

Kiedy starsi de Warenne'owie z córką wyszli, Cliff podszedł do Devlina.

- Nie daj mu się sprowokować - powiedział. Devlin wpatrywał się w mrok za oknem. Milczał.

- Dobrze się czujesz? - Cliff zwrócił się do Wirginii. Potaknęła, ale to było kłamstwo.

- Cliff, mógłbyś zostawić nas samych? - odważyła się powiedzieć po chwili.

Zerknął z wahaniem na brata, ale skinął głową i opuścił bawialnię.

Devlin nadal tkwił przy oknie, jakby nieświadomy obecności żony. Biła od niego nienawiść i Wirginię ogarnęło przeświadczenie, że właśnie w tej chwili on planuje coś strasznego.

Podeszła do męża.

- Eastleigh próbował cię zgładzić? Wreszcie na nią spojrzął.

- Przykro mi, że o tym usłyszałaś. Incydent nie miał żadnego znaczenia. Zamach się nie powiódł.

- Nie miał znaczenia?! Jestem przeciwnego zdania!

- Wirginio, przecież przeżyłem.

- Tym razem! - Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się histerycznie, ale strach brał nad nią górę.

- A co będzie, gdy ponowi atak?

- Eastleigh nie jest jedynym, który życzy mi śmierci, i nie pierwszym, który podjął próbę zamachu

- powiedział Devlin ponuro, biorąc żonę za rękę.

Wyrwała dłoń i mocno objęła się ramionami.

- To wszystko zaszło za daleko! Rozpętałeś szaleństwo nienawiści i do czego to doprowadziło? Sam znalazłeś się w niebezpieczeństwie.

W oczach Devlina błysnął gniew.

- Ja niczego nie rozpętałem. Zrobił to Eastleigh przed piętnastu laty! Poza tym nie znalazłem się w nadzwyczajnym

niebezpieczeństwie. Od lat żyję otoczony wrogami i umiem się przed nimi bronić. Żaden wynajęty zbir nie zdoła mnie zabić.

Wirginia była zdruzgotana. A więc tak miało wyglądać ich życie? Devlin nieustannie polujący na Eastleigha, a Eastleigh w rewanżu wynajmujący skrytobójców, by zgładzili Devlina? A co będzie, gdy urodzi się dziecko? Czy pewnego dnia Wirginia nie natknie się na skrytobójcę w pokoju dziecięcym? Przecież niewykluczone, że Eastleigh swoją nienawiść do Devlina przeniesie również na jego potomka.

Nie zamierzała żyć w ciągłym strachu i udęce.

Devlin ponownie odwrócił się w stronę okna, nie kryjąc złości. Wirginia z płaczem wypadła z bawialni.

Może gdy powie o dziecku, Devlin wreszcie się opamięta? Przecież chyba by nie chciał, żeby jego potomek wzrastał w domu, gdzie królują nienawiść i żądza zemsty?

Wirginię zdjął lęk.

Devlin wpatrywał się w ciemność, zdjęty gniewem, ale i nieznanym mu dotąd lękiem. Nie obejrzał się za siebie, ale dobrze wiedział, że Wirginia opuściła bawialnię.

Czy wreszcie ujrzała go takim, jakim jest w rzeczywistości: zimnym, bezwzględnym człowiekiem, przepełnionym nienawiścią?

Dwa ostatnie dni były jak z bajki. Nie rozpoznawał siebie w tym wciąż uśmiechniętym mężczyźnie, koncentrującym się jedynie na myślach o żonie. Posmakował szczęścia, przekonał się, czym jest radość. Te uczucia były dla niego nowe - przez to trochę przerażające,

ale i bardzo przyjemne. Po raz pierwszy w życiu odniósł wrażenie, że nie jest samotną wyspą.

A teraz Wirginia była przygnębiona i pełna obaw. Najdzielniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał, oczekiwała pokoju i miłości i nie była w stanie zaakceptować życia wypełnionego nienawiścią i walką. Choć trudno było mu przyznać się do tego przed samym sobą, bał się, że utraci Wirginię - teraz, gdy właśnie ją odnalazł.

Miał poczucie, że nie zasługuje na szczęśliwe życie. Że ostatnie dni były jedynie snem, więc gdy otworzy oczy wszystko, co piękne - radość, spokój, Wirginia - zniknie.

Napomniął się w duchu, że przede wszystkim jest żołnierzem, człowiekiem stworzonym do bitew i wojny. Ożenił się z Wirginią przekonany, że ten ślub niczego nie zmieni. Tymczasem dni, które z nią spędził, zmieniły niemal wszystko. Wirginia pokazała mu inny świat i jedna cząstka jego osobowości desperacko tęskniła do owego świata. Ale ta druga - mroczna, bezlitosna -jeszcze usilniej domagała się pomsty za śmierć ojca.

Devlin nigdy w życiu nie był tak rozdarty. Westchnął głęboko i ruszył na poszukiwanie żony. Nie może dopuścić, żeby wylewała łzy z powodu swojego nikczemnego stryja.

Zastał ją w bibliotece. Stała przy biurku, trzymając się mocno blatu, jakby szukała podpory. Na jej policzkach błyszczały łzy.

- Wirginio, przykro mi, że Eastleigh popsuł twoje przyjęcie urodzinowe - zaczął niepewnie.

- Ostatnie dni były cudowne, czyż nie?

- Owszem - zgodził się ostrożnie. Do czego tym razem zmierza Wirginia?

- Czy nie nadszedł więc czas, żeby pogrzebać przeszłość? Skoncentrować się na budowaniu naszego związku? Przed nami wspaniała przyszłość...

- Posuwasz się za daleko! - rzucił gniewnie. Co ona sobie wyobraża? Że pozwoli żonie wodzić się za nos?

- Nie wysłuchałeś mnie do końca - stwierdziła chłodno.

- Sprawa Eastleigha nie podlega dyskusji. Nie zakończę tej walki, póki nie osiągnę zamierzonego celu. - Już w chwili, gdy wypowiadał te słowa, pożałował ostrego tonu. - Eastleigh chciał cię pognać... - zaczął łagodniej, ale Wirginia mu przerwała.

- Devlin, nie powiedziałam ci jeszcze o pewnej ważnej sprawie.

Nie spodobał mu się ton jej głosu. Jaką to wiadomość trzymała w zanadrzu? Odruchowo zaciął się w sobie, a na jego twarzy pojawił się taki wyraz, jakby miał przed sobą najgorszego wroga, a nie piękną żonę.

- Słucham.

- Noszę pod sercem nasze dziecko.

- Co takiego?!

- Błagam cię - ciągnęła Wirginia - żebyśmy mogli wreszcie cieszyć się szczęściem i spokojem. Błagam cię o życie, w którym nie ma miejsca na nienawiść, ze względu na dobro naszego dziecka.

Do Devlina z trudem docierały jej słowa. Wirginia jest w ciąży. Dziecko musiało zostać poczęte po ich ślubie, w grudniu. Wielki Boże, miał zostać ojcem! Za wcześnie!

Niespodziewanie stanęła mu przed oczami twarz Eastleigha, stojącego w bawialni.

- Błagam, żebyś porzucił myśl o zemście. - Znowu się rozplakała. - Nie mogę skazać naszego dziecka na takie życie. Czy tego nie pojmujesz? Wkrótce zostaniemy rodziną i musisz dokonać wyboru.

Wpatrywał się w nią oniemiały. Nie pojmował, co do niego mówiła. Teraz myślał jedynie o tym, że miało mu się urodzić dziecko, a jego śmiertelny wróg wciąż chodził po tej ziemi. Musiał dokonać wyboru? Jakiego wyboru?

- Nie stawiaj mnie w takiej sytuacji!

- Musisz wybierać! - wykrzyknęła, dygocząc.

- Nie żądaj rzeczy niemożliwych! - rzucił tonem rozkazu, zdając sobie sprawę, że właśnie w tej chwili wszystko, co cudowne, oddała się i znikła: radość, szczęście, miłość...

- Przykro mi, ale musisz dokonać wyboru - szepnęła. - Nie pozwolę, żeby nasze dziecko wzrastało w atmosferze przepelnionej nienawiścią. Proszę, wybierz mnie oraz nasze dziecko.

Devlina nie był w stanie dokonać takiego wyboru.

- Nie odwracaj się ode mnie. Nie teraz, gdy oczekuję dziecka. Gdy przeżyliśmy razem tyle cudownych chwil. - Chwyliła jego rękę i przyłożyła do swojego brzucha.

Wpatrywał się w jej jeszcze płaski brzuch i czuł w sobie tylko chłód i bezwzględność, które zaszczepił w nim śmiertelny wróg, kiedy Devlin był zaledwie dziesięcioletnim chłopcem.

- Możesz mieć mnie i dziecko lub swoją zemstę. Ale nie możesz mieć jednego i drugiego.

Zabrał dłoń z jej brzucha i ruszył w stronę drzwi.

- Dobrze wiedziałaś, kim jestem i do czego dążę, kiedy za mnie wychodziłaś - oznajmił przed wyjściem.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Cały następny dzień Wirginia przeleżała w łóżku, nękana migreną i smutkiem. Nie płakała. Była zbyt przerażona, żeby płakać.

Przede wszystkim musiała myśleć o dziecku. Ona sama mogła znieść bezwzględność Devlina i jego obsesję, ale nie zamierzała skazywać na taki los potomka. Nie wiedziała, co począć, a tymczasem Devlin już za trzy dni miał wyruszyć na tę przeklętą wojnę.

Gdyby tylko tak bardzo go nie kochała...

Po południu wstała i ubrała się starannie, żeby zejść na kolację. Od wczorajszej sprzeczki nie widziała męża. Nie przyszedł na noc do sypialni. Jak się powinna zachować? Devlin jest ojcem dziecka, które nosi, tego nic nie zmieni. Wirginia nie zamierzała jednak godzić się na kompromis w imię utrzymania spójności ich związku. I zapewne dlatego nie mogła uwolnić się od przekonania, że jej małżeństwo zaczyna się rozsypywać.

Gdy zeszła na dół, usłyszała dochodzące z salonu męskie głosy, które natychmiast rozpoznała. Tyrell i Cliff. Bardzo lubiła obu braci, ale teraz modliła się w duchu, żeby nie zechcieli zostać na kolacji. Powoli, niechętnie podeszła do otwartych drzwi salonu. Trzej mężczyźni siedzieli wygodnie rozparci w fotelach, z kieliszkami wina w dłoniach.

Tyrell i Cliff poderwali się na jej widok. Devlin również się podniósł, ale dużo wolniej i nie popatrzył w jej stronę. Gdy obaj

bracia spojrzeli uważniej na Wirginię, uśmiechy zniknęły z ich twarzy. Przygnębienie bratowej musiało być aż nadto widoczne.

- Dobry wieczór - powiedziała.

- Wyglądasz pięknie, jak zwykle - rzekł Cliff. Podziękowała mu, po czym dorzuciła:

- Mam nadzieję, że zostaniecie na kolacji.

To zaproszenie było równie nieszczerze, jak wcześniejsze słowa Cliffa, który wymienił szybkie spojrzenie z Tyrellem.

- Obawiam się, że mamy inne zobowiązania - powiedział.

- Niestety. Bardzo nam przykro - dodał Tyrell i zerknął ponurym wzrokiem na Devlina, nieruchomego niczym posąg. - Opiekuj się żoną - rzucił w jego stronę. Skinął głową na pożegnanie, a następnie wraz z Cliffem odstawili kieliszki i wyszli.

Po chwili Devlin podszedł do Wirginii z kamiennym wyrazem twarzy, którego serdecznie nienawidziła, i wyciągnął ku niej ramię.

- O ile się nie mylę, podano kolację, pani. Nie przyjęła jego ramienia.

- Nigdy wcześniej tak się do mnie nie zwracałeś.

- Nie było moją intencją kogokolwiek urazić -oznajmił tonem, jakim zwraca się do osoby całkiem obcej, a nie do żony.

- Devlin, nie zachowuj się w taki sposób. Jeszcze bardziej zaciął się w sobie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł chłodno, po czym gestem wskazał drzwi. - Możemy iść? -Nie czekając na odpowiedź, chwycił ją za łokieć.

Tak to teraz miało wyglądać? Przeistoczyć się w parodię małżeństwa? Zimny, formalny związek pełen napięcia?

- Prosiłam cię jedynie, żebyś ze względu na dobro naszego dziecka wyrzucił z serca nienawiść - wyszeptwała.

Ruszył przed siebie, udając, że nie dosłyszał jej słów. Wirginia wyrwała ramię spod jego ręki. Zatrzymał się i obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Czy idziemy na kolację? - spytał.

- Nie w taki sposób i nie w takiej atmosferze.

- W takim razie wychodzę. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Dołączę do moich braci w klubie White'a. - Skinął głową i spieszenie wyszedł.

Nie wrócił na noc.

Nadciągnął świt - ciemny i ponury.

Przez ostatnie dni Devlin nocował poza domem. Wirginia dowiedziała się od służącego, że sypiał na okręcie.

Przynajmniej nie poszedł do innej kobiety, pomyślała wówczas.

Miała jednak świadomość, że to koniec małżeństwa. Nie widziała już żadnego sposobu ocalenia ich związku. Jej smutek był bezdenny. Nie sypiała po nocach, w dzień nie mogła zwlec się z łóżka. Straciła apetyt, praktycznie przestała jadać. Często płakała i nie zwracała uwagi na zatroskane spojrzenia Hanny.

W liliowym peniuarze usiadła przed lustrem. Zmusiła się do wstania, bo wiedziała, że Devlin wkrótce opuści Anglię. Za mniej

więcej godzinę rozpoczynał się odpływ; Hanna na jej prośbę sprawdziła wczoraj tę informację. Ponieważ Devlin nocował na „Defiance”, Wirginia przypuszczała, że nie przyjdzie pożegnać się przed wypłynięciem na wojnę.

Nie mogę tak żyć, pomyślała, wpatrując się w odbicie swojej przeraźliwie bladej twarzy.

Rozległo się pukanie. Zdumiona Wirginia odwróciła się w stronę drzwi. Czego mogła chcieć pokojówka o tak wczesnej godzinie?

W progu stanął Devlin. Miał na sobie mundur i czarny filcowy pieróg w dłoni.

- Widzę, że cię nie obudziłem. Za niecałą godzinę podnosimy żagle. Przyszedłem się pożegnać.

Chciała błagać go, żeby znów ją pokochał. Powiedzieć, że ona się zgadza, by nadal toczył morderczą rozgrywkę z Eastleighem, jeżeli to dla niego takie ważne. Jednak nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Oczy mu pociemniały.

- Jak się miewasz?

Zapragnęła wykrzyknąć na całe gardło: coś we mnie umiera! Jednak wpatrywała się w niego w milczeniu i dopiero po dłuższej chwili zdołała wydukać:

- Dobrze, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

- A dziecko?

- Również dobrze.

Skinął głową i także zamilkł na dłużej. Zacisnął usta, spuścił powieki, jakby toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

W Wirginii zaczęła budzić się nadzieja, która jednak zgasła, gdy usłyszała kolejne słowa Devlina.

- Wrócę za sześć miesięcy. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Wirginio - powiedział, po czym skłonił się i wyszedł.

Chciała za nim biec, prosić, żeby na siebie uważał.

Nie była w stanie. A jeżeli go już nigdy nie zobaczy? Jeżeli Devlin zginie na tej przeklętej wojnie?

Strach dodał jej sił. Podskoczyła do okna i zaczęła zmagać się z zasuwką. Kiedy uniosła w końcu ciężką szybę, Devlin już siedział w powozie.

Wystawiła głowę za okno.

- Devlin! Niech cię Bóg prowadzi! - wykrzyknęła najgłośniejszym głosem, jak zdołała.

Nie wiedziała jednak, czy usłyszał jej słowa.

Później tego samego dnia, nerwowo splatając dłonie, stała w salonie Harmon House. Po wyjeździe Devlina długo rozmyślała i teraz już wiedziała, jak powinna postąpić.

Cliff wszedł do salonu długim, leniwym krokiem.

- Wirginio? Podobno chciałaś się ze mną zobaczyć? - W jego głosie pobrzmiwało lekkie zaskoczenie.

Skinęła głową.

- Czy mógłbyś zamknąć drzwi? Spełnił jej prośbę, wyraźnie zdumiony.

- To wszystko zdaje mi się bardzo dziwne - stwierdził, po czym odstawił dla niej krzesło. - Usiądź, proszę.

- Wolałabym porozmawiać na stojąco - szepnęła.

- Co się dzieje? - Bacznie spojrzał jej w oczy.

- Jestem przy nadziei - wyznała - i muszę jechać do domu, do „Słodkiego Derenia”, gdzie przyszłam na świat i gdzie chcę urodzić moje dziecko.

Cliff wpatrywał się w nią oniemiały.

- Dysponujesz własną flotyllą! - wykrzyknęła Wirginia. - Z pewnością któryś z twoich statków zawija do jednego z amerykańskich portów. Błagam cię, zapłacę za przeprawę, proszę tylko, żebyś znalazł dla mnie kajutę na tym statku.

Był głęboko wstrząśnięty jej słowami.

- Czy porzucasz mojego brata?

Tak by tego nie określiła, ale nie zamierzała się łudzić. Nie wierzyła, że kiedykolwiek jeszcze odzyskają z Devlinem, jakże krótkotrwałe, utracone szczęście. Niemniej jej celem nie było porzucenie męża. Poczula potrzebę powrotu do domu. Jej ojczyzna znajdowała się w stanie wojny, „Słodki Dereń” był zagrożony, a poza tym chciała urodzić dziecko wśród bliskich sobie ludzi.

- Wirginio - odezwał się serdecznym tonem - nie mogę cię wspomagać w podobnym przedsięwzięciu.

Najwyraźniej wziął jej milczenie za odpowiedź twierdzącą.

Wirginia westchnęła, opadła na krzesło i schowała twarz w dłoniach.

- Kocham twojego brata - wyszeptała - i będę kochać do końca moich dni. Chociaż nie było to proste, udawało mi się jakoś znosić tę jego obsesję na punkcie Eastleigha. - Spojrzała Cliffowi prosto w oczy. - Błagałam, żeby przez wzgląd na nasze dziecko zaniechał zemsty. Nie chciał. Muszę myśleć przede wszystkim o maleństwie. Ono jest najważniejsze.

Cliff spochmurniał.

- W tym względzie w pełni się z tobą zgadzam. Też uważam, że Devlin powinien uwolnić się od swojej obsesji. Wątpię jednak, czy potrafi.

- Nie potrafi. Dał mi to jasno do zrozumienia. A teraz udał się na wojnę przeciwko mojemu krajowi. Będzie walczył na mojej ziemi. Nie zostanę tu, Cliff. Jeżeli mi nie pomożesz, poszukam innego statku. Chcę urodzić dziecko w rodzinnym domu, a jeżeli wojna dotrze do „Słodkiego Derenia”, będę bronić plantacji, nawet jeżeli przyjdzie mi jej bronić przed Devlinem. Nie mam wyboru.

Cliff zamyślił się na dłuższą chwilę. W końcu westchnął głęboko i powiedział:

- Wiem, że bez względu na to, co powiem, i tak wyruszysz do Ameryki. Wolę więc odwieźć cię osobiście do „Słodkiego Derenia”, niż skazywać na niepewny los na nieznanym statku. W przyszłym tygodniu wypływam na Martynikę, gdzie mam plantację trzciny cukrowej. Zboczę z kursu i najpierw odstawię cię do domu.

Wirginia odetchnęła z ulgą.

- Ale nie zachowam tego w tajemnicy - ostrzegł. Zaczęła gorąco protestować.

- Nie! - W niebieskich oczach błysnął gniew. - Jesteś żoną mojego brata. Devlin powinien wiedzieć, gdzie przebywasz, szczególnie że nosisz jego dziecko. Zabiorę cię do „Słodkiego Derenia”, Wirginio, ale jednocześnie powiem bratu, co uczyniłem.

Wirginia miała dość rozumu, by dłużej się nie sprzeciwiać. Przynajmniej bezpiecznie dostanie się do Ameryki.

- Dziękuję ci, Cliff. - Ścisnęła jego dłonie. - Gorąco ci dziękuję. Gdy wychodziła, miał bardzo ponurą minę.

Nadeszła połowa maja. Przeprowa przez Atlantyk okazała się długa i trudna, najeżona niebezpieczeństwami. Sztormy i niekorzystne wiatry bardzo opóźniały rejs szkunera. Cliff, dowodzący statkiem, zarządził dwudziestoczerogodzinne wachty, których zadaniem było wypatrywanie na horyzoncie wszelkich możliwych jednostek, zarówno przyjaznych, jak i wrogich. Dwukrotnie udało im się uniknąć spotkania z amerykańskimi okrętami; raz na maszt „Amelie” wciągali nawet gwieździstą flagę, żeby zapobiec pogoni. Cliff oddał Wirginii swoją wyjątkowo luksusowo wyposażoną kabinę, ale trzymał się na dystans i traktował bratową z formalną kurtuazją. To akurat odpowiadało Wirginii. Była bardzo przybita i rozstrojona, nie miała ochoty na rozmowy i zwierzenia.

Jednym słowem podróż nie należała do przyjemnych i Wirginia poczuła wielką ulgę, gdy żegluga wreszcie dobiegła końca.

W Norfolku wynajęła otwarty powóz. Podczas jazdy jedną ręką obejmowała za szyję swojego psa, Arthura, drugą trzymała się kurczowo klamki, ponieważ pojazd niemiłosiernie trząsał i podskakiwał na wyboistej drodze.

Na widok domu ogarnęło ją wzruszenie. Oczami wyobraźni ujrzała wybiegającą przed próg, wydającą okrzyki radości mamę i tatę, nadjeżdżającego od strony pól na koniu. Z domem wiązało się tak wiele cudownych wspomnień! Wirginia uśmiechnęła się po raz pierwszy od czasu wyjazdu z Anglii. Bezpiecznie i szczęśliwie urodzi tu dziecko Devlina. Jakoś wszystko w końcu się ułoży.

Powiodła wzrokiem po polach, żeby uciec od bolesnych myśli o utraconej miłości. Ziemię właśnie wypalano, żeby ją oczyścić z gnijących szczątków, pleśni i innych pasożytów przed obsadzeniem młodymi siewkami. Wirginia już nie mogła się doczekać, kiedy obejrzy osłonięte drewnianymi wiórami siewki i oszacuje wielkość przyszłego zbioru. Nie obiecywała sobie zbyt wiele, ostatecznie przez niemal rok plantacja była wystawiona na sprzedaż. Szczęśliwie wiosna była w tym roku deszczowa; świadczyła o tym soczystość traw i bogactwo kwiatów w ogrodzie. Poza tym na „Słodkim Dereniu” nie ciążyły długi, więc Wirginia otrzyma pożyczkę z banku na przetrwanie zimy, gdyby zaszła taka potrzeba.

Z przyjemnością wciągnęła w nozdrza zapach słono-słodkiego powietrza, które zdało jej się ożywym balsamem. Po raz pierwszy od miesięcy poczuła głód.

W tej samej chwili na werandzie pojawiła się wysoka, szczupła postać. Powóz zatrzymał się przed frontonem i Wirginia zaczęła machać do Tillie.

- Wejdz do środka i posil się, zanim wyruszysz w powrotną drogę, Ned - powiedziała do powożącego mężczyzny, którego znała niemal od urodzenia.

- Dziękuję uprzejmie, panno Wirginio... znaczy się, chciałem powiedzieć pani O'Neill. - Ned z szacunkiem dotknął róna kapelusza.

- Leżeć, Arthur - poleciła łagodnym głosem Wirginia, żeby zapanować nad entuzjazmem psa, zachwyconego, że wreszcie opuścili powóz.

Tillie, która do tej pory stała w bezruchu niczym zahipnotyzowana, uniosła spódnice i zbiegła z werandy.

- Wirginio! To naprawdę ty?! Kobiety padły sobie w ramiona.

- Od listu, który napisałaś w lutym, nie miałam od ciebie żadnych wieści! - wykrzyknęła Murzynka. - Czemu nie uprzedziłaś o powrocie? I dlaczego jesteś tak chuda i do tego blada niczym widmo?

Wirginia raz jeszcze uścisnęła przyjaciółkę.

- Od tamtej pory nie było czasu na pisanie listów -odparła.

- Przyjechałaś sama? To znaczy tylko z psem? -Tillie objęła ją w pasie ramieniem, po czym aż się zatchnęła ze zdumienia. Wcześniej się nie zorientowała, że Wirginia jest w ciąży, bo wydatność brzucha maskował obszerny płaszcz. - Będiesz miała dziecko, skarbie? Tak szybko?

Wirginia skinęła głową i posmutniała, a Tillie spojrzała na nią zatroskana.

- Co się stało?

Wirginia z trudem zapanowała nad głosem.

- Moje małżeństwo legło w gruzach. Wróciłam tu na dobre.

Wirginia energicznie zabrała się do pracy na plantacji, nie zważając na połażania Tillie, że za mało odpoczywa jak na kobietę w jej stanie. W ostatnim tygodniu maja obsadzono siewkami pola i wszystkie znaki na niebie oraz ziemi wróżyły obfity plon.

Na dalekiej północy, w Kanadzie, brytyjski fort York został zdobyty przez Amerykanów i wieść o tym wielkim zwycięstwie niosła się lotem błyskawicy po kraju. Wszyscy sąsiedzi Wirginii nie posiadali się z radości. Niestety, zwycięstwo zostało opłacone wieloma ofiarami, ponieważ po wtargnięciu oddziałów amerykańskich do fortu wyleciał w powietrze garnizonowy skład amunicji. Jedna z lokalnych gazet podała, że zginęło aż trzystu Amerykanów - dwukrotnie więcej niż pokonanych Brytyjczyków. Wirginia wolałaby nic nie słyszeć o wojnie, ale było to niemożliwe, ponieważ na terytorium kanadyjskim walki toczyły się praktycznie bez przerwy.

Na domiar złego ze „Słodkiego Derenia” uciekło czterech niewolników. W całym hrabstwie liczba zbiegów urosła już prawie do setki. Plotka głosiła, że to Anglicy buntują Murzynów, a na dodatek chętnie przyjmują ich w swoje szeregi, by w nich walczyli przeciwko byłym panom.

Jednak najbardziej dokuczliwe stały się braki żywności spowodowane brytyjską blokadą morską. Cukier osiągnął zawrotną cenę ponad dwudziestu dolarów za stufuntowy worek - kosztował trzykrotnie więcej niż jeszcze przed paroma miesiącami. Mąka podrożała w Richmond do czterech i pół dolara za baryłkę, a podobno w Nowym Jorku trzeba było płacić pięć razy tyle. Teraz żywność, a raczej jej niedostatek stał się głównym tematem sąsiedzkich rozmów. W „Słodkim Dereniu” nie było już krztyny cukru i dżemy Tillie stały się wyjątkowo cierpkie.

Po koniec maja Wirginia zaczęła czuć się słabo. Niekiedy miewała zawroty głowy oraz trudności z oddychaniem i Tillie zabroniła jej ruszać się z domu. Wirginia nie protestowała, bo podejrzewała, że wie, co było źródłem jej nagłej niemocy. W ubiegłą niedzielę usłyszała w kościele, że u wybrzeży Maryland czai się „Defiance” do spółki z inną brytyjską fregatą, „Honor”, i szykuje do walki z każdym amerykańskim okrętem, który odważyłby się opuścić Zatokę Chesapeake.

Wirginia starała się udawać, że zapomniała o Devlinie i ich nieudanym małżeństwie. Przez miesiąc od powrotu do domu słowem o nim nie wspominała, nawet w obecności Tillie. Ale tak naprawdę codziennie myślała o mężu, martwiła się o jego bezpieczeństwo. Wielki ból sprawiał jej też fakt, że teraz w bardzo oczywisty sposób znaleźli się po przeciwnych stronach barykady.

Dzień był parny. Wirginia poprosiła zarządcę, Mac-Gregora, żeby przyszedł do gabinetu i przejrzał z nią razem księgi

buchalteryjne. Arthur, ciężko dysząc, leżał przy jej biurku, a Wirginia stała przy oknie i wachlowała się energicznie, gdy ujrzała Franka, zajeżdżającego cwałem pod dom.

Zrozumiała, że wydarzyło się coś złego. Wypadła na dwór, gdzie panowały jeszcze większy upał i duchota, i jej twarz natychmiast się pokryła warstewką potu.

- Frank?

Ze stężoną twarzą zeskoczył z konia i podbiegł do werandy.

- Panno Wirginio...

- Co się stało?

Zawahał się i ona już wiedziała.

- Chodzi o Devlina? - Serce podeszło jej do gardła.

- Odesłał „Honor”, a sam odsunął się od wejścia do zatoki. Ale to była pułapka. Nasz „Independence” wypłynął, bo kapitan myślał, że zdoła się przemknąć, ale wówczas „Defiance” ruszył do przodu jak szalony, szedł na zderzenie i jednocześnie wypalił ze wszystkich dział. Nasi stracili panowanie nad okrętem i czerwone kubraki opanowały jego pokład w niecały kwadrans.

Devin zdobył jeden z najpotężniejszych amerykańskich okrętów.

Wirginia chwyciła Franka za ramię.

- Czy go zatopił?

Murzyn pokręcił przecząco głową.

- Ciągnie „Independence” na północ. Pewnie do Halifaksu, po nagrodę.

- Naturalnie. - Nogi miała niczym z waty, oddychanie sprawiało jej trudność. - Zupełnie tracę głowę. Czy wielu poległo?

- Słyszałem, że połowa naszej załogi. Około setki. Wirginia jęknęła.

- Panno Wirginio? To nie wszystko. W mieście mówią, że dojdzie do inwazji.

- Do inwazji?! Tutaj?

- Gadają, że Anglicy wkrótce napadną na Norfolk. Jeżeli pani chce znać moje zdanie, jesteśmy zbyt blisko miasta.

Serce zaczęło jej walić tak mocno, że aż się przełękała.

- Frank, mógłbyś mi przynieść lemoniady?

Czy wrogie oddziały zapuszczą się na jej ziemię, zaczną palić i grabić? Czy Devlin weźmie udział w inwazji? Czy „Słodki Dereń” i jego mieszkańcy znajdą się w niebezpieczeństwie? Wirginia zgromadziła mały arsenał na wypadek, gdyby trzeba było bronić plantacji. Modliła się gorąco, żeby do tego nigdy nie doszło, wiedziała bowiem, że w starciu z regularnymi brytyjskimi oddziałami nie mieliby żadnych szans.

- Panno Wirginio, jesteśmy za blisko Norfolku! - powtórzył Frank. Jego strach był aż nadto widoczny.

Wirginia uznała, że musi zachować spokój ze względu na wszystkich swoich ludzi. Usiadła na werandzie, w bujanym fotelu i powoli machała wachlarzem.

- Frank, od miasta dzieli nas osiem mil - zaczęła tonem łagodnej perswazji. - Nawet jeżeli w swojej nikczemności wrogowie napadną

na Norfolk, my będziemy bezpieczni. Nasza armia i oddziały milicji nie pozwolą im wdrzeć się tak głęboko w ląd. - Choć strach ścisnął ją za gardło, zmusiła się do uśmiechu. - Czy mógłbyś mi teraz przynieść lemoniady?

Wyraźnie odprężony, dotknął róna kapelusza i wszedł do domu.

W tej samej chwili uśmiech zniknął z twarzy Wirginii. Mimo że jej przerażeni sąsiedzi wciąż rozprawiali o starciach z Brytyjczykami, a braki żywności dawały się solidnie we znaki, do tej pory wojna wydawała się czymś odległym. Teraz jednak, po oszałamiającym zwycięstwie Devlina, stała się bliskim i realnym zagrożeniem.

Wirginia zamknęła oczy i niespodziewanie ogarnęło ją przemożne przekonanie, że ponownie spotka się z mężem, i to dużo szybciej niż mogłaby przypuszczać.

Nigdy nie sypiała twardym snem, a ostatnio w ogóle niechętnie zasypiała, bo dręczyły ją makabryczne sny.

Widziała siebie szczęśliwą, kochaną, w ramionach Devlina, który po chwili z zimną, zaciętą twarzą odwracał się od niej i odchodził. Niekiedy biegła za nim i błagała, żeby wrócił. Kiedy indziej Devlin zabierał ze sobą ich dziecko, a ona nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Teraz zlana potem, z mocno bijącym sercem, wybudziła się z podobnego koszmaru. Usiadła na łóżku i powtarzała sobie, że to tylko zły sen. A potem, obejmując rękami ciężarny brzuch, położyła się z powrotem i próbowała uspokoić oddech. Noc była niezwykle parna i

choć Wirginia pootwierała wszystkie okna, w pokoju panowała duchota.

Nagle Arthur, który sypiał w jej łóżku, zerwał się, oparł łapy na parapecie i zaczął groźnie warczeć.

Wirginię zdjął strach. O tej porze nikt obcy nie powinien kręcić się w pobliżu domu. Zapaliła świecę i z lichtarzem w ręku stanęła obok psa. Wyjrzała przez okno, ale nie zobaczyła nic prócz gęstego mroku nocy. Arthur znowu zaczął warczeć.

I wówczas Wirginia usłyszała tętent końskich kopyt. Do domu zbliżali się jacyś jeźdźcy.

Arthur zaszczekał donośnie.

- Ucisz się! - wykrzyknęła. W ciemnościach dojrzała migotliwe światło pochodni.

Przypomniała sobie pogłoski o zbliżającej się inwazji. Przecież Brytyjczycy nie prowadziliby desantu w nocy.

Wirginia podeszła do łóżka, wyjęła pistolet spod poduszki i zaczęła go nabijać. Ręce jej się trzęsły, więc zajęło jej to więcej czasu niż zazwyczaj. W holu natknęła się na Tillie i Franka, dzierżącego myśliwską strzelbę.

- Jacyś konni - szepnęła Murzynka.

- Wiem. Widziałam - odparła Wirginia, także szeptem. - Wiecie, ilu ich jest?

- Czterech lub pięciu - powiedział cicho Frank. Przez chwilę patrzyli po sobie pytająco, niepewni,

co robić. Nagle ktoś zastukał do drzwi.

- Może powinniśmy się ukryć? - wyszeptała Tillie. Wirginię opuścił strach.

- Brytyjczycy by nie pukali. Idę otworzyć. Tillie złapała ją za rękę.

- Uczciwi ludzie nie przychodzą o takiej godzinie! Wirginia przyznała jej w duchu rację.

- Trzymaj się tuż za mną w mroku, Frank, i śmiało użyj strzelby, gdyby się okazało, że nasi nocni goście mają niegodziwe zamiary.

Wirginia pospieszyła ku drzwiom. U jej boku szedł zjeżony, wciąż warczący Arthur, za jej plecami postępowała dwójka niewolników.

- Chwileczkę! - wykrzyknęła w stronę drzwi, odstawiając lichtarz. W tym samym momencie poczuła pierwsze kopnięcie dziecka. Nie miała jednak dość czasu, żeby zachwycić się tym cudem natury, ponieważ pukanie rozległo się ponownie.

Położyła palec na spuście pistoletu, który chowała w fałdach sukni, i uchyliła drzwi.

Natychmiast rozpoznała mężczyznę stojącego w mroku. Zamarła. Arthura natomiast ogarnęła dzika radość. Machając ogonem, skoczył przed siebie uszczęśliwiony.

- Leżeć! - rozkazał Devlin, po czym wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Pies usiadł, wałąc głośno ogonem o podłogę, i wbił rozanielony wzrok w swojego pana.

- Czy zawsze otwierasz nieznajomym? - zwrócił się Devlin do Wirginii.

Czuła tak silne ściskanie w gardle, że się bała, czy zdoła wypowiedzieć choćby słowo.

- Żołnierze wroga nigdy nie pukają - wyszeptała w końcu.

Skinął głową, po czym zerknął na jej brzuch.

- Jak się miewasz? - spytał miękko.

Wirginia zdała sobie sprawę, że jest rozdygotana. Po co Devlin tu przybył? Czy ryzykował życie tylko po to, żeby się z nią zobaczyć?

- I ja, i dziecko mamy się dobrze - wydukała. Devlin wpatrywał się w twarz żony.

- Cliff mi powiedział, że tu jesteś. Zamierzałem go zabić za to, co zrobił, lecz pojąłem, że znalazłabyś inny statek, którym byś tu dopłynęła. Musiałem więc podziękować Cliffowi za to, że zadbał o wasze bezpieczeństwo: - twoje i dziecka. To czyste szaleństwo, Wirginio.

Objęła się mocno ramionami, chociaż tak naprawdę to jego miała ochotę objąć.

- Urodziłam się w tym domu. Tutaj też chcę urodzić naszego potomka.

- Nadciąga wojna. Zaryzykowałem życie czterech doskonałych marynarzy, żeby przybyć tu o tej godzinie - powiedział spieszenie. - Przez następny tydzień nie możesz opuszczać „Słodkiego Derenia”. To bardzo ważne. Pamiętaj, nie ruszaj się poza obręb plantacji.

- Dlaczego?

- Nie mogę o tym mówić, ale „Słodki Dereń” pozostanie nietknięty.

- A czemu mój dom zostanie oszczędzony?

- Ponieważ tego zażądałem.

Miała nadzieję, że usłyszy taką właśnie odpowiedź.

- A co z Norfolkem? Czy zostanie przypuszczony atak na miasteczko?

- Nie wolno mi wyjawiać żadnych szczegółów. Skinęła głową i zacisnęła powieki. Czy nie mógłby

jej przytulić, tylko jeden jedyny raz?

- Przez cały tydzień? - wyszeptała.

- Może dłużej. To zależy od czynników, na które nie mam wpływu. Z pewnością dowiesz się, kiedy będziesz mogła bezpiecznie opuścić plantację.

Oparła się ciężko o ścianę. Nie żywiła wątpliwości, że wkrótce dojdzie do inwazji na Norfolk. Musi ostrzec mieszkańców, uprzedzić o napadzie. Ogarnęła ją desperacja. Żeby wreszcie ta przeklęta wojna dobiegła końca! Może wówczas mieliby z Devlinem jeszcze jakąś szansę. Chociaż, naturalnie, wciąż pozostawała sprawa jego zemsty na Eastleighu.

- Wirginio, obiecaj, że ten jeden jedyny raz mnie usłuchasz. Od tego może zależeć życie twoje i naszego dziecka.

Widziała, że zbiera się do odjazdu. Jej rozpacz narastała.

- Oczywiście. Devlin...

- Muszę jechać - powiedział z ponurą miną.
- Nie chciałbyś tutaj... odpocząć?
- Nie mogę. W okolicy roi się od zwiadowców. Skinęła głową, bardzo przygnębiona.

- Muszę ruszać w drogę - powtórzył i zajął jej w oczy. On też sprawiał wrażenie udreżonego. - Zanim odjadę, chciałbym cię o coś spytać.

Niewiele brakowało, a zaczęłyby go zaklinać i błagać, aby jej nie zostawiał, ale zdrowy rozsądek wziął górę. Devlin rzeczywiście musiał jechać, i to szybko, bo gdyby został złapany, skończyłby w więzieniu albo stałoby się coś znacznie gorszego.

- Pytaj, proszę.
- Czy ty mnie porzuciłaś?

Wirginia się nie wahała. Nie musiała zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Nie.

Zanim się spostrzegła, chwycił ją w ramiona i zaczął gorączkowo całować. W jego potężnych ramionach wreszcie poczuła się bezpiecznie i zrozumiała, że Devlin nadal ją kocha. Oddawała ochoczo pocałunki, zapominając, że lada chwila świat wokół może eksplodować.

W końcu oderwali się od siebie. Devlin skinął głową i wyszedł. Wirginia po chwili otrząsnęła się z oszołomienia, wybiegła za nim na werandę i zacisnęła dłonie na poręczy.

- Uważaj na siebie - powiedziała zduszonym głosem, gdy wskakiwał na siodło.

Koń zaczął niecierpliwie przebierać nogami, ale Devlin szybko nad nim zapanował i zwrócił się ku Wirginii.

- Pamiętaj, dałaś mi słowo.

- Obiecuję, że go dotrzymam.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym poderwał wierzchowca do galopu, a jego ludzie popędzili za nim. Tillie dołączyła do Wirginii i objęła ją mocno ramieniem, a potem obie długo spoglądały za jeźdźcami, mimo że dawno zniknęli w mroku nocy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Inwazja na Norfolk zakończyła się fiaskiem. Brytyjczycy zaatakowali z obu stron, zarówno z lądu, jak i z morza, ale potężna burza uniemożliwiła lądowanie połowie sił desantowych, a ci z marynarzy, którzy dotarli na brzeg, zostali zdziesiątkowani przez ogień artyleryjski amerykańskiej armii. W rezultacie w ciągu niespełna dwóch godzin napastnicy się wycofali.

Wiść o zwycięstwie niosła się lotem błyskawicy i już pod koniec dnia dotarła do „Słodkiego Derenia”.

Wirginia znów czuła się nie najlepiej. Siedziała w kuchni, gdzie Tillie szykowała lekką kolację. Miała kłopoty z oddychaniem, przed oczami wirowały jej jasne płatki, a serce waliło przyspieszonym rytmem. Kiedy uszczęśliwiony Frank wpadł do kuchni, żeby opowiedzieć o triumfie amerykańskich wojsk, zabrakło jej tchu w piersi.

- Podwinęli pod siebie ogony i pierzchali gdzie pieprz rośnie, tchórze! - zawołał.

Wtedy wszystko wokół Wirginii pociemniało i zaczęło falować.

- Frank, pomocy! - usłyszała jeszcze krzyk Tillie. Nagle zobaczyła twarz Devlina, złapała kogoś za ramię, a potem zapadła w ciemność.

Kiedy się ocknęła, leżała w łóżku w samej bieliźnie, z zimnym kompresem na czole. Obok siedziała Tillie i patrzyła na nią z lękiem

w oczach. Wirginia powoli wciągnęła powietrze i z ulgą się przekonała, że może już normalnie oddychać.

- Dziecko znowu kopnęło - wyznała ze słabym uśmiechem.

Tillie miała nadal surową minę.

- Musi cię zbadać lekarz. Zemdlałaś i uderzyłaś głową o podłogę. Posłałam Franka po doktora Barnes'a. - Ton jej głosu jasno wskazywał, że nie będzie tolerować sprzeciwów.

Wirginia nie zamierzała protestować. Napady duszności, walenie serca, przyprawiające o ból w piersi, zawroty głowy stawały się coraz częstsze i bardziej niepokojące.

- Masz rację, Tillie. Powinnam porozmawiać z lekarzem. Coś nie jest w porządku. Zaczynam lękać się o dziecko.

Murzynka poderwała się gwałtownie.

- Ja doskonale wiem, co nie jest w porządku. Twój mąż powinien być teraz przy tobie. Złamał ci serce i dlatego chorujesz. Jak on śmie cię tak traktować. Jak może prowadzić przeciwko nam wojnę?! - wykrzyknęła.

Diagnoza Tillie była całkiem trafna. Rzeczywiście, ilekroć Wirginia słyszała coś na temat Devlina albo gdy docierały do niej wieści o działaniach, w które mógł być zaangażowany, ataki się nasilały, jakby niepokój o męża stawał się zbyt ciężki do zniesienia. Niespodziewana wizyta w minionym tygodniu tylko ponownie przypomniła Wirginii, jak gorąco kocha Devlina, i uczyniła rozłąkę jeszcze dotkliwszą.

Doktor Barnes zjawił się nazajutrz i zawyrokował, że Wirginia jest wyczerpana psychicznie i fizycznie.

- Taka drobna kobieta jak ty potrzebuj e mężczyzny w domu, żeby wszystkiego doglądał - powiedział, zatraskując lekarską torbę. - Słyszałem co nieco o tym twoim mężu, który walczy po stronie wroga. Takie podziały w małżeństwie nie wróżą niczego dobrego, moja panno. Mam święte prawo ci to powiedzieć, ponieważ znam cię od urodzenia.

Wirginia uśmiechnęła się do lekarza, który miał sześćdziesiątkę na karku i już całkiem białe, choć gęste włosy, ale nadal trzymał się prosto jak struna.

- Jakie są pańskie zalecenia, doktorze?

- Każ swojemu mężowi rzucić broń i wracać do domu.

- Jesteśmy w separacji.

- Jakbym nie wiedział! Całe hrabstwo o tym rozprawia. Jeżeli chcesz szczęśliwie donosić to dziecko, nie ruszaj się z łóżka. - Udzieliwszy tej ostatniej porady, lekarz wyszedł.

Wirginia z przerażeniem spojrzała na Tillie.

- Teraz mamy drugą połowę czerwca, a dziecko powinno urodzić się pod koniec września. Nie spędzę w łóżku trzech miesięcy.

- Niewykluczone, że będziesz do tego zmuszona -odparła Tillie, a potem spojrzała na Wirginię z wahaniem. - Sądzę, że powinniśmy powiadomić kapitana, że jesteś chora.

- Wcale nie jestem chora. A poza tym Devlin i bez tego ma dość powodów do zmartwień.

- Powinien wiedzieć - upierała się Tillie.

Z ponurą miną Wirginia poklepała prześcieradło i Arthur natychmiast wskoczył na łóżko. Zaczęła go głaskać, co zawsze ją uspokajało.

- Powinnam przede wszystkim zasięgnąć opinii innego lekarza, Tillie, a nie zawracać głowę mężowi.

Z jednej strony, bardzo chciała powiadomić o wszystkim Devlina, ale rozsądek podpowiadał, że nie może denerwować męża. Poza tym byli przecież w separacji. Wirginia miała swoją dumę. Devlin już raz ją odwiedził. Może zrobi to ponownie.

- Wciąż uparta jak osioł - mruknęła gniewnie Murzynka i wyszła.

W porównaniu z portowo-handlowym Norfolkem, Hampton było małym sennym miasteczkiem. Kilka dni po wizycie doktora Barnes'a Wirginia czuła się na tyle dobrze, by tam się udać. Wraz z Tillie usadowiła się na siedzeniu dwukółki, którą powoził Frank. Dzień był przyjemny - ciepły, ale nie parny - a podróż trwała bardzo krótko.

- Jesteśmy godzinę za wcześnie - zauważyła Wirginia.

- Lepiej być za wcześnie, niż się spóźnić - stwierdziła Tillie. - Miałabyś ochotę przejść się po sklepach przed wizytą u doktora Nilesa?

- Czemu nie? - Wirginia uśmiechnęła się blado. Może dzięki temu choć na chwilę przestanie rozmyślać o Devlinie, uznała.

Wysiadły z powoziku nieopodal lombardu.

- Mam tu czekać? - spytał Frank.

- Może pojedziesz w tym czasie odebrać mąkę? - zaproponowała Wirginia. W zeszłym tygodniu zamówiła jeden mały worek i Tillie obiecała, że upiecze placek. - Spotkamy się za dwie godziny pod domem doktora Nilesa.

Frank skinął głową i ruszył.

Natomiast Wirginia i Tillie przystanąły przed wystawą lombardu. Widniały tam: dwie cyzelowane kamee, złoty zegarek, srebrny medalion i misterne kolczyki z topazami, które ślicznie wyglądałyby na Tillie. Wirginia już miała zaproponować, żeby weszły do środka, gdy rozległ się huk wybuchu.

- Co to takiego? - spytała poszarzała na twarzy Murzynka.

- Nie mam pojęcia - odparła Wirginia zdjęta nagłym strachem, że nie była to niewinna eksplozja pieca. Chwyła przyjaciółkę za rękę i pobiegły za róg. Z miejsca, gdzie przystanąły, rozciągał się widok na niewielką zatoczkę.

- Wielki Boże - wyszeptała z przerażeniem Tillie.

Niebezpiecznie blisko brzegu kołysały się dwa wielkie okręty, z których spuszczano dziesiątki łodzi obsadzonych żołnierzami w czerwonych mundurach. Kiedy obie kobiety wpatrywały się z osłupieniem w tę scenę, znajdujące się w zatoczce fregaty wystrzeliły ze wszystkich dział w stronę miasta.

Tillie i Wirginia z krzykiem skuliły się w sobie. Rozległ się trzask tłuczonego szkła - to na sąsiedniej ulicy jeden z domów został trafiony armatnią kulą.

- Atakują nas! - wrzasnęła Tillie.

Wirginia wpatrywała się jak oniemiała w bliższą z fregat. „Defiance” poznałaby wszędzie. To był Devlin.

Z naprzeciwka nabiegał oddział milicji. Mężczyźni mieli na sobie mundury domowego wyrobu, byli uzbrojeni w muszkiety i pistolety, co poniekąd przy pasach także szable. Kiedy pierwsza bateria łodzi zbliżała się do brzegu, działa okrętów ponownie wystrzeliły.

Tillie złapała za rękę jednego z przebiegających milicjantów - niebieskookiego, jasnowłosego wyrostka, który nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat.

- Co się dzieje?

- O'Neill i Cockburn przypuścili na nas atak. Prowadzą co najmniej tysiąc zbrojnych, a miasta broni tylko garstka milicji! - Wyrwał się i ruszył za innymi.

Angielscy żołnierze już wyskakiwali na brzeg. Rozległa się kolejna kanonada. Tillie i Wirginia, z pochylonymi głowami, pobiegły w stronę najbliższego budynku, by tam szukać schronienia. Ledwie przycupnęły w jego sieni, zobaczyły kłęby dymu, unoszące się nad północną częścią miasteczka; musiały tam wybuchnąć pożary.

Działa brytyjskich fregat huknęły ponownie.

- Musimy znaleźć Franka i wracać do domu - zdecydowała Tillie.

Wirginia wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się tutaj działo. Jak mogło do tego dojść? Człowiek, którego kochała, zapewne stał teraz

na mostku „Defiance” i rozkazywał swoim ludziom, żeby atakowali jej miasto, jej rodaków, ją samą i Tillie.

Setki żołnierzy w czerwonych kurtkach biegły w górę plaży i zbliżały się do zabudowań.

- Wirginio, idziemy!

Trzymając się za ręce, przebiegły przez cały kwartał, po czym skręciły w szeroką przecznicę i zamarły.

Liczne zastępy brytyjskie, wśród nich także konne, strzelając z muszkietów i wywijając szablami, nacierały na kilkunastu milicjantów, próbujących dać im odpór. To była istna masakra. Minęło zaledwie parę minut, a wszyscy amerykańscy obrońcy leżeli skrwawieni i martwi. Wirginia jeszcze nigdy nie widziała takiego ogromu śmierci.

Za to wszystko był współodpowiedzialny jej mąż!

- Musimy uciekać! - ponagliła Tillie. - Ich wciąż przybywa!

Odwróciły się i zaczęły wycofywać tą samą drogą, którą się tu dostały, ale za rogiem czekało je coś naprawdę przerażającego.

- Przypuścili także atak od strony lądu - wyszeptała Wirginia. - Zapewne część oddziałów wysadzili w górze zatoki.

- Jak my się stąd wyrwiemy? Musimy odnaleźć Franka! - wykrzyknęła Tillie.

Wirginia nie miała pojęcia, jak wydostać się z matni, wiedziała natomiast jedno: muszą znaleźć się jak najdalej od toczonych walk.

- Chodź - pociągnęła Murzynkę za rękę w chwili, gdy budynek za ich plecami zatrzęsł się od wybuchu i wystrzelił płomieniami.

Skreśliły w najbliższą przecznicę, a tam setka brytyjskich żołnierzy dobijała kolejną grupkę amerykańskich milicjantów. Ulica spływała krwią.

Wirginia miała wrażenie, że się udusi, Tillie wstrząsało bezgłośnie łkanie. Wskoczyły do pierwszego lepszego domu i przywarły plecami do ceglanego muru.

Szczęśliwie Anglicy ich nie zauważyli, pewnie dlatego, że właśnie jakiś oficer przegrupowywał zastępy pieszych.

Los miasteczka był przesądzony. Nie ulegało wątpliwości, że dojdzie do kolejnych masakr. Wirginia nie miała pojęcia, jak mogłyby uciec. Zaczynała się obawiać, czy w ogóle zdołają przeżyć.

Nagle jej uwagę przykuł inny oficer na koniu, ubrany w granatowy mundur marynarki.

- Tutaj. Do mnie! - wykrzyknął.

Wirginia ujrzała mężczyznę, wychodzącego z pobliskiej stajni. Znała go dobrze - był to miejscowy kowal, John Ames. Trzymał myśliwską strzelbę. Gdy ją uniósł, gruchnęła salwa z tuzina muszkietów i John padł zalany krwią.

Rozległ się rozzierający krzyk kobiety. Ze stajni wybiegła żona kowala i rzuciła się na ciało męża.

- Marto, nie! - jęknęła Wirginia, ale było już za późno. Jeden z angielskich marynarzy uniósł muszkiet, wycelował i strzelił, kładąc Martę trupem na miejscu.

Tillie chwyciła Wirginię za rękę.

- Mordują niewinnych ludzi - powiedziała zduszonym głosem. -
Musimy stąd ruszać.

Przenosząc wzrok ponad morze zabitych oraz rannych, Wirginia raz jeszcze spojrzała na oficera na koniu i przeszedł ją lodowaty dreszcz.

- Wirginio? Co się stało? To był Thomas Hughes.

Ale co on tutaj robił? O ile Wirginii było wiadomo, jej kuzyn nigdy nie wystawiał nosa poza budynek londyńskiej admiralicji. Teraz jednak nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

Krzyk Tillie uświadomił jej, że zostały zauważone. W ich stronę skierowało się kilkunastu marynarzy, a gdy poderwały się do biegu, zaczęły strzelać.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Devlin, dosiadając konia, którego zarekwirował jakiemuś cywilowi.

Miasteczko przemieniło się w istne piekło. Ulice były zasłane zabitymi i konającymi: milicjantami i cywilami, kobietami i dziećmi. Do ataku wysłano dwa tysiące ludzi, żeby po upokarzającej klęsce w Norfolku odnieść pewne zwycięstwo. Devlin widział już niejednokrotnie żołnierskie gwałty i grabieże, ale nie spodziewał się, że ujrzy aż takie bestialstwo.

Szybko dotarła do niego na „Defiance” wieść, że brytyjscy marynarze wymknęli się spod kontroli, w dużym stopniu podjudzani przez francuskich jeńców wojennych, którzy walczyli po stronie angielskiej, żeby uniknąć uwięzienia. Wątpił jednak, czy odpowiedzialność za to, czego był świadkiem, ponosili Francuzi.

Najprawdopodobniej Cockburn - niech diabli porwą jego zrobaczywiałą duszę - zachęcił oddziały do masakry.

W tejże chwili, na oczach Devlina, grupa podchmielonych marynarzy, podpaliwszy wcześniej okoliczne budynki, plądrowała pobliski sklep, przed którym leżała martwa kobieta z nieżywym dzieckiem.

- Poruczniku! - Devlin z furią przywołał jednego z brytyjskich oficerów. Porucznik natychmiast do niego podjechał.

- Na rozkaz, sir!

- Powstrzymać tych ludzi i wszystkich aresztować!

- Ależ, sir! - Młody oficer wybałuszył oczy.

- Zastrzel ich, jeśli będziesz musiał - polecił Devlin ponuro. -

Wszystkie oddziały mają wracać pod swoją komendę. Nasze zadanie wykonane. Odnieśliśmy zwycięstwo - stwierdził z goryczą.

Walki dobiegły końca, ale przed nim było wiele pracy. Dźgnął konia ostrogą, zdecydowany przeprowadzić inspekcję. To okazało się niemożliwe. Żołnierze zachowywali się jak w amoku. Tuż za rogiem natknął się na gwałcących kobietę dwóch marynarzy, otoczonych przez tuzin wiwatujących na ich cześć kompanów. Devlin bez namysłu wyciągnął szablę i natarł na rozpasane żołdactwo. Kilku natychmiast czmychnęło. Reszta cofnęła się w popłochu. Kobieta błyskawicznie wstała i uciekła.

- Bacność! - wykrzyknął Devlin, z trudem tłumiąc w sobie pokusę pozabijania ich wszystkich.

Marynarze spoglądali na niego z przerażeniem w oczach. - Od tej pory nie będzie tu żadnych grabieży i gwałtów. Natychmiast zameldować się u swoich dowódców.

- Tak jest, sir! - Szybko się rozpierzchli. Devlinowi stanęła przed oczami Wirginia. To były jej rodzinne strony. Miasteczko leżało tak blisko „Słodkiego Derenia”, że z pewnością przyjeżdżała tu często na zakupy. Całe szczęście, że przynajmniej nie musiała oglądać tego, co tutaj dzisiaj się wyprawiało, pomyślał ponuro.

Co prawda, zapewne usłyszy wiele makabrycznych opowieści, bo Hampton nie da się uratować. Zanim zapadnie noc, ponad połowa domów pójdzie z dymem. Devlin bał się liczyć zabitych Amerykanów. Nie po raz pierwszy w duchu dziękował Bogu, że Wirginia jest bezpieczna w „Słodkim Dereniu”.

Nadciągał zmierzch. Walki ustały, o ile nie liczyć kilku drobnych, odosobnionych incydentów. Devlin zeskoczył z konia i podszedł do grupy brytyjskich medyków, opatrujących na ulicy rannych żołnierzy.

- Jakie straty w ludziach? - spytał znużonym głosem.

- Wśród naszych niewielkie, sir - odparł młody lekarz, splamiony krwią i sadzą. - Amerykanów zginęły setki.

- To znaczy ilu? - Kątem oka pochwycił po drugiej stronie ulicy jakiś ruch.

- Trzystu, czterystu, pięciuset... na razie nie sposób powiedzieć, sir.

Devlin spojrzał uważniej przed siebie. Zdawało mu się, że zna czającego się naprzeciwko mężczyznę. Nagle dotarło do niego, że jest to niewolnik, który krył się w mroku holu tej nocy, gdy Devlin odwiedził plantację. Zdecydowanym krokiem ruszył przez spływającą krwią ulicę, starając się nie nadepnąć przy tym na zwłoki.

- Hej, ty tam. Poczekaj. Murzyn odwrócił się i zaczął biec.

- Stój, do diabła! Stój, bo będę strzelał! - ryknął na całe gardło.

W istocie była to pusta groźba, ale mężczyzna zastygł w miejscu i uniósł rękę do góry. Devlin do niego przypadł.

- Odwróć się. Nic ci nie zrobię. Jesteś ze „Słodkiego Derenia”?

- A pan jest mężem panienki Wirginii. Kapitanem. Devlina opadły jak najgorsze przeczucia.

- Wirginia jest bezpieczna, prawda? Tak jak prosiłem, nie ruszała się z plantacji?

- Niestety nie, sir. - W oczach Murzyna błysnęły łzy. -

Przyjechała do miasta, co by zobaczyć się z doktorem, bo od jakiegoś czasu niedomagała, ale po naszym przyjeździe zaczęły się walki i nie wiem, co się z nią teraz dzieje!

Devlin miał wrażenie, że świat wali mu się na głowę, i po raz pierwszy w życiu ogarnęło go przerażenie.

- Ona jest tutaj?! - wrzasnął. - Moja żona jest dziś w tym miasteczku?!

Frank skinął głową.

- Gdzie?!

Może została ranna? Zgwałcona? Czy w ogóle zdołała przeżyć tę straszliwą jatkę?

- Gdzie ją widziałeś po raz ostatni?! - Nagle zdał sobie sprawę, że potrząsa ciemnoskórym mężczyzną.

- Pokażę panu, sir.

We dwóch pobiegli przez płonące miasto. Zdawało się, że minęły całe godziny, zanim dotarli do lombardu, teraz doszczętnie ograbionego, choć Devlin był na tyle doświadczony, by wiedzieć, że zajęło im to ledwie parę minut.

- Tutaj je zostawiłem, żeby przeszły się po sklepach przed wizytą u doktora.

Devlin powoli rozejrzał się wokół. Spalone sklepy i domy. Trupy zalegające na ulicach. Nadciągający mrok i pierwsze gwiazdy. Pełnia księżycy.

Jeżeli ona nie żyje, ja też zginę, pomyślał, ale najpierw zabiję wszystkich odpowiedzialnych za jej śmierć.

Tyle że odpowiedzialność spadała przede wszystkim na niego.

Gdyby nie jego piekielna obsesja na punkcie zemsty na Eastleighu, Wirginia byłaby teraz bezpieczna w Waverly Hall, a nie w samym centrum tej krwawej łaźni.

- Pomóż mi ją odnaleźć - zwrócił się do Murzyna.

- Myślę, że możemy stąd bezpiecznie się ruszyć - zdławionym głosem powiedziała Wirginia.

Przez cały dzień kryły się wraz z Tillie na stryszku czyjegoś domu i przez małe okienko patrzyły na niewyobrażalne gwałty,

rozboje i mordy. Brutalność Anglików zatrważała, podobnie jak ilość przelanej krwi.

Raz nawet wrogi oddział wpadł do środka i przeszukał dom, w którym się schroniły, ale szczęśliwie żadnemu z żołdaków nie chciało zajrzeć się na strych. Jakimś cudem też nie puścili domu z dymem, chociaż wokół szalały pożary.

Wirginia była odrętwiała z przerażenia. Ilekroć w domu coś zaskrzypiało, odwracała się gwałtownie, unosząc muszkiet, który zabrała jakiemuś zabitemu. Za każdym razem spodziewała się ujrzeć w progu brytyjskiego żołnierza i miała tylko nadzieję, że zdoła wystrzelić pierwsza.

- Idziemy? - szepnęła do Tillie. Przyjaciółka skinęła głową, choć w jej oczach cały czas czaił się strach.

Przeszły przez dom, zaciskając ręce tak mocno na muszkietach, że aż zbieleły im kostki. Ulica zdawała się pusta, ale z powodu dymu i odoru śmierci trudno było swobodnie oddychać. Pożary rozświetlały ulice.

- Tyłu zabitych, i w imię czego? Wolnego handlu? Nowych terytoriów na północy? W imię czego?! - wykrzyknęła Wirginia.

Z niewielkiej odległości dobiegły pijackie, lubieżne głosy.

- Ucisz się! - napomniała Wirginię Tillie. - Nic nie mów, dopóki bezpiecznie nie dotrzemy do domu.

Wirginia przysunęła się blisko przyjaciółki.

- Musimy znaleźć Franka - szepnęła. Po policzkach Tillie potoczyły się łzy.

- Obie wiemy, że nie mógł tego przeżyć.

Przyjaciółka prawdopodobnie miała rację, ale Wirginia nie chciała wziąć pod uwagę takiej możliwości. Zdecydowanym krokiem ruszyła naprzód, lekceważąc drobne skurcze brzucha, które chwytaly ją przez cały dzień.

Proszę, wytrzymaj jeszcze trochę, przemawiała w duchu do swojego nienarodzonego dziecka. Wkrótce znajdziemy się w domu i będziemy bezpieczni.

Wyszły wraz z Tillie za róg i niespodziewanie stanęły twarzą w twarz z pięcioma groźnymi, rozochocionymi żołnierzami w czerwonych mundurach.

Zawróciły, żeby biec w przeciwnym kierunku.

Na ich drodze stanął mężczyzna z uniesioną szablą.

Instynktownie Wirginia wycelowowała z muszkietu, szukając palcem spustu.

W tej samej chwili spostrzegła granatowy mundur, złote guziki i epolety. I szare oczy.

- Wirginio, opuść broń.

- Devlin - wyszeptała z wielką ulgą. Już miała rzucić się w ramiona męża, gdy zauważyła, jak tężeją mu rysy.

- Wirginio! - To był krzyk ostrzegawczy. Zanim zdążyła zareagować, ktoś pochwycił ją od tyłu. Odwróciła głowę i ujrzała szkliste pijackie oczy i szczerbaty uśmiech wojaka w czerwonym mundurze. Jego kompani trzymali gwałtownie wierzgającą Tillie.

- Znalazłem sobie ładną kurwę. - Wirginię owionął odór whisky i smród zepsutych zębów.

- Devlin! - wykrzyknęła, próbując wyrwać się żołdakowi. Nagle uścisk napastnika zelżał. Oblapujący ją marynarz zawył, trysnęła jakaś ciepła, lepka ciecz. Na ziemię spadło ramię obciążone czerwonym rękawem. A potem rozległ się świst i obok upadła głowa.

Wirginia zatoczyła się, z niedowierzaniem patrząc na pozbawiony rąk i głowy korpus. Tymczasem Devlin, z furią w oczach, atakował kolejnego żołnierza. Wirginia opadła na czworaki. Jej męża ogarnęła mordercza pasja. Wkrótce w miejscu, gdzie niedawno stała, leżały cztery trupy brytyjskich marynarzy. Nagle obok Wirginii znalazła się Tillie i teraz obie jak zahipnotyzowane wbijały wzrok w Devlina, nacierającego na ostatniego z rozpasanych żołdaków.

W ciemności rozległ się złowieszczy szept.

- O'Neill!

Wirginia natychmiast rozpoznała ten głos i desperacko próbowała ostrzec Devlina, lecz świat zaczął wirować jej przed oczami, a ziemia gwałtownie uciekać spod stóp. Zanim ogarnęła ją ciemność, ujrzała Thomasa Hughesa, który mierzył do jej męża z pistoletu, i usłyszała huk wystrzału.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

To był koszmar. Wszędzie kłębili się żołnierze i mordowali nawzajem, a mąż stał za buzującą ścianą płomieni i przyzywał ją do siebie. Tymczasem ona nie mogła do niego pobiec, bo by żywcem spłonęła w ogniu.

- Devlin! - jęknęła.

- Cii. Już wszystko dobrze.

Wirginia otworzyła oczy. Leżała we własnym łóżku, w swojej sypialni.

- Devlin?

Tillie chwyciła ją za rękę i pogłaskała po głowie.

- Wreszcie się ocknęłaś. Wirginię ogarnęły złe przeczucia.

- Czy... czy jest tu Devlin?

- Nie, skarbie.

Zamknęła oczy i natychmiast wróciły wspomnienia makabrycznych wydarzeń w Hampton. Nagle Wirginia ujrzała makabryczny obraz: Thomas Hughes mierzący w głowę Devlina z pistoletu! Przypomniała też sobie huk wystrzału.

- Gdzie jest mój mąż?! - wykrzyknęła, zdjeta trwogą. - Błagam, powiedz, że nic mu się nie stało!

- Doktor Barnes dał mi laudanum. Dolałam trochę do herbaty, wypij... - Tillie wyciągnęła rękę z filiżanką.

Wirginia odtrąciła dłoń przyjaciółki. Filiżanka z trzaskiem rozbiła się o podłogę.

- Gdzie jest Devlin?! Tillie zaczęła płakać.

- Wpadł w szal, gdy pochwycili cię żołnierze. Zabił tego, który cię trzymał, a potem rzucił się na tych, którzy złapali mnie. Jeszcze nigdy nie widziałam u nikogo takiej furii.

- Czy żyje?

- Nie wiem - załkała Tillie. - Ktoś strzelił do niego od tyłu, ale nie widziałam, co dokładnie się stało. Musiałam cię stamtąd zabrać!

Wirginia usiadła gwałtownie, a dziecko wybrało akurat ten moment, żeby kopnąć boleśnie. Wirginia położyła dłoń na brzuchu, próbując uspokoić i siebie, i maleństwo.

- Tom Hughes do niego strzelał. Widziałam na własne oczy. Próbował go zamordować z zimną krwią! - zawołała i wybuchnęła płaczem.

Czy tak miała zakończyć się obsesja Devlina na punkcie śmierci ojca? Czy on również miał paść ofiarą mordu?

Wirginia zamknęła oczy. Musi się opanować. Strach i rozpacz jej nie pomogą. Najważniejsze to odnaleźć Devlina - żywego lub martwego!

- Pomóż mi się ubrać. - Spuściła nogi z łóżka.

- Nie wolno ci wstawać aż do rozwiązania! - krzyknęła Tillie.

- Niewykluczone, że wczoraj zginął mój mąż. Muszę się dowiedzieć, co się z nim dzieje. Możesz jechać ze mną lub zostać w domu. Ja zamierzam odnaleźć męża lub jego ciało.

Popołudnie było gorące i słoneczne. Nad Hampton, na czystym niebie kołowały myszołowy, zwabione trupim odorem. Brytyjczycy

wycofali się już dawno temu. Na wodach zatoki leniwie unosiła się tylko jedna rybacka łódź. Późną nocą nadciągnęła amerykańska armia. Na obrzeżach miasteczka wzniosła prowizoryczny fort ze szpitalem polowym i obozem dla jeńców.

Wirginia podeszła do fortu, opierając się na ramieniu Tillie. Za kobietami postępował Frank, czujnie rozglądając się na boki, jakby podejrzewał, że lada chwila znowu się pojawią brytyjskie hordy. Wartownik przy bramie wskazał im dowódcę jednostki, kapitana Lewisa.

Kapitan był pogrążony w ożywionej rozmowie z kilkoma oficerami, którzy jednak szybko rozeszli się na widok Wirginii.

- Niech zgadnę - powiedział znużonym głosem Lewis, młody blondyn o niebieskich oczach i ogorzałej od słońca twarzy. - Zaginął pani mąż, brat lub ojciec. Oto listy. Są nadal niekompletne. - Wziął ze stołu kilka arkuszy papieru i podał Wirginii.

- Mój mąż jest brytyjskim oficerem, kapitanie. Gdyby został pojmany lub zabity, prawdopodobnie by pan o tym usłyszał. - Była zaskoczona, że stać ją na taki spokój. Odniosła wrażenie, że wyzwoliła się z własnego ciała i unosi się w powietrzu, obserwując samą siebie.

Lewis spojrział na nią szczerze zaciekawiony.

- Nazywa się kapitan Devlin O'Neill. - Uniosła dumnie głowę.

- O'Neill? Dowódca „Defiance”? Człowiek, który jest odpowiedzialny za to wszystko? - Wskazał ręką na szpital polowy:

morze namiotów, gdzie ranni i umierający leżeli zakrwawieni na prowizorycznych pryczach, błagając o pomoc.

- Mój mąż nigdy nie popełniłby podobnego bestialstwa.

- Doprawdy? - Sceptycyzm młodego oficera był aż nadto oczywisty. - Cóż, nie widziałem jego nazwiska na żadnej z list.

Zerknęła na trzymane w rękę papiery. Jeden spis zawierał dane zabitych, drugi - rannych.

- O ile się nie mylę, wspominał pan, że te listy nie są kompletne.

- To prawda.

- A co z listą jeńców?

- Są ich zaledwie dwa tuziny.

- Chciałabym obejrzeć zabitych, rannych i pojmanyh, kapitanie - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Wzruszył ramionami.

- Jeżeli się okaże, że O'Neill jest w moich rękach, będę uszczęśliwiony. - Odwrócił głowę. - Sierzancie Ames! Proszę zaprowadzić panią O'Neill do kostnicy, a potem umożliwić obejrzenie rannych i jeńców.

Przysadzisty, szpakowaty mężczyzna wyprężył się na baczność.

- Tak jest, sir! - Zasalutował, po czym zwrócił się do Wirginii. - Tędy proszę. Szpital jest w tych namiotach, a kostnica na obrzeżach fortu. To znaczy nie mamy tutaj prawdziwej kostnicy, tylko tak nazwaliśmy miejsce, gdzie leżą zabici

- Szukam brytyjskiego oficera marynarki - powiedziała Wirginia, kiedy zbliżyli się do szpitalnych namiotów.

- Tutaj są głównie Amerykanie. Nietrudno więc będzie znaleźć kogoś w granatowym mundurze.

Nie zdziwił się ani nie zainteresował faktem, że Wirginia szuka Brytyjczyka, za co była sierżantowi wdzięczna.

Pół godziny później Wirginia już wiedziała, że Devlina nie ma wśród rannych w szpitalu w Hampton.

- Czy możemy zobaczyć jeńców, sierżancie? Skinął głową, po czym poprowadził kobiety i Franka z powrotem do centrum obozu.

- A tam jest kostnica. - Wskazał na odległe rzędy prześcieradeł, którymi przykryto zabitych.

- Nie podołam temu - szepnęła Wirginia. Bardzo się bała, że za chwilę utraci z takim trudem osiągnięte opanowanie.

- Ja pójdę - odezwał się Frank. - Bez trudu rozpoznam kapitana.

- Niech cię Bóg błogosławi.

Wrócił pół godziny później, spopieliał na twarzy.

- Szukałem wszędzie. Chociaż był tylko jeden człowiek w mundurze marynarki, obejrzałem wszystkich. Nie ma go wśród zabitych.

Wirginia opadła na krzesło, które przyniósł dla niej uprzejmy sierżant.

- Dzięki Bogu - wyszeptała. A więc istniała nadzieja.

- Teraz przejdziemy do jeńców, proszę pani

Na drugim końcu obozu wznosiła się wysoka palisada. Wirginii pozwolono wejść do środka w towarzystwie sierżanta Ames, który w kilku słowach wyjaśnił sytuację nadzorcy.

- Gdybyśmy mieli tutaj kapitana O'Neilla, to bym o tym wiedział. Znam nazwiska wszystkich tych ludzi.

Skoro Devlina nie było wśród zabitych, rannych lub jeńców, czy to oznaczało, że znajdował się na pokładzie „Defiance”? Że jest cały i zdrowy?

- Wirginia? - Dobiegł ją znajomy męski głos. Odwróciła się zdumiona.

- Wirginia Hughes? Czy to naprawdę pani?

Jeden ze skutych więźniów podszedł do krat. Rozpoznała go od razu.

- Pan Harvey! - Podbiegła do dawnego lekarza okrętowego Devlina.

- Pani widok niezmiernie raduje moje oczy.

- Panie Harvey, czy nic się panu nie stało? Zdołał pan bez szwanku przeżyć tę straszną bitwę?

- Nic mi nie dolega i wielokrotnie próbowałem zaoferować swoje usługi Amerykanom, ale jakoś nie chcą skorzystać z mojego medycznego doświadczenia.

- Nadzorca! - wykrzyknęła Wirginia. - Ten człowiek jest doskonałym lekarzem i nadzwyczaj biegłym chirurgiem. Zamiast tutaj siedzieć, powinien zajmować się rannymi!

Nadzorca burknął coś pod nosem, za to bardzo ożywił się sierżant Ames.

- Biegnę porozmawiać z kapitanem. Każdy lekarz jest tutaj na wagę złota.

Harvey uśmiechnął się blado do Wirginii, a ona ścisnęła go przyjaźnie za rękę.

- Co pani robi w tym miejscu, panno Hughes? Spojrzała na niego poważnym wzrokiem.

- Teraz już nie nazywam się Hughes, a O'Neill, panie Harvey.

Lekarz potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Wreszcie wszystko zaczyna nabierać sensu. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak bardzo poruszył Devlina jak pani.

Wirginia mocniej ścisnęła dłoń lekarza.

- Czy pan go widział, doktorze? Słyszałam, że został postrzelony. Szukam go i modlę się w duchu, bym odnalazła żywego.

W oczach Harveya pojawiło się wahanie, które nie umknęło uwagi Wirginii.

- O co chodzi? Co boi się pan mi powiedzieć?!

- Słyszałem, że został aresztowany. Aresztowany przez samego Cockburna. Podobno wpadł w morderczy szal i pozabijał brytyjskich żołnierzy. - Harvey wykrzywił usta w grymasie. - Brzmi to zupełnie nieprawdopodobnie i osobiście w to nie wierzę, ale takie krążą tutaj pogłoski.

- Został aresztowany? - Chociaż wiadomość była przygnębiająca, Wirginię ogarnęła ulga: a więc Devlin nie zginął! - Dokąd został odesłany? Gdzie mam go szukać?

- Ponoć został wtrącony do ciemnicy, na swoim okręcie.

- Będzie pan żył, kapitanie - Paul White, lekarz okrętowy Devlina, uśmiechnął się szeroko.

Devlin, bez koszuli, siedział na pryczy w ciasnej celi na własnym okręcie. White właśnie skończył bandażować jego prawe ramię, które bolało jak wszyscy diabli, ale Devlin na to nie zważał. Wiedział, że rana nie jest poważna. Szczęśliwie jego zmysły, wyostrzone przez lata walk, kazały mu się obejrzeć za siebie w odpowiedniej chwili. Gdyby nie ów szósty zmysł, Tom Hughes zdołałby go zamordować.

Devlin od początku wiedział, że syn Eastleigha podążył za nim na tę wojnę, żeby go zabić. Ale nic go to nie obchodziło. Teraz w jego życiu liczyło się tylko jedno - Wirginia. Zrozumiał to, gdy ujrzał ją wczoraj splamioną krwią, bladą i wylęknioną.

Gdyby ją stracił, chyba by postradał zmysły. Oszalał z rozpacz.

Dawno temu, bezsilny i przerażony, patrzył, jak żołnierz w czerwonym mundurze morduje mu ojca. Kiedy wczoraj brytyjscy marynarze zaatakowali Wirginie, na moment znów stał się małym, dziesięcioletnim chłopcem przerażonym, że kobieta, którą kocha, za chwilę zostanie zgwałcona i bestialsko zgładzona.

Paraliż trwał tylko kilka sekund. Devlin nie był już dzieckiem, ale potężnym mężczyzną dzierżącym władzę. Ogarnął go szal. Aby ocalić Wirginię, był w stanie zabić każdego żołnierza w czerwonym mundurze, który nawinałby mu się pod rękę.

Zacisnął powieki. Na szczęście Wirginia nie została zgwałcona, nie straciła życia, on zaś uświadomił sobie, że jest najgłupszym człowiekiem chodzącym po ziemi. Poświęcił miłość i małżeństwo dla obsesji zemsty. Teraz tylko usilnie dziękował Bogu - do którego nie

modlił się od lat - za ocalenie Wirginii. Zanim został aresztowany, widział, że Tillie i Frank zabierają ją w bezpieczne miejsce.

Ukrył twarz w dłoniach. Jakże tęsknił do swojej żony! Bez wahania porzuci dawne życie, jeżeli tylko Wirginia mu przebaczy i jeszcze go zechce.

- Dać panu grogu na złagodzenie bólu, sir? Devlin spojrzał na lekarza. Nie rana mu dokuczała, ale ból serca, którego nie mógł uśmierzyć żaden alkohol.

- Nie.

Rozległ się szcęk zasuw w górnej klapie i po drabinie zaczęło schodzić dwóch mężczyzn w oficerskich mundurach. Chwilę później przed Devlinem stanął admirał Cockburn z Tomem Hughesem.

Devlin spojrzał na syna Eastleigha i ze zdziwieniem stwierdził, że nie czuje gniewu, a jedynie przynoszącą ulgę obojętność. Wreszcie wyzwolił się z tego wieloletniego koszmaru!

- Co z Devlinem? - admirał spytał White'a.

- Ma paskudną ranę na ramieniu i solidnego guza na głowie, ale za kilka dni będzie mógł wrócić do obowiązków. To znaczy mógłby, gdyby nie siedział w celi.

Devlin wstał i naciągnął na siebie skrwawioną koszulę.

- Uwolnić go! - rozkazał Cockburn.

- Ależ, sir! - zaprotestował Hughes. - On pomordował brytyjskich żołnierzy!

Devlin bez słowa wyszedł z celi.

- Porozmawiamy na pokładzie - zarządził admirał. Dzień był piękny. Wiał lekki wiatr, a po intensywnie

błękitnym niebie nie sunęła ani jedna chmurka. Devlin szybko rozejrzał się wokół i od razu zorientował, że są u wejścia do Zatoki Chesapeake, nie więcej niż milę od wybrzeża. Przemieszczali się na południe z prędkością zaledwie trzech węzłów. Oznaczało to, że za dwie godziny mógłby znaleźć się w „Słodkim Dereniu”.

- Czy jestem wolny? - spytał admirała.

- Naturalnie. W czasie bitwy dochodzi do różnych incydentów, mój chłopcze, poza tym wcześniej mnie szlag trafi, zanim przedłożę najlepszego kapitana nad kilku przeklętych żabojadów. A w ogóle każdy honorowy mężczyzna na świecie postąpiłby tak samo jak ty, gdyby stawał w obronie żony.

Hughes sprawiał takie wrażenie, jakby za chwilę miał się udusić.

- W Hampton odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo -ciągnął pompatycznie admirał. - Zdam szczegółową relację z doniosłej roli, jaką w naszym triumfie odegrała załoga „Defiance” i jej kapitan. Doskonała robota, mój chłopcze. Doprawdy wyborna. - Cockburn uśmiechnął się od ucha do ucha.

Devlin nie chciał słyszeć ani słowa więcej o wydarzeniach w Hampton.

- Sir, na pańskie ręce składam dymisję i odchodzę ze służby - oświadczył.

Cockburn wybałuszył oczy, Hughes rozwarł usta ze zdumienia.

- Co takiego?! - wrzasnął admirał.

- Słyszał pan - odparł Devlin z uśmiechem. - A teraz proszę mi wybaczyć, wracam do domu.

Wszedł do swojej kabiny, zasiadł za biurkiem, skreślił na pergaminie kilka zdań i przycisnął pod spodem pieczęć. A potem wrócił na pokład i wręczył dymisję Cockburnowi.

- Panie admirale, na swoje stanowisko rekomenduję Reda Barlowa.

- Sir, gdyby chodziło o kogoś innego, uznałbym podobny akt za tchórzostwo. - Admirał kipiał z wściekłości. Szybko dał znak jednemu z adiutantów, że chce wracać na swój okręt flagowy.

Devlin jedynie wzruszył ramionami, po czym zwrócił się do wciąż oniemiałego Toma Hughesa.

- Mam coś dla ciebie.

- Czy to jakaś nowa sztuczka, O'Neill? Nowy przemyślny podstęp?

- Skończyłem ze sztuczkami i intrygami. Zabawa dobiegła końca. Nie zamierzam tracić czasu na jałowe dyskusje. Masz. To dla ciebie.

- Co to takiego? - spytał podejrzliwie Hughes.

- Akt własności.

- Ja nie potrzebuję „Słodkiego Derenia”.

- To akt własności Waverly Hall. Nie chcę już tego domu. Jest twój.

Hughes po raz kolejny tego dnia osłupiał. Devlin przywołał jednego z marynarzy.

- Schodzę na ląd. Spuścić szalupę.

- Tak jest, sir!

Tymczasem Hughes odzyskał głos.

- Zwracasz nam Waverly Hall?

- Owszem.

- Nic z tego nie rozumiem.

- To nieważne.

- Nieważne?! Mój ojciec zamordował twojego ojca. Pomsta za tę śmierć stała się sensem twojego życia. Zabrałeś nam dom, sypiałeś z moją macochą, zrobiłeś swoją kochankę z mojej kuzynki, dwa razy stłukłeś mnie do nieprzytomności, dwa dni temu ja dokonałem zamachu na twoje życie. I to wszystko ma być teraz nieważne?!

Devlin już nie zwracał na niego uwagi, bo właśnie szykowano dla niego szalupę.

- Zemsta mnie już nie interesuje - rzucił przez ramię. - Teraz liczy się dla mnie coś zupełnie innego.

Wirginia była wyczerpana. Powozik zatrzymał się przed domem, ale nie mogła się zmusić, żeby z niego wysiąść.

Przynajmniej Devlin nie zginął owego straszego wieczoru. Był więźniem, został aresztowany przez własnych zwierzchników.

Tillie poklepała Wirginię po dłoni.

- Wystosujemy list do admirała Cockburna. Jesteś jego żoną. Dowództwo musi cię poinformować, gdzie go przetrzymują i co się z nim dzieje.

- Devlin działał w mojej obronie. Zabił tych żołnierzy tylko po to, by mnie chronić. Jeżeli powiem o tym admirałowi Cockburnowi, będzie musiał go zwolnić.

- Najpierw do niego napiszemy - oznajmiła stanowczo Tillie i zamarła.

Wirginia powędrowała za jej wzrokiem. Na werandzie, w samej koszuli i spodniach, stał człowiek, którego najbardziej na świecie chciała teraz zobaczyć. Szybko zbiegł po schodach i podbiegł do dwukółki.

- Devlin!

Obrzucił ją baczny spojrzeniem.

- Dzięki Bogu, że nic ci nie jest - powiedział zduszonym głosem. Uśmiechnął się blado i przytulił dłoń do jej policzka. - Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak przerażony. Kiedy natknąłem się na Franka i dowiedziałem, że tam jesteś... - Po jego policzku potoczyła się łza.

- Ty płaczesz! - wyszeptała, zszokowana. Dałaby sobie głowę uciąć, że Devlin nie płakał od czasu, gdy był małym chłopcem i patrzył, jak mordują mu ojca.

Skinął tylko głową, a potem otworzył drzwiczki powozu i chwycił ją na ręce.

- Przeze mnie i moją obsesję zemsty o mało wczoraj nie zginęłaś, Wirginio. Tyle przeze mnie wycierpiałaś. Tak bardzo cię przepraszam.

Dotknęła jego wilgotnego policzka.

- Nie żałuję ani jednej chwili, którą razem spędziliśmy.

Pokręcił głową.

- Ja natomiast nie zasługuję na twoją dobroć. Chcę, żebyś wiedziała jedno. Kiedy wczoraj zobaczyłem, jak chwytą cię jeden z tych żołdaków, wpadłem w furję. Ogarnął mnie morderczy szal, taki sam, jak wtedy, gdy Tom Hughes napadł na ciebie na balu. A stało się tak dlatego, że cię kocham, Wirginio.

- Naprawdę? - Nie posiadała się ze szczęścia.

- Prawdę mówiąc, kocham cię od bardzo dawna, niemal od chwili, gdy cię ujrzałem. Jednak bałem się wybrać radość i szczęście, ponieważ jedyne uczucia, jakie znałem, to nienawiść i żądza zemsty.

- A teraz? - szepnęła.

- Nadal się lękam, ale nie jestem w stanie znieść bólu rozstania. Nie mogę bez ciebie żyć. Czy nauczysz mnie, Wirginio, jak kochać i cieszyć się każdym dniem?

- Nauczę cię wszystkiego, co zechcesz. A czy to oznacza, że...
że...

Skinął głową.

- Kazałaś mi wybierać, a ja dokonałem złego wyboru. Teraz jedynie chcę być z tobą i naszym dzieckiem. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Zakończyłem sprawę z Eastleighem. Definitywnie i na zawsze. Oddałem Hughesowi akt własności Waverly Hall.

Wirginia nie mogła powstrzymać łez.

- Chciałem cię prosić o przebaczenie, ale wiem, że nie zasługuję. Obiecuję natomiast, że zrobię absolutnie wszystko, o co mnie poprosisz, chociaż zdaję sobie sprawę, iż nigdy nie zdołam ci

wynagrodzić wyrządzonych krzywd. Czy zechcesz mnie jeszcze?
Powrócisz do mnie? Będiesz znowu moją żoną?

Chwyła jego dłonie i przycisnęła do piersi.

- Wszystko ci wybaczyłam, Devlinie. Nie mogę winić cię za twoje postępowanie, wiedząc, co spotkało twojego ojca.

- Najwyższy czas, żeby Gerald spoczął w pokoju. I żebyśmy wiedli spokojne, szczęśliwe życie.

- A więc zaczniemy wszystko od nowa?

- Tak - odparł i posłał jej znaczące spojrzenie. - Zrezygnowałem ze służby.

Wirginia zaniemówiła z wrażenia.

Devlin uśmiechnął się, po czym powiódł wzrokiem po dojrzewających polach, jakby prowadził inspekcję okrętów.

- „Słodki Dereń” to piękne miejsce na ziemi. Będziemy dzielić czas między plantację a Askeaton. Po równo: pół roku tu, pół roku w Irlandii.

- Będziesz chciał tu mieszkać przez pół roku?! - wykrzyknęła, zachwycona.

- A sprawi ci to przyjemność, najdroższa?

- Bardzo wielką.

Razem z pewnością uczynią ze „Słodkiego Derenia” doskonale prosperującą plantację. Będą zbierać tytoń i zapełnią dom dziećmi. Wirginia pokochała także Askeaton, więc wspólnie sprawią, że rodzinny dom Devlina także wypełni się śmiechem i miłością.

Trzymając się za ręce, weszli do domu - nowy pan na „Słodkim Dereniu” i jego żona. Czekala ich radosna, szczęśliwa przyszłość.

KONIEC

Scandalous